


Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Yáckta-Oya**

**Leśny goniec**

## ROZDZIAŁ I

### Bohaterowie przedstawiają się sami

Zamieć trwała od wielu dni. Ciemnoolowane chmury ciągnące z północnego wschodu pokryły puszcę grubą warstwą śniegu. Przelatujący nisko nad ziemią wichur targał korony drzew. Z nie spotykaną zjadłością łamał kruche gałęzie sosny i grube konary rosochatego dębu. Z wściekłym wyciem przecinał miejsca nie osłonięte śródleśne polany. Z nienawiścią uderzał w ściany odwiecznego boru, z hukiem i świstem przedzierał się między stężalnymi w lodowym uścisku pniami czerwonego cedru i czarnej brzozy. Rozdzielał na tysiące strumieni, przycichał na chwilę, by w miejscach bezdrzewnych połączyć się ponownie w szalejący szkwał i z nową, zdwojoną siłą uderzyć w następną przeszkodę niczym demon zniszczenia zesłany na ziemię przez Ducha Ciemności.

Tej pamiętnej marcowej nocy roku tysiąc sześćset czterdziestego dziewiątego śnieżna zamieć osiągnęła niewyobrażalną i nigdy nie spotykaną tu gwałtowność i niszczycielską siłę. Ryk wichru, łomot walących się olbrzymów leśnych i białe, oślepiające tumany wirującego śniegu zdawały się zwiastować nadejście końca świata.

Dziki zwierz chronił się w głębokich rozpadlinach i osłoniętych jarach, szukał kryjówek pod wykrotami starych drzew i w najbardziej gęstych modrzewiowych i świerkowych zagajach. W dziuplach leśnych olbrzymów kryły się strwożone ptaki.

Hurońską wioskę rozłożoną u stóp niewielkiego wzniesienia prawie po szczycie pokrytych korą wigwamów przysypała gruba warstwa śniegu. Wystające ponad nim dachy ze szczelnie zasłoniętymi otworami dymnymi majaczyły niczym bobrowe domki zawieszane w gęstej, mlecznej mgle. Wigwamy wydawały się uśpione. Jednakże przesączaające się tu i ówdzie przez szczeliny ich pokryć nagle refleksy światła i wąskie strużki dymu wskazywały, że nie wszędzie sen zamknął znużone powieki.

Gdyby ktoś właśnie teraz zbliżył się ku wiosce, usłyszałby przytłumione szepty i rozmowy, opowieści o duchach, dawnych wyprawach wojennych i walkach, dokonanych wielkich czynach, przeżytych zdarzeniach, myśliwskich przygodach. Usłyszałby o czasach, kiedy to jeszcze przodkowie wioski zajmowali tereny położone znacznie dalej na południe, tereny, z których wypierani przez potężną Ligę Irokezów<sup>1</sup>, musieli wycofać się bardziej na

---

<sup>1</sup> Liga Irokezów (Liga Pokoju, Liga Pięciu Narodów, Wielki Pokój) – związek pięciu plemion irokeskich: Mohawk, Oneida, Onondaga, Cayuga, Seneka. Powstała prawdopodobnie ok. 1572 r. w celu przerwania bratobójczych walk między tymi plemionami, wkrótce stała się narzędziem przemocy wobec okolicznych plemion. Współdziałała z Holendrami, a potem z Anglikami wślawiła się napadami na osiedla Nowej Francji. Zniszczyła irokeskie plemiona Huronów, Tobacco, Erie, Neutrals. Wraz z Holendrami doprowadziła do rozbrojenia Mohikanów i Delawarów, a później do ich wypędzenia z rodzinnych ziem. Podporządkowała sobie plemiona Susquehanna, Shawnee, a nawet w pewnym okresie Cherokee. Zbrojne wyprawy Ligi sięgały do Południowej Karoliny, a na zachód do podnóża Gór Skalistych. Oddała usługi Anglikom w walce z koloniami francuskimi. W 1713 r. do Ligi dołączyło plemię Tuscarora – od tego czasu Związek Sześciu Narodów. Po

północ. Ujrzałby wokół płonących wewnątrz ognisk półnagich mężczyzn przygotowujących żelazne sidła i potrzaski, opatrujących mocne myśliwskie łuki i oszczepy, ostrzających noże i groty strzał.

Śnieżna zamieć, która rozpoczęła się kilka dni temu, zatrzymała myśliwych i pozbawiła ich możliwości łowów. A mięsa było coraz mniej. Coraz częściej kobiety zrywały płaty grubej, przesiąkniętej dymem i tłuszczem skóry stanowiącej wewnętrzne pokrycie wigwamów, by ugotować na nich zupę. Jeśliby śnieżnica potrwała dłużej, wiosce groziłby głód i mężczyźni zdawali sobie z tego sprawę.

Jeszcze jesienią i na początku zimy, kiedy powinni byli zgromadzić nieco większy zapas mięsa, zaniedbali tego obowiązku. Zamiast na łosie, jelenie i karibu oraz duże, tłuste króliki, poświęcili zbyt wiele czasu na chwytanie kun, gronostaj, skunksów, lśniących, puszystych wyder, lisów, a nawet wiewiórek i kretów. Za futerka tych zwierząt misja dawała wiele pięknych i pożytecznych rzeczy, ale nie dawała żywności. Ostatnią porcję dzikiego ryżu i fasoli rozdzielono w czasie Księżyca Głodu<sup>2</sup>. Skończyła się więc już dawno. Starcy oraz kobiety i dzieci ściśnięci w pobliżu ciepłych płomieni, słuchając odgłosów burzy, modlili się, by Wielki Duch bladych twarzy wykazał teraz swą moc i uciszył duchy śniegu i wiatru.

W niewielkiej odległości od wioski, na małym bezdrzewnym wypiętrzeniu terenu, poprzez śnieżną zamieć, nieco ciemniejszą plamą rysowały się zabudowania misji Towarzystwa Jezusowego.

Misja, podobnie jak rozłożona u jej stóp indiańska wioska, zdawała się drzemać w oczekiwaniu na zmianę pogody. Tylko z jednego okna na parterze sączył się słaby, żółty blask łojowej świeczki.

W obszernej izbie, rozjaśnionej nieco wątlm płomykiem, za prostym, drewnianym stołem siedział ojciec Brebeuf<sup>3</sup> i ostro zakończonym gęsim piórem, w grubej, pergaminowej księdze zestawiał długie kolumny cyfr. Zdawał się nie zwracać uwagi na szalejącą za oknem zamieć. Ufny w opatrność boską oraz własną głęboką znajomość praw przyrody, wierzył, że pogoda zmieni się wkrótce. Wychodząc z kościoła po wieczornym nabożeństwie czuł na twarzy nieco wilgotniejszy powiew i wiedział, że mróz się zmniejszył.

Teraz, skończywszy rachunki, u dołu strony starannie wykaligrafował datę i złożył ozdobny podpis. Zamknął ostrożnie księgę, przetarł znużone powieki i spojrzał na pogrążonego w zadumie swego wiernego towarzysza i przyjaciela, z którym od kilku lat dzielił trudne obowiązki.

Widocznie jednak szelest pergaminu i zamykanej księgi przywołał tamtego do rzeczywistości, bo odwrócił wzrok od czerwonych, migocących na kominku płomieni i odezwał się cicho:

– Widzę, bracie, że zakończyłeś trudną pracę. Czy chociaż jej wyniki przyniosły ci zadowolenie?

Zagadnięty uśmiechnął się leciutko i ciepły blask płomieni na moment zamigotał w jego spokojnej twarzy.

– Nie mylisz się, bracie Lalemant<sup>4</sup>. Nasze hurońskie owieczki dostarczyły nam do tej pory prawie jedenaście tysięcy pięknych futer. Gdyby nie burza, mielibyśmy już znacznie więcej.

– To rzeczywiście dużo, zwłaszcza że przecież dopiero teraz rozpoczyna się okres polowań na bobry. Nie jestem jednak pewien, czy towarów wystarczy nam na wymianę. Czy twoja księga mówi coś pocieszającego w tej sprawie?

---

upadku Nowej Francji i powstaniu Stanów Zjednoczonych rozpadła się. Jej resztki zostały przesiedlone do kanadyjskich rezerwatów.

<sup>2</sup> Luty.

<sup>3</sup> Misjonarz jezuita prowadzący pracę misyjną w krainie Huronów. W czasie napadu Mohawków i Seneków na misję w 1649 r. poniósł męczeńską śmierć.

<sup>4</sup> Misjonarz jezuita, w czasie napadu Mohawków i Seneków na misję w 1649 r. poniósł męczeńską śmierć.

– Tak – uśmiech w twarzy cierpliwego rachmistrza pogłębił się. – Nie musisz się martwić, drogi bracie. W magazynie misji znajduje się jeszcze wiele wszelkiego dobra. Toteż, nawet gdyby dostawy futer były bardzo duże, będziemy mieli czym za nie zapłacić. Są noże i toporki, żelazne groty do strzał i sporo kociołków. Mamy trochę ciepłych kołder i nie naruszone bele płótna i perkalu, a także sporo innych rzeczy. Wystarczy!

– Nie wspominasz, bracie Brebeuf, o muszkietach. One przecież dla Indian przedstawiają największą wartość, a o ile pamiętam, jego eminencja w ostatnim jesiennym transporcie przysłał nam ich z Quebecu sporą ilość?

– Masz niewątpliwie dobrą pamięć, drogi bracie, powinienś więc także pamiętać, że ksiądz Laval<sup>5</sup> zalecał w tym liście dużą ostrożność w zaopatrywaniu naszych czerwono-skórych braci w broń palną. Jej nadmiar w rękach prostych i jeszcze dosyć dzikich duszyczek nie tak dawno o mało nie doprowadził do zagłady całej angielskiej kolonii w Jamestown. Tam wprawdzie broń została skierowana przeciw odstępcom katolickiego kościoła, ale Indianie nie wiedzieli przecież, że walczą z heretykami. Walczyli po prostu z białymi. Nie zawsze potrafią odróżnić prawowitych wyznawców kościoła od wyznawców innej wiary. Toteż, mimo znacznych postępów w naszej pracy misyjnej, nie chciałbym, by zbyt wiele sztuk broni palnej znalazło się w rękach tych, u których ziarna prawdy i miłości bliźniego zaczynają dopiero kiełkować. Strzelb więc nie wymienimy z żadnym z plemion, które żyje blisko misji. Wymienimy jeż myśliwymi żyjącymi dalej na zachód i północ.

Ojciec Lalemant pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Podziwiam cię, bracie Brebeuf. W ten sposób osiągniesz podwójny cel. Będziesz przyciągał do misji futra z najdalszych zachodnich rejonów kraju, a jednocześnie oddalisz z naszego bezpośredniego sąsiedztwa niebezpieczeństwo konfliktów między dobrze uzbrojonymi naszymi przyjaciółmi, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie, jakie mogłoby zagrozić naszej pracy duszpasterskiej. Jak myślisz, kiedy będziemy mogli wysłać futra do Quebecu?

– Nie wiem na pewno, ale spodziewam się, że jeden z nas będzie mógł z nimi wyruszyć już w drugiej połowie maja lub najpóźniej na początku czerwca.

– To niebezpieczny okres, bracie. Przecież w tym czasie Mohawkowie lub Seneka – handlujący z Holendrami – ale także i inne plemiona Ligi Pokoju zwykle ruszają ze swych zimowych leży i urządzają zasadzki na naszych hurońskich i algonkińskich przyjaciół, by zdobyć futra dla kupców z Fort Orange lub Nowego Amsterdamu. Teraz handlują również z tymi przekłętymi purytańskimi heretykami z Nowej Anglii, od których podobnie jak i od Holendrów otrzymują sporo muszkietów. Ich ubiegłoroczny niespodziewany najazd wstrząsnął naszymi przyjaciółmi, a i nas naraził na stratę prawie jednej trzeciej wszystkich futer. Czy myślałeś już może, jak tym razem zabezpieczyć transport, by nie wpadł w ręce wrogów katolickiego kościoła?

Spoczywający za stołem skinął głową.

– Niepotrzebnie niepokoisz się, bracie Lalemant. Myślałem nad tym wiele razy. Jak sam wiesz, plemiona należące do Ligi od wielu lat pragną wyrzucić naszych hurońskich i algonkińskich przyjaciół ze szlaków futrzanego handlu, by przejąć go w swe ręce. I nie zaniechają tej polityki. Wiedzą, któredy przewożone są towary i futra, i na tych właśnie szlakach czatują najczęściej. Zasadzki i napady urządzają albo na przesmyku między

---

<sup>5</sup> François Montmorency Xavier de Laval (1623-1708), wychowanek kolegium jezuickiego, od 1659 r. wikariusz generalny Nowej Francji, od 1674 r. biskup Quebecu. W czasie pracy w Kanadzie w l. 1659-1688 zapewnił kościołowi katolickiemu silną pozycję. Był zwolennikiem podporządkowania kościoła Rzymowi, przeciwnikiem ingerowania państwa w sprawy kościelne. Za jego czasów misje jezuickie stały się jednymi z największych posiadaczy ziemskich w Kanadzie oraz rozwinęły handel futrzany. Występował przeciwko sprzedaży Indianom alkoholu. Na tym tle oraz jego stosunku do wielkich posiadłości ziemskich kościoła w Kanadzie i niepodporządkowania się prawom państwowym prowadził walkę z gubernatorem Frontenac. W 1688 r. musiał opuścić Quebec. Wraz z jego odejściem zmniejszyły się wpływy jezuitów.

jeziorami Erie i Oswego<sup>6</sup> przy Wielkich Wodospadach<sup>7</sup> lub przy ujściu Oswego do Cataragui.<sup>8</sup> Myślałem nad tym często i sądzę, że tym razem uda nam się przechytryć te zbłąkane, żyjące w nieprawości owieczki.

– Wilki, bracie Brebeuf, wilki”.

– Owieczki, bracie Lalemant, owieczki, do których nie dotarło jeszcze słowo jedynej prawdy. – Tu na chwilę przerwał. – Ale powracając do twego pytania. Otóż postanowiłem, że tym razem zamiast południową drogą popłyniemy północnym szlakiem przez Nipissing i Ottawę i w ten sposób ominiemy z daleka te wszystkie miejsca, w których moglibyśmy spotkać nieprzyjaciół. Droga jest nieco bardziej uciążliwa, ale za to wielokrotnie bezpieczniejsza.

Ojciec Lalemant z-aprobatą pokiwał głową.

– Sam Bóg, bracie, natchnął cię tą przezorną i świętą myślą. Postanowiłeś też zapewne, kto poprowadzi cały transport?

– Tak, jeszcze przed nadejściem zimy rozmawiałem z naszym najwierniejszym sługą – panem Louistem Bressonem. Zgodził się chętnie, tym bardziej że swego małego Paula i żonę pragnie odwiedzić do Quebecu. Czasy są coraz bardziej niespokojne, a nasza misja wobec znacznego oddalenia od innych katolickich osiedli może być narażona na jakiś niespodziewany atak pogan. Wraz z panem Bressonem posłałbym Andre Cheniera, Michela Chevreuila i Maurice Farmana. To najbardziej doświadczeni i odważni przewodnicy, dobrze znający drogę i dzikich. Wszyscy oni, po zakończeniu swych zimowych wizyt u zachodnich i północnych Indian, powinni ściągnąć wraz z ładunkami futer pod koniec kwietnia, kiedy rzeki będą już wolne od lodu. Oczywiście jako wioślarze pojechaliby nasi hurońscy przyjaciele. Co prawda, pod wpływem słów pisma bożego złagodnieli i na szczęście nie wykazują tyle zapału do walki co niegdyś, a nawet z każdym rokiem stają się coraz lepszymi rolnikami, ale wierzę, że nadal są wystarczająco dzielni, by ochronić powierzone im pieczy dobra.

– Nie jestem, bracie, pewien, czy ten brak zapału do walki wynika jedynie z wpływu słów świętej księgi. Pamiętasz przecież, że gdy przyszła ta straszna zaraza, wielu z nich winą za śmierć swych współbraci próbowało obarczyć nas. Twierdzili, że to nasza obecność rozgniewała ich Wielkiego Ducha. A i ubiegłego lata w czasie najazdu Mohawków i Seneków spodziewali się, że nasz święty duch użyje im więcej siły. Kiedy zostali pobici, jak się okazało, przez znacznie słabszego napastnika, nawet to niewielkie zaufanie, jakie mieli do naszej wiary, osłabło. Myślę bracie, że ponownie powinniśmy rozważyć, jak zaufanie to odzyskać i jak dodać ducha i sił tym, wśród których żyjemy.

Obydwaj świątobliwi mężowie pograżyli się w myślach.

Zrobiło się późno. Dogasał ogień na kominku, dopalała się łojowa świeczka. Hurońska wioska pograżyła się również we śnie.

Nawałnica, tłukąc zaciekle o mury misji, przybierała na sile. Siedzący dotąd za stołem ojciec Brebeuf podniósł się i sięgnął po brewiarz, by odmówić swą codzienną wieczorną modlitwę, gdy nagle”... gdzieś daleko na wschodzie niebo przecięła długa, oślepiająca błyskawica. Między ciemnymi, płynącymi nisko nad ziemią chmurami przetoczył się potężny, głuchy łoskot pierwszego w tym roku grzmotu, a wraz z nim w dole, o kilkaset zaledwie jardów od zabudowań misyjnych, tam gdzie zasypałe śniegiem ciemniały dachy wigwamów, rozległ się mrozący krew w żyłach ryk setek dzikich postaci wynurzających się z czeluści boru.

Nieoczekiwany atak w głębi zimy, w czasie śnieżnej zawieruchy, spadł na uśpioną, nie spodziewającą się niczego wioskę, niczym grom z ciemnego nieba. W kilka minut po napadzie dziesiątki pokrytych korą i nasyconych od wewnątrz tłuszczem wigwamów ogarnęło

<sup>6</sup> Indiańska nazwa jez. Ontario, używana jeszcze w XVIII w.

<sup>7</sup> Wodospad Niagara.

<sup>8</sup> Indiańska nazwa rzeki wypływającej z jez. Oswego, obecnie Rzeka Świętego Wawrzyńca.

morze płomieni. Wyrwani z głębokiego snu mieszkańcy wyskakiwali z płonących wnętrz, by paść pod ciosami żelaznych i kamiennych toporów. Wycie wichru na dłuższy czas zagłuszył huk broni palnej, krzyk konających, jęki rannych, wrzask kobiet i dzieci ginących w płomieniach. Śmierć z przerażającą szybkością poczęła zbierać swe krwawe, bezlitosne żniwo.

Wkrótce nowe, pijane nienawiścią, żądzą mordy i łupów hordy runęły na misję. Między garstką wyrwanych ze snu obrońców a dzikimi napastnikami wywiązała się krótka, gwałtowna walka.

Nim oniemiały z przerażenia ojciec Brebeuf zdołał pomyśleć, co się stało, ugodzony tomahawkiem i broczący krwią padł na progu misji. W pobliskich izbach rozległy się przeraźliwe krzyki kobiet, głośny płacz dzieci, trzask wyłamywanych drzwi i rozbijanych sprzętów. Napastnicy brutalnie wywlekali na zewnątrz cudem pozostałych przy życiu. Z przestronnych magazynów misji w pośpiechu wynosili ogromne stosy futer, długie skrzynie nie rozpakowanych jeszcze nowych muszkietów, beczki z prochem i pięćdziesięciofuntowe płyty ołowiu, potrzebnego na kule.

Nim nastał świt, gęsty śnieg zdążył przysypać kupki popiołu czerniejącego w miejscach, gdzie jeszcze nie tak dawno stały wigwamy. Z zabudowań misyjnych pozostały jedynie poszarpane zarysy wypalonych, ponurych w tej chwili murów, ziejących martwymi, upiornymi otworami okien.

Napastnicy, zabrawszy wszelkie dobro i setki powiązanych długimi sznurami jeńców, zniknęli w śnieżnej nawałnicy tak samo szybko i niespodziewanie, jak się pojawili. Przed samym odejściem okrutnie zmasakrowane zwłoki ojców Brebeufa i Lalemanta rzucili na pożarcie płomieniom.

Wokół nie istniejącej już misji gęsty śnieg coraz grubszą warstwą przykrywał zastygłe w wiecznym milczeniu ciała.

Wzdłuż Doliny Świętego Wawrzyńca, wokół jezior Simcoe i Kawartha, nad brzegami Huronu, Erie i Oswego, poniżej Georgian Bay, wzdłuż północnych krańców Michiganu i Jeziora Górnego pięć irokeskich plemion, tworzących osławioną w późniejszych czasach wojowniczą Ligę Pokoju, rozpało płomienie wojny.

W bitewnym zgietku wojenne maczugi, kamienne i żelazne topory, noże skalpowe i muszkiety dostarczane przez holenderskich kupców z Fort Orange i Nowego Amsterdamu zbierały krwawe żniwo.

Pierwszą ofiarą stali się Huroni. W słynnej dwudniowej bitwie nad jeziorem Simcoe wieluset z nich pozostało na polu walki. Przeszło dwukrotnie więcej powleczono w pętach do wiosek Mohawków i Seneków, gdzie wielu torturowanych poniosło okrutną, męczeńską śmierć. Znaczna część pojmanych na polu walki – ratując życie przystała do zwycięzców.

Jeszcze w grudniu tego samego roku, tysiąc sześćset czterdziestego dziewiątego, w czasie zmasowanego ataku irokeskich wojowników pada plemię Tobacco. W latach następnych zostaje rozbita i rozproszona potężna konfederacja plemion Neutrals.

Dwuletnia wojna zapoczątkowana w tysiąc sześćset pięćdziesiątym trzecim roku kończy się klęską plemion Petuns i Panther People, zajmujących obszary u południowych brzegów jeziora Erie. Zostają zniszczone i splądrowane jezuickie misje w krainie Huronów oraz wśród okolicznych plemion. Płonie misyjna stacja Saint Ignace, kontrolująca handlowy szlak między jeziorami Huron a Michigan. Irokezi burzą misje St. Joseph i St. Louis. Męczeńską śmierć ponosi wielu misjonarzy, a wśród nich ojcowie Antonius Daniel i Carolus Carnier. Wskutek ciągłego zagrożenia zostaje opuszczona stacja misyjna Sault Ste Marie usytuowana na zachodnim krańcu przesmyku wodnego wiodącego z jeziora Huron na Jezioro Górne.

Tradycyjne szlaki handlowe, którymi z zachodnich regionów kraju płyną do Quebecu ogromne ładunki cennych futer, a w kierunku przeciwnym francuskie towary dla zachodnich i

północnych Indian, dostają się na wiele lat pod kontrolę potężnej Ligi. Czy Irokezi potrzebują futer? Nie, ale potrzebują holenderskich i angielskich towarów i broni palnej, by rozszerzyć i umocnić swe wpływy, narzucić wolę innym, słabszym plemionom i podporządkować je sobie.

Jednakże wieloletnia, rozpalona przez nich wojenna nawałnica, zniszczenie i wyćpienie ludnych i dumnych plemion Huronów, Neutrals, Tobacco, Erie, Susquehanna, rozbrojenie Delawarów i Mohikanów oraz rozbicie i podporządkowanie Lidze nawet dalekich Shawnee oraz wielu innych mniej zdolnych do stawiania oporu plemion południowo-zachodnich, nie wynika jedynie z rywalizacji o futrzany rynek francuskich, angielskich i holenderskich kupców.

W znacznej mierze stanowi kontynuację dawnych międzyplemiennych waśni, długotrwałej wrogości i walk o lepsze ziemie, o nowe lub bardziej wydajne tereny łowieckie, o narzucenie swoich praw i zwyczajów słabszym.

Po rozprawieniu się z indiańskimi sojusznikami Francuzów, plemiona Mohawk, Oneida, Onondaga, Cayuga i Seneka, zjednoczone w Lidze Irokeskiej, kierują swe ataki na nieliczne jeszcze i słabo zaludnione, niezdolne do samodzielnej, skutecznej obrony oddalone od siebie osiedla Nowej Francji, paraliżując jej handel i początki życia gospodarczego. Ich zmasowane, nieprzerwane napady sięgają coraz głębiej i bliżej serca młodej francuskiej kolonii nad Rzeką Św. Wawrzyńca. Płoną osady, niszczone są zasiewy, bydło, trzoda chlewna, giną osadnicy. Wśród wielu późniejszych pokoleń będzie żyła pamięć o garstce tych, którzy pod dowództwem Adama Dolarda w bitwie pod Long Sault zapłacili najwyższą cenę, by ocalić Montreal.

W pięć lat po zakończeniu w Europie wojny trzydziestoletniej, w wyniku której Francja staje się pierwszą potęgą Starego Kontynentu, jej monarcha, Ludwik XIV, swej chylącej się ku upadkowi kanadyjskiej kolonii wysłał na pomoc oddział doświadczonych i zahartowanych w bojach żołnierzy – ponad tysiąc trzysta osób liczący tzw. Carignan--Salières Regiment.

Już w następnym roku ta ogromna, jak na ówczesne czasy i warunki, siła wspomagana przez osadników oraz tysięcosobowy oddział Huronów i Algonkinów uderza na krainę Irokezów, pustoszy wsie i osady Mohawków i Seneków, niszczy ich zasiewy, pali warowne wioski, sieje śmierć i spustoszenie. Liga, chociaż do końca nie rozbita, ponosi klęskę za klęską i musi zgodzić się na zawarcie pokoju. Dziwnym zrządzeniem losu poniesie ostateczną klęskę prawie półtora wieku później niemal równocześnie z upadkiem Nowej Francji. Ale ta klęska przyjdzie z rąk tych, którzy w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym stanowią jej najwierniejszych sojuszników – właśnie z rąk kolonii angielskich tworzących na kontynencie amerykańskim nowe, potężne państwo.

Na razie jednak Nowa Francja zostaje uratowana. Stopniowo odradza się w niej życie.

Nadszedł rok tysiąc sześćset siedemdziesiąty pierwszy.

W przestronnym, bogato umeblowanym gabinecie pałacu Château St. Louis niski, otyły mężczyzna o okrągłej, poczerwieniałej widocznie z irytacji twarzy, lisim krokiem posunął się w stronę okna. Jego pulchne, upięścinione palce oparły się o ciężką, wzorzystą zasłonę, przysłaniającą do połowy okno i odsunęły ją nieznacznie. Paciorkowate, złe w tej chwili oczy skierowały się na widniejący dziedziniec i zatrzymały przy niewielkim powozie zaprzężonym w cztery srokaty niecierpliwiące się konie.

Powóz właśnie ruszał i patrzący wiedział, że odjeżdża nim wikariusz generalny kościoła katolickiego Quebecu – ksiądz François Xavier de Laval, który jeszcze kilka minut temu wprowadził w taką irytację tego, który z woli i w imieniu króla pełnił najwyższą funkcję i władzę francuskiej kolonii w Kanadzie – funkcję gubernatora Nowej Francji.

Powóz oddalał się wzdłuż łagodnego stoku. Wzrok patrzącego wędrował za nim dość długo; przez chwilę zatrzymał się na widniejącym poniżej osiedlu małych drewnianych



domków, omiół pusty w tej chwili rynek i spoczął na szerokiej wstędze potężnej rzeki. Była w tej chwili pusta. Jedynie w pobliżu pierwszego doku kołysała się dość duża, chyba ponad pięćdziesięciotonowa pinka. Mimo znacznego oddalenia wyraźnie widać było jej smukły kształt, wysokie maszty i długi, lekko ku górze wzniesiony bukszpryt.

Pojazd jego eminencji dawno zniknął za urwistym masywem Diamentowego Przylądka, jednak patrzący na gęsto zabudowane u brzegu rzeki miasto nie odchodził od okna. Był wściekły. Zawsze był wściekły po rozmowie z jego eminencją. W obecności wikariusza generalnego, a jak przebąkaliwali niektórzy, wkrótce biskupa Nowej Francji, tracił pewność siebie i poczucie własnej godności, zwłaszcza że ze względu na różnicę wzrostu, a może nie tylko, zbyt często odnosił wrażenie, że tamten patrzy na niego z góry.

I dzisiaj też tak było. Mimo że handel futrami podlegał wyłącznej władzy gubernatora, przynajmniej jeśli chodziło o wydawanie i kontrolę licencji, jego eminencja w czasie rozmowy nie omieszkła wypomnieć gospodarzowi oczywistych Jego zdaniem zaniedbań administracji w tym względzie. Niby nie powiedział nic nadzwyczajnego, lecz jego aluzje co do przemykania przez urzędników oczu na sprzedaż Indianom alkoholu, a także mimochodem uczyniona uwaga, że być może nawet piastujący wysokie godności poddani jego królewskiej mości są prawdopodobnie osobiście zainteresowani w utrzymywaniu tego stanu rzeczy, dotknęła gospodarza do żywego. Co prawda gość nie powiedział tego wprost, ale ze słów jego wynikało niedwuznacznie, kogo ma na myśli. Zagroził w dodatku, że swoimi spostrzeżeniami podzieli się z wielkim intendentem, a monsieur Talon<sup>9</sup> nie żartował i zbyt często wkraczał w sprawy nawet bardzo odległe od przyznanych mu przez króla uprawnień. A jeśli na przykład przyszłoby mu na myśl, by w sprawach przyznawania i rozliczania licencji handlowych przeprowadzić bardziej wnikliwe dochodzenia”. No, lepiej nie myśleć o tym. Pulchne, wypiełgnowane dłonie gubernatora zwilgotniały podejrzenie, a wypukłe czoło pokryły kropelki potu. – Jezuicki lis – mruknął ze złością i otarł twarz cienką, pachnącą chusteczką. Do gabinetu wsunął się bezszelestnie Chamfort, jego osobisty sekretarz. Gubernator odsunął się od okna.

– Co tam nowego, Louis?

– Dowódca fortu w Trois Rivières, porucznik Gobineau, prosi waszą ekscelencję o posłuchanie.

– Nie wiesz, z czym przyjeżdża?

– Wspominał, że chodzi o jakieś dwie licencje kupieckie. Gubernator zmarszczył czoło.

– Znów o licencje handlowe. Nie mógł ich przysłać przez posłańca? Musiał sam przyjeżdżać i to w czasie, gdy ci przekłęci Irokezi znów pewnie szykują jakieś nowe łotrństwo?

– Nie wiem, ekscelencjo, ale zdaje się, że tym razem chodzi o kogoś z rodziny.

– Z mojej rodziny?

Ależ nie. Z rodziny pana Gobineau?

– Hm, mówisz, że z rodziny porucznika Gobineau? O ile wiem, nie miał tu żadnych krewnych?

– Wasza ekscelencja ma rację, ale zdaje się, że ostatnim statkiem z Normandii, wraz z grupą panien, przybył jakiś siostrzeniec czy też bratanek porucznika.

– Towarów przywiózł z sobą dużo?

---

<sup>9</sup> Jean Talon (ok. 1625-1694), wielki intendent Nowej Francji w l. 1665-1672, wyraziciel wielkomocarstwowej polityki Ludwika XIV na kontynencie północnoamerykańskim. Zmierzał do zbudowania francuskiego imperium w Kanadzie. Doprowadził do zatrzymania w Kanadzie Carignan-Salières Regiment i jego żołnierzy osiedlił wzdłuż rzeki Richelieu tworząc zaporę przeciwko napadom Ligi Irokezów. Popierał rozwój manufaktur, osadnictwa i handlu. Podejmował próby stworzenia w Trois Rivières huty żelaza, budował tartaki, garbarnie, manufaktury odzieżowe. Kładł duży nacisk na rozwój kanadyjskiego rolnictwa. Za jego czasów ludność Nowej Francji wzrosła z 3000 do blisko 7000 osób.

– Chyba nie, zresztą nie wiem – powiedział Chamfort powściągliwie.

– Sądziś może, że sakiewkę? To nie byłoby najgorsze. Jeśli pistole lub ludwiki, to porozmawiamy tym chętniej. Wprowadź go i sam też zostań.

Sekretarz skinął domyślnie głową i pociągnął za wiszący obok biurka sznur od dzwonka. Otworzyły się ciężkie, dębowe drzwi, pojawił się adiutant. Chamfort obrócił w jego kierunku głowę i polecił:

– Wprowadź porucznika Gobineau!

– Tak jest, monsieur!

W chwilę potem cicho zamykał drzwi za nowo przybyłym. Porucznik zatrzymał się parę kroków od biurka i zameldował przepisowo.

– Niech pan siada, Gobineau. Czemu mam przypisać przyjemność oglądania dowódcy fortu Trois Rivières w tak odległym Quebecu? Nie widziałem pana od wiosny – głos gubernatora brzmiał nie tajonym zaciekawieniem. – Czyżby jakieś złe wieści z południa lub zachodu?

Przybyły, trzydziestoparoletni oficer, uśmiechnął się niewyraźnie.

– Nic niepokojącego, panie gubernatorze. Po ostatnich wiosennych wypadach i lekcji, jakiej im udzieliliśmy, Mohawkowie i Oneida siedzą na razie cicho i żadnego ruchu z ich strony nie widać. Onondaga i Cayuga, jak donosili ostatnio zwiadowcy, wypuścili się gdzieś dalej na południe, najprawdopodobniej przeciwko Cherokee lub Shawnee. Siuksowie przestali niepokoić misje. U nas jak zwykle drobne utarczki. Toteż nie przybyłem tu, by niepokoić waszą ekscelencję. Korzystając z okazji zabrałem się z transportem futer przeznaczonych dla jego eminencji księdza Lavała, dostarczonych aż zza Mackinac i chciałem zabrać trochę muszkietów i prochu z tutejszego arsenału.

– Muszkietów! – oburzony gubernator podskoczył w swym głębokim fotelu. – Przecież niecałe trzy miesiące temu dostał pan przeszło pięćdziesiąt sztuk?

– To prawda, ekscelencjo – porucznik zmieszał się nieznacznie – ale to były stare muszkiety. Mimo że czyści się je codziennie, coraz bardziej rdzewieją. Nie nadają się już prawie do użytku. W dzikiego trudno z nich trafić na dziesięć jardów. Połowa garnizonu w razie napadu może strzelać tylko na postrach.

– Chce pan powiedzieć, że była to broń nie nadająca się do użytku? – głos gubernatora zabrzmiał groźnie.

– Nie twierdzę tak, ekscelencjo – porucznik usiłował złagodzić ostrość swych słów. – Może po prostu została we Francji nie najlepiej zabezpieczona przed wilgocią. Kiedy odbierałem muszkiety, nie sprawdzałem ich. Były zapakowane w skrzyniach. Pan Chamfort może potwierdzić. Był obecny przy wydawaniu.

Sekretarz obrócił twarz w stronę swego przełożonego i przymykając znacząco oko powiedział:

– Rzeczywiście, ekscelencjo. Skrzynie nie wyglądały najlepiej, niektóre sprawiały wrażenie trochę zmurszałych, tak jak te”, które wydobyliśmy kiedyś z rzeki. No, ale tamte przeleżały w wodzie chyba ze cztery czy pięć lat. Broń była oczywiście uszkodzona. – Tu chwilę myślał. – Ale, o ile ekscelencja przypomina sobie, sprzedaliśmy ją wtedy dzikim.

– Cooo”.? Ach tak. Przypominam sobie, ale to nieważne w tej chwili. Więc mówisz, drogi Gobineau, że chciałbyś dodatkowo trochę muszkietów?

– Właśnie!

– Tak, ale tamte, które zabrał pan wiosną, nie są pewno jeszcze najgorsze. Jeśli żołnierze nie trafiają pojedynczymi strzałami, niech strzelają salwami i to nie do jednego dzikiego, tylko w całą gromadę, rozumiesz? A potem kolbami. To na dzikich najlepszy sposób. Znam się na tym. Żołnierzom niech pan każe szorować lufy piaskiem. Macie go pod dostatkiem. Wtedy rdza puści – patrzył przez chwilę na swego sekretarza. – Mamy tam jeszcze coś w

zapasie, Louis?

Chamfort skinął głową.

– Chyba znajdzie się parę sztuk, ekscelencjo, a prochu i ołowiu mamy pod dostatkiem. Powinniśmy pomóc panu porucznikowi, zwłaszcza że tamte muszkiety mogły rzeczywiście być w nie najlepszym stanie.

– No więc załatwione, Gobineau. A tamte muszkiety, tak, tamte muszkiety były nowe, tylko zamokły i zardzewiały w czasie przewozu statkiem z Francji. Czy to dla was jasne?

– Tak jest, wasza ekscelencjo!

– Tym razem Louis dopilnuje, byście sprawdzili broń przy odbiorze, żeby potem nie było narzekań. Czy to już wszystko?

Sekretarz pochylił się w stronę gubernatora i ścisząc głos powiedział konfidentycznie:

– Pan porucznik ma do waszej ekscelencji jeszcze jakąś drobną sprawę prywatną.

Małe, zaczerwienione oczka spoczęły wyczekująco na twarzy dowódcy fortu w Trois Rivières.

– Niech pan mówi, poruczniku. Osobiste sprawy i kłopoty moich oficerów są także moimi kłopotami.

Porucznik zsunął się trochę bliżej brzegu fotela i odchrząknął.

– Właściwie nie są to kłopoty, ekscelencjo. Na „Saint Antoine” przypłynął mój siostrzeniec. Chciałby zająć się handlem – umilkł wyczekująco.

– Powiada pan: handlem, poruczniku? A czy pański siostrzeniec posiada w tej niełatwej sztuce jakoweś doświadczenie?

Porucznik zmieszał się nieco.

– Jest jeszcze młody, ekscelencjo, ale jest odważny. i przedsiębiorczy. Dobrze strzela. Na pewno poradziłby sobie w puszczy.

– A ileż lat liczy sobie ten interesujący młodzieniec?

– Dwadzieścia cztery, ekscelencjo!

– Jak się nazywa?

– Philippe Girard.

– Mam nadzieję, Gobineau, że wyznaje zasady naszej prawdziwej wiary?

– Ależ to gorliwy i oddany syn naszego katolickiego kościoła. Otrzymał w domu głębokie religijne wychowanie i nawet tutaj, ekscelencjo, w piątek jada tylko ryby.

– To bardzo dobrze. Byłoby nam przykro, gdyby umysł i serce tego, jak widzę, uczciwego młodzieńca zaśmiecały jakieś hugenockie myśli. A więc pański siostrzeniec, jak zrozumiałem, ma zamiar zająć się handlem futrami?

– Tak jest!

– Wie pan, Gobineau, że odwaga i umiejętność strzelania – zresztą powszechne tutaj – nie wystarczają do uprawiania handlu. Trzeba mieć czym handlować. I mam nadzieję, że korzystając zapewne z pańskiego doświadczenia, siostrzeniec zaopatrzył się we Francji w przydatne w handlu z dzikimi towary?

Porucznik z widocznym niepokojem słuchał gładkich słów gubernatora. Starając się jednakże zamaskować narastające wątpliwości odparł z pozornym spokojem:

– Nie, ekscelencjo, ale mamy nadzieję na zakup potrzebnych towarów na miejscu w Trois Rivières lub Montrealu. Jest tam kilku kupców nieźle zaopatrzonych.

Rzadkie, ryże brwi jego ekscelencji powędrowały w górę.

– Pański siostrzeniec chce kupować towary tu, gdzie są co najmniej trzy razy droższe niż we Francji? Ależ on przywiózł z sobą chyba furę złota?

Porucznik poczuł strużkę potu spływającą mu po karku. Zmusił się jednak do zachowania spokoju, a na twarz przywołał niewyraźny uśmiech.

– Nnno, może niezupełnie furę, ale myślę, że na zakup pierwszej partii wystarczy. - Zaledwie jednak wypowiedział te słowa, zrozumiał, jak niewybaczalny popełnił błąd.

Chciwość gubernatora była powszechnie znana i w takich warunkach mówienie o jakichkolwiek pieniądzach równało się nieomal samobójstwu. Jakoż wkrótce przekonał się, że było to coś znacznie gorszego. Gubernator zmrużył oczy i rzucił niedbale:

– To bardzo ładnie. Roztropny młodzieniec. Zamiast wieźć towary, które w czasie morskiej podróży mogłyby ulec zniszczeniu, przywiózł pieniądze. Bardzo roztropny i przezorny młodzieniec. A więc, a więc”. już w przyszłym roku może ubiegać się o kupno licencji.

– Dopiero w przyszłym roku? Nie rozumiem, ekscelencjo, dlaczego. Spodziewaliśmy się, że siostrzeniec będzie mógł wyruszyć najpóźniej za miesiąc.

Gubernator wydawał się zmartwiony.

– Niestety, panie Gobineau. Istnieją w tym wypadku, powiedziałbym oględnie, pewne formalne przeszkody.

– Ale jakie mogą być przeszkody, ekscelencjo? Chłopak jest pełnoletni, jest poddanym miłościwie nam panującego króla Francji, katolikiem”.

– Tak, tak, poruczniku. Są to sprawy dla nas oczywiste. Ale pański siostrzeniec nie spełnia podstawowego warunku, od którego zależy otrzymanie licencji. Nie przebywa jeszcze nawet jednego roku w Nowej Francji. A licencję może otrzymać dopiero po takim okresie pobytu. Tylko król ma prawo wydawać licencje zawsze i każdemu. Nie wiedział pan o tym?

– Nniece”. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nigdy nie myślałem”.

– Właśnie! Czasem trzeba pomyśleć, poruczniku – spod zmrużonych powiek z prawdziwą przyjemnością obserwował zgnębioną, pochmurną twarz oficera. Domyślał się, co tamten musi przeżywać. Nie spiesząc się sięgnął do ozdobnego pudełka stojącego na biurku, wybrał starannie cygaro i przypalił je podaną mu usłudze przez sekretarza drzazgą wyjętą z kominka.

– Czy nie ma żadnej możliwości, ekscelencjo, skrócić tego okresu, powiedzmy, do jednego, najwyżej dwu miesięcy? – w głosie porucznika dawało się wyczuwać z trudem hamowane wzburzenie. – Przebywam tu od przeszło dwudziestu lat. Piętnaście lat jestem żołnierzem w służbie najjaśniejszego pana i władz kolonii. Nieraz nadstawiałem własną głowę. Waszej ekscelencji służyłem również wiernie. Czy to się nie liczy?

– Ależ wiemy to wszystko, drogi Gobineau, tylko widzisz, ja również służyć królowi i muszę postępować zgodnie z królewskimi przepisami. Sprawa twoja nie jest łatwa. Może udałoby się coś zrobić, ale nie zależy to tylko ode mnie.

– A od kogo? Przecież to wasza ekscelencja wydaje licencje?

– I tak, i nie. Ja mogę wydawać licencje własnym urzędnikom, no i w wyjątkowych wypadkach żołnierzom. Natomiast generalne prawa do prowadzenia handlu z Indianami, jak ci zapewne wiadomo, wykupił pan Chesnaye, toteż licencje indywidualnym kupcom sprzedaje tylko jego Kompania Indii Zachodnich. Ma się rozumieć, nie może sprzedawać osobom nie zasługującym na zaufanie korony. Pan Chesnaye musi więc przed każdorazowym wydaniem nowej licencji zasięgnąć naszej rady. Tak, naszej rady lub opinii i wbrew niej nie może postępować. Ale my z kolei nie możemy mu nic narzucić, zwłaszcza teraz, kiedy interesy Kompanii nie wyglądają najlepiej, a jej długi przekraczają ponoć dwa miliony liwrow. Gdy chodzi o mieszkańców stałych, wystarczy, jeśli pan Chesnaye porozumie się ze mną. Ale w wypadku nowych sprawą interesuje się na ogół wielki intendent i wikariusz generalny. Jeśli zachodzą jakieś wątpliwości, musi zebrać się rada, a to, drogi poruczniku, pociąga za sobą koszty. Nie wiem, czy rozumiesz?

– Chyba rozumiem. Jak duże mogą to być koszty?

– Bywa różnie. Czasem rzecz muszę omówić z jakimś członkiem rady, czasem zaprosić na obiad oddzielnie wielkiego intendenta i oddzielnie jego eminencję księdza Lavalą. Taki jeden czy dwa obiady kosztują, a gubernatorska szkatuła pusta.

– Niech wasza ekscelencja powie, ile mogą kosztować takie dwa obiady?

– Licząc skromnie, bardzo skromnie, drogi Gobineau, po około pięćset liwrów. Takich gości, rozumiesz, nie mogę podejmować byle czym. Mogliby się obrazić i z całej sprawy kłapa.

– Porucznik zbladł.

– Tysiąc liwrów za dwa obiady?

Gubernator melancholijnie pokiwał głową.

– Co najmniej tyle. No i sama licencja na jedną tylko wyprawę drugie tyle. Razem dwa tysiące liwrów.

Twarz porucznika poszarzała. Zdawał sobie sprawę, że gdyby z siostrzeńcem zebrali wszystko, nie mieliby nawet jednej czwartej tej sumy. A zakup potrzebnych towarów?

– To niemożliwe, ekscelencjo. Siostrzeniec nie posiada tyle pieniędzy.

– Hm – gospodarz zastanawiał się. A więc tamci nie mieli ani towarów, ani pieniędzy. Potrzebne na wyprawę zaopatrzenie zamierzali widocznie zdobyć na kredyt. Tak, w Trois Rivières mieszkało kilku kupców i mogli mieć jeszcze trochę towaru. Mogli zaryzykować zwłaszcza wobec siostrzeńca dowódcy fortu. Jego ekscelencja wiedział, że właśnie od dowódcy fortu zależało, czy któremuś z handlarzy udawało się przemycić więcej czy mniej alkoholu, a od tego w głównej mierze zależał handel z dzikimi. Tak, kupcom opłacało się żyć dobrze z dowódcą fortu i mogli zaryzykować dostawę towarów na kredyt. On mógł więc zaryzykować tym bardziej. Licencję wszak mógł w każdej chwili załatwić na kredyt, a z tymi obiadami dla Talona i Laval’a”. Nie był wcale pewien, czy którykolwiek z nich przyjąłby jego prywatne zaproszenie”. Spod przymkniętych powiek zerknął na swego gościa. Porucznik w widoczny sposób nie czuł się najlepiej, ale właśnie o to chodziło. Obrócił się ku niemu i oblekając twarz w maskę dobrodusznej życzliwości pokiwał głową. – W kłopotliwym położeniu stawiasz mnie, mości Gobineau, ale mimo to wiernemu żołnierzowi miłościwego pana chciałbym przyjść z pomocą. Skoro nie masz pieniędzy teraz, postaram się, by twojemu siostrzeńcowi wydano licencję na kredyt. Spłaci ją wiosną futrami.

Porucznik poderwał się.

– Wasza ekscelencja zrobiłby to naprawdę? – jego twarz rozjaśniła się niekłamana radością.

– Tak, dostaniesz tę licencję, ale ponieważ jej opłacenie i inne koszty, o których tu wspominałem, biorę na swoje ryzyko, to osiemdziesiąt procent futer, które przywiezie siostrzeniec, należy do mnie.

– Cztery piąte całego ładunku? Przecież wtedy reszty nie starczy na opłacenie się kupcom.

– To i tak mało, panie Gobineau. Zwykle w takich wypadkach biorę więcej. Widzisz, twój siostrzeniec nie ma żadnego doświadczenia w handlu z dzikimi. Nie zna ich języka. Nie zna kraju ani szlaków handlowych. Jest mało szans, że jego wyprawa powiedzie się i będzie opłacalna. Cztery piąte futer, jak mówisz, to może być bardzo mało. Mogę więc stracić na tym interesie. Ale niech tam. Zaryzykuję. Jeśli się nie zgadzasz, nie ma sprawy. Czy masz może jeszcze jakąś prośbę?

Porucznik był zdruzgotany. Machinalnie sięgnął pod bluzę i wyjął obszerną kopertę.

– To jest list Paula Bressona. Został porwany przez Mohawków w czterdziestym dziewiątym z misji jezuitów jako dzieciak. Potem włóczył się z nimi przez kilkanaście lat. Uciekł z ich niewoli cztery czy pięć lat temu i wrócił do ojca, który na zlecenie tutejszych kupców handlował gdzieś w górnym kraju. Ojciec zmarł tej zimy, ale ponieważ licencja jest ważna, chłopak prosi o przepisanie jej na niego. To właśnie jego list w tej sprawie.

Gubernator sięgnął po kopertę, rozciął ją ostrym, rogowym nożem i przeczytał uważnie krótkie pismo, do którego dołączona była licencja wystawiona na nazwisko Louisa Bressona. Chwilę milczał, po czym zwrócił się do swego sekretarza:

– Panie Chamfort, czy wie pan coś o losach tego porwanego wówczas dziecka?

– Tak, ekscelencjo. Słyszałem, jak nieżyjący już dzisiaj pan Bresson, którego znali tu

wszyscy, opowiadał o tej tragicznej nocy, w czasie której Mohawkowie i Seneka wymordowali połowę hurońskiej wsi i wyrznęli prawie wszystkich mieszkańców misji. Zamordowali także żonę pana Bressona. Uprawdzili z sobą pięcioro małych dzieci, w tym cztery dziewczynki i półtorarocznego Paula. Od tego czasu, mimo kilkunastu lat poszukiwań, ojcu nie udało się odnaleźć dziecka ani trafić na jego ślad. I chyba dopiero jakieś cztery lata temu chłopak sam się pojawił. Podobno z jakimś indiańskim przyjacielem uciekł Mohawkom i odnalazł ojca. Odtąd przebywali razem. Tej zimy stary Bresson zaniemógł i zmarł gdzieś daleko na północ czy też zachód od jeziora Tracy<sup>10</sup>. Chłopak pochował go, pozostał na placówce sam do wiosny, skupił od dzikich futra i w czerwcu przywiózł do Trois Rivières dla pana Fleury'ego największy transport, jaki tam kiedykolwiek widziano. Podobno same futra bobrowe. Zresztą pan Gobineau może to potwierdzić. – Porucznik niechętnie skinął głową.

– Rzeczywiście, przeszło sześćdziesiąt długich kanu. – Szczególnie nieprzyjazny wyraz jego twarzy, gdy potwierdzał prawdziwość słów Chamforta, obudził czujność gospodarza. Przypalił ponownie zgasłe cygaro i rzucił ze zdziwieniem:

– Przeszło sześćdziesiąt długich czółen wypełnionych bobrowymi futrami i pan traktuje to bez entuzjazmu, Gobineau? Porucznik ważył widocznie coś w myśli, w końcu odparł:

– Tak, futer było rzeczywiście dużo, prawie tak dużo jak wtedy, gdy ostatnim razem Radisson<sup>11</sup> i Groseilliers<sup>12</sup> przypłynęli tu z całą bandą dzikich.

Gubernator i jego sekretarz wymienili szybkie spojrzenia.

– Myśli pan, Gobineau, że z tymi futrami Bressona było również coś nie w porządku?

Porucznik wzruszył ramionami.

– Z futrami to może i nie, ale Bresson, podobnie jak i pan Pierre Esprit Radisson, przez parę lat przebywał wśród Mohawków i kiedy pojawił się u swego ojca, podobno lepiej mówił po angielsku niż po francusku. Dzisiaj już wszyscy wiedza, że Radisson i Groseilliers zwąchali się dawno z Anglikami, przy pierwszej okazji przeszli na ich stronę i razem z ich kupcami założyli wielką kompanię handlową Hudson Bay. Bresson też chyba nieraz stykał się z Anglikami i może ma wśród nich przyjaciół? Żył u Mohawków dłużej niż Radisson. Zresztą nie chciałbym go o nic posądzać.

– Ależ oczywiście, Gobineau. Żaden z nas nie posadza go o nic, ale istnieją, nie przeczę, pewne podobieństwa obu spraw. Tamtych dwóch łobuzów przysporzyło władzom kolonii sporo kłopotów i jego eminencja przypomina mi o tym przykrym wydarzeniu przy każdej nieomal okazji. Ale o ile pamiętam, dobrze się stało, że zatrzymano przynajmniej ich futra. Był to cenny ładunek i przyniósł nam, to znaczy – poprawił się szybko – kolonii pokątny grosz. Groseilliers na dworze w Paryżu niczego nie wskórał. Ale nie chciałbym mieć tym razem podobnych kłopotów. Pan, jak widzę, coś wie, Gobineau. Gdyby okazało się to interesujące, to kto wie. Może po przeliczeniu przez pana Chamforta kosztów, jakie musiałbym ponieść w związku z tą licencją dla pańskiego siostrzeńca, w ostateczności nie okazałyby się tak wysokie. Może nie osiemdziesiąt, a dajmy na to pięćdziesiąt procent i to nie wartości ładunku, a jedynie zysku? Niech pan mówi. Co pan wie o tym młodym Bressonie?

---

<sup>10</sup> Obecnie Jezioro Górne, nazwane jez. Tracy na cześć markiza de Tracy, który w 1666 r. na czele Carignan-Salières Regiment w czasie kampanii skierowanej przeciwko Mohawkom zadał poważne straty Lidze Irokezów zmuszając ją do zawarcia pokoju z Nową Francją.

<sup>11</sup> Pierre Esprit Radisson (ok. 1636-1710). W 1651 r. przybył do Kanady, w rok później dostał się do niewoli Mohawków. Po ucieczce z niewoli wraz z Groseilliersem zajął się futrzanym handlem. Wspólnie dotarli prawdopodobnie aż nad Zatokę Hudsona, skąd wrócili do francuskich osiedli z olbrzymim ładunkiem futer. Chciwy gubernator odebrał im licencję i skonfiskował prawie cały transport. Obydwaj gońcy leśni opuścili więc Nową Francję i wstąpili na służbę do Anglików, doprowadzając w 1670 r. do powołania przez Karola II – króla Anglii kompanii do rozwijania handlu w Zatoce Hudsona, tzw. Hudson Bay Company.

<sup>12</sup> Medard Chouart des Groseilliers (1618-1696?), Szwagier Radissona, przebywał w Kanadzie od 1641 r. docierając z ramienia jezuitów w sprawach handlu futrzanego do odległych terenów indiańskich. Następnie wraz z Radissonem przeszedł na służbę kupców angielskich.

Porucznik odetchnął. Pięćdziesiąt procent i to tylko z czystego zysku, czyli po pokryciu wszystkich kosztów, to już nieźle. Poprawił się w fotelu i głębiej odetchnął.

– Niewiele wiem, ekscelencjo, ale o tym młodym Bressonie sporo rozmawialiśmy z siostrzeńcem. Na dobrą sprawę to. nikt nie wie, skąd się wziął i czy rzeczywiście jest synem Louisa Bressona.

– Ale przecież ojciec poznał go – wtrącił Chamfort.

– Poznał, nie poznał? Kiedy Mohawkowie napadli na misję i porwali dzieciaka, miał zaledwie półtora roku. Gdy zjawił się ponownie, miał już osiemnaście czy dziewiętnaście. Jak ojciec mógł go poznać? Cwany łobuz zgłosił się, podał za syna, a stęskniony i długie lata rozpaczający stary, który w dodatku nie miał więcej dzieci, uznał to pewnie za wiadomy znak łaski boskiej i dopatrywał się wszystkich możliwych rodzinnych podobieństw. Miał na stare lata syna i reszta nie obchodziła go, ale czy rzeczywiście syna? Tego nikt nie wie! Druga sprawa też budzi sporo wątpliwości.

– Jaka druga sprawa? – gubernator i jego sekretarz słuchali z coraz większą uwagą.

– No, pan Fleury. Uchodzi wprowadzić za gorliwego katolika. Co niedziela zasiada w pierwszej ławie, na wprost ołtarza w miejscowym kościele, nie szczędzi datków na przybytek boży ani na ubogich, ale przebąkuje się tu i ówdzie, że jego ojciec i syn, którzy pozostali we Francji, to hugenoci. Nie wierzę, by i on był inny, a pan Fleury niechętnie zaprasza gości do swego domu. Po prawdzie to nikt nie wie – tu porucznik skłamał – czy w jego pokoju wisi wizerunek naszego odkupiciela lub chociażby drewniany krzyż. – Sam widział krzyż u Fleury’ego, ale gubernator nie musiał o tym wiedzieć. Podejrzenia zaś rzucał mając w tym swój cel. – Otóż Bresson – ciągnął porucznik – stale przesiaduje u pana Fleury’ego. Ludzie mówią różnie, ale kto wie, co tam się dzieje naprawdę? Może Bresson razem z Fleury’em odprawiają jakieś heretyckie praktyki”.-porucznik umilkł patrząc uważnie na obydwu słuchaczy. Gubernator sięgnął ponownie po list i raz jeszcze przeczytał go uważnie, po czym zwrócił się do Chamforta:

– Co sądzisz o tym, Louis?

Sekretarz nie pytając o pozwolenie wziął również cygaro, przypalił je i zaciągnął się kilkakrotnie.

– Myślę, ekscelencjo, że pan porucznik Gobineau opowiedział wiedział nam ciekawe i ważne rzeczy. Podzielał jego podejrzenia co do pana Fleury’ego. Też obilo mi się już coś o uszy, ale przeciwko niemu nie możemy przedsięwziąć żadnych kroków, gdyż posiada królewską licencję wystawioną w Wersalu. Co najwyżej do czasu wyjaśnienia sprawy Paula Bressona możemy poprosić pana Fleury’ego, by nie dostarczał towarów temu ptaszkowi.

– Mówisz, Louis, poprosić”.-? – głos gubernatora wyrażał głębokie zdziwienie.

– Tak, wasza ekscelencjo. Nie możemy mu zabronić. Zakaz może wydać jedynie kancelaria królewska. Możemy jedynie poprosić pana Fleury’ego, by przez jakiś czas wstrzymał się ze sprzedażą towarów Bressonowi. Uniemożliwi to temu młodemu, śmiałemu i przedsiębiorczemu ptaszkowi zorganizowanie wyprawy w tym roku.

– No, a jeśli pan Fleury nie posłucha prośby jego ekscelencji? – porucznik nie wydawał się przekonany. Sekretarz spojrział na niego i spytał drwiąco:

– Cóż to, panie Gobineau, nie zna pan uprawnień, jakie posiada dowódca fortu?

– Nie rozumiem – porucznik wyraźnie nie pojmował, do czego tamten zmierza.

– Widocznie nie jest pan domyślny. Co zrobiłby pan na przykład po otrzymaniu wiadomości, że dzicy planują napad na Trois Rivières?

– Zatrzymałbym natychmiast wszystkich mężczyzn zdolnych, do noszenia broni, no i wysłałbym, ma się rozumieć, zwiadowców w teren.

– No właśnie. A skąd pan może wiedzieć, czy za tydzień lub dwa nie zdarzy się coś podobnego?

Porucznik dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz mówiącego, widocznie jednak niezbyt

skrywana rada dotarła wreszcie do jego świadomości, bo uderzył się pięścią w czoło i wykrzyknął:

– Na Boga! To jest myśl! Nie wypuszczę ptaszka z fortu do sądnego dnia.

Chamfort pokręcił głową z dezaprobatą.

– Panie Gobineau, tylko niech pan z tym nie przesadza. Jeśli zatrzyma pan w forcie wszystkich, to przecież musiałby pan również zatrzymać swego siostrzeńca. To, co tu mówię, to tylko jeden z przykładów. Może znajdzie się inny, lepszy sposób, a tymczasem jego ekscelencja może coś pomóc w tej sprawie i może ta pomoc wystarczy, by młodego Bressona zniechęcić do szybkiego organizowania wyprawy.

– Moja pomoc – gubernator poruszył się niepewnie. – Jaka, panie Chamfort? Poza tym, że poprosimy pana Fleury’ego”.

– O, może się okazać, ekscelencjo, znacznie skuteczniejsza. Mamy przecież uzasadnione wątpliwości, czy Bresson jest tym, za kogo się podaje, czy to przypadkiem nie jakiś przybłąda? A skoro mamy takie wątpliwości, to ten chłopak do czasu ich wyjaśnienia nie może korzystać z dotychczasowej licencji wystawionej na nazwisko starego Louisa Bressona. Jeśli chce nadal handlować z dzikimi, musi otrzymać nową licencję.

Obydwaj rozmówcy popatrzyli na niego z uznaniem, a okrągłą twarz gubernatora rozjaśnił uśmiech zadowolenia. W małych oczkach błysnęła chciwość.

– Tak! Masz rację, panie Chamfort. Rzeczywiście, dopóki ten młodzieniec nie udowodni nam czarno na białym, że jest tym, za kogo się podaje, nie może korzystać z dotychczasowej licencji. Musi wyrobić sobie nową, zastępczą. A my, panie Gobineau, nie odmówimy mu jej. Wydamy, tylko musi zapłacić – powiedzmy, panie Chamfort, połowę ładunku futer, jakie przywiezie ze swej nowej wyprawy. Ma się rozumieć, jeśli zechce ją na takich warunkach zorganizować. No i oczywiście, na swój koszt będzie musiał zabrać dwu naszych urzędników.

– Dwu naszych urzędników? – tym razem Chamfort nie rozumiał, do czego zmierza jego ekscelencja.

– Tak, najlepiej żołnierzy. Daję ich do ochrony wyprawy przed dzikimi. A pan, Chamfort, dobierzcie osobiście odpowiednich ludzi.

Sekretarz skłonił ze zrozumieniem głowę. Dwu ludzi miało ochraniać transport przed dzikimi”. To było genialne. Myśl podobała mu się. Wiedział, jakich ludzi należy dobrać i jakie przekazać im zlecenia. Intencje swego przełożonego w takich sprawach rozumiał doskonale. Zresztą rozumieli się chyba nawzajem.

– Czy ekscelencja pragnąłby może wydać jeszcze jakieś polecenia?

– Nie, to wszystko. Jeśli nasz porucznik nie ma innych spraw, proszę przygotować potrzebne papiery i dać mi do podpisu.

W jakiś czas później dowódca fortu w Trois Rivières osobiście sprawdzał każdą sztukę broni pobieraną z magazynów arsenału. Muszkiety były nowe, dobrze zabezpieczone przed wilgocią i porucznik nie miał powodu do narzekań. W odbiorze towarzyszył mu sekretarz jego ekscelencji i podobnie jak poprzednim razem do odbieranej oficjalnie partii z własnej już woli kazał dorzucić trzydzieści nowych strzelb ze świeżego transportu.

Gdy żołnierze przenosili broń do łodzi, ujął porucznika pod ramię i ścisnąc nieco głos powiedział poufale:

– Słuchaj uważnie, Joseph, i zapamiętaj sobie. Te trzydzieści dodatkowych strzelb warte jest trzydzieści, a może i więcej wiązek futer bobrowych, z czego połowa należy do mnie. Uważaj, żeby nie wydarzyło się tak jak ostatnim razem, kiedy to pomyliłeś się trochę w rachunkach. Jeśli twój siostrzeniec dostanie więcej to wasz zysk, ale piętnaście wiązek musi znaleźć się tutaj. Z tego rozliczam się przed ekscelencją, a on nie lubi, jeśli go ktoś oszukuje.

– Ależ, Louis, ostatnim razem, to naprawdę nie była moja wina. Transport przygotowałem jak należy i gdyby nie te dzikusy, dostałbyś sprawiedliwie swoją część.

Chamfort drgnął nieznacznie. Zupełnie niepotrzebnie wypomnił porucznikowi tę ostatnią



sprawę, o której wiedział znacznie więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

– Dobra! Przypominam jedynie. Lepiej, żeby ci się nie przydarzyło coś podobnego tym razem. Ale à propos. Szyper z „Saint Antoine” wspominał, że pan Philippe Girard – twój siostrzeniec – musiał z jakichś powodów szybko opuścić stary kraj? Czy to coś poważnego, Joseph?

Porucznik zmieszał się.

– E tam. Jakaś burda uliczna po pijanemu; zdaje się, że zranił kogoś lekko.

– Coś podobnego? A szyper twierdził, że nie było to na ulicy, lecz gdzieś na leśnej drodze i podobno siostrzeniec twój nie był sam. Zdaje się, że rodzina jakiegoś barona, który nieszczęśliwie dostał kulę w serce, wniosła oskarżenie o zbójcki napad. Zresztą to nieważne. Przykazałem szyprowi, by trzymał język za zębami i nie opowiadał bajek. Ja też mam nie najlepszą pamięć i czuję, że uleci mi to szybko z głowy. A co do tego młodego Bressona, to tak sobie myślałem, że musi być z niego niezły ptaszek. I wcale nie jestem pewien, czy powinien skorzystać nawet z tej czasowej licencji. Jeśli skorzysta, to zabierze pewnie wszystkie towary od Fleury’ego, a nie jestem pewien, czy poza nim jakikolwiek inny kupiec posiada coś jeszcze na składzie. W takim wypadku twój siostrzeniec nie miałby z czym jechać na szlak. Natomiast gdyby z jakichś powodów Bresson nie mógł się ruszyć, no to może Fleury zdecydowałby się powierzyć jakąś część towarów komuś innemu, może właśnie panu Girardowi? Nie wiem, czy nie warto zastanowić się nad tym. Twój siostrzeniec do czasu tego nieszczęśliwego przypadku z baronem nieźle sobie przecież poczynił i radził w życiu. Ale oto twoja łódź.

Porucznik spojrzał na dosyć ciężkie czółno i jego ośmioosobową załogę. Mimo że płynęli w górę rzeki, podróż nie powinna być zbyt trudna. Chamfort wyznaczył najlepszych wioślarzy. Chwilę wahał się, w końcu zdecydowanie położył rękę na ramieniu Chamforta.

– Radzisz więc, Louis”.

– Nic nie radzę, Joseph. Tak sobie tylko głośno myślałem. Mam nadzieję, że ze swoim siostrzeńcem rozważycie wszystko jak należy, jeśli oczywiście pan Girard chce naprawdę wejść w futrzany handel, no bo jeśli nie, to właściwie nie wiem, czy nie byłoby lepiej, żeby Bresson popłynął po następny ładunek futer, pewnie jeszcze większy niż ten ostatni. Bywaj!

Chamfort wracając wolno do pałacu rozmyślał. Gobineau, chociaż prostak, nie był taki tępy, na jakiego wyglądał. Powinien podchwycić podszeptany pomysł, a jeśli nie on, to ten jego siostrzeniec. Z tego, co mówił o Girardzie Charkot – kapitan „Saint Antoine”, wynikało, że siostrzeniec porucznika nie powinien mieć specjalnych skrupułów. Doświadczenia w handlu nie miał, ale posiadał za to inne przydatne cechy i umiejętności. Pytanie tylko, czy zechce podjąć takie ryzyko? Bo jeśli nie”? tak, lepiej było zabezpieczyć się i z innej strony. Wprawdzie istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że Bresson jeszcze pamięta, gdyż było to bardzo dawno i zauważyć mógł najwyżej raz, może dwa razy, ale dopóki żył, niebezpieczeństwo istniało zawsze. Tak, Bresson musiał umrzeć, a był ktoś, komu na tej śmierci powinno zależeć jeszcze bardziej niż Chamfortowi. I od tej strony sprawę trzeba było definitywnie zamknąć.

Powziąwszy to postanowienie, miast do pałacu skierował się wzdłuż nadrzecznych zarośli i wkrótce zniknął na wąskiej, śródleśnej drożynie.

Gdy w dwie godziny później wyłonił się ponownie z gęstwy drzew, na jego twarzy błąkał się ledwo dostrzegalny cień zadowolenia, a gładkiego czoła nie mąciła najmniejsza chmurka niepokoju.

Od brzegu odbijało małe, lekkie kanu z kory brzoźowej. Wioślarz skierował się w ślad niewidocznej już łodzi porucznika Gobineau.

## ROZDZIAŁ II

### Spisek

Gospodarz z widoczną przyjemnością patrzył na swojego gościa. Przez ostatni okres chłopak wyrósł jeszcze i zmężniał. Skończył już dwadzieścia trzy lata. Sylwetką przypominał ojca. Był jednak nieco wyższy i chociaż nie wyglądał na tyle, musiał mierzyć dobre sześć stóp. W obcisłych skórzanych spodniach i dopasowanej łosiowej bluzie nie wydawał się zbyt rozrośnięty. Ale było to tylko złudzenie. Uważny obserwator bez trudu dostrzegłby szerokie barki i grające pod bluzą mięśnie. Szaroniebieskie oczy osadzone pod łukami gęstych, ciemnych brwi, błędzące teraz po szeroko rozlanej rzece, powlekał nieznaczny cień zadumy. Gładkie czoło przecinały dwie pionowe, głębokie zmarszczki.

W pewnym momencie młodzieniec odgarnął spadające na ramiona czarne włosy i odwrócił się do siedzącego przed płonącym na kominku ogniem gospodarza.

– Kiedy, pańskim zdaniem, może wrócić porucznik Gobineau?

– Nie wiem, Paul. Wyjeżdżając mówił, że wróci, jak tylko będzie mógł najwcześniej. Odpłynął tydzień temu. Licząc na drogę w tamtą stronę jakieś trzy do czterech dni iż powrotem przynajmniej pięć, powinien tu być pewnie pojutrze. Chyba, że coś zatrzyma go w Quebecu. Czemu o to pytasz?

– Bo chciałbym wyruszyć jak najszybciej. Droga jest daleka. Inni też już się zbierają. Wczoraj na zachód odpłynął Joliet<sup>13</sup>. Kiedy rozmawiałem z nim przed odjazdem, wspominał, że wraz z ojcem Marquette<sup>14</sup> z misji St. Ignace zamierzają popłynąć nieco bardziej na południowy zachód i zbadać, czy uda im się odnaleźć tę rzekę, którą Indianie nazywają Ojcem Wód. Mówił też, że w misji spodziewa się zastać pana Du Lhuta<sup>15</sup>. A ponieważ i ci z Hudson Bay też nie próżnują, wolałbym się pośpieszyć. Szkoda każdego dnia. Najgorzej dać się wyprzedzić.

– Pewnie masz rację, ale w takim wypadku i porucznik Gobineau musi się spieszyć. Do Quebecu pojechał po licencję nie tylko dla ciebie, ale i dla swego siostrzeńca.

– Philippe Girarda? Czyżby on również zamierzał zająć się futrzanym handlem?

– Tak!

---

<sup>13</sup> Louis Joliet (1645-1700). wychowanek jezuitów, badacz Ameryki Północnej. Wraz z ojcem Marquette z misji St. Ignace w 1673 r. na polecenie gubernatora Frontenaca odbyli podróż na południowy zachód w celu odnalezienia rzeki, którą Indianie nazwali Ojcem Wód. Wyłynęli z misji St. Ignace zachodnim skrajem jez. Michigan, przecięli Green Bay, a następnie spłynęli rzeką Fox do Wisconsinu, skąd dotarli do Ojca Wód (Missisipi) i wraz z jej biegiem aż do ujścia Arkansas.

<sup>14</sup> Jacques Marquette – jezuita z misji St. Ignace leżącej na przesmyku z jez. Huron na jez. Michigan. Wraz z Jolietem odbył podróż w poszukiwaniu Ojca Wód. Zmarł nad jez. Michigan w 1675 r.

<sup>15</sup> Daniel Greysolon Sieur Du Lhut (zm. 1710 r.). Szlachcic francuski, oficer gwardii przybocznej na dworze Ludwika XIV. Znużony życiem dworskim wyjechał do Kanady. Kupił majątek ziemski pod Montrealem. Następnie porzucił dom i przeniósł się do centrum handlu futrzanego nad Mackinac w pobliżu misji St. Ignace. Potem udał się na zachód do kraju Siuksów i Mandanów. Przez 29 lat zajmował się handlem futrzanym z ramienia władz francuskiej kolonii. Nad Jeziorem Górnym założył faktorię handlową Fort William. Historycy uznali go za króla gońców leśnych. Jego imieniem nazwano miasto Duluth na południowo-zachodnim krańcu Jez. Górnego.

– Skąd pan to wie? Może pan z nim rozmawiał? Twarz gospodarza z lekka zachmurzyła się.

– Niezupełnie. To on rozmawiał ze mną. Przyszedł z samego rana. Chciał dostać towary na kredyt. A towary, jak wiesz, mogą mu być potrzebne tylko w jednym celu.

– Tak, rzeczywiście. Chociaż nie myślałem. Jest tu przecież zaledwie od kilkunastu dni. Nikogo jeszcze nie zna. Nic nie wie o kraju. Jak on to sobie wyobraża, panie Fleury?

– Też nie bardzo wiem, ale domyślam się, że wraz z porucznikiem rozważyli wszystko. Mówisz, że nie zna kraju ani ludzi. To prawda, ale nie jest to taka wielka przeszkoda. Wszystko zależy od tego, jaki jest ten Girard i na kim zechce się oprzeć. W Quebecu, a i w samym Trois Rivières znalazłoby się przynajmniej paru takich, którzy nieźle znają interes i kraj i gotowi są wynająć się każdemu, kto dobrze zapłaci.

– Ale mówił pan przecież, że Girard chce wziąć towary na kredyt. Nie ma więc chyba za dużo pieniędzy? Da mu pan towar na kredyt?

Kupiec uśmiechnął się.

– Nie, chłopcze. Nie dam. Nie dam nawet za pieniądze ani za największy udział w spodziewanym zysku.

– Dlaczego?

– Nie podoba mi się ten młodzieniec ani jego zbyt francuskie maniery. Tu nie pasują.

– Czyżby nie zachowywał się właściwie?

– Ależ skąd, wręcz przeciwnie. Był bardzo grzeczny. Zbyt grzeczny, jak na mój gust.

Gość roześmiał się bezgłośnie.

– Przyzwyczaił się pan do takich jak ja. Prawie lub zupełnie dzikich. Wiem, że mój ojciec, chociaż był dobrym kupcem, też nie miał, jak pan to nazywa, najlepszych manier. Ale wiem też, że pan go lubił.

– Masz rację. Nie tylko go lubiłem. Szanowałem go. Nie zawiodłem się na nim nigdy, chociaż nie zawsze jego wyprawy kończyły się powodzeniem. Ale to taki kraj. Czasem dzicy, czasem jeden nieostrożny ruch wiosłem w bystrym nurcie rzeki i cały ładunek towarów lub futer diabli biorą. Może się to zdarzyć każdemu. Tobie też. Ale twój ojciec tak długo, jak go znałem, nie zawiódł nigdy mojego zaufania. A w handlu właśnie to liczy się najbardziej. Był to wspaniały człowiek. Twardy, niekiedy bezwzględny, ale nie oszukał nigdy nikogo. Znałeś go przecież. Ostatnie lata byliście razem. Czy oszukiwał Indian przy wymianie?

– Nie, panie Fleury. Prawda, że był twardy. Potrafił się targować, ale nikogo nie oszukiwał. Jeszcze w dniu śmierci przypominał mi, bym odwiózł panu futra. Musiałem to obiecać.

– Słuchaj, Paul, co właściwie było powodem śmierci ojca? Gdy w ubiegłym roku wyruszaliście stąd, nie narzekał na nic. Czy to może jakiś wypadek?

– Sam dobrze nie wiem, ale czarownik Kenishtenog<sup>16</sup>, który nas odwiedzał i znał ojca, mówił, że to z przeziębienia.

– Z przeziębienia? – na twarzy gospodarza odmalowało się zdziwienie.

– Chyba tak. Jak pan wie, wypłynęliśmy stąd dosyć późno. Tuż za jeziorem Tracy złapały nas pierwsze mrozy. Pewnego dnia kanu, w którym znajdował się ojciec, wywróciło się. Wszyscy skoczyli do wody, by ratować towary. Ratował i on. Wieczorem, już w obozie, dostał gorączki, która trzymała go potem przez kilka tygodni. Stały obóz założyliśmy nad jednym z dopływów Albany. Ojciec, chociaż ukrywał to, z każdym dniem stawał się słabszy. W listopadzie nie miał już siły, by podnieść się z posłania. Przyszedł suchy kaszel, który dusił go całymi nocami. W ślinie pojawiła się krew. Zmarł przed samym Nowym Rokiem. Pochowałem go w pobliżu obozu – młodzieniec zamilkł, zapatrzył się w płonące na kominku suche, brzoźowe szczapy. Po paru chwilach nie odwracając głowy dodał jak gdyby tylko do

---

<sup>16</sup> Czytaj: Ke-nis-te-nog. Nazwa plemienia zamieszkującego obszar południowo--zachodnich wybrzeży Zatoki Hudsona. Niekiedy nazywani Maskegon, a przez francuskich i angielskich osadników Swampy Cree lub Cree.

siebie: – Myślę, że tam, gdzie znajduje się teraz, nie jest mu gorzej niż tu, na ziemi.

– Nie, chłopcze. Możesz być spokojny – odparł z przekonaniem kupiec. Nie wiedział jednak, czy chłopak usłyszał te słowa, gdyż nie oderwał wzroku od ognia. Nie poruszył się nawet.

Gospodarz nie przerywał tej zadumy. Obserwował swego gościa z życzliwością, a może nawet czymś głębszym. Chłopak spisał się dzielnie. Mimo dotkliwej straty, jaką poniósł i jaką musiał odczuwać, nie opuścił rąk. Pozostał na placówce sam przez wiele miesięcy. Zakupił od Indian ogromną ilość futer i pokonując setki niebezpieczeństw i przeszkód na szlaku liczącym ponad tysiąc kilkaset mil, cały ładunek, największy jaki tu widziano od wielu lat, dowiózł bezpiecznie do Trois Rivières. Na propozycję dalszej współpracy z Fleury'm przystał chętnie, zastrzegając się jedynie, że z rachunkami nie chce mieć nic wspólnego, bo się na tym nie zna. Umie wymieniać towary na indiańskie futra i tego jedynie może się podjąć. Jeszcze tego samego dnia ustalili, jakie towary Paul zabierze z sobą na zachód. Wspólnie napisali do gubernatora list w sprawie przepisania licencji handlowej i oczekiwali teraz na odpowiedź. Gospodarz wiedział, że Paul zatrzymał pewną liczbę Indian, którzy przyłączyli się do niego jako wioślarze. Nie było ich jednak w Trois Rivières. Musieli obozować gdzieś w górze rzeki.

Stopniowo zapadał zmierzch. Do obszernej izby wkradał się słaby cień wieczoru. Pod otwartym oknem zastukały na ulicznym bruku ciężkie, miarowe kroki. To kilkusobowy oddział żołnierzy zmierzał w kierunku zachodniej bramy fortu. Obejmował nocną wartę.

Paul podniósł się.

– Czas na mnie, panie Fleury.

– Dokąd się spieszysz? Lucille zaraz przygotowuje kolację – powiedział gospodarz.

– Nie mogę zostać. Umówiłem się z jednym z moich Indian. Nie chcę, by niepotrzebnie czekał.

– A może przyszedłbyś z nim razem? Lucille będzie niepokojona, że nie spróbujesz jej przysmaków i pewno znów dostanę burę.

– Niech pan jej powie, że przyjdę innym razem. Naprawdę muszę już iść – mocnym uściskiem ręki pożegnał gospodarza.

W trzy dni później w obszernej izbie zbitego z grubych, sosnowych bali blokhauzu komendant fortu jednym haustem opróżnił spory kubek rumu, wytarł wąsy i spojrzał spod oka na przybyłego z Francji krewniaka.

– To mówisz, Philippe, że przypadek jedynie sprawił, że musiałeś opuścić kraj?

– Tak, wuju – przytaknął skwapliwie młody człowiek – czysty przypadek.

– A co to był za przypadek? – porucznik patrzył trochę powątpiewająco. – Po przyjeździe wspominałeś, co prawda, o jakiejś bójce ulicznej, ale nie opowiadałeś dokładniej. Może teraz powiedziałbyś coś bliżej. Bo sam przyznasz, że z powodu karczemnej awantury nikt nie musi uciekać z kraju?

– Nno”, niby tak-przyznał niechętnie. – Z powodu burdy nie. Ale zdarzył się wtedy wypadek. Jakiś baron czy hrabia podobno kipnął.

– Mówisz: kipnął? – porucznik popatrzył ironicznie. – Musiał chyba nieźle dostać. I to od ciebie. Inaczej nie uciekałbyś.

Młody mężczyzna dźwignął się ociężale ze stołka, odgarnął grzywę skołtunionych włosów i przeciągnął się leniwie.

– Było chyba tak, jak mówisz, wuju, ale nie pamiętam już dobrze – sięgnął niedbale po gąsiorek i napełnił swój kubek.

– Zresztą jaka różnica. On został tam i zeznawać nie będzie. Ja, dzięki Bogu, jestem tutaj.

– Może masz rację, Philippe. To znaczy: może miałbyś, gdyby to był rzeczywiście przypadek. I gdyby, tak jak mówisz, zdarzył się na ulicy. Ale ten przypadek zdarzył się przecież na leśnej, mało uczęszczanej, drodze. Skąd się tam wziął i to w dodatku podobno

w niezłej kompanii?

– Skąd wuj wie? – młody, niechlujnie wyglądający dryblas wydawał się zaskoczony.

– Ano wiem. Gadałeś na statku. Masz za długi język. Dłuższą chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Jednakże siostrzeniec nie wydawał się specjalnie zmartwiony. Usiadł z powrotem i opróżnił kubek, po czym powiedział nonszalancko:

– Skoro wiesz tyle, mogę powiedzieć ci i resztę. Posłuchaj! – Chwilę zbierał myśli. – Jak wiesz, ojciec był dzierżawcą. Po jego śmierci dzierżawę diabli wzięli. Matka początkowo próbowała znaleźć jakąś pracę, by wyżywić Danielle i mnie, ale szybko znalazła się najpierw w czyjejś knajpie, a potem wiadomo gdzie. Była podobno ładna. Przychodziło do nas sporo różnych takich”. Później przychodzili i do Danielle. Przychodzą pewnie i teraz, bo diablica jest ponętna. Obie z Danielle wyrzuciły mnie z domu, gdy miałem jedenaście lat. Co miałem robić? Najpierw kradłem, a potem z kilkoma innymi poszedłem do lasu i tak już zostało. Po wojnie sporo ludzi znalazło się bez roboty i bez domu. Część z nich poszła też na gościńce. Kupców i wielmożów z pełnymi sakiewkami przejeżdżało przez kraj wielu. Jeśli któryś z nich nie miał sakiewki, to rodzina szybko przysyłała okup. Ostatnim razem dopadli nas żołnierze i dostali kilku żywcem. Wprawdzie kumpli miałem dobrych, ale jak ich wezmą na tortury, któryś nie wytrzyma i sygnie. Wolałem wiać. Mogłem uciec tylko tutaj. I to wszystko. Może chcesz jeszcze znać jakieś szczegóły?

– Nie, nie musisz. Wszystko jest jasne – gospodarz taksował swego siostrzeńca uważnym spojrzeniem. – A więc co, nie boisz się ryzykować i nadstawiać karku?

– Nie, nie boję się.

– Jesteś chyba dość silny?

Dryblas bez słowa ujął leżące obok kominka polano grubości przynajmniej kilku cali, uniósł do góry i środkową częścią uderzył tuz powyżej kolana. Drzewo trzasnęło jak krucha, zmurszała gałąź.

Porucznik gwizdnął z uznaniem.

– Pewno niewielu dawało ci radę?

– Nie spotkałem takiego.

– Jakiej broni używałeś tam, w lesie?

– Różnie. Czasem strzelby lub pistoletu, ale najczęściej noża lub szpady. Nie robią tyle hałasu.

– Tak! Właściwie to wszystko jest jasne. I wiesz co? Dobrze, że tu przyjechałeś, dobrze, że nie wychowałeś się w mieście. To, czego nauczyłeś się tam, przyda ci się tutaj. Nalej jeszcze. Skoro wiem, jak wyglądają sprawy, możemy pogadać o interesach.

Opróżniwszy kubki obaj mężczyźni pograżyli się w długiej, prowadzonej półgłosem rozmowie.

Jeszcze tego samego dnia po południu porucznik wyszedł ze swej kwatery, nie spiesząc się przeciął plac ćwiczeń i kamienistą uliczką podążył wzdłuż rzędu małych, głównie parterowych domków. Tuż przed wschodnią bramą fortu skręcił w wąską, udeptaną ścieżkę i chwilę potem znalazł się obok podobnego do innych drewnianego domku.

Przed drzwiami wejściowymi, wygrzewając się w słońcu, siedział Paul Bresson. Widząc nadchodzącego komendanta podniósł się.

– Witam pana porucznika i proszę do środka.

– Cześć, Paul – odparł Gobineau zachowując surowy wyraz twarzy i zdając się nie zauważać wyciągniętej w powitalnym geście ręki. – Przywiozłem ci licencję. Umiesz czytać?

– Nauczyłem się.

– No to masz – z tymi słowy podał gospodarzowi zwinięty w rulon i opatrzony dużą woskową pieczęcią pergamin.

Paul przeciął sznurek, na którym zwisała pieczęć, i rozwinął pismo. W miarę czytania

twarz jego stawała się pochmurna i gniewna, ściągnęły gęste, ciemne brwi, na czole pojawiły się charakterystyczne, pionowe zmarszczki. W głosie jednak, gdy odezwał się doczytawszy papier do końca, najczulsze ucho nie dosłyszałoby śladu niezadowolenia czy podniecenia. Jedynie oczy straciły swój zwykły, błękitny odcień, pokrywając się chmurką szarości.

– Gubernator nie pomylił się przypadkiem? – spytał wpatrując się uważnie w twarz porucznika.

– Dlaczego to, Bresson, gubernator miałby się pomylić? – odparł pytaniem oficer.

– Ja prosiłem o przepisanie na mnie opłaconej przez ojca licencji. Opłaconej już dawno temu z góry. A tymczasem gubernator przysłał mi nową licencję i każe sobie za nią sporo zapłacić. W dodatku chce mi przydzielić jakichś dwóch żołnierzy. Po co? Każdemu teraz przydziela żołnierzy?

– Nie wiem, Paul. Jeśli masz jakieś wątpliwości, spytaj jego ekscelencję.

– Czy pańskiemu siostrzeńcowi też przydzielił żołnierzy?

– To nie twoja sprawa, ale mogę ci powiedzieć, że jemu nie przydzielał nikogo. Gubernator ma zaufanie do rodziny Gobineau. Nigdy wspólnie z Mohawkami nie łupili osiedli Nowej Francji.

Wzrok młodzieńca pociemniał jeszcze bardziej.

– Co pan chce powiedzieć, Gobineau?

– Tylko to, że gubernator do mojego siostrzeńca ma zaufanie, a do ciebie może jeszcze nie nabrał. W każdym razie, jeśli będziesz wybierał się na zachód, to masz mnie powiadomić. Z polecenia jego ekscelencji to właśnie ja mam ci przydzielić tych żołnierzy, no i sprawdzić, czy nie zabierasz za dużo alkoholu. Pamiętaj, że rum wolno brać tylko na własne potrzeby, a nie na handel z dzikimi. Bywaj! Gdy będziesz gotów, daj znać. – Z tymi słowami obrócił się na pięcie i odmaszerował drogą, którą przybył.

Paul rozwinął ponownie pergamin i raz jeszcze przeczytał go uważnie. Potem usiadł na pieńku i przesiadzał rozmyślając prawie do wieczora. Wiedział, że w życiu nie dzieje się nic bez przyczyny. A więc i treść licencji nie była przypadkowa. Co prawda wojskowy zarządca Nowej Francji powszechnie znany był ze swej chciwości, jednakże nie tłumaczyło to wszystkiego. Wojskowa straż? Nie, to nie pasowało do niczego. A więc rzeczywiście, tak jak mówił Gobineau, brak zaufania. Tylko dlaczego? Nie zawiódł przecież niczyjego zaufania. Ktoś musiał gubernatora nastawić przeciwko niemu. A może powodem było coś innego? Myśli popłynęły nowym tropem.

Gdy pierwsza gwiazda ukazała się na niebie, a od rzeki powiało chłodem, włożył wiszącą obok bluzę, wszedł na, chwilę do ciemnej już izby, pergamin rzucił na stół, zdjął z kołka pas z długim, myśliwskim nożem i zapiął go dokoła bioder. Nie przewidywał, co prawda, żadnych niespodzianek, ale wolał nie ryzykować. Nie poszedł ścieżką, nie wychodził również przez drzwi. W zupełności wystarczało wąskie okno wychodzące od strony rzeki. Wydostał się przez nie bezszelestnie i za chwilę przemykał w cieniu palisady.

W niecały kwadrans znalazł się na tyłach fortecznego blokhauzu, a w parę chwil później przywierając płasko do zbitej z grubych belek ściany tkwił z uchem przyłożonym do okiennej framugi jedynej oświetlonej izby na pierwszym piętrze. Kroki wartownika wybijające miarowy rytm na płaskim dachu nie interesowały go ani nie niepokoiły w najmniejszym stopniu. Wystający okap tworzył poniżej nieprzenikloną czerń, a więc nawet gdyby żołnierz usłyszał coś podejrzanego i tak nie byłby w stanie niczego zauważyć. Mógł być zauważony jedynie z dołu, gdzie przechadzał się drugi, ale ten przebywał akurat z drugiej strony blokhauzu.

Paul przytulił oddech i wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z izby. Rozmawiający nie mówili zbyt głośno, mimo to słyszał prawie każde wypowiedziane słowo. W pewnym momencie omal nie gwizdnął przez zęby. A więc tak! Sprawa licencji i parę innych wyjaśniło się. Nie musiał słuchać dłużej. Zsunął się na ziemię i drogą, którą przyszedł,

podążył szybko do domu. Tu starannie otrzepał bluzę i legginy<sup>17</sup>, umył ręce i tym razem nie kryjąc się poszedł do pana Fleury'ego. Musiał iść, by sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

Gospodarza zastał nad księgami. Przepraszając za najście o nieco późnej porze przystąpił wprost do sprawy.

– Panie Fleury. W czasie ostatniej naszej rozmowy przed paroma dniami wspominał pan o odwiedzinach Girarda oraz o tym, że siostrzeniec komendanta chciał dostać towary na kredyt. Niech mi pan powie, czy Philippe Girard może dostać na kredyt towary od kogoś innego?

Gospodarz milczał dłuższą chwilę.

– Nie sędzę.

– Myśli pan, że kupcy mogą obawiać się dać towar komuś tak jak on bez doświadczenia?

– To też nie. Widzisz, w całym tym interesie zawsze jest jakieś ryzyko. Nie będą się obawiali go podjąć. Kłopot pana Girarda polega na czym innym. Kupcy nie mają już towarów. Poszło wszystko. A najbliższe dostawy z kraju nie wiadomo kiedy nadejdą. Z tego co ja wiem, Prevost najwcześniej spodziewa się przybycia statku gdzieś pod koniec października lub na początku listopada. Wtedy będzie za późno na zorganizowanie wyprawy. Ale dlaczego pytasz o to?

– Pytam, ponieważ dowiedziałem się”. przypadkowo -nieznaczny uśmiech wykwitł na jego twarzy – że Gobineau chce dostać towary właśnie od pana i nie wiedziałem dlaczego. Teraz już wiem. Wiem też, dlaczego licencja, którą przywiózł mi porucznik, znacznie różni się od tej, którą posiadał ojciec.

Gospodarz poderwał się poruszony.

– Jak to różni się? Co tam jest nowego?

– Właściwie tylko parę rzeczy. Przyniosłem z sobą papier. Niech pan sam przeczyta. – Z tymi słowy wyciągnął pognieciony trochę pergamin i podał gospodarzowi. Ten wygładził rulon i szybko przebiegł wzrokiem treść pisma. Skończywszy milczał dłuższą chwilę. Wreszcie powiedział twardo:

– Nie! To się nie uda temu lichwiarzowi – a na zdziwione spojrzenie swego gościa dodał wyjaśniająco: – Mam na myśli gubernatora. Nie uda mu się, Paul – powtórzył zawzięcie. – Jutro ruszam do Quebecu. I myślę, że ksiądz Laval, a jeśli będzie trzeba to i pan Talon nauczą tę opasłą, chciwą świnię rozumu. Powinieneś pojechać ze mną. Gubernator nie dostanie połowy futer!

Gość pokręcił przecząco głową.

– Nie, panie Fleury. To na nic. Nim ksiądz Laval i pan Talon przekonają gubernatora do zmiany licencji, minie bardzo dużo czasu. Wie pan, że nie mogę dłużej czekać. Muszę odpłynąć jak najszybciej.

– Jak to – zachnął się kupiec – chcesz oddać im połowę zakupionych futer i w dodatku karmić tych dwu darmozjadów, których Gobineau zechce ci przydzielić?

– Nie, nie mam takiego zamiaru – odparł gość, przy czym na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech. – Papieru nie zabiorę również. Wiem, że jest nieważny. A odpłynąć mogę przecież bez żołnierzy, prawda?

Gospodarz nie wydawał się przekonany.

– Oczywiście, jeśli chodzi o licencję, to masz rację, ale nie wiem, czy bez zgody Gobineau uda ci się przekroczyć bramy fortu. Pismo gubernatora zakazuje ci tego wyraźnie. Jeśli przekroczysz ten zakaz, po powrocie możesz mieć kłopoty. No, a poza tym warta bez rozkazu porucznika nie przepuści ładunku. Nie dasz rady.

– Niech pan będzie spokojny. Wymyślę coś. Dzisiaj jest sobota. Do środy dam panu znać.

– Co ty kombinujesz? Nie narażaj się niepotrzebnie. Lepiej załatwić to tak, jak proponuję. Ksiądz Laval pomoże nam.

---

<sup>17</sup> Rodzaj spodni noszonych powszechnie przez Indian strefy zimnej Stanów Zjednoczonych i Kanady.

– Tak, ale niestety nie pomoże pan Gobineau. I bez względu na to, czy dostanę licencję, czy nie, zrobi wszystko, by nie wypuścić mnie z Trois Rivières.

– Zrobi wszystko, by cię nie wypuścić? Co ty opowiadasz? Dlaczego nie chciałby cię wypuścić?

– Oni to ustalili, panie Fleury. Jeśli pojadę ja i zabiorę towary, nie będzie mógł jechać Girard, bo nie będzie miał z czym. Mają nadzieję, że gdy ja zostanę na miejscu, będzie je mógł zabrać siostrzeniec porucznika.

– Ale skąd takie podejrzenia, Paul?

– To nie podejrzenia, panie Fleury. Ja to wiem.

– Skąd? – w głosie kupca nadal brzmiała nuta niewiary.

– Wiem, ale niech pan nie pyta, skąd. Nie powiem.

Twarz gospodarza spochmurniała.

– Nie podoba mi się to. W czym mógłbym ci pomóc?

– Powiem panu w środę. Do tego czasu nie będzie mnie. Gdyby Gobineau pytał, niech pan mu powie, że wybrałem się na” polowanie, powiedzmy, jutro z samego rana.

– Aha. Właśnie wtedy, gdy nie ma już warty przy bramie?

– Zgadł pan – szczupłą twarz rozjaśnił wesoły błysk. – A więc do środy.

W niecałe pół godziny później niewyraźny cień przemknął nad palisadą chroniącą fort, ledwo widoczna postać zamajaczyła nad brzegiem rzeki, rozległ się cichy plusk i po chwili wszystko przykryła ciemność.

Następnego dnia, koło południa, gdy kupiec wraz z młodym pomocnikiem sortował towary, przez otwarte na oścież drzwi kantoru weszli porucznik Gobineau i Girard.

Przywitawszy ich, Fleury podsunął dwa taborety, sam zaś usiadł na pokrytej niedźwiedzią skórą szerokiej ławie.

– Co sprowadza pana, poruczniku, w moje progi?

– Interes, panie Fleury, interes – odparł dowódca fortu. – Tym przyjemniejszy dla mnie, że chciałbym go ubić z człowiekiem, którego od dawna darzę szacunkiem. Kupiec uśmiechnął się i pokiwał głową.

– I wzajemnie, panie Gobineau. Wiem przecież, że od lat pełni pan trudną służbę na tym niebezpiecznym posterunku i niejeden irokeski napad został odparty pod palisadą tego fortu. Pamiętają o tym mieszkańcy. Pamiętam i ja. Na szczęście od paru lat regiment Carignana, słusznie osiedlony wzdłuż Richelieu, skutecznie powstrzymuje wypady Ligi w naszym kierunku. Ale co fort, to fort. No i dowódca. To się liczy. Myślę, że pod okiem pańskich żołnierzy można spać spokojnie?

– Mam nadzieję, panie Fleury, chociaż nigdy nie wiadomo”, co knują te dzikusy na południu.

– Czyżby jakieś niedobre wieści, Gobineau? Nic, jak dotąd, nie obito mi się o uszy? Oficer potrząsnął przecząco głową.

– Nic nadzwyczajnego ani nic pewnego. Wie pan. Jak to na pograniczu. Bo to przecież ciągle pogranicze, panie Fleury.

– A więc jednak coś – gospodarz wydawał się zaniepokojony. – Niech pan mówi, poruczniku. Wie pan przecież, że tu każda wiadomość z południa ma wagę złota.

Porucznik starał się przybrać maskę obojętności.

– Właściwie nie wiem, czy mi wolno – zaciął się i przerwał – bo widzi pan – tu znów utknął. – Nie jestem pewien. Sam gubernator prosił o zachowanie dyskrecji. Tak, że właściwie nie mogę. Ale to nic poważnego – dokończył z pełnym przekonaniem.

– Rozumiem, poruczniku! Tajemnica wojskowa – rzecz święta. Nie nalegam. W każdym razie gdyby potrzebował pan jakiejś pomocy, to proszę się nie bawić w ceregiele. Pomogę ja, a i inni nie odmówią swego udziału w żadnej słusznej sprawie.

– Dobrze powiedziane, panie Fleury – ucieszył się porucznik. – Wiem, że jego ekscelencja



zawsze może liczyć na pana.

– Na wszystkich, poruczniku, na wszystkich kupców w Trois Rivières – zaprotestował kupiec. – Jeśli trzeba, nikt nie zawaha się stanąć z bronią w ręku u pańskiego boku. Może pan być o tym przekonany.

Porucznik poczuł się niewyraźnie. Trochę inaczej wyobrażał sobie tę rozmowę, ale otwartość i gotowość gospodarza do niesienia zbrojnej pomocy mieszała mu szyki. Nie o to przecież chodziło. Próbując zatrzeć wywołane wrażenie uśmiechnął się nieszczercze.

– Ależ nie, panie Fleury. Źle mnie pan zrozumiał. Nie chodzi o żadne zagrożenie ani broń boże o bezpieczeństwo naszego osiedla czy fortu. To zupełnie coś innego i nie dotyczy innych kupców. Jedynie pana.

– Mnie? – Fleury spojrzał z niekłamanym zdumieniem. – A o jakąż to tajemnicę chodzi, że jego ekscelencja nakazuje panu milczenie? Czyżbym był podejrzanym o zbrodnię?

Porucznik poczuł na karku kropelki potu. Zaprzeczył więc stanowczo:

– To nieporozumienie, Fleury. Nikt pana o nic nie posądza, ale jednak chodzi o pana, a właściwie o pańskie dobro.

– O moje dobro? Chce mi pan powiedzieć, że gubernatora obchodzi moje dobro?

– Właśnie!

– I zapewne dlatego wydał Bressonowi licencję zabierającą mu z góry połowę przyszlorocznych futer, a mnie pozbawiającą tym samym więcej niż połowy zysku? I w tym, panie Gobineau, wyraża się troska jego ekscelencji o moje dobro? Ciekawe! No, ale skoro twierdzi pan, że to w moim interesie, to słucham. Dowiem się pewnie czegoś nadzwyczaj interesującego.

W tym momencie, widząc, że porucznik zaplątał się i nie wie, co powiedzieć, wtrącił się do rozmowy milczący dotąd Girard:

– Wuj się źle wyraził, panie Fleury. To żołnierz, nie kupiec. Powinien pan zrozumieć. Oczywiście, że nie chodzi o pana. W Quebecu, a i tutaj, przebąkują jednak różne rzeczy o Paulu Bressonie. A to przecież pański główny i najlepszy, jak słyszałem, dostawca futer. Ma pan do niego pełne zaufanie?

Kupiec z udanym zdumieniem wciągnął głęboko powietrze. Od początku wiedział, do czego zmierza ta rozmowa i właśnie dlatego zmusił tamtych do odsłonięcia kart. Paul więc wiedział dobrze i dlatego uprzedzał go poprzedniego wieczoru. Ano skoro tak, to nie można było budzić czujności żadnego z tych dwu chociaż nie zapowiadanych, lecz przecież oczekiwanych dzisiejszych gości. Udając, że się namyśla, sięgnął po fajkę i nabił ją starannie.

– Pyta pan, Girard, czy mam do Paula Bressona pełne zaufanie? Mogę panu odpowiedzieć, że mam. Zasłużył na nie, o czym pan zapewne dobrze wie.

Gobineau, który ochłonął już nieco, skrzywił się nieznacznie.

– Było tutaj takich dwóch, do których wszyscy mieli również pełne zaufanie, panie Fleury”.

– Kogo ma pan na myśli, Gobineau?

– Radisson i Groseilliers! Znał ich pan przecież, prawda? Okazało się jednak, że nie zasługiwali na to zaufanie.

Kupiec uśmiechnął się ironicznie.

– Tak, Gobineau, znałem ich. To zdaje się pana wystrychnęli wtedy na dudka, znikając z Trois Rivières. Ale uważam, że obok Daniela Du Lhuta, to dwu najlepszych gońców leśnych, jacy pracowali i jacy chcieli pracować dla Nowej Francji. Jak pan pamięta, poruczniku, futra przywieźli do Quebecu, a nie do Anglików. Wie pan też zapewne dobrze, kto im bezprawnie zabrał prawie cały ładunek, narażając obydwu na wielkie straty. Nie dziwię się więc, że przeszli na stronę naszych przeciwników, chociaż żałują tego. Ale nie rozumiem, jaki to może mieć związek z Paulem Bressonem?

Na twarzy porucznika wspomnienie niechlubnego zachowania w tamtej sprawie wywołało

krwisty rumieniec gniewu. Opanował się jednak i puszczając złośliwą uwagę gospodarza mimo uszu odparł spokojnie:

– Może nie ma, panie Fleury, ale może i ma. Bresson u Irokezów przebywał znacznie dłużej niż pan Pierre Esprit Radisson – prawda, że wczorajszy goniec leśny, a więc nieco mniejszy przestępca, ale dzisiaj już tylko nędzny sługa tych heretyków z Hudson Bay Company. Nie zaprzeczy pan, że zdradził nie tylko króla, ale i naszą świętą wiarę?

– Nie znam sumienia Radissona, poruczniku, ani pańskiego. To sprawa kościoła. Chciałbym natomiast usłyszeć, co ma pan konkretnego do zarzucenia Paulowi.

Porucznik oparł się o stół i nachylił w stronę kupca.

– A czy jest pan pewien, że to rzeczywiście Paul Bresson? Przecież wtedy w czterdziestym dziewiątym, gdy Mohawkowie napadli na misję, miał zaledwie półtora roku. Odnalazł się cudownie prawie po osiemnastu latach? Skąd pewność, panie Fleury, że to ten sam?

Gospodarz roześmiał się.

– Więc o to chodzi? Może pan być pewien, Gobineau, że ten sam i może pan zapewnić o tym jego ekscelencję. Nie wyjaśnił pan jednak sprawy tej licencji. Był pan przecież u gubernatora osobiście. Jego ekscelencja wie więc, dla kogo pracuje Bresson. Skoro gubernator chce zabrać sobie połowę futer z następnej wyprawy, to jak już mówiłem, zysku pozbawia nie tylko mojego współnika, ale i mnie. A tego nie ma prawa czynić, bo ja posiadam ważną licencję królewską. Ta więc, którą teraz otrzymał Paul, jest nieważna, poruczniku. Byłaby ważna może, gdyby chłopak pracował u kogoś innego, A prawa królewskie tak samo obowiązują gubernatora, jak i mnie.

Porucznik powściągnął gniewne słowa cisnące mu się na usta i odparł spokojnie:

– Ja nie mam prawa ani potrzeby pouczania jego ekscelencji. Przyszedłem tu zresztą nie po to, by rozmawiać o licencji Bressona, czy jak on tam się w rzeczywistości nazywa. Chciałem panu jedynie powiedzieć, że jak długo nie ustali się – tu przybrał bardziej urzędowy ton – kim ten chłopak jest w rzeczywistości, muszę pana prosić, aby nie wydawał mu pan żadnych towarów. I nie jest to jedynie moja prośba – dodał z naciskiem.

Kupiec pokiwał głową, lecz chociaż miał wielką ochotę, nie powiedział tego, co myślał. Wiedział, że nie miałoby to już większego sensu. Dłuższy czas siedział w milczeniu, w końcu zapytał:

– Rozumiem, że to była jedna sprawa, poruczniku. Przyszedł pan jednak zapewne i z inną? Niech się pan nie krępuje.

Porucznik poprawił mundur. Pod kpiącym wzrokiem gospodarza czuł się nieswojo.

– Tak, ma pan rację. Chociaż właściwie to nie moja sprawa, bardziej obecnego tu siostrzeńca, którego poznał pan już, jak wiem, wcześniej.

– Słucham więc, panie Girard. Co za interes sprowadza pana do mnie?

– Zna go pan, panie Fleury, zresztą mówiłem już poprzednio, że chciałbym zająć się handlem. Po to zresztą przybyłem tu ze starego kraju.

– No to niech się pan zajmuje. Mam nadzieję, że wuj załatwił panu licencję?

– Tak, oczywiście. Ale, jak pan wie, żeby handlować, trzeba mieć czym. Nie znałem tutejszych warunków, toteż wyjeżdżając z Francji nie zaopatrzyłem się w potrzebne towary. Teraz mam z tym trochę kłopotu. I myślę, że pan mógłby mi, powiedzmy, coś doradzić. – Umilkł, oczekując reakcji gospodarza.

– Mówi pan: doradzić”. Mogę. Oczywiście. Wkrótce, jak wiem, odpływa do kraju „Saint Antoine”. Niech pan pośle zamówienie, a wiosną przywiozą panu wszystko, co pan zechce. Do tego czasu pozna pan trochę ludzi i tutejszych zwyczajów, a także Indian, poduczy się pan czipewejskiego, bez znajomości którego nie ma tu handlu i na przyszły rok może pan ruszać na szlak po futra.

Girard rozłożył bezradnie ręce i w nieszczerym uśmiechu odsłonił mocne, pożółkłe od tytoniowego osadu zęby.

– Ma pan rację, panie Fleury. Rada jest oczywiście dobra, ale niestety nie mogę czekać tak długo. Licencję dostałem na rok i zapłaciłem za nią dużo. Jeżeli nie wykorzystam jej teraz, będę musiał w przyszłym roku wykupić nową. Pieniądze, które wyłożyłem na tę stratę. To nie interes. Prawda i to, co pan mówi o języku, ale słyszałem, że prawie wszyscy wodzowie czipewjscy i algonkińscy zdążyli poduczyć się już nieźle francuskiego. Powinienem więc dać sobie jakoś radę. Ale na wszelki wypadek chcę wziąć z sobą kogoś, kto zna mowę Indian, no i paru ludzi znających kraj. Nie spodziewam się więc z tej strony większych trudności. Jedyna drobnostka to towar. Chciałbym go kupić od pana.

– Widzę, że przemyślał pan wszystko, Girard, tylko że ostatnim razem wspominał pan nie o kupnie, a o wzięciu na kredyt. To różnica. W tutejszych warunkach bardzo duża. Jak więc? Chce pan kupić czy wziąć na kredyt?

– Na kredyt, panie Fleury – w głosie odpowiadającego czuć było wyraźnie niekłamana szczerość. – Za licencję musiał wuj zapłacić wszystko co miałem.

– No, a jeśli pańska wyprawa nie przyniesie zysku lub, co gorsza, straci pan wszystko, to z czego zwróci pan zaciągniętą pożyczkę? Tutaj każdy, kto wyrusza na szlak, nawet najlepszy, może stracić nie tylko towary czy futra, ale i własny skalp. Porucznik chyba mówił panu o tym? Handlu podejmuje się wielu, ale udaje się on tylko nielicznym. Jaką ma pan gwarancję, że uda się właśnie panu?

– Nie mogę dać takiej gwarancji, panie Fleury. I wie pan o tym. Ale radziłem sobie również w trudnych sytuacjach i nie chwaląc się pięści mam nie od parady. Paru dzikich nie odstraszy mnie. No więc jak?

Kupiec milczał dłuższą chwilę. Odpowiedzi mógł udzielić natychmiast i to jednoznacznej. Siostrzeniec porucznika nie podobał mu się coraz bardziej. Spod pozorów gładkiej grzeczności i układności wyzierała niecierpliwość i zdecydowanie oraz brutalna, niczym nie skrywana siła i pewność siebie. Wiedział więc, czego się trzymać. Ale nie mógł w tej chwili odmówić. Paul prosił wyraźnie o zwłokę do środy. No więc, dobrze. Powziąwszy postanowienie, obrócił się ku oczekującym i udając brak zdecydowania powiedział:

– Przyszliście panowie z dosyć kłopotliwą i nie najciekawszą sprawą. Powiedziałbym: niełatwą. Ale pomyślę. Pan Girard wykazuje dużą pewność siebie. Jeśli dobierze odpowiednich ludzi, to kto wie. Może mu się uda? Z drugiej strony, skoro porucznik w imieniu gubernatora nakazuje mi nie wydawać towarów Bressonowi, to chociaż mi się to nie podoba, nie mogę takiego nakazu lekceważyć. Tak, to trudna sprawa i od razu nie mogę zdecydować. Muszę nad nią pomyśleć. Sądzę, że parę dni nie sprawi panu Girardowi większej różnicy. Odpowiedź postaram się dać panom wkrótce. Czy któryś z panów ma jeszcze jakąś sprawę? – stawiając to pytanie podniósł się z ławy. Wstali również obydwaj goście.

Porucznik zrozumiał, że dzisiaj nic więcej nie osiągnie. Rozumiejąc jednak, że kupiec nie ma wyjścia, powiedział pewnie:

– Dziękuję, panie Fleury. Mam nadzieję, że dojdziemy do »porozumienia. A jeśli chodzi o Paula Bressona, to chyba lepiej, żeby nie wiedział, że rozmawialiśmy właśnie o nim. Zresztą, gdyby zdecydował się pan pójść na rękę mojemu siostrzeńcowi, to mam nadzieję, że jego ekscelencja nie nalegałby zbyt na spełnienie wszystkich warunków, jakie zawarte są w licencji pańskiego wspólnika. Myślę, że pan mnie rozumie?

– Rozumiem pana, poruczniku, rozumiem doskonale i zastanowię się. Dam panom znać.

Obydwaj mężczyźni opuścili kantor. Kupiec odprowadzał ich badawczym spojrzeniem. Gdy zniknęli za rogiem ulicy, przypalił dawno wygasłą fajkę i pograżył się w myślach.

Sprawa nie wyglądała najlepiej. Gobineau musiał czuć się pewnie, skoro stać go było na jawny szantaż. – Możesz dać towary Paulowi Bressonowi, jeśli dasz je również mojemu siostrzeńcowi. – Sformułował to prawie dokładnie w ten sposób. Miał więc zgodę gubernatora. Ale wynikało z tego, że w Château St. Louis rozmawiano o tej sprawie, a może

nawet po cichu wszczęto dochodzenia dla ustalenia tego, czy Paul był rzeczywiście synem Louisa Bressona.

Kupiec zdecydowanym ruchem sięgnął po leżący na stole papier, zaostrzył koniec pióra i zabrał się do pisania listu. Pisał wolno, starannie dobierając słowa. Gdy skończył, uczyniło się późne popołudnie. List wysuszył, złożył w czworo, przewiązał grubą nicią i przyłożył na nim pieczęć. Następnie zaszył w dwa kawałki cienkiej skóry. Ukończywszy tę pracę, klasnął w dłonie. Z sąsiedniego pomieszczenia wysunął się młody, najwyżej osiemnastoletni chłopak o bystrej, roztropnej twarzy. Kupiec uśmiechnął się do niego i powiedział:

– Henryku, byłeś kilkakrotnie w Quebecu i znasz jego eminencję księdza Lavalą, prawda?

– Tak, proszę pana.

– I pamiętasz, jak do niego trafić?

Chłopak skinął głową.

– Popłyniesz więc jeszcze dzisiaj do Quebecu i oddasz ten list jego eminencji. Ale pamiętaj, nikomu innemu Masz go wręczyć księdzu Lavalowi do rąk własnych. Na odpowiedź nie czekaj. To, co jest ci potrzebne na drogę, zabierz z magazynu. Gdyby ktokolwiek pytał, dokąd płyniesz, powiedz, że do pana Doumer. Wiesz, to ten pan, którego statki przywożą nam towary. Nie pomylisz się?

– Nie, proszę pana.

– A nie obawiasz się wyruszyć na noc?

Twarz pomocnika rozjaśniła się uśmiechem.

– Nocą bezpieczniej. Nikt nie zauważy. Czy muszę bardzo się spieszyć?

– Nie musisz, chłopcze. Chciałbym jedynie, by list dotarł bezpiecznie do jego eminencji.

– Rozumiem. Niech pan będzie spokojny.

Gdy w kilkanaście minut później kupiec zamykał kantor, na dworze poczęło zmierzchać. Chociaż wieczór był ciepły, od rzeki powiał nieco chłodniejszy wiatr. Ruszył więc szybko w stronę domu. Był już porządnie głodny i zmęczony. Uśmiechnął się jednak na myśl o oczekującej z obiadem Lucille. Stara zawsze gderała, ilekroć się spóźniał, ale gotowała dobrze i potrafiła we właściwej chwili mieć pod ręką gorącą strawę. Zastanawiał się czasem, jak to robiła, ale nigdy nie pytał. Teraz na myśl o grubym, dobrze przyrumienionym befsztyku przyspieszył kroku i wkrótce siedział przy suto zastawionym stole.

Tymczasem w odległym o kilkadziesiąt mil Quebecu szyper z „SaintAntoine” wydawał ostatnie polecenia. Obrócił swą spaloną słońcem twarz do stojącego obok oficera portowego i uśmiechnął się wyrozumiale.

– Zaczny z pana człowiek, mości Badaud, ale na statkach nie znacie się. Tu, gdzie stoimy obecnie, prąd jest zbyt silny i będzie spychał łodzie. Żeby przypadkiem któraś nie wywróciła się przy rozładunku, musimy podsunąć się bliżej brzegu i trochę bardziej w górę rzeki. Woda jest tam spokojniejsza i futrom jego ekscelencji nie będzie groziło żadne niebezpieczeństwo. Nie chce pan chyba, by gubernator stracił połowę swego ładunku?

– Niech nas ręka boska chroni przed takim nieszczęściem, panie Charkot. Nie rozumiem tylko, czemu stawia pan wszystkie żagle?

Szyper uśmiechnął się.

– Właśnie z powodu tego prądu. Jest bardzo silny i po zwolnieniu statku z kotwic woda zniosłaby nas szybko w dół. A tak żagle popchną statek do przodu, pod prąd i wtedy bez kłopotu podejdziemy bliżej brzegu na spokojniejszą wodę.

Jakoż rzeczywiście. Statek drgnął w pewnej chwili i począł posuwać się pod prąd. Zrazu wolno, potem coraz szybciej. Prawie o milę od poprzedniego miejsca postoju Charkot kazał zwolnić liny, żagle załopotwały luźno, statek stanął w miejscu i poddając się naporowi bystrej rzeki ponownie poszedł z prądem. Tym razem jednak sternik wyprowadził go z głównego nurtu i skierował bliżej brzegu na spokojną zupełnie toń. Tu rzucono kotwice. Nie stali już na

wprost portowego doku i nieco powyżej niego widniejącego osiedla, ale w miejscu odosobnionym, gdzie przeładunkowi futer nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Badaud pokiwał z uznaniem głową.

– Mistrz z pana, mości Charkot. Jego ekscelencja będzie zadowolony. Wiem, że niepokoił się trochę o ten załadunek.

– Niech go pan uspokoi. Rankiem podpłyniemy jeszcze trochę bliżej. Zostanie pan na obiedzie czy woli pan wrócić na ląd?

– Wolałbym wrócić. Żona czeka, a wie pan, jak to z babami.

Szyper zmrużył znacząco oko. Do burty podciągnięto jedną z holowanych za statkiem łodzi i w kilka minut później portowy oficer płynął w stronę odległego o dobre pół mili Quebecu. Oczywiście nie miał najmniejszego pojęcia o tym, że odprowadzenie statku tak wysoko w górę rzeki nie było podyktowane troską o bezpieczny załadunek futer jego ekscelencji. Można je było z powodzeniem przyjąć tam, gdzie „Saint Antoine” stał poprzednio na kotwicy. Jednakże kapitan miał swoje powody, by przesunąć go bardziej w górę i to powody ważne, o których nie wiedział nie tylko Badaud. Zresztą lepiej, że nie wiedział. Może gdyby wiedział, nie smakowałby mu obiad, a nocą męczyłyby go nieprzyjemne sny?

Jean Charkot zaś już od dłuższego czasu kierował się kilkoma, wprawdzie swoistymi, jednakże ogólnie w Nowej Francji przyjętymi i akceptowanymi zasadami, z których jedna głosiła, że jeśli sam chcesz, by pozwolono ci żyć godziwie, pozwól tak samo żyć innym. Stosując ją, w równym stopniu cieszył się zaufaniem zarówno hugenotów, jak i katolików w starym kraju. W nowym zaś na równi korzystał z łask gubernatora, jak i wikariusza generalnego, a co ważniejsze, także z zaufania kupców Nowej Francji.

Sumienie nie niepokoiło go, nie spędzała mu także snu z powiek troska o przyszłość. Pokażny kapitałik, jaki zgromadził w ciągu lat swej pracy, wprawdzie w niewielkiej tylko części pochodził z oficjalnej królewskiej pensji, ale była to już zupełnie inna sprawa.

Stojąc teraz na kapitańskim mostku z uczuciem zadowolenia patrzył na oddalającą się szalupę wiozącą portowego oficera. Straciwszy ją z oczu za Przylądkiem Diamentowym, zwrócił się do jednookiego bosmana:

– Wszystko przygotowane, Jacques?

– Tak jest – odparł marynarz służbiście.

– O której mają przybyć łodzie?

– Posłaniec mówił, że zaraz po zachodzie słońca. Szyper spojrzał na niebo i ziewnął przeciągle.

– No, to przynajmniej jeszcze ze trzy godziny. Idę się zdrzemnąć. O zachodzie obudź mnie.

Czas płynął powoli. Załoga drzemała również. Jedynie kilku ludzi snuło się po pokładzie. Cień kadłuba statku wydłużał się na wodzie. Słońce dotykało nieomal lustra przezroczystej toni. Pociemniały ściany boru. Okrągła jasnoczerwona tarcza do połowy skryła się za horyzontem. Jeszcze tylko chwila i światło dnia poczęło szybko ustępować wypelzającym mrokom szybko zapadającego wieczoru.

Bosman dotknął ramienia śpiącego.

– Panie kapitanie, już czas!

Charkot oprzytomniał w jednej chwili.

– Dziękuję, Jacques. Idę.

W kilka minut później stał oparty o reling. Obok, trzymając zapaloną, lecz osłoniętą grubym kocem latarnię tkwił nieruchomo bosman. Obaj patrzyli uważnie na oddalony, ciemny brzeg rzeki. Nie mówili nic. Oczekiwali”

Nagle gdzieś na zachodzie w gęstej czerni nocy rozbłysło światelko: raz, drugi, trzeci; przerwa i ponownie dwukrotnie. Kapitan skinął na swego pomocnika i ze statku pobiegł w dal

taki sam znak.

– Możesz zgasić latarnię, zobaczyli na pewno! I przywołaj ludzi.

Wzdłuż burty zaczerniały sylwetki kilkunastu członków załogi. Mimo iż zachowywali się cicho, nikt nie usłyszał najmniejszego szmeru, kiedy dwa wąskie, długie kanu wychynęły z mroku tuż koło statku i pierwsze przylgnęło gładko do jego burty.

Po spuszczonej, sznurowej drabince wdrapał się na pokład odziany w indiański strój mężczyzna. Mimo panujących wokół ciemności bez wahania podszedł do kapitana.

– Witam, panie Charkot. Czy wszystko w porządku?

– Tak, w porządku. Jesteś punktualny. Czy ilość taka, jak mówił posłaniec?

– Co do jednej skórki.

– No, to możecie podawać.

Przybyły wychylił się przez reling i rzucił kilka słów. Z pokładu zsunęły się liny zakończone żelaznymi hakami. W górę zaczęto wciągać ciężkie bele futer. Załadunek przebiegał sprawnie i szybko. Gdy ostatnia wiązka skór znalazła się na pokładzie, do kołyszących się na łagodnej fali indiańskich czółen poczęto spuszczać baryłki z jakimś bulgocącym płynem.

W pół godziny później szyper uściśnął serdecznie rękę dostawcy futer, a zarazem odbiorcy rumu. Pożegnawszy nocnego kontrahenta i odprowadziwszy go do sznurowej drabinki odczekał, aż obydwie kanu odbiją od burty, po czym skinął na bosmana.

– Na dzisiaj, Jacques, koniec roboty. Niech chłopcy wytoczą sobie jakąś baryłkę. Mnie też każ przynieść coś do przekąszenia i niedużą butelczynę.

– Tak jest, panie kapitanie.

Charkot wsunął między zęby mocno nadgryziony cybuch fajki i udał się do siebie. – Tak, interes, jaki ubił przed paroma minutami, sowicie opłacił tę odrobinę ryzyka. Bo ryzyko oczywiście istniało. Cały przewożony do Nowej Francji alkohol powinien być natychmiast po przyjeździe zgłoszony odpowiedniemu urzędnikowi. Nie wolno nim było handlować na własną rękę, podobnie zresztą jak futrami. Właśnie”. Nie było wolno. Królewskie przepisy były tu bezwzględne i rygorystyczne. Ale niestety nie uwzględniały rzeczywistości. Gdyby urzędnicy z Paryża znali realia, wiedzieliby zapewne, że z dzikimi nie ma handlu, jeśli nie ma rumu. Ścisłe przestrzeganie przepisów doprowadziłoby do bankructwa pewnie niejednego kupca. Stary kraj nie otrzymałby nawet jednej dziesiątej futer. A więc ryzykowali wszyscy. Charkot też. W tej chwili jednak ryzyko przestało istnieć. Teraz, gdyby nawet cała armia urzędników chciała mu zarzucić cokolwiek, nie znalazłaby ani kropli ponad to, co mógł posiadać na potrzeby załogi. A futra? Tu nie było problemu. Pod pokładem miał już cały ładunek od kilkunastu kupców i sporo bel z jezuickich misji. Jutro dołoży jeszcze to, co przesyła zwykle do Francji sam gubernator. Wszystko więc było w porządku.

Z tego, co otrzymał dzisiaj, mógł spodziewać się w kraju ładnej sumki. Czapki z bobrowych futer stawały się tam coraz bardziej modne i coraz droższe. Ziewnął szeroko i zamknął za sobą drzwi kajuty.

Tymczasem wypełnione baryłkami i popychane kilkunastoma a parami ramion kanu parły szybko w górę rzeki. Odbiorca rumu, siedzący teraz spokojnie na dziobie pierwszej łodzi, nakazał pośpiech, toteż wiosłarze nie żalowali wysiłku. Gdy ponad trzy tygodnie temu wieźli jego ogromny transport futer, nie mieli pewności, czy zapłaci tyle, ile obiecał, ale nie zawiódł ich. Nie żalowali więc długiej podróży i wiedzieli, że ich kobiety nie będą żalowały również. Shemágonish<sup>18</sup> nie oszukał ich, był taki, jak jego ojciec. Toteż gdy poprosił, by poczekali i powieźli do jego zimowego obozu towary, jakie chciał zabrać z Trois Rivières, zgodzili się chętnie. Zgodzili się również popłynąć po rum do Quebecu i wiedzieli, że gdy przyjdzie czas, dostaną tego rumu tyle, ile im się należy i ten rum im nie zaszkodzi.

---

<sup>18</sup> Czytaj: Sze-ma-go-nisz, czipewjskie ogólne określenie żołnierza, wojownika, dzielnego, odważnego mężczyzny.

Pamiętają do dziś, jak to pierwszy raz wbrew woli kupca zabrali jedną baryłkę. Przyszedł do nich i zażądał, by oddali. Byli głupi. Nie usłuchali. Shemágonish zapowiedział, że jeśli skosztują tej ishkoótá-wahboo<sup>19</sup>, na pół Księżyca wejdzie w nich zły duch i uczyni, że staną się słabsi od dzieci. Nie wierzyli i wypili całą baryłkę. Uwierzyli na drugi dzień, gdy żaden nie miał siły podnieść się z ziemi, gdy bębny huczały im w głowach, a żołądki przy najmniejszym poruszeniu podchodziły do gardła. I trwało to przeszło dwanaście dni. I wtedy przyszedł on ponownie i przyniósł drugą baryłkę wody ognistej. Każdemu nalał tylko kubek i kazał wypić. Powiedział, że nim słońce obudzi się, będą zdrowi. Musiał być potężnym szamanem, bo gdy obudził ich śpiew ptaków, byli znów zdrowi i pełni sił. Nigdy więcej bez jego zgody nie pili. Wiosłując teraz rytmicznie obserwowali go w milczeniu. Przez dłuższy czas nie odzywał się jednak. Dopiero kiedy oddalili się kilka mil od statku, poruszył się i uniósł rękę. Na ten znak, kanu opuściły główny nurt i przybiły do brzegu. Kupiec wyskoczył na brzeg i powiedział cicho:

– Moi bracia wiedzą, co mają czynić dalej i wiedzą też, gdzie i kiedy się spotkamy. Shemágonish opuści ich tutaj, gdyż musi się bardzo spieszyć.

Z mroku wyłoniło się niewielkie, wąskie kanu z trzema wiosłarzami. Mówiący machnął na pożegnanie ręką swej dotychczasowej załodze i zajął miejsce w przedniej części nowego stateczku. Ale tym razem sam również ujął wiosło. O pozostawionych Indian i rum nie musiał się obawiać. Wiedział, że od pewnej pamiętnej lekcji, jakiej udzielił Indianom, nie tkną żadnej baryłki. Zanurzył głęboko wiosło. Mała lekka łódka popychana czterema silnymi parami ramion wkrótce zniknęła w ciemności. Dwa ciężko wyladowane długie kanu ponownie odbiły od brzegu i znacznie wolniej ruszyły w jej ślady, stapiając się z mrokiem nocy.

W środę aż dwukrotnie, przed południem i tuż po zachodzie słońca, Fleury zachodził do chatki swego młodego przyjaciela, jednakże skrzyżowane nad skoblem patyczki mówiły wyraźnie o nieobecności gospodarza.

U starszego kupca Paul pojawił się dopiero około dziewiątej. Wydawał się trochę zmęczony, jednakże gospodarzowi nie przeszło przez myśl, że jego gość ma za sobą prawie trzy nie przespane noce i sto kilkadziesiąt mil prawie bezustannego wiosłowania.

– Już myślałem, że nie zjawisz się dzisiaj – powiedział otwierając drzwi. – Wchodź. Lucille poda zaraz kolację.

Paul kiwnął głową.

– To wspaniale. Czuję się tak, jak po parodniowym poście. Nie pytano o mnie?

Gospodarz zaprzeczył.

– Nie pytano, ale miałeś rację. Gobineau nie ma zamiaru wypuścić cię z Trois Rivières, chyba że jego siostrzeńcowi dam towary. I czuję, że będę musiał je jakoś podzielić. Zabierzesz z sobą mniej.

Gość roześmiał się szczerze.

– Nic z tego. Zabiorę wszystko. Przemyślałem to, co trzeba, i znalazłem dobry sposób.

W tym momencie otwarły się drzwi do kuchni. Zażywna niewiasta wtoczyła się do izby z dużym, żelaznym kociołkiem i mruknęła na powitanie:

– Zjawił się pan wreszcie. Jeszcze godzina i mięso rozleciałoby się w zupie.

– Nie trzeba było czekać, Lucille. Nie powinnaś trzymać pana Fleury’ego tak długo o pustym żołądku.

– Pewnie, że nie powinnam, ale pan Fleury mówił, że będzie pan dzisiaj. Musiałam więc czekać.

Mężczyźni przerwali rozmowę, czekając, aż gospodyni postawi wszystko na stole. Jakoż

---

<sup>19</sup> Czytaj: Isz-ku-tej ua-bu, alkohol.

warto było poczekać. Z kuchni wędrowały szybko półmiski tłustego, wędzonego łososia, okonie, niewielkie, dobrze przyrumienione szczupaki, pardwy, cietrzewie, cyranki i trzy półmiski pieczonego mięsa. Na koniec stara postawiła na stole miskę fasoli w ostro pachnącym sosie i przyrumienione placki owsiane.

Gospodarz wyjął z kredensu pękata karafkę czerwonego wina i dwa kielichy. Swego gościa nie musiał zachęcać. Sam jadł dużo, ale nie wyobrażał sobie nawet, że jego współbiedak jest w stanie pochłoniąć taką ilość pokarmu. Patrząc, jak ten zmiata zawartość półmisek, pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Widzę, że od naszej ostatniej rozmowy nic nie jadłeś. Lucille wiedziała, jaką kolację przygotować.

Paul kiwnął głową.

– Ma pan wspierać gospodynię, panie Fleury. Szkoda, że nie mogę zjeść już więcej, ale teraz mam spokój na parę dni – wytarł ręce o lniany ręcznik i odsunął się od stołu.

Lucille wniosła imbryk z herbatą i posprzątała prawie puste półmiski. Była zadowolona. Pierwszy raz od dłuższego już czasu nie musiała wynosić prawie nie naruszonych potraw. Mamrotała coś wprawdzie pod nosem, ale nie brzmiało to zbyt groźnie.

Mężczyźni zostali sami. Gospodarz nalał herbatę i spojrzał pytająco na swego gościa.

– Mówiłeś, Paul, o jakimś sposobie. Nie bardzo rozumiem. Gobineau zabronił, żebym wydawał ci jakiegokolwiek towary. Nie zabierzesz więc ich.

– Tak, przed dzisiejszą kolacją widziałem jeden sposób. Teraz widzę dwa – na pytające spojrzenie gospodarza wskazał oczyma drzwi kuchni.

– Lucille? A co ona ma, na Boga”?

– Właśnie Lucille. Świetnie gotuje. W tym tygodniu będzie musiała przygotować jeszcze raz dobrą kolację, ale nie na dwie, a na trzy osoby.

– Chcesz przyprowadzić kogoś z sobą? – gospodarz uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Nie, mnie na tej kolacji nie będzie. Zaprosi pan na nią porucznika Gobineau i Girarda. I zamiast wina będzie dużo mocnego rumu.

Brwi gospodarza powędrowały jeszcze wyżej.

– Ja mam zaprosić na kolację porucznika i jego siostrzeńca? Po co?

– Ba”. Potrzebne mi to jest, panie Fleury. Jeśli będą u pana, nie będą mogli być jednocześnie w innym miejscu – właśnie tam, gdzie będę ja. A mogliby się tam znaleźć nawet zupełnie przypadkowo, gdyby nie spożywali w tym samym czasie przysmaków Lucille i nie popijali rumu.

– A ty, Paul, gdzie będziesz w tym czasie?

– Niedaleko stąd, panie Fleury, i będę-zajęty czymś, w czym obecność porucznika przeszkadzałaby mi.

– Paul, czy ty nie zamierzasz przypadkowo”?

– Niech pan nie pyta o szczegóły. Zaprosi ich pan na kolację na sobotę. Powinni tu być o zachodzie słońca i pozostać przynajmniej do północy. A jeśli się panu uda, to i dłużej. Poza tym byłoby dobrze, gdyby nie mogli wrócić do siebie o własnych siłach i musieli przespacerować całą niedzielę.

– Ale co ty chcesz zrobić?

– Zobaczysz pan, że nic nieuczciwego. Aha. I w sobotę niech pan zostawi klucz od magazynu w zwykłym miejscu. Kupiec patrzył na młodzieńca z niepokojem.

– A więc ty chcesz”?

– Przecież nie mamy innego wyjścia.

– Paul, to kryminalna sprawa. Jeśli cię złapią, pójdiesz pod sąd.

– Nie, panie Fleury. Przecież gubernator przysłał mi licencję, a ja zabieram moje własne towary, tylko bez pańskiej wiedzy. Widziałem Henryka, jak płynął do Quebecu. Mam nadzieję, że do przyszłego roku ksiądz Laval pomoże wyjaśnić wszystko, a Gobineau



przestanie panu grozić. Właściwie to powinienem przed odpłynięciem zdjąć skalp z jego głowy.

– Nie waż się tego robić – gospodarz patrzył z niepokojem na swego trochę dzikiego przyjaciela.

– Niech się pan nie obawia. Jeśli będą tu, nic się im nie stanie.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, w końcu kupiec popatrzył na młodzieńca i z troską w głosie powiedział:

– Ważysz się na czyn zuchwały, ale skoro już tak zdecydowałeś, to postaram się, by moi sobotni goście nie wytrzeźwili do poniedziałku. A klucz będzie w zwykłym miejscu. Z wartą przy bramie poradzisz sobie?

– Poradzę. Niech pan będzie spokojny. Muszę teraz iść i wyspać się.

– Czy będziesz czegoś jeszcze potrzebował?

– Nie, mam wszystko co potrzeba.

W pół godziny później, pożegnawszy serdecznie gospodarza, spał kamiennym snem odrabiając zaległość trzech pracowitych nocy.

Kilka dni później, tuż przed zachodem słońca, gdy nocna straż objęła swe posterunki przy zachodniej bramie fortu, na rzece dał się zauważyć jakiś ruch. Jeden z wartowników patrzył dłuższą chwilę, w końcu trącił łokciem swego towarzysza.

– Popatrz, co robi. ten dzikus na brzegu.

– Co robi? Nie widzisz? Coś płynie, a on ma ochotę to wyłowić. Chodź. Pomożemy mu.

Jakoż w chwilę później obydwaj szybko zbiegli ze stromego w tym miejscu brzegu nad wodę. Z wyłowieniem pływającego przedmiotu nie mieli większych kłopotów i wnet dosyć ciężka baryłka znalazła się w ich rękach.

Brudnego i umorusanego dzikusa przepędzili bez ceregieli. Zresztą nie stawiał specjalnie oporu. Coś tam wprawdzie usiłował tłumaczyć, pokazując na baryłkę i na siebie, jakby domagał się swego udziału, widząc jednakże groźnie wzniesioną broń, umknął szybko w nadbrzeżne chaszczce. Nie uciekł jednak daleko i chyba nie był specjalnie przestraszony, bo skrywszy się za rozłożystą kępą wikliny przypadł do ziemi i począł pilnie patrzeć na to, co żołnierze uczynią z beczką. Nie czekał długo. Jeden z wartowników kolbą muszkietu odbił szpunt i nachylił się nad otworem. I widocznie woń wydobywająca się z wnętrza beczki nie była mu obca, bo bez namysłu odpiął od pasa skórzany kubek i napełnił go aromatycznym płynem. W chwilę później to samo uczynił drugi. Rum musiał im smakować, bo wkrótce kubki zostały napełnione ponownie.

Nagle jeden z wartowników bez widocznego powodu pochylił się, przyklęknął na jedno kolano i ułożył na trawie. Wkrótce drugi spoczywał obok niego.

Patrzący z ukrycia odczekał kilka minut, poczym nie kryjąc się ruszył spokojnie w stronę bramy. Obejrzał uważnie leżących, posłuchał ich równego oddechu i przewrócił na bok baryłkę, pozwalając, by rum wypłynął na ziemię. Wtedy zwinął dłonie, przyłożył do ust i wydał dwukrotnie jęklivy głos nura. Nim przebrzmiało echo głosu, z nocnej czerni wyłoniło się kilkadziesiąt półnagich postaci. Ten, który pojawił się pierwszy, znając widocznie dobrze teren, poprowadził ich opłotkami w miejsce, gdzie znajdował się magazyn i kantor pana Fleury'ego.

Wkrótce ciężko obciążone postacie przemknęły bezszelestnie ponownie przez otwartą bramę palisady i nie spiesząc się złożyły cały ładunek towarów w dobijających do brzegu długich indiańskich kanu. Opróżnianie magazynu trwało dobre dwie godziny.

Przewodnik, a zarazem, jak można się było domyśleć, dowódca oddziału, gdy przeniesiono już wszystkie towary, zamknął bramę od wewnątrz. Następnie przedostał się przez palisadę, popatrzył raz jeszcze na pogrążoną w ciszy osadę i wskoczył do pierwszej łodzi. Na jego znak załadowane kanu odbiły od brzegu i rozplynęły się w nocnych ciemnościach.

## ROZDZIAŁ III

### Leśny goniec

Piętnastego października, po blisko dwuipółmiesięcznej, uciążliwej podróży i przebyciu bez mała tysiąca pięciuset mil, długi wąż wyładowanych towarami kanu wpłynął w niewielką zatoczkę rozlanego jeziora, położonego w głębi lasów o dobre trzysta mil na północ od zachodnich krańców jeziora Tracy.

Zatoczka była cicha i spokojna. Kryształowo czysta woda łagodnie obmywała wąski pasek żółtego, piaszczystego brzegu, z którego na widok ludzi poderwało się przed chwilą do lotu stadko dużych, ciężkich kaczek. Były tłuste i fruwały jeszcze trochę nieporadnie.

Paul pogonił za nimi wzrokiem i szybko policzył ginące za zalesionym cyplem ptaki. Nie brakowało żadnego. Stadko liczyło dziewięć sztuk i patrzący z podziwem uświadomił sobie, że w czasie jego nieobecności starej udało się uchronić wszystkie swoje maleństwa. Gdy parę miesięcy temu opuszczał to miejsce, uczyły się dopiero życia i nie były większe niż pięść dorosłego mężczyzny. I nie miał wątpliwości, że to te same. Żadnego nie upolowała ani szara sowa mieszkająca w dziupli spróchniałego już dębu, ani drapieżny sokół, którego gniazdo mieściło się po drugiej stronie jeziora na szczycie suchej już prawie jodły, ani nawet lis mający swoje nory za pobliskim wzgórzem.

Raz jeszcze rzucił okiem na znikające ptaki i przeniósł wzrok na faktorię. Była nienaruszona i chociaż liczyła już sobie prawie trzy lata, nadal wyglądała solidnie.

Wyszedł na brzeg i skierował się w stronę niewielkiego, podłużnego kopczyka usypanego tuż u stóp oddalonej nieco od innych samotnej sosny. Na szczycie kopczyka widniał biały, prosty, brzozy krzyż. Obłożony był ciężkimi kamieniami i tkwił prosto. Biała kora mimo deszczu i słońca zachowała swą barwę i na tle ciemnego pnia sosny odcinała się wyraźną, jasną plamą. Sam grób nie był również naruszony. Na podłużnym kopczyku, mocno ubitą na wiosnę ziemię pokrywał zielony kobierzec trawy, pośrodku którego chwiała się delikatnie wysmukła, cienka łodyżka czerwonego maku. Skąd się tu wzięła? Jakże duchy przeniosły ją w te odległe, dzikie strony? I czemu wyrosła właśnie na grobie – niczym opiekuńczy duch?

Przed oczyma Paula zamajaczyła surowa, wychudła twarz Umierającego, jego głęboko zapadnięte oczy gorejące nienaturalnym blaskiem i długie, czarne, nie tknięte nawet jedną srebrną nitką włosy. Twarz ta mimo wielomiesięcznej, wyniszczającej choroby tchnęła wewnętrznym spokojem i powagą. Do ostatniej chwili nic nie zmieniło jej wyrazu.

Louis Bresson wiedział, że umiera. Z każdym dniem coraz wyraźniej widział zbliżającego się Ducha Śmierci i patrzył na niego bez cienia niepokoju. O bliskim już końcu mówił, jak o czymś najzupełniej naturalnym, jak o jednym z tych zwykłych wydarzeń, które przepływają przez życie każdego człowieka. Widząc posepniejącą twarz syna uśmiechał się czasami; gdy pozwalały mu na to siły, żartował. Wtedy oczy rozjaśniały się ciepłym spokojnym blaskiem.

To właśnie on na kilka dni przed śmiercią kazał Paulowi wyciąć młodą brzozkę i przypilnował, by krzyż został wykonany należycie. To on wybrał miejsce na grób i polecił go wykopać w twardej, zmarzniętej ziemi jeszcze za swego życia. Ostatniej nocy nie spał. Prawie cały czas gasnącym wzrokiem wodził za synem, a gdy nadszedł świt, słabnącymi palcami ujął jego rękę i powiedział cicho: – Odchodzę, Paul. Mój czas już przeminął. Nie

smuć się jednak i nie żałuj. Będę czekał na ciebie spokojnie po tamtej stronie. Chciałbym, byś wrócił tu kiedyś i nie pozwolił, by moje kości zostały rozciągnięte przez dzikie zwierzęta. Masz wśród Indian wielu przyjaciół. Powinno ci być z nimi dobrze. Cieszę się, że przez te ostatnie lata miałem syna. Żegnaj”. – przymknął powieki. Oddychał ciężko. Widać zmęczyły go słowa, które chciał powiedzieć. Stopniowo jednak oddech stawał się coraz słabszy, wolniejszy. Koło południa z jego ust uleciało ostatnie tchnienie. Nim zaszło słońce, nad mogiłą stanął biały, brzozy krzyż, który jaśniał teraz w blasku słońca.

Pierś patrzącego uniosło westchnienie. Popatrzył raz jeszcze na mały, podłużny, zazieleniony pagórek i rozchylony kielich czerwonego kwiatu, po czym odwrócił się i wolno podążył w stronę otwartej już faktorii, do której Indianie wnosili paki z towarami.

Budynek był obszerny i podzielony na dwie izby. Jedna – mniejsza służyła za mieszkanie kupca i tylko ona miała drzwi oraz kilka niewielkich otworów przepuszczających światło. Druga nie posiadała żadnych zewnętrznych otworów. Stanowiła magazyn towarów i skład futer.

W pierwszej mieścił się duży, kamienny kominek. Pod ścianami stały długie ławy do spania. Pod jednym z większych otworów ściennych przysłoniętych błoną z pęcherza jakiejś dużej ryby stał prosty stół i kilka stołków obciągniętych grubą, wełnistą skórą czarnego niedźwiedzia.

Wewnątrz izby czuć było wilgoć dawno nie wietrzonego pomieszczenia. Towary składano w drugiej izbie. Ładunek przenosiła tylko połowa wioślarzy. Reszta natychmiast po przybiciu do brzegu, na polecenie nieco starszego od innych dowódcy, rozproszyła się po okolicy w poszukiwaniu zwierzyny.

W ciągu ostatnich dwu tygodni, przedzierając się przez rzeki i potoki, liczne jeziora i bagna, dziesiątki działów wodnych, przez które trzeba było przenosić kanu i ładunki, nie polowano, obywając się skąpymi racjami żywności zabranymi jeszcze z Trois Rivières. Toteż wszyscy byli porządnie wygłodzeni. Mimo więc zmęczenia, myśliwi ruszyli teraz ochoczo na łowy w pobliskie lasy.

Pozostali po złożeniu w izbie towarów ujęli w ręce topory i ruszyli na skraj boru. Shemágonish umówił się z nimi, że zaopatrzą go w drzewo. Nie mieli dużo czasu. Była akurat połowa Księżyca Opadających Liści<sup>20</sup>. Szybko zbliżał się Księżyc Mrozu<sup>21</sup>. Najwyższy czas, by wrócić do swoich rodzin i wraz z nimi ruszyć na zimowe polowania. Toteż Geessenar<sup>22</sup>, któremu wódz powierzył zwierzchnictwo nad ludźmi, nie chciał tracić czasu. Widział, jak nad grobem biały kupiec rozmawiał z duchem swego ojca i wiedział, że nie powinien mu w tym czasie przeszkadzać. Poszedł więc nad brzeg i począł oglądać kanu. Nie były to te same, którymi odплыnęli z Trois Rivières. Tamte długie i ciężkie były dobre na dużą, głęboką wodę. W Sault Ste Marie zamienili je na dużo mniejsze i lżejsze, bardziej dostosowane do płytszych potoków, mielizn i portaży dalszego szlaku. Teraz niektóre z nich wymagały naprawy, ale wiedział, że kupiec posiada kilka niedużych beczek czarnej, gęstej cieczy, która po rozgrzaniu nad ogniem stawała się rzadka, łączyła z korą i zatykała dobrze wszystkie szczeliny. Gdy ostygła, twardniała na powrót i do kanu nie przedostawała się wtedy nawet kropla wody. Tak. Był to dobry sposób naprawiania łodzi. W niektórych trzeba było wprawdzie wymienić całe płyty kory, ale mieli ich jeszcze sporo.

Zza zachodniego skraju jeziora wyłonił się pierwszy myśliwy. Już z dala Geessenar rozpoznał sylwetkę zręcznego i szczęśliwego w łowach młodzieńca. Wyszedł mu naprzeciw i pokiwał z uznaniem głową:

– Widzę, że mój brat i dzisiaj miał dobry dzień, a łania szybką śmierć.

---

<sup>20</sup> Październik.

<sup>21</sup> Grudzień.

<sup>22</sup> Czytaj: Gi-se-na, Zimny. Oznacza kogoś rozważnego, nie ulegającego łatwo emocjom.

– Tak, Neecarnis<sup>23</sup> nie musiał wędrować daleko – odparł młody, najwyżej dwudziestoletni, chłopak, niosący na swych barkach piękne, pokryte gęstym futrem zwierzę. – Czy inni myśliwi wrócili już?

Wódz pokręcił przecząco głową:

– Jeszcze nie. Mój młody brat jest pierwszy. Ale słońce zniża się już. Niedługo powinni nadejść pozostali.

Jakoż wkrótce z różnych stron poczęli wysypywać się pojedynczo lub w małych grupkach następni. Okolice musiała obfitować w zwierzynę, bo każdy wracał z jakąś zdobyczą. Tego jednego popołudnia upolowano pięć łań, jednego młodego łosia i jedną kłępę, przeszło dwadzieścia zajęcy i jednego, tłustego bobra, a także kilkadziesiąt indyków, od których roły się okoliczne zagajniki.

Okolo południa następnego dnia, w czasie gdy biały kupiec robił porządek w magazynie, nadeszło kilku starszych myśliwych na czele ze swym wodzem. Młodzieniec przerwał pracę i spojrzał pytająco na przybyłych:

– Z czym przychodzą moi bracia?

Do przodu wysunął się dowódca i powiedział spokojnie:

– Shemágonish wie, że wszyscy mężczyźni, którzy odwozili jego futra na wschód, a teraz przywieźli towary, wypełnili dobrze swój obowiązek. Nadszedł czas ich powrotu do rodzinnej wioski, z której ruszą na łowy. Chcieliby odejść dzisiaj, chyba że ich brat ma jeszcze jakieś życzenia?

Młodzieniec spojrzał z sympatią na mówiącego:

– Rozumiem moich czerwonoskórych braci. Stracili dużo czasu i pracowali uczciwie przez wiele Księżyców z dala od swych najbliższych. Muszą do nich wrócić teraz i zawieźć podarki. Niech Geessenar powie wszystkim mężczyznom, by przyszli teraz i odebrali to, co im się należy.

W kilkanaście minut później myśliwi wynosili do swych kanu kołdry, bele grubego sukna, koce, ciepłe wełniane koszule, proste, myśliwskie noże żelazne, ostrza na topory, formy do odlewania kul, groty do strzał i oszczepów, strzelby, baryłki i rogi z prochem, żelazne potrzaski i sidła, płaty ołowiu, kociołki, igły, nici i agrafki, kilka bel cienkiego sukna dla kobiet i różnobarwne koraliki.

Gdy ostatni opuszczał magazyn, Paul zwrócił się do wodza:

– Czy Geessenar jest zadowolony?

– Tak, Shemágonish dotrzymał słowa i wszyscy są również zadowoleni. Będą polowali przez całą zimę, a wiosną przybędą tu z futrami. Niepokoi ich jedynie, że biały brat pozostanie tu sam przez wiele Księżyców. Powinien podobnie jak inni kupcy mieć przynajmniej kilku mężczyzn do pomocy. Mógłby wtedy nie obawiać się ani Kuhauchenewug<sup>24</sup>, ani Kenishtenog, ani białych kupców znad Wielkiej Zimnej Wody<sup>25</sup>, którzy już od dwu zim<sup>26</sup> handlują z Indianami.

– Niech mój czerwonoskóry brat się nie niepokoi. Zostaje ze mną Neecarnis. Nie obawiamy się nikogo. Na początku Księżyca Mrozu w pobliżu będzie przechodził ze swymi myśliwymi i kobietami Seseganaga. Shemágonish porozmawia z nim. Jego ludzie polowali pewnie cały czas. Może kilku z nich i jakaś kobieta zechce pozostać. A wigwam – tu wskazał ściany baraku – jest dobry i bezpieczny. Drzewa nie przebije ani strzała, ani kula.

Geessenar skinął głową.

– Wigwam mocny i dobry. Toteż lepiej nie opuszczać go za często. Indianie różni. Tak

<sup>23</sup> Czytaj: Ni-ka-nis lub Ni-zi – przyjaciel, brat.

<sup>24</sup> Czytaj: Ka-ja-aczi-nene-wuag – nazwa Indian Czarnostopych nadana im przez plemiona Odżibuejów.

<sup>25</sup> Słona Woda, Wielka Słona Woda, Wielka Zimna Słona Woda – nazwa nadawana przez Indian Zatoce Hudsona.

<sup>26</sup> Tym słowem Odżibueje określali cały rok.

samo jak biali – dodał z przekonaniem.

Paul uśmiechnął się.

– Shemágonish będzie o tym pamiętał. Pamięta też, że wodzowie wioski Geessenara dali mu aż stu dwudziestu zdrowych i silnych myśliwych na wiele Księżyców. Geessenar zawiezie więc wodzom podarki. Neecarnis włożył wszystko do jednego kanu. Warbishcar Nocey<sup>27</sup> będzie wiedział, jak je rozdzielić.

Twarz Indianina zapłonęła radością. Wiedział, co znajdowało się w tym kanu. Shemágonish nie zapomniął więc o wodzach. Był mądrym i dobrym kupcem. Położył dłoń na ramieniu młodzieńca i powiedział poważnie:

– Mój brat jest mądry. Kezhá-muhnedoo<sup>28</sup> będzie czuwał nad jego spokojnym snem – na sposób białych wyciągnął rękę i potrząsnął silnie dłonią młodzieńca.

W parę minut później sznur kanu znikł za cypłem zatoki, Nad brzegiem długo stali Shemágonish i jego młody, indiański przyjaciel.

Tętniąca jeszcze nie tak dawno życiem polana opustoszała teraz. W kilku miejscach dymiły resztki ognisk. Nisko zawieszone nad horyzontem słońce przykryła niewielka, ciemna chmura. Obok niej ciągnął z północy długi klucz gęsi. Neecarnis wskazując nań ręką powiedział:

– Odlatują z północnego kraju. Wkrótce przyjdzie śnieg.

Tak, Paul też myślał podobnie. Wprawdzie trawa była jeszcze wszędzie zielona, jednakże niektóre drzewa straciły już wiele swych liści, a te, które pozostały na gałęziach, nabrały żółto-brązowego koloru. Jedynie szpilkowe bory rozciągające się wokół zachowały nadal swą barwę. Pozostawały zresztą zielone przez cały rok, nawet w czasie największych mrozów. Uniósł głowę do góry i popatrzył w niebo. Niezbyt wysoko przesunęły się pojedyncze, lekko skłębione chmury. Sunęły leniwie i nie wyglądały zbyt groźnie, ale w przezroczystym powietrzu widać było wyraźnie, że podobnie jak ptaki przemieszczają się na południe. Dotknął ramienia swego przyjaciela.

– Chodźmy! Trzeba zrobić porządek z towarami.

Jakoż w pół godziny później w najdalszym i najciemniejszym kącie dużej izby służącej za skład towarów odsunęli kilka krótkich desek z podłogi i odsłoniли niewidoczne i dobrze zamaskowane wejście do piwnicy. Po wykonaniu pracy otwór w podłodze ponownie zasłonili deskami, podłogę zaś wysypali piaskiem. Późnym wieczorem barak był całkowicie posprzątany.

Następnego dnia jeszcze przed wschodem słońca udali się na polowanie. Nie mieli mięsa i musieli zgromadzić go sporo na okres mrozów.

W ciągu następnych prawie dwu tygodni polowali bez przerwy, przy czym na łowy wychodzili na zmianę. Gdy jeden wyruszał ze strzelbą, drugi pozostawał w obozie piekąc, wędząc mięso i wytapiając tłuszcz.

Zastawiona na pobliskim głębokim strumieniu sieć przynosiła im każdego dnia po kilkanaście dorodnych łososi. Toteż wkrótce na obszernym strychu wisiały dobrze uwędzone płaty tej wspaniałej ryby. Dzięki codziennym polowaniom na mocnych sznurach i żerdziach zwisały dobrze uwędzone udźce łosia i karibu, pieczone połcie jelenia i całe mocno zrumienione indyki, tłuste szynki i łopatki niedźwiedzia, którego pewnego dnia upolował Neecarnis. W kilku sporych kociołkach znajdował się niedźwiedzi i bobrowy tłuszcz. Jedyny kłopot w razie przymusowego pozostawania w baraku stanowiłby brak wody, ale sprawę tę rozwiązali przez napełnienie dwu opróżnionych po rumie baryłek i kilku większych miedzianych kociołków. Nawet w razie napadu, którego tu nigdy nie można było wykluczyć,

---

<sup>27</sup> Czytaj: Uor-bisz-kar Nou-sei – Biały Ojciec.

<sup>28</sup> Czytaj: Ki-zema-ni-du– Wielki Dobry Duch. W większości języków algonkińskich imię Wielkiego Dobrego Ducha brzmiało Kicze Manitu lub Manitu. Jednak samo słowo „manitu” wśród tych plemion oznacza każdego ducha. Wielki Zły Duch był nazywany Mache Manitu, a inne duchy po prostu manitu.

zapasy mięsa i wody powinny starczyć na dłuższy czas.

Nocą z dwudziestego szóstego na dwudziestego siódmego października spadł pierwszy duży śnieg. Z samego rana zabrawszy spory zapas sideł i potrząsków oraz worek świeżego mięsa na przynętę poszli zastawić pułapki. Nim oddalili się od swego obozu na pół mili, drogę ich przecięły liczne tropy zwierząt. Nie zatrzymywali się jednak. Jak wiedzieli, najwięcej czworonożnych mieszkańców puszczy żyło w pobliżu łososiowego strumienia. Tam też skierowali swe kroki, a dotarłszy do wodospadu, przy którym zwykle stawiali sieć, skręcili w prawo i poszli z biegiem strumienia.

Dopiero teraz na puszystej białej pokrywie śnieżnej widać było wyraźnie setki śladów pozostawionych przez czworonożnych mieszkańców puszczy. Z łatwością rozpoznawali głębokie, szeroko rozstawione ślady racic jelenia oraz wielkie, charakterystyczne wgłębienia w śniegu pozostawione przez łosia. Klępa z wyrośniętym cielakiem musiała przechodzić tędy niezbyt dawno, bo trop był zupełnie wyraźny. Najłatwiejszy do rozpoznania trop zwierzęcia, które chodząc stawia jednocześnie obie lewe, a następnie obie prawe nogi.

Obok pnia zwalonej brzozy ciągnął się długą wąską nitką trop lisa. O kilka kroków dalej widniały wyraźnie odcisnięte ślady długich przednich i znacznie krótszych tylnych stóp leśnego zająca. Parokrotnie w świerkowym zagajniku, dochodzącym niemal do samej wody, widzieli długi, prosty ślad wilka.

Przecinając modrzewiowy las, na zmurszałym, pokrytym śniegiem pniu odkryli delikatny ślad łapek kuny i wkrótce wypatrzyli zwierzątko przytulone do pnia rosnącej nad strumieniem wierzb.

Sidla i potrząski założyli wzdłuż strumienia na prawie dwumilowym odcinku. Wracając na przełaj, w pobliżu rozległego trzęsawiska, w znacznej odległości dostrzegli ciemny, sunący tuż nad śniegiem wysmukły kształt czarnego lub może srebrnego lisa. Znaczna odległość nie pozwalała przyjrzeć się zwierzęciu dokładnie. Nie dawała też szans na skuteczny strzał.

Tu i ówdzie z miękkiego puszystego śniegu podrywały się stada pardw, a z gęstego, wysokiego wrzosowiska co chwila rozlegał się głos indyka.

Jeszcze tego samego wieczoru zabrali lekkie kanu. i przez nie zamarznięte jezioro po godzinnym wiosłowaniu przeprawili się na drugi brzeg. O kilkaset kroków w głębi lasu wznosiło się dość strome zbocze prowadzące na samotną skałę. W ciągu następnych dwu godzin na szczycie skały ułożyli duży stos gałęzi i podpalili go. Wkrótce w niebo strzelił wysoki, jasny słup ognia, znak dla wszystkich wiosek i myśliwych, że biały kupiec rozbił swój wigwam pełen towarów w zwykłym miejscu i przez wszystkie Księżyce zimna chętnie będzie widział myśliwych z futrami.

Skała była wysoka. O dobre kilkadziesiąt stóp górowała nad wierzchołkami najwyższych jodeł, a wznoszący się nad nią słup ognia musiał być widoczny w czystym powietrzu na dobre kilkadziesiąt mil wokół.

Paul wiedział, że wieści o jego przybyciu rozniosą się teraz daleko, w najbardziej odległe zakątki dzikiego kraju, co zapewniało w nadchodzących miesiącach napływ futer. Wiedział też, że ognia nie dostrzeże tylko jedna wioska -wioska leżąca daleko na południowym zachodzie, położona za wysokimi wzgórzami, której wodzem był właśnie Seseganaga.

Wioska była liczna i ludna, i jak wiedział, liczyła nie mniej niż dwustu myśliwych. To właśnie oni w ubiegłym sezonie zaopatrzyli go prawie w połowę futer. Nie mógł zrezygnować z powiadomienia ich o swym przybyciu. Jeśli nie otrzymają znaku, mogą nie pojawić się na wiosnę, a futra dostarczyć do faktorii Busarda położonej nad Lac la Morte. Wolał więc nie ryzykować. Znał dobrze ich zimowe łowieckie tereny i wiedział, jakim szlakiem Seseganaga zwykle przenosi wioskę na zimowe rejony. I wiedział jeszcze jedno. Ta wioska w odróżnieniu od wielu innych przenosiła się zwykle dopiero wtedy, gdy mróz ściał już mocno rzeki i jeziora. Seseganaga nie używał wtedy kanu, które wydłużałyby drogę prawie trzykrotnie, lecz długich, wąskich sań zaprzężonych w psy. Ale pewnie wódz jeszcze

nie ruszył. Musiał czekać na większy mróz i zamarznięcie rzek. Paul miał więc trochę czasu.

Począwszy jednak od następnego dnia przy pomocy swego przyjaciela zabrał się za przygotowywanie sań i uprzęży dla psów. Fala mrozu, jaka nadciągnęła niespodziewanie z północy, dosłownie w ciągu kilku godzin ścięła powierzchnię jeziora, tworząc na niej gładką, grubą taflę. Nocą temperatura spadła jeszcze bardziej, a wieczorem drugiego listopada, chociaż mróz trochę zelżał, powiał wschodni wiatr, niosąc z sobą śnieżną zadymkę, trwającą bez mała tydzień. Gdy wreszcie skończyła się, Paul nie zwlekał. Załadował gotowe już długie sanie, zabrał worek żywności, rozleniwionym psom nałożył uprząż, ujął w rękę mocny bat i ze świstem przeciął nim powietrze. Nim znalazł się po drugiej stronie polany oddzielającej faktorię od brzegu zatoki, zaprzęg przedstawiał jedno kłębowisko szarpiących się, splątanych zwierząt. Sanie leżały na boku, a cały ładunek porozrzucany był w śniegu.

Parokrotne opuszczenie ciężkiego rzemienia na karki kłapiących wściekle i szarpiących się zwierząt uspokoiło je trochę. Nadbiegł Neecarnis i pomógł rozplatać zwierzęta oraz ponownie zamocować ładunek.

Tym razem przewodnik umocował rzemień przy szyi pierwszego psa. Gdy ruszył, psy pociągnęły sanie i poszły za człowiekiem bez większych oporów. Pierwszą milę zaprzęg posuwał się dosyć wolno, a przewodnik po długiej przerwie pozwolił oswoić się zwierzętom z ich nowym obowiązkiem. Następnie począł nieznacznie zwiększać tempo. W godzinę później rozpoczął bieg po równej, gładkiej tafli jeziora. Coraz rzadziej czuł opór trzymanego w rękę rzemienia. Zwierzęta rozgrzały się widocznie, oswoiły z nową sytuacją i biegły bez wysiłku.

Do wieczora zrobili wspólnie prawie dziesięć mil na południe. Przed samym zachodem słońca, dotarłszy do południowego krańca jeziora, Paul zatrzymał zaprzęg, zdjął z buchających parą zwierząt uprząż, wyciągnął worek i nakarmił swych pomocników. Następnie rozniecił niewielkie ognisko i szybko zbudował prosty szałas z jodłowych gałęzi. Na oczyszczoną ze śniegu ziemię nałożył sporą warstwę cienkich gałązek, owinał się grubą, niedźwiedzią skórą i natychmiast zasnął.

O świcie był już z powrotem na nogach. Szybko nakarmił psy i przewidując kłopoty z nałożeniem im uprzęży mocniej ujął bat. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy przodownik, duży bury huski, kilkoma kłapnięciami mocnych szczęk zapędził swych współpracowników do szeregu. Zaprzęg był gotów do drogi dosłownie w pięć minut.

Głośny okrzyk i zwierzęta ruszyły z miejsca. Paul początkowo biegł w przodzie, wyznaczając kierunek, potem przeszedł na jakiś czas do tyłu, ale nie zmniejszyło to szybkości, z jaką posuwał się zaprzęg. Długa, ginąca w oddali prosta linia drogi, którą posuwały się sanie, wskazywała, że zwierzęta utrzymują ciągle wyznaczony kierunek.

Tego dnia mimo nierówności terenu i kilku miejsc, w których musieli omijać gęste, zwarte modrzewiowe zagajniki, przebyli bez większych trudności dwadzieścia parę mil. Z każdą godziną psy biegły pewniej i jakby swobodniej. Coraz częściej same wybierały drogę, omijały rozpadliny, wykroty, zwalone pnie drzew, tu i ówdzie wystające nad warstwą śniegu ostre głazy. Nie na darmo ojciec Dominik z misji mówił, że to bardzo dobry zaprzęg. Paul już drugiego dnia ani razu nie musiał używać bata. Natomiast stwierdził z przykrością, że worek mięsa, który zabrał na czterodniową, jak obliczył, podróż, z ledwością wystarczy na trzy dni. Zwierzęta pracując ciężko nie zadowalały się już wyznaczonymi im pierwszego dnia racjami pokarmu. Chcąc nie chcąc przed wieczorem trzeciego dnia opuścił sklecony naprędce szałas i zaszył się w niezbyt głęboki parów, którego dnem płynął zamarznięty teraz i przysypany śniegiem potok.

W długich rakietach śnieżnych sunął wolno i cicho. Uszedłszy około pół mili posłyszał słaby szum w dole potoku. Jeszcze bardziej zwiększył czujność. Nie dalej niż sto kilkadziesiąt kroków w dole słychać było wyraźnie szum skaczącej po kamieniach wody – pierwszy nieomylny znak, że w pobliżu mogła przebywać jakaś grubsza zwierzyna.

Zatrzymał się i popatrzył na wierzchołki drzew. Wiatr szedł ze wschodu, co było korzystne, gdyż myśliwy podążał od strony zachodniej. Ewentualny zwierz nie mógł go wyczuć. Jeszcze kilka minut i znalazł się za grubym pniem żółtej brzozy. O kilka kroków woda przelewała się przez próg skalny, tworząc poniżej pienistą kapiel. Dalej znów pokrywa lodu ścinała strumień. I właśnie tam, obok pochylonej nad wodą kępy wikliny, stał spokojnie piękny jeleni, ogryzając miękkie jeszcze pędy wikliny. Był oddalony od myśliwego o trzydzieści parę kroków i zdawał się nie wyczuwać żadnego niebezpieczeństwa. Sięgał właśnie po nieco wyższą gałązkę, gdy rozległ się suchy trzask wystrzału. Zwierz zamarł na moment, wznosił przednie nogi jakby gotując się do skoku, lecz nagle zastygł w powietrzu i zarył nosem w śnieg.

Paul nabił ponownie strzelbę i dopiero wtedy podszedł do swej zdobyczy. Wapiti<sup>29</sup> był piękny. Musiał mierzyć dobrze pięć stóp i ważyć nie mniej niż sześćset funtów.

Młodemu myśliwemu zrobiło się przez chwilę żal, że nie będzie mógł zabrać ani rogów, ani tak dużej ilości mięsa, nie zwlekał jednak. Szybkimi, zręcznymi cięciami długiego, ostrego noża wykroił całą grzbietową, najsmaczniejszą część mięsa, a następnie kilkoma uderzeniami toporka odrąbał cały zad. Resztę musiał zostawić. Część, którą zabierał, i tak ważyła ze sto sześćdziesiąt funtów, a od obozowiska dzieliła go dobra mila drogi pod górę.

Odczekał kilkanaście minut, aż odpłynie cała krew i mięso stężeje nieco w mroźnym powietrzu, po czym zarzucił zdobycz na ramiona i w niecałe trzy kwadranse był z powrotem w obozie. Tu dopiero w pobliżu ognia ściągnął skórę, pociął mięso na parofuntowe kawałki i kilka z nich rozdzielił sprawiedliwie między psy. Resztę wrzucił do worka i dopiero wtedy zajął się swoją kolacją. Około północy obudziło go dalekie pojedyncze wycie wilka. Było długie, jęgliwe, wibrujące w powietrzu. Gdzieś dalej odezwało się drugie, potem jeszcze jedno. Głos szedł ze wschodu – prawdopodobnie z miejsca, gdzie pozostała większa część zabitego jelenia. Wilki musiały zwietrzyć lub nawet odnaleźć mięso i zwoływały się na ucztę.

Dorzucił kilka grubszych gałęzi do ogniska i spojrzał w niebo. Księżyc stał jeszcze wysoko i na wyiskrzanej milionami gwiazd kopule błyszczał niczym srebrna tarcza. Był wielki i znajdował się niezbyt daleko od ziemi. – Na pewno w miejscu, gdzie niegdyś zawiesił go Mały Żółw<sup>30</sup> – pomyślał młodzieniec i szczerzej owinął się futrem.

Psy drzemały z nosami wyciągniętymi ku ognisku, zdając się nie zwracać uwagi na wilcze odgłosy. Tak. W pobliżu ognia nie miały się czego obawiać. Zresztą o tej porze roku, na początku zimy, wilki wałęsały się jeszcze przeważnie pojedynczo. Dopiero w grudniu i styczniu tworzyły większe hordy liczące po kilkadziesiąt, niekiedy po kilkaset sztuk i wtedy były bardzo niebezpieczne. Atakowały każdą czworonożną, a bardzo często również dwunożną zwierzyń. I biada temu, na czym tropie znalazły się wtedy.

Ogień przygasł nieco. Pod ciepłą, niedźwiedzią skórę poczęło wciskać się coraz chłodniejsze powietrze. Wzrastał mróz.

Nie mogąc zasnąć, młodzieniec ponownie dorzucił trochę dREW do dogasającego ogniska i zagotował wodę. Noc była widna, toteż nim nastał świt, zaprzęg przebył kilka mil. Teren nie stwarzał większych trudności. Płaska, gdzieniegdzie z lekka pofałdowana równina ciągnęła się hen po krańce horyzontu. Wokół ciemniał prastary bór nie tknięty stopą białego człowieka. Niebotyczne jodły i sosny, srebrzyste i ciemnozielone świerki szumiały swą odwieczną pieśń. Gdzieniegdzie pojawiały się większe skupiska żółtej lub białej brzozy, której kora służyła Indianom do wyrobu ich lekkich, mocnych kanu. Tu i ówdzie pojawiał się czerwony lub czarny cedr, niekiedy większe skupiska dębów i buków. Nad strumieniami oraz wokół zamrzniętych jezior i ściętych lodem trzęsawisk królowała olcha i wierzb, zwieszały

<sup>29</sup> Gatunek jelenia zamieszkujący lasy strefy umiarkowanej Ameryki Północnej.

<sup>30</sup> Według legend Indian Ameryki Pn. Mały Żółw pragnąc ozdobić niebo umieścił na nim słońce, gwiazdy i inne ciała niebieskie. Zamieszkiwał „Ziemię” zawieszoną wysoko pod kopułą nieba. Był „żoną” Wielkiego Żółwia dźwigającego na swym ogromnym grzbiecie Wielką Wyspę, czyli cały ziemski świat, na którym żyli Indianie.



się smętnie dosyć cienkie, długie gałęzie leszczyny. Niezbyt głębokie jary i wąwozy odsłaniały nagie skały i duże niekształtne bryły głazów i kamieni wystających ponad cienką warstwą ubogiej, piaszczystej ziemi.

Koło południa daleko przed sobą dostrzegł zarysy wynurzających się nad lasem wzgórz. Skręcił ostro na zachód i poprowadził równolegle do nich zaprzęg. Wkrótce potem stracił wprawdzie wzgórze i oczu, ale wiedział, że znajduje się zaledwie o kilka godzin drogi od szlaku, którym zwykle na północ wyprawiał się ze swymi ludźmi Seseganaga.

Ponieważ tego dnia od chwili opuszczenia ostatniego postoju nie zatrzymał się ani razu, a psy wydawały się solidnie zmęczone i głodne, musiał dać im chociaż ze dwie godziny odpoczynku.

Zaledwie jednak zatrzymał zaprzęg i zaczął zdejmować uprząż, przypadkowy rzut oka do tyłu sprawił, iż zaniechał swego pierwotnego zamiaru. W odległości nie większej niż lot strzały, przebyty przed chwilą szlak sań przeciął jeleń. Zaraz potem przemknęły bezszelestnie dwa wilki, a w ślad za nimi długouchy zając.

Paul uśmiechnął się, gdyż wyglądało to tak, jakby właśnie jeden zając gonił dwa wilki. Uśmiech jednak trwał krótko. Zwierzęta nie uciekały bez powodu i to wszystkie naraz. Musiało je coś spłoszyć. Jedyńą tu groźbę mógł stanowić człowiek. I nie należało tego lekceważyć.

Ujął rzemień opasujący kark przodownika i szybko podniósł zaprzęg na nogi. Znalazłszy się pod osłoną nisko zwisających gałęzi, ukrył psy i sanie, sprawdził tkwiący za pasem długi pistolet, ujął w ręce strzelbę, a następnie cofnął się po własnych śladach kilkadziesiąt kroków i przycisnął pod gęsto przysypanym śniegiem świerkiem. Rakiety krępujące swobodę ruchów zsunął z nóg i zamarł w oczekiwaniu.

Z miejsca, w którym się znajdował – sam niewidoczny – mógł widzieć wszystko prawie na odległość lotu strzały. Patrząc jednak w kierunku południowym. Stamtąd właśnie uciekały zwierzęta i stamtąd musieli nadejść ludzie. Może myśliwi? Odrzucił jednak tę myśl. Myśliwi posuwaliby się pod wiatr, a wiatr ciągnął ze wschodu. Chyba że wracali z polowania? W każdym razie tak czy inaczej musiał sprawdzić.

Minuty mijały wolno, wokół panowała cisza. Wreszcie gdzieś w oddali, na szlaku, którym do niedawna podążał, zamajaczyła jedna sylwetka, druga, trzecia.

Nadchodzący spostrzegli widocznie ślad sań, bo przystanęli i pochyleni ku ziemi badali go przez kilka minut. Obserwujący ich z ukrycia nie miał żadnych wątpliwości, że ślad odczytali dobrze i musieli wiedzieć, że podążający saniami nie znajduje się zbyt daleko. Wiedzieli też, że był sam i wiózł dosyć ciężki ładunek. Jeśli to tylko myśliwi, powinni, nie kryjąc się, pójść za nim szybko. Ich było však trzech, a on tylko jeden. Nie mieli się czego obawiać. Patrząc na ich ruchy z napięciem. Gdy spostrzegł, jak ujmują w ręce łuki, nakładają strzały i suną chyłkiem w stronę jego kryjówek, zdjął bez pośpiechu grube, reniferowe rękawice, pozostawiając na rękach jedynie wełniane. Na zbliżających się patrzył zimno i spokojnie. Byli jeszcze o dobre sto kroków, gdy nabrał już pewności, że to nie myśliwi. Świadczyły o tym wojenne barwy-czerwień i czern-pokrywające twarze. Byli ubrani w skóry wywrócone sierścią na zewnątrz i przez dłuższą chwilę nie mógł odgadnąć, do jakiego plemienia należą. Jednakże ponowny rzut oka upewnił go i w tym względzie.

W prawą rękę ujął strzelbę, w lewą pistolet i bez szmeru odwiódł kurki. Czekał”. Wojownicy nadchodzili ostrożnie, czujnie patrząc bez przerwy na świerkową gęstwinę, w którą prowadził ślad zaprzęgu. Znajdując się o krok od rozłożystego drzewa nie zdążyli nawet odwrócić głów, gdy dwa języki ognia uderzyły w ich piersi. W chwilę później Paul podnosił się znad zwłok trzeciego. Nie żałował ich i nie miał wyrzutów sumienia. Jeśli nie on ich, to oni zabiliby jego. Siuksowie na wojennej ścieżce nie znali litości i nie oszczędzali nikogo.

Szybko zabrał zdobyczną broń, wrzucił na sanki i poderwał zaprzęg do drogi. Tam, gdzie

znajdowało się trzech Bwaunug<sup>31</sup>, musiało być ich znacznie więcej. Nie zamierzał spotykać się z nimi tutaj, gdzie warunki nie dawały żadnych szans obrony przed liczniejszym i, jak wiedział z doświadczenia, przebiegłym i chytrym wrogiem.

Pewna nadzieja na opóźnienie pościgu kryła się tylko w tym, że ci trzej mogli oddalić się na taką odległość od głównego oddziału, że ten mógł nie słyszeć obydwu strzałów i w takim razie pościg mógł wyruszyć z pewnym opóźnieniem. Ale Paul nie lubił niczego zostawiać przypadkom. Do zmroku pozostały najwyżej trzy godziny i sądził, że psy wytrzymają tyle. Teraz, by ułatwić im pracę, biegł na czele zaprzęgu i ubijał szlak.

W dwie godziny później zaprzęg dotarł do skraju boru i potoczył się szybciej po łagodnym stoku. W dole rozciągało się pokryte śniegiem jezioro. Miało przynajmniej ze cztery mile szerokości i kilkanaście mil długości.

Uciekający odetchnął. W gładkiej, czystej, nie dającej żadnej osłony powierzchni jeziora istniała druga szansa. Bez wahania skierował psy na białą, odkrytą przestrzeń. Tuż przed zmierzchem zatrzymał sanie na przeciwległym brzegu. Gdy obejrzał się za siebie, westchnienie ulgi uniosło jego piersi. Wrogowie albo nie dotarli jeszcze do jeziora, albo czaili się po drugiej stronie w gąszczu boru, czyhając, aż mrok skryje ich przed wzrokiem ściganego.

Ten zaś uwolnił psy z uprzęży i rozniecił szybko niewielkie ognisko. Zwierzęta musiały odpocząć, a i sam potrzebował trochę czasu dla odzyskania straconych w morderczym biegu sił; Chwilowo nie obawiał się pościgu. Nawet jeśli ścigający, czego nie był pewien, znaleźli się już nad brzegiem, byli jeszcze oddaleni właśnie o te cztery mile. Widzieli pewnie blask ognia i musieli zachować ostrożność, co opóźniało ich poruszanie się.

Spokojnie nastawił kociołek z wodą, rozgrzał nad ogniem spore porcje zmarzniętego mięsa i nakarmił psy. Dopiero wtedy pomyślał o zaspokojeniu własnego głodu.

W dwie godziny później dorzucił do ognia większą ilość grubych gałęzi i ponownie zaprzągnął zwierzęta do sań. Wkrótce znalazł się znów na szlaku.

Koło północy w powietrzu zawirowały duże płaty śniegu. I to była trzecia szansa.

Wysunął się na czoło zaprzęgu i korzystając z tego, że znajdował się pośrodku niewielkiej odkrytej przestrzeni, gdzie śnieg powinien zakryć ślady najszybciej, skierował się na północ, a o parę mil dalej na północny zachód. Szedł trochę ukośnie z wiatrem i śnieżycą, co ułatwiało nieco tę nocną wędrówkę. Nie spieszył się, ale jak obliczał w myślach, od miejsca, w którym zmienił kierunek, musiał oddalić się o dobre piętnaście mil. O świcie mógł kpić z jakiegokolwiek pościgu. Teraz jemu i zwierzętom ciągnącym sanki należał się dobry odpoczynek. Toteż nie zwlekając wciągnął ładunek pod nisko zwisające ośnieżone gałęzie, okręcił się skórą i prawie natychmiast zapadł w sen.

Koło południa zbudził go ruch i groźne warknięcia przy saniach. To psy szarpały worek z mięsem domagając się swej codziennej porcji. Gdy wyczołgał się spod gałęzi, stwierdził, że śnieg przykrył grubą warstwą wczorajsze ślady sań. Burza skończyła się, a wiatr zmienił kierunek na bardziej wschodni.

Po krótko trwającym posiłku poprowadził zaprzęg tym razem nieco bardziej na zachód. Gdzieś niezbyt daleko powinno, jak pamiętał, znajdować się skupisko wysokich skał, w pobliżu których musiał przebiegać ślad Seseganagi. Paul znał ten rejon i znał miejsce, gdzie wódz urządził zawsze kilkudniowy postój. Jeśli Indianie nie dotarli jeszcze w to miejsce, byłby zmuszony poczekać na nich. Jeżeli jednak byli już tam, to po wiosce liczącej przeszło czterysta osób, mimo padającego nocą śniegu, musiały pozostać jakieś ślady.

Myśląc o tym rozglądał się pilnie wokół. Chociaż podobnie jak wszędzie rozpościerały się bory, jednakże w ich wyglądzie nastąpiła wyraźna zmiana. Jodła coraz częściej ustępowała miejsca sośnie, w większych skupiskach zaczął pojawiać się dąb i buk, na jakimś stoku

---

<sup>31</sup> Czytaj: Bua-nag – nazwa plemion Siuks w języku Odżibuejów.

długim rzędem ciągnęły się wysokopienne białe brzozy.

Paul skierował zaprzęg wzdłuż stoku i po przebyciu pół mili poprowadził psy na szczyt niewielkiego wzniesienia. Poniżej, o kilkadziesiąt kroków, pod zwartą ścianą gęstego świerkowego zagajnika ujrzał coś, co zaparło mu oddech w piersiach. Patrzył dłuższą chwilę, w końcu skierował zaprzęg w dół.

Wzdłuż gęstej linii drzew widniały liczne, ciągnące się ponad dwieście kroków ślady sań. Padający ubiegłej nocy śnieg niesiony południowym wiatrem zatrzymał się na gałęziach świerkowej gęstwiny. Wąski pas wzdłuż jej linii nie został zasypany. Widniały na nim wyraźnie odcisnięte płozy sań i setki śladów śnieżnych rakiet. Szlak biegł w kierunku północno-zachodnim.

Wódz musiał przechodzić już tędy trzy, może cztery dni temu. Z uwagi na kobiety i dzieci nie mógł jednak posuwać się zbyt szybko. Istniała szansa, że Paul wkrótce dogoni podążających przed nim.

## ROZDZIAŁ IV

### Na samotnym szlaku

Śnieg grubą warstwą pokrywał doliny i wzgórza oraz gładką powierzchnię ściętych lodem jezior Białym, delikatnym puchem przysypał grube konary sosnowego boru oraz wysmukłe gałęzie strzelającej w górę jodły. Ciężarem swym przyginał delikatne gałązki modrzewi i młodych, świerkowych zagajników.

Pod wykrotem starego dębu, w ciepłym legowisku, pogrążony w zimowym śnie spoczywał wielki, kudłaty niedźwiedź. Osłonięty dobrze przed podmuchami północnego wiatru i mrozu ssał leniwie swą tłustą łapę. Było mu ciepło. Prócz osłony, jaką zapewniał głęboki, zasypany śniegiem wykrot, ogromne cielsko zwierza okrywała gruba, wełnista skóra, pod którą jeszcze jesienią zgromadził przezornie pokaźny zapas tłuszczu. Nie musiał więc obawiać się głodu, a już od dawna wiedział, że zimowa drzemka dobrze mu robi. Niepomny więc na cały świat pochrapywał sobie spokojnie.

W cieniu nisko zwisających gałązek świerkowej gęstwiny, z chrapami spuszczonej ku ziemi, od kilku minut tkwił nieporuszenie sędziwy łos. Wokół wprawdzie panowała cisza, lecz jego przez lata wyostrzony słuch i instynkt kazały mu stać nieporuszenie. W końcu uniósł łeb i nastawił swe czule, długie uszy. Gdzieś w dali ledwo uchwytny powiew wiatru niósł prawie niedosłyszalny głos, ale głos obcy, niepokojący. Zwierz nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, widać jednak instynkt podszeptął mu coś groźnego, bo odwrócił się wolno i niczym duch zaszył bezszelestnie w przepastnych gęstwinach boru. Mimo swego ogromu nie poruszył nawet jednej gałązki.

Na skraj rozległej, ciągnącej się na przestrzeni wielu mil doliny rudy lis wysunął ostrożnie swój długi, ostro zakończony nos. Wiedział, że przedwczoraj właśnie tędy przeszli ludzie. Było ich wielu i mieli złe psy. Pozostawili za sobą długi, prosty szlak. Ale nie ten szlak, nie resztki pozostawionego wstrętnego, psiego odoru kazały rudemu Wahgoosh<sup>32</sup> zachowywać się teraz tak ostrożnie. Również i jego spiczaste uszy pośród panującej wokół ciszy od dłuższego już czasu łowiły niepokojący dźwięk. Dźwięk, który zapowiadał zbliżanie się nowego niebezpieczeństwa. Wahgoosh, nie zwracając najmniejszej uwagi na przemykającego obok dużego białego królika – swój ulubiony przysmak – opuścił puszystą kity i pozostawiając za sobą delikatny ślad, przeciął skraj doliny.

W mroźnym, przezroczystym powietrzu daleko po wschodniej stronie doliny zamajaczył jakiś czarny punkcik. Był bardzo maleńki – nie większy niż szyszka chwiejąca się na wysokiej sosnowej gałęzi. W miarę jednak jak mijały minuty, powiększał się i zbliżał stopniowo. Z oddali coraz wyraźniej dobiegał głos sunącego psiego zaprzęgu.

Mimo znacznego ładunku zaprzęg posuwał się szybko. Pod płozami delikatnie skrzypiał zmarznięty śnieg. Nieznaczna pochyłość doliny w kierunku zachodnim ułatwiała jazdę i od

---

<sup>32</sup> Czytaj: Uo-gusz (l. mn. Wahgooshug) Lis. Jest to również nazwa jednej z grup plemienia Odzibuejów. Plemiona algonkińskie, w tym Odzibueje, wywodziły swe pochodzenie od mitycznych praprzodków i często przyjmowały ich nazwy. Stąd grupy plemienne nosiły nazwy Lisów, Wilków, Węży, Piżmoszczurów, Wyder. Zdarzały się też nazwy inne, np. Missisauga – Ludzie z Szerokiego Ujścia Rzeki.

ciągnących zwierząt nie wymagała zbytniego wysiłku. Przyspieszyły więc biegu. Tempo zwiększył również biegnący w przedzie człowiek. Przetarty szlak i od niego nie wymagał specjalnego wysiłku. Zaczął mu jedynie dokuczać głód, toteż postanowił zatrzymać się na krótki odpoczynek na skraju niezbyt odległego boru. Psy widocznie wyczuwały jego intencje, bo cała siódemka jeszcze bardziej przyspieszyła biegu.

W kilka minut później, minawszy pierwsze drzewa, zaprzęg stanął w miejscu. Nie zatrzymał go wszakże głos człowieka. Psy stanęły na widok, który i na wędrowcu wywarł niemałe wrażenie.

Oto zaledwie kilka kroków od szlaku, oparty plecami o pień grubej sosny, okryty miękkim, puszystym futrem siedział myśliwy. Na jego kolanach spoczywał mocny łuk i kilka myśliwskich strzał, a obok ciężka, nabijana ostrymi odłamkami twardego kamienia – maczuga. Za szerokim pasem tkwił nóż, a na piersi zwieszał się woreczek z lekami i długa fajka sporządzona z czerwonej gliny. Wokół pnia, poukładane równo, leżały przedmioty stanowiące zwykłe wyposażenie każdego myśliwego i wojownika.

Jednakże ten, zda się odpoczywający lub drzemiący, pod drzewem starzec, o wychudłej, pomarszczonej i pooranej bliznami twarzy nie potrzebował ich już w swym ziemskim życiu. Był martwy.

Przewodnik psiego zaprzęgu wpatrywał się pilnie w jego rysy. Przywoływał w pamięci nie tak odległe jeszcze wspomnienia. Znał tę twarz. Nie dalej bowiem jak trzy lata temu starzec towarzyszył mu w trwającej kilka miesięcy myśliwskiej wyprawie w nieznane jeszcze zupełnie rejony rozciągające się na północny zachód od Jeziora Reniferowego. Mimo sześćdziesięciu lat, które dźwigał na swych barkach; trzymał się wtedy jeszcze krzepko i cieszył się znakomitą zdrowiem. Mógł wędrować całymi milami lub wiosłować pod najbystrzejszy prąd rzeki. Dziś wędrował samotnie do Krainy Wiecznych Łowów, by żyć dalej w gronie swych przodków i współbraci, którzy tę ostatnią ścieżkę przebyli dawno przed nim.

Teraz młodzieniec patrząc na skostniałą od mrozu, tkwiącą pod drzewem postać, zastanawiał się, jaką śmierć wybrał starzec. Przykre przecucie ścisnęło mu serce, gdy zdecydowanym ruchem zdjął futrzane nakrycie z martwej głowy. Tak, przecucie nie zawiodło go. Starzec miał szybką i łatwą śmierć. Zginał od jednego potężnego ciosu maczugą, która strzaskała cały tył jego czaszki. Musiał zażądać tego ciosu. Nie miał widocznie siły, by dotrzymać kroku innym członkom plemienia w ich dalekiej wędrówce i postanowił umrzeć. Nie obawiał się śmierci. Do krainy przodków pomógł mu przenieść się najstarszy syn bądź któryś z najbliższych krewnych. Takie zwyczaje panowały w całej północnej krainie. Wahgooshug przestrzegali ich zawsze.

Każdej zimy towarzyszyły im głód i śmierć. Ci, którym nie starczało siły, by iść dalej, pozostawiali na szlaku sami lub pozostawiano ich, by mogli spokojnie doczekać swej godziny. Czasami, gdy ktoś nie chciał czekać, prosił, by pozbawiono go życia. I ten, do którego prośba została skierowana, nie mógł odmówić jej spełnienia. Później kobiety opłakiwały zmarłego, a krewni grzebali jego zwłoki, chroniąc je przed dzikimi zwierzętami i drapieżnymi ptakami, zadawali sobie ból i cierpienie, rozdrapywali twarze na znak żalu i smutku. Jedynie zimą lub w innych szczególnych warunkach, podobnie jak u Kenishtenog i Chipewyan<sup>33</sup> nie zawsze grzebano zwłoki, pozostawiając je na pożarcie zwierzętom. I los taki stał się właśnie udziałem dzielnego Wahwaushkáshe<sup>34</sup>. Stojący teraz nad jego zwłokami Paul nałożył mu z powrotem czapkę na siwe, pokrwawione włosy. Stał jeszcze chwilę w zadumie, po czym zdjął uprząż z psów.

<sup>33</sup> Czytaj: Czi-pe-u-jan. Indiańskie plemię myśliwskie należące do athapaskijskiej rodziny językowej. Zajmowali obszary między rzekami Eastman, Athabasca i Zatoką Hudsona. Od północy graniczyli z rejonami tundry zwanej barren land.

<sup>34</sup> Czytaj: Ua-ua-szka-szi-jeleń.

W godzinę potem siedział przy dużym ognisku o kilkanaście zaledwie kroków od zmarłego i patrzył w jego zastygłą twarz. Śmierć oglądał od dzieciństwa i nie czyniła na nim wrażenia. Uważał ją za coś naturalnego i nieodłącznego od ludzkiego życia. Wśród Mohawków, którzy oderwali go od rodziców, widywał śmierć setki razy. Niczym cień towarzyszyła wojownikowi na całej ścieżce jego życia. Niekiedy bywała to ścieżka długa, niekiedy bardzo krótka. Chwila nieuwagi, jeden niezręczny krok, szybsze ramię wroga i duch wojownika ulatywał bez skargi pod skrzydła Aireskoi<sup>35</sup> – ducha wojny. Śmierć poniesiona w walce z wrogiem była zaszczytem, chyba jeszcze większym niż śmierć zadana wrogowi. Lęk przed nią, tak często spotykany u białych, Indianom nie towarzyszył nigdy. Dzielnym i męznym, zasługującym na najwyższy szacunek i sławę był ten, kto pozbawił życia jak najwięcej wrogów, ale i ten, kto przy palu męczarni potrafił umierać, szydząc ze swych wrogów do ostatniego tchnienia.

Prawo oplakiwania zmarłych miały tylko kobiety. Płacz nawet kilkunastoletniego chłopca budził śmiech i wzgardę, podobnie zresztą jak okazywanie głodu, zmęczenia czy bólu. Nie pamiętał nocy, kiedy został porwany, chociaż ci, którzy ją przeżyli, często opowiadali mu o niej. To oni właśnie w pierwszych latach jego życia uczyli go surowych irokeskich praw i zwyczajów. Później, gdy skończył osiem lat, uczył się sam.

I była to niełatwa nauka. Uczył się życia w puszczy, poznawał ludzi i przyrodę. Nauczył się rozumieć najdrobniejsze przejawy jej zmian i życia. Stykając się często z jeńcami porwanymi przez Mohawków poznał plemiona algonkińskie i ich mowę. Podczas dalekich wypraw przedsięwziętych przez Ligę lub mężczyzn wioski, w której przebywał, poznał też odległe zakątki kraju, szlaki wodne i puszcze na południe od Wielkich Jezior oraz rozległe przestrzenie zachodnie opierające się o Jezioro Leśne i wierzył wtedy, że Irokezi są najpotężniejszym narodem wśród Indian. Spotykał wielokroć holenderskich, a później angielskich kupców i francuskich jeńców torturowanych okrutnie przez kobiety Mohawków. Początkowo patrzył na to obojętnie.

Z czasem jednak, widząc czułość i serdeczność, jaką te same kobiety okazywały swym dzieciom, począł odczuwać brak ciepła rodzinnego ogniska. Gdy w sercu kilkunastoletniego jeszcze wówczas chłopaka zaczęła narastać świadomość, że to właśnie ci, wśród których przebywał, pozbawili go rodzinnego domu, dotychczasowe beztroskie myśli zastąpiło uczucie żalu i nienawiści oraz pragnienie zemsty. Przygotowywał się do niej starannie przez wiele lat. Gdy był gotów, odszedł. Ale wpierw odpłacił za śmierć matki, za tamtą marcową noc roku tysiąc sześćset czterdziestego dziewiątego.

Od dawna wiedział, kim jest jego ojciec. Wrócił więc do niego i zostali razem. Ojciec nie zmienił pracy ani swego życia. Od czasu powrotu syna odmłodził. Wróciła jego dawna energia i przedsiębiorczość. Snuł śmiało plany rozpoczęcia handlu całkowicie na własną rękę. Syn wychowany wśród Indian, znający ich mowę i zwyczaje oraz najdalsze zakątki kraju stał się jednocześnie najwierniejszym przyjacielem i towarzyszem. Jeszcze w tym samym roku wraz z ojcem dotarli do wschodnich krańców jeziora Winnipeg.

Następnej zimy wraz z grupą Cree przewędrował na północny wschód setki mil od jeziora i wczesną wiosną wrócił do faktorii ojca z ogromną ilością wspaniałych futer. Z wyprawy tej przywiózł z sobą pierwsze wojenne imię – Shemágonish – imię, które nadał mu wtedy właśnie Wahwaushkáshe, oparty teraz nieruchomo o pień sosny. Cieszył się tym imieniem. Ojciec śmiał się, ale był rad, że młody jeszcze chłopak w oczach Indian zasłużył na prawdziwe męskie imię. Dziś ten, który mu je nadał, wędrował długą, kamienistą ścieżką do krainy swych praojców.

Paul wstał, przygotował zaprzęg i spojrzawszy po raz ostatni na zastygłe rysy wojownika krzyknął ostro. Wypoczęte i nakarmione zwierzęta ruszyły rażno udeptanym szlakiem.

---

<sup>35</sup> Czytaj: Aireskoi – duch wojny w niektórych plemionach irokeskich zajmujących tereny na południe od Rzeki Sw. Wawrzyńca i jez. Ontario.

Ogromny huski biegnący na czele zaprzęgu regulował tempo. Paul, trzymając w ręku krótki, przymocowany do tylnej części sań rzemień, na swych długich wyślizganych rakietach sunął jak po lodzie. Wiedział, że jego dodatkowy opór i ciężar na tym udeptanym szlaku jest dla psów prawie niewyczuwalny.

Ręce na powrót tkwiły w podwójnych rękawicach. Spod szczelnie zasłaniającego twarz kaptura widoczne były tylko oczy. Wprawdzie mróz nie był zbyt silny, jednak w czasie biegu zawsze istniało niebezpieczeństwo odmrożenia twarzy lub płuc, a to groziło nieobliczalnymi następstwami.

W jakiś czas potem, nie zatrzymując się, minął martwe najwyżej dwuletnie dziecko, a około półtorej mili dalej zwłoki młodej kobiety. Może właśnie ona była matką? Wychudła twarz zmarłej wskazywała, że zdążający przed nim cierpieli głód.

Zwierzyny w tej okolicy nie musiało być wiele, skoro wódz nie nakazał rozbicia obozu i nie próbował wysłać mężczyzn na polowanie.

Teren wznosił się stopniowo, bór stawał się coraz rzadszy. Paul puścił rzemień i zaczął popychać sanie. Psy pracowały coraz ciężiej. Zaprzęg wspinał się pod górę po długim, dosyć stromym stoku. Na gładkim do tej pory szlaku pojawiły się wyrwy i wykroty, głębokie dziury i nagle uskoki gruntu. Psy posuwały się coraz ostrożniej omijając przezornie niebezpieczne miejsca. Młodzieniec kilkakrotnie musiał wyęczać wszystkie siły, by sanie nie utknęły lub nie wyróciły się na jakiejś zdradliwej przeszkodzie. Nim osiągnęli szczyt wzniesienia, para unosiła się nad całym zaprzęgiem, a i przewodnik czuł kropelki potu na twarzy. Zziajane zwierzęta padły w śnieg, liżąc go łapczywie długimi jęzorami. Paul skierował wzrok na północny zachód. O niecałe pół mili wyrastał niewielki zagajnik, za którym rozpościerała się tafla jeziora. Jeszcze dalej nitka udeptanej ścieżki, niczym zwężająca się wstęga, ginęła między dwiema ścianami wysokiego boru. Nigdzie nie było widać najmniejszego śladu życia. Szansę upolowania czegoś przez Indian były znikome. Zwłaszcza że podejście jakiejkolwiek zwierzyny na odległość skutecznego strzału z łuku przy panującej wokół ciszy i prawie całkowitym bezruchu powietrza było niepodobieństwem.

W jakiś czas potem przeciął taflę jeziora i zatrzymał się na krótko. W kwadrans później był już ponownie w drodze. Co jakiś czas patrzył z niepokojem na obniżającą się wyraźnie warstwę mięsistych chmur. Nie wróżyły nic dobrego. Zdawał sobie sprawę, że powinien jak najszybciej dogonić niezbyt już chyba odległych Indian. Powinien dogonić ich jeszcze przed nadejściem śnieżycy. Wiedział, że w tym rejonie burza śnieżna mogła potrwać dobrych parę dni. Do tej pory znał szlak. Dalej jednak nie był go pewien. Gdyby spadł wielki śnieg, odnalezienie śladów ludzi Seseganagi nie byłoby sprawą prostą.

Wysunął się na czoło zaprzęgu i zwiększył tempo. Nagle psy zaczęły wykazywać dziwny niepokój. Mijając wąski skrawek jeziora, rozejrzał się bacznie. Z prawej i lewej strony szlaku widniały głębokie ślady łap pozostawione przez biegnące długimi susami zwierzęta. Nie musiał przyglądać się im uważniej. Wiedział. Ślady równoległe do szlaku pozostawiły wilki, pozostawiły niedawno – zaledwie trzy, cztery godziny temu. Był pewien, że dzikie, krwiożercze bestie nie opuszczą ludzi do czasu rozbicia przez nich stałego obozu. Będą potem krążyć wokół, czyhając na przypadkową zdobycz, chyba że będą bardzo głodne i wtedy nie zechcą czekać na przypadek. Jeszcze bardziej przyspieszył bieg.

Na skraju jeziora szlak skręcał na północ, przecinał jakąś ściętą lodem rzeczulkę, rozległe zmarzniete bagno, kilka porośniętych trzciną niewielkich jeziorek, parę strumyków i docierał do szerokiego w tym miejscu ujścia parowu. Z jego dna wystawało mnóstwo oblodzonych kamieni i ostrych odłamków skalnych. Parów wił się pod górę. Zwężająca się ścieżka, stawała się coraz bardziej wyboista i zdradliwa.

Powietrze drgnęło, okalający zbocza las zaszumiał, ołowiane chmury zdały się dotykać ziemi. Spadły pierwsze, pojedyncze jeszcze płaty śniegu.

Paul popychając sanie i utrzymując jednocześnie ich równowagę pilnie wypatrywał jakiejś

osłony, w której mógłby się schronić. Parów dawał wprawdzie pewną osłonę, ale pozbawiony był zupełnie drzew, co wykluczało możliwość zatrzymania się na dłużej. A wdrapywanie się po jego zboczach w celu zdobycia drewna na opał było mało realne. Piął się więc mozolnie coraz wyżej, nie zważając na gęstniejący śnieg i przybierający na sile wiatr. Zawierucha szła z południa narastając z każdą chwilą, tak że w niecałą godzinę widoczność zmalała do kilku zaledwie kroków. Psy jednak wspomagane siłą ramion człowieka ciągnęły niestrudzenie. Wichura popychała je z coraz większą gwałtownością.

Przed zaprzęgiem wyrosła jakaś przeszkoda. Paul wyteżył wszystkie siły i nagle zaprzęg, ciężkie sanie i człowiek polecieeli gwałtownie w dół. Uskok nie był wysoki – zaledwie kilkanaście stóp, ale to wystarczyło, by psy, sanki i człowiek w jednej chwili stworzyli w dole splątane kłębowisko.

Paul wydobył się pierwszy i ostrym głosem uspokoił miotające się zwierzęta. Gdy otarł z oczu śnieg, spostrzegł, że nie całkiem jeszcze zasypany szlak biegnie o kilka stóp w prawo. Musiał widocznie z niego zbiec o dwa, trzy kroki i to spowodowało, że natrafił na ten niespodziewany uskok. Jednakże za załomem, w którym znalazł się tak niespodziewanie, było cicho. Śnieżycy przeciągała górą.

O kilkanaście kroków od wywróconych do góry płozami sań – z lewej strony – zaczynały się gęste modrzewiowe zagajniki schodzące łagodnym stokiem w dół. Przed skałą widniała odkryta, rozciągająca się na ponad sto kroków nie zalesiona przestrzeń opadająca łagodnie ku wyrastającej poniżej ścianie boru. W prawo widniały nie zasypane jeszcze całkowicie resztki śladów indiańskiego szlaku.

Skalny uskok, za którym Paul znalazł się tak nagle i niespodziewanie, stanowił idealną wprost osłonę od wiatru i śniegu. Samotny wędrowiec nie mógł na razie nawet marzyć o lepszym schronieniu, toteż szybko uwolnił psy, ustawił pod skałą sanie i wzięwszy łopatę począł odgarniać śnieg spod skalnej ściany. Po kilku minutach spostrzegł, iż wydająca się z pozoru prosta skała, pod uskokiem ma jakieś wgłębienie przysypane śniegiem, a sam uskok tworzy coś na kształt nawisu nad głęboką niszą.

Zdwoił więc wysiłki usuwając z niszy śnieg. W pewnej chwili, przy nieco silniejszym pchnięciu, łopata zagłębiła się; spod nawisu osunęła się parostopowej grubości warstwa stwardniałego śniegu odsłaniając niezbyt szeroki korytarz. Z wnętrza buchnęło ciepłe powietrze niosące z sobą przykry zwierzęcy odór. Psy skulone pod skałą poderwały się warcząc głucho. Z głębi dobiegł leniwy pomruk grubego zwierza.

Paul szybko sięgnął po leżącą na saniach strzelbę. Przypadek sprawił, że natrafił na legowisko niedźwiedzia. Za wąskim przejściem musiała kryć się pieczara, w której zwierz przygotował sobie zimowe leże.

Stojąc z bronią gotową do strzału intensywnie myślał. Niedźwiedź, poza tym pierwszym pomrukiem wydanym prawdopodobnie w chwili, gdy zimne powietrze wtargnęło do pieczary i dmuchnęło mu w nos, nie obudził się nawet. Młodzieniec uspokoił warczące psy i spojrzał w stronę zagajnika. Tak. To było najlepsze wyjście. Na skraju leżało kilka złamanych, grubych gałęzi.

W chwilę później otrzepał je starannie ze śniegu i ułożył w spory stos tuż u wlotu do korytarza. Z sań wyciągnął spory worek suchych wiórów kory brzozonej, która zimą oddawała nieocenione usługi przy rozpalaniu ogniska. Dobre dwie garście złożył pod wiązką gałęzi i skrzesał ogień. Trochę potrwało, nim z drzewa strzeliły większe płomienie. Ujął wtedy gałąź. Przytrzymał ją w ogniu tak, by płomienie objęły jak największą jej część, po czym rzucił daleko w głąb pieczary. Sam ze strzelbą w rękach przyczaił się tuż u wejścia.

Przez chwilę panowała cisza, w końcu dało się słyszeć głośnie mruknięcie, krótki, groźny ryk, ciężkie sapanie i ruch. Oszołomiony zwierz zbudzony nieoczekiwanie ogniem i gryzącym dymem poczłapał ku wyjściu. Za chwilę jego prawie czarny łeb wychynął na zewnątrz. Zaczajony myśliwy, trzymający cały czas broń w pogotowiu, przysunął wylot lufy



tuż za ucho zwierza i przycisnął spust. Rozległ się przytłumiony huk. Niedźwiedź na moment zamarł, po czym nie wydając najślabszego nawet głosu osunął się bezwładnie na ziemię.

Paul mimo marznących coraz bardziej rąk ponownie nabił strzelbę i oparło skałę. Nie musiał obawiać się dalszych niespodzianek: wiedział, że niedźwiedź z żadnym innym zwierzęciem nie dzieli swego zimowego legowiska.

Teraz przede wszystkim musiał rozpaść porządny ogień. Naciągnął na ręce reniferowe rękawice, które zdjął gotując się do strzału, i ujął rękojeść topora zamierzając wykorzystać go przy ścinaniu gałęzi na opał, gdy nagle zamarł w bezruchu. Od strony, w którą prowadził niewidoczny już indiański szlak, poprzez jęk wichru doleciał go daleki krzyk orła – jeden, drugi, trzeci. Młodzieniec odruchowo sięgnął po strzelbę i bez namysłu wypalił w powietrze. W chwilę potem, niczym odzew, krzyk ptaka powtórzył się znów trzykrotnie.

Paul wiedział, że nie ptak wydał ten głos. Głos wyda człowiek – człowiek z plemienia Wahgoosh znajdujący się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przed oczyma młodzieńca zamajaczyły ślady wilczych łap, widniejące obok ścieżki którą posuwali się Indianie. Skoczył błyskawicznie do sań. Spod skór jednym ruchem wyciągnął długi nóż i ruszył pędem w stronę słyszanego głosu.

Pochyłość stoku zwiększała się, toteż w swych długich rakietach mknął jak błyskawica. Pod miękką warstwą świeżego jeszcze śniegu wyczuwał twardą nawierzchnię udeptanej ścieżki. Przemknął modrzewiowy zagajnik, minął skra sosnowego boru i wypadł nad zamrożony strumień.

O kilkadziesiąt kroków w lewo, oparty plecami o rozwidlony pień starego dębu, otoczony wieńcem białych zwierząt stał jakiś mężczyzna. Trzymając w obu rękach ciężką maczugę opędzał się przed atakującymi wilkami. Jego niepewne i niezbyt silne ciosy wskazywały na skrajne wyczerpanie.

Wilków było kilkanaście. Paul ujął mocniej rękojeść długiego noża; w drugą rękę krótki tkwiący za pasem ostry toporek i runął w stronę ciasnego kręgu rozżartych bestii. W kilkanaście chwil potem ostra jak brzytwa klinga zagłębiła się miękko w pierwsze bure cielsko. Kilka zwierząt tarzało się w skurczach agonii. Pozostałe odskoczyły o kilkadziesiąt kroków do tyłu.

Teraz dopiero młodzieniec obrócił wzrok na chylącą się ku ziemi postać. Mężczyzna oparty o drzewo, mimo widocznego wysiłku, nie mógł utrzymać się na nogach. Porwane futro, ukazujące na gołym ciele ślady wilczych pazurów i kłów, oraz leżące u jego stóp cztery nieruchome już cielska wskazywały na stoczoną walkę. Opierając się kurczowo o pień patrzył na tego, który przybył z tak nieoczekiwaną pomocą. Oddychając ciężko usiłował coś powiedzieć, jednakże opuściły go siły i bez słowa osunął się w puszysty śnieg.

Paul bez chwili namysłu zarzucił go sobie na plecy i podążył ku pozostawionym u góry saniom. Droga, którą poprzednio przebył w niecałe dwie minuty, zajęła mu teraz prawie kwadrans, tym bardziej że gęste płaty śniegu były wprost w twarz i oślepiały. Gdy dotarł wreszcie za zbawczą osłonę swej skały i przycisnął się przez wąskie przejście, w którym spoczywał martwy niedźwiedź, przekonał się, że Nahbák<sup>36</sup> na swe zimowe legowisko wybrał całkiem przestronną jaskinię. Złożył w niej ostrożnie rannego i przyłożył ucho do jego piersi. Obejrzał starannie mocno pokiereszowane ciało, ale stwierdziwszy, że rany nie są groźne, wysunął się na zewnątrz, wyciągnął zza pasa toporek i w ciągu pół godziny zgromadził pod skałą ogromny stos gałęzi. Z niemałym wysiłkiem przyciągnął też kilka grubych, połamanych dawną wichurą konarów. Pod skalnym nawisem, tuż obok wejścia do niedźwiedziej pieczary, rozpaść ogień. Gdy żar nasyczonego żywicą drzewa stopił dokoła śnieg, z przejścia do jaskini wyciągnął niedźwiedzia. Teraz dopiero ognisko przesunął tak, by jego ciepło docierało do wnętrza niedawnej niedźwiedziej sypialni. Zdjął z ognia kociołek gotującej się wody i

---

<sup>36</sup> Czytaj: Na-bak – niedźwiedź.

nasypał do niej garść herbaty, którą następnie nappełnił do połowy cynowy kubek. Z sań wyciągnął butelkę rumu i nalał sporą porcję do kubka. Wtedy ponownie wszedł do jaskini i nachylił się nad leżącym, a widząc jego szeroko otwarte oczy uśmiechnął się.

– Widzę, że duch mojego brata wrócił już do niego. Jak się czuje Shikag?

Zapytany uniósł nieco głowę i wpatrzył się w pochyloną nad sobą twarz. Przez jego twarz przemknął cień radości.

– Shemágonish! Mój biały brat!

– Mój czerwonoskóry brat nieraz również osłaniał mnie swym dzielnym ramieniem. Gdy usłyszałem trzykrotny krzyk orła, wiedziałem, że to właśnie Shikag znalazł się w niebezpieczeństwie. Niech mój brat wypije teraz ten napój. To go wzmocni i rozgrzeje. Był słaby. Inaczej poradziłby sobie z wilkami. Zaraz opatrzę jego rany.

Indianin oparł się o ścianę pieczary i wolno sączył gorący napój. Paul tymczasem przyniósł z sań spory worek, wyciągnął z niego butelkę jakiegoś płynu i pomógł zdjąć rannemu podarty przez wilki, gruby, łosiowy kaftan. Płynem z butelki przemył stara n nie miejsca skaleczeń i głębszych ran, a następnie nałożył opatrunki. Gdy w pewnym momencie nieco silniej oparł się na nodze rannego, ten mimo odporności na ból drgnął. Paul spojrzał na niego uważnie, po czym przeniósł wzrok na stopę. Tuż nad kostką noga była bardzo nabrzmiąta. Wyciągnął nóż i energicznie przeciął mokasyn. Stopa miała kolor prawie fioletowy i była również spuchnięta. Zwrócił się do siedzącego i powiedział:

– To będzie bolało, ale muszę zbadać, czy kość nie jest uszkodzona. Indianin skinął głową:

– Niech Shemágonish bada. Shikag nie obawia się bólu. – I było tak w istocie, gdyż mimo silnego uciskania ciała wokół stawu skokowego oraz wykręcania stopy, najmniejszy głos nie wydostał się z jego ust. W pewnej chwili Paul jedną ręką ujął stopę, drugą goleń i pociągnął silnie. Coś przeskokowało wewnątrz stawu. Zniknęła wypukłość po wewnętrznej stronie nogi. Shikag zacisnął mocniej zęby.

– Już po wszystkim. Niech mój brat nie rusza nogą. Zaraz ból ustąpi. – Chwilę szperał w swej torbie; wyciągnął drugą butelkę z jakimś przezroczystym płynem i zwilżył nim pasek skóry, którą owinał cały staw. Następnie wydobył dwie przemyślnie wyżłobione deseczki wyścielone grubym, miękkim suknem. Dopasował je wgłębieniami do obydwu kostek i zręcznie zamocował na nodze, unieruchamiając w ten sposób staw i połowę stopy. Na cały ten opatrunek nałożył ostrożnie grubą skórzaną skarpetę i odetchnął głęboko.

– Koniec. Mój brat zwichnął nogę, ale nie złamał żadnej kości. Myślę, że za parę dni będzie mógł biegać.

W kilkanaście minut potem Shikag podpierając się grubym kijem wydostał się na zewnątrz jaskini i przysunął w pobliże ogniska, gdzie Paul zdejmował skórę z niedźwiedzia.

– Widzę, że mój biały brat jest nie tylko doskonałym lekarzem, ale także najlepszym myśliwym. Pomogę mu oprawić to duże zwierzę.

Wkrótce na zatkniętych nad płomieniami żerdziach piekł się kawał soczystej szynki. Resztę mięsa za pomocą kilkunastu rzemieni Paul umocował na gałęziach drzewa, dość wysoko nad ziemią, by jakieś zwierzęta nie dobrały się do niego. W mroźnym powietrzu mięso musiało zmarznąć do rana, co chroniło je przed zepsuciem. Przy okazji zgromadził jeszcze trochę drzewa na opał. Nakarmił i zapędził do pieczary psy. Gdy kończył pracę, Shikag zdejmował z ognia pieczeń i kociołek z gorącą wodą. Przenieśli się do jaskini i zakryli otwór wejściowy dopiero co zdjętą skórą niedźwiedzia. Wewnątrz było ciepło. Wiatr i śnieżyca szły górą. Do jaskini docierał jedynie jej daleki, przytłumiony pogłos.

Jedli w milczeniu. Gdy spożyli mięso, a z kubków rozszedł się zapach herbaty wzmocnionej odrobiną rumu, biały spytał:

– Jak daleko mogą znajdować się bracia Shikaga? Indianin myślał chwilę, nim odpowiedział:

– Nie są zbyt daleko. Mniej niż pół dnia drogi. Byliby dalej, gdyby nie burza. Seseganaga

musiał rozbić obóz. Ludzie głodni. Nie mają wiele sił. Nie mogą iść, gdy pada gęsty śnieg. Ale Shemágonish nie odnajdzie ich teraz. Nie ma śladów, a szlak kręty. Trzeba poczekać.

– A gdybyśmy rozpalili wielki ogień? – spytał Paul.

– To nic nie da. Śnieg sypie gęsto. Ogień będzie widać najwyżej o milę stąd. Obóz Wahgooshug dalej. Nie zobaczą, a nie ruszą się przed końcem burzy. Trzeba czekać – powtórzył z przekonaniem.

– Mój brat wie, że nie pytam, by zaspokoić ciekawość. Podążałem ścieżką mych braci kilka dni. Na ścieżce widziałem zmarłych. Bracia Shikaga są głodni. Nie mają pokarmu i sił. Co jest tego przyczyną? Czy nie udały im się jesienne łowy? Czy z lasów wokół wioski zniknęły zwierzęta i myśliwi nie byli w stanie zgromadzić wystarczającej ilości pożywienia? Miałem nadzieję, że doścignę ich dziś lub jutro.

Indianin, rówieśnik Paula, smutno zwiesił głowę.

– Mój biały brat powiedział słusznie, że Wahgooshug cierpią głód. Ale przyczyną tego nie stał się brak zwierzyny ani latem, ani jesienią. Wahgooshug nie polowali w tym czasie z innych powodów. Oni walczyli.

– Walczyli? z kim? – Paul był wyraźnie zdziwiony. – Czyżby ktoś napadł na wioskę?

– Nie, nikt nie napadał. Wahgooshug wykopali wojenne topory przeciwko tym psom Bwaunug.

– Ale przecież tereny wojenne Siuksów leżą daleko na południu i zachodzie i nie widziałem, by myśliwi tego plemienia polowali kiedykolwiek w pobliżu wioski mych braci. Nigdy też nie słyszałem, by bracia Shikaga szukali zwierzyny tak daleko na terenach zachodnich. Co ich więc skłoniło, by podjąć walkę przeciwko Bwaunug?

Indianin jeszcze niżej spuścił głowę.

– To pewnie zły duch odpowiedział moim braciom, by rozpoczęli wojnę. Zaintrygowanie Paula wzrosło jeszcze bardziej.

– Mój brat mówi, że to zły duch, ale przecież szaman, który rozmawia z duchami, nie rozmawiał na pewno ze złym, lecz z dobrym duchem, a dobry duch nie każe nigdy czerwonoskórym braciom walczyć między sobą. Jak to więc stało się tym razem?

– Shemágonish ma rację. Nie słuchano szamana ani Seseganagi. Najlepiej jednak będzie, jeśli Shikag opowie wszystko od początku. – Indianin odstawił kubek i zapatrzył się w płomienie ognia. – Niech Shemágonish nie gniewa się. Wiem, że nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności, ale złego ducha do obozu Wahgooshug przywiedli z sobą biali kupcy. Przybyli w połowie Księżyca Grzmotu<sup>37</sup>. Było ich pięciu i mieli z sobą wiele przedmiotów, które pragnęli nabyć bracia Shikaga. Ale żądali skór i futer. Za jedną paushkesegun<sup>38</sup> domagali się pięciu wiązek skór bobrowych, a za jeden myśliwski, żelazny mookomaun – dwie wiązki. Mój brat wie, że to bardzo dużo.

Bracia Shikaga nie mieli tyle futer. Nie mogli więc kupić ani jednej strzelby. Za wszystko, co udało im się upolować w ciągu lata, kupili tylko trochę prochu i ołowiu na kule i trochę rzeczy potrzebnych kobietom i dzieciom. Prosili kupców, by im zostawili kilka strzelb obiecując, że w ciągu zimy i wiosny upolują tyle bobrów, że zapłacą za to, co wzięli.

– Ale przecież moi bracia mieli przeszło trzydzieści strzelb i prawie siedemdziesiąt noży, które wiosną otrzymali za swe futra od Shemágonisha. Zabrał je wszystkie Pakashkan, którego przysłał Seseganaga.

– To prawda, co mówi Shemágonish. Pakashkan otrzymał od mego brata i strzelby i noże, i wiele innych rzeczy, ale nie przywiózł ich do wioski.

– Nie przywiózł? – Paul był zaskoczony. – Dlaczego?

– Spotkał po drodze innych białych kupców i postanowił z nimi zanocować. Byli uprzejmi i jemu oraz jego sześciu młodym myśliwym dali dużo wody ognistej. Gdy Pakashkan oraz

<sup>37</sup> Lipiec.

<sup>38</sup> Czytaj: pa-szke-si-gan – strzelba.

jego bracia obudzili się, nie mieli swych kanu, a wraz z nimi zniknęła broń i wszystkie inne przedmioty. Nim zbudowali nowe kanu, minęły dwa dni i nie odnaleźli już śladu tych kupców. Po powrocie do wioski opowiedzieli wszystko na radzie starszych.

Paul, znający surowe prawa stosowane w takich przypadkach przez plemię, spojrzał na swego przyjaciela i spytał:

– I pewno zostali ukarani?

Shikag skinął głową.

– Tak, pozwolono im odśpiewać pieśń śmierci.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, w końcu biały dorzucił trochę drew do ognia i wrócił do przerwanej rozmowy.

– Shemágonish rozumie więc, że myśliwi nadal nie posiadali dobrej broni. Czy udało im się otrzymać ją od tych kupców, którzy przybyli do wioski?

– Nie, kupcy nie dali broni mężczyznom. Śmiali się tylko. Powiedzieli, że nie mogą czekać całą Zimę na zapłatę. Mówili, że mogliby poczekać najwyżej do początku Księżyca Spadających Liści. W obozie Wahgooshug przebywali parę dni. Co wieczór dawali mym braciom trochę wody ognistej i opowiadali, że na zachodzie i południu w krainie Siuksów tamtejsi Indianie posiadają dużo futer i skór. Mówili, że wybierają się tam i na pewno sprzedadzą wszystkie posiadane przedmioty i cały rum tamtejszym wojownikom. Mówili, że to daleka wyprawa i nie chce im się tam jechać. Powiedzieli, że gdyby Wahgooshug zabrali tamtym Indianom futra i przywieźli je kupcom, to ci za każde takie futro dadzą tyle samo; co za futro zwierząt upolowanych przez braci Shikaga.

Wojownicy Wahgooshug zaczęli się naradzać. Starsi i bardziej doświadczeni nie byli przekonani o tym, że odebranie futer Siuksom jest możliwe, ale młodszy nie słuchali ich, a nawet wyśmiewali, zarzucając im brak odwagi.

W końcu odbyła się wielka narada. Przemawiali prawie sami młodzi. Szamana, który mówił, że narody sprzymierzone z Bwaunug są silniejsze niż Wahgooshug, wyśmiano. Wyśmiano także i obrzucono obelgami najbardziej szanowanego Wahwaushkáshe. Nie słuchano nawet Seseganagi. Inni, nie chcąc się narażać, milczeli. Gdy zapalono fajkę wojny, tylko nieliczni nie napili się jej świętego dymu. Wszyscy inni zdecydowali, że trzeba przygotować wyprawę.

Po naradzie kupcy każdemu, kto zgodził się iść po futra Siuksów, dali drobne prezenty, a potem wyprawili ucztę, na której było dużo wody ognistej. W dwa dni potem osiemdziesięciu jeden Wahgooshug wyruszyło na wojenną ścieżkę.

– Jak to, bracia Shikaga nie wystali posłańców z wampunem<sup>39</sup> i fajką wojny do swych wrogów? Nie pytali ich, czy zechcą walczyć?

– Nie, moi bracia nie uczynili tego. Odradzili im to kupcy, którzy powiedzieli, że gdyby Bwaunug dowiedzieli się wcześniej o wyprawie, wezwaliby z pewnością na pomoc zaprzyjaźnionych z nimi wojowników innych plemion, a to byłoby nieuczciwe z ich strony. Przekonali braci Shikaga, że nie powinni postępować tak, by Siuksowie stali się nieuczciwi. Wahgooshug nie wysłali więc posłańców z zaproszeniem do walki, lecz postanowili

---

<sup>39</sup> Algonkińskie słowo oznaczające „biały sznurek” lub „sznur wykonany z białych i różowych muszelek”. Spełniał funkcję pieniędzy w wymianie handlowej między Indianami przed pojawieniem się białych. Później wykonywany jako kilkucalowy malowany lub haftowany pas służył do zapisywania wiedzy o ważnych wydarzeniach z życia plemienia, sławnych czynach, był potwierdzeniem wykonania postanowień plemiennych, takich jak wypowiedzenie wojny czy zawarcie pokoju. Niekiedy pełnił funkcję zapisu wspomagającego pamięć postów indiańskich wysyłanych do innych plemion. Wymiana wampumów między Indianami a białymi przy zawieraniu porozumień oznaczała, że postanowienia w nich zawarte będą przestrzegane. Wampumy czasem pełniły rolę listów, niekiedy były wręczane przez wodzów, znaczniejszych wojowników i szamanów pewnym osobom na znak szacunku i przyjaźni. Wtedy posiadacz wampumu korzystał z pomocy tych, którzy należeli do plemienia bądź do grona przyjaciół ofiarodawcy. Wampumy pełniły też w różnych plemionach inne funkcje – czasem były czymś w rodzaju dowodu osobistego.

zaskoczyć swych wrogów. Lecz Bwaunug nie dali się zaskoczyć i urządzili zasadzkę na braci Shikaga. W walce zginęło dziewięciu Wahgooshug, a sześciu rannych dostało się do niewoli i zginęło w męczarniach. Shikag i jego bracia wrócili bez futer i bez skalpów wroga. W wiosce zapanował płacz. Opłakiwano zabitych i zamęczonych.

Wyprawa odbyła się w czasie Księżyca Łowów<sup>40</sup>. Starcy, którzy nie brali w niej udziału, nie mieli tyle sił, by polować. Kobiety, które oczekiwały na bogate łupy wojenne oraz różne dobre rzeczy, które mieli kupcy, nie zbierały owoców i jagód, i nawet nie nałowiły ryb w jeziorze. Gdy wróciła wyprawa, biali kupcy odjechali szybko i nic nie pozostawili w wiosce. U wielu rodzin zapanował głód. Gdy wreszcie myśliwi ruszyli na łowy, nie zdołali wiele upolować. Zwierząt nie było w pobliżu. Widocznie kazał im odejść Wielki Duch, by ukarać Wahgooshug za to, że nie słuchali szamana i złamali święte prawa wojny.

Bracia Shikaga ponownie odbyli naradę i tym razem wysłuchano wszystkich. Starsi radzili, by jak najszybciej przenieść obóz tam, gdzie jest zwierzyna – na północ. Toteż pod koniec Księżyca Mrozu cała wioska ruszyła w drogę. Shikag nie wie jednak, ilu dojdzie. Są głodni. Nie mają co jeść. Proch i kule wystrzelali w walce z Bwaunug. Pozostały im tylko łuki i oszczepy.

Paul słuchał tej opowieści spokojnie. Wiedział, że przyczyną większości bratobójczych walk między Indianami były nie tylko ich zadawnione waśnie i często towarzysząca im wrogość przekazywana z pokolenia na pokolenie, ale coraz częściej chciwość i podszepty białych kupców, których potężnym sprzymierzeńcem był rum – ishkootá-wahboo, jak mówili dzicy. Chwilę wpatrywał się w jasny płomień świecy, po czym zwrócił się do swego przyjaciela:

– Jak to się stało, że mój brat odłączył od pozostałych?

– Shikag wpadł dzisiaj rano do głębokiej, niewidocznej pod śniegiem dziury i uszkodził sobie nogę. Nie mógł więc dotrzymać kroku swym braciom i pozostał w tyle. Ponieważ noga dokuczala mu coraz bardziej, posuwał się wolno. Zwietryły go wilki i poszły za nim. Gdyby nie Shemágonish, byłby zginął.

– Dlaczego Shikag nie wszedł na drzewo lub nie rozpalił ognia. Ogień odstrasza mahéengunug<sup>41</sup>.

– Shikag nie mógł wejść na drzewo, bo zamarzłby do rana. Szukał jakiegoś schronienia przed śniegiem, gdy zaatakowały go wilki. Musiał się bronić i nie mógł rozpalic ognia.

– Mój młody brat wybaczy, że pytam go o smutne sprawy, ale dążąc szlakiem, którym posuwali się Wahgooshug, znalazłem zwłoki Wahwaushkáshe. I wiem, że nie umarł sam. Moi bracia pomogli mu wstąpić na ścieżkę wiodącą przed oblicze Wielkiego Ducha. Wiem, że stary wojownik nie mógł być pochowany tak, jak nakazują zwyczaje plemienne, ale Shemágonish chciałby wiedzieć, czy Wahgooshug zawsze pomagają swym starym i zniedołężniałym braciom przenosić się do świata, w którym panuje dobry Wielki Duch?

Słuchający uniósł wzrok i popatrzył uważnie na swego białego przyjaciela. Widząc w jego twarzy powagę, powiedział cicho:

– Dopóki wojownik żyje na ziemi i ma dosyć sił, by walczyć i polować, by zapewnić swym kobietom i dzieciom pożywienie, dopóty jest szanowany i żyje tak jak inni. A im jest bardziej zręczny w polowaniu i dzielny w walce, tym większym szacunkiem i poważaniem cieszy się u swych współbraci. Kiedy jednak przestaje dobrze widzieć, a wypuszczona przez niego strzała nie ma siły, by przebić skórę jelenia lub łosia, gdy nogi nie nadążają za uciekającym karibu i gdy po całodziennym polowaniu wraca do swego wigwamu z pustymi rękoma, jego najbliżsi wiedzą, że Wielki Duch pragnie widzieć go w swej krainie, by ponownie przywrócić mu młodość i siłę. Zbierają się wtedy i radzą, a gdy uznają, że taka jest rzeczywistość wola Kezhá-muhnedoo, oznajmiamą tę wolę swemu starszemu bratu. On

<sup>40</sup> Listopad.

<sup>41</sup> Czytaj: Ma-in-ga-nag -wilki.

wysłuchawszy ich, może wybrać sposób, w jaki pragnąłby podążyć do świata duchów. Może zażądać, by w daleką drogę pomógł mu przenieść się najstarszy syn, tak jak to było z Wahwaushkáshe, lub inny bliski krewny. Może prosić, by zaopatrzone go w łuk i strzały i pozostawiono samego gdzieś z dala od obozu. Może podążyć do odosobnionego, sobie tylko znanego miejsca i tam pozostać do końca swej ziemskiej drogi.

– Ale podążając szlakiem swych czerwonoskórych braci Shemágonish widział także zwłoki dziecka. Porzuciła je pewnie jego matka? Czy moi bracia nie karzą takich czynów?

Shikag pokręcił głową i odparł:

– Matka zawsze kocha swoje dziecko i troszczy się o nie bardziej niż o siebie. Gdy grozi mu niebezpieczeństwo, poświęca swoje życie, by uratować życie dziecka. Ale dzieje się tak w zwykłych, codziennych warunkach. Z tym dzieckiem, które na szlaku widział mój brat, było zupełnie inaczej. Młoda matka osłabiona głodem nie miała sił, by nieść je dłużej. Gdyby niosła je dalej, straciłaby tyle sił, że pozostałoby i umarłoby na szlaku oboje. Musiała porzucić dziecko, by mogła przeżyć sama. Shikag ją zna. Jest jeszcze bardzo młoda. Jeśli przeżyje, urodzi wiele dzieci, które będą szczęśliwe. Gdyby umarła teraz, nie mogłaby dać życia tym innym. To tak jakby je zabiła. A przecież sprawiedliwiej jest zabić jedno niż kilka. Uczyniła słusznie.

Paul zacisnął szczękę. Wychował się co prawda wśród Mohawków słynących z okrucieństwa i pogardy dla życia, ale nawet u nich matka nie rzuciłaby własnego dziecka na pożarcie dzikim zwierzętom. Ale czy oznaczało to, że matki Mohawków bardziej kochały swe dzieci niż matki Wahgooshug? Nie wiedział. Żałował w tej chwili, że jest białym i że nie może zrozumieć pobudek, jakimi w swym postępowaniu często kierowali się jego czerwonoskórzy bracia. Wiedział, że nikt z białych nie jest w stanie tego zrozumieć. Indianie mieli swoje prawa, zwyczaje, różne od tych, które uznawali biali, ale czy mniej sprawiedliwe lub uczciwe? Chwilę wahał się, w końcu widocznie powziął postanowienie, bo podniósł się i spytał:

– Czy Shikag zna ścieżkę, którą podążają jego bracia i czy może mi tę ścieżkę opisać? – Widząc pytające spojrzenie, wyjaśnił: – Shemágonish rozumie, że braciom Shikaga potrzebne są prędko strzelby, proch i kule. Gdy je otrzymają, łatwiej im będzie zaopatrzyć się w mięso i nakarmić wszystkich Wahgooshug. Shemágonish mógłby jeszcze dzisiaj spróbować odnaleźć ich i sprowadzić przynajmniej kilku po broń i inne przedmioty. Ma dobre psy, które z łatwością pociągną jego sanie. Sam również nie czuje się zmęczony.

Ranny rozłożył bezradnie ręce.

– Shikag wie, dokąd zdążają jego bracia, ale tą ścieżką nie wędrował jeszcze nigdy. Szlak zna tylko wódz – Seseganaga. Może ścieżka jego braci pobiegnie prosto, a może zboczy. Gdyby nie padał śnieg, byłaby widoczna, ale tak, mój brat nie odnajdzie jej, a sam zginie. Trzeba poczekać, aż przestanie padać i rozpaść trzy duże ognie. Bracia Shikaga zobaczą je i wrócą sami. Nie są daleko. Ale trzeba poczekać.

– Mój brat mówi: trzy ognie? Co oznacza ten sygnał?

– To znak, którym od dawna posługują się ludzie wioski. Mówi on, że pomoc jest blisko. Biały zastanawiał się chwilę.

– To dobrze, że Shikag powiedział mi o tym. Wiemy, jak zawiadomić jego braci, że przyjaciele są w pobliżu. Ale nie wiemy, jak powiedzieć im, by tu przyszli, by nie czekali na pomoc tam, gdzie są teraz.

– Shemágonish myli się. Za pomocą trzech ognisk możemy powiedzieć im to, co trzeba.

– Jak to? Czy Shikag potrafi ich tu przywołać?

– Niech mój biały brat nie niepokoi się. To bardzo proste. Jeśli Shikag rozpałiłby jednocześnie trzy ogniska, oznaczałoby to tylko, że w pobliżu są przyjaciele. Jeśli rozpałiłby najpierw dwa, a po czasie, który biali nazywają pięć minut, jeszcze jedno, jego bracia zrozumieliby, że nadchodzi pomoc. Ale gdy ujrzą najpierw jeden ogień, a po takim samym

czasie jak w poprzednim przypadku jeszcze dwa inne, będą wiedzieli, że przyjaciele z pomocą są blisko, ale sami nie mogą przybyć. Wtedy przybędzie Seseganaga. Czy Shemágonish rozumiał teraz?

– Tak, rozumiał. Nie pójdzie więc szukać obozu Seseganagi, lecz zajmie się czymś innym – a widząc pytające spojrzenie swego czerwonoskórego towarzysza wyjaśnił – pójdzie przygotować trzy stosy drzewa. Nie wie, kiedy przestanie padać śnieg. Do tego czasu drzewo musi być zgromadzone.

Indianin podniósł się bez słowa i sięgnął po leżący obok topór.

Paul uśmiechnął się i położył dłoń na jego ramieniu.

– Shikag nigdzie nie pójdzie. Będzie odpoczywał przy ognisku. Jeśli mu się uda, niech zaśnie. Nie powinien jeszcze dzisiaj męczyć swej nogi. Jego biały brat przygotuje sam tyle drzewa, ile trzeba. Jest zdrow i silny, a od mrozu ustrzeże go dobre futro – z tymi słowy naciągnął swój bobrowy kożuch z kapturem i wysunął się na zewnątrz pieczary.

Drugiego dnia koło północy zamieć skończyła się. Ucichł wiatr. Wprawdzie po niebie przesuwały się jeszcze ciężkie chmury, ale padający dotychczas śnieg przestał zasłaniać widoczność.

Obydwaj młodzieńcy na dobre pół godziny przed świtem opuścili jaskinię i dźwigając pęki suchego chrustu oraz worek z drobno pokruszoną korą brzoźową wdrapali się na krawędź parowu, gdzie wznosiły się trzy wysokie kopce przysypane białym puchem.

Nie zwlekając strząsnęli z gałęzi śnieg. Od strony słabego w tej chwili wiatru nasypali pod każdym stosem sporo kory i przykryli ją chrustem, a następnie obłożyli cienkimi, żywicznymi gałązkami sosny. Dopiero na to naciągnęli trochę grubszych i większych gałęzi. Na pytające spojrzenie Paula Shikag wskazał stos znajdujący się po prawej stronie. Paul przykląkł i za pomocą krzesiwa oraz ostrego noża podpalił brzoźowe próchno. W chwilę potem między gałązkami poczęły pełzać wątle płomyki. Ogień rozszerzał się i w niecały kwadrans wysoki płomień strzelił w niebo. Młodzieńcy podpalili dwa następne stosy. Słupy ognia od dobrych paru minut musiały być widoczne na zachodzie i północy aż po krańce horyzontu, zwłaszcza że teren w tych właśnie kierunkach obniżał się znacznie. W gęstej czerni, jaka tuż przed świtem spowijała zwykle niebo, te trzy słupy ognia musiały patrzącym gdzieś z daleka przypominać zbawcze pochodnie.

Paul postąpił kilka kroków w dół parowu i skinął na swego czerwonoskórego towarzysza.

– Chodźmy. Seseganaga i Wahgooshug z pewnością dostrzegli ogień. Poczekamy na nich przed jaskinią. Shikag nie poruszył się jednak i odparł:

– Musimy poczekać trochę. Jeśli Wahgooshug, tak jak mówi mój brat, widzą ogień, to dadzą swój znak.

– Jaki?

– To będzie tylko jeden ogień. Muszą mieć trochę czasu na zebranie chrustu i ułożenie stosu. Poczekajmy!

Jakoż w niecały kwadrans, w północno-zachodniej stronie, poprzez szarość poranka zamajaczyło zrazu małeńkie, potem nieco większe światełko. Indianin klasnął w dłonie i wyciągnął rękę.

– Niech mój brat spojrzy. Dostrzegli nasze znaki. Nie są daleko, najwyżej pół dnia drogi.

Paul, który również dostrzegł odległy znak, wdrapał się ponownie na krawędź parowu i”. znieruchomiał. Po wschodniej stronie nieba, ale w odległości nie większej niż dwie mile wznosił się jeszcze jeden słup ognia.

Dotknął ramienia swego przyjaciela i wskazał ten drugi płomień. Indianin popatrzył na białego zdumiony i wyjąkał:

– Shikag nie rozumie tego. Jego bracia są tam, w dole, tam, gdzie prowadziła ich ścieżka. Ale kto jest za nami”.? Czy Shemágonish wie to może?

Paul skinął głową.

– Tak, on to wie. Tam z tyłu są wrogowie. Chodźmy. Nie ma czasu. – W chwilę potem na oczach zdumionego, kulejącego jeszcze Shikaga załadował na sanki dwie długie skrzynki ze strzelbami, parę worków kul i baryłkę z prochem. Jednocześnie rzucił kilka poleceń.

– Niech Shikag zabierze z gałęzi mięso niedźwiedzia, bo nie może dostać się w ręce wrogów. Niech przygotowuje sobie kilkanaście długich i krótkich strzelb. Za godzinę nadejdą tu Bwaunug i pewno będą chcieli zdobyć jaskinię. Shikag nie może ich tu wpuścić i przez jakiś czas będzie musiał walczyć sam. Przejście jest wąskie, więc wrogowie mogą atakować go tylko pojedynczo. Poradzi sobie. Shemágonish w tym czasie odnajdzie Seseganagę. Da jego wojownikom strzelby i przybędą tu, jak tylko będą mogli najszybciej. Wtedy zobaczą, ilu jest Siuksów.

Indianin skinął głową i szybko zabrał się za zdejmowanie porozwieszanych na drzewie kawałów zmarzniętego mięsa niedźwiedzia. Biały wyprowadził zaprzęg na stok, wskoczył na sanki i pomknął w dół. Kierunek, w którym ujrzał oddalone ognisko, pamiętał dobrze. Nie obawiał się, że zboczy.



## ROZDZIAŁ V

### Bwaunug nie znają litości

Gdy trzy dni temu chroniąc ludzi przed śnieżycą Seseganaga musiał założyć obóz, spostrzegł nieobecność syna. Przemierzając niejednokrotnie zimowy szlak wiedział, co to znaczy. Ci, którzy nie mogli nadążyć za innymi, nie odnajdywali się przeważnie nigdy. I gdy chodziło o kogoś ze starszych, wszyscy rozumieli. Ale Shikag był młody, zdrowy i silny. Jego nieobecność po rozbiciu obozu mówiła, że syna musiał spotkać jakiś wypadek. Ojciec jednak nie dał poznać niczego po sobie. Dopilnował rozłożenia i zabezpieczenia obozu, zabrał łuk i oszczep i nie odzywając się do żadnej ze swych żon poprzez gęstą zamięć ruszył samotnie powrotnym tropem.

Mimo silnego wichru i oślepiających tumanów śniegu szukał wytrwale i przewędrował wiele mil. Gdy rankiem, padając niemal z nóg, wrócił sam, nie pytano o nic. A on również nic nie mówił. Widząc przestraszone, pełne fez oczy Darnis, swej córki, odwrócił tylko głowę. Starał się nie widzieć ani jej łez, ani smutku widniejącego w twarzach innych kobiet. Usiadł ciężko w skleconym przez kobiety szałasie. Patrzył na trzaskające w ognisku gałęzie i po raz nie wiadomo który przywoływał w pamięci te same myśli.

Shikag był jego drugim synem. Starszy poległ jesienią w walce z Bwaunug. Młodszy powrócił szczęśliwie z wyprawy. Niedawno ukończył dwadzieścia jeden Zim. Nie sprawiał ojcu żadnych kłopotów. Rósł jak młody dąb, silny, wytrzymały, zdrowy. Nie znał uczucia lęku i nie obawiał się pokazywać wrogom swej twarzy. Z uwagą słuchał rad starszych i nie lekceważył ich. Toteż mimo młodego wieku zyskał przyjaźń i szacunek wielu starszych i młodszych mężczyzn. W trudnych sytuacjach wykazywał rozwagę i przezorność. Jego wielki opiekuńczy duch prowadził go zawsze pewną ścieżką i kiedy zachodziła potrzeba, ochraniał swymi bezpiecznymi skrzydłami. – Może Shikag rozgniewał go czymś ostatnio – pomyślał ojciec. – Może nie złożył mu odpowiedniej ofiary lub naruszył jakieś tabu? Może uczynił to nawet nieświadomie? Wszystko było możliwe, a duchy obrażały się łatwo i mogły spowodować nieszczęście.

Siedzący przy ogniu zwiesił głowę. Był pewien, że w takim przypadku Shikag nie ma wiele szans. Może zresztą nie żył już, a jego zwłoki zasypał śnieg?

Myśli wodza stawały się coraz bardziej ponure. Nie mógł opuścić po raz drugi swych braci. Odpowiadał za wszystkich i nie wolno mu było pozostawiać ich na dłuższy czas. Byli zmęczeni i głodni. I żaden z mężczyzn, nawet przyjaciel, nie poszedł przecież z nim wieczorem na poszukiwania. Każdy musiał oszczędzać siły. Musiał ich mieć tyle, by iść do przodu. I nie mogli sił tych tracić niepotrzebnie.

Seseganaga rozumiał to. On również nie miał prawa tracić więcej sił. Zwarł mocniej szczęki i popadł w gorzką zadumę. Gdy Darnis postawiła przed nim kociołek gorącej zupy ugotowanej z pędów wikliny i jakichś korzonków wygrzebanych przez kobiety spod śniegu, kazał jej zabrać zupę. Wiedział przecież, że kobiety są słabsze niż on. One musiały jeść. Mężczyzna mógł wytrzymać. Wymizerowana twarz dziewczyny napełniła jego serce bólem. Darnis bardzo kochała swego brata. Byli rodzeństwem z tej samej matki.

Wódz odwrócił głowę, by nie patrzeć na łzy swego ostatniego dziecka. W szałasie,

przykrytym grubo gałęziami świerku, bez jednego ruchu przesiedział do wieczora, całą noc i cały następny dzień. Około północy wyszedł na zewnątrz.

Wiatr ucichł. Przestał padać śnieg. I chociaż chmury były jeszcze gęste, poprawiła się widoczność. Zelżał mróz. Wokół dosyć wyraźnie rozróżniał stożki szałasów. Poprzez okrywające je gałęzie prawie wszędzie przebijał blask palonych wewnątrz ognisk. Trwający od wielu dni głód musiał skręcać żołądki, bo tu i ówdzie słychać było kwilenie niemowląt, a nawet płacz kobiet. Skulone pod szałasem drzemały psy. Pewnie były bardziej wytrzymałe na głód niż ludzie, ale wódz nie łudził się. Brak pokarmu i im również wkrótce odbierze siły. Za wszelką cenę należało zdobyć mięso. Nawet niewielka jego ilość mogła postawić ludzi na nogi.

Jeszcze raz popatrzył na niebo. Nie, śnieg nie powinien wrócić. I to dawało niewielką nadzieję. Zwierzęta czające się gdzieś w głębinach boru nie żerowały w czasie śnieżycy. Były też głodne. Musiały więc teraz znaleźć dla siebie pokarm. Były oczywiście podobnie jak i ludzie znacznie osłabione, ale też zapewne z tego względu i mniej czujne. Istniała możliwość wytopienia i podejścia na odległość pozwalającą wypuścić strzałę lub wykonać udany rzut oszczepem.

Dostrzegłszy opartą o pień brzozy roslą sylwetkę wartownika, podszedł do niego i powiedział:

– Niech mój brat zbudzi wszystkich młodych mężczyzn i powie im, że przed świtem wyruszą na polowanie.

Wnet w głębi szałasów błysnęły jaśniejsze płomyki i dało się słyszeć żywszą krzątaninę. To kobiety gotowały wodę, by przynajmniej gorącym płynem rozgrzać i nakarmić tych, którzy mieli wyruszyć na ścieżki leśnego zwierza.

Na krótko przed świtem wiatr ucichł zupełnie. Śnieg leżał wszędzie grubą warstwą. Wynurzający się z szałasów mężczyźni nakładali na mokasyne szerokie i długie ohgimug<sup>42</sup>. Zebrało się ich około pięćdziesięciu. Wszyscy byli młodzi. Kilku starszych, którzy również pragnęli ruszyć na poszukiwanie zwierzyny, wódz odesłał do szałasów. Wiedział przecież, że nie mają tyle sił, co młodzi.

Stanąwszy w zwartym kręgu zebranych rzekł:

– Jeśli nie będzie pokarmu, głód zabierze wielu spośród nas. Musicie przynieść mięso. Burza osłabiła również zwierzęta. Dziś będą szukać pożywienia i nie będą tak ostrożne jak zwykle. Moi bracia łatwiej je podejść i upolują. Winni rozejść się na wschód, południe i zachód. W kierunku północnym wiatr poniosł daleko dym i zapach obozowych ognisk. Tam więc zwierząt nie będzie. Moi bracia muszą! – tu przerwał i wpatrzył się w jakiś odległy punkt. Wszystkie spojrzenia pobiegły w tym samym kierunku.

Daleko na południowym wschodzie, gdzieś nie opodał przebytego przed paroma dniami szlaku, rozjaśniło się niebo. Wokół zapanowała cisza. Wszystkie twarze zwróciły się w stronę tajemniczego znaku. Wyteżony wzrok mężczyzn starał się przebić ciemności nocy. Mijały chwile. Gotowy do wyruszenia oddział trwał w milczącym bezruchu z oczyma zwróconymi w stronę dalekiego, pojedynczego ognia. Nagle, tuż obok pierwszej, wyrosły na niebie dwie następne ogniste pochodnie.

Wokół wodza nastąpiło wyraźne poruszenie. Stojący obok Muhkuhdá-oosim<sup>43</sup> – szaman Wahgooshug powiedział uroczyście:

– Oto Wielki Duch otworzył uszy na błaganie swych dzieci i daje znak, że pomoc oraz przyjaciele są blisko. Seseganaga spojrzał na starca i spytał niepewnie:

– Czy Czarny Pies jest przekonany, że to rzeczywiście znak przyjaciół? Wszyscy żyjący – podkreślił mocno te słowa – Wahgooshug znajdują się tutaj. Kto może znać sygnały, które znają jedynie moi bracia? Czarownik kiwnął stanowczo głową.

<sup>42</sup> Czytaj: Ou-gi-mag – rakiety śnieżne.

<sup>43</sup> Czytaj: Ma-ka-dej-u-sim – Czarny Pies.

– Czarny Pies wie, że istnieją różne ludy Uhnishenáhbag<sup>44</sup>, które w trzech palących się ogniach mogą rozpoznać znaki Wahgooshug. Ale nikt obcy na pewno nie wie, w jakiej kolejności należy ogniska rozniecać i w jakim odstępie czasu, by przesłać odpowiednią wiadomość. Te trzy ognie rozniecił ktoś, kto zna się na naszych znakach. Czarny Pies liczył czas od powstania pierwszego sygnału do następnych. Ten, kto wysłał sygnał, to Wahgoosh. Mówi, że może pomóc swym braciom, lecz nie może sam do nich przyjść. Oczekuje, że oni przyjdą do niego.

Seseganaga w milczeniu rozważał słowa starca. Tak, najpewniej sygnał wysłał przyjaciel lub może nawet”. Shikag. Ale w takim razie”” W piersi dojrzałego wojownika szybciej zabiło serce. A może jednak wrogowie”?. Wzrok wodza spoczął na najbliższym stojącym młodym myśliwym.

– Niech mój brat wdrapie się na wierzchołek tej sosny i obserwuje znaki. Niech rozgląda się też wokół i patrzy dobrze. A pozostali bracia niech rozbiorą szybko trzy szałas i rozpalą wielki ogień.

Zaledwie zdołano ułożyć stos gałęzi, gdy z góry rozległ się donośny głos:

– Daleko za trzema ogniskami zapaliło się jeszcze jedno. Keézhik<sup>45</sup> nie widzi samego ognia, bo zasłania go wysoki las, ale widzi blask płomieni.

– Dobrze! Niech mój brat patrzy nadal! – odkrzyknął wódz, a zwracając się do skupionych wokół niego już chyba wszystkich Wahgooshug, których wyrwał z szałasów niezwykle o tak wczesnej porze ruch, rzucił krótko:

– Niech moi bracia podpalą stos.

Wkrótce jasne języki ognia wzniosły się do góry. Seseganaga patrzył jeszcze przez chwilę na zmniejszające się w oddali trzy świetliste znaki, odwrócił się ku swym ludziom i powiedział spokojnie:

– Sześć razy po dziesięciu mężczyzn pójdzie szybko wraz z Seseganagą ku trzem ogniom. Wszyscy inni pozostaną na razie na miejscu. Gdy będzie to potrzebne, Seseganaga przyśle posłańca. – Z tymi słowy stanął na czele gotowego już do drogi oddziału i ruszył szybko szlakiem, który przemierzali trzy dni temu.

Mimo że teren wznosił się bezustannie, długi sznur odzianych w skóry wojowników posuwał się spiesznym marszem. I chociaż wielodniowy brak mięsnego pokarmu odebrał mężczyznom sporo sił, nie pozbawił ich jednak odporności i wytrzymałości. Toteż żaden nie pozostawał w tyle. Szybki marsz pozwolił oddziałowi przebyć od świtu wielomilowy odcinek drogi. Gdy biegnący wciąż na czele Seseganaga, słysząc za sobą coraz cięższe oddechy ludzi, zamierzał już dać znak krótkiego odpoczynku, o kilkaset kroków przed sobą ujrzał pędzący na wprost psi zaprzęg. W chwilę potem kierujący zaprzęgiem ścisnął serdecznie wyciągnięte ku niemu dłonie mężczyzn. W krótkich słowach poinformował wodza o istniejącej sytuacji.

Seseganaga długo ścisnął młodzieńca. Na koniec odsunął się od niego i spytał już zupełnie spokojnie:

– A więc Shemágonish nie wie, ilu jest Siuksów?

Nie. Nie śledził ich i nie policzył wtedy, gdy musiał zabić tamtych trzech. Myślał, że ci, którzy pozostali, zgubili jego ślad w czasie poprzedniej burzy. Dziś ujrzawszy ten drugi ogień wie, że pomylił się. Bwaunug odnaleźli ponownie jego trop, a trzy ognie wskazały jego kryjówkę.

– Jak długo Shikag może bronić się w jaskini? – spytał wódz. Paul roześmiał się serdecznie.

– Niech Seseganaga będzie spokojny. Jaskinia jest nie do zdobycia, a Shikag ma pod ręką prawie czterdzieści nabitych długich grzmiących rur i kilkadziesiąt krótkich. Może kpić z wrogów. Na spotkanie ojca nie mógł wyruszyć, ponieważ ma zwichniętą nogę, ale

<sup>44</sup> Czytaj: A-ni-szi-na-beg – Indianie.

<sup>45</sup> Czytaj: Ki-zik – cedr.

Shemágonish nie wiedząc, jak liczni są wrogowie, przywiózł na saniach strzelby, proch i kule. Niech bracia wodza uzbroją się. Za pomocą tej broni łatwo pokonają każdą liczbę nieprzyjaciół.

W mgnieniu oka połowa oddziału opatrywała starannie przywiezione strzelby, a wkrótce potem, zachowując ostrożność i wysyłając przodem zwiadowców, oddział ruszył w stronę jaskini.

O kilka godzin wcześniej, daleko przed wejściem do parowu, pełniący nocną straż przez chwilę jeszcze patrzył na widniejące w czerni nocy słupy jasnego ognia, po czym wsunął się do niewielkiego szałasów i dotknął ramienia jednego ze śpiących.

Pogrążony jeszcze we śnie potrząsnął niechętnie głową, jakby próbował odpędzić jakiegoś natrętnego owada i mruknął coś niewyraźnie. Wartownik dotknął go jednak ponownie i powiedział półgłosem:

– Na północy trzy duże ogniska. Niedaleko stąd. Do świadomości śpiącego dotarły widocznie te słowa, bo dzwignął się szybko i rzucił przytomnie:

– Trzy ogniska?

– Tak, płomienie wznoszą się bardzo wysoko. Niech Missawawi sam zobaczy.

Z sąsiednich posłań podnosili się następni mężczyźni. W krótkim czasie z trzech dalszych szałasów wynurzyło się kilkunastu odzianych w grube futra wojowników. W milczeniu uważnie wpatrywali się w niezbyt odległe jasne pochodnie.

Missawawi – rosły wojownik, który widocznie był tu wodzem, nie odwracając głowy od jasnoczerwonych słupów powiedział z nie ukrywanym zadowoleniem:

– To znak Wahgooshug. Ten tchórzliwy pies, który podążał przez wiele wieczorów<sup>46</sup> ich szlakiem i pozbawił podstępnie życia trzech naszych braci, nie dogonił Seseganagi przed nadejściem wielkiego śniegu i musiał w jakiejś kryjówce przeczekać burzę. Nie zna dalszego szlaku i zgubił ślad. Teraz pali wielkie ognisko, by zawiadomić Wahgooshug, że jest w pobliżu. Niech moi bracia odpowiedzą mu na ten znak i rozniecą jedno ognisko.

Wartownik poruszył się niezdecydowanie.

– Watapi nie jest pewien, czy należy dawać taki znak. Czy wódz wie, że Wahgooshug na trzy znaki odpowiada jednym? Znajdujący się przed nami Wahgoosh jest na wzniesieniu. Kraina na zachód i północ obniża się. Trzy ognie widać daleko. Wahgooshug zobaczą je na pewno i odpowiedzą właściwym znakiem. Jeśli Bwaunug rozpalą tutaj ogień, ujawnią swoją obecność i ich wróg zobaczywszy fałszywy znak może umknąć.

Wódz machnął pogardliwie ręką.

– Watapi kracze zawsze jak wrona. Missawawi nie wie, co oznaczają te trzy znaki, ale wie, że Wahgooshug odpowiadają zawsze tylko jednym. Ten Wahgoosh, którego zaprzęg składa się z siedmiu psów i bardzo ciężkich sań, kiedy ujrzy niejednego, a dwa znaki, nie będzie pewien, który pochodzi od Seseganagi i nie ruszy się ze swego miejsca. Nim nadejdzie pomoc, Bwaunug dostaną go w swoje ręce, a ich noże pożrą jego serce i wątrobę. Seseganaga musi wiedzieć, że jeszcze jeden Wahgoosh ma do niego dołączyć. Wyśle więc na jego spotkanie najwyżej kilku myśliwych. Missawawi zastawi na nich pułapkę i pozwoli im zaśpiewać pieśń śmierci. Nasi trzej bracia zostaną pomszczeni.

Szmer uznania rozległ się po słowach wodza. Watapi odsunął się do tyłu. Nie przekonał wodza ani swych pozostałych braci. Może nie miał racji.

Wkrótce na skraju boru, tuż obok szałasów, zapłonął wielki ogień. W chwili gdy Paul dostrzegł płonącą w tyle przebytego szlaku pochodnię, siedemnastoosobowy oddział Siuksów sunął szybko w stronę jego kryjówki.

Pochylone nieco do przodu postacie mknęły początkowo szybko jedna za drugą. W miarę jednak, jak dym unoszący się z dogasających ognisk stawał się coraz bliższy, postacie

---

<sup>46</sup> Plemiona Siuksów dzień w znaczeniu doby nazywały wieczorem lub nocą.

rozproszyły się tworząc obszerne półkole. Posuwały się w milczeniu coraz wolniej. Około dwustu kroków od miejsca, w którym musiała znajdować się kryjówka ściganego, Missawawi wskazał na uskok urwiska, za którym znajdowała się prawdopodobnie przysza ofiara i zakreślił w powietrzu szerokie koło. Wojownicy znajdujący się z lewej strony pomknęli szybciej i zapadli w las poniżej stoku urwiska. Ci, którzy znajdowali się po prawej stronie, wdrapali się na przeciwległą krawędź parowu i kryjąc się za grubymi pniami stanęli na skraju polany w miejscu, gdzie zagajnik stykał się ze ścianą wysokiego boru. Pozostający nieco z tyłu wódz wysunął się do przodu i wskazał widniejący o kilkadziesiąt kroków nawis. Watapi jednak pokręcił tylko przecząco głową i nie ścisząc głosu powiedział:

– Wahgoosh uciekł. Gdy zobaczył fałszywy znak, nie dał się oszukać.

O parę kroków od miejsca, w którym zatrzymali się, w miękkim śniegu widniały głębokie ślady psich łap i długie, wąskie wgłębienia pozostawione przez płozy sań. Wódz postąpił do przodu i pochylił się nad śladem.

– Sanie lekkie – mruknął z przekonaniem – lżejsze niż poprzednio i nie ma śladów wroga. Albo zostawił to, co wiozł, i uciekł saniami sam, albo uciekły psy, a on jest tam. – Obrócił się i wskazał ręką skalny nawis, a następnie wydał głos przypominający krótki świst wiewiórki.

Na niewielką odkrytą przestrzeń zaczęli wychodzić wojownicy. Tworząc szczelnie zamknięte półkole podchodzili ostrożnie ku wąskiej, skalnej szczelinie, stanowiącej wlot do pieczary.

Obserwujący ich Shikag raz jeszcze popatrzył na ułożoną równiutko, spoczywającą w zasięgu ręki nabitą broń i uśmiech zadowolenia przemknął po jego twarzy. Shemágonish nie mylił się. To byli właśnie Bwaunug, a wśród nich znajdował się także Missawawi. Ten sam, który pokonał i oskalpował własnoręcznie dwu Wahgooshug podczas stoczonych jesienią walki.

Ukryty w jaskini chłopak mocniej ujął strzelbę i oparł ją wygodnie o krawędź skały. Czekał, aż wróg podejdzie zupełnie blisko. Nie chciał chybić.

Okružający pierścień wrogów był oddalony jeszcze o trzydzieści, dwadzieścia kroków, gdy nagle z góry rozległ się ostrzegawczy krzyk. Wojownicy zdążający wprost ku ciemnemu wlotowi pieczary, w mgnieniu oka rozpiezchli się, znikając sprzed oczu patrzącego.

Shikag przytulił oddech i czekał. Na zewnątrz jednak przez dłuższy czas panowała cisza. Widocznie wrogowie odkryli u góry ślady pozostawione przez dwie pary mokasynów i podejrzewając, że ktoś ukrywa się w pieczarze, naradzali się teraz.

Wahgoosh jednak był spokojny. Ci, których zdążył zobaczyć, mieli tylko łuki, noże i kamienne tomahawki. Był więc pewien, że przez ciasny korytarz nie zdoła przejść ani jeden. W dodatku przejście od góry zasłaniał skalny nawis.

Nagle na zewnątrz rozległ się donośny głos:

– Tu stoi Missawawi – wódz Bwaunug. Bwaunug wie, że w jaskini jest wojownik z plemienia Wahgooshug. Był uprzednio jeszcze jeden, ale tego schwytali Bwaunug, a Missawawi zawiesił jego skalp u swego pasa. Teraz chce zawiesić drugi. Jeśli ukrywający się w jaskini nie jest tchórzliwym skunksem, lecz wojownikiem, niech wyjdzie na zewnątrz. Siuksowie nie zabiją go, lecz pozwolą mu walczyć. Będzie walczył z wodzem i jeżeli go pokona, odejdzie wolno. Żaden z wojowników nie podniesie na niego broni.

Siedzący w ukryciu zmienił pozycję i odkrzyknął głośno:

– Shikag oraz jego bracia ukryci w grocie nie obawiają się wojowników, jakich przyprowadził z sobą Missawawi i będą walczyli przeciwko wszystkim. Po co Shikag ma walczyć tylko z jednym, który jest jak stara baba i zamiast bojowego okrzyku wydaje tylko głos przydeptanej ropuchy. Jeśli Missawawi nie jest kłamcą, niech pokaże skalp, który – jak twierdzi – zdobył dzisiaj. Wtedy nóż Shikaga nie będzie znał litości dla żadnego z wrogów, a jego pierzaste strzały przebiją każdego, kto spróbuje wejść do pieczary. – Mówiąc, że nie jest sam oraz że posiada nóż i łuk, pragnął wprowadzić w błąd swych wrogów. Wiedział, że nie

uwierzą w to pierwsze, ale że ośmieli ich niezbyt groźne uzbrojenie.

Na zewnątrz zapanowała chwilowa cisza, po czym ponownie zabrzmiał głos Missawawi:

– To nie wódz jest kłamcą, lecz Shikag, który twierdzi, że nie jest w pieczarze sam. Bwaunug zbadali dobrze wszystkie ślady i wiedzą, że nocą w pieczarze było tylko dwu Wahgooshug. Jeden zdrowy, a jeden chory i kulejący. Zdrowy próbował uciec, lecz Missawawi zabił go. Shikag ma chorą nogę i słabo chodzi. Jest sam i Bwaunug łatwo zabiorą jego skalp. Jeśli Shikag nie jest tchórzem, to może wystawić tylko na chwilę głowę, żeby zobaczyć skalp zabitego dziś rano Wahgoosh – kusił wódz podstępnie.

Młody Wahgoosh ucieszył się tym, co usłyszał, bowiem ze słów wodza wynikało, że nie wie, iż drugim mieszkańcem groty był biały. A więc Shemágonish uciekł. Toteż roześmiał się tylko głośno i rzucił w odpowiedzi:

– Missawawi nie chce zbliżyć się do groty, bo jego łydki drżą ze strachu tak, że nie może uczynić nawet jednego kroku. Siuks, który podaje się za wodza, jest tylko starą, trzęsącą się babą. Gdyby był wodzem lub chociażby wojownikiem, stanąłby tu już dawno z nożem w ręku. Shikag czeka na niego, ale pewno na próżno.

Z zewnątrz zabrzmiał ponownie głos:

– Missawawi widzi, że Shikag jest jeszcze dzieckiem, które zabrano od piersi matki. Daruje mu więc życie i pozwoli odejść wolno. Chciałby jednak wiedzieć, dlaczego Wahgoosh nie próbował uciec rano, tak jak jego mniej odważny brat?

Siedzący w grocie zrozumiał, do czego zmierza chytre pytanie wodza, bo odparł jakby z lekkim wahaniem:

– Obóz Wahgooshug nad Trzema Wodospadami – tu specjalnie podał odległość prawie trzykrotnie większą od rzeczywistej – toteż brat Shikaga pobiegł po Seseganagę. Jeden wojownik – psom lżej. Szybciej dobiegną. Shikag i jego bracia zostali, by pilnować – zaciął się nieznacznie – by pilnować mięsa z niedźwiedzia. Missawawi nie będzie go mógł skosztować. Wszystko zjedzą Wahgooshug, gdy tu przybędą.

Nad pieczarą grupa Siuksów skupiła się wokół wodza, który zastanawiał się chwilę. W końcu powiódł ponurym spojrzeniem po swych wojownikach i skrzywił twarz w okrutnym uśmiechu.

– A więc te dwa psy, mimo że odkryły podstęp Bwaunug, nie otrzymały znaku od Seseganagi. Inaczej czekałoby tu obydwaj. Dlatego jeden z nich pobiegł tam, gdzie jest cały obóz. Ten młody i nierozważny Wahgoosh siedzący w grocie niechcący ujawnił miejsce pozostałych Wahgooshug. Moi bracia znają je. Jest oddalone stąd więcej niż o jeden dzień drogi. Bwaunug mają więc znacznie więcej czasu, niż im potrzeba. Ale nie będą czekali tak długo. Najpierw wykurza ogniem tego parszywego psa i zabiorą jego skalp oraz cały zapas mięsa. A potem wyruszą na spotkanie swych wrogów, ale nie tych, których będzie prowadził Seseganaga, lecz na pozostawiony przez niego obóz, w którym są kobiety i dzieci. Nie będą brali jeńców, lecz zabijają tyle, ile zdołają. Teraz niech bracia Missawawi zbierają dużo mokrych gałęzi. Dym i ogień wypłoszą wroga z jego nory.

Jakoż wkrótce ze skalnego nawisu poczęły spadać na skraj wąskiego przejścia całe naręcza gałęzi. Ukryty w grocie Shikag zrozumiał grożące mu z tej strony niebezpieczeństwo, toteż ująwszy oburącz długą rozwidloną żerdź, podtrzymującą w nocy skórę niedźwiedzia, począł pracować spychać gałęzie ku wylotowi pieczary. Stos jednak rósł z każdą chwilą i w końcu zasłonił ostatni widoczny skrawek nieba. Z boków i z góry podpalono drzewo i w kilkanaście minut u podnóża skaty zapłonął wielki ogień, a w niebo wzbił się wysoki słup dymu.

Twarz uwięzionego owionął gorący podmuch. W grocie poczęła wzrastać temperatura i gęstnieć dym. Trwało to jednak niezbyt długo. Oto rozgrzane powietrze popłynęło w kierunku wylotu nie dopuszczając do środka zbyt wiele dymu. Było gorąco jak w szałasie potów, ale płuca miały na szczęście czym oddychać i dym nie gryzł tak bardzo w oczy. Kłębził się pod sklepieniem i nie opadał nisko, gdzie Shikag rozciągnięty na ziemi przysłaniał nos i usta

kawałkiem skóry.

Pozostający na zewnątrz nie mogli jednak wiedzieć o tym i to właśnie postanowił wykorzystać uwięziony chłopak. Udając, że dym go dusi, począł pokasływać najpierw co jakiś czas, później coraz częściej, a w końcu czając się na zewnątrz poprzez trzask płonących gałęzi mogli usłyszeć nieprzerwany nieomal, coraz bardziej chrypliwy, duszący kaszel.

Tego właśnie oczekiwał Missawawi. Usłyszawszy dochodzące go z głębi pieczary odgłosy rzucił krótki rozkaz. W mgnieniu oka przygotowanymi wcześniej żerdziami rozciągnięto ognisko zagradzające przejście i do korytarza popychając się wzajemnie skoczyło kilku wojowników uzbrojonych w ciężkie, kamienne tomahawki.

Z wnętrza rozległ się przytłumiony huk, jeden, drugi, trzeci i nim atakujący zdołali zrozumieć, co się stało, trzy postacie zwały się tarasując przejście. Zaskoczenie wrogów było tak kompletne, że stojący jeszcze na zewnątrz, ale blisko krawędzi korytarza, wojownik nie zdążył cofnąć ręki, gdy z wnętrza buchnął jeszcze jeden strzał i czwarte ciało osunęło się na ziemię.

Missawawi w ostatniej chwili odskoczył pod skalną ścianę. A więc w pieczarze rzeczywiście ukrywał się nie jeden, a kilku wrogów zaopatrzonych w straszliwą broń palną białego człowieka. Ze zgrozą patrzył na rozlewającą się czerwoną plamę wokół ciała ostatniego z zabitych. Poprzednio już stracił trzech zwiadowców. Dwu z nich zginęło od kuli, trzeci od noża. Już wtedy Watapi ostrzegał, że wróg jest bardzo niebezpieczny i chytry i radził zaniechać pościgu. Missawawi płonął jednak żądzą zemsty. Musiał pomścić tamtych trzech. Wiedział, że broń białego człowieka jest bardzo groźna i zabija z większej odległości niż strzała łuku, ale wiedział też, że ponowne nabicie tej broni po każdym wystrzale trwa bardzo długo. Wtedy przed sobą widział ślad zaprzęgu i ślady jednego tylko wroga. Teraz przekonał się, że wrogów w grocie musiało być co najmniej czterech. Jeden nie zdążyłby tak szybko nabić kilkakrotnie swej broni. A więc on, Missawawi, dał się oszukać. Zawiódł zaufanie towarzyszących mu współbraci oraz wodza wszystkich Bwaunug. Jeśli teraz nie zdobędzie skalpów tych, którzy ukrywali się w grocie, po powrocie z wyprawy czeka go śmierć i wieczna niesława. Wszystko zależało jeszcze od wojowników, którzy pozostali przy nim. Podniósł na nich wzrok. Stali zaledwie o kilka kroków i wszyscy trzymali w rękach broń. W ich oczach jednak nie było przyjaźni ani litości. Ich też zawiódł. Nie słuchał rad. Okazał się mniej chytry niż wróg i dał mu się oszukać. Udowodnił, że nie jest wojownikiem i zasłużył na karę.

Stojący najbliżej Watapi wzniosł wolno tomahawk. Wódz nie próbował nawet zasłonić się przed ciosem. W chwilę potem jego ciało osunęło się u stóp skały. I w tym samym momencie z pobliskiego zagajnika huknęły strzelby. Prawie trzydzieści kul zagłębiło się w ciała pozostałych przy życiu wojowników Bwaunug. Krwawego dzieła dokończyły szybko noże wojowników Wahgooshug.

Mimo zmęczenia malującego się na twarzach wojowników Seseganaga nie zaniedbał ostrożności. Jego mężczyźni przetrzasnęli teren w promieniu wielu mil. Jednakże poza opuszczonym obozem nieżyjących już i oskalpowanych wrogów nie znaleźli innych śladów. Za to w niezbyt odległym, zamkniętym z trzech stron parowie natknęli się na spore stadko karibu. I ani jedno zwierzę nie uszło z życiem. Broń białego kupca w ciągu tego jednego tylko dnia zapewniła prawie czterystu osobom dużo mięsa. Tak wielką ilość, jakiej żadna rodzina nie widziała od wielu Księżyców.

Wysłani przez wodza gońcy jeszcze przed wieczorem sprowadzili na polanę cały pozostawiony o parę mil obóz. Jego ponownym urządzeniem zajęły się kobiety. Nie ociągały się. I mimo że wiele z nich było bardzo głodnych i zmęczonych, nie odkładały tej pracy na później. Wszak mężczyźni zdołali nie tylko zabić wrogów, ale w dodatku musieli upolować jeszcze wiele zwierząt i przenieść je na swych barkach do obozu. Byli więc jeszcze bardziej

zmęczeniu. I musieli odpocząć. Toteż kobiety pracowały bez szemrania, a widok dużej ilości mięsa, którego kawały myśliwi składali przed szalasem każdej rodziny, budził w ich sercach uczucia radości i spokoju. Wiedziały, że głód przez wiele dni nie zabierze nikogo z najbliższych.

Tuż przed zmierzchem na polanie oraz w parowie zapłonęły ogniska. Niezbyt duży ogień płonął wewnątrz pieczary, gdzie szaman Wahgooshug badał zwichniętą nogę Shikaga. Uciskając ją suchymi, kościstymi palcami mruczał tajemnicze zaklęcia. W końcu cały staw wokół kostki obłożył jakimiś ziołami, owinął niezbyt mocno szerokimi paskami świeżej skóry karibu i ponownie zamocował deseczki sporządzone przez białego kupca. Gdy ukończył swą pracę, wyprostował się i obrócił do stojących obok mężczyzn.

– Shemágonish nie mylił się. Żadna z kości nie została naruszona, ale uszkodzone ścięgno jeszcze przez dłuższy czas nie pozwoli Shikagowi na zupełnie swobodne poruszanie się i uganiecie za jeleniem lub karibu. W ciągu najbliższych kilku Księżyców musi oszczędzać swą nogę. Na dzisiaj opatrunek wystarczy i syn Seseganagi będzie mógł wyjść przed jaskinię i opowiedzieć swym braciom o wielkich czynach, jakich dokonał. Wszyscy chętnie go posłuchają. Czarny Pies tymczasem przygotuje specjalne mokasyny, które dobrze zabezpieczą nogę przed dalszym uszkodzeniem.

Shikag z niepokojem spojrzał na plemiennego lekarza, który niestrudzenie od wielu Zim niósł pomoc swym braciom w ich częstych, dokuczliwych, zdrowotnych kłopotach.

– Czemu Czarny Pies mówi, że Shikag przez kilka Księżyców nie będzie mógł polować?

– To wina złych duchów – odparł czarownik – które musiały kryć się przed duchem śniegu lub mrozu w wykrocie, do którego wpadł mój młody brat. Shikag widocznie zakłócił ich spokój, a może nawet nie wiedząc o tym nadepnął na któregoś. Uszkodziły mu więc ścięgno, przestrzegając go w ten sposób, by zawsze na swej ścieżce rozglądał się nie tylko dokoła, ale patrzył uważnie również pod nogi.

Młodzieniec znał niejedną wypadek, gdy złe duchy stawały na drodze wielu myśliwych i przysparzały im sporo kłopotów. Czasem powodowały, że nawet dobry myśliwy po długim biegu za ściganą zwierzyną gubił nagle jej trop. Niekiedy powodowały zejście z dobrze znanej ścieżki i tak poplątały kierunki w lesie, że trudno było odnaleźć powrotną drogę do obozu. Wreszcie innym razem na drodze strzały mknącej do upatrzonego celu ustawiały nagle cienką gałązkę. Strzała uderzała o nią, zmieniała kierunek i wtedy najlepszy strzelec wracał z łowów z pustymi rękami. Dobrze, jeśli nie spotykało go inne nieszczęście. Duchy, nawet te najbardziej złośliwe, udawało się niekiedy przebłagać. Może i z nogą nie będzie tak źle? Czarny Pies znał przecież wiele bardzo mocnych zaklęć i miał w swych woreczkach potężne leki. Gdyby tylko chciał? Młodzieniec patrzył na lekarza z niemą prośbą w oczach.

Starzec widocznie zrozumiał, bo nachyliwszy się nad nim, szeptał niezrozumiałe, przejmujące trwogą zaklęcia. W końcu wyprostował się i odetchnął ciężko.

– Duchy są jeszcze mocno zagniewane i siedzą głęboko w stawie mego brata. Czarny Pies będzie musiał złożyć im ofiarę z kinni-kinnicku<sup>47</sup>. Najlepszy jest taki, w którym znajdują się liście ahsámah, ale Czarny Pies nie ma takich liści. Nie wie więc, czy jego ofiara zdoła przebłagać duchy.

Paul, który podobnie jak Indianie wierzył nie tylko w istnienie złych duchów, ale także w ogromną moc szamanów, bez namysłu sięgnął do leżącego w rogu pieczary jednego ze swych tobołów i pogrzebawszy chwilę wyciągnął z niego sporych rozmiarów worek, który podał czarownikowi.

– Niech Muhkuhdá-oosim weźmie ten worek. Znajduje się w nim drobno pokrojony czysty ahsámah. Może mojemu bratu uda się z jego pomocą ułagodzić trochę złe duchy i może będzie mógł złożyć również ofiary dobrem duchom, by zyskać ich przychyłność.

<sup>47</sup> Drobno pokrojona mieszanka liści drzew, traw i ziół oraz kory cedru, niekiedy także z dodatkiem liści prawdziwego tytoniu; używana przez Indian jako tytoń do fajek.



Starzec skwapliwie wyciągnął rękę po worek i ukrył go starannie pod swą obszerną bluzą, po czym zwrócił się do ofiarodawcy:

– Czarny Pies dziękuje swemu bratu za ten dar. Pójdzie teraz do swego szałas i będzie się modlił. Dobry ahsámah<sup>48</sup> może usposobi duchy przychylniej. – Z tymi słowy zniknął w korytarzu jaskini. Do wnętrza wsunęła się nieśmiało Darnis, szczupła, najwyżej osiemnastoletnia dziewczyna, i dotknęła ramienia ojca.

Wódz obrócił wolno głowę i uśmiechnął się do niej – pierwszy raz od trzech dni.

– Niech córka powie kobietom, że zaraz wyjdziemy. Seseganaga jest porządnie głodny i czuje aż tutaj zapach dobrej zupy i mięsa.

Dziewczyna kiwnęła posłusznie głową i cicho wycofała się z jaskini. Chociaż paliła ją ciekawość, nie ośmieliła się spojrzeć na młodego, białego kupca, o którym wszyscy mówili, że jest bardzo dzielny.

Myśli, które tłoczyły się w jej głowie, zagłuszyły na jakiś czas głód szarpiący wnętrzności. Wiedziała, że już wkrótce będzie mogła najeść się dużo mięsa. Było wprawdzie gotowe, ale nie wolno go było ruszać, zanim mężczyźni nie zaspokoją głodu. Takie były prawa i zwyczaje. Kobiety musiały poczekać. Ale nie były smutne. Śmiały się. Żartowały. Darnis wiedziała, że smutek z ich twarzy zdjął Shemágonish.

Czemu była taka głupia i nie spojrzała w grocie na jego twarz? Skryła się za kilkoma starszymi kobietami.

Mężczyźni wyszli z jaskini i zbliżyli się do ogniska. Wyszli wszyscy trzej. Najpierw Seseganaga, za nim Shemágonish, a na końcu lekko utykając Shikag. Brat miał pomalowaną na kolor czerwony całą twarz. U jego pasa zwisały skalpy czterech zabitych wrogów.

Od sąsiednich ognisk podnieśli się mężczyźni i podeszli do niego. Ściskali ręce młodzieńca, klepali przyjaźnie po ramionach. Wszyscy wiedzieli, że farba na jego twarzy i skalpy u pasa oznaczają, że właśnie tego dnia dokonał wielkiego czynu. Żaden z mężczyzn nie mógł pochwalić się tym, że tylko jednego dnia aż czterech wrogów pozbawił skalpu. Ale Darnis nie patrzyła na brata. Patrzyła na białego i omal nie roześmiała się głośno ze swego poprzedniego lęku tam w grocie. Shemágonish nie różnił się od mężczyzn Wahgooshug. Był może tylko trochę wyższy. Okrywały go, jak i pozostałych, skóry. Miał długie, czarne spadające na ramiona włosy. Nogi jego tkwiły w prostych, nie ozdobionych niczym mokasynach. Jedynie jego twarz w odróżnieniu od Wahgooshug pokrywał ciemny zarost, ale niezbyt duży. – Widocznie nie wiedział – pomyślała dziewczyna – że wszyscy mężczyźni z jej wioski wyrwali sobie z brody każdy najmniejszy włos i dlatego ich twarze były zawsze gładkie. Biali, jak mówił ojciec, nie czynili tego. Zarost, jaki nosił, nie raził jednak i nie wyglądał śmiesznie ani groźnie.

Dziewczyna odetchnęła i stwierdziła, że się już nie boi. Poczęła rozglądać się niepostrzeżenie wokół, ale na żadnej twarzy nie dostrzegła również lęku. Kobiety i dziewczęta patrzyły na obcego z ciekawością i coś szeptały. Mężczyźni traktowali go przyjaźnie, jak jednego ze swoich – tak samo jak jej brata, a może nawet z większym jeszcze szacunkiem. Tak, na pewno zasługiwał na szacunek. Zabił i wrogów, i niedźwiedzia, i wilki. I nie obawiał się Czarnego Psa. A może sam był również czarownikiem? Odruchowo skryła się głębiej między kobietami.

Późnym wieczorem Seseganaga zaprosił białego do swego szałas. Był tam już Czarny Pies i kilku starszych myśliwych. W środkowej części płonęło ognisko. Wokół leżało kilka grubych, pokrytych sierścią skór. Mężczyźni siedzieli wokół ogniska. W dalszej części szałas przycupnęły trzy żony wodza i Darnis.

Nadejście białego kupca zebrani przyjęli żywym poruszeniem. Gospodarz wskazał mu ciepłe, wygodne miejsce koło ogniska, kobiety podały soczyste kawały duszonego w ostrym

<sup>48</sup> Czytaj: A-sa-ma – tytoń. Indianie rzadko palili czysty tytoń. Na ogół używali go jako dodatku do kinnicku.

sosie mięsa karibu. Po skończonym posiłku najpierw zabrał głos Seseganaga, później inni mężczyźni. Chwalili odwagę swego białego brata, jego chytrość i przezorność, zapewniali o przyjaźni. Twarde poorane bliznami twarze wyrażały życzliwość i szacunek.

Gdy na dłuższy czas zaległa cisza, Paul wydobył swoją fajkę i nabił ją powoli. Nim jednak zdążył sięgnąć po ogień, obok niego zamajaczył cień wiotkiej postaci. Młoda dziewczyna pochyliła się nad ogniskiem, sięgnęła bez wahania ku płomieniom, ujęła rozżarzoną gałązkę modrzewia i podała ją młodzieńcowi, po czym natychmiast wycofała się na swe dawne miejsce, gdzie nie docierał już jasny blask ogniska, a cień nie pozwalał przyjrzeć się lepiej skulonym postaciom kobiet.

Paul przez chwilę trzymał w ręku płonąca gałązkę. W końcu żarzący się węgielek położył na wierzchu tytoniu. Zaskoczony nieoczekiwanym gestem dziewczyny, nie zdążył nawet przyjrzeć się jej dobrze. Zauważył jedynie szczupłą postać i pochylone nad sobą przez chwilę ogromne czarne oczy. Nie, nie mógł spojrzeć ponownie tam, gdzie się skryła. Nie wypadało mu czynić tego przy innych mężczyznach. Wolno rozpalał fajkę. Następnie trzymaną dotąd w ręku gałązkę położył ponownie na ognisku.

Wahgooshug mówili o kłopotach plemienia, o ciągłych napadach, które od południa kierowali na wioskę Siuksowie, a od zachodu Indianie Czarnostopi. Opowiadali o swych niepowodzeniach jesiennych, które zabrały najdzielniejszych wojowników.

Paul odczuwał wyraźnie, że w niektórych wypowiedziach kryje się niepokój o los Shikaga. Wprawdzie nikt o tym nie mówił wyraźnie, ale z wielu słów, między innymi tych, które wyszły z ust Czarnego Psa, domyślił się, że Shikag nie będzie mógł na razie polować. Znał sposoby polowania Indian i wiedział, że po dojściu do łowieckich rejonów rodziny rozpraszają się i każda poluje na własną rękę. Syn wodza, nie mogąc sam polować, stawał się dla ojca ciężarem, szczególnie kiedy trzeba byłoby zmieniać okolicę w poszukiwaniu zwierzyny.

Seseganaga nie mówił nic o tym. Dzisiejsza radość przysłaniała jeszcze przyszłe troski, ale niewątpliwie zdawał sobie sprawę z kłopotów, jakie czekają jego i jego rodzinę. Sam jeden musiał w tym wypadku zapewnić żywność nie tylko swoim żonom, Darnis i Shikagowi, ale ponadto bez żadnej pomocy złowić wiele zwierząt futerkowych. Białły kupiec rozumiał to, nie chciał jednak przy wszystkich ujawniać swych myśli. Począł, aż inni goście pożegnają gospodarza, i dopiero wtedy gdy w szalasie pozostał jedynie Czarny Pies, zwrócił się do wodza:

– Shemágonish słuchał uważnie wszystkich słów, jakie dzisiaj wypowiedziano. Rozumie kłopoty, jakie przeżyli jego bracia. Sam również nie jest bez trosk. Ponieważ z wioski białych braci nie zabierał towarzyszy, będzie musiał przez wiele Księżyców pozostawać tylko z jednym pomocnikiem, którego Seseganaga poznał już ubiegłej Zimy. Też im będzie trudno, zwłaszcza że faktorii nigdy nie mogą zostawić bez ochrony. Dążąc od kilku dni szlakiem swych braci, Shemágonish myślał, że może Seseganaga zgodziłby się, by jego biały brat zabrał z sobą przynajmniej jednego mężczyznę. Wtedy nie musiałby martwić się o bezpieczeństwo faktorii, a towary, jakie posiada, pod opieką przyjaciół byłyby znacznie bezpieczniejsze. Skoro Czarny Pies mówi, że przez kilka Księżyców Shikag musi oszczędzać swą nogę, to Shemágonish chętnie zabierze go z sobą.

Seseganaga przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, po czym spojrzał z wdzięcznością na swego gościa.

– Shemágonish widzi myśli ojca i rozumie jego troski. Seseganaga przyjmuje jego propozycję i cieszy się z niej.

Paul podniósł się, uściśnął dłoń wodza i Czarnego Psa w parę minut później nakryty skórą spał na miejscu dawnego legowiska niedźwiedzia. Po raz pierwszy od wielu dni nie musiał obawiać się żadnego niebezpieczeństwa i nie musiał czuwać. Toteż sen jego był spokojny i młodzieniec obudził się późno. Za to czuł rzeškość i siłę. Był wypoczęty. Z zewnątrz

dochodził go gwar obozowiska, a wraz z nim delikatna woń dymu rozpalonych ognisk.

Wychodząc przed jaskinię omal nie wpadł na Shikaga. Dopiero teraz mógł dostrzec, że przepowiednia czarownika miała swoje uzasadnienie. Chłopak poruszał się z widocznym wysiłkiem, twarz jego przybladła, w oczach lśnił gorączkowy blask. Podpierał się grubym kijem. Na widok wychodzącego uśmiechnął się jednak i powiedział serdecznie:

– Shikag widzi, że Shemágonish odpoczął i nocą nie męczyły go złe sny. Jest pewno głodny, więc Seseganaga prosi go do swego ogniska.

Paul uśmiechnął się również i odpowiedział pogodnie:

– Tak, brat Shikaga spał dobrze i w czasie snu żadne złe duchy nie miały do niego dostępu. Cieszy się, że Seseganaga pamięta o jego żołądku.

– To nie Seseganaga. O żołądkach mężczyzn pamiętają żony wodza i jego córka Darnis – siostra Shikaga.

– Ale Shikag nigdy nie wspominał, że ma siostrę. Czy to jego rodzona siostra?

– Tak, jest jeszcze bardzo młoda. A mężczyźni o małych dziewczynkach nie rozmawiają przecież.

– Shemágonish wczoraj wieczorem w szałasie wodza nie widział żadnej małej dziewczynki.

Indianin roześmiał się głośno.

– Darnis nie jest małą dziewczynką, ale ojciec i brat jeszcze pewno długo będą tak o niej myśleli.

Kiedy znaleźli się przy ognisku, Shikag ujął swego przyjaciela pod ramię i zbliżył się do mieszkającej zupę dziewczyny.

– Niech Shemágonish pozna siostrę Shikaga.

Paul spojrzał na dziewczynę i uśmiechnął się.

– Białe nigdy nie myślał, że jego brat ma dorosłą siostrę i żałuje, że nie poznał jej wcześniej. Byłby pewno częstym gościem w wigwamie Seseganagi.

Dziewczyna uniosła głowę i chociaż wyraźnie zmieszana odparła miękko:

– Byłby zawsze gościnnie witany. Seseganaga i Shikag darzą go swoją przyjaźnią. Może ich odwiedzać, kiedy tylko zechce.

Paul uśmiechnął się ponownie i powiedział żartem:

– Do tej pory Shemágonish nie odwiedzał wigwamu wodza, bo nie wiedział, że ten ma taką piękną córkę. Teraz pewno też nie będzie mógł, bo nie wie, czy Darnis nie ukrywałaby się przed nim w najciemniejszym kącie, tak jak uczyniła to wczoraj. Nie mógł nawet przyjrzeć się jej dobrze.

Dziewczyna spuściła powieki. Na jej twarz, pod brązową skórą, wypłynął cień rumieńca. Odparła jeszcze bardziej zmieszana:

– Dziewczyna nie kryła się. Jej miejsce było przy matce. Widocznie ogień był ciemny i Shemágonish nie mógł, a może nie chciał jej dostrzec. Nie jest temu winna. Może jej się przyjrzeć teraz. – Podniosła na moment powieki. Zatrzepotały rzęsy. Czarne, wielkie oczy spojrzały odważnie w twarz młodzieńca. I pewno pod wpływem tego spojrzenia Paul poczuł dziwne uczucie ciepła przenikające jego pierś. Nim zdążył jednak coś powiedzieć, nadszedł wódz. Dziewczyna przycupnęła na powrót przy ognisku i drewnianą łyżkę zanurzyła w kociołku.

Od sąsiedniego ogniska w stronę białego pobiegło ostre, kłujące spojrzenie. Ale Paul nie widział tego. Odwrócił się właśnie w stronę nadchodzącego wodza i przywitał go uprzejmie. Posilając się gawędzili o drodze, jaką miał przed sobą biały.

Wódz, który ścieżki w tej części puszczy znał od wielu lat, obrazowo tłumaczył wprawdzie dosyć kręty, ale najkrótszy powrotny szlak białego kupca. Na koniec uściśkał go serdecznie.

Wojownicy wzniesli w górę strzelby. Z opuszczonymi rękoma i pobladłą twarzą w gronie kilku dziewcząt stała Darnis.

– Widocznie było jej smutno z powodu rozstania z bratem – pomyślał Paul i stanął na czele zaprzęgu. Shikagowi, mimo jego protestów, kazał zająć miejsce na saniach.

Wypoczęte psy rażno ruszyły w dół parowu. Za znikającym w oddali zaprzęgiem biegło jedno tylko nieprzyjazne spojrzenie. Gdy sanie zniknęły za zakrętem, spojrzenie to zatrzymało się na wdzięcznej sylwetce córki wodza. Nie złagodniało jednak. Ale zasłuchana w rytm swego posmutniałego serca dziewczyna nie zauważyła niczego.

## ROZDZIAŁ VI

### Białe wilki ruszają tropem

Kradzież popełniona w magazynie pana Fleury'ego poruszyła niewielką społeczność Trois Rivières. Oburzenie mieszkańców było tym bardziej uzasadnione, że kupiec od dawna cieszył się powszechną sympatią i szacunkiem, a wyrządzona mu szkoda była nie tylko jego osobistą stratą, lecz poważnym kłopotem dla całej osady.

Królewscy urzędnicy wielkiego intendenta zaopatrywali mieszkańców we wszystko. Z zamorskiej ojczyzny sprowadzali bydło, trzodę chlewną, owce i konie, a także zboże na zasiewy, głównie dla nowych osadników. Zaopatrywali ludność w różnorodne narzędzia potrzebne nie tylko w gospodarstwie domowym, przy wyrębie lasów i karczowaniu pól. Dostarczali narzędzi niezbędnych przy obróbce drewna potrzebnego do budowy większych łodzi i statków, powstających w skutniczych warsztatach we Francji. Ani Quebec, ani Trois Rivières, ani powstały niedawno z osady Ville Marie – Montreal, nie były jeszcze w stanie prowadzić samodzielnego życia i utrzymywać się o własnych siłach. Nie wytwarzały ani potrzebnej żywności, ani narzędzi, szczególnie żelaznych potrzebnych i na roli i w puszczy. Na ich wytwarzanie monopol posiadała zamorska ojczyzna. Ale co ważniejsze, żadna z trzech głównych osad Nowej Francji nie wytwarzała broni palnej.

Dostarczano więc wszystko z Francji, ale nie za darmo. Królewska od paru lat kolonia w Kanadzie za wszystko to musiała płacić. I płaciła. Płaciła drewnem na maszty, pokłady i kadłuby statków, potażem, smołą, solonymi rybami, ale w głównej mierze pięknie garbowanymi i wysoko w zamorskiej ojczyźnie cenionymi skórami i futrami. Futra w drodze wymiany z dzikimi zdobywali jednak kupcy, toteż ich udział w rocznych splatach kolonii na rzecz macierzy był bardzo znaczny. Po to jednakże, by zdobywać futra, kupcy musieli posiadać towary. Właśnie z tych towarów obecnie ograbiono pana Fleury'ego i mieszkańcy wiedzieli, że zamiast futer, które wiosną mógłby zgromadzić kupiec, oni będą musieli wyciąć i obrobić znacznie więcej drzewa niż dotychczas. Ojczyzna dostarczała im środków do życia, ale żądała zapłaty.

Jak się domyślano, pan Fleury poniósł ogromną stratę. Nie mówił wprawdzie o tym zbyt wiele, ale jego pochmurna twarz wyrażała znacznie więcej niż słowa. Oburzenie wzrosło, gdy poczęły szerzyć się pogłoski, że kradzież popełnili Indianie. Początkowo wydawało się to mało prawdopodobne, ale kiedy w kilka dni później przyciśnięci do muru w knajpie Godarda obydwa niefortunni wartownicy opowiedzieli o swej przygodzie z dzikim, który usiłował wyłowić z rzeki baryłkę rumu, wszystko stało się jasne. Mimo zaklęć na wszystkie świętości, nikt nie uwierzył, że żołnierze chcieli jedynie sprawdzić, co zawiera baryłka. Sam fakt, że była pusta, kiedy znaleziono ją następnego dnia tuż obok zamroczonej alkoholem i śpiącej warty, mówił sam za siebie. Nikt też nie dziwił się, że podobno nie można było dobudzić się ich przez następne dwa dni.

W tajemniczego dzikusa uwierzono, zwłaszcza że w nadbrzeżnych krzakach, gdzie ziemia była bardziej pulchna, jeszcze po kilku dniach widniały liczne ślady wyraźnie odcisniętych mokasynów, a przecież od dłuższego czasu w okolicy nie stwierdzono obecności żadnych indiańskich band ani nawet pojedynczych zwiadowców.

Połączono te fakty i wysnuto logiczny wniosek: dzicy celowo puścili wzdłuż brzegu rzeki barylkę z rumem na przynętę, a dwu nieokrzesanych wojaków o suchych, nienasyconych gardłach dało się na tę przynętę złapać. Plan był prosty, ale szatańsko chytry. Wszyscy przecież wiedzieli; mogli więc przez swych szpiegów wiedzieć i dzicy, że komendant fortu, jeśli chodziło o rum, nie był zbyt szczodry wobec podwładnych. Ba”. Co niektórzy, znający lepiej zakulisowe sprawy garnizonu, snuli czasem i to niebezpieczne domysły, że tym właśnie przydziałowym rumem imć pan Gobineau dysponował w przeważającej mierze na własne potrzeby nie mające nic wspólnego ze służbą. I chociaż nie dawano wiary opowiadaniu wartowników, że tylko spróbowali, nikt ich nie potępiał. Wszak i żołdu nie wypłacano im już od dłuższego czasu. Jak więc mogli oprzeć się pokusie i nie sprawdzić zawartości wprost przez opatrność zesłanej im barylki?

Sprawa wydawała się prosta: dzicy podrzucili rum i ukradli towary, ale wśród towarów znajdowała się broń. Fleury zaślaniał się tym, że nie wie, ile zginęło strzelb, bo po otrzymaniu ładunku z Francji jeszcze nie zdążył policzyć, ale była to jedynie wymówka wobec Gobineau, który miał obowiązek kontrolowania, by strzelby tylko w nieznacznych ilościach trafiały do Indian i to jedynie zaprzyjaźnionych.

Kupiec był zamożny, toteż mieszkańcy domyślali się, że i broni nie mogło być tak mało. Prawdopodobieństwa, że wpadła w ręce któregoś z zaprzyjaźnionych plemion, nie można było traktować serio. Natomiast nawet kilkanaście strzelb w rękach wrogów, wśród niezbadanych mrocznych puszczy rozciągających się wokół Trois Rivières, mogło stanowić poważne zagrożenie nie tyle dla samego fortu czy osady, ile dla pojedynczych myśliwych wypuszczających się prawie codziennie w pobliskie lasy.

Komendant fortu, który wraz ze swym siostrzeńcem po obficie zakrapianej kolacji u pana Fleury’ego obudził się w poniedziałek rano z tępym bólem głowy, dopiero we wtorek był w stanie wysłać kilka wojskowych patroli.

Wobec nieznanego liczebnie, ale dobrze uzbrojonego po kradzieży przeciwnika, patrole prowadziły badania terenu raczej ostrożnie i – jak należy się domyślać – bez zbytniego zapалу. Ostatecznie po tygodniu okazało się, że tajemniczy złodzieje ulotnili się nie pozostawiając innych śladów poza tymi, które widziano nie opodal zachodniej bramy fortu.

Mieszkańcy fortecznej osady uspokajali się stopniowo. Życie wracało na swe dawne tory, a wstrząs wywołany tak zuchwałą kradzieżą, z jaką nie spotkano się tu od wielu lat, mijał powoli. Tak, ale tylko u większości. Część, szczególnie tych bardziej dociekliwych, a niekiedy i osobiście zainteresowanych, nie mogła nad sprawą przejść do porządku dziennego. I do tej właśnie części należał komendant fortu i jego siostrzeniec, a także kilkunastu mężczyzn, którzy zgodzili się wziąć udział w planowanej przez Girarda wyprawie. Kiedy wyszło na jaw, że kradzież towarów u Fleury’ego oznacza w rzeczywistości fiasko wyprawy, poczuli się oszukani. A należeli do tych, którzy nie tak łatwo dawali się oszukiwać. Widząc więc bezowocność kroków podejmowanych przez porucznika, poczęli węszyć na własną rękę, korzystając przy tym z pomocy zaprzyjaźnionych indiańskich zwiadowców. I na wyniki nie trzeba było czekać zbyt długo.

Otóż wkrótce okazało się, że odkryte w górze rzeki ślady, to ślady nie jakiegóż bliżej nie określonej bandy dzikich, lecz ślad obozowiska Indian, którzy nie komu innemu jak właśnie panu Fleury’emu przywieźli niedawno futra i wcale nie odpłynęli od razu, jak początkowo sądzono, lecz w swym obozowisku pozostawali kilka, a może nawet kilkanaście dni. Potwierdziło to zresztą paru Indian Montagnais łowiących ryby w tym czasie, gdy Paul przybył do Trois Rivières. Zastanawiające było, że mimo niewielkiej odległości od osady nie pojawili się w niej ani razu chociażby po to, by kupić zwykłe świecidełka dla kobiet. Mogło dziwić, tym bardziej że przybywali przecież aż zza Wielkiego Jeziora Indiańskiego lub, jak je od niedawna nazywano, jeziora Tracy, z odległego Zachodniego Kraju. Przywieźli futra i zniknęli. Nie pokazali się więcej żadnemu białemu. A więc musieli mieć ku temu poważne

powody. Może powody te znał Bresson”.

Porucznik postanowił to sprawdzić natychmiast. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy okazało się, że pomocnik pana Fleury’ego zniknął tak samo jak Indianie, którzy z nim przypłynęli. Baa”. Szybko wyszło na jaw, że zniknął prawdopodobnie tego samego dnia lub przynajmniej w tym samym mniej więcej czasie co dzicy. Nikt nie widział go od przeszło dziesięciu dni.

Bomba pękła, gdy okazało się, że parę dni po kradzieży, pan Fleury popłynął do Quebecu. Mimo że to właśnie jego magazyn obrabowano, nie brał udziału w żadnych poszukiwaniach, lecz wyjechał po cichu, nie zawiadamiając nawet dowódcy garnizonu.

Gdy skojarzono te fakty, Girard szalał z wściekłości. Siedząc w knajpie Godarda tłukł pięścią w stół i ryczał jak dzikie zwierzę:

– Dostanę tego farbowanego Mohawka, tego parszywego kundla, tę przybłędę, to indiańskie merde<sup>49</sup> i przywlokę do Trois Rivières na postronku jak psa. – Z wściekłością wałnął pięścią w blat stołu. Siedzący obok żylasty drab, milczący do tej pory, otarł ręką wąsy i mruknął:

– Głupio gadasz, Girard, i niepotrzebnie tak głośno. Wszyscy ci dzicy – tu wskazał ręką kilkunastu indiańskich myśliwych raczących się w przeciwnym kącie izby piwem – słyszą każde twoje słowo. Nie wiesz, który z nich jest szpiegiem Bressona i doniesie mu wszystko, co trzeba.

Siostrzeniec porucznika sapnął głośno kilkakroć i uspokoił się trochę.

– Chcesz więc, Bergson, żebym darował temu dzikusowi to, że zabrał wszystkie towary i zostawił nas na łodzi?

Drab przeciągnął się leniwie.

– Nie, Girard, ani ja, ani żaden z chłopców nie ma zamiaru dać mu się wykiwać. Tylko nie musisz o tym gadać tak głośno. Tutaj długi język to najczęściej krótki żywot.

Girard zmełł ponownie brzydkie przekleństwo cisnące mu się na usta i warknął:

– Nie potrzebuję morałów. Gadaj, jeśli to coś do rzeczy. Bergson popatrzył uważnie w twarze swych kompanów, a wyczytawszy w nich milczącą zachętę powiedział ostrożnie:

– Mówisz, że sprowadzisz go tu na powrozie. A czy przynajmniej wiesz, gdzie znajduje się teraz lub gdzie się udał?

– A skąd mam wiedzieć”. do stu tysięcy”. To wyście powinni wiedzieć. Wy przecież znacie szlaki i kraj. Sami gadaliście nieraz, że możecie zaprowadzić mnie tam, gdzie są futra.

– Tak – drab patrzył zimno w oczy Girarda – możemy zaprowadzić cię w wiele różnych miejsc, gdzie są futra, ale możemy cię tam zaprowadzić z towarami. Dzicy nie oddają futer za darmo. Towary ma Bresson, nie ty. Do którego z tych miejsc popłynął, nie wiem.

– Ale ja wiem – odparł pogardliwie Girard.

– No? – wszystkie głowy obróciły się w jego stronę.

– Popłynął za jezioro Tracy.

Bergson spojrzał na niego drwiąco.

– I nic więcej nie wiesz?

– To chyba wystarczy.

– Mówisz, że za jezioro Tracy? To diabelnie mało. Kraj za jeziorem Tracy jest duży. Dziesiątki razy większy od całej Francji. Wszędzie puszcza i tysiące rzek. Kraj nieznany. Tam nie odnajdziesz nikogo, a skalp możesz łatwo stracić. Chyba że jedziesz z towarami. Wtedy jesteś tak samo dobry jak Bresson. Sprzedadzą futra tobie, a i o Bressonie można się czegoś dowiedzieć. Tamtejsi dzicy pewnie go znają. Handlował tam ładnych parę lat, ale to gardłowa sprawa, bracie.

– Dlaczego gardłowa? – spytał Girard.

---

<sup>49</sup> Gówno (franc.)

– Bo nie możesz ścigać Bressona jako kupiec. Tylko wojsko ma takie prawo.

Girard zmrużył oczy.

– No, to nie jest tak źle. – Pochylił się do przodu i ściszył głos. – Teraz ja wam coś powiem. Dostaniemy i jego, i jego towary.

– A to w jaki sposób? – wyrwał się najmłodszy z całej kompanii, zaledwie dwudziestoletni Passy.

Siostrzeniec Gobineau uspokoił się już.

– Całkiem po prostu. Mój wuj jako komendant fortu wyda nakaz ścigania Bressona i konfiskaty jego towarów.

Bergson wzruszył ramionami.

– I cóż nam z tego przyjdzie, że wojsko zarekwiruje te towary. Nie podzieli się przecież z nami i pewno będzie musiało zwrócić temu, komu zostały skradzione.

– Niekoniecznie. Nie mówiłem, że wojsko ma je skonfiskować. Powiedziałem jedynie, że komendant fortu może wydać nakaz ścigania i konfiskaty towarów. Nie musi wysyłać zaraz żołnierzy. My możemy się tego podjąć, a kto wie, ile towarów uda nam się odzyskać”.? Przecież nawet Fleury nie wie, ile ich skradziono”. – Po słowach tych zapanowało milczenie. Każdy z obecnych rozważał to, o czym mówił Girard.

– Hm”. – Briand, któremu podobnie jak Bergsonowi obrzydło rąbanie drzew, spojrzał pytająco na przybysza z Francji. – Powiadasz, że porucznik Gobineau dałby ci nakaz ścigania Bressona i konfiskaty towarów? I to bez obstawy żołnierzy?

– Na pewno. Wuj też ma nie największy żołąd i nie płacą mu go co miesiąc. Też liczył na to, że towary dostaniemy od Fleury’ego. No więc, co? – Tu ponownie podniósł głos. – Jeśli dostanę taki nakaz, pójdziecie ze mną?

I znów jak poprzednio zaległo dłuższe milczenie. Milczenie wymowne, ponieważ każdy z obecnych rozumiał dobrze znaczenie słów siostrzeńca komendanta fortu. I każdy zdawał sobie sprawę z tego, co znaczyła taka wyprawa. Bresson; nawet jeżeli był jeszcze młody, znał szlaki lepiej niż oni. Pewnie nie miałby ochoty pozbywać się towarów bez oporu. Odpłynął z bandą dzikich i postarał się o to, by dobrze zatrzeć ślady. Swych umiejętności dowiódł już tutaj wyprowadzając wszystkich w pole. Gdyby Girard doścignął go, musiałoby dojść do walki. A jej wynik wcale nie był pewien. Tamci przecież również posiadali broń palną, a nawet jeśli Bresson trzymał ją tylko na wymianę i to wymianę za zimowe i wiosenne futra, w każdej chwili mógł w nią zaopatrzyć swych sprzymierzeńców. Z drugiej strony, stopy futer, jakie przywiózł tu niedawno, stanowiły majątek. Żeby taki majątek zdobyć, każdy z nich musiałby rąbać drzewa i karczować pola dłużej niż przez całe życie.

Bergson raz jeszcze popatrzył na swych kompanów. Tak. Oni na pewno nie zawahaliby się. Znał ich wszystkich: i Passy’ego, i Brianda, Cassima, Richeta, Rollanda, Sabatiera i pozostałych, którzy nie przyszli dzisiaj wieczoru, ale na których mógł liczyć zawsze. Zresztą właśnie on namówił ich do porzucenia dotychczasowych zajęć i przyjęcia pracy u Girarda. I wiedział, że u tej kompanii cieszy się mirem. Obrócił się ku siostrzeńcowi komendanta i powiedział na pozór obojętnie:

– Dobra, rozumiemy cię, ale to miejsce nie jest dobre na poważną rozmowę. Za dużo tu długich uszu, no i robi się późno. – Tu zwrócił się do pozostałych. – Ani pary z gęby o tym, że Girard może dostać nakaz ścigania Bressona. Ludzie w osadzie nie powinni o tym wiedzieć, bo zaraz się dowiedzą indiańscy szpiegowie. Jeśli, jak mówi Girard, jego wuj da taki nakaz, to pojedziemy po towary lub futra. Zawiadomić resztę naszych chłopaków i ani słowa przy obcych. – Tu zwrócił się do przyszłego dowódcy wyprawy. – Chodź, Philippe. Znajdziemy sobie jakiś spokojny kąt i porozmawiamy poważnie.

Siostrzeniec komendanta nie protestował, toteż wkrótce obydwaj mężczyźni opuścili obozisko i skierowali się ku rzece.

Szli wolno nie rozmawiając i chociaż wąska ścieżka majacząca w zapadającym zmroku



wydawała się pusta, Bergson kilkakrotnie przystawał i pilnie nasłuchiwał. Jednak żaden podejrzany szelest nie mącił panującej wokół ciszy. W końcu mijając ostatnie wiklinowe krzewy wyszli na brzeg, w miejscu gdzie gałęzie trzech starych wierzb sięgały lustra wody.

Bergson obszedł drzewa, rozejrzał się jeszcze raz dokoła, nasłuchiwał jakiś czas, w końcu usiadł pod najbliższym pnem i nie ścisząc zbyt głośno powiedział:

– Siadaj. Tu możemy pogadać spokojnie i poważnie. Nikt nam nie przeszkodzi.

– Ale po co te ostrożności, Bergson? Jeśli Bresson ukradł rzeczywiście towary, to mu je odbierzemy, wymienimy na futra i koniec. Będziemy bogaci.

Cichy śmiech był jedyną odpowiedzią na te słowa.

– Jesteś głupi, Girard. Sam twierdziłeś, że porucznik Gobineau wystawi ci nakaz, prawda? To nakaz wojskowy. Towary będą ani twoje, ani moje, tylko wojskowe. Czy muszkiety, jakie trzymają w łapach żołnierze, należą do nich czy do króla?

– Noo”, do króla, ma się rozumieć.

– A więc i towary będą należały do króla albo futra, które zarekwirujemy. Ty będziesz miał z tego gówna i ja również. Wszystko zabierze gubernator, tak jak to zrobił z Radissonem. Ty dostaniesz pochwałę, a twój wuj może pięć ludwików do pensji. To na nic.

– A więc co, do cholery?

– Nie gorączkuj się. Plan nie jest taki zły. Tylko trzeba go inaczej wykonać.

– Jak?

– Twój wuj powinien ci dać papier upoważniający do konfiskaty towarów. Może być potrzebny. Jeśli dogonimy Bressona, pokażesz mu ten papier. Wtedy prawo będzie po naszej stronie. Bresson musi wydać towary.

– No, a jeśli nie wyda?

– To i tak nieważne. Przecież jeśli odbierzesz towary, nie będziesz ich tu włókł do Trois Rivières. Trzeba będzie tam wymienić na futra.

– Ale jeśli wrócimy z futrami wymienionymi za towary, które zabraliśmy Bressonowi, to znów będą kłopoty.

– Widzę, że nic nie kapujesz, Philippe. A kto musi wiedzieć, że to za towary Bressona? Przecież mogą to być twoje własne towary?

– Jak to moje? Skąd je wezmę u diabła?

– Nic nie rozumiesz. Oczywiście, że od Bressona, ale o tym będziemy wiedzieć tylko my. Przecież Bressona nie zamierzasz chyba ciągnąć z powrotem do Trois Rivières? Po powrocie powiemy, że”. nie spotkaliśmy go, albo na przykład możemy mówić, że Indianie opowiadają, że przystał do tych heretyckich Anglików znad Zatoki Hudsona lub zwąchał się ponownie z Mohawkami. Nikt tego później nie dojdzie.

Tym razem Girard zrozumiał. Z rozmachem palnął Bergsona w rozłożyste bary i roześmiał się głośno.

– Dobry jesteś. Taki plan mi się podoba. Nawet wuj nie musi o nim wiedzieć, a przynajmniej nie o wszystkim. Zawsze to władza i mogłoby go gryźć sumienie.

Mimo ciemności można było zauważyć, jak Bergson kiwnął potakująco głową, po czym znów zwrócił się do Girarda:

– Jest tylko jedna trudność na początku.

– Jaka?

– Nikt w Trois Rivières nie może wiedzieć, że wyprawiamy się przeciwko Bressonowi. Trzeba wyjechać stąd normalnie załadowanymi łodziami tak, jak wszystkie wyprawy handlowe.

– To się da jakoś zrobić-odparł Girard po chwili namysłu. – Zwłaszcza że trochę towarów mam. Nie za dużo, ale dla zmydlenia oczu wystarczy.

– Masz towary? – tym razem zdziwił się Bergson.

– Iii”. Niedużo. Trochę muszkietów, prochu i kul. Jest też trochę koców i sporo rumu.

Mogę wziąć parę mundurów. Gnią niepotrzebnie w magazynie fortu. Resztę można uzupełnić byle czym. Może być drzewo czy kamienie. Jeśli owinie się w płóciennę worki i koce, nikt nie pozna.

– No, to właściwie wszystko jest jasne – stwierdził Bergson. – Jedyne kłopot to odnaleźć Bressona”. – W tym momencie o kilkanaście kroków dalej zaszeleściły gałęzie, w mroku zamajaczyła jakaś postać. Obydwaj mężczyźni jednocześnie sięgnęli po noże. Obcy jednak, który pojawił się tak nagle, postąpił do przodu kilka kroków, podniósł w górę otwartą dłoń i powiedział cicho:

– Nie trzymać noży. Dziki nie jest wrogiem. On przyjaciel. Biali podnieśli się. Nie wiedzieli, czy czerwonoskóry był sam, czy towarzyszyła mu cała banda. Należało zachować ostrożność. Girard postąpił krok do przodu i spytał:

– Czego tu wiesz, czerwona skóra?

Indianin podszedł jeszcze bliżej i chociaż musiał widzieć, że dłonie tamtych ściskają broń, nie okazał żadnego niepokoju. Powtórzył tylko:

– Dziki nie wróg. Przyjaciel. Chce pomóc swym białym braciom.

– Chcesz nam pomóc? W czym? – Bergson zdjął rękę z noża i oparł się o drzewo. Girard sprężył się wewnętrznie. Rozumiał, że zostali podsłuchani i że ktoś posiadał ich tajemnicę. Ktoś obcy, kogo należało natychmiast uciszyć. A ponieważ jego myśl, chociaż często leniwa, gdy zachodziła potrzeba, biegła razem z czynami, ze wzniesionym nożem, niczym pantera, runął na stojącego zaledwie o dwa kroki Indianina. I”. nim zdołał zrozumieć, co się stało, leżał na trawie, a nóż, który przed chwilą trzymał w ręku, opierał się ostrzem o jego własne gardło. Nie nastąpiło jednak pchnięcie. Zwycięzca podniósł się znad leżącego, rzucił broń obok i powtórzył raz jeszcze:

– Dziki nie wróg. Nie chce twojego skalpu. Wstań i rozmawiaj jak mężczyzna. – Girard odszukał leżący nie opodal nóż i podniósł się. To, co go spotkało przed chwilą, nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy w życiu. Sam był szybki i silny, ale napadnięty przez niego – musiał to przyznać w duchu – przewyższał go w jednym i drugim. Nie sięgał już po broń. Patrzył chwilę na półnągą postać, w końcu spytał:

– Czego chcesz?

Indianin rozluźnił mięśnie i odparł, jakby nic nie zaszło:

– La Soudaine Mort<sup>50</sup> wie, że chcesz znaleźć młodego kupca, którego nazywasz Bresson. La Soudaine Mort wie, gdzie znajduje się jego wigwam, do którego teraz podążył. Może cię tam zaprowadzić.

Bergson poruszył się i zbliżył twarz do twarzy czerwonoskórego wpatrując się w jego ostre rysy.

– Mój czerwonoskóry brat wie, gdzie znajduje się zimowy wigwam Bressona?

– Tak, on to wie.

– Czy był tam może kiedyś?

– Był tylko raz, ale miejsce zna dobrze. W czasie Księżyców śniegu niedaleko od tego miejsca polują jego bracia. On też polował tam wielokrotnie i zna wszystkie ścieżki. – Pewność, z jaką mówił, nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do prawdziwości jego słów.

– A czy La Soudaine Mort wie, że właśnie tam podążył teraz młody biały kupiec?

– Tak, dziki to wie. Widział, jak Shemágonish odpływał z myśliwymi, których wodzem jest Warbishcar Nocey. Oni nie zgodziliby się popłynąć gdzie indziej. Zawieźli go tam, gdzie grób jego ojca.

Girard, który tej krótkiej wymiany zdań słuchał z coraz większym zdumieniem, zdołał tylko wyjąkać:

– Ale kim jest Shemágonish? La Soudaine Mort mówił najpierw, że wie, gdzie popłynął

---

<sup>50</sup> Nagła Śmierć (franc.)

Bresson. Teraz mówi, że wie, gdzie udał się Shemágonish. Biali nie wie, kim jest ten drugi i nie chce go odnaleźć. Chce znaleźć Bressona.

Indianin wzruszył ramionami i powiedział niecierpliwie, jakby dziwiąc się niedomyślności białego:

– Bresson to właśnie Shemágonish. Bracia La Soudaine Mort tak go właśnie nazywają.

– Ale”.

– Poczekaj, Philippe – przerwał Bergson. – Nasz czerwonoskóry brat chce nam pomóc. Czego żąda za tę pomoc?

Indianin musiał być przygotowany na to pytanie, bo odparł bez namysłu:

– Jedną grzmiącą rurę, worek prochu i dwa worki kul oraz nóż taki, jakie mają teraz biali przy sobie, i żelazny toporek. Bergson pokręcił przecząco głową.

– La Soudaine Mort żąda za swą przysługę bardzo dużo. Jego bracia nie mogą dać takich podarków. Mogą mu ofiarować nóż i małą baryłkę wody ognistej.

Czerwonoskóry roześmiał się bezgłośnie i powiedział:

– La Soudaine Mort słyszał całą rozmowę białych braci. I wie, że sami nigdy nie odnajdą Shemágonisha i nie wezmą jego towarów ani futer. Albo dadzą to, czego żąda dziki, albo będą szukali sami. Niech się zdecydują.

Bergson spojrzał niepewnie na swego kompana, ten jednak skinął energicznie głową.

– Obiecay mu to, Charles. Opłaci się nam.

– Dobrze – a zwracając się do czerwonoskórego odparł chytrze: – Nagła Śmierć otrzyma to, czego żąda, jak nas tylko doprowadzi do obozu Shemágonisha.

Indianin cofnął się o krok i wzruszył ramionami.

– La Soudaine Mort nie będzie czekał tak długo. Biali to kłamcy. Nigdy nie dotrzymują słowa. Albo przedmioty dostarczą jutro, albo sami poszukają Shemágonisha.

Bergson usiłował jeszcze coś powiedzieć, ale Girard odsunął go do tyłu.

– Niech nasz czerwonoskóry brat powie, gdzie i o jakiej porze pragnie otrzymać te przedmioty?

– Jutro, gdy słońce będzie stało najwyżej, w górze rzeki przy trzech czerwonych sosnach. Woda rozbija się tam o skały. Biali znajdą to miejsce.

– A czy wtedy Nagła Śmierć wskaże nam drogę do wigwamu Bressona?

– Nagła Śmierć zaprowadzi tam białych. – Z tymi słowy cofnął się o kilka kroków i zniknął w ciemnościach.

Obydwaj biali przez jakiś czas nasłuchiwali jeszcze, lecz żaden szelest nie dobiegł ich od strony, w której zniknął tajemniczy Indianin. Pierwszy odezwał się Girard:

– Dobre imię nosi nasz nowy znajomy: Nagła Śmierć. O mało nie zakłuł mnie moim własnym nożem. Co myślisz o nim, Charles?

– To na pewno Czipewej, a imienia, jak się sam przekonałeś, nie nadano mu przypadkowo. Pewno zasłużył sobie na nie. Nagła Śmierć – powtórzył wolno. – I to raczej Odżibuej<sup>51</sup> znad jeziora Tracy niż Missisauga. W każdym razie wiesz już, jak wygląda prawdziwy Indianin i co nas czeka, jeśli im nie przypadniemy do gustu. Girard poruszył się niepewnie.

– Et, tam. To, że akurat ten dziki tak sobie poradził ze mną to tylko dlatego, że nie zauważyłem, jak mi podstawił nogę. Prymitywny fortel i przypadek, że akurat zawadziłem o nią. Następnemu już się to nie uda-dorzucił jakby z usprawiedliwieniem.

– Nie bądź taki pewny. Oni znają tysiące takich prymitywnych sposobów, a uczą się ich od

---

<sup>51</sup> Nazwa dużej grupy plemion z rodziny algonkińskiej. W jej skład wchodził m. in. Odżibuej z rejonu Jeziora Górnego, Ottawowie z zatoki Georgian, Potawatomi, Missisauga oraz inne plemiona. Niektórzy historycy utożsamiają Odżibuejów z Czipewejami, co nie wydaje się uzasadnione z uwagi na znaczne różnice językowe między obiema grupami oraz różne rejony zasiedlenia. W połowie XVII w. Odżibueje byli najliczniejszą w Kanadzie grupą plemienną. Zapisy z tego okresu szacują ich liczbę na ok. 30 tys. Prawie tak samo liczni byli Cree.

dziecka. Dlatego my żyjemy za palisadą fortu, a oni wszędzie dookoła. Nie powinienes być go atakować.

– Dlaczego?

– Widzisz. Trzeba ich trochę poznać. O tym było wiadomo z góry, że nie ma złych zamiarów.

– Skąd to mogłem wiedzieć?

– Pożyjesz tu trochę, dowiesz się. Ten wyszedł jawnie. Nie ukrywał się. Znak, że ma pokojowe zamiary. Dziki w pojedynkę, jeśli coś knuje, nie pokaże się. Gdyby ten coś zamierzał, zdmuchnąłby nas dwoma strzałami. Oni trafiają również w nocy, A widzą jak dzikie koty.

– No, to czuję, że czeka nas ciekawa wyprawa – mruknął Girard. – Jeśli wszyscy noszą tak piękne nazwiska jak ten dzisiejszy, możemy mieć niezłą zabawę. Jak myślisz, czy ten wie naprawdę, gdzie jest Bresson, czy chce tylko wyludzić strzelbę?

– Na to nie odpowie ci nikt. Może wie, a może nie wie? Chociaż myślę, że raczej wie. Inaczej nie upierałby się tak zdecydowanie przy swoim żądaniu i nie byłby tak pewny siebie. Na dzisiaj wystarczy. – Wolno skierowali się w stronę osady. Przy wschodniej bramie, przez którą musieli wejść w obręb palisady, okrzyknęła ich warta, lecz poznawszy Girarda przepuściła bez kłopotów.

Tymczasem nad rzeką, którą opuścili, przez dobre pół godziny panowała cisza i spokój. W końcu rozchyliły się nadbrzeżne szuwary, wychynęła z nich ostrożnie głowa, a w chwilę potem lśniący kropelkami wody tors. Zanurzony do tej pory po szyję zupełnie nagi mężczyzna rozejrzał się raz jeszcze bacznie dokoła, po czym odsunął od brzegu i dał się spokojnie unieść prądowi. O jakieś czterysta kroków poniżej odszukał ukryte w sitowiu małe kanu i pchnął je na środek rzeki. Półtorej mili dalej zbliżył się do lewego brzegu i wprowadził swój wąty stateczek w płytki strumień spływający z północy.

Był zadowolony z siebie. Najbardziej zadowolony z tego, że z rozmowy dwu białych i Nagłej Śmierci dowiedział się, że Shemágonish popłynął z towarami tam, gdzie znajdował się grób jego ojca. Nie musiał wiedzieć więcej. On również znał to miejsce. Znali je również ci, dla których wypełniał teraz obowiązki wywiadowcy. Wykonał je dobrze i spodziewał się hojnych podarków.

Ponieważ pływający strumienia nie pozwalały na dalsze posuwanie się wodą, wziął kanu na ramiona i powędrował szybko na północ. Przed świtem spuścił je ponownie na wodę szerszej rzeczki i zanurzył głębiej wiosło. Do Wielkiej Zimnej Wody, którą biali mieszkający nad nią od niedawna nazywali Hudson Bay, miał niecały Księżyc drogi, a gdyby się pośpieszył – nawet mniej.

Następnego dnia, zdążając do miejsca wskazanego przez swego nocnego rozmówcę, Girard i Bergson szli pełni sprzecznych odczuć. Już z dala dostrzegli nieruchomą postać dzikiego. Zwyczajem czerwonoskórych siedział ze skrzyżowanymi nogami odzianymi w długie, sięgające bioder legginy, których szwy zdobiły pasma włosów i kolce jeżozwierz. Nogi jego tkwiły w prostych mokasynach. Od pasa był nagi. Jedynie na muskularnej, żylastej szyi nosił woreczek z lekami, a za pasem ciężki krzemienny nóż. Obok leżał długi łuk i kołczan pełen pierzastych strzał. Długie, związane kawałkiem rzemienia proste włosy luźno opadały na plecy. Twarzy nie barwiło żadne malowidło, toteż jej wyraz rysował się ostro i wyraźnie.

Bergson przyglądał się tej twarzy z ciekawością. I uwagi jego nie uszedł ani ostro zakrzywiony orli nos, ani wystające kości policzkowe, ani głęboko osadzone, przenikliwe oczy. Cechy te znamionowały mieszkańca północno-zachodnich puszczy.

Gdy podeszli blisko, siedzący wskazał im miejsce. Nie odezwał się jednak. Mimo niewątpliwie młodego jeszcze wieku zachowywał się jak dojrzały wojownik. Z daleka już

musiał widzieć, że biali spełnili jego żądanie i przynieśli przedmioty, których domagał się poprzedniego wieczoru. Przez moment po jego twarzy przemknął cień zadowolenia, ale zgasił go natychmiast. Wiedział, że skoro spełnili jego życzenia, musieli traktować go z szacunkiem i musiało im na nim zależeć. Potrzebowali go, a w takim razie musiało im także bardzo zależeć na tamtym białym, do którego obiecał ich zaprowadzić. I zamierzał dotrzymać obietnicy z wielu względów. I nie chodziło jedynie o strzelbę i nóż i kilka innych przedmiotów, którymi się zgodzili zapłacić za przysługę. La Soudaine Mort miał zupełnie inne powody, dla których zgodzi się pomóc obydwu białym, bardzo poważne powody. Nie znał ich nikt, nawet ten w Quebecu, który pragnął również, by Shemágonish umarł i który za jego -zabicie obiecał dobrze zapłacić. Teraz nadarzyła się nowa okazja i Nagła Śmierć nie zamierzał jej tracić. Oczywiście, że Shemágonisha mógł zabić sam, ale było to niebezpieczne. Sam również mógłby wtedy stracić życie. Śmierci nie obawiał się, ale wolał, by zginął tylko tamten. Obecność wielu dobrze uzbrojonych białych stwarzała taką właśnie możliwość. Zaprowadzi ich więc chętnie, a potem przy ich pomocy weźmie skalp tego jednego, białego psa. Weźmie, bo tak sobie przyrzekł już dawno temu. Spojrzał na obydwu białych i nie dając nic poznać po sobie odezwał się spokojnie:

– Nagła Śmierć widzi, że jego biali bracia przyszli o oznaczonej porze. Czy przynieśli z sobą te wszystkie przedmioty, które obiecali podarować swemu czerwonoskóremu bratu?

– Tak – odparł równie spokojnie Bergson. – Przynieśli je i darowują swemu bratu. Czy jest zadowolony?

Indianin popatrzył na wyciągniętą w jego kierunku strzelbę, potem na oddalony o kilkadziesiąt kroków wierzchołek sosny, na którym siedziała wrona i odparł:

– Niech biały brat zestrzeli stąd tego aundak<sup>52</sup>. Wtedy Nagła Śmierć będzie wiedział, czy jest zadowolony czy nie.

Przez chwilę dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. W końcu Bergson powstał ostrożnie, uniósł broń i przyłożył ją do ramienia. Znając dzikich zdawał sobie sprawę, że ważą się w tej chwili losy czegoś więcej niż oceny strzelby. Gdyby chybił, nie tylko strzelba nie znalazłaby uznania w oczach dzikiego, ale i trzymający ją teraz w ręku straciłby na zawsze szacunek tego, być może cudem, zesłanego przewodnika. Maską obojętności pokrył lekkie zdenerwowanie. Dobrze, że tym razem posłuchał Girarda i zabrali dobrą, nową strzelbę. Ze starej nie miałby żadnych szans trafienia niewielkiego ptaka. Celował długo, starannie. W końcu delikatnie przycisnął spust. Obłok dymu na chwilę przesłonił mu widok, tak że nie od razu mógł ocenić skuteczność strzału i dopiero po chwili kątem oka dostrzegł, jak bezwładny czarny cień opada na ziemię.

Nie spojrzał więcej w tym kierunku. Udając zupełną obojętność nabił ponownie strzelbę i wręczył ją dzikiemu ze słowami:

– Teraz niech mój czerwonoskóry brat sprawdzi celność swego oka.

Tamten jednak roześmiał się tylko bezgłośnie.

– La Soudaine Mort nie umie strzelać, ale widzi, że strzelba jest dobra. Kiedy się nauczy, trafi jeszcze dalej, ale jest zadowolony. Żaden myśliwy w jego wiosce nie posiada tak dobrej strzelby. Teraz Nagła Śmierć będzie najlepszym myśliwym i najgroźniejszym wojownikiem” Ale biali bracia obiecali jeszcze proch i kule, długi nóż i toporek. – Bez słowa położyli obok niego wymienione rzeczy.

Indianin obejrzał uważnie wszystko, położył parę ziaren czarnego prochu na język i spróbował zębami. Ziarenka były jednak twarde, zatem proch musiał być suchy i dobry. Zawiązał starannie worek. Kamienny nóż wyrzucił z pogardą w pobliskie zarośla. Żelazny nóż i toporek zatknął za pas. Do boku przymocował kołczan ze strzałami, ujął łuk i strzelbę i poderwał się z ziemi.

---

<sup>52</sup> Czytaj: An-dejk – kruk.

– Możemy iść. Nagła Śmierć jest gotów do drogi. Poprowadzi swych braci do dalekiego wigwamu Shemágonisha.

– Niech nasz brat nie spieszy się tak bardzo. Biali nie są jeszcze gotowi do drogi. Muszą zabrać swoje towary i łodzie i dużo żywności. Wiedzą, że podróż będzie długa. Muszą się do niej odpowiednio przygotować – mówił Bergson. – Gdyby wiedzieli, jak długo przyjdzie im płynąć, mogliby się przygotować szybciej. Czy La Soudaine Mort może im to powiedzieć?

Indianin usiadł ponownie, położył strzelbę na kolanach, po czym zamyślił się. W końcu spojrzał na obydwu białych i odparł:

– Dwa lub trzy Księżyce. Jeśli kanu i wiosłarze dobrzy – wystarczą dwa Księżyce. Jeśli zli – trzy. Ale jeśli szybko spadnie śnieg i przyjdzie mróz – jeszcze dłużej.

Obydwaj biali spojrzeli na siebie znacząco, po czym Girard powtórzył wątpliwości Bergsona:

– Biali chcieliby wyruszyć jak najszybciej, ale żeby wybrać się w taką drogę, muszą wiedzieć, co należy zabrać ze sobą. Będą to wiedzieli najlepiej, gdy ich czerwonoskóry brat opowie im, jak wygląda cały szlak aż do wigwamu Shemágonisha.

La Soudaine Mort chwilę myślał, potem dłonią wyrównał ziemię i począł na niej szybko rysować linie, kreski, kółka, objaśniając jednocześnie ich znaczenie. Nie zawahał się ani razu. W trakcie rysowania podawał odległości mierząc je sposobem indiańskim w liczbie dni podróży od jednego miejsca do drugiego. Wskazywał na główne szlaki wodne, zaznaczał niebezpieczne mielizny, bystrza, a niekiedy nawet wiry wodne. Pokazywał miejsca, gdzie kryły się podwodne głazy lub przeszkody, o które łatwo było rozbić łódź, niewielkie nawet wodospady, działy wodne, przez które należało przenosić kanu i ładunki.

W pół godziny potem, patrząc w gąszcz znaków, Girard poczuł kompletny zamęt w głowie. Natomiast Bergson, który szlak do jeziora Tracy przebywał już dwukrotnie, mógł jedynie podziwiać znakomitą pamięć dzikiego i jego spostrzegawczość. Zrozumiał też szybko, że ich nowy sprzymierzeniec nie oszukuje, że drogę zna pewnie, jakby ją widział przed sobą. Nie przeszkadzał więc, a czerwonoskóry, gdy przekonał się, że przynajmniej jeden z białych rozumie go, narysowawszy szlak do wielkiego jeziora zachodniego, oczyścił następny kawałek ziemi i ostrzem cienkiego patyczka zaczął rysować linie biegnące na północ. Pod wprawnymi, zręcznymi palcami wyrastał gąszcz jezior, płatanina rzek, labirynt potoków, strumieni, bagien i trzęsawisk, gdzieś tam kopce niewysokich, jak twierdził, wzniesień. Na koniec ostrze patyka dotknęło krawędzi czystego piasku, zarysowało prosty krzyżyk, a przy nim niewielki stożek. Indianin wyprostował pochylone ramiona i wskazując na te dwa ostatnie znaki zakończył:

– Tu grób ojca, a tu wigwam Shemágonisha.

I obydwaj biali zrozumieli, że rysujący zna drogę.

– Czy teraz biali wiedzą już, co mają zabrać z sobą?

Bergson skinął głową.

– Tak. Teraz już wiedzą. Będą gotowi jutro w południe. Przy zachodniej bramie fortu załadują swoje towary, a La Soudaine Mort popłynie jako przewodnik w pierwszym kanu. Czy Nagła Śmierć chciałby może spędzić noc w forcie?

Indianin zaprzeczył energicznie.

– Nie! Nagła Śmierć pozostanie tutaj. Jutro zjawi się przy zachodniej bramie, tak jak powiedzieli jego biali bracia. Dali mu dobrą strzelbę. Nie zawiedzie ich.

Następnego dnia, już od samego rana, przy fortecznej bramie panował ruch i krzątanie. Do nabrzeża dobiły trzy długie przeszło dwudziestopięciostopowe kanu obciążone korą brzoową, wzmocnione podłużną i poprzecznymi grubymi wręgami oraz uszczelnione dobrze pakułami i smołą, której dostarczały aż trzy smolarnie znajdujące się na zapleczu osady.

Każdą z łodzi prowadziło siedmiu wiosłarzy, wszystko chłopcy zdrowe i silne, zahartowane przy wyrębie drzew lub ciężką pracą na roli, dla których w toku ustawicznych irokeskich

napadów nie stanowiło różnicy życie ze strzelbą czy toporem w rękę. Połowę z nich znano w Trois Rivières. Resztę Bergson zwerbował w osadach położonych nad rzeką Richelieu, gdzie zaledwie parę lat wcześniej wielki intendent Nowej Francji osiedlił żołnierzy Regimentu Carignan-Salières. Kilku z nich znęconych mirażem łatwego i szybkiego zarobku dało się namówić. Starsi, którzy w życiu zaznali dosyć wojaczki i przygód podczas trzydziestoletniej wojny na starym kontynencie, woleli pozostać na roli, we względnie spokojnych w tym czasie osadach. Młodzi, silniejsi, mający przyrodzony wstręt do monotonnej i ciężkiej pracy, ulegli łatwo namowom. Bronią i wiosłom władał każdy i dzicy nie przerażali ich. Toteż Bergsonowi udało się zebrać w bardzo krótkim czasie niezłą kompanię. Na ludziach znał się i nie wątpił, że się nadadzą. Gdy Girard ich poznał, również nie wahał się. Nie byli gorsi od tych, z którymi przemierzał leśne gościńce zachodniej Francji.

Stojąc teraz z porucznikiem nad samym brzegiem wielkiej rzeki z przyjemnością patrzył, jak jego chłopcy z łatwością i bez żadnego wysiłku przenoszą z głębi osady kilkudziesięciofuntowe paki i układają w łodziach. Żaden nie lenił się ani nie zostawał w tyle. Wiedzieli wszak, że patrzą na nich oczy całej osady, oczy które powinny widzieć, że siostrzeniec porucznika Gobineau odpływa ze znaczną ilością towarów, taką która usprawiedliwiałaby odpowiednią ilość futer dostarczonych w połowie przyszłego lata do Trois Rivières lub Quebecu. Pracowali więc jak na pokaz i zachowaniu ich nawet komendant fortu, który znał rzeczywistą, skromną ilość towarów, w jakie z konieczności musiał zaopatrzyć siostrzeńca, nie mógł nic zarzucić. Wszystko wyglądało tak, jak zwykle przy wyruszaniu każdej kupieckiej wyprawy. Z ukontentowaniem więc klepnął siostrzeńca po ramieniu.

– Dobrze wykombinowałeś to, Philippe. Gdy wrócisz, nikt niczego nie będzie podejrzewał, a kantory kupców w Quebecu i Trois Rivières staną przed tobą otworem. Szkoda, że jako komendant fortu nie mogę opuścić tego posterunku. Chętnie popłynąłbym z tobą, bo mimo że masz dobrych ludzi, sprawa nie jest taka prosta. Powinieneś uważać.

Siostrzeniec roześmiał się.

– Ależ, kochany wuju, nie myślisz chyba poważnie, że jeden szczeniak Mohawków, no i nawet tych kilkunastu nieokrzesanych dzikusów, jeśli ich nawet zatrzyma przy sobie, dadzą radę moim chłopcom?

– Nie bądź taki pewien, Philippe. Ten, jak go nazywasz, szczeniak dał sobie radę zeszłej zimy i to wcale nieźle. A i teraz wystrychnął nas na dudków. Jest przebiegły, a tamtejsi Indianie nie odmówią mu pomocy. Znają go dobrze. Ciebie nie znają w ogóle. Może nie chcieliby z tobą handlować. Po drodze zastanów się jeszcze. Może trzeba byłoby pozwolić mu skupić futra i dopiero wtedy załatwić sprawę, gdy już będzie w drodze powrotnej. Ale jeśli już o tym mowa, to pamiętaj: oficjalnie do Trois Rivières przywieziesz tylko tyle futer, żeby nie było to podejrzane. Resztę ukryj w górze rzeki. Jego ekscelencja dostanie swoje pięćdziesiąt procent czystego zysku, ale z tego, co będzie widział. Dla reszty futer znajdzie odbiorcę, który umie trzymać język za zębami. I tą resztą podzielimy się sami. Chamfort dostanie też tylko to, co mu się będzie należało. Rumu dałem ci dużo. Dzicy oddadzą za niego wszystko. A ponieważ szybko się upijają, nie powinieneś mieć z żadną mniejszą bandą poważniejszych kłopotów. Swoich ludzi trzymaj krótko i uważaj. Niejednemu przytrafiło się nieszczęście, dlatego że za bardzo zaufał.

Girard z lekkim zniecierpliwieniem słuchał przydługich wywodów wojaka, nie chcąc jednak wszczynać niepotrzebnej sprzeczki, machnął tylko ręką.

– Daj spokój, wuju. Poradzę sobie jakoś. Już niejednego próbował stanąć mi okoniem. Żadnemu nie wyszło to na dobre. Nie zapomnij tylko załatwić dobrego i pewnego odbiorcy futer, a od maja niech oczekują mnie nad Nipissing lub nad Alumette twoi posłańcy, żebym wiedział, czego się trzymać i w razie czego dopasować swoje plany do twoich.

– Dobra. Będą czekali. O to możesz być spokojny. Ty również w razie czego pchnij do

mnie kogoś z drogi. A co zrobisz z tymi workami kamieni, które teraz do łodzi znoszą twoi ludzie?

Dryblas roześmiał się:

– Do wieczora będę je wiozł, a wieczorem pójdą na dno rzeki. Nie będę ich przecież ciągnął z sobą Bóg wie dokąd.

Gobineau trwał chwilę w milczeniu, wreszcie jakby z ociąganiem przypomniał jeszcze:

– A tego tam”. Bressona najlepiej zakopać głęboko – rozumiesz. Albo utopić na bagnach, tak żeby sam diabeł nie znalazł go nigdy.

– Ech, wuju. Zdaje się, że zamiast dowodzić garnizonem, powinienes uczyć w niedzielnej szkółce. Co to, jestem dzieciak czy co?

– Nie złość się, synu mojej biednej siostry. I nie lekceważ słów człowieka, który w tym kraju żyje długo. To nie stara Francja. Tu czasem i po wielu latach wychodzi prawda. Ludzi jeszcze mało i w razie kłopotów nie za bardzo jest się gdzie ukryć.

– No, lasy są większe niż we Francji. Trudniej w nich kogoś wytropić – odparł zniecierpliwiony Girard.

– Masz rację. Białym wytropić trudniej, ale nie dzikim. Oni znajdą cię zawsze, a na skalpy są łakomi.

Girard zmarszczył gniewnie czoło, ale nic nie odpowiedział. Od dłuższej już chwili z zaniepokojeniem rozglądał się za swym indiańskim przewodnikiem.

Załadunek skończył się. Wioślarze zajęli miejsca w wyładowanych kanu. Spory tłumek ciekawych przysunął się do brzegu, a przewodnika nie było widać nadal. – Czyżby zawiódł? – pomyślał z przestrochaniem Girard. Ale nie. Niemal w ostatniej chwili zza pobliskiej kępy trzcin wychynęło niewielkie kanu. La Soudaine Mort zręcznie przybił do brzegu, wyciągnął swoje kanu i nie troszcząc się o nie więcej, przeskoczył na dziób pierwszej długiej łodzi.

Gobineau na oczach patrzących uściskał siostrzeńca i nad jego głową uczynił znak krzyża. Razem zeszedli nad rzekę.

W kilka minut później trzy długie łodzie popychane wieloma parami mocnych wiosł i silnych ramion ruszyły zrazu wolno, potem coraz szybciej na zachód, pod bystry prąd wielkiej rzeki.



## ROZDZIAŁ VII

### Za zdradę płaci się życiem

W jednym z solidnie zbudowanych ostatnio baraków położonych na małej wysepce nie opodal ujścia Abitibi, w przestronnej izbie brodaty mężczyzna, liczący nie więcej niż czterdzieści lat, z leniwą zadumą słuchał żywych głosów dochodzących z sąsiedniego pomieszczenia. Nie przeszkadzały mu zbytnio, chociaż nieco rozpraszały uwagę. Zamyślonym spojrzeniem wodził po dużej płachcie rozłożonego na stole pergaminu, w końcu z niechęcią sięgnął do stosu niewielkich kart, wśród których od czasu do czasu pojawiał się zwitek brzozonej kory. Zarówno pergaminowe kartki, jak i kora pokryte były siecią drobnych linii, kresek i różnorodnych znaków i stanowiły plon pracy lub raczej pamięci wielu indiańskich myśliwych, którzy ostatnio coraz częściej napływali do Moose Factory, która od czasu powstania Hudson Bay Company stała się jej pierwszym ważnym posterunkiem handlowym. A mieszkaniec izby od dawna już należał do kupieckiego grona i swoje obowiązki traktował poważnie.

Jeśli zaś dobrze miał prowadzić placówkę, musiał wiedzieć bardzo dużo. Przede wszystkim musiał poznać kraj. Na razie tę najbliższą jego część, która przylegała bezpośrednio do Zatoki. W tym celu prowadził swoje zapiski i każdemu z podległych sobie ludzi do znudzenia powtarzał od ubiegłego roku, że wszędzie, gdziekolwiek się znajdują, mają robić szkice terenu i przebytych tras.

Parę głównych szlaków, wiodących niekiedy kilkanaście, czasem kilkadziesiąt mil na zachód, naniósł dosyć dokładnie na płachtę pergaminu. Ale zdawał sobie sprawę, że to dopiero początek. Z ciężkim westchnieniem wybrał kilka zwitków kory i rozprasował je delikatnie na blacie stołu. Prawie wszystkie na jego życzenie sporządzili ostatnio myśliwi Muskegon, których tereny łowieckie okalały od południa i południowego zachodu Zatokę. Te kawałki kory, które miał teraz przed oczyma, stanowiły dzieło rąk bandy polującej głównie między Albany a Moose River. Oczywiście wykreślane niewprawnymi dłońmi rysunki nie były najwyższej jakości, ale w połączeniu z barwnymi opowieściami, które skrzętnie notował podczas każdej rozmowy, stanowiły znakomity materiał. I materiał ten przenosił właśnie na swą dużą mapę, która dzień po dniu wypełniała się nowymi szczegółami, niezbędnymi tym, którzy wczesną wiosną, zaraz po spłynięciu lodów, ruszą wodnymi szlakami na zachód i południe po futra. Bo głównym zadaniem Hudson Bay Company był właśnie skup futer.

Głosy dochodzące z sąsiedniej izby stopniowo cichły, gdy rysownik drobnymi, przerywanymi kreskami zaznaczył na mapie południowy, zachodni i północny kraniec obszaru, z którego spływały futra do Moose Factory. Mimo że pracę wykonał w miarę starannie, jej wyniki nie zadowolili go. Nie ze względu na brak dokładności. Nie. Tutaj nie miał sobie nic do zarzucenia. Chodziło o coś innego. Oto przerywana linia na południu i zachodzie pokazywała wyraźnie nie tylko zasięg pozyskiwania skór i futer przez Kompanię, ale również granice styku z francuskimi kupcami. Na południu było to naturalne. Francuzi od początku siedzieli nad Zatoką i Rzeką Świętego Wawrzyńca i Wielkimi Jeziorami rozwijając od przeszło pół wieku handel na swym północnym zapleczu. Za to sytuacja na zachodzie budziła sporo wątpliwości. Według jego przekonania tereny zachodnie, położone na północ i

zachód od jeziora Alemipigon wcale nie musiały być odwiedzane przez Francuzów. Były znacznie bardziej odległe od Quebecu, czy Trois Rivières, niż od Moose Factory. A co ważniejsze, przywilej królewski, w oparciu o który powstała Kompania Zatoki Hudsona, właśnie jej gwarantował wszystkie obszary sięgające tak daleko na zachód, jak daleko sięgały wody rzek i strumieni wpadających do Zatoki.

Francuscy kupcy nie przestrzegali jednak poleceń angielskiego monarchy. Coraz większa ilość towarów znad Sekwany płynęła na zachód, daleko za Wielkie Jeziora, a nawet wkraczała w źródłowe odcinki Albany. Należało ich przepędzić i to jak najszybciej.

Mężczyzna pochylony do tej pory nad stołem wyprostował się nieco i odłożył pióro. Tak”. Trzeba przepędzić tych przeklętych francuskich papistów. I miał nadzieję, że mu się to powiedzie. Nadzieję żywił niebezpiecznie. Za radą Radissona z początkiem wiosny wysłał do Trois Rivières i Quebecu kilku jego indiańskich przyjaciół. Szpiedzy wracali teraz po kolei, a na podstawie ich lapidarnych, lecz pokrywających się relacji obraz zamierzeń francuskich handlarzy futer stawał się coraz bardziej jasny. Jak wynikało z ich raportów, nie licząc oczywiście małych, indywidualnych kupców działających w pobliżu francuskich osiedli, jedynie cztery większe wyprawy wyruszyły dotąd na zachód, z czego dwie – jak się domyślał – raczej na południowy zachód. Tak, ale pozostawała jeszcze jedna. Nie miał do tej pory żadnych o niej wieści, ale nie wątpił, że je otrzyma. Dla przypomnienia spojrział na mapę: „Louis and Paul Bresson” – swoją faktorię założyli najdalej na północnym zachodzie. Ujął pióro i skreślił imię Louis. Stary Louis nie żył, ale młody Bresson powróci na pewno. Odłożył pióro i prawie w tym samym momencie skrzypnęły drzwi, a do izby wsunął się półnagi, barczysty Indianin.

Gospodarz przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym rozpoznawszy go wyszedł zza stołu i zbliżył się do swego gościa.

– Witam serdecznie mego czerwonoskórego brata. Kiedy wrócił?

– Netáhgunáhquud<sup>53</sup> wysiadł właśnie ze swego kanu.

– Może jest głodny lub zmęczony? Może chciałby się posilić lub odpocząć, zanim opowie, co widział lub słyszał? Indianin pokręcił przecząco głową.

– Nie trzeba. Czarna Chmura jadł, gdy wstawało słońce i nie czuje głodu, a płynął z prądem, więc nie zmęczył się.

– Dobrze, niech więc siada i mówi, co uczynił Shemágonish?

Czerwonoskóry usiadł na wysłanej niedźwiedzimi futrami podłodze i zaczął mówić bez namysłu:

– Przybył z sześćdziesięcioma długimi kanu pełnymi futer do Trois Rivières w drugiej połowie Księżyca Dojrzewających Jagód<sup>54</sup>. Po czasie, jaki biali nazywają trzy czwarte Księżyca, z magazynu kupca, któremu przywiózł futra, wykradł nocą wszystkie towary i odpłynął dziesięcioma długimi kanu w kierunku zachodzącego słońca. Czarna Chmura wie, że powraca tam, gdzie jest grób jego ojca.

– Skąd to wie mój czerwonoskóry brat? – spytał biały.

– On to wie. Z Shemágonishem popłynęli ci sami wioślarze, którzy przywieźli jego futra – odparł Indianin.

– Czy Netáhgunáhquud zna tych wioślarzy? Czy wie, do jakiego należą plemienia i gdzie znajdują się ich tereny łowieckie?

– Tak. To bracia Czarnej Chmury. Ich tereny leżą trochę dalej na zachód od miejsca, skąd wypływa rzeka, którą mój biały brat nazywa Albany. Wodzem jest Warbishcar Nocey.

– Czy wielu białych popłynęło z Shemágonishem?

– Nie popłynęli. Nie zabrał z sobą nikogo z białych – odparł z pewnością siebie Czarna Chmura – ale w pół Księżyca później szlakiem białego kupca popłynęło dwudziestu białych i

<sup>53</sup> Czytaj: Ne-ta-ga-na-kaad – Czarna Chmura.

<sup>54</sup> Wrzesień.

jeden Wahgoosh.

– Nie rozumiem. Tropem Shemágonisha? – spytał zdziwiony gospodarz. – Czy mój brat nie myli się?

– Nie. Czarna Chmura jest tego pewien. Podслуchał dwóch białych, z których jeden mieszka w wigwamie wodza wszystkich żołnierzy w Trois Rivières.

– Niech mój brat opowie to, o czym mówili.

Czerwonoskóry chwilę zbierał myśli, w końcu powtórzył wiernie treść rozmowy, którą prowadzili między sobą Bergson i Girard owego pamiętnego wieczoru nad rzeką w Trois Rivières. Opisał też dokładnie przebieg rozmowy obydwu białych z tajemniczym czerwonoskórym. Gdy skończył swoją relację, biały spytał jeszcze:

– Jak mój brat sądzi, dlaczego myśliwy Wahgoosh chce poprowadzić dwudziestu białych do wigwamu Shemágonisha?

Szipiegn odsłonił zęby w złośliwym uśmiechu.

– Czarna Chmura spotkał już raz tego psa na swej wojennej ścieżce i pamięta jego imię. Ale nie zna przyczyn, dla których chce poprowadzić białych.

– A jakie to imię?

– W języku mego brata brzmi ono Sudden Death<sup>55</sup> albo Easy Death<sup>56</sup>. Czarna Chmura wie, że to myśliwy z plemienia Wahgooshug, którego wodzem jest Seseganaga.

Po tych słowach zapadło milczenie. Biały przemierzył kilkakrotnie izbę. Widać było, że waży coś w myśli. Wreszcie przystanął, spojrzał uważnie na przybyłego i spytał cicho:

– Czy Czarna Chmura pozostanie z białymi w ich faktorii, czy też zechce wrócić do swych braci i sióstr?

– Netáhgunáhquud pragnąłby na jakiś czas wrócić do swych braci. Zbliża się pora wielkich, jesiennych łowów. Musi swych bliskich zaopatrzyć w dużą ilość mięsa na cały okres zimowych Księżyców.

– Rozumiem-biały skinał głowę. – Muszę powiedzieć, że wieści, jakie przyniósł nasz brat, są dla nas ważne. Jesteśmy mu za nie wdzięczni. Czarna Chmura zasługuje na nagrodę. To, o czym powiedział, pomoże myśliwym z faktorii przepędzić złych francuskich kupców z terenów za jeziorem Alemipigon. Tak, Czarna Chmura pomógł bardzo swym nowym białym braciom. Wiedzą teraz, gdzie szukać Shemágonisha. Wiedzą też, że Czarna Chmura jeśli chce, potrafi oszukać nie tylko wrogów, ale i swych przyjaciół. Ponieważ nie chcieliby, by zdradził ponownie, obmyślili mu za jego usługi nagrodę. – Podszedł do stołu, wysunął szufladę, wyjął z niej piękny, długi pistolet i z uśmiechem wyciągnął w stronę swego rozmówcy. Rozległ się huk wystrzału, a w chwilę potem łoskot walącego się ciała. Gasnące, czarne, nienaturalnie rozszerzone oczy Indianina wyrażały jedynie bezmiar zdumienia.

Biały pochylił się nad nim i z tym samym uśmiechem powtórzył: –Tak, mój czerwonoskóry brat nie zdradzi nigdy więcej żadnego ze swych przyjaciół. Sháuguhnaushug<sup>57</sup> gardzą zdrajcami”.

Na odgłos strzału otworzyły się gwałtownie drzwi i do izby wpadło trzech mężczyzn. Widok leżącego na podłodze zatrzymał ich na progu.

– Co się stało, Bob? – wykrzyknął najstarszy z całej trójki. Gospodarz izby odłożył na bok dymiący jeszcze pistolet i rozłożył bezradnie ręce.

– Przykry przypadek. Sam. Widzisz chyba.

– Ale przecież”.

– Tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć. Ten pistolet w moim ręku. Chciałem go właśnie podarować naszemu czerwonoskóremu bratu, gdy”.

Wypalił. Wypalił sam. Wieczorem będę musiał przejrzeć cały mechanizm. Nigdy dotąd nie zawodził – widząc zdumione,

---

<sup>55</sup> Nagła Śmierć (ang.)

<sup>56</sup> Łatwa (Szybka) Śmierć (ang.)

<sup>57</sup> Czytaj: Sza-ga-na-szag – Anglicy.

niedowierzające twarze swych podwładnych uśmiechnął się złośliwie. – Możecie mi wierzyć. To tylko zwykłe zrzącenie losu, a może wyrok opatrzości, aby ten nieborak – tu wskazał na leżącego – nie mógł zdradzić ponownie, tym razem nas. Zabierzcie to ścierwo i zakopcie. Potem przyjdźcie do mnie. Gdyby ktoś pytał, powiedziec, że to zwykły przypadek.

Nie pytali więcej. Wiedzieli, że szef nie lubi zbytnej dociekliwości. Owinęli ciało w dużą, płócienną płachtę i wynieśli na skraj lasu. W pół godziny potem jedynie kupka kamieni wskazywała miejsce, z którego duch młodego wojownika wędrował do Krainy Wiecznych Łowów.

Jakiś czas później siedzieli wokół stołu słuchając z uwagą swego brodatego szefa.

– A więc jak widzicie, ani ci z Quebecu, ani z Trois Rivières w ciągu zimy i na wiosnę nie będą nam specjalnie przeszkadzać. Z tego, co donieśli szpiedzy, wynika, że w rejonach zachodnie, za Wielkie Jeziora, wyruszyły tylko trzy większe wyprawy. Ale wszystkie skierują się bardziej na południowy zachód, w stronę źródeł tego indiańskiego Ojca Wód, a może jeszcze bardziej na południe. Natomiast na północny zachód wyruszyła tylko, jedna i ta jest dla nas najbardziej groźna. Zdążyła najprawdopodobniej tam, gdzie faktorię założył jeszcze stary Bresson.

– Ale przecież mówiłeś. Bob, że ten kupiec ubiegłej zimy przeniósł się na tona Abrahama. Nikt prócz niego nie zna szlaku.

– Mylisz się, John. Szlak zna jego chłopak. To właśnie on zimą i wiosną ściągnął do siebie wszystkich dzikich i wykupił futra z terenu o promieniu kilkuset mil. Obecnie podąża tam ponownie, podobno z bardzo dużym transportem towarów. A wiecie, co to znaczy. To znaczy, że jeśli mu się uda, zgarnie dziewięćdziesiąt procent futer, które winny trafić do nas, do Hudson Bay Company. I jeśli będziemy siedzieć z założonymi rękoma, może tak być w każdym sezonie. Sprawa jest ważna. Jeśli uda mu się i tym razem, w przyszłym roku będziemy tu mieli nie tylko jego faktorię. Inni, szczególnie ci z Quebecu, nie przeoczą takiej szansy. Zajmą teren pod naszym nosem i nie puszczą go z ręki.

– Jesteś pewien. Bob – spytał Sam, rudobrody olbrzym z Devonshire – że ten chłopak rzeczywiście płynie na stare miejsce? To diabelny kawał drogi z Trois Rivières.

– Niestety, Sam. Jestem tego pewien.

– A czy wiesz, kiedy wyruszył i czy może znasz trasę?

– Tak. Trois Rivières opuścił dokładnie miesiąc temu. Szlaku, jaki wybrał, niestety nie znam, chociaż przypuszczam, że jest to szlak wiodący w górę Ottawy, a następnie przechodzący przez północny kraniec Wielkich Jezior, mniej więcej tędy – wskazał czerwoną linię na swej wielkiej pergaminowej mapie. – Ale to tylko przypuszczenie. Stąd, to znaczy od jeziora Tracy, jak nazywają je ci papiści, szlaku nie zna nikt poza tymi, którzy go przebyli.

– Gdzie może znajdować się teraz Bresson? – spytał olbrzym.

– Prawdopodobnie gdzieś nad Wielkimi Jeziorami. Trudno wyliczyć, w którym dokładnie miejscu. O pięćdziesiąt mil bliżej czy o sto dalej. Ale czemu pytasz o to, Sam?

– Pytam, bo gdybyśmy wiedzieli dokładniej, można by spróbować przeciąć mu drogę. Gdyby przy okazji dało się coś uszczknąć z tego transportu, a szczeniaka przynajmniej postraszyć, nie poczynaliby sobie tak odważnie. Ilu ludzi ma z sobą?

– Chyba koło setki, ale nie ma ani jednego białego, sami dzicy.

Cała trójka spojrziała z niedowierzaniem.

– Mówisz, Bob, że sami dzicy? – nie wytrzymał Sam. – Ale w takim razie ten chłopak nie wie, na co się naraża. Zawierzyć dzikim ładunek? On chyba oszalał?

Mieszkaniec izby pokręcił przecząco głową.

– Nie masz racji. Jego ojciec nie zabierał z sobą białych, również jak słyszałem, i świetnie handlował. Ten też nie ryzykuje tak wiele. Wie, że dzicy będą go potrzebować zawsze, toteż nie poślakomiją się na jeden ładunek, nawet największy. To nie wędrowny kupiec, to kupiec stały. Od tej strony, pomijając jakiś nieprzewidziany przypadek, jest bezpieczny, zwłaszcza

że zdobył sobie ich szacunek. Myślę, że nie oszukają go. Natomiast pewnych szans upatrywałbym w czym innym.

Znów popatrzyli na niego pytająco.

– W czym, szefie? – spytał John.

– Pytasz, w czym, a przecież znasz już trochę Indian. Zbliża się zima. To okres polowań. Czerwonoskórzy muszą polować, by nakarmić rodziny i zdobyć futra. Rozpraszają się wtedy pojedynczymi grupami i znikają na wiele miesięcy. Ci, którzy płyną teraz z Bressonem, po dowiezieniu go na miejsce uczynią to samo. Odejdą do swych rodzin i z pierwszym śniegiem zaszyją się w lasy. Z chłopakiem zostanie najwyżej paru. I to właśnie byłaby dla nas wymarzona szansa. Ale jest w tej sprawie coś tajemniczego. Posłuchajcie”. – W miarę jak powtarzał im dosyć wiernie sprawozdanie nieżyjącego już szpiega, na twarzach obecnych malowało się coraz większe zdumienie.

– Po kiego licha zabiłeś więc Czarną Chmurę? Mógł oddać nam nie byle jakie usługi? Przecież on widział tych ludzi i pomógłby nam rozpoznać ich! – wyrwał się John.

– Nie, John. Mylisz się. Musiałem go zabić dla jednego z dwu powodów, chociaż nie wiem, który jest ważniejszy. Otóż, jak sobie przypominacie, przed wyruszeniem wiosną w drogę. Czarna Chmura kilkakrotnie z podziwem wyrażał się o Bressonie. Mówił o nim, jak o kimś bliskim. Właśnie dlatego obiecałem, że jeśli wywiąże się dobrze ze swego zadania, będzie mógł załadować swoje czółno, czym tylko zechce. Ciekaw byłem, czy zdradzi tego, którego darzył szacunkiem. Okazało się, że zdradził. Mógłby więc zdradzić i nas. I to był pierwszy powód. Ale był także drugi. Niedługo ściągną tu Radisson i Groseilliers. Obydwaj znają dobrze Czarną Chmurę i nie udałoby się uniknąć ich wiosennego spotkania. Radisson, chociaż jest jeszcze młody, ma dobry węch i mógłby nawet zupełnie przypadkowo dowiedzieć się za dużo o Bressonie. I tak już zadziera nosa, i uważa się za współwłaściciela Hudson Bay Company. Wykorzystując fakt, że to właśnie jego szpieg dostarczył nam cennych informacji, mógłby zażądać znacznego udziału z ewentualnych zysków, jakie ta informacja może nam przynieść. Tak więc nie miałem wyboru. I w tej sytuacji pan Radishes, jak go podobno nazywali w Londynie, po pierwsze dowie się, że polecany przez niego zwiadowca zabrał z góry całą nagrodę i ulotnił się, co jednocześnie oznacza, że na radach naszych francuskich przyjaciół nie możemy za bardzo polegać, no i w związku z tym jakiegokolwiek zyski nie mogą być przedmiotem roszczeń z ich strony. Czy zgadzacie się ze mną, że wypadek, jakiemu uległ Czarna Chmura, to prawdziwe zrzęczenie opatrności?

Pokiwali ze zrozumieniem głowami. Tak, zrzęceniem opatrności było także to, że Bob, a właściwie Robert Marsden – jak brzmiało jego nazwisko – nosił głowę nie od parady i nieraz już wykazał, że umie patrzeć nieco dalej niż inni zasiedlający tych kilka baraków stanowiących na razie jedyny w tej części Zatoki Hudsona angielski posterunek zbudowany z woli księcia Ruperta<sup>58</sup> i jego niegłupich doradców. Zrozumieli jeszcze, że francuscy gońcy leśni, którzy prowadząc statki kompanii angielskiej do Zatoki Hudsona, zdradzili swoją ojczyznę, dowiedziawszy się teraz o nowym, odkrytym i eksploatowanym przez Bressona futrzanym królestwie, mogliby usiłować zawładnąć nim na własną rękę i zdradzić z kolei swych angielskich obecnych, ale może tylko czasowych przyjaciół. I jak na ironię mieszkańcy baraku nie mylili się w swych podejrzeniach, czego dowiodła nie tak odległa przyszłość. Dobrze się więc stało, jak rozumieli, że ani pan Radishes, ani Gooseberry nie będą mieli okazji do rozmowy z Czarną Chmurą.

W parę dni później przy prowizorycznie zbudowanym pomoście Moose Factory zacumował niewielki trójmasztowy slup „Queen Mary”. Statek znajdował się w opłakanym

---

<sup>58</sup> Królewski kuzyn, znany wódz kawalerii Karola I w czasie wojny domowej w Anglii w pól. XVII w. Karol II Steward udzielił mu patentu na zawładnięcie nowym krajem znanym później pod nazwą Ziemi Ruperta (mniej więcej dzisiejsza Manitoba, część prowincji Ontario i Quebecu). W 1670 r. pod jego protektorem powstała Hudson Bay Company.

stanie. Zwisające strzępki żagli, poszarpane olinowanie, zwalony w połowie maszt przedni, a także otwory w tylnej części niskiego kadłuba, ziejące tuż nad linią wodną, wskazywały, że załoga i statek mieli za sobą ciężkie chwile.

Na nabrzeżu zgromadziło się kilkunastu mężczyzn, mieszkańców wysepki. Na pokład statku wyległo kilkudziesięciu krzepkich, spalonych słońcem i wichrem obdartusów. Mimo oplakanego wyglądu statku załoga wrzawą radości i palbą muszkietów powitała oczekujących. A więc ucierpiał jedynie słup, nie ludzie.

Zręcznie rzucono kotwice. Grube liny poleciały od dziobu i rufy na ląd i w chwilę potem „Queen Mary” łagodnie zakotłowała się przy pomoście.

Po długiej, zsuniętej z nisko położonego pokładu desce zbiegł dwudziestoparoletni szyper – Richard Neave. Wprawdzie jego lewa ręka była zawieszona na temblaku, ale roześmiana twarz i nieklamana radość, z jaką ścisnął wyciągające się ku niemu dłonie, rozproszyły obawy witających, którzy znali tu dobrze dzielnego i śmiałego żeglarza.

– Co się stało, Richard? – wskazując na owiniętą rękę spytał Marsden. – Nie wygląda mi to tylko na skutki jakiegoś szkwaliku?

– Szkwalik był też i to całkiem sympatyczny-roześmiał się szyper. A to – tu wskazał na rękę – to pamiątka po spotkaniu z pewnym francuskim szlachcicem, który w okolicach Nowej Fundlandii, gdzie jego statek zapędziły nie sprzyjające wiatry, spotkał nas przypadkowo i uparł się, by sprawdzić zawartość naszych ładowni. A może po prostu chciał skosztować angielskiej kuchni na pokładzie „Queen Mary” – roześmiał się jeszcze raz, głośno i hałaśliwie.

– Nie zaprosiłeś go? Nie masz szacunku dla religijnych uczuć i sentymentów, jakie musiały wezbrać w sercu tego Francuza na widok imienia i pięknego galionu świętej pamięci ostatniej katolickiej królowej Anglii?

– Patrz, Bob. Nie pomyślałem o tym i nie domyśliłem się wcześniej, ale widzisz salwa, jaką ten zagorzały papista oddał na nasze powitanie i to z dość bliskiej odległości, zrobiła nam parę dziurek w kadłubie. Spieszyłem, żeby odpowiedzieć mu równie honorowo.

– No i”.

– Ech”. Jak wiesz, moi chłopcy to najczęściej potomkowie tych, którzy służyli kiedyś pod Francisem Drakem. Małe mają pojęcie o kurtuazji i zasadach grzeczności, toteż ich trzydziestosześcioletnie pociski najpierw z jednej, a potem z drugiej burty strzaskały kadłub Francuza prawie dokładnie na linii zanurzenia. Ale widzieliśmy, że nasi przyjaciele zdążyli spuścić łodzie. Do brzegu nie było daleko, więc dotarli zapewne szczęśliwie. A ich statek wywrócił się i zatonął na naszych oczach. Nie zdążyłem nawet sprawdzić ładunku. Może wiozł znów fałszywe brylanty z Quebecu, jak niegdyś Cartier, bo był diabelnie ciężki.

– Popatrz, popatrz. I kto mógłby przypuszczać, że ta niepozorna „Queen Mary” będzie kiedyś strzelała do Francuzów – pokiwał głową gospodarz, wprowadzając gościa do izby. – Rozgość się, Richard. Moi ludzie zaopiekują się twoimi chłopcami. Pewno świeżego mięsa i wody nie mieliście od co najmniej paru dni?

– Jeśli się nie mylę, to prawie od trzech miesięcy.

W jakiś czas potem, gdy marynarz zaspokoił głód i sięgnął po fajkę, gospodarz zwrócił na niego pytające spojrzenie.

– Mów, Richard. Co tam w starym domu, a przede wszystkim, jak dotarł ostatni transport?

– Nie było z tym. Bob, najmniejszego kłopotu. Na Tamizie rzuciliśmy kotwice dokładnie drugiego czerwca. Mówię ci, na widok tych futer Londyn oszalał. W ciągu kilku zaledwie dni przez pokład „Queen Mary” przewaliło się chyba z pół miasta: panowie, kupcy, sklepikarze, nawet żebracy pchali się, by popatrzeć. Oczywiście dostąpiłem zaszczytu odwiedzin samego księcia Ruperta, który drugiego dnia naszego postoju w Londynie pojawił się na pokładzie z całą świtą. Był bardzo zadowolony i w dowód łaskawości podarował mi nawet pierścień.

Miałem oczywiście i trochę kłopotów. Panowie Radisson i Groseilliers zażądali połowy

całego ładunku dla siebie, a domyślasz się, co to znaczy. No, ale ponieważ ładunek i statek należą do Kompanii, do jej magazynów powędrowały wszystkie futra. Dzielił będzie zarząd. I myślę, że podzielił dobrze. Jak mówił mi sir Wilson, czysty zysk, po odliczeniu kosztów, wyniósł przeszło cztery tysiące procent. Tym samym pobiliś, Bob, rekord sir Francisa Drake'a, którego zyski przy powrocie „Golden Hind” z tego wariackiego rejsu dokoła świata i zgarnięciu połowy hiszpańskich bogactw z Meksyku i Peru nie przyniosły udziałowcom takiego profitu.

Nie miałem więc żadnych kłopotów, ani z ponownym oprzyrządowaniem statku, ani z prowiantem, no i przede wszystkim z towarami dla ciebie i dla York Factory. Tak że zimą i wiosną będziecie mieli czym handlować.

– Przywiozłeś trochę żywności, Richard?

– A jakże. Nie żalowali. Chyba ze czterdzieści beczek solonej wieprzowiny i drugie tyle wołowiny. A rumem mógłbyś napełnić spore jezioro. Towarów też będzie z piętnaście ton. Na szczęście ten Francuz strzelał trochę za wysoko, toteż ładunek jest w porządku. Oczywiście przywiozłem ci całą furę listów, ale przeczytasz je później. Jeden osobisty od księcia Ruperta. Prosi cię, byś uważał na Francuzów i nie dał im się tu za bardzo panoszyć, a panom Radishes i Gooseberry, kiedy się tu pojawią, okazał należny szacunek, ale – tu powtarzam słowa księcia – trzymał ich z dala od interesów.

Gospodarz uśmiechnął się zagadkowo.

– Tak też myślałem, ale czy to oznacza, że panowie ci nie cieszą się zaufaniem jego wysokości?

– Ależ skąd. Są wszędzie przyjmowani z najwyższymi honorami. Ale honory swoją drogą, a funty i futra to zupełnie coś innego.

– Rozumiem i z przyjemnością zastosuję się do życzeń jego wysokości. Chciałbym jednak wiedzieć, czy nasi pracodawcy w Londynie myśleli również nad tym, że w stosunku do liczby Francuzów jest nas w tych okolicach trochę za mało?

– Oczywiście, Bob. Pomyśleli. Są z tym wprawdzie pewne kłopoty, bo każdy nowy człowiek tutaj obciąża szkatułę Kompanii, ale rozumieli, że z tą garstką, jaką tu posiadasz, nie będziesz mógł zanadto rozszerzyć handlu, toteż przywiozłem ci dodatkowo dwudziestu jeden ludzi. Przyglądałem im się w czasie spotkania z tym Francuzem. Nie widziałem, żeby któryś trząsł portkami. To wprawdzie jeszcze materiał surowy, ale będziesz miał z nich pożytek. Tak bardzo są ci potrzebni?

– Bardzo. Gdybym miał przynajmniej ze stu, można by pomyśleć o czymś poważniejszym. Ci z Quebecu, Trois Rivières i Montrealu zaszli dosyć daleko na zachód i zaczynają nas pomału okrążać w kierunku północnym. Jeśli nie zatrzymamy ich już teraz, później będzie znacznie trudniej. Zresztą chodź. Pokażę ci. – Podprowadził gościa do ściany, na której rozwiesił poprawioną dwa dni wcześniej mapę.

– Popatrz. Z tego co wiemy już na pewno, francuscy kupcy na południowym wschodzie dotarli do Jeziora Mistassini i handlują z tamtejszymi Malecite i Naskapi. Na południu opanowali całą Ottawę i sięgają do Abitibi i Schabuchewan. Na południowy zachód, powyżej Wielkich Jezior, dotarli już do jeziora Sturgeon, Alemipigon, Lake of the Death, a niektórzy nawet jeszcze dalej. Jeśli nic się nie zmieni, za parę lat zamkną nas również od strony północno-zachodniej jak w kleszczach. Nie przebijemy się przez ten łańcuch. Kraj jest wielki. Dzicy przyzwyczaili się do francuskich towarów i francuskich kupców. Wśród Malecite i Naskapi, Algonkinów, Huronów, Panther People, Ottawów, Potawatomich, Menominów oraz prawie wśród wszystkich innych band Odzibuejów, Muskogen, Swampy i Kenishtenog żyją francuscy gońcy leśni, może trochę gorsi od Radissona i Groseilliersa, ale żyją i handlują.

Dzicy prawie w każdej swej bandzie mają już kogoś, kto mówi po francusku. Tymczasem my jesteśmy tu dopiero od dwu lat. Niewielu z naszych zna mowę dzikich. Indianie nie znają angielskiego. Trzeba się więc posługiwać francuskim. Przy tych siłach ludzkich, jakie mam

teraz, będziemy mieli poważne kłopoty. Dobrze, że chociaż przywiozłeś tę garść dodatkowych. Nie wiesz, czy któryś dogada się po francusku?

Szyper klasnął w ręce.

– Oczywiście. Tam nad Tamizą też myślą i trochę orientują się w sytuacji, a raporty twoje i te z York Factory czytają uważnie. Wśród tych dwudziestu jeden jest sześciu francuskich hugenotów. Wiele lat temu uciekli do Anglii, ale swego języka nie zapomnieli. Cieszę się, że ich tu przywiozłem. Miłością do swojej starej ojczyzny, która ich dziadom wyprawiła kiedyś noc Świętego Bartłomieja, nie pałają. A wszystkich papistów nienawidzą podobnie jak my. Powinieneś mieć z nich pociechę.

– To świetnie, Richard. Długo zostaniesz u nas?

– Nie. Załatam tylko dziury, oskrobię i uszczelnię kadłub, no i oporządzę ożaglowanie. Muszę wracać, nim zamarznie Zatoka. Zabiorę oczywiście futra, jeśli masz jakieś.

Gospodarz pokiwał dobrodusznie głową.

– Uzbierało się trochę. Kto wie, czy nie więcej niż poprzednim razem. Widzisz, dzicy ściągają tu głównie gdzieś tak od drugiej połowy kwietnia do czerwca. Wtedy można skupić najwięcej, szczególnie bobrowych z wiosennych polowań. Łajbę naprawisz tu z łatwością. Moi chłopcy ci pomogą. I tak nie mają nic specjalnego do roboty. Gdybyś zamierzał przetrzymać, pokazałbym ci kawałek tego kraju.

– Dziękuję, Bob. Nie wygląda zachęcająco.

– O”. to tylko tu na wybrzeżu. Dalej jest znacznie ciekawszy. Dalej to puszcza, jeziora, rzeki, które tu stanowią jedyne drogi.

– I jak daleko ciągnie się ta puszcza?

– Tego nikt nie wie. Nawet dzicy, którzy docierają tu z odległości prawdopodobnie setek mil. Może ta puszcza nie ma końca.

– I wszędzie teren jest tak niski?

– Na pewno nie. Wszystkie rzeki spływają do Zatoki z zachodu. Na zachodzie więc tereny muszą być znacznie wyższe. Pewno są i góry, ale nikt tam jeszcze nie był. Nikt nie wie, jaki to rozległy kraj. I zapewne, nieprędko będziemy wiedzieli. Ty jako marynarz możesz go wymierzyć nie wchodząc do środka kontynenty. Ustalisz długość i szerokość geograficzną tu i na zachodzie, gdzie był Drake, i będziesz wiedział, jak to daleko. Ja jeszcze nie wiem.

– Słuchaj, Bob – szyper odszedł od mapy i podszedł ponownie do stołu. – Mówisz, że gdybym został na zimę, zabrałbyś mnie na wycieczkę. Właśnie na zachód?

– Uhm.

– Chcesz sprawdzić, czy nie uda ci się dotrzeć do tych gór?

– Nie – Marsden roześmiał się. – Tak daleko nie wybieram się. Najwyżej jakieś dwieście, może trzysta mil.

– Bój się Boga, Bob. Toż to wyprawa dłuższa niż przez całą Anglię.

– Niestety muszę. Może zresztą nie ja ją poprowadzę. Może wyślę Sama, ale jeśli tego nie zrobię zimą lub wczesną wiosną, do Moose Factory dotrze zaledwie część futer, które chciałbym kupić.

Neave gwizdnął cicho.

– A więc wyprawa wojenna?

– Nno”. coś w tym rodzaju, ale nie za bardzo niebezpieczna.

– Przeciw Francuzom?

– Niezupełnie. Dokładnie przeciw jednemu Francuzowi.

– Przeciw jednemu Francuzowi organizujesz całą wyprawę?

– Właśnie. On jest co prawda jeden, ale dokoła kręci się parę setek, jeśli nie tysięcy zaprzyjaźnionych z nim dzikich. Jeśli nie przeszkodzę, do niego sprowadzą wszystkie futra. Handluje z nimi od kilku lat. I jak na Francuza jest diabelnie uczciwy. Daje dobry towar i nie oszukuje. Muszę go przepędzić.



- Poślesz dużo ludzi?
- Nie wiem jeszcze, ale być może dużo, bo nie jest wykluczone, że spotkają nie tylko tego jednego.
- Nie rozumiem? – zdziwił się szyper.
- Ja też nie bardzo to rozumiem. Sprawa jest trochę dziwna i dlatego wolę się zabezpieczyć.
- Mówisz, Bob, dziwna. Co się za nią kryje?
- Naprawdę nie mam pojęcia, Richard. Zresztą posłuchaj. – W krótkich słowach opowiedział to, czego dowiedział się od Czarnej Chmury. – Zamiast więc jednego, mogę spotkać dwudziestkę dobrze uzbrojonych ludzi, no a na dodatek może paruset dzikich, którzy są równie niebezpieczni. Sam w tej sytuacji muszę wysłać duży oddział. I gdybyś pozostawał na zimę, pomoc twoich ludzi dawałaby pewność rozwiązania całej sprawy bez większych komplikacji. A tak mogę mieć z tym kłopoty.
- Rzeczywiście. A nie mógłbyś go jakoś wyprzedzić i przygotować wcześniej zasadzkę.
- To niemożliwe. Na razie ma z sobą kupę dzikich i to pewnie dobrze uzbrojonych, a po drugie, zbyt późno dostałem wiadomość i nie wiem, czy wyruszając teraz, zdołalibyśmy go jeszcze wyprzedzić. Nie mogę ryzykować w takiej sytuacji. Raczej zimą lub tuż po spłynięciu lodów na wiosnę. No i nie mogę ogołocić z ludzi całej placówki. Ale możesz być spokojny. Poradzę sobie.
- Obydwaj umilkli. Na dworze zaczął zapadać wczesny zmierzch. W izbie powiało chłodem.

## ROZDZIAŁ VIII

### W dalekiej faktorii

W połowie Księżyca Głodu<sup>59</sup> do zagubionej wśród głębokich borów faktorii coraz częściej poczęli ściągać indiańscy myśliwi. Zjawiali się pojedynczo, czasami po dwóch lub trzech, początkowo głównie po to, by uzupełnić zapas prochu lub kuł, niekiedy wymienić złamany nóż. W miarę jednak upływu czasu coraz częściej z ciężkimi wiązkami wyprawionych już futer białego zająca, lisa, świerkowej kuny lub skunksa, czy lśniącego gronostaja.

Twierdzili zgodnie, że sezon łowiecki jest dobry, a zwierząt bardzo dużo. Opowiadali, że w ich zimowych obozowiskach, od czasu gdy spadł pierwszy śnieg, kobiety, a nawet dzieci nie mogą nadążyć z pracą. Na liniach sideł i pułapek myśliwi codziennie zbierali od kilku do kilkunastu małych nieostrożnych czworonożnych mieszkańców puszczy, którzy dali się oszukać umieszczoną przemyślnie przynętą.

Wszyscy odwiedzający faktorię zapewniali, że wiosną przyniosą białemu kupcowi wiele futer. Niektórzy już z góry mówili, co będą chcieli otrzymać za swą zimową zdobycz. I w takich przypadkach Paul zapisywał skrupulatnie ich skromne zresztą życzenia w swej dużej, kupieckiej księdze, dzięki której już w niedługim czasie zorientowany był dokładnie prawie we wszystkich potrzebach swych indiańskich braci polujących dla niego w promieniu około trzystu mil. Co cieszyło go najbardziej to fakt, że nikt z odwiedzających nie spotkał w swym łowieckim rejonie ani nie słyszał o tym, by jakikolwiek inny biały kupiec gdzieś na zachodzie lub północy założył faktorię. Nie musiał więc obawiać się konkurencji.

Braku żywności nie odczuwał. Wprawdzie zapasy, jakie zabrał na podróż, skończyły się dawno, ale okolica obfitowała w zwierzynę, a indiańscy myśliwi swe łowieckie rewiry zakładali nie bliżej niż dzień lub dwa dni drogi od jego siedziby, nie płosząc swoją obecnością ani łosia, ani karibu czy jelenia. Wiedzieli, że biały również musi polować, by zdobyć mięso dla siebie i tych, którzy wraz z nim przebywają. Nie przeszkadzali więc.

Czasami pragnąc kupić trochę prochu czy ołowiu, przynosili mu dwa, trzy upolowane po drodze zające, piżmoszczury lub kawał świeżego, soczystego mięsa łani lub kosz ryb złowionych pod lodem w jakimś głębokim potoku. Trójka przyjaciół nie głodowała więc, a z chwilą gdy skończyły się dolegliwości Shikaga, on lub Neecarnis dbali skutecznie o spizarnię. Paul również sam często wypuszczał się na polowanie lub na jedną z kilku rozmieszczonych w odległości paru mil od faktorii linii sideł i pułapek.

Znający świetnie okolicę Neecarnis wytyczył je i przygotował już dawno. Jedna biegła po zachodniej stronie jeziora przez gąszcz nadbrzeżnych oczeretów, gdzie na kryjące się w kępach wysokich traw, rozległych wrzosowisk i suchego sitowia całe stada pardw polował chętnie lis, skunks i kuna. Zwierzęta były wprawdzie nieufne i ostrożne, ale każdego dnia przynajmniej kilka padało ofiarą śmiertelnych pułapek i ukrytych pod śniegiem sideł.

Drugą ich linię chłopak rozciągnął wzdłuż strumienia wijącego się dnem parowu po północnej stronie jeziora.

Od strony wschodniej na przestrzeni wielu mil, poprzez równinny teren, przecinając liczne śródleśne bagna i oczerety, biegła linia trzecia, a w odległości kilkuset jardów, równoległe do

---

<sup>59</sup> Luty.

niej czwarta. Ponieważ każdą sprawdzano codziennie, wszyscy trzej mieli od rana do wieczora masę pracy. Wieczorny czas wykorzystywali pracownicy na preparowanie futer i skór. Poza kuną i skunksem mięso pozostałych zwierząt przeznaczano na potrzeby kuchni bądź do karmienia psów.

Pod koniec lutego, z uwagi na liczniej pojawiających się w faktorii myśliwych oraz ze względu na to, że noga Shikaga wydobrzała już zupełnie, Paul coraz częściej pozostawał w faktorii zostawiając troskę o zaopatrzenie kuchni i dogłądanie sideł swym dwóm przyjaciółom.

Któregoś dnia późnym popołudniem przybyła paroosobowa grupa myśliwych z plemienia Węży. Główny zimowy obóz założyli prawie o pół Księżyca drogi na wschód. Ponieważ zaczęło brakować im amunicji, Warbishcar Nocey wysłał ich do faktorii po uzupełnienie. Wśród przybyłych znajdował się Czarny Lis – jeden z tych, którzy latem towarzyszyli Paulowi w jego podróży do Trois Rivières.

Paul, który świetnie pamiętał dobrego myśliwego i znakomitego wioślarza, całą piątkę przyjął serdecznie i namówił, by przenocowali i odpoczęli w izbie. Zadbął też, by do kolacji każdy dostał po solidnym kubku ognistej wody. Po posiłku słuchał z przyjemnością ich opowieści o zimowych łowach. Z tego, co opowiadali, wynikało, że zwierzyny jest wszędzie pod dostatkiem, a co najważniejsze, podobno w okolicach obozowiska Indian było mnóstwo bobrów. Wiadomości te cieszyły go. Bobrowe futra były najbardziej poszukiwane przez kupców, a wiadomość o tym, że zwierząt tych było dużo dawała nadzieję na dobre wiosenne dostawy. Zwrócił się więc do swego gościa ze słowami:

– Z tego, co powiedział Czarny Lis, wynika, że Węże powinni być zadowoleni z miejsca, które wybrali na zimowe łowy. Nikogo chyba z grona mych braci nie zabrał głód ani choroba?

Czarny Lis pokręcił przecząco głową.

– Shemágonish myli się. Wprawdzie wielu rodzinom powodzi się dobrze, ale niektóre mają sporo kłopotów. Nie me dla nich kto polować. Opiekują się więc nimi inne. Te, których mężczyźni są na miejscu.

– Nie rozumiem mego brata. Gdy latem widziałem się z Warbishcar Noceyem, w każdej rodzinie byli mężczyźni. Co się z nimi stało? Czyżby duchy poplątały ich ścieżki? A może walczyli z kimś i odeszli do krainy swych ojców?

Indianin ponownie pokręcił przecząco głową.

– Nie, Węże nie walczyli z nikim. Od paru Zim ich wojenne topory nie są używane, ale mimo to zabrakło w wiosce kilku myśliwych. Na początku Księżyca Dojrzewających Jagód – ciągnął – do wioski przybył posłaniec od bladej twarzy, która poprzednio wozila futra do Quebecu, a potem przystała do Sháuguhnaushug i kupuje teraz dla nich futra. Posłaniec przywiózł upominki i w imieniu tej bladej twarzy namówił kilkunastu młodych myśliwych, by odwiedzili faktorię nad Zimną Słoną Wodą na wschodzie. Obiecał, że tam dostaną bogate dary. Część poszła z posłańcem, ale wróciło tylko kilku. Reszta pozostała u nowych kupców jako tropiciele.

Ci, którzy wrócili, opowiadali, że Sháuguhnaushug są zupełnie inni niż kupcy znad Wielkich Jezior i znad rzeki, gdzie żyje Shemágonish. Mówią innym językiem. Nie znają mowy Węży ani języka innych indiańskich ludów, ani nawet mowy rąk. Część pozostała miała wrócić do wioski, nim nadejdą śniegi. Ale nie powrócili. I właśnie ich rodziny cierpią teraz głód.

– Czy Czarny Lis wie, dlaczego nie powrócili?

– Nie. Tego Czarny Lis nie wie. Od tych, co wrócili, słyszał jedynie, że Czarna Chmura jako zwiadowca Sháuguhnaushug popłynął swym kanu do osady białych, w której mieszkał zawsze ojciec Shemágonisha.

– A więc Czarna Chmura został również zwiadowcą Anglików?

– Czarny Lis tak słyszał. Myśli też, że Czarna Chmura musiał otrzymać bardzo ważne zadanie, skoro nie wrócił jesienią do swej młodej Newsh i dwojga małych dzieci. Bardzo ich kochał. Zresztą Shemágonish znał go i wie o tym.

Tak, Paul znał tego, o którym teraz wspominał Czarny Lis, i dziwił się. Czarna Chmura był dobrym tropicielem. Znał dosyć dobrze język francuski i w Trois Rivières mógł dowiedzieć się wiele. Ale po co wysyłali go tam Anglicy i to właśnie ci znad Zatoki Hudsona? Odpowiedź była tylko jedna. Bo i cel takich zwiadów był zawsze ten sam. Najpierw Holendrzy z Fort Orange, a później kupcy z Albany wysyłali irokeskich zwiadowców do Quebecu, Trois Rivières, Montrealu lub na dalekie szlaki przepływu francuskich towarów i futer. Wysyłali ich zawsze jako swych szpiegów. Ze zdobytych przez nich informacji korzystano zawsze w podobny sposób. Tak, zasadzka na nie spodziewający się niczego transport i napad. Jedne udawały się, inne nie. Wszak Francuzi korzystali również z indiańskich zwiadowców i tropicieli”.

A więc Czarna Chmura został jednym z takich. Wysłano go do Trois Rivières. Anglicy z Hudson Bay Company interesowali się zatem kupieckimi wyprawami wyruszającymi z tego miejsca. Ale przecież nie mogli interesować się wszystkimi. Nie obchodziły ich zapewne te, które zdążały na zachód lub południe. Musiały jednakże obchodzić te, które udawały się na północ lub północny zachód. Nie było ich wiele, a Czarna Chmura był dobrym zwiadowcą. Na pewno nie przeoczył żadnej. Nie przeoczył więc i tej, którą prowadził on – Paul Bresson.

Czarna Chmura łatwo domyślił się, dokąd podąża właśnie ta wyprawa. Znał swych braci – wioślarzy, którzy ją prowadzili. I zapewne doniósł Anglikom. Ale w takim razie”. Tak. W takim razie ci z Hudson Bay Company wiedzą już, że indiańscy myśliwi większość futer dostarczą francuskiemu kupcowi. Czy podjęli lub podejmą jakieś kroki, by temu przeciwdziałać?

Z czasów, kiedy był w niewoli u Mohawków, poznał Anglików. Byli twardzi i nieustępliwi. Nie obawiali się ryzyka. I nie obawiali się nawet pięciu irokeskich narodów. Handlowali z nimi. Często prowadzili Mohawków lub Seneków przeciwko francuskim osiedlom i nie chowali się za plecami indiańskich sojuszników. Zwykle szli w pierwszym szeregu. Ci tutaj, znad Zatoki Hudsona, sojuszników jeszcze nie mieli. Ale ciekawe, jak byli liczni? Może wiedzą to Węże? Zwrócił wzrok na Czarnego Lisa i spytał:

– Czy brat Shemágonisha wie, ilu mężczyzn znajduje się w faktorii Sháuguhnaushug?

– Nie. Czarny Lis nie wie tego dokładnie. Słyszał jedynie, że latem przebywało tam dwa razy po dziesięciu i jeszcze kilku, ale w porze, gdy zaczynają czerwienieć liście drzewa dającego wiosną słodki sok, przyplłynęło wielkie, skrzydlate kanu, a wraz z nim wielu innych mężczyzn. Czarny Lis nie wie, czy zostali tam, czy odpłynęli, ale czemu jego biały brat pyta o to?

Paul chwilę milczał, wreszcie odparł poważnie:

– Anglicy przybyli nad Wielką Słoną Wodę przeszło dwie Zimy temu, by handlować. Wszyscy czerwonoskórzy bracia żyjący lub polujący w pobliżu tej wody musieliby handlować z nimi, gdyby nie było tu kupców, których już znają i z którymi, tak jak z Shemágonishem są zaprzyjaźnieni. Kupcy znad Słonej Wody nie mogą być z tego zadowoleni. Shemágonish zastanawia się nad tym, co uczynią. I myśli, że jeśli jest ich niewielu, pozostaną w swej faktorii i tam będą handlowali, ale jeśli będzie ich więcej, wyruszą na zachód wzdłuż rzek, potoków i strumieni. Mogą nawet przyjść aż tutaj. Shemágonish poznał ich daleko na południu. Wie, czego pragną.

Głowy słuchających pochyliły się w jego kierunku.

– Niech nasz biały brat powie nam to.

– Sháuguhnaushug mówi, że miłują swych czerwonoskórych braci i pragną żyć z nimi w przyjaźni. Zawsze powtarzają, że przybyli do nich, by handlować. I tak jest zawsze na początku. Później proszą, by czerwonoskórzy bracia podarowali im kawałek ziemi. Na ziemi

tej stawiają swoje kamienne lub drewniane wigwamy. Otaczają je wysoką zasłoną z grubych pni drzewnych i takie osady nazywają fortem. Gdy fort jest gotowy, proszą zwykle na naradę wodzów okolicznych plemion, dają im dużo podarków i dużo wody ognistej i zawierają z wodzami porozumienie, którego każde słowo zapisane jest na mówiącym papierze. Ponieważ jednak wodzowie nie umieją pisać, piszą Sháuguhnaushug. Wodzowie tylko podpisują taki papier i ważność jego potwierdzają wymianą wampumów lub dymem fajki pokoju. Wodzowie uradowani podarkami i wodą ognistą odjeżdżają. Wkrótce potem biali zjawiają się w wioskach Indian i każą wszystkim czerwonoskórym braciom opuścić ich tereny. Gdy mężczyźni i kobiety protestują, biali wydobywają podpisany przez wodzów mówiący papier i twierdzą, że podpisując go wodzowie sprzedali nie tylko kawałek ziemi, ale wszystkie swoje tereny łowieckie. Jeśli Indianie nie chcą opuścić tych terenów, przychodzi wielu białych wojowników uzbrojonych w grzmiące kije i wyrzucają siłą swych niedawnych czerwonoskórych braci z ich ziem. Tych, którzy bronią się i nie chcą odejść, zabijają. Ci sami biali przybyli teraz nad Wielką Słoną Wodę. Chociaż mówią, że przyплыnęli, by handlować, jest to nieprawda. Przybyli tu, by zabrać ziemię czerwonoskórym braciom i wypędzić ich z terenów łowieckich. Neecarnis, który przebywał wraz z Shemágonishem długo na wschodzie i południu, może potwierdzić te słowa.

Spojrzenia myśliwych skierowały się ku siedzącemu dotąd w milczeniu towarzyszowi białego kupca, a Czarny powiedział:

– Neecarnis czuje tak, jak jego czerwonoskórzy bracia. Niech mówi, łatwiej go zrozumieją. Nie mogą pojąć, dlaczego białym potrzebna jest ziemia Indian. Czy biali nie mają własnej?

– Neecarnis roześmiał się z goryczą:

– Czarny Lis pyta, czy biali nie posiadają własnej ziemi. Neecarnis nie wie dokładnie, ile jej posiadają, ale nie siedział u ogniska Sháuguhnaushug i słyszał ich mowę. Dowiedział się, że przybyli zza ogromnej słonej wody, która znajduje się tam, gdzie wschodzi słońce. Kraj ich nie jest wielki, lecz żyje w nim wielu białych. Ziemi nie wystarcza dla wszystkich, toteż wielu przepływa wodę, by zdobyć ziemię tutaj. U nich ziemia nie jest własnością wioski, tak u Indian. Każdy chce mieć własny kawałek, a ponieważ chciwi, każdy z nich pragnie mieć jak najwięcej dla siebie. Oni nie lubią lasów i nie kochają zwierząt. Tam, gdzie pojawiają się i postawią swoje wigwamy i wioski, toporami wycinają drzewa, a ziemię zamieniają w puste pola, gdzie ani łos, ani karibu nie znajduje już schronienia.

Gdy po raz pierwszy przybyli do naszych braci, byli grzeczni i uprzejmi, ale wkrótce zniszczyli Pequotów i Narragansetów, wypędzili Mohikanów i Makaa z ich wiosek. Codziennie zabijają naszych braci Micmaców, Malecite i Nascapi i zabierają ich ziemię, na której świeża trawa nie zdążyła jeszcze pokryć grobów naszych ojców. Naszych braci Irokezów namówili do walki przeciwko Huronom, narodowi Panther i innym indiańskim narodom zajmującym tereny łowieckie wokół Wielkich Jezior. Przez wiele zim trwała wielka wojna, aż nasi bracia zostali zniszczeni. Wszędzie, gdzie pojawiają się Sháuguhnaushug, przychodzi wraz z nimi walka, śmierć i zniszczenie. I wszędzie nasi bracia zostają wypędzeni z ziemi swych praojców. Ci biali, którzy przed dwiema zimami przybyli do północnego kraju, są tacy sami jak ci, którzy zniszczyli Mohikanów – podstępni, kłamliwi i obłudni. Są chciwi, a dla moich braci mają tylko pogardę. Nie znają Wielkiego Ducha. Ich duch jest inny. Każe im zabijać braci Neecarnisa i kraść ich ziemię. Neecarnis zna ich i nienawidzi, podobnie jak nienawidzi podstępnych Mingów i zdradzieckich Wappingerów, którzy wraz ze swym wodzem Unkasem sprzedali kupcom z Albany wszystkie indiańskie narody ze wschodnich puszczy. – Młodzieniec zamilkł. W izbie powiało chłodem.

Czarny Lis po wysłuchaniu tej długiej przemowy odezwał się półgłosem:

– Dziwne i ważne rzeczy powiedzieli nam nasi bracia. Węże nie znali do tej pory Sháuguhnaushug, chociaż słyszeli o nich już nieraz. Wiedzą teraz, co myśleć o nich. Czarny Lis powtórzy słowa swych braci wodzowi, a jeśli będzie trzeba także radzie starszych.

Shikag rozlał do kubków herbatę. Goście pili ją w milczeniu małymi łykami. Rankiem zaopatrzeni w proch i ołów oraz kilka noży i jedna strzelbę opuścili faktorię.

Paul, chociaż nie zapominał wieści przyniesionych przez Czarnego Lisa, nie powracał do nich w rozmowach ze swymi dwoma przyjaciółmi, zwłaszcza że do faktorii zaczęli napływać coraz liczniej myśliwi z różnych stron, przynosząc sporo futer.

Pewnego dnia, w czasie nieobecności swych dwu pomocników, kiedy kończył właśnie rozwieszać ostatnio kupione futra, posłyszał na zewnątrz jakiś ruch. Nie spiesząc się odłożył skórę i wyrzwał przez szczelinę między belkami ściany. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego, chociaż<sup>60</sup>. O, tam pod samą ścianą boru rysowała się wyraźnie ciemniejsza smuga śladu, którego nie było jeszcze przed godziną. Od strony zatoczki na tyły faktorii biegł wyraźny drugi ślad i to pozostawiony nie przez jedną, a przynajmniej przez dwie pary rakiet. A więc gości musiało być kilku i to takich, którzy nie chcieli, by ich dostrzeżono. Uśmiechnął się do siebie i bez szmeru przeszedł pod drugą ścianę. Stąd również widział wyraźny ślad biegnący w stronę modrzewiowej kępy.

Nie spiesząc się wrócił do pierwszej izby. Na drzwi nawet nie spojrzał. Wiedział, że były solidnie zamknięte. Tej zasady przestrzegał zawsze. Faktorię odwiedzali różni. Najczęściej myśliwi Kenishtenog lub Odżibueje, ale ściągali tu też z innych stron. Najbardziej dzicy i podstępni byli Wahzhushkwug. Zawsze kręciło się w pobliżu kilka ich band i po równi nie darzyli sympatią ani swych czerwonoskórych, ani białych braci. Najbardziej niebezpieczni wśród nich byli Howyzask<sup>60</sup>, z którymi już w czasie poprzedniej zimy miał trochę kłopotów. Jeśli przybyli i tym razem, mogli narobić sporo biedy. Faktoria co prawda nie musiała się obawiać napadu i mogła wytrzymać przez dłuższy czas nawet solidne oblężenie, ale na zewnątrz pozostawali Neecarnis i Shikag i im groziło niebezpieczeństwo. Ich też postanowił ostrzec przede wszystkim.

Sposób ustalili już dawno. Bardzo prosty, ale skuteczny. Nie zwracając więcej uwagi na to, co dzieje się wokół baraku, wydobył ze stojącej w rogu beczki spory kawał smoły i rzucił na rozżarzone szczapy płonące na kominku. Smoła była najlepsza. Wydzielała wprawdzie niezbyt przyjemną woń, za to dym wydobywający się teraz z kamiennego komina był bardzo ciemny. Ponieważ wiatr ucichł już kilka dni temu, czarna smuga unosiła się wysoko i musiała być dobrze widoczna dla jego obydwu przyjaciół, a każdy z nich przed powrotem do faktorii miał obowiązek patrzeć już z dala właśnie na dym. Jego kolor mówił, czy w pobliżu siedziby kupca jest wszystko w porządku, czy nie.

Uporawszy się z tym, podszedł do drzwi i odsunął niewielką deseczkę. Przez powstały w ten sposób otwór mógł nie zauważony obserwować otoczenie. Nie działa się jednak nic. Widocznie wrogowie musieli znać barak, bo nie kwapili się z nagłym atakiem. Zastanawiał się, kim byli i po co przyszli, ale było oczywiste, że kryjąc się tak długo nie mieli najlepszych zamiarów. Musiał uzbroić się w cierpliwość.

Pozorny spokój trwał dosyć długo. Wreszcie na skraju modrzewi zamajaczył jakiś cień. Jeden, drugi, piąty<sup>60</sup>. Było ich przynajmniej kilkunastu.

Sunęli szybko, bezszelestnie w stronę baraku. Stracił ich wkrótce z pola widzenia. Wzrokiem przecesał skraj lasu, niewielką wolną przestrzeń między drzewami i zatoczkę. Zza wąskiego cypla wynurzała się właśnie niska, krępa, okryta niedźwiedzim futrem postać. Był to niewątpliwie myśliwy. Łuk i kołczan ze strzałami przewiesił przez ramię. W jednym ręku niósł dwa, w drugim trzy zające. Pokasływał i sapał głośno. Nie ukrywał się. W odległości kilkunastu kroków od drzwi faktorii przystanął, położył zające, zrzucił z pleców wiązkę futer i zdjął z nóg rakiety. Ujął je następnie za obydwa końce i uderzył kilkakrotnie o siebie otrzepując śnieg. Hałas, jaki czynił przy tym, musiałby obudzić nawet śpiącego.

Paul uśmiechnął się. A więc zwykły podstęp Howyzask. Nie miał cienia wątpliwości.

---

<sup>60</sup> Czytaj: Houy-zask – piźmoszczur.

Wskazywała na to wyraźnie farba na twarzy myśliwego i bardziej niż u innych owalny kształt rakiet śnieżnych. Nadchodzący jawnie z upolowaną zwierzyną i kilkoma futrami miał stanowić przynętę. Ci, co czaili się pod ścianą, zapewne obok drzwi, mieli wtargnąć do środka tuż po ich otwarciu.

Spojrzał na stojącego przed drzwiami myśliwego, który nie wiadomo czemu nadal otrząpywał rakiety ze śniegu. Musiał jednak uznać, że biały nie tylko go usłyszał, ale również i obejrzał, bo podniósł futra i zajęce i podszedł do drzwi. Za chwilę rozległ się tupot jego nóg i głos:

– Przyszedł myśliwy. Ma futra i duże wahboosoog<sup>61</sup>. Niech biały kupiec otworzy wigwam. Z wnętrza dobiegł zaspiany głos:

– Drzwi otwarte. Czerwonoskóry brat może wejść. Indianin pchnął drzwi i stanął w progu. Zanim jednak w mrocznej, zadymionej izbie zdołał dostrzec cokolwiek, Jakaś gwałtowna siła porwała go do środka. Poczuł tępy ból głowy. Przed oczyma rozbłysło tysiące gwiazd. Osunął się ciężko na podłogę. Nie słyszał, że drzwi zamknęły się szybko i szczęknęła żelazna zasuwka.

Gdy w jakiś czas potem ocknął się, poczuł na rękach i nogach silnie zaciśnięte więzy. Huczało mu w głowie. Przytomniejącym wzrokiem przesunął po izbie. Obok ognia siedział nieruchomo biały – Shemágonish. Nie poruszał się. Trzymał wyciągnięte nad ogniem ręce i wypowiadał jakieś groźne słowa. Biały odwrócony był tyłem i nie zważał na leżącego. Trwał długo w bezruchu, wreszcie opuścił ramiona. Z zawieszonego na piersi woreczka wydobyl garść czerwonego proszku i rzucił w ogień. Proszek ten musiał mieć wielką, czarodziejską siłę, bo wśród płomieni rozbłysło tysiące zielonych i niebieskich iskier. Widać kupiec rozmawiał z bardzo złym duchem, który w każdej chwili mógł wyjść z płomieni i pokazać swą straszliwą postać. Dreszcz przerażenia wstrząsnął leżącym. –A jeśli ten duch pożerał Indian”?

– Nie! – wrzasnął z całej siły, gdy poczuł, że coś dotyka jego ramienia.

– Czemu mój brat krzyczy? – głos białego brzmiał surowo, lecz spokojnie. – W jaki sposób Chudy Wilk wszedł do wigwamu? Shemágonish nie zaprosił go przecież. Jak przedostał się przez zamknięte drzwi i kto go związał?

Leżący przestał się trząść, jednak drżał mu jeszcze głos, gdy odpowiadał:

– Chudy Wilk nie wszedł bez pozwolenia. Najpierw długo otrząpywał śnieżne mokasyny, a potem głośno tupał nogami. Shemágonish pozwolił mu wejść.

Biały wzruszył pogardliwie ramionami.

– Chudy Wilk kłamie. Shemágonish nie rozmawiał z nim przedtem. Spał. Na straży wigwamu zostały tylko duchy. Może Chudy Wilk rozmawiał z nimi? A jeśli w sercu jego kryły się złe myśli, to duchy białego kupca poznały je i na mojego brata zastawiły pułapkę. Shemágonish spyta zaraz swego ducha, po co tu Chudy Wilk przyszedł?

Czerwonoskóry zatrzęsł się ponownie. Tamten zaś nie zważając na przerażenie malujące się na twarzy leżącego ponownie podszedł do kominka. Z woreczka wiszącego u pasa wydobyl jakiś inny proszek i rzucił go w płomienie. Nad ogniskiem uniosła się chmura czarnego dymu. Paul patrzył na nią chwilę, a gdy się rozplynęła, zwrócił ponownie wzrok na leżącego. Patrzył jeszcze bardziej surowo.

– Więc po co Chudy Wilk tu przyszedł? – spytał gniewnie.

Indianin skulił się jeszcze bardziej. Jeśli duchy białego pilnowały tylko wigwamu, to może nie wiedziały co znajduje się na zewnątrz? A tam była przecież pomoc. Inni mężczyźni Howyzask. Nie mógł ich zdradzić. Odparł więc starając się powstrzymać drżenie głosu:

– Chudy Wilk przyszedł tu, by wymienić kilka skór i pięć wahboosoog na wodę ognistą.

Biały roześmiał się.

---

<sup>61</sup> Czytaj: Ua-bus – królik wahboosoog (l. m.) – czyt. ua-bu-sug – króliki.

– Mój brat kłamie. Duchy siedzące w chmurze dymu powiedziały Shemágonishowi zupełnie co innego. Chudy Wilk nie przyszedł nic wymieniać. Przyszedł kraść, a nawet popełnić coś znacznie gorszego. I nie przybył tu sam. Jeśli nie powie prawdy, duchy go ukarzą. Ilu przyprowadził z sobą mężczyzn? Jeśli powie nieprawdę, straci skalp, a strzępki jego ciała zabiorą daleko i rozrzucają w puszczy Cztery Wiatry.

Leżący zadrżał. Nie mógł pozwolić, by biały wypełnił swą groźbę. Toteż przełykając ślinę w zaschniętym nagle gardle wyjąkał szybko:

– Chudy Wilk przyprowadził dziesięciu i jeszcze trzech mężczyzn. Przyszli, by zabrać wodę ognistą i inne rzeczy należące do Shemágonisha, ale teraz nie uczynią tego. – Nie dodał, iż przyszli także po skalp białego kupca. Paul jednak wiedział. Nie musiał więc pytać. Ciekaw był jednak czegoś innego. Howyzask byli dobrymi myśliwymi. Przez długi już okres zimy musieli zdobyć wiele futer. Nie zostawili ich przecież gdzieś daleko. Pomijając więc milczeniem to, do czego przyznał się czerwonoskóry, spytał, łagodząc nieco brzmienie głosu:

– Chudy Wilk mówi, że Howyzask jest razem czternastu. A gdzie są futra zwierząt, na które polowali od prawie czterech Księżyców? Czy mają je z sobą?

Indianin uciekł spojrzeniem w bok.

– Nie, nie zabierali ich; Zostały tam, gdzie kobiety.

– A gdzie Howyzask założyli obóz? – biały patrzył przenikliwie.

– Tam, gdzie wschodzi słońce. O pół Księżyca stąd. Paul przypominał sobie niedawną rozmowę z Czarnym, Lisem. On też twierdził, że Węże rozbili swój obóz o pół Księżyca drogi na wschód. A Czarny Lis mówił prawdę. Kłamał więc Chudy Wilk. Tylko dlaczego? Spojrzał zimno na swego jeńca i pokiwał głową.

– Shemágonish myśli, że jednak ciało Chudego Wilka rozniosą Cztery Wiatry. Howyzask jest nierzetelny i ma podwójny język. Niech namyśli się jeszcze. Może jego obóz nie jest tam, gdzie mówi? I niech przypomni sobie dobrze, co się stało z futrami?

Indianin jakiś czas zmagał się z sobą. W końcu jednak odparł z ociąganiem:

– Obóz Howyzask na wschodzie. Ale nie w jednym miejscu. Myśliwi idą za zwierzyną. Obóz przenoszą raz tu, raz tam. Nigdzie nie są długo. Zwierząt mało. Trzeba szukać. Futer też nie za dużo.

Paul popatrzył na niego w milczeniu, pokiwał głową, zanurzył ponownie rękę w woreczku z czarnym proszkiem i sporą garść znów rzucił w płomienie. I znów jak poprzednio pół izby spowiła chmura gęstego dymu. Młodzieniec chwilę stał bez ruchu, po czym odwrócił się i powiedział:

– Shemágonish zmienił postanowienie. Chudy Wilk zostanie najpierw oskalpowany, potem rozszarpia go windigos<sup>62</sup>, a dopiero na końcu rozniosą Cztery Wiatry i zostawią na pożarcie czarnym ptakom.

Indianin zwinął się i wykrzywił twarz w przerażeniu.

– Niech Shemágonish nie czyni tego. Chudy Wilk powie wszystko. Nie chce, by rozdziobały go wrony. Howyzask nie rozbijali swego obozu na wschodzie. Oni byli na południu, ale tam nie ma wiele zwierząt, toteż łowy nie udały się im. Polowali nad Czerwonym Strumieniem i tam spotkali trzech białych kupców.

– Kiedy to było? – spytał Paul.

– Prawie pół Księżyca temu.

– Czy kupcy byli sami?

– Nie, nie byli sami. Wraz z nimi było także kilku Swampy.

– Niech Chudy Wilk opowie dokładnie o tym spotkaniu.

– A czy Shemágonish uwolni go wtedy z więzów?

– Shemágonish nie wiązał Chudego Wilka. Uczyniły to duchy. Jeśli one pozwolą, biały

---

<sup>62</sup> Według wierzeń Odzibuejów i Cree to wielkie ludzkie potwory żyjące w puszczach i pożerające Indian.



rozwiąże. Inaczej nie.

– Dobrze, Chudy Wilk opowie. Polował nad Czerwonym Strumieniem i pewnego dnia do jego obozu przyszło trzech białych. Mówili, że są kupcami, ale nie mieli z sobą towarów, tylko trochę wody ognistej. Howyzask za tę wodę oddali wszystkie futra, jakie mieli, a biali oddalili się na południe.

– Czy mówili mową Indian, czy językiem białych?

– Mówili swoim językiem, a tłumaczył ich przewodnik.

– Czy Chudy Wilk słyszał już kiedyś tę mowę?

– Tak, słyszał dwa lub trzy razy, ale jej nie rozumie.

– Czy biali pytali o coś Chudego Wilka?

– Tak. Pytali, czy Shemágonish przybył już z towarami do swego wigwamu i czy dał znak swym czerwonoskórym braciom, że ma dla nich podarki?

– A co powiedział Chudy Wilk?

– Chudy Wilk powiedział, że wraz z nadejściem śniegu on i jego ludzie widzieli duży ogień na północy i wiedzą, że jest to znak Shemágonisha.

– Czy biali kupcy pytali jeszcze o coś?

– Nie, ale pokazywali na łuki Howyzask i śmiali się. Mówili, że Shemágonish ma z sobą grzmiące kije lepsze do polowania niż łuki. Radzili, by Howyzask pomyśleli o tym.

– I Shemágonish widzi, że pomyśleli. Postanowili je ukraść.

Czerwonoskóry odwrócił głowę i nic nie powiedział. Biały przyglądał mu się jeszcze przez chwilę i nad czymś myślał. Pomyśl, by chwycić przynętę, okazał się dobry. Chudy Wilk był wodzem, a na wojennej ścieżce, na którą wkroczył, jego ludzie musieli mu być posłuszni. Stwarzało to szansę uniknięcia walki i przelewu krwi. Nie musiał się co prawda obawiać tych kilkunastu Indian, ale zdawał sobie sprawę, że gdyby w walce któryś z nich został zabity, pozostali krążyliby wokół faktorii tygodniami, czyhając na możliwość zemsty. Tak. Całą sprawę należało załatwić bez rozlewu krwi, a Chudy Wilk mógł to zrobić najlepiej. Nachylił się więc nad nim i spytał spokojnie:

– Gdzie znajdują się mężczyźni, których czerwonoskóry brat przyprowadził z sobą?

Leżący wymownym ruchem głowy wskazał na ścianę i odparł:

– Czekają na sygnał wodza, tam za ścianą.

Paul pochylił się jeszcze niżej, podniósł swego jeńca, postawił przy drzwiach i otworzył małe okienko.

– Niech mój czerwonoskóry brat powie swym wojownikom, by odsunęli się od ściany. Niech złożą broń przed drzwiami, a sami staną na środku polany. I niech Chudy Wilk mówi głośno i wyraźnie tak, by go dobrze usłyszeli i zrozumieli.

Chudy Wilk posłusznie wypełnił polecenie. Wkrótce kilkanaście odzianych w futra postaci tłoczyło się na środku pustej przestrzeni między faktorią a zatoką jeziora. Biały ponownie ułożył swego jeńca na podłodze. Wdrapał się szybko na strych, a stamtąd na dach. Nie ukrywając się wyciągnął rękę w stronę poruszonych jego widokiem niedoszłych napastników i powiedział głośno:

– Tu stoi Shemágonish. Podobnie jak jego ojciec przybył tu przed nadejściem śniegu i rozniecił wielki ogień, by wszyscy czerwonoskórzy bracia mogli widzieć, że biały kupiec przywiózł dla mężczyzn i kobiet dużo podarków. Dzisiaj dowiedział się, że Howyzask nie uważają go za przyjaciela i że chociaż nie uczynił im żadnej krzywdy, postanowili zabrać mu skalp i wszystkie towary. Gdy Shemágonish spał, wódz Howyzask – Chudy Wilk wszedł do wigwamu białego kupca, by go zabić. Ale nad snem Shemágonisha czuwały potężne duchy, które zawsze służą kupcowi. One pojmowały Chudego Wilka i związały go. Jeśli Howyzask nie chcą, by wódz stracił skalp, będą zachowywali się spokojnie. Teraz biały kupiec wystrzeli w powietrze dwa razy. Na ten głos nadejdą jego przyjaciele. Potem Howyzask zabiorą wodza i swoją broń i odejdą daleko. – Z tymi słowy podniósł dwa długie pistolety i wypalił. Na

odgłos strzałów zza grubych pni gęstego boru poczęły wysuwać się uzbrojone w strzelby i łuki postacie.

Jako pierwszy na polanę wbiegł Shikag potrząsając groźnie strzelbą. Paul z łatwością rozpoznał wśród przybyłych kilku myśliwych Seseganagi. Widząc groźną postawę swych przyjaciół uniósł rękę i zawołał:

– Niech myśliwi Wahgooshug opuszczą broń. Howyzask nie mogą walczyć, Shemágonish pozbawił ich broni. Shikag i jego bracia niech wejdą do wigwamu. – Szybko zbiegł na dół i odsunął zasuwę. W chwilę potem siedmiu Wahgooshug, Shikag i Neecarnis weszli do izby.

Paul przyjaznym gestem pozdrowił przybyłych i pochylił się nad leżącym wodzem Howyzask. Dwoma cięciami noża uwolnił go z więzów.

– Chudy Wilk może powstać. Nic mu nie grozi i zaraz odejdzie stąd ze swymi myśliwymi. Przyniósł tu z sobą pięć wahboosoog i wiązkę futer. Co chce otrzymać za to od białego kupca?

Wódz rozprostował ścierpnięte ręce i powiedział niepewnie:

– Niech Shemágonish da jeden grzmiący kij, proch, kule i barylękę wody ognistej.

Paul pokręcił przecząco głową.

– Shemágonish da po jednym kubku wody ognistej każdemu z mężczyzn Chudego Wilka. Jeśli Howyzask wyrzekną się złych zamiarów, woda ognista pozwoli im odejść spokojnie, ale jeśli w sercu chociaż jednego z nich mieszka zdrada, duchy mieszkające w wodzie ognistej będą długo dręczyły wszystkich, którzy jej spróbują.

Wódz kiwnął głową. Wiedział, że to, co przyniósł z sobą, nie jest warte nawet kubka wody ognistej. Wyszedł więc przed barak i przywołał swoich mężczyzn. Paul tymczasem wziął ze stołu duży dzbanek, stanął w progu i nalał pierwszy kubek. Patrzył przy tym na wodza. Chudy Wilk uniósł w górę kubek i jego zawartość wlał bez wahania w swe zapewne spragnione od dłuższego czasu gardło.

Zaledwie jednak przełknął płyn, gdy chwycił się gwałtownie za krtani, próbował rozpaczliwie wciągnąć w płuca chociaż odrobinę powietrza. Twarz jego zsiniała, oczy wyszły na wierzch i bijąc rozpaczliwie rękami powietrze osunął się na ziemię. Howyzask cofnęli się przestraszeni o kilka kroków. Paul postawił dzbanek, nachylił się nad leżącym i wstrząsnął nim kilkakrotnie. Wódz otworzył oczy i począł nieporadnie podnosić się z ziemi. Biały patrzył na to śmiejąc się, po czym ponownie ujął dzbanek.

– Kto z Howyzask pragnie jeszcze skosztować tej wody ognistej, niech podejdzie ze swym kubkiem.

Wódz, słaniając się na nogach, wykonał kilka nieporadnych gestów sprzeciwu i zataczając się począł biec w głąb lasu. Jego ludzie porwali z ziemi swą broń i znikali szybko poza zasłoną drzew.

Paul wrócił do izby i zawartość dzbanka wlał do niewielkiej barylki, którą odstawił na półkę. Następnie zwrócił się do przybyłych i powiedział:

– Howyzask nie zatrzymają się. Będą się obawiali duchów, o których sile przekonał się Chudy Wilk. Bracia Shemágonisha mogą więc rozgościć się w izbie i ogrzać przy ogniu. Pewnie mają za sobą długą drogę i są głodni. Shemágonish, Shikag i Neecarnis przygotowują tymczasem posiłek.

Najstarszy z przybyłych. Długie Ucho, potrząsnął przecząco głową:

– Wahgooshug cieszą się widokiem swego białego brata, ale nim rozgoszczą się w jego wigwamie, muszą wrócić swym tropem o kilka lotów strzały w miejsce, gdzie pozostawili futra. Kiedy spotkali Neecarnisa i ujrzeli znak ostrzeżenia, przybiegli z pomocą. Teraz wyjdą na krótko, zabiorą skóry i powrócą. – Z tymi słowy skinął na swych towarzyszy i wkrótce na otwartej przestrzeni jeziora widać było sunące szybko ich postacie.

Wrócili w ciągu godziny, dźwigając ciężkie wiązki lśniących, puszystych futer, a także kilka upolowanych przez siebie zajęcy i prawie połowę wielkiego łosia. Futra, nie licząc ich,

wrzucili do magazynu. Do każdej wiązki przymocowali jedynie znak myśliwego, do którego należała.

Wracając z magazynu do obszernej, pierwszej izby, w której płonący na kominku duży ogień ogrzewał powietrze, zrzucali z ramion długie, ciepłe kożuchy, futrzane nakrycia głowy i ciepłe, chroniące przed mrozem legginy uszyte z futerek białego zająca lub rudego lisa.

Paul z przyjemnością obserwował ich krzepkie, zdrowe postacie. Chociaż i na południu, w krainie Mohawków, nie brakowało silnych, zdrowych mężczyzn, musiał w duchu przyznać, że ci tutaj wyglądali znacznie lepiej i okazalej. Byli wyżsi, mieli szersze ramiona, bardziej umięśnione ręce i nogi. Surowe twarze nią miały tak ostrych rysów, jak u tych na południu.

Ich dzikość była dzikością naturalną – dzikością lasów i rzek, wśród których istnieli, dzikością śmigłego sokoła i pięknego jelenia. Nie było w niej okrucieństwa. Teraz ich rysy złagodniały. Ciepło ognia i radość spotkania wygładziły je. Spojrzał na Shikaga. W twarzy syna Seseganagi czarne oczy jarzyły się ogniem tajonego wzruszenia i radości. On podwójnie żywo musiał odczuwać radość spotkania ze swymi braćmi.

Paul skinął na niego i coś mu szepnął do ucha. Chłopak odsłonił w uśmiechu zdrowe zęby i skoczył do magazynu. Za chwilę postawił na stole niewielką baryłkę i kilka żelaznych kubków. Złocisty płyn zabulgotał przy rozlewaniu. Po izbie rozszedł się ostry, przyjemny zapach. Mężczyznom błysnęły oczy.

Długie Ucho, którego ręka bezwiednie sięgnęła po kubek, zatrzymał ją w powietrzu i z niepokojem spojrzał na gospodarza. Zastygli w oczekiwaniu i inni. Wszak nie tak dawno widzieli, co stało się z Chudym Wilkiem po wypiciu mniejszego kubka tak samo pachnącej wody ognistej. Paul spostrzegł ich wahanie i uśmiechnął się.

– Bracia Shemágonisha nie potrzebują się obawiać niczego. W tamtej baryłce – tu wskazał na półkę – Shemágonish umieścił złe duchy i trzyma ją dla wrogów. W tej mieszkają jedynie dobre duchy. Bracia Shemágonisha mogą ją wypić spokojnie.

Pojaśniały spojrzenia, w twarzach błysnęła radość. Cieszyli się, że właśnie im Seseganaga polecił odwiedzić białego kupca i zanieść mu pierwsze futra.

Przy dużych miskach gorącej, ostrej zupy i tłustych płatach pieczonego mięsa siedzieli i gawędzili długo w noc.

Paul, który niemal od dzieciństwa widział, jak wszyscy dzicy reagują na alkohol, a przy ojcu nauczył się, jak prostym sposobem osłabiać jego moc i niebezpieczne skutki działania, nie zabrał teraz ze stołu baryłki. Sam co jakiś czas napełniał opróżniane kubki. O tym, że rum jest co najmniej dwukrotnie słabszy od normalnego, bracia Shikaga nie wiedzieli. Wierzyli natomiast, że gospodarz umieścił w nim dobre duchy. W żylach i żołądku czuli miłe ciepło, a na języku łagodny, przyjemny smak. Gawędzili wesoło. Opowiadali o tym, co wydarzyło się od czasu rozstania z Shikagiem. Twierdzili, że spotkanie z Shemágonishem przy pieczarze niedźwiedzia przyniosło szczęście myśliwym Wahgooshug. Ciągąc na północ już po kilku dniach natrafili na wielkie stado karibu i jednego tylko popołudnia zabili przeszło pięć razy po dziesięć tych zwierząt. Mięsa było tyle, że nie tylko ludzie, ale i psy miały go pod dostatkiem. Trochę dalej na północ i zachód pojawiło się tak dużo zwierząt, że myśliwi nie musieli rozdzielać się na pojedyncze rodziny, lecz oddalili od siebie zaledwie o dwa, trzy dni drogi i utworzyli niewielkie obozy składające się z kilku rodzin, co sprawiło, że polowali nie pojedynczo, a po kilku w jednej okolicy i w razie potrzeby mogli sobie pomagać. W ciągu całego czasu nie zdarzył się żaden cięższy przypadek złamania czy skaleczenia ani poważniejszej choroby. Nikt także nie powędrował ścieżką przodków. Jedynie Duży Mokasyn, młody myśliwy, syn Tłustej Wrony został zraniony w walce, na jaką wyzwał go Chásekah-Nébowin<sup>63</sup>.

– Co to była za walka? – zaciekał się Shikag. – Przecież Duży Mokasyn i Chásekah-

---

<sup>63</sup> Czytaj: Czaseka-Nebouyn – Nagła Śmierć

Nébowin byli zawsze przyjaciółmi?

– Tak – odparł Długie Ucho uśmiechając się. – Oni byli przyjaciółmi. Teraz już nie są.

– A co ich poróżniło? Czy może swoje sidła chcieli postawić w tym samym miejscu?

– Shikag nie pomylił się wiele. Obydwaj młodzi myśliwi zastawili sidła przed wigwamem Seseganagi.

– Przed wigwamem ojca Shikaga? – zdziwił się młodzieniec. – Przecież zwierzęta nie zbliżają się do wigwamów? Długie Ucho uśmiechał się nadal.

– Oczywiście, Shikag ma rację, ale wie przecież, że młodzi mężczyźni, a czasem i starsi polują także na inną leśną zwierzynę. A w wigwamie Seseganagi znajduje się przecież piękna, młoda łania. Każdy chętnie zapoluje na łanię.

Syn wodza zrozumiał wreszcie, bo roześmiał się serdecznie i pokiwał głową:

– Tak, Shikag zapomniał, że jego siostra nie jest już małą dziewczynką. Nie rozumie jednakże nadal, dlaczego Chásekah-Nébowin i syn Tłustej Wrony zwrócili przeciwko sobie broń? Obydwaj przecież wiedzą tak samo jak inni mężczyźni, że każdemu wolno zalecać się do tej samej dziewczyny. Nikomu nie można tego zabronić.

Długie Ucho spoważniał.

– Nasz brat ma rację. Rada starszych, gdy dowiedziała się o walce, przypomniła wszystkim, jakie są zwyczaje i zgała postępowanie obydwu porywczych młodzieńców, ale Duży Mokasyn zanim ponownie mógł wyjść na polowanie, musiał przeleżeć w wigwamie swego ojca prawie pół Księżyca.

– Więc został zraniony tak ciężko?

– Tak, Chásekah-Nébowin uderzył go dwukrotnie swym nożem. – A czy Duży Mokasyn miał wtedy również nóż w ręku?

Długie Ucho milczał dłuższą chwilę, w końcu z nutą wątpliwości w głosie odparł:

– Walki nikt nie widział. Chásekah-Nébowin, gdy zebrała się rada, twierdził, że Duży Mokasyn walczył także nożem, ale syn Tłustej Wrony nie przyznał się do tego. Mówił, że bronił się gołymi rękoma. Rada nie mogła tego ustalić. Skarciła obydwu, ale wielu mężczyzn dziwiło się. Duży Mokasyn był zawsze silniejszy i zręczniejszy od swego przeciwnika. Gdyby trzymał wtedy nóż, musiałby go chociaż zranić.

Po tych słowach zaległo dłuższe milczenie. Jednakże Shikag, którego sprawa ta poruszyła widać znacznie bardziej, niż pragnął to okazać, spytał ponownie:

– Czy któryś z obydwu walczących poluje dla Seseganagi i składa upolowaną zwierzynę przed jego wigwamem?

– Nie, nie czynią tego, ale Chásekah-Nébowin zapowiedział, że wiosną pierwszy złoży futra i inne podarki przed wigwamem, w którym mieszka Darnis.

Paul, który z rosnącym zaciekawieniem od paru minut już słuchał tej rozmowy, spytał teraz na pozór obojętnie:

– Jeśli Chásekah-Nébowin złoży przed wigwamem wodza futra, to jakie jeszcze inne podarki może ofiarować ojcu Shikaga?

Pytanie to widocznie wprawiło w zakłopotanie Długie Ucho, bo zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Tego nikt na pewno nie wie. Wszyscy wiedzą jednak, że Chásekah-Nébowin, zanim późną jesienią wrócił do wioski, przez kilka Księżyców kroczył własną ścieżką, o której nie opowiadał. Z podróży przywiózł w swym kanu grzmiący kij i długi żelazny nóż, a także duży, skórzany, ciężki worek, którego nie otwierał przy obcych: Może prócz futer będzie miał jeszcze inne podarki.

– Czy Długie Ucho widział ten grzmiący kij i czy może powiedzieć, jak on wygląda?

– Tak, widzieli wszyscy. Jest taki sam jak te, które Shemágonish podarował mężczyznom Wahgooshug.

– Taki sam? – biały nie wydawał się być przekonany.

– Tak, Długie Ucho nie myli się.  
– Shemágonish nie pamięta już dobrze, czy Chásekah-Nébowin ubiegłej Zimy sprzedał mu swoje futra czy nie. Czy jego czerwonoskórzy bracia pamiętają to może? – popatrzeć uważnie na siedzących wokół mężczyzn.

Długie Ucho kiwnął głową:

– Tak. Oddał całą swoją zdobycz memu bratu, tak jak i pozostali mężczyźni. Shemágonish zapisał to na swym mówiącym papierze.

Paul rozlał do kubków resztkę wody ognistej. Mimo iż wydawał się przysłuchiwać w dalszym ciągu temu, o czym opowiadali myśliwi, pogrążył się we własnych myślach. A były to myśli niewesołe. Ostatnie spotkanie z myśliwymi, których przysłał Warbishcar Nocey, dzisiejsza rozmowa z wodzem Howyzask oraz wieści, jakie przynosił obecnie Długie Ucho, niosły z sobą coś niepokojącego. Instynkt mieszkańca puszczy ostrzegał. Ostrzegał wyraźnie. A Paul nie lekcewał ostrzeżeń. Wierzył zresztą, że przynosi mu je jego opiekuńczy duch. Ojciec nazywał go aniołem stróżem, ale syn wierzył w to, w co wierzyli Indianie. Wiedział, że biali posiadają innego Wielkiego Ducha niż czerwonoskórzy, ale nie bardzo rozumiał, dlaczego Wielki Duch Indian miałby być gorszy od Wielkiego Ducha Białych, lub anioł stróż lepszy od opiekuńczego ducha Indian. Ojciec tłumaczył mu różnice, ale Paul nie mógł tego pojąć i nie wyrzekł się swego opiekuńczego ducha. Teraz duch ostrzegał.

Pierwszy ostrzegawczy ogień zapalił się, gdy Czarny Lis opowiadał, że kilku myśliwych Warbishcar Noceya przystało do Anglików i nie wróciło do wioski, i że wśród nich znalazł się również Czarna Chmura. Musiało go zatrzymać coś bardzo ważnego. Albo Anglicy obiecali mu bardzo dużą zapłatę za usługi, jakie miał dla nich wykonać, albo dobrego zwiadowcę spotkała zła przygoda. Nie wrócili również inni. Może zostali zatrzymani jako tłumacze i przewodnicy? Ale w takim razie musieliby najpierw przyprowadzić kupców znad Zatoki Hudsona do własnej wioski. Aby to uczynić, uprzedziliby wpierw Warbishcar Noceya. Wiedzieli przecież, że wódz dostarczy wiosną wszystkie futra do faktorii Shemágonisha. Nie. Nie mogło chodzić o to. To było coś innego, zupełnie niezrozumiałego. Wprawdzie angielscy kupcy byli dosyć daleko, ale kto wie, co zamierzali? Od Czarnej Chmury wiedzieli na pewno o tej właśnie faktorii. Jeżeli wiedzieli również, że francuski kupiec jest sam, mogli myśleć różnie. Nie ryzykowali wiele. Tak”. Nie powinni przepuścić takiej okazji. To, że nie wykorzystali jej dotąd, nie świadczyło jeszcze o niczym. Zimowa wyprawa kilkaset mil w głąb nie znanego im jeszcze lądu była ryzykiem. Może woleli odsunąć ją na inną porę roku, bardziej sprzyjającą. Może zresztą mylił się”.? Dzisiejsza opowieść wodza Howyzask o trzech białych kupcach spotkanych w połowie zimy bez towarów tak daleko od najbliższej faktorii też była zagadką. W okresie letnim kupcy zapuszczali się i dalej, ale gdy leżał głęboki śnieg, siedzieli w swych faktoriach lub nawet indiańskich obozach i nie ruszali się. Tych trzech białych musiało jednak mieć powód, by zawędrować tak daleko. Pytali o niego, o Shemágonisha. Wiedzieli więc, że przybył tu, ale w takim razie wiedzieli i wiele więcej. Chudy Wilk nie znał ich języka, nie mógł więc powiedzieć, czy byli to Anglicy czy Francuzi. Ale pojawili się w pobliżu i to było najważniejsze. A może nie to? Może najważniejsze było, że Chásekah-Nébowin posiadał taką samą strzelbę, jak te, które Paul przywiózł z sobą z Trois Rivières. Skąd mógł ją mieć? Nie otrzymał przecież od pana Fleury’ego. Kupiec nie miał więcej podobnej broni. Posiadał ją garnizon wojskowy w Quebecu i, być może, kilka sztuk było w Trois Rivières. Może więc zdobył ją na jakimś żołnierzu? – Było to najbardziej prawdopodobne. Chociaż”. Tak, Chásekah-Nébowin miał również nóż i tajemniczy worek i wiosną zamierzał zapłacić za Darnis – córkę Seseganagi.

Przed oczyma młodzieńca zamajaczyła niewyraźna zrazu sylwetka, łagodna, nieśmiała twarz, lekko skośne duże oczy i wystające kości policzkowe. Obraz powiększał się, nabierał wyrazistości, po czym nagle zniknął.

Paul drgnął. Głośniejszy wybuch śmiechu przywołał go do rzeczywistości. Była późna

pora. Czas na spoczynek. Nie przeszkadzając pozostałym nakrył się grubą, niedźwiedzią skórą i przymknął powieki. Ostrzegawcze światelka gdzieś zniknęły. Obraz dziewczyny o skośnych oczach i wystających kościach policzkowych ponownie wtargnął do jego świadomości.

## ROZDZIAŁ IX

### Biała sowa uprzedza o niebezpieczeństwie

Shikag odszedł wraz z myśliwymi, których przysłał Seseganaga. Czuł się dobrze. Odzyskał dawną sprawność i –siłę w nodze i bez zmęczenia mógł godzinami iść tropem upatrzonego zwierza. Po kilkumiesięcznej przymusowej rozłące tęsknił za najbliższymi, a co było naturalne, chciał chociaż trochę pomóc ojcu. Paul rozumiał go i nie zatrzymywał. Na zatroskane słowa swego czerwonoskórego brata wyrażające niepewność, czy powinien opuszczać faktorię właśnie teraz, gdy zacznie napływać wielu obcych myśliwych, odparł stanowczo, że w razie czego obaj z Neecamisem poradzą sobie. Dla tych, co nie kryją fałszu, mają przecież piękne podarki i dobrą wodę ognistą. Dla innych wodę, w której mieszkają złe duchy.

W faktorii pozostali biały kupiec i Neecarnis. Wobec braku Shikaga Paul postanowił zdjąć potrzaski i sidła, które do tej pory mogli codziennie doglądać jego dwaj młodzi przyjaciele. Jeszcze więc tego samego dnia wspólnie z Neecamisem zamknęli i zabezpieczyli na wypadek niepowołanych odwiedzin faktorię i zaszyli się w las po zachodniej stronie jeziora.

Prowadził Neecarnis. W swych śnieżnych rakietach po przetartej, wijącej się łagodnymi zakolami ścieżce posuwał się szybko i pewnie. W pewnym momencie przystanął i obracając się w stronę podążającego za nim z uśmiechem wskazał coś nie opodal. Paul spojrzał we wskazanym kierunku. W pierwszej chwili nie mógł niczego dostrzec. W następnym m jednak momencie uśmiechnął się również. Poniżej nisko zawieszonych gałązek świerka, prawie niewidoczne na śniegowym puchu leżało niewielkie zwierzątko. Było nieomal całkowicie białe. Jedynie koniec krótkiego ogonka czernił się niczym grudka ziemi. Widywał takie zwierzątka latem, ale wtedy nosiły zwykle brązowoczerwone futerka. Kupcy i kuśnierze ze względu na miękki, jedwabisty włos cenili je bardzo wysoko i nazywali gronostajami.

– Neecarnis – powiedział – ma dobre oko i wie, gdzie zastawić sidła. Gronostaj piękny.

Czerwonoskóry chłopak pochylił się nad zwierzątkiem. Było już martwe. Następne dwie pułapki były puste. Za to w trzeciej już z dala dostrzegli długi na ponad dwie stopy, smukły kształt. Kuna jeszcze żyła i Neecarnis musiał zabić ją grubym kijem. W kolejnych znaleźli jeszcze skunksa, dwa zające i jednego rudego lisa, który nieopatrznie włożył swą długą spiczastą głowę w mocny, zastawiony na wilka potrzask. Żelazo zmiażdżyło ją i przecięło skórę. Futro nie nadawało się więc do użytku i lisa musieli zostawić.

Gdzieś w połowie następnej linii, wzdłuż której wracali do faktorii, Paul zatrzymał się. O kilkanaście zaledwie kroków od potrzasku trzymającego następnego skunksa widniał wyraźny ślad śnieżnych rakiet. Biegił ukośnie z zachodu. Nie przecinał jednak linii sideł. Zbliżywszy się do niej, biegił jakiś czas równolegle, potem zaczął się oddalać na południe.

– Co Neecarnis o tym sądzi?

Indianin zbliżył się do śladu i oglądał go z uwagą. W końcu uniósł głowę i spojrzał na pytającego.

– Neecarnis nie wie. Ślad niedzisiejszy. Ale wczoraj przed południem nie było go jeszcze. Obcy nadszedł po południu. Pewno myśliwy. Tylko jeśli myśliwy, to dlaczego nie przyszedł do faktorii? Ścieżka widoczna. Widoczny dym z baraku.

– Właśnie. Brat Shemágonisha zadał trafne pytanie. Dlaczego myśliwy nie przyszedł do faktorii?

– Może chciał, ale gdy zobaczył, że u białego kupca są inni myśliwi, zrezygnował. Może nie chciał się z nimi spotkać i przyjdzie dziś?

Paul pokręcił z powątpiewaniem głową:

– Może Neecarnis nie myli się, ale może myli. Dlaczego myśliwy miałby obawiać się kilku Wahgooshug? Wszyscy wiedzą, że w faktorii kupca nic im nie grozi. Chyba, że to myśliwy z bardzo daleka. Ale jeśli tak, to skąd się tu wziął? Neecarnis raz jeszcze powiódł wzrokiem po linii śladu i kiwnął głową:

– Dobrze. Brat Shemágonisha pójdzie tym śladem. Shemágonish niech wróci do baraku. – Złożył na ziemi zdjęte sidła i potrzaski oraz zabraną z nich zdobycz i nie rzekłszy słowa więcej ruszył po widocznym tropie.

Paul ruszył wolno w drogę powrotną. Przez jakiś czas widział biegnący równolegle do swej ścieżki drugi trop. Nie przyglądał mu się jednak specjalnie. Wiedział, że Neecarnis zbada wszystko, co trzeba, a w razie potrzeby odnajdzie tego, kto nie pokazał się od ubiegłego dnia. Gdy uginając się pod ciężarem zwierzyny i potrzasków dotarł wreszcie do faktorii, na dworze poczęło się zmierzchać.

Zamknawszy za sobą drzwi dorzucił trochę drewna do ognia i zabrał się za opracowanie zdobyczy. Chociaż dokuczał mu porządnie głód, nie przerywał swej pracy prawie do północy. Neecarnis wprawdzie nie wracał, ale o niego był spokojny. Jego przyjaciel nauczył się w niewoli bardzo dużo i w puszczy dawał sobie zawsze radę. Z pozoru łagodny, szczerzy, przyjazny, w rzeczywistości pod młodzieńczą jeszcze postacią krył serce doświadczonego, groźnego wojownika. I potrafił oszukać wroga. Instynkt nie zawodził go nigdy, toteż w porę potrafił wykryć nadciągające niebezpieczeństwo.

Paul oprawił ostatniego zająca, wyrzucił odpadki i umył ręce. Następnie zjadł spory płat zimnego, pieczonego mięsa i rzucił się na posłanie. W nocy męczyły go sny, w których raz po raz pojawiały się dzikie postacie Howyzask przyodziane w wilcze skóry.

Zbudził się przed świtem. Gdzieś za ścianą harcowała wiewiórka wydając co jakiś czas głośny pisk lub krótkie przerywane cuk, cuk. Ubrał się szybko i wyszedł na zewnątrz. Zaczynało świtać. Od wschodu ciągnęły gęste, czarne chmury, nieomylny znak zbliżającej się burzy. Wiewiórka musiała wyczuwać ją również, gdyż w przeciwnym wypadku nie denerwowałaby się tak bardzo.

Spod niewielkiego, drewnianego daszka, gdzie mieścił się skład drewna, wyciągnął sanki i skierował się szybko w stronę parowu. Sidła trzeba było zdjąć jeszcze przed nadejściem burzy. Potem nie zdołałby ich odszukać.

Gdy w parę godzin później wracał, dźwigając złowione zwierzęta i zdjęte potrzaski, poprzez niezbyt jeszcze gęste płatki wirującego śniegu dostrzegł jasną smugę dymu unoszącą się nad barakiem. Neecarnis był zatem na miejscu i zdążył rozniecić ogień.

Gdy za godzinę śnieg rozpadał się na dobre, siedział na wprost swego indiańskiego przyjaciela i słuchał jego opowieści.

– Neecarnis – mówił młodzieniec – najpierw udał się tam, skąd prowadził ślad myśliwego. Nie szedł jednak daleko. Tylko przez czas, jaki Shemágonish nazywa dwie godziny. Ślad idzie na zachód, a potem skręca i biegnie prosto na południe. Neecarnis wrócił więc szybko do miejsca, gdzie rozstał się ze swym białym bratem i tym razem udał się w stronę, w którą poszedł myśliwy. Szedł jego tropem do wieczora, a potem jeszcze dłużej, do czasu aż światło księżyca zaczęły zasłaniać chmury. Myśliwy, którego ślady rakiet Shemágonish widział wczoraj, nie zrobił nigdzie dłuższego postoju. Zatrzymał się tylko raz na trochę.

Paul zwrócił spojrzenie na mówiącego, w którego słowach wyczuł lekkie podniecenie.

– Czy Neecarnis wie, dlaczego myśliwy zatrzymał się?

– Tak – odparł czerwonoskóry. – Neecarnis to wie. Myśliwy zatrzymał się, gdyż tam



właśnie czekał na niego inny myśliwy. Ten drugi miał grzmiący kij. Czekając widocznie długo, postawił go na ziemi i oparł o drzewo. W śniegu został wyraźny odcisk.

– I co się stało dalej? – spytał Paul.

– Myśliwi nie pozostali na miejscu. Poszli długimi krokami razem na południe. Brat Shemágonisha szedł za nimi jeszcze tylko przez krótki czas. Potem wrócił. Oni spieszyli się i mieli przed sobą daleką drogę.

– Skąd mój czerwonoskóry brat to wie?

– Szli długim krokiem. Wszyscy Uhnishenáhbag, jeśli mają przed sobą daleką drogę, stawiają długie kroki.

– Czy Neecarnis wie, do jakiego należą plemienia? Czy zbadał dokładnie kształt rakiet?

– Tak. Neecarnis uczynił to. I wie, że nie są to ani Odżibueje, ani Cree. Wie również, że nie należą do Howyzask. Obydwaj myśliwi mieli bardzo szerokie śnieżne mokasyny. Pochodzą z południa. Tam śnieg jest większy i szerokie mokasyny lepsze. Nie zapadają się głęboko. Paul patrzył z zadumą na swego młodego przyjaciela.

– A czy mój brat wie może, jaki grzmiący kij posiadał drugi myśliwy?

Neecarnis skinął głową:

– On to wie również. Grzmiący kij stał oparty o drzewo, a drzewo pokrywał śnieg. W miejscu, gdzie stał tamten kij, Neecarnis postawił swój. Ślad pasował dokładnie. Grzmiące kije były takie same. – Po tych słowach zapanowało milczenie. W końcu Paul raz jeszcze popatrzył uważnie na przyjaciela i spytał:

– Mój brat szedł długo tropem najpierw jednego, a potem dwu myśliwych. Jak myśli, co sprowadziło ich w pobliże faktorii?

– To wywiadowcy – odparł bez namysłu młodzieniec. – Oni przyszli zobaczyć, czy Shemágonish jest w faktorii. Sprawdzili i odeszli. Ale wrócą.

Tak, to było pewne. Nie zadawali by sobie trudu sprawdzania, czy biały kupiec znajduje się w swym dużym wigwamie, gdyby nie zamierzali wrócić. I to nie we dwójkę. Tam, gdzie spieszyli, czekało ich zapewne więcej. Chyba że Neecarnis mylił się. Mówił o jednej strzelbie. Ale znaczyło to, że widział tylko ślad tej jednej. Gdyby zauważył coś, co wskazywałoby na istnienie drugiej, powiedziałby o tym. W takim razie pewno drugiej nie było. Ten, który pojawił się na drugim brzegu zamrożonego jeziora, był bez strzelby. Ten, który czekał w bezpiecznym, odległym o przeszło pół dnia drogi miejscu, pozostał tam ze strzelbą. Może w takim razie wywiadowcą był tylko jeden?

– Czy Neecarnis zna taki wypadek, że na zwiady wychodzi dwu tropicieli, ale do nieprzyjaciół próbuje podkraść się tylko jeden?

– Neecarnis myślał nad tym całą powrotną drogę, ale nie potrafi sobie tego wytłumaczyć. Czy może Shemágonish to wie?

– Nie. Nie rozumie tego również. Rozumiałby, gdyby postąpili tak biali. Czy Neecarnis jest pewien, że obydwa zwiadowcy to Uhnishenáhbag?

Indianin pochylił się do przodu i z nagłym ożywieniem wpatrywał w twarz białego.

– Tego Neecarnis nie jest pewien. Gdy dotarł tam, gdzie oczekiwał drugi myśliwy, było już ciemno. Ślady oglądał w świetle księżyca. Mógł czegoś nie zauważyć. Ale”. Tak, ale zauważył coś, czego również nie rozumiał początkowo, a co zaczyna rozumieć teraz – tu przerwał na chwilę, po czym krótko wyjaśnił: – Drugi zwiadowca, ten który miał grzmiący kij, nie stawiał tak długich kroków jak pierwszy, chociaż miał długie nogi. I jego śnieżne rakiety zaważyły o siebie w czasie marszu. On nie był Indianinem.

A więc jednak. Ten drugi nie był czerwonoskórym. Strzelbę miał taką samą jak Chásekah-Nébowin, o którym mówił Długie Ucho. Dwie takie same strzelby w tych odległych stronach, strzelby, które nie pochodziły z magazynu pana Fleury’ego, a mogły być wzięte jedynie z magazynów wojskowych. Czyżby wojsko wyruszyło w pościg? Nie. To nie wchodziło w rachubę. Porucznik Gobineau nie wysyłałby w daleką, niebezpieczną drogę dwu lub trzech

żołnierzy, a nie mógł przecież wysłać całego oddziału. Nie, nie wojsko. Zmarszczył gniewnie czoło. Poza wojskiem nikt nie miał prawa go ścigać. I nikt przecież nie wiedział, gdzie rozbije swój zimowy obóz. Chociaż...? To nie było takie pewne, czy nikt. Wiedział wszak Czarna Chmura i mógł powiedzieć Anglikom. Ale Czarna Chmura nie mógł posiadać francuskiej strzelby z ostatniego transportu. Nie był białym. Nie mógł więc być jednym z dwu tajemniczych zwiadowców. Pozostawały te dwie strzelby. Ale jeszcze coś. Trzech białych kupców nie posiadających towarów, których spotkał Chudy Wilk – wódz Howyzask. A więc byli i biali, biali, którzy pytali o niego.

Ślad, jaki pozostawił indiański zwiadowca, a nie myśliwy, jak Paul myślał początkowo, stanowił znak nadciągającego niebezpieczeństwa. Pionowe zmarszczki na czole pogłębiły się.

Necarnis obserwujący go w milczeniu spytał poważnie:

– Złe wieści?

– Niedobre, Neejee! Będziemy mieli kłopoty.

Indianin położył dłoń na rękojeści noża.

– Powiedz, gdzie wróg. Czerwonoskóry przyniesie jego skalp.

– Shemágonish nie wie, gdzie wróg. Nie wie, ani kiedy, ani skąd nadejdzie. I nie zna go jeszcze. Jego brat musi mieć oczy i uszy szeroko otwarte cały czas. Teraz jednak pora spać. Późno. Na dworze burza. Dzisiaj wrogowie nie przyjdą.

Zamieć trwała kilka dni, w czasie których nie wychodzili prawie z baraku. Śnieg sypał tak gęsto, że w ciągu krótkiego czasu przykrył wszystkie ślady i ścieżki leśnego zwierzaka oraz ślady pozostawione wokół przez mieszkańców faktorii. W ciągu tych dni mieli sporo czasu, toteż zrobili porządek w magazynie przygotowując go na przyjęcie następnych partii futer. O grożącym faktorii niebezpieczeństwie nie rozmawiali więcej. Zresztą Paul przemyślał całą sprawę, i doszedł do wniosku, że na razie nic im nie grozi.

Myśląc nad tym w czasie pracy uczynił następujące założenia: jeżeli jakiś szpieg wyśledził jego odjazd z towarami z Trois Rivières i doniósł o tym porucznikowi, to ewentualna pogoń musiałaby doścignąć go jeszcze jesienią lub najpóźniej przed zamarznięciem rzek. I pogoń taka musiałaby składać się co najmniej z kilku lub kilkunastu doświadczonych białych mężczyzn. Taka grupa byłaby oczywiście znacznie silniejsza od niego. Skoro więc nie zaatakowała go wtedy, gdy tu przybył, to znaczy, że nie chodziło jej o towary, lecz o futra. Pozwolono mu, by nie podejrzewając niczego skupował futra od Indian. Należało się więc spodziewać, że taki stan rzeczy będzie trwał nadal. Jeżeli ktoś rzeczywiście wyruszył w pogoń, to pozwoli, by samotny kupiec wymienił wszystkie towary na futra. I dopiero wtedy spróbuje zdobyć cały, gotowy ładunek. Tak musieli myśleć Francuzi i podobnie angielscy kupcy znad Zatoki Hudsona. Zwłaszcza że mieli towarów znacznie więcej niż kupcy francuscy i to towarów lepszych. Jeśli więc coś zamierzali, im również bardziej opłacało się zdobycie futer. A tych mogli się tu spodziewać dopiero po spłynięciu lodów, kiedy wyprawiwszy skóry Indianie ruszą ze swych zimowych obozowisk. Miał więc jeszcze sporo czasu na obmyślenie sposobów zaradzenia złu.

Necarnisa lub – jak go niekiedy nazywał – Neejee był pewien. Nie krył się więc ze swymi domysłami. Indianin, który od kilku dni na najmniejszy szelest za ścianą sięgał po nóż, uspokoił się i ponownie rozchmurzył twarz. Nie zaniedbał jednak zwykłej ostrożności i każdego dnia, mimo chłodu, sporo czasu spędzał na strychu obserwując przez szpary między belkami najbliższą okolicę.

Na szczęście śnieżycy nie przeszkadzała specjalnie obydwu mieszkańcom baraku. Drewna na opał mieli pod dostatkiem. Mieszcząca się na strychu spiżarnia zaopatrzona była dobrze. Uszczelnione gruba warstwą mchu, a w niektórych miejscach również pakułami, ściany izby chroniły przed panującym na zewnątrz mrozem. Utrzymywany bez przerwy ogień ogrzewał izbę, w której z konieczności przesiadywali teraz całymi godzinami.

Pracy wprawdzie nie mieli dużo, ale też nie próżnowali. Przewidując, że później na zajęcia

te mogą nie mieć czasu, Paul wyciągnął z magazynu sporych rozmiarów sieć i kilka dni z rzędu poświęcił na staranne jej obejrzenie i naprawienie. Nie była potrzebna teraz, ale wiadomo było, że wraz z ustąpieniem lodów trzeba będzie nałowić sporo ryb, potrzebnych w dalekiej powrotnej podróży.

Neecarnis sieci nie dotykał, za to cały wolny czas wykorzystywał na przygotowanie haczyków na duże ryby, które do sieci wpadały bardzo rzadko. Sobie tylko znanymi sposobami długie, zajęcze kości skokowe, gromadzone skrzętnie przez całą zimę, rozłupywał na cienkie drzazgi, ostrzył i przemyślnie wiązał do grubego, mocnego sznurka. Niektóre haczyki były niewielkie, delikatne, inne masywniejsze, cięższe, z grotami tak długimi, jak kolce niektórych akacji. Kilkadziesiąt największych sporządził z mocnych orlich szponów lub pazurów niedźwiedzia. Te były przeznaczone na dużego łososia i na jesiotra.

Czasami przy pracy gawędzili, niekiedy godzinami pracowali w milczeniu. I właśnie jednego z takich niemych wieczorów Neecarnis pochłonięty pozornie wiązaniem sznura uniósł raptownie głowę i począł pilnie nasłuchiwać. Na pytające spojrzenie odparł krótko:

– Nie ma wiatru. Śnieg nie pada! – I rzeczywiście Paul uświadomił sobie w tym momencie, że od dłuższego czasu z dworu nie docierają już odgłosy burzy.

Wspólnymi siłami odsunęli drzwi wejściowe zasypane głęboko śniegiem i wyszli na zewnątrz.

Zza postrzępionych chmur na wyiskrzzone gwiazdami niebo wypłynął księżyc zalewając uśpioną pod głębokim kobiercem śniegu ziemię łagodnym, jasnym światłem. Noc była widna. Na tle białego śniegu ciemniejszą plamą odcinała się jedynie ściana wysokiego boru. Z jej głębi dobiegł przytłumiony, daleki głos białej sowy. Neecarnis cofnął się w stronę drzwi i szepnął z przejęciem:

– Puszczyk zły. Rozmawia z duchami. Sprowadzi nieszczęście. Paul spojrzał na niego z ciekawością.

– Dlaczego mój brat mówi, że kookookuhoo<sup>64</sup> sprowadzi nieszczęście? Nigdy tak nie mówił, gdy słyszał głos sowy.

– Kookookuhoo wydaje różne głosy. Dzisiaj zwołuje złe duchy. W czasie gdy padał śnieg, duchy odeszły i skryły się. Kookookuhoo przez wiele dni była sama. Jest zła. Będzie szkodzić. Zawsze tak czyni, gdy na dłużej opuszczają ją duchy.

– Ale przecież sowa to mądry ptak i dobry. Wszyscy Indianie w to wierzą.

– Mądry, ale czasem zły – Neecarnis powtórzył z głębokim przekonaniem. Po tych słowach wycofał się do baraku. Paul uczynił to samo. Mimo że nie rozumiał obaw swego przyjaciela, zamknął starannie drzwi i długo nie mógł zasnąć.

Noc jednak przeszła spokojnie, a jasne światło dnia musiało zapewne rozproszyc pochmurne myśli jego przyjaciela, bo zaraz po śniadaniu nałożył śnieżne rakiety i zniknął między drzewami. Gdy wrócił przed wieczorem, dźwigał wielkiego, tłustego bobra, którego spłaszczony ogon przyrządzili sobie na kolację. W ciągu najbliższych kilku dni nie działo się nic nadzwyczajnego.

Pewnego przedpołudnia Paul wyszedł po wodę. Napelniwszy wiadro spojrzał na jezioro. Od zachodniego brzegu ciągnęło kilku mężczyzn. Szli jak zwykle Indianie jeden za drugim, pozwalając, by przewodnik przecierał ścieżkę. Nie spieszyli się i mimo znacznej odległości poznał, że musieli być zmęczeni. Do faktorii mieli dobre kilkaset kroków. Podniósł z ziemi wiadro i wrócił do baraku.

– Mamy gości – rzucił od progu.

Indianin spokojnie sięgnął po strzelbę i wysunął się na zewnątrz. Gdy w chwilę potem wrócił, minę miał niepewną.

– No – rzucił Paul – co za jedni?

---

<sup>64</sup> Czytaj: Ku-ku-ka-hu – sowa.

Neecarnis pokręcił niezdecydowanie głową:

– Nietutejsi. Nie niosą futer i jest z nimi jeden biały.

– Mój brat nie myli się?

– Nie. Neecarnis widział dobrze. Siedmiu dzikich i jeden biały.

– Czy mają grzmiące kije? – spytał Paul.

– Nie. Dzicy nie mają. Ma tylko biały. Paul skierował się w stronę drzwi, lecz nim zdołał uczynić dwa kroki, Neecarnis wstrzymał go.

– Niech Shemágonish nie wpuszcza ich do izby i weźmie strzelbę.

– Strzelbę? – zdziwił się Paul. – Czemu?

– To obcy i nie mają futer – rzucił pospiesznie chłopak – a puszczyk ostrzegał.

– Hm”. – Paul cofnął się i zdjął z kołka broń. Obcy jednak nadchodzili spokojnie. Gdy znaleźli się kilkadziesiąt kroków od faktorii, do przodu wysunął się odziany podobnie jak pozostali mężczyzna niosący strzelbę. Był trochę wyższy od innych i miał długą, jasną brodę. Był niewątpliwie białym. Zbliżał się wolno, ciężko, z trudem rozgarniając głęboki śnieg. Przeszedł ostatnie kilka kroków dzielące go od brzegu i wydostawszy się na ścieżkę udeptaną przez mieszkańców faktorii uniósł rękę w powitalnym geście.

Paul z pewnym wahaniem wykonał podobny gest. Broń opuścił do dołu. Tamci nie trzymali broni w ręku. Gdy podeszli na kilka kroków, biały zatrzymał się i zrzucił z głowy kaptur. Chwilę stał sapiąc głośno, w końcu uśmiechnął się.

– A więc dzicy nie kłamali. Biały kupiec założył w tych stronach faktorię. Nosi pan imię Shemágonish, prawda?

Paul uśmiechnął się również.

– Prawda. Niech pan wejdzie. Pańskich przyjaciół nie zapraszam do środka, ale – tu ponownie uśmiechnął się – nie ma takiego zwyczaju. Mogą jednak rozgościć się w pobliżu.

Przybyły kiwnął głową.

– Wiem. Nie musi pan mówić. Zaraz im powiem – z tymi słowy zwrócił się do swych, jak można było sądzić, przewodników i powtórzył im decyzję gospodarza.

Indianie podążyli na skraj modrzewiowych zarośli. Biały schylił się, zdjął i otrząpał rakiety śnieżne i na zapraszający gest gospodarza wszedł do izby. Tu zrzucił ciężkie futro i grubą futrzaną odzież. Pozostał tylko w skórzanych, obcisłych spodniach i miękkim, łosiowym kaftanie. Usiadł na podsuniętym mu stołku i jakiś czas oddychał ciężko.

Paul przyglądał mu się w milczeniu. Przybyły sprawiał wrażenie rzeczywiście solidnie zmęczonego. Teraz, po zrzuceniu wierzchniej odzieży, wydawał się nieco młodszy. Mógł liczyć najwyżej czterdzieści kilka lat, o czym świadczyły pojedyncze, srebrne nitki we włosach i długo nie strzyżonej brodzie. Sylwetka jego, chociaż pozornie szczupła i lekko przygarbiona, wydawała się jeszcze dosyć krzepka. To, co przykuwało wzrok, to duży drewniany krzyż na piersi i długi opasujący jego biodra czarny różaniec. Paul przeniósł wzrok nieco wyżej. Tak. Na pochylonym, odsłoniętym w tej chwili karku, jaśniejszą plamą odcinała się biel kołnierzyka. Te trzy istotne szczegóły wskazywały, że niespodziewany gość należy do bractwa zakonnego. Stwierdziwszy ten fakt, zdjął z ognia kociołek gotującej się zupy i postawił na stole. Do kubków nalał trochę rumu i usiadł obok gościa.

Ten wyprostował przygarbioną postać i uśmiechnął się do gospodarza, po czym bez słowa przysunął sobie kociołek i sięgnął po łyżkę przytwierdzoną do pasa. Jadł powoli, ale widać było, że z każdą łyżką gorącej strawy odzyskuje siły. Twarz jego straciła swą poprzednią siłą bladłość. Ruchy stały się bardziej energiczne.

Nasyciwszy głód, otarł brodę i wąsy i odsunął kociołek.

– No, nakarmił mnie pan prawdziwie po chrześcijańsku. Na dzisiaj dosyć.

Paul wskazał oczyma kubek.

– Trochę rumu nie zaszkodzi księdzu. Rozgrzewa krew. Gość jednak potrząsnął przecząco głową.

– Nie, synu. Rozgrzała mnie dostatecznie zupa. Czuję się już dobrze. Szliśmy całą noc i straciłem trochę sił.

– Z daleka?

– Tak, z dosyć daleka. Ale nie przedstawiłem się jeszcze. Brat Albert z misji St. Ignace. Pewnie dziwisz się, że przyciągnąłem w te strony?

– Tak, trochę. Chociaż słyszałem, że wielu księży odbywa długie wyprawy i że interesuje ich kraj. Księża pewno również, chociaż pora nie jest odpowiednia do podróżowania.

– Masz rację. Pora nie najlepsza. Ale latem w misji jest sporo pracy. Trudno się ruszyć. Zimą łatwiej.

– To ksiądz wyruszył zimą?

– Nie. Wyruszyliśmy pod koniec września, ale tak jakoś zeszło. To rozległy kraj.

– Daleko ksiądz dotarł?

– Daleko, synu. Doszedłem, a właściwie dopłynąłem tam, gdzie dotarło niewielu białych.

– Czyżby do zachodniego morza, o którym mówi się tyle na wschodzie? – spytał z zaciekawieniem Paul.

– Nie. Do zachodniego oceanu nie dotarłem, ale daleko stąd na zachodzie widzieliśmy wielkie jezioro. Chyba jeszcze większe niż jezioro Tracy.

– Mówi ksiądz o wielkim jeziorze na zachodzie?

– Tak, synu. Jest takie jezioro. Nie jest szerokie, ale jest bardzo długie. Ciągnie się z południa na północ i trzeba płynąć prawie dwa tygodnie, aby z jednego brzegu dostać się na drugi.

– Czy to daleko od jeziora Tracy, proszę księcza?

Gość przyglądał brodzie i zastanawiał się.

– Może to nie jest tak bardzo daleko, ale szlak jest trudny. Zaczyna się na zachodnim brzegu jeziora Tracy i biegnie przez wiele strumieni, rzek i różnych jezior na zachód. Jest bardzo kręty. Łodzie trzeba przenosić często między jednym strumieniem, a drugim. Płynęliśmy prawie półtora miesiąca. Wszędzie puszcza i trzęsawiska. Ale może jest jakaś prostsza i krótsza droga.

– I ksiądz tak cały czas sam?

– Nie. Był ze mną jeszcze brat Anzelm i pan Duval zatrudniony w naszej misji. Nad tym zachodnim jeziorem rozłączyliśmy się. Oni wracają południową stroną. Ja północną. W ten sposób uda się poznać większy kawałek kraju. – A nie obawiał się ksiądz wędrować tylko z indiańskimi przewodnikami?

– Nie, synu. Czegóż miałbym się obawiać? Towarów nie mam. A ta jedna strzelba to nie majątek. Gdyby zaszła potrzeba, oddałbym ją. Zresztą nad sługą bożym zawsze czuwa opatrność.

– Ale przecież tych siedmiu Indian nie wędruje chyba z księdzem od opuszczenia misji?

– Oczywiście, że nie. Gdzież ja ciągnąłbym swoje owieczki taki kawał drogi. Przewodników zmieniałem kilkakrotnie. Ci tutaj – wskazał ręką ścianę – prowadzą mnie od dwu tygodni. Z misji zabraliśmy trochę koralików i kilkadziesiąt noży. Miałem więc czym zapłacić za przysługę. Tym, których wynająłem teraz, obiecałem zapłacić w misji. Droge znają. Doprowadzą mnie. To dobrzy ludzie, chociaż trochę dzicy.

– Nie miał ksiądz kłopotów z porozumiewaniem się?

– Nie, synu. Na całym szlaku aż do owego jeziora wszyscy posługują się podobnym językiem i nawet jeśli używają go trochę inaczej, można zrozumieć wszystko.

– Mam nadzieję, że ksiądz zatrzyma się przynajmniej kilka dni?

Gość pokręcił głową.

– Nie mogę. Odpocznę parę godzin i muszę ruszać dalej. Obiecałem przeorowi, że będę przed spłynięciem lodów, chociaż pewno nie zdążę. A co u ciebie? Zakopałeś się daleko na północ od wszelkich szlaków i żyjesz tu widzę sam. Czy chociaż się opłaci?

Paul skinął głową.

– Myślę, że opłaci się. Chociaż trudno przesądzać wszystko z góry. Teren niezły.

– No – roześmiał się brat Albert – przewodnicy mówią, że dobry. Zresztą wszędzie widać ślady zwierzyny. Musi jej być mnóstwo. Pewno wielu Indian w okolicy poluje dla ciebie?

– Tak. W przeciwnym wypadku nie miałbym tu czego szukać. Ale jak ksiądz zapewne wie, futra będą dopiero wiosną.

Gość pokiwał głową.

– Dzicy me niepokoją cię? Jesteś tu, jak widzę, tylko z jednym pomocnikiem? A pewno na składzie masz sporo różnych rzeczy, w tym rum? Nie obawiasz się, że może ich to znęcić?

– Wszędzie istnieje ryzyko, proszę księdza. Nie narażam się bardziej niż ksiądz. Tylko że ja dla futer. A ksiądz w jakim celu?

– Widzisz, synu, cele nasze są tylko pozornie różne: w rzeczywistości spełniamy ten sam obowiązek. Ty dostarczasz królowi futra, ja wiedzę o tym kraju, wiedzę potrzebną naszym następcom po to, by mogli pełniej i lepiej niż my korzystać dla dobra kościoła i króla z niezmierzonych bogactw tej ziemi. Kraj jest ogromny, a nasza wiedza o nim niedoskonała. Towarzystwo Jezusowe służąc Bogu stara się również służyć ludziom.

– To trudna praca, proszę księdza. Znam Indian. Nie tak łatwo trafić do nich ze słowem bożym. Każdy ma własnego ducha, do którego się modli. Im bóg białych nie jest potrzebny.

– Potrzebny jest, synu. Oni nie wiedzą tylko jeszcze o tym. Nadejdzie czas, choć może nie tak szybko, że zrozumieją. Ale nie chcę cię przekonywać. Widziałem koło twojej faktorii krzyż. Czy właśnie oni byli sprawcami nieszczęścia, jakie się tu wydarzyło?

– Nie ojczu. Nie oni-tu na chwilę zamilkł.– Może czegoś ksiądz potrzebuje?

Gość pokręcił przecząco głową i pograżył się w cichej zadumie, a może modlitwie. Ani Paul, ani Neecarnis, który przez cały czas nie wypowiedział słowa, nie przeszkadzali mu.

Misjonarz przesiedział tak dobrą godzinę. W końcu wstał wolno i począł się ubierać.

– Czas na mnie, synu. Dziękuję za dobrą zupę i ciepły ogień. Odpocząłem.

Paul podniósł się również.

– Może jednak ksiądz czegoś potrzebuje?

– Mam wszystko co trzeba, synu. Ale może potrzebują czegoś moi przewodnicy. Pójdę i spytam ich – z tymi słowy wyszedł na zewnątrz. Brnąc w głębokim śniegu podszedł do Indian odpoczywających przy ognisku i rozmawiał z nimi jakiś czas. Wymowne gesty dzikich wskazywały, że zgadzają się z nim. Szybko zasypali śniegiem ognisko. Paul obserwował ich uważnie. Rzeczywiście różnili się od tutejszych Indian. Tu byli obcy, ale wiedział, skąd pochodzą. Z zadumą patrzył na zbliżającą się grupę. Stał obok otwartych drzwi i czekał. Podeszli na dwa kroki. Ksiądz przystanął, spojrzał na kupca i powiedział dobrotliwie:

– Oni proszą cię, synu, o trochę soli”.

W tym samym momencie stała się rzecz nieoczekiwana. Niewinnie wyglądający dzicy rzucili się na młodzieńca. Z zewnątrz izby huknął strzał. Nie wiadomo skąd i kiedy wydobyty nożem Paul pchnął najbliższego napastnika, ramieniem odtrącił ciężki tomahawk i pchnął ponownie. Niczym wąż zwinął się pod kolbą wzniesionego karabinu i ruchem szybszym niż myśl zatopił żelazne ostrze w piersi rzekomego zakonnika. Usłyszał jeszcze jeden huk strzelby i kątem oka dostrzegł, jak trafiony przez Neecarnisa napastnik trzepocząc rękoma osuwa się w śnieg. Trzech pozostałych przy życiu uciekało w stronę lasu.

Odstąpił krok do tyłu i pogonił za nimi wzrokiem. Nie byli już groźni. Schylił się i zaczerwienione ostrze noża wytarł w śnieg. Jeszcze raz popatrzył za uciekającymi i spojrzał na leżącego obok białego. Żył jeszcze. Miał przymknięte powieki i oddychał ciężko.

Paul przyklęknął obok, podniósł go z ziemi i zaniósł do izby. Wprawnymi palcami odchylił ostrożnie kożuch i bluzę na jego piersi. No cóż”.

Tamten zaklął cicho i z wolna otworzył oczy.

– Domyśliłeś się?

– Uhm”. – Paul skinął głową.

– Od początku?

– Tak. Od początku”.

– Po czym poznałeś?

– Wasses. Nie powinienes ich był zabierać z sobą. Jeden biały i siedmiu Wasses to za dużo. Nikt nie dałby się na to nabrać.

– Ale grałeś. Po co”? Mogłeś załatwić mnie tu w izbie?

– Mogłem, ale nie byłem pewien, czy przyszedłeś tylko na zwiady, czy po to, by zabić.

– I myślisz, „żze chchciałem zzabić? – głos leżącego był coraz słabszy.

– Nie, nie myślę tak. Ty nie chciałeś, ale Wasses nie wytrzymali. Ich nie obchodzą futra. Oni chcieli zdobyć towary. Ty chciałeś tylko zdobyć pewne informacje i przekazać swoim. Nie jesteś księdzem, chociaż zagrałeś nieźle.

– Tak”. – ranny zakrztusił się. Czerwona strużka spłynęła z kącika ust na jasną brodę. Paul popatrzył na niego z zadumą i powiedział cicho:

– Nie mogę ci pomóc. Umrzesz niedługo. Pochować cię zwyczajnie czy postawić krzyż?

– Postaw. Nie wierzę, ale krzyż nie zaszkodzi. Nie jesteś taki zły, jak myślałem.

– Ty pewno również nie jesteś taki zły. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Umierający, któremu coraz trudniej było mówić, poruszył przecząco głową i przez chwilę oddychał głośno. Gasnącym wzrokiem wodził po izbie. Widać jednak przezwyciężył ogarniającą go słabość, bo spojrzał nieco przytomniej i odezwał się ponownie:

– Słuchaj i nie przerywaj. Mam już niewiele czasu. Nie byłem nad zachodnim jeziorem. Słyszałem tylko o nim od Radissona. Idę znad Zatoki Hudsona. Gdy spłyną lody, ruszy przeciwko tobie cała wyprawa, ze trzydziestu chłopów. Wiadomość o tobie przyniósł Czarna Chmura. Był w Trois Rivières i podsłuchał dwu białych i dzikiego. Jeden z białych jest siostrzeńcem komendanta fortu. Poprowadzi na ciebie inną grupę dwudziestu zabijaków. Drogę obiecał pokazać mu dziki, którego nazywają La Soudaine Mort. Nie wiem kiedy i gdzie zamierzają cię dopaść, ale strzeż się.

Paul położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

– Dziękuję. Żałuję, że to właśnie ja”.

– Zasłużyłem na taki koniec. Ale krzyż postawisz?

– Postawię obok tamtego.

Ranny przymknął powieki i nie wypowiedział więcej ani słowa. Pierś jego podnosiła się coraz ciężej. Oddech stawał się coraz słabszy. Zmarł w godzinę później.

Mimo szczypiącego mrozu obaj młodzieńcy wycięli siekierami podłużny dół w zamrzniętym gruncie, złożyli w nim zwłoki i przysypali ziemią i śniegiem. W miejscu, gdzie spoczywała głowa, Paul postawił krzyż. Ciała czterech Wasses złożyli do następnego dołu na skraju modrzewi, gdzie niedawno jeszcze płonęło ognisko Indian.

Wróciwszy do baraku, Paul odrzucił siekiere i spojrzał na swego towarzysza, który właśnie oglądał strzelbę nieżyjącego.

– Skąd brat Shemágonisha wiedział, że to wrogowie?

– Neecarnis mówił: biała sowa gniewa się – sprowadzi nieszczęście. Gdy zobaczył Wasses i patrzył na czarownika bladych twarzy, nie wątpił, że przysłała ich zła kookookuhoo.

– Na czarownika? On kłamał dobrze. Mógł oszukać każdego.

– Nie, nie każdego. Shemágonish myli się. Czy widział kiedyś, by biały czarownik zanim zacznie jeść zupę, nie wykonał nad nią magicznego znaku, takiego samego jaki nosi na piersi?

– Rzeczywiście, biały takiego znaku nie wykonał ani razu. Neecarnis umie patrzeć. Jego brat nie zwrócił na to uwagi, chociaż dostrzegł inne rzeczy.

– Niech Shemágonish powie.

Paul przysunął zziębnięte stopy do ognia i namyslał się chwilę.

– Biały, którego przyprowadzili Wasses, miał na szyi taki sam kołnierz, jaki noszą

wszyscy księża. Czy kołnierz ten był pobrudzony?

– Nie. Był biały i czysty – odparł Indianin.

– A czy byłby czysty, gdyby nosił go pod skórzaną bluzą i futrem przez wiele Księżyców, kiedy odbywał podróż?

– Nie. Kołnierz musiałby się pobrudzić i podrzeć.

– Właśnie. Neecarnis ma rację. Kołnierz musiałby się zniszczyć. A skoro nie zniszczył się, to znaczy, że biały podający się za księdza włożył go na szyję niedawno. Włożył tylko po to, by pokazać go nam. Mój brat oglądał uważnie grzmiący kij białego. Czy spostrzegł coś dziwnego?

– Nie. Neecarnis nie zauważył niczego.

– To niech jeszcze raz popatrzy na część drewnianą tej strzelby. Czy dostrzega tam może coś, czego nie widział na innych?

– Tak, na kolbie jest kilka nacięć.

– Czy mój brat wie, co one oznaczają?

– Neecarnis wie. Jego bracia robią również takie nacięcia albo na kolbie strzelby, albo na rękojeści noża. Każde nacięcie oznacza u nich jednego zabitego wroga.

Paul skinął głową.

– Brat Shemágonisha mówi słusznie. Wielu wojowników nie tylko wśród Indian, lecz również wśród białych nacina takie znaki na swej broni. Ale czynią to wojownicy, nie księża. Ten, kto na swej strzelbie nosi takie znaki, nie może być księdzem. Shemágonish zauważył te znaki jeszcze wtedy, gdy strzelba znajdowała się na plecach przybyłego, a potem w izbie. Ale przyjrzał się także samemu grzmiącemu kijowi. Bracia Shemágonisha nie używają takich. Mają takie ich wrogowie znad Zatoki Hudsona. Toteż Shemágonish wiedział od początku, że biały jest angielskim wywiadowcą.

– Neecarnis widzi, że jego brat jest chytry jak lis i nie da się oszukać.

– Neecarnis też jest chytry. Ani razu nie oddalił się od swej broni i nie przestał pilnować obcego. Shemágonish to widział. Słyszał też śpiew kuli, która uratowała mu życie. Nie zapomni tego.

Neecarnis machnął ręką dając w ten sposób poznać, że nie przywiązuje większego znaczenia do swego czynu. Zbliżył jednocześnie trzymaną strzelbę do oczu i przyjrzał się jej uważniej.

– Czy brat Neecarnisa myśli, że to dobra broń?

Paul ujął strzelbę i postawił obok swojej.

– Lufa dłuższa o dwie dłonie wojownika. Strzelba musi być bardziej celna. To dobra broń – dodał z przekonaniem. – Można strzelać dalej niż ze zwykłej. Czy mój brat pragnąłby ją mieć?

Indianin zaprzeczył żywo.

– To łup wojenny. Neecarnis nie zdobył go. Zresztą lubi swój dotychczasowy grzmiący kij. Nie chce go zmieniać. Wyczyści tylko dobrze, aby był gotów, gdy nadejdą wrogowie. Kiedy mogą przyjść? Brat Shemágonisha nie zrozumiał dobrze wszystkich słów konającego. I dlatego raz mówił, że trzydziestu, a drugi raz wymienił liczbę tylko dwa razy po dziesięć?

– Wrogów jest dwóch. Jeden czai się nad Zimną Słoną Wodą i przybędzie, gdy odpłyną lody. Ten wróg przyprowadzi trzy razy po dziesięciu białych mężczyzn. Drugi wróg podążył tropem Shemágonisha i jego czerwonoskórych braci aż z Trois Rivières. Zabrał z sobą dwa razy po dziesięciu wojowników. Przybędzie od strony południowej, ale Shemágonish nie wie kiedy. Myśli jednak, że również wtedy, kiedy stopi się śnieg, a lód opuści rzeki i jeziora.

– Czy mój biały brat wie, jak zniszczyć tych dwu wrogów? – spytał Neecarnis.

– Nie, Neejee. Shemágonish nie myślał jeszcze o tym. Ale pomyśli. – Ponownie wziął w rękę zdobyczną strzelbę i obejrzał ją dokładnie. Nie była nigdzie uszkodzona. Postanowił wypróbować ją przy najbliższej okazji. Jego czerwonoskóry przyjaciel uspokojony, że



wrogowie nadejdą trochę później, zabrał się za czyszczenie swej strzelby i jednego z dwu długich pistoletów, tego właśnie, z którego kilka godzin temu zabił drugiego wroga. Po usunięciu z lufy ziarenek nie spalonego do końca prochu i ciemnego nalotu nabił pistolet ponownie. W pół godziny potem spał spokojnie z podkurczonymi nogami.

Paul jednak nie mógł zasnąć długo. Myślał o słowach wypowiedzianych przez szpiega. O jego przedśmiertnym wyznaniu i ostrzeżeniu. Nie zastanawiał się nad nadciągającym niebezpieczeństwem. Wiedział, że gdy przyjdzie czas, znajdzie sposób, by mu zaradzić. Gnębiło go, że w słowach konającego nie mógł znaleźć najmniejszej wskazówki pozwalającej ustalić, kim był tajemniczy przewodnik Girarda, noszący imię La Soudaine Mort. Nagła Śmierć. Nie mógł przypomnieć sobie żadnego indiańskiego wojownika, który nosiłby takie imię. Może zresztą wśród swoich używał całkiem innego. Musiało wtedy brzmieć zupełnie inaczej i mogło oznaczać coś innego! Nie wiadomo było, skąd pochodził ani do jakiego należał plemienia. Z opowiadań myśliwych mógł znać położenie faktorii i za dobrą opłatą przyprowadzić tu Girarda i jego ludzi.

Znużony myślami w końcu zasnął.

Z samego rana Neecarnis poszedł śladami Wasses, którym udało się umknąć poprzedniego dnia. Paul zaś postanowił wypróbować zdobyczną strzelbę. I nie zawiodł się. Broń musiała być wykonana przez dobrego rusznikarza. Była dobrze wyważona i mimo dłuższej lufy, lżejsza od strzelb francuskich. Na prawie sto trzydzieści kroków ołowiany pocisk z łatwością wchodził w twardy konar starego dębu. Z odległości stu pięćdziesięciu kroków przebijał potrójną warstwę grubej, wysuszonej, niedźwiedziej skóry. Przy wystrzale odrzut strzelby nie był zbyt silny, a kolba nie uderzała w ramię strzelającego. Spust chodził miękko. Twarda, żelazna zadra kurka uderzająca o dobrze zamocowany krzemień dawała długą, silną iskrę zapalającą proch. Paul oddawszy kilka strzałów cmoknął z zadowolenia. Broń biła mocno i celnie.

Wrócił do izby i oczyścił ją starannie. Obejrzał duży, bawoli róg z prochem, który należał również do szpiega i mały rozek, spełniający rolę miarki. Kończył właśnie nabijanie broni, gdy z dworu rozległo się głośne wołanie. Odsłonił otwór i spojrzał na zewnątrz. W odległości dziesięciu kroków od baraku stał indiański myśliwy, a obok niego dwie okutane w futra kobiety. Jedna z nich przymocowała na plecach nosidła, z których wychylała się pociesnie dziecięca główka. Myśliwy trzymał w ręku niewielką wiązkę zajęczych skórek i pewnie niedawno upolowanego rudego lisa. Był jeszcze młody. Mógł liczyć nie więcej niż trzydzieści lat.

Paul otworzył drzwi.

– Czego chce mój czerwonoskóry brat? – spytał stając w progu.

– Dziki Ryś przyszedł sprzedać futra – odparł myśliwy.

– A Dziki Ryś przyniósł je z sobą?

– Przecież biały kupiec widzi.

Paul spojrzał raz jeszcze na lisa i zajęcze skóry i roześmiał się.

– Mój brat myli się. Biały kupiec nie widzi żadnych futer, a te – wskazał na zajęcze skóry – nie są mu potrzebne. Kupuje inne. Jeśli Dziki Ryś nie ma ich, nic tu nie sprzeda. Może sobie iść.

Indianin przestępował z nogi na nogę, w końcu oświadczył stanowczo:

– Dziki Ryś nie odejdzie, aż biały kupi skóry. Szedł tu ze swoimi kobietami przez pięć dni. Biały powinien za to zapłacić.

Paul pokręcił przecząco głową.

– Mój czerwonoskóry brat niepotrzebnie się trudził. Niech zabiera swoje żony i idzie stąd. Jest złym myśliwym, jeśli do tej pory nie upolował innych zwierząt.

Czerwonoskóry postąpił parę kroków do przodu i oparł dłoń na rękojeści noża.

– Albo biały kupi skóry – powiedział z groźbą w głosie – albo poczuje ostrze tego noża.

– Czym zajmował się Dzik Ryś przez wszystkie Księżycy Śniegu? – spytał Paul udając, że nie dostrzega gestu myśliwego.

– Dzik Ryś ma dwie żony. Jedzą bardzo dużo. Musiał je ciągle karmić. Ale futra z zajęcia przyniósł. Białły musi je kupić.

– Nie przyjacielu. Nie muszę – zniżył lufę strzelby i odwiódł kurek. – Idź stąd, bo ten grzmiący kij może sam wystrzelić i zrobić ci krzywdę. I nie kręć się w pobliżu. Złe duchy nie lubią takich myśliwych i mogą zesłać na ciebie niedobłą przygodę. Twoje żony musiałyby posmarować sobie twarze popiołem.

Pod groźbą wypowiedzianych słów oraz na widok wymierzonej w niego lufy Indianin cofnął się kilka kroków, a następnie już bez dalszej dyskusji wraz z kobietami zniknął wśród drzew.

Paul rozbawiony przygodą wrócił do izby i odstawił strzelbę.

W godzinę później miał już następnych gości. Tym razem było to trzech myśliwych, którzy na sankach przyciągnęli kilkanaście wiązek futer rysia, kuhy i gronostaja, srebrnych i rudych lisów, norek i piżmaków, a także miękkie, gładkie, pięknie wyprawione futra bobrowe. Odeszli po południu. Zostawili dwie pary sanek. Na trzecich umieścili baryłkę wody ognistej, kilka kawałków różnokolorowych materiałów dla swych kobiet, sporą ilość koralików, farb i nici, trochę igieł, trzy żelazne kociołki, sól, mąkę i cukier. Każdy z nich zatknął za pas długi nóż, a przez ramię przewiesił nową strzelbę. Kupiec nie oszukał ich. Dał dobrą cenę, a ponadto dodatkowo każdemu spory woreczek tytoniu, krzesiwo i na drogę dwa duże płyty wędzonego łososia i duży kawał pieczonego karibu. Byli zadowoleni i zegnali go przyjaźnie.

Nim zniknęli po drugiej stronie jeziora, pojawił się Neecarnis. Był trochę zmęczony i głodny, ale na jego twarzy nie malowała się najmniejsza chmurka niepokoju. Na pytające spojrzenie Paula wyjaśnił, że przebiegł na wschód prawie dwadzieścia mil tropem uciekających Wasses. Na tym odcinku nie zatrzymali się ani razu. Widocznie nie myśleli o zemście. Koło południa natrafił na większą grupę myśliwych Kenishtenog, którzy wraz z kobietami i dziećmi ciągnęli do faktorii. Od nich dowiedział się, że widzieli ślad trzech mężczyzn jeszcze prawie o pół dnia drogi dalej. Kenishtenog mówili, że w faktorii będą następnego dnia. Tak, mają bardzo wiele pięknych futer i wiedzą, że biały kupiec chętnie je weźmie i da dużo podarków.

– Jak myśli mój brat, czy Wasses wrócą do białych nad Zimną Słoną Wodą?

– Neecarnis myśli, że tylko na razie tam uciekają. Potem skierują swe kroki na południe, tam gdzie ich tereny łowieckie. Do białych nie mają po co wracać. Będą się obawiać kary.

Paul myślał podobnie. Przyjaciela i szpiega białych zawiedli i narazili na śmierć. Nie mogli więc u Anglików oczekiwać dobrego przyjęcia. Pewnie więc uczynią tak, jak mówił Neecarnis.

## ROZDZIAŁ X

### Wielki szaman ujawnia swą moc

Futra płynęły do faktorii nieprzerwanym strumieniem. Śnieżnobiałe, delikatne gronostaje, brunatnobrązowe, lśniące sobole z niewielką jasnopomarańczową, a niekiedy białą plamką na podgardlu, prawie jednolicie czarne skunksy, tchórze i srebrzyste lisy mieszały się z futrami norek, wyder, piżmaków i wiewiórek. Długie na przeszło trzy łokcie, dobrze wyprawione szare futra wilcze o szorstkim, długim włosie konkurowały z miękkimi, puszystymi, ale bardzo mocnymi i ciepłymi futrami rysia. Coraz częściej trafiały się futra szarostalowej pumy i niedźwiedzia.

Nad wszystkim jednak dominował bóbr – król kanadyjskich zwierząt. Właśnie bobrowych futer dostarczano najwięcej. Niektórzy myśliwi przynosili trzydzieści, czterdzieści sztuk, ale byli i tacy, którzy ciągnęli na saniach i dźwigali na swych barkach ponad sto, czy nawet sto kilkadziesiąt sztuk. Zdarzały się dni, kiedy Paul wnosił do magazynu po czterysta i więcej cennych futer. Wieczorami i nocami wspólnie z Neecarnisem rozwieszali je na długich, poprzecznych drągach biegnących od ściany do ściany.

Rejon musiał obfitować w ogromne bogactwo zwierząt, skoro już w połowie marca magazyn został wypełniony do połowy. Zaglądając tam kilkakrotnie w ciągu dnia Paul wiedział, że tym razem dostarczy panu Fleury'emu jeszcze większy ładunek niż w roku ubiegłym. Mógł być z siebie dumny. Futra płynęły nie tylko z południa, zachodu czy północy, płynęły również ze wschodu, to znaczy z rejonów leżących niezbyt daleko od wybrzeży Zatoki Hudsona. A ich napływ stamtąd oznaczał, że Indianie wolą handlować z nim, nie z Anglikami. Nie miał wątpliwości, że do Anglików dotrą jedynie resztki tego, czego on nie zdoła skupić. Rozumiał zresztą, że to nie tylko jego zasługa. Ojciec handlował tu poprzednio przez cztery lata i to handlował uczciwie. Indianie poznali go i szanowali. Sława mądrego, starego kupca, który znał dobrze ich mowę i zwyczaje, rozeszła się szeroko. Poznali w tym czasie młodego i również obdarzyli go zaufaniem.

Nadeszła druga połowa marca – Księżyca Karmienia Młodych. Z hukiem karabinowych wystrzałów pękały na rzekach lody. Steżale dotychczas w mroźnym uścisku ciche strumyki w ciągu zaledwie jednej nocy zamieniały się w rwące potoki. Topniejący śnieg, zrazu wąskimi, potem coraz szerszymi językami spływał do jeziora, wypełniał każdy wąwóz, każde zapadlisko i dolinę. Z każdym dniem coraz bardziej kruszał lód w zacisznej zatoczce.

Wreszcie poprzez cienką warstewkę śniegowej pokrywy przebił się delikatny błękitny kwiat, pierwszy zwiastun wiosny.

W ciągu zaledwie tygodnia zniknął biały kobierzec okrywający dotąd ziemię. Z jej brunatnordzawej powierzchni wzniosły się ku słońcu delikatne krzewinki, kępki porostów i niskiego, północnego mchu. Drobne gałązki modrzewia przybrały żółtozielony odcień. W sosnowym borze rozszedł się odurzający zapach żywicy.

Otrzeptała ze śniegu swe pióra biała sowa. Ruda wiewiórka zburzyła zimową zasłonę, która chroniła jej gniazdo przed mrozem i lodowymi porywami Północnego Wiatru. Z otworu dziupli po raz pierwszy wyrzały na świat maleńkie rude główki. Przeciągnął się leniwie niedźwiedź. Trochę ścierpły mi od długiego snu pazurami rozgarnął resztki śniegu

zasłaniające wejście do jego zimowej sypialni i wydostał się na zewnątrz. Oślepiiony blaskiem promieni słonecznych długo przecierał swe niezbyt już widzące stare oczy. Przypomniawszy sobie jednak smak tłustego, różowego mięsa łososi, które wyławiał jesienią w bystrzu pobliskiego potoku, Poczłapał bez namysłu w jego kierunku.

Któregoś dnia w szuwary okalające zatoczkę z szumem skrzydeł zapadło niewielkie stadko kaczek. Paul, który znajdował się właśnie przed barakiem, z przyjemnością słuchał ich głośniego kwakania. Nie miał wątpliwości, że to te same, które spotkał jesienią tuż po przyjeździe. Wtedy odlatywały, i Obecnie wracały, by założyć nowe gniazda. Z uczuciem zazdrości pomyślał, że ptaki miały gdzie wrócić. Miały dla kogo budować dom. Wszyscy mieli. Indianie i biali, zwierzęta i ptaki. Jedynie on nie miał. Obrócił głowę i długo patrzył na widniejący nie opodal podłużny kopczyk i poczerniały od mrozu i zimna krzyż. Od tamtego czasu minął już przeszło rok.

Wstrząsnął niecierpliwie głową i wrócił do baraku. Neecarnis kończył właśnie wiązanie kilku sznurów w jedną długą linę. Na sznurach zwisały luźno nie obciążone jeszcze przynętą haczyki. Skończywszy przygotowania zarzucił zwoje liny na ramię i powiedział żartobliwie:

– Neecarnis ma dosyć wędzonego łososia. Idzie złowić świeżą rybę. Zapomniał już, jak ona smakuje.

Paul uśmiechnął się. Jemu też, prawdę mówiąc, przestały smakować ryby, które solili i wędzili późną jesienią. Kiwnął więc głową i odparł:

– To najlepszy pomysł, jaki Neecarnis miał od kilku dni. Shemágonish pójdzie z nim. Czuje już na języku smak tłustego okonia. Czy mój brat ma już gotową przynętę?

Indianin wskazał wiadro pełne pokrojonej w niewielkie kostki surowej wątroby. Paul bez słowa podniósł wiadro i wyszli nad zatoczkę, gdzie, od kilku dni kołysało się przy brzegu niewielkie kanu ściągnięte ze strychu.

Przynętę i sznury z haczykami wrzucili do łódki i Paul zajmujący miejsce z tyłu ujął wiosło. Odpłynęli zaledwie kilkadziesiąt kroków od brzegu, gdy Neecarnis odłożył wiosło i sięgnął po sznur. Byli akurat na skraju nurtu rzeki przecinającej jezioro. Koniec sznura przymocował do długiej żerdzi, którą wbił w dno. Następnie w miarę przesuwania się kanu wzdłuż nurtu wprawnie nakładał przynętę na kolejne haczyki i zrzucał do wody. Paul ograniczył się do sterowania łódką. W ciągu prawie godziny jego przyjaciel wyrzucił za burtę przeszło czterysta jardów uzbrojonej przynętą liny. Gdy ostatni haczyk zniknął pod wodą, zawrócili i oddaliliwszy się od nurtu na tyle, by niepotrzebnie nie płoszyć ryb, powiosłowali do miejsca, gdzie tkwiła wbita w dno żerdź.

Nie zwlekając, Paul wyciągnął ją z wody i przytrzymał koniec liny. Teraz spływali ponownie wolniutko, wybierając sznur. Lina ciążyła od ryb. Na haczykach trzepotały się piękne, pasiaste okonie, długie, tłuste muskielunki, piękne srebrzystobiałe lipienie oraz kilkofuntowe zielonooliwkowe pstrągi, usiane po bokach czerwonymi kółkami i czarnymi kropkami.

Nim wybrali całą linę, w kanu znajdowała się więcej niż setka ryb. Wracali gawędząc wesoło. Wieczorem Neecarnis w dużym kociołku gotował zupe, w której pływały spore kawałki ryby, a Paul, używając do tego bobrowego tłuszczu, smażył na patelni co ładniejsze sztuki. Z przerwami na odpoczynek jedli do późna w noc.

Nazajutrz wspólnymi siłami postawili sieć oraz kilkanaście sznurów z dużymi hakami na jesiotra i łososia.

W pierwszych dniach kwietnia poczęli ściągać myśliwi Warbishcar Noceya. Przybywali pojedynczo lub w grupach po kilka, kilkanaście osób. Z kobietami, dziećmi, całym zimowym dobytkiem.

Po oddaniu białemu kupcowi wszystkich futer nie odchodzili ani nie brali zapłaty. Wokół polany przed faktorią budowali proste szałaszy lub rozbijali wigwamy. Czekali na wodza, który miał ściągnąć z główną grupą myśliwych za kilka dni. Wiezorami, przy dużych

ogniskach lub w izbie białego kupca snuli nie kończące się opowieści o swych myśliwskich przygodach. Wokół baraku od wczesnego świtu do późnego wieczora rozbrzmiewały głosy kobiet i dzieci.

Po wielomiesięcznej ciężkiej pracy mężczyźni odpoczywali, kurzyli fajki. Młodzieńcy, nie posiadający jeszcze kobiet, prawie cały wolny czas poświęcali na zaloty. Przy czym każdy wybrankę swą wywoływał na wieczorne spotkania w różny sposób. Wokół faktorii do późnej nocy rozbrzmiewał głos fujarki, wycie wilka, pohukiwanie sowy, ryk jelenia czy pomruk niedźwiedzia. Nie brakowało głosów innych czworonogów czy ptaków. Niekiedy wyglądało to tak, jakby wszystkie zwierzęta i ptaki puszczy zebrały się na wielkiej naradzie w jednym miejscu i wszystkie naraz usiłowały zabrać głos.

Paul patrzył i uśmiechał się. Wieczne koncerty nie przeszkadzały mu. Na indiańskie dziewczęta patrzył z przyjemnością. Mimo iż ubierały się bardzo prosto i odzież swą szyły prawie wyłącznie ze skór łosia, karibu czy jelenia,

w stroju każdej z nich zawsze było coś bardzo indywidualnego. Czasem pomysłowo wymalowany oryginalny wzór, niekiedy misternie wpleciona szczecina czy kolce jeżozwierza, innym razem drobna ozdoba z różnobarwnych koralików. Wśród kolorów szczególną popularnością cieszyły się czerwień, biel, delikatne odcienie błękitu i zieleni. Dziewczęta były ładne. Rysy ich różniły się swą delikatnością od twarzy mężczyzn bardziej ostrych, surowych, niekiedy wręcz dzikich.

Białego kupca nie unikały. Często jakby specjalnie przesuwwały się przed jego oczyma. Widział wabiące uśmiechy, zalotne spojrzenia, czasem tylko ciekawość. On nie unikał ich również, ale nigdy nie zaczepiał. Doskonale znał zazdrość zalotników i zdawał sobie sprawę ze skutków, jakie mogłoby pociągnąć za sobą jego bodajże najmniejsze wyróżnienie którejkolwiek z młodych kobiet lub upatrzonych przez innego młodzieńca dziewcząt. Traktował więc wszystkie jednakowo, tylko tak jak swoje czerwonoskóre siostry.

Trochę porządku w całym rozgardiaszu wprowadziło przybycie Warbishcar Noceya, starego, ale jeszcze krzepkiego i energicznego wodza, cieszącego się ogromnym autorytetem i szacunkiem swych współbraci. Wraz z nim przybył także Geessenar, wybijający się młody myśliwy i wojownik, którego głos liczył się coraz bardziej w radzie. Wielu, szczególnie młodszych, upatrywało w nim następcę Warbishcar Noceya. Zresztą nie bez racji. Już następnego dnia po przybyciu do faktorii Geessenar podzielił wszystkich mężczyzn na dwie grupy. Jedną, złożoną głównie z młodszych, rozesłał w puszcę na polowanie. Wraz z drugą w ciągu jednego dnia przygotował kilka sieci i ruszył na jezioro. Plemię było liczne, toteż wyżywienie kilkuset mężczyzn, kobiet i dzieci stanowiło poważny problem.

Dopóki trwały zimowe łowy, każda rodzina sama musiała zaspokajać swe potrzeby. Gdy wszystkie zebrały się w jednym miejscu, myśliwi nie mogli polować na własną rękę. Łowy na jelenia, łosia, karibu czy niedźwiedzia trzeba było prowadzić w sposób zorganizowany, tak by niepotrzebnie nie płoszyć zwierząt, a jednocześnie tak, by zapewnić pokarm dla wszystkich. Codziennie więc z samego rana, a czasami jeszcze-przed świtem, około stu pięćdziesięciu mężczyzn wyruszało ze strzelbami i łukami w coraz to inne rejony boru. Całe grupy wyrostków od rana do wieczora • uganiały się na pobliskich łąkach, trawiastych polanach, rozległych wrzosowiskach polując na rojące się w tych *m* miejscach pardwy i indyki.

Nieco starsi chłopcy pod opieką dorosłych zawzięcie *m* przepatrywali najmniejsze nawet bagienka i szuwały w poszukiwaniu kaczek i gęsi.

Wieczorami na polanie między ścianami boru a faktorią wznosiły się stosy ptactwa i wszelkiej zwierzyny. Ale była to już praca kobiet.

W kilka dni po przybyciu Warbishcar Noceya, ściągnął także ze swymi ludźmi Seseganaga. Obydwaj wodzowie znali się od dawna. Ich wioski w porze letniej dzieliła odległość zaledwie kilkunastu dni wodnego szlaku. Wielu mężczyzn z plemienia Wahgooshug wzięło sobie żony od Węży. Ci z kolei wybierali najpiękniejsze dziewczęta w

wiosce Seseganagi. Toteż dla obydwu stron spotkanie po długim niewidzeniu się stanowiło prawdziwą radość.

Gdy długi rząd kanu Seseganagi podchodził do brzegu, wokół rozległ się tak wielki krzyk radości, że powściągliwy zwykle w okazywaniu swych uczuć Neecarnis, musiał wyjść z izby, by popatrzeć na powitanie.

Już następnego dnia ruszyła wymiana. Odbывała się sprawnie. Do magazynu popłynęły futra. W zamian myśliwi i kobiety obydwu wiosek wynosili z magazynu najprzeróżniejsze wyroby, jakie na swym składzie posiadał Paul.

Nie targował się zbyt, ale też niczego nie dawał za darmo. W miarę możliwości starał się zaspokoić życzenia wszystkich. Ich wymagania nie były jednak zbyt wielkie. Mężczyźni brali głównie strzelby i noże, żelazne groty do strzał i ostrza na tomahawki czy topory, proch i ołów na kule. Powodzeniem kobiet cieszyły się ciepłe, wełniane kołdry i koce, grube sukno i kolorowe materiały, z których zamierzały uszyć spódniczki i bluzki, lżejsze i wygodniejsze latem niż ich własne ze skór. Każda zaopatrywała się w igły, nici i agrałki, no i oczywiście w lusterka, na które początkowo patrzyły z przestachem. Później przekonawszy się, że lusterka nie czynią krzywdy, każda brała po dwa lub trzy. Większość rodzin zaopatrywała się w kociołki, rondle, duże patelnie, a nawet łyżki. Wszyscy brali sól, tytoń i pieprz, herbatę i ostrą paprykę.

Najbardziej jednak upragnionym i pożądanym towarem były szklane koraliki i oczywiście rum. Jeśli chodzi jednak o ten ostatni artykuł, kupiec był stanowczy. Nie wydał nikomu nawet jednej baryłki. Z obydwoma wodzami umówił się, że każdy z nich otrzyma dopiero przy samym odjeździe tyle, ile należy się jego ludziom.

Warbishcar Nocey i Seseganaga nie sprzeciwiali się. Obydwaj wiedzieli doskonale, co by się stało, gdyby kilkuset mężczyzn jednego dnia otrzymało wodę ognistą. Woleli ją mieć pod swoją opieką i rozdzielić w odpowiednich ilościach dopiero po powrocie do wioski. Młodszy i bardziej zapalczywy trochę początkowo szemrał, ale nie znajdując chętnego ucha u nikogo ze starszych, zamilkł. Zresztą niejedyn z nich widział już, co czynią mężczyźni po wypiciu większej ilości płynu, który kupcy trzymali w drewnianych baryłkach.

Mimo iż każda rodzina otrzymała wszystko, czego potrzebowała i co się jej należało, w magazynie kupca pozostało jeszcze sporo różnych towarów, których Paul nie zamierzał wieźć z powrotem. Przy pomocy Neecarnisa oraz kilku młodych myśliwych posłał je obydwu wodzom, czarownikom obydwu wiosek, a także niektórym starszym mężczyznom cieszącym się największym szacunkiem. Pamiętając dobrze córkę Seseganagi odłożył dla niej specjalnie dwa ładne lusterka, kilka dłuższych kawałków cienkiego perkalu i miękkiego sukna, dwa woreczki koralików, różnobarwne nici, igły, dwie pary nożyczek, a także kilka kłębków niebieskiej, czerwonej i zielonej tasiemki, której dziewczęta chętnie używały do przybijania stroju. Chwilę myślał i w końcu dołożył do tego parę kostek różowego, pachnącego mydła. Wybrane rzeczy zapakował do worka i zwrócił się do stojącego obok i nieco zdziwionego Shikaga:

– Niech brat Shemágonisha weźmie ten worek i zanieś swą siostrze, Darnis. To podarunek od Shikaga, a nie od białego kupca. Brat może dać siostrze to, co zechce. Inni młodzieńcy nie będą zazdrośni.

Indianin niepewnie ujął worek.

– Ale dlaczego Shemágonish nie chce sam podarować tego córce Seseganagi? Skoro pamięta ją, dziewczyna będzie cieszyć się dowodem tej pamięci.

Paul pokręcił głową.

– Lepiej będzie, jeśli uczyni to rodzony brat.

Shikag stał chwilę nieruchomo, jakby chciał coś powiedzieć, widocznie jednak zrezygnował, bo zarzucił worek na ramię i wyszedł z izby. Gdy wrócił w kilkanaście minut później, po twarzy jego błąkał się zagadkowy uśmiech. W ręku niósł niewielkie zawiniątko,

które wręczył Paulowi.

– Niech Shemágonish przyjmie ten drobny upominek. To dla niego. Od”. Shikaga.

Paul położył zawiniątko na stole i szybko rozwiązał rzemień. W milczeniu patrzył na parę pięknych, nowych mokasynów. Zdołały je ułożone w misterny kolorowy wzór barwione kolce jeżozwierz, maleńkie, rzeczne muszelki i pasemka wplecionej starannie bobrowej szczeciny. Z mokasynów przeniósł wzrok na miękki, skórzany pas i wyszywaną czerwonymi i niebieskimi nićmi pochwę do noża. Dziewczyna, która wykonała te rzeczy, musiała poświęcić na ich zrobienie wiele dni. Spojrzał na uśmiechniętą nadal twarz swego czerwonoskórego przyjaciela i spytał:

– Od kiedy młodzi myśliwi Wahgooshug zajmują się wyszywaniem mokasynów?

Stojący obok Neecarnis parsknął śmiechem. Shikag zmusił się do zachowania powagi i odparł na pozór obojętnie:

– Od dawna. Prawie od czasu, kiedy ich biali przyjaciele zaczęli ukrywać to, że pamiętają również o siostrach swych czerwonoskórych braci.

Paul raz jeszcze popatrzył na prezent i powiedział z udanym westchnieniem:

– Biały ceni piękny upominek swego przyjaciela, ale nie jest teraz pewien, czy nie wolalby go otrzymać wprost od jego siostry.

Roześmieli się serdecznie wszyscy trzej, a Paul zapiął na swych biodrach otrzymany łosiowy pas. Długi, myśliwski nóż wsunął do nowej pochwy.

Wieczorem do baraku przyszli Warbishcar Nocey, Seseganaga oraz Czarny Pies i Niedźwiedzi Pazur – szaman Węży. Chcieli podziękować białemu kupcowi za piękne podarunki, jakie otrzymali prócz zapłaty. Podczas rozmowy Paul uzgodnił z nimi, że każda wioska da po stu mężczyzn, którzy popłyną z futrami do Trois Rivières. Żaden z wodzów nie wzbraniał się przed tym. W każdej wiosce pozostawała wystarczająca liczba myśliwych uzbrojonych w dobrą broń. Z łatwością mogli odeprzeć każdego wroga i upolować dostateczną ilość dużych zwierząt, stanowiących podstawę wyżywienia. A zabierani przez Shemágonisha wioślarze, jako zapłatę mieli przywieźć wiele nowych, wartościowych i potrzebnych rodzinom rzeczy.

Tak Seseganaga, jak i Warbishcar Nocey wiedzieli już, że Shemágonish dotrzymuje słowa. Toteż targu dobili szybko. Warbishcar Nocey na wodza swych ludzi wyznaczył tak jak poprzednio Geessenara. Seseganaga dowództwo powierzył rozważnemu, doświadczonemu myśliwemu o imieniu Uhsuwaum<sup>65</sup>.

Znając doświadczenie obydwu wodzów, Paul nie ukrywał przed nimi, że szlak, którym popłyną futra, może okazać się niebezpieczny ze względu na duże prawdopodobieństwo napadu, tak ze strony Anglików, jak i Francuzów.

Warbishcar Nocey wysłuchawszy słów kupca spytał:

– Więc Shemágonish nie wie, gdzie zamierzają przygotować zasadzkę wrogowie znad Zimnej Słonej Wody?

– Nie. Biały niestety nie wie tego. Nie zna miejsca zasadzki ani liczby wrogów. Nie wie też, czy będą sami, czy sprzymierzą się jeszcze z kimś.

Sędziwy wódz zamyślił się, w końcu powiedział cicho:

– Warbishcar Nocey przeżył już wiele Zim i widział wielu białych. Wie, że walczą między sobą, ale zawsze w tej walce korzystają z pomocy czerwonoskórych braci. Będzie tak i tym razem. Nim przyjdą po futra, zapewnią sobie pomoc Kenishtenog.

To nasi bracia, ale jeśli od białych znad Zimnej Słonej Wody otrzymają wiele podarków, dadzą się namówić. Są liczni. Tu lub gdzie indziej może pojawić się ich wielu, Warbishcar Nocey nie wierzy, by mogli pokonać Shemágonisha.

Będzie miał dwadzieścia razy po dziesięciu dobrze uzbrojonych mężczyzn. Ale krew się

---

<sup>65</sup> Czytaj: A-sa-uam – strzała zakończona żelaznym grotem. Jako imię własne Żelazny Grot.

poleje. Chyba, że nasz biały brat wcześniej odkryje wrogów i zastawi na nich pułapkę. Do tego celu musiałby mieć jednak zwiadowców, którzy wytropiliby nieprzyjaciół. Najpierw tych znad Zimnej Słonej Wody, a potem tych drugich.

Siedzący do tej pory w milczeniu Niedźwiedzi Pazur – szaman Węży uniósł do góry otwartą dłoń na znak, że chce coś powiedzieć. Słuchali go początkowo z niedowierzaniem, potem z coraz bardziej wzrastającym zdumieniem. Gdy skończył, Paul uściśnął mu gorąco rękę i powiedział z błyskiem w oczach:

– Kiedy kilka Zim temu ojciec Shemágonisha mówił synowi o wielkiej wiedzy szamanów, Shemágonish nie rozumiał tego i nie mógł uwierzyć. Dziś Niedźwiedzi Pazur przekonał go o tym. Nie zapomni nigdy o długu wdzięczności, jaki zaciągnął wobec czarownika ludu Węży. Nie wie, czym zasłużył sobie na jego przyjaźń.

Groźną twarz szamana powlókł nikły uśmiech.

– Shemágonish – powiedział – nie musi myśleć o długu wdzięczności. Nie jest taki, jak inni biali. Nie gardzi swymi czerwonoskórymi braćmi. Ma szacunek dla siwych włosów i jest uczciwym kupcem. Ludziom Seseganagi i Warbishcar Noceya przywiózł dobre towary. Nie zapomniał, ani gdy tu przybył jesienią, ani teraz o okazaniu wodzom i starszym swego szacunku. Oni pragną mu również okazać swoje zaufanie. Chcą by tu do nich powrócił znów przed odlotem dzikiej gęsi. Dlatego teraz pomogą mu przechytrzyć wrogów. Jednakiego, o czym opowiedział Niedźwiedzi Pazur, niech nikomu nie mówi. Jego kanu nie wpłynie wtedy nigdy na żaden podwodny korzeń.

W godzinę później, gdy wyszli obydwaj wodzowie, Shikag i Czarny Pies, szaman zatopił swój przenikliwy wzrok w oczach Neecarnisa. Patrzył na niego kilka chwil w milczeniu. Paul z napięciem obserwował rozgrywającą się na jego oczach przedziwną scenę. Oto jego młody, czerwonoskóry przyjaciel ziewnął przeciągle raz i drugi, powstał z podłogi i bezwolnie, jakby nie wiedząc, co czyni, ułożył się na posłaniu i nakrył dużą skórą. Nim upłynęła minuta, spał spokojnym, równym snem. Niedźwiedzi Pazur odwrócił od niego wzrok i uśmiechnął się do białego.

– Niech mój biały brat wybaczy, że kazałem usnąć jego przyjacielowi. Nie będzie spał długo. Tylko przez taki czas, jaki potrzebny jest, by Shemágonish pomógł czarownikowi Węży – a widząc zdziwienie gospodarza wyjaśnił: – Niedźwiedzi Pazur wie, że Shemágonish posiada lek, który sprowadza długi, spokojny sen. Czarownik chciałby od swego brata otrzymać trochę tego leku i dowiedzieć się, jak należy go używać.

– Czemu brat Shemágonisha pragnie mieć taki lek?

Indianin spojrzał przyjaźnie na swego rozmówcę i położył mu dłoń na ramieniu.

– Niedźwiedzi Pazur leczy swych braci. Pomaga im, gdy boli ich głowa lub żołądek, gdy zwichną nogę. Ale bardzo często musi także opatrzyć ich rany, wyjąć z ciała tkwiącą głęboko strzałę lub kulę. Nie chce, by cierpieli przy jego zabiegach, a nie każdego udaje mu się dobrze uśpić wzrokiem lub ziołami. Kiedyś widział, jak Shemágonish dał wodę ognistą, w której mieszkają duchy, jednemu z wojowników. W czasie snu dosięgła go przypadkowa strzała. Jej grot wszedł głęboko w nogę. Niedźwiedzi Pazur musiał przeciąć ranę, by wydobyć grot. Zraniony nie obudził się przy wyciąganiu strzały. Gdy wrócił do niego jego duch, nic nie pamiętał. Nie wiedział nawet, że Niedźwiedzi Pazur kroił jego nogę. Brat Shemágonisha wie, że nie było to działanie ani wody ognistej, ani duchów. Był to lek, jaki Shemágonish dodał do ishkoota-wahboo. Niech biały brat da trochę tego leku czarownikowi. Niedźwiedzi Pazur nie zdradzi tajemnicy, a łatwiej mu będzie pomagać swym braciom.

Paul wstał i postawił na stole dwie sporych rozmiarów butelki.

– Shemágonish rozumie swego brata i chętnie mu pomoże. W tych dwu naczyniach jest płyn trochę bardziej gęsty niż woda ognista. Pięć kropli tego płynu rozmieszanego w kubku ciepłej wody uśpi mężczyznę i kobietę na taki okres, jaki biali nazywają połową godziny. Dziecko będzie spało po tym pół dnia. Dziesięć kropli zmieszanych z niedużą ilością wody



zamknie powieki wojownika prawie na pół dnia i spowoduje, że w tym czasie nie będzie czuł żadnego bólu. Dwadzieścia kropli przyniesie śmierć. Lek jest bardzo silny. Biali używają go, gdy nastawiają złamane kości lub muszą przeciąć brzuch czy piersi. Lek trzeba chronić przed jasnym światłem. Gdy kijka dni stoi na słońcu, traci swą moc. Czy Niedźwiedzi Pazur zapamięta, jak się nim posługiwać?

Czarownik skinął głową.

– Niech mój brat będzie spokojny. Lekarz Węży na pewno nie będzie musiał używać nigdy dwudziestu kropli. Zna zresztą inne leki, które łatwo i szybko przynoszą śmierć. Te, które otrzymał od swego białego brata, wykorzysta, by leczyć.

Wziął ze stołu obie butelki, owinał je starannie w miękką skórę i ukrył pod bluzą. Z niewielkiego woreczka irchowego zawieszzonego u pasa wydobył cienki, gładki wypolerowany kawałek zielonego kamienia i podał młodzieńcowi.

– Niech Shemágonish to weźmie i dobrze ukryje. Jeśli się znajdzie kiedyś w niebezpieczeństwie i będzie potrzebował pomocy, niech ten kamień pokaże czarownikowi lub wodzowi Odzibuejów lub Kenishtenog. Otrzyma wtedy potrzebną pomoc. – Z tymi słowy wyszedł cicho z izby.

Paul obejrzał kamień. Nie dostrzegł na nim jednak żadnych szczególnych znaków. Kilka niewielkich zadrapań układających się promieniście. – Pewno znak Midewiwin – pomyślał. Ojciec wspominał mu, że wszyscy czarownicy tych dwu wielkich plemion należą do jakiegoś tajemniczego bractwa, na którego czele stoi największy szaman. Do bractwa, jak twierdził, należą także wielcy wojownicy i mężczyźni oraz kobiety wyróżniający się mądrością i doświadczeniem. Podobno bractwo cieszyło się ogromnym autorytetem i we wszystkich wędrujących grupach posiadało bardzo duże wpływy i władzę. Jego członkowie byli wszędzie. Nikt jednak nie znał wodza tego bractwa, nawet czarownicy, i nie wiadomo było, gdzie mieszka.

Teraz Paul trzymał w ręku magiczny znak, który miał mu pomóc w razie niebezpieczeństwa. Zawinał go starannie w kawałek czystej skórki i ukrył na piersiach.

Nie budząc swego przyjaciela wyszedł przed faktorię. Wokół wrzało obozowe życie. Część kobiet uprawiała zwierzynę lub ptactwo, część skrobała ryby. Inne znosiły z lasu chrust i układały go pośrodku polany w duży stos.

Niektórzy mężczyźni, szczególnie starsi, wygrzewali się w ciepłych promieniach wiosennego słońca. Duża grupa budowała kilkanaście długich kanu. Z piskiem i śmiechem we wszystkich kierunkach przebiegały dzieci. Jakiś młody myśliwy siedzący przed pobliskim szałasem wygładzał dwie niewielkie deseczki pocierając je o siebie krótkimi, szybkimi ruchami.

Paul zaintrygowany jego pracą podszedł bliżej i pozdrowił uprzejmie:

– Białe kupiec widzi, że jego brat przygotowuje deseczkę do krojenia kinni-kinnicku. Czyżby zamierzał sporządzić świętą fajkę pokoju?

Myśliwy przerwał pracę i odparł:

– Tak, Duży Mokasyn postanowił wykonać fajkę pokoju. Paul drgnął. Pamiętał, że młodzieniec noszący to imię został zraniony przez innego młodego myśliwego w walce o to, który ma złożyć podarki przed wigwamem Seseganagi. Nie dając jednak nic poznać po sobie rzucił pozornie obojętnie:

– To trudne zadanie. Aby sporządzić taką fajkę. Duży Mokasyn musiałby pewnie udać się do świętych kamieniów po czerwony kamień?

– Tak. Duży Mokasyn zamierza tak właśnie postąpić.

– Nie popłynie więc z Shemágonishem do wioski białych twarzy?

– Chciałby, ale nie może. Niedawno rada starszych nie dała wiary jego słowom. Gdy Duży Mokasyn słowa swoje potwierdzi dymem świętej fajki, rada uwierzy.

– Czy mojemu bratu bardzo zależy, by rada uwierzyła?

– Tak!

– Shemágonish nie chciałby być niedelikatny, ale czy to były ważne słowa?

– Dla Dużego Mokasya ważne. Walczył uczciwie gołymi rękoma, wtedy kiedy jego przeciwnik trzymał nóż w ręku, ale rada myśli, że Duży Mokasyn również dobył noża. Jeśli Duży Mokasyn powie, że nie trzymał noża i potwierdzi to świętym dymem, rada uwierzy. Nie będzie uważała go za kłamcę. Duży Mokasyn musi wykonać świętą fajkę. Inaczej nie będzie mógł położyć podarków przed wigwamem Seseganagi. Tak powiedział mu czarownik.

– A czy jego przeciwnik posiada już fajkę pokoju?

– Nie. Nie posiada jej również. Czarny Pies jemu radził to samo. Chásekah-Nébowin również wyruszy wkrótce na ścieżkę Ducha. Umówili się, że po czerwony kamień pójdą razem.

– A czy dwaj młodzieńcy, którzy walczyli ze sobą, mogą wspólnie wędrować po kamień?

– Mogą. Byli przyjaciółmi. Poróżnili się tylko o dziewczynę. Gdy wkroczą na świętą ścieżkę, muszą odrzucić wszystkie urazy. Staną się na powrót przyjaciółmi – oświadczył Duży Mokasyn stanowczo i ponownie zabrał się za polerowanie deseczek.

Paul skierował się nad wodę, gdzie mężczyźni budowali kanu. Szedł wolno, zastanawiając się nad usłyszczanymi słowami. Słowa te tchnęły uczciwością. W takim razie kłamał jego rywal, Chásekah-Nébowin. Zmarszczył czoło. Tak, było coś niejasnego w jego zachowaniu. To, że pobił się o dziewczynę nie świadczyło jeszcze o niczym. Ale to, że kłamał i oskarżał swego niedawnego przyjaciela, wyglądało znacznie gorzej. Chociaż”. Może był jeszcze bardzo młody i obawiał się surowej kary za wydobycie noża? Było to prawdopodobne.

Znalazłszy się nad brzegiem, Paul poszukał wzrokiem Shikaga. Syn Seseganagi zakładał właśnie duży płat brzozy w przedniej części budowanego przez siebie kanu. Zobaczywszy przyjaciela zrecznie zamocował korę i wyprostował grzbiet.

– Czy Shemágonish chce przykryć korą drugi bok łódki? – spytał szczerząc zęby.

– Nie. Shemágonish nie ma dzisiaj ochoty na pracę. Chciałby poznać Chásekah-Nébowina, ale nie wie, gdzie go szukać. Może Shikag wie?

– Tak. Shikag to wie, ale nie pomoże swemu bratu. Chásekah-Nébowin nie Jest tutaj.

– Nie ma go? – zdziwił się Paul.

– Nie. Przed godziną poszedł ścieżką prowadzącą do świętego kamieniołomu.

– Czy Shikag nie myli się? Shemágonish przed chwilą jeszcze rozmawiał z Dużym Mokasynem, który powiedział, że wybiera się po święty kamień razem z Chásekah-Nébowinem. Nie wiedział, że ten już wyruszył.

Syn wodza wzruszył ramionami.

– Shikag nie wiedział o tym. Chásekah-Nébowin pożegnał się z nim i odpłynął na południe. Paul zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał:

– Czy Chásekah-Nébowin ma ojca albo matkę?

– Nie. Nie ma nikogo. On nie jest Wahgoosh. Do wioski przybył przed kilkoma Zimami, gdzieś z południa. Nie mówił o sobie. Ojciec Shikaga pozwolił mu zostać. Teraz poszedł po święty kamień na główkę do swej fajki. Nikt nie może go zatrzymać.

– Shikag nie wie, czy zostawił swoje rzeczy, czy zabrał z sobą i czy miał święty cybuch?

– Nie. Nie zostawiał niczego. Zabrał swój worek, łuk i strzały, strzelbę i duży róg z prochem. Jego szalas pusty. Cybucha Shikag nie widział. Pewno Chásekah-Nébowin nie zdążył go wykonać. Cemu Shemágonish pyta o to wszystko?

– Shemágonish sam dobrze nie wie. Rozmawiał z Dużym Mokasynem i dowiedział się, że miał on popłynąć razem z tym, z którym walczył o siostrę Shikaga. Teraz dowiaduje się, że ten drugi nie czekał i że wyruszył sam. Nie rozumie tego. Ale nie rozumie i czego innego – tu na chwilę zawiesił głos. – Nie rozumie zachowania Chásekah-Nébowina. Shemágonish wie, że gdy młody mężczyzna wyrusza po święty kamień, zostawia swą broń. Zabiera cybuch, który chroni go przed napaścią, nóż, gdy droga jest bardzo daleka, czasem łuk, ale nie słyszał,

by na ścieżkę Ducha ktokolwiek brał całą broń, jak to czyni idąc na ścieżkę wojenną. Chásekah-Nébowin w swą drogę zamiast cybucha zabrał strzelbę. Czy to nie jest dziwne?

– Mój brat ma rację. Nie postąpiłby tak żaden z mężczyzn Wahgooshug.

Paul pokiwał głową. Jakaś niejasna myśl kołatała gdzieś głęboko w jego świadomości. Zgasła jednak tak samo szybko, jak się zapaliła. Cóż? W ostateczności nie powinno go to obchodzić. Dotknął lekko ramienia Shikaga i powiedział:

– Shemágonish niepotrzebnie przeszkadza w pracy swemu bratu. Pójdzie już. Spotkają się wieczorem przy ognisku.

Wracając do baraku usiłował przypomnieć sobie, jak wygląda Chásekah-Nébowin. Nie mógł jednak skojarzyć sobie jego twarzy z żadnym z myśliwych. – Może Neecarnis pamięta? – pomyślał. Neecarnis nie pamiętał również. Jak twierdził, Chásekah-Nébowin nie dostarczył futer osobiście. Wymianę załatwił za niego jakiś inny myśliwy, ale Shemágonish powinien to mieć zapisane na swym mówiącym papierze.

Paul sięgnął do książki i prawie na samym początku strony znalazł odpowiednią notatkę. Wynikało z niej tylko, że Chásekah-Nébowin za swe futra wziął całą baryłkę prochu, dwie sztaby ołowiu, formę do odlewania kuł, tytoń, kilkanaście żelaznych grotów do strzał i dwa długie ostrza do noża.

– Na co potrzeba mu aż tyle prochu? – spytał swego przyjaciela.

– Pewnie chce dużo strzelać – odparł ten bez namysłu.

– Neecarnis wie, że mężczyzna może strzelać wiele razy w walce, a Chásekah-Nébowin poszedł do świętych kamieniołomów, Indianin wzruszył ramionami i odparł z wahaniem:

– Na ścieżce Ducha niepotrzebny proch. Może nie udał się tą ścieżką?

Paul zamknął książkę i pogрузił się w myślach. Gdy w dwie godziny później przyszedł Shikag, by zaprosić go do ogniska, czoło białego przecinały jeszcze dwie pionowe zmarszczki. Zniknęły, gdy wyszedł z baraku.

Obszerłą polanę wypełniał kilkusetosobowy tłum. Od strony modrzewiowego zagajnika zebrał się mężczyźni na czele z Seseganagą i Warbishcar Noceyem, od strony wody – kobiety. Pośrodku polany, między obydwojema grupami płonęło wielkie ognisko. Wszyscy mężczyźni obnażeni byli do pasa. Każdy trzymał w ręku łuk i kilka strzał. Prawie pod samym barakiem usadowiła się kilkunastoosobowa grupa starców z grzechotkami, piszczałkami i niewielkimi bębenkami sporządzonymi z kory i pęcherzy dużych ryb.

W pewnym momencie bębni zaczęły dudnić, trzasnęły drewniane kołatki, rozległ się chrzęst grzechotek. Przybrany w wilczą skórę Niedźwiedzi Pazur wybiegł na środek placu i okrążył kilkakrotnie ognisko. Z grupy myśliwych sypnęli się ku niemu mężczyźni. Głośniejsze zabrzmiały bębni i grzechotki. Czarownik rozerwał otaczający go krąg i potrząsając grzechotkami zaczął posuwać się rytmicznie wokół placu. Za nim formował się coraz dłuższy wąż mężczyzn wykonujących te same ruchy. Bose stopy poczęły mocno wybijać rytm. Odezwały się piszczałki, zahuczały głośniejsze bębni. Szał tańca ogarniał coraz większą liczbę zgromadzonych na polanie.

Paul wiedział, że taniec myśliwych będzie trwał do rana. Siedząc obok Seseganagi patrzył na tańczących i czuł jak krew coraz szybciej poczyną krążyć w jego żyłach. Sam nie wiedział, kiedy i jak znalazł się pośrodku tłumu. Uczuł, jak ciało jego zaczyna wirować w rytm bębenków, jak stopy coraz mocniej uderzają o twardą ziemię, a serce bije coraz silniej i silniej. Przez chwilę jeszcze widział jarzące się wielkie oczy Darnis. Ale w następnym momencie i nim owładnął szal tańca”.

Rankiem zbudził go chłodny dotyk wilgotnej szmatki na twarzy. Uniósł powieki i potrząsnął głową. Przez chwilę jeszcze czuł, jak ciało jego wiruje w rytm tańca. Rytm ten jednak gasł szybko. Chwiejący się sufit stanął w miejscu, wyraźnie zarysowały się ściany, stół, a nawet wisząca na gwoździu lampa.

Darnis zdjęła szmatkę z jego czoła i uśmiechnęła się.

– Czy Shemágonish już nie tańczy?  
– Nie, ale tańczył jeszcze przed chwilą-odparł uśmiechając się również. Pewno padł na placu?

Kiwnęła głową.

– Tak. Tańczył bardzo długo. Prawie do świtu. Padł jako jeden z ostatnich. Pewnie jest głodny? Paul uniósł się z posłania.

– Shemágonish nie wie – powiedział – dlaczego zaczął tańczyć. Pamięta jedynie, że patrzył długo na Darnis i potem nogi same zaniosły go na środek placu. Pewnie siostra Shikaga zaczarowała go?

Dziewczyna roześmiała się.

– Darnis nie zaczarowała Shemágonisha. Wszystkich zaczarował Niedźwiedzi Pazur. Tańczył nawet Warbishcar Nocey i Seseganaga, ale oni zmęczeni się bardzo szybko. Młodzi mają więcej sił.

– Czy kobiety i dziewczęta nie tańczyły? – spytał.

– Nie. Dziewczęta i kobiety mogły tylko patrzeć. Taniec myśliwych to taniec mężczyzn.

– Darnis też patrzyła?

– Tak!

– Pewnie patrzyła na Dużego Mokasyna. On tańczył dla niej.

Dziewczyna chwilę wahala się. W końcu odparła śmiało:

– Darnis patrzyła na Shemágonisha. Tańczył pięknie. Nie chciała patrzeć na innych.

Paul patrzył na nią i milczał. Teraz w pełnym świetle dnia wyglądała inaczej niż wczoraj. Inaczej niż wtedy, gdy widział ją po raz pierwszy przed niedźwiedzią pieczarą. Tam miała na sobie grube futro zakrywające jej postać od stóp do głowy. Wyglądała jak inne dziewczyny. Teraz była w prostej, sięgającej do kolan spódniczce uszytej z miękkiej skóry karibu i takiej samej obcisłej bluzce. Wyglądała bardzo młodo. Wrażenie to potęgowała dziecienna jeszcze twarz i wielkie oczy rozjaśnione w tej chwili złotymi iskierkami. Uśmiechnął się do niej. Leciutki, ledwo widoczny cień rumieńca zamajaczył na jej twarzy. Nie odwróciła jednak wzroku. Mężczyzna patrzył jeszcze przez chwilę, po czym powiedział miękko:

– Darnis jest bardzo piękna. Shemágonish popłynie za kilka dni do wioski białych twarzy, ale wróci, nim odleci stąd gęsi. Złoży wtedy przed wigwamem Seseganagi podarki. Czy córka wodza poczeka do tego czasu i nie przyjmie podarków od nikogo innego?

Dziewczyna spuściła powieki i kilkakrotnie kiwnęła głową. Rumieniec na jej twarzy pogłębił się. Gdy spojrzała ponownie, z jej oczu strzelił cały snop złocistych płomyków. Nie musiała odpowiadać. Jej oczy mówiły więcej niż słowa.

Do izby wszedł Neecarnis, a tuż za nim Shikag. Dźwigali na ramionach długą, ciężką rybę, którą złożyli na podłodze. Mierzyła przynajmniej siedem stóp długości i musiała ważyć ze sto pięćdziesiąt funtów. Paul patrzył z zachwytem.

– Jak moim braciom udało się upolować jesiotra?

Shikag roześmiał się.

– Nie polowali. Po tańcu poszli się wykapać. Blisko brzegu, zaraz za sitowiem, zobaczyli rybę na płytkiej wodzie. Była zmęczona. W pysku miała duży hak i ciągnęła linę. Złapali linę i wyciągnęli rybę na piasek. Będzie dobra zupa i mięso. Darnis trochę ryby ugotuje, a resztę upiecze na ogniu. A jak się czuje Shemágonish? Wczoraj w tańcu pokonał prawie wszystkich myśliwych. Czy nie bołą go nogi?

– Nie, ale czuje, że bołą go wszystkie kości. Długo nie biegał i nie tańczył. Teraz pójdzie się również wykapać, a Shikag zaprosi wodzów i czarowników oraz ich kobiety na ucztę. Jesiotr jest duży. Nie może się zmarnować.

W godzinę potem kobiety podawały na dużych płatach kory wielkie plastry pachnącej, przyrumienionej ryby. Sobie nałożyły również. Nie krępowały się. Białą kupiec zaprosił je tak samo jak i mężczyzn. Nie musiały czekać. W najdalszym kącie izby siedziała Darnis. I

choć na swych kolanach trzymała również spory kawał smacznej ryby, nie miała ochoty na jedzenie. W jej piersi jakieś nieznane ptaki śpiewały dziwną, słodką pieśń.

## ROZDZIAŁ XI

### Chásekah-Nébowin zrzuca maskę

W kilka dni później do baraku weszli Warbishcar Nocey i Seseganaga oraz obydwaj czarownicy. Po kilkuminutowym milczeniu wódz Węży spojrzał na gospodarza i powiedział:

– Węże i Lisy w ciągu wielu Księżyców polowali na różne zwierzęta, których futra dostarczyli swemu białemu bratu. Mężczyźni i kobiety są zmęczeni i pragnęliby odpocząć. Chcą wracać już do swych wiosek. Tak jak się umówili, zostawiają dwadzieścia razy po dziesięciu mężczyzn, którzy wraz z Shemágonishem popłyną daleko na wschód. Wodzowie wiedzą, że futra, które teraz należą do Shemágonisha, zamierzają mu zabrać jego wrogowie. Warbishcar Nocey i Seseganaga myśleli nad tym i rozważali słowa ich białego brata. Pytali czarownika Lisów i czarownika Węży o radę. Czarny Pies i Niedźwiedzi Pazur pytali duchów i obydwaj powiedzieli, że do tych futer nie mają prawa ani kupcy znad Słonej Wody, ani biali ze wschodnich wiosek. Węże ani Lisy nie polowali dla nich i nie od nich otrzymali podarki. Uważają, że Shemágonish ma prawo bronić tego, co do niego należy. Warbishcar Nocey i Seseganaga po radzie ze swymi braćmi postanowili mu w tym pomóc. Wiedzą, że Shemágonish ma przed sobą bardzo długą ścieżkę, na której czają się jego wrogowie. Ani biały kupiec, ani wodzowie nie wiedzą, gdzie nastąpi napad, ani jak liczny i silny będzie nieprzyjaciel. Po radzie ze starszymi wojownikami postanowili, że ich biały brat musi być silniejszy od swych wrogów. A to możliwe będzie tylko wtedy, gdy prócz wioślarzy będzie miał także wojowników. Za radą Niedźwiedziego Pazura ustalili, że co drugi wioślarz będzie posiadał grzmiący kij. W ten sposób przeciwko wrogom Shemágonish może użyć zawsze stu strzelb. Nikt nie oprze się takiej sile i nie zagrozi naszemu bratu. Shemágonish nie wie jednak, gdzie czyhają wrogowie. Gdyby chciał sam ich tropić, zajęłoby mu to bardzo dużo czasu. Zajmie się więc tym grupa zwiadowców. Zwiadowcy ci znają wszystkie ścieżki w puszczy i wodne szlaki. Wyruszyli wczoraj wieczorem, zaraz po radzie. Rozmawiał z nimi Niedźwiedzi Pazur i powiedział, co mają czynić. Gdy odnajdą wrogów, przyniosą wieści Shemágonishowi. On będzie mógł płynąć bezpiecznie i niepotrzebnie nie opóźni swej podróży. Zwiadowcy zawsze znajdą naszego brata na całej trasie aż do Wielkiego Jeziora. By dać zwiadowcom czas, Shemágonish wyruszy stąd za dziesięć dni. Czy Shemágonish dobrze zrozumiał słowa Warbishcar Noceya?

Paul, który przez cały czas słuchał z uwagą słów sędziwego wodza, skinął teraz głową:

– Shemágonish zrozumiał, co powiedział jego brat. Zrozumiał też, że czerwonoskórzy bracia uczynili dla niego wszystko, co uważali za słuszne i potrzebne. Cieszy się, że przydzielili mu stu takich mężczyzn, którzy posiadają strzelby. Teraz wie, że podczas dalekiej drogi nie zagrozi mu żaden wróg. Ze swej strony będzie starał się unikać walki, ale jak wiedzą jego bracia, nie wszystko zależy od niego i nie wszystko będzie mógł przewidzieć. Obiecuje jednak wodzom, że żadnego z powierzonych mu mężczyzn nie będzie narażał niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Dziękuje swym braciom. Postara się wrócić do nich jak najprędzej. Ale Warbishcar Nocey mówił, że zostali wysłani zwiadowcy. Shemágonish nie rozmawiał z nimi. Jak ich pozna?

– Nasz biały brat pozna ich – odparł Niedźwiedzi Pazur. – Gdy zgłoszą się do niego, okażą

mu taki znak – tu wyjął z rękawa bluzy zwitek kory brzoźowej i rozprostował na dłoni. Korę pokrywał delikatny rysunek białogłowego orła trzymającego w swych szponach czarnego węża. – Niech nasz brat zapamięta ten znak. Może pozna któregoś z wywiadowców, gdyż na pewno widywał ich tu codziennie. Ale gdyby miał wątpliwości, ten znak upewni go, że ten, kto go okazuje, jest przyjacielem. Wiedzą o znaku jedynie wodzowie i Czarny Pies oraz wywiadowcy.

– Shemágonish jest teraz spokojny – powiedział Paul. -Wie, że jego bracia pomyśleli o wszystkim. Będzie oczekiwał spokojnie na znak wywiadowców. Czy może wiedzieć, kiedy wodzowie wyruszą do swych wiosek?

Przez otwarte drzwi izby Seseganaga wskazał brzeg zatoki.

– Wyruszą zaraz. Przygotowali zapasy na drogę i opatrzyli już kanu. Po upływie połowy Księżyca rozbiją swe letnie wigwamy. Mają nadzieję, że jesienią Shemágonish, nim wróci tu, odwiedzi ich wioski. Będą go oczekiwali.

– Czy Seseganaga zabiera swego syna?

– Nie. Shikag wyruszył wczoraj ze zwiadowcami. Będzie towarzyszył swemu białemu bratu w czasie jego podróży.

Paul uściśnął serdecznie dłoń wodza. Wstał Warbishcar Nocey i pozostali mężczyźni. Wódz Węży położył ręce na ramionach młodzieńca i powiedział serdecznie:

– Warbishcar Nocey życzy swemu białemu bratu dobrej podróży i jesienią będzie go również oczekiwał.

Nad wodą panowała krzątanina. W podprowadzanych do brzegu kanu składano cały dobytek. Miejsca zajmowały kobiety i dzieci. Wsiadali mężczyźni. Coraz więcej łodzi odpływało na jezioro.

Paul odprowadził najpierw Warbishcar Noceya, później odszukał długie kanu Seseganagi. Zajęły już w nim miejsca żony wodza i Darnis. Siedziała w środkowej części kanu i trzymała w rękach krótkie wiosło. U jej stóp przycupnęły dwa psy. Dwa następne usadowiły się na dziobie. Seseganaga, który wydał widocznie ostatnie polecenia, odepchnął kanu od brzegu i również ujął wiosło. Dziewczyna podniosła spuszczoną dotąd głowę i zatopiła spojrzenie w twarzy stojącego o kilka kroków białego mężczyzny, który jesienią zamierzał przed wigwamem jej ojca złożyć podarki. I gdy na chwilę spotkały się ich spojrzenia, wiedziała, że Shemágonish dotrzyma przyrzeczenia.

Coraz więcej kanu odpływało na jezioro, formując tam długi rząd. W końcu na brzegu pozostali tylko ci, którzy za kilka dni mieli zabrać białego kupca.

Paul patrzył długo na znikające w oddali łodzie. W końcu wrócił do baraku i rzucił się na posłanie. Wiedział, że po wyjściu z jeziora Seseganaga wpłynie w krótką, bystrą rzekę, która wyniesie go na wielkie rozlewiska. Stamtąd łodzie przedostaną się na inną rzekę biegnącą na południowy zachód. Z rzeki tej popłyną na jezioro, a potem znikną w gęstwinie potoków i bagien rozciągających się prawie do podnóża gór, za którymi znajdowała się wioska Wahgooshug. Wódz całą drogę zamierzał odbyć w czasie dwu tygodni. Mogło mu się to udać. Na szlaku nie miał większych przeszkód ani zbyt licznych portaży i prawie cały czas płynął z prądem.

Skrzypnięcie drzwi przerwało tok myśli młodzieńca. Do izby wsunął się Neecarnis. W rękę trzymał kilka woreczków i długi, starannie obrobiony cybuch do fajki, przybrany drobnymi skrawkami skóry różnych zwierząt, szczecina jeżozwierza i wachlarzem orlich piór. Paul spojrzał z zaciekawieniem i spytał:

– Shemágonish widzi, że jego brat sporządził cybuch do fajki pokoju. Czyżby zamierzał wyruszyć w daleką drogę po czerwony kamień?

Indianin wstrząsnął przecząco głową.

– Neecarnis nie wybiera się po kamień. Cybuch i woreczki nie należą do niego. To własność Dużego Mokasy.

– Dużego Mokasy? W takim razie skąd znalazły się w posiadaniu mego brata?  
– Przyniósł je Ahgin<sup>66</sup>. Właśnie wrócił z polowania. O dzień drogi na południe, nad wodą znalazł Dużego Mokasy, a przy nim te przedmioty. Duży Mokasyn nie żył i nie miał skalpu. Ahgin pochował go i zabrał woreczki i cybuch. Zmarłemu i oskalpowanemu niepotrzebne. Nie wejdzie do krainy Wielkiego Ducha.

– Czy Ahgin mówił, jak zginął Duży Mokasyn? Czy znalazł ślady walki? – spytał Paul.

– Nie było walki. Duży Mokasyn zginął od pchnięcia nożem w plecy. Potem wróg zabrał skalp. Wróg był jeden. Nie ukrywał się. Jego kanu stało obok. Razem siedzieli przy ognisku i razem jedli piżmoszczura. Duży Mokasyn miał cybuch na piersiach. Jego zabójca na pewno widział cybuch. Ahgin zbadał dokładnie wszystkie ślady. Nie znalazł nic więcej. Wie tylko, że drugie kanu odpłynęło już dwa dni temu. Czy Shemágonish domyśla się, kto mógł w nim siedzieć?

Paul zaprzeczył:

– Nie, Neejee. Nie wiem tego. Wiem jedynie, że zabójca Dużego Mokasy to bardzo zły człowiek. Nie szanuje praw Wielkiego Ducha i nie przestrzega praw obowiązujących wszystkich czerwonoskórych braci. Skoro posługuje się nożem, jest już dorosły. A jeśli jest dorosły, na pewno wie, że ten, kto znajduje się na ścieżce Ducha i niesie na swych piersiach święty okij<sup>67</sup>, jest nietykalny nawet dla największego wroga. Skoro mimo to zabija i to zabija podstępnie, jest gorszy niż jadowity wąż. Shemágonish chciałby go kiedyś spotkać na swej ścieżce. Czy Ahgin był sam, gdy znalazł ciało?

– Ahgin mówi, że było z nim jeszcze dwu innych myśliwych: Puhnahjsh<sup>68</sup> – młodszy brat Geessenara i drugi myśliwy o imieniu Uhsáhde<sup>69</sup>, który jest krewnym Czarnego Psa. Obydwaj mówili to samo co Ahgin. A Uhsáhde prosił, by Neecarnis powtórzył swemu białemu bratu, że zabity nie miał przy sobie noża. Szukali wszyscy trzech, ale nigdzie nie znaleźli. Myślą, że zabójca zabrał nóż wraz ze skalpem.

– Czy Uhsáhde wie, jaki to był nóż?

– Tak, opisał go Neecarnisowi. Nóż był zwykły, prosty i miał drewnianą rękojeść. Na rękojeści tej Duży Mokasyn wyrzeźbił kiedyś otwarty pysk lisa. Widać wyraźnie kły i zęby. Nikt więcej z mężczyzn Wahgooshug nie ma takiego noża.

– A czy nic więcej nie zabrano Dużemu Mokasynowi?

– Nie. Nie zabrano niczego. W kanu zostało nawet futro karibu, którym myśliwy okrywał się nocą.

Paul nie pytał więcej. Śmierć młodego myśliwego, chociaż poruszyła go, nie wytrąciła z równowagi ani nie pozbawiła trzeźwego sądu. Indianin nie miał wrogów. Nie był jeszcze nigdy na wojennej ścieżce. Pozbawienie go życia nikomu nie przynosiło sławy ani nie dawało żadnych korzyści. Co więcej, zabójca w razie wykrycia nie mógł liczyć na niczyją pobłażliwość. Zabił kogoś, kto był nietykalny. Co mogło nim kierować? Zazdrość, chęć dokonania zemsty, może odruch nagłego gniewu, sprzeczka lub klótnia?

Wprawdzie gwałtowna klótnia była raczej mało prawdopodobna, skoro Duży Mokasyn nie podejrzewał niczego, gdy napastnik znalazł się z tyłu. Doszłoby wtedy najpewniej do walki i zostałyby ślady. Obie łódki stały razem. Zabójca i jego ofiara wspólnie spożywali mięso. Duży Mokasyn miał zaufanie do tego, z kim się spotkał. A tym kimś mógł być tylko”. Chásekah-Nébowin, przyjaciel, z którym syn Tłustej Wrony zamierzał udać się do świętego kamieniołomu. To, że nie wyruszyli razem, nie świadczyło o niczym. Musieli umówić się wcześniej co do miejsca spotkania. A Chásekah-Nébowin miał powód. On jeden miał powód. Może nie do zemsty, ale na pewno do zazdrości. Miał jeszcze inny powód. Oto Duży

<sup>66</sup> Czytaj: A-gin – Mały Mokasyn.

<sup>67</sup> Czytaj: Ou-kiż – cybuch do fajki.

<sup>68</sup> Czytaj: Pa-na-za – Młody Ptak.

<sup>69</sup> Czytaj: A-sa-di – Topola.



Mokasyn nie ukrywał tego, co uczyni, gdy wróci z kamieniołomów. Powie, że nie dobył noża w walce ze swym rywalem, i potwierdzi to świętym dymem. W takim wypadku Chásekah-Nébowin nie mógłby liczyć na żadne względy ani rady starszych, ani Seseganagi. Wódz wypędziłby go jak psa.

Aby kłamstwo nie wyszło na jaw, musiał zabić. Zabił więc przy pierwszej okazji. Ale nie zabił w uczciwej walce. Zabił podstępnie bezbronnego i niczego nie spodziewającego się młodego myśliwego. Był nieuczciwy, a przy tym decydował się szybko i szybko zabijał. W głowie myślącego ponownie zapaliło się czerwone światełko”. Szybko zabija”. Szybka Śmierć albo Nagła Śmierć. Imię Chásekah-Nébowin znaczyło właśnie Nagła Śmierć. La Soudaine Mort. Światełko, które błyskało już uprzednio kilkakrotnie, rozjaśniło nagle mrok tajemnicy. Przewodnikiem Girarda był właśnie Chásekah-Nébowin”.

Paul zwrócił zamyślony wzrok na swego czerwonoskórego przyjaciela i pokiwał melancholijnie głową, po czym oświadczył stanowczo:

– Neecarnis może swego białego brata nazwać głupcem – widząc zdumienie malujące się w oczach tamtego dodał z najgłębszym przekonaniem – tak, właśnie głupcem. Gdyby Shemágonish nie był nim, dawno już odkryłby zdrajcę i przez to uratował życie Dużego Mokasy. Ale ponieważ nie potrafi myśleć, dopuścił do nieszczęścia.

– Ale, Neecarnis nie rozumie.

– Zaraz zrozumie. Czy wie, co w mowie Wahgooshug oznaczają słowa „Chásekah-Nébowin”?

– Nie. Nie wie tego.

– Niech więc zapamięta, że oznaczają to samo, co słowa „La Soudaine Mort”. Czy Neecarnis pamięta, kiedy słyszał je po raz pierwszy?

– Tak, to było wtedy, gdy Shemágonish zabił fałszywego białego księdza. Neecarnis pamięta, jak tamten biały mówił, że La Soudaine Mort jest przewodnikiem tych, co ścigają Shemágonisha i zamierzają odebrać mu futra.

– Neecarnis ma dobrą pamięć. Dużego Mokasy zabił La Soudaine Mort, czyli Chásekah-Nébowin. Niech Neecarnis powie o tym Uhsuwaumowi i Geessenarowi. A oni niech uprzedzą swoich ludzi.

W ciągu następnych kilku dni nie wydarzyło się nic nowego. Część mężczyzn nadal polowała i suszyła lub piekła mięso, część zaś budowała nowe kanu lub naprawiała stare.

Okolo dwudziestego kwietnia z magazynu faktorii i ze strychu poczęto wnosić futra. Było ich dużo. Znacznie więcej niż ostatnim razem. Wąż załadowanych łodzi rozciągał się na przeszło pół mili. Wreszcie ruszył na południe.

Zniknęły zabudowania faktorii. Daleko z tyłu pozostało jezioro. Kanu wpłynęły na rzekę i poszły z jej biegiem. Wioślarze nie rozmawiali. Rzeka była kręta. W wielu miejscach jej nurt przegradzały zwalone w poprzek pnie drzew. Nad powierzchnię wystawały korzenie i grube konary. Brzegi były strome i urwiste.

Któregoś dnia tuż przed wieczorem kanu wpłynęły w niezbyt szeroki strumień. Po obydwu stronach szlaku coraz częściej pojawiały się grząskie bagna, podmokłe torfowiska i moczary. Przez następne kilkanaście dni kanu posuwały się w prawdziwym labiryncie strumieni i potoków, niewielkich mulistych jezior porośniętych trzciną i sitowiem.

Wreszcie daleko na południu zamajaczyły wzgórza.

W trzy tygodnie od opuszczenia faktorii Paul postanowił dać ludziom trochę odpoczynku. Obóz rozbili na skraju wysokiego, sosnowego boru, tuż u wylotu wijącego się łagodnie w górę parowu.

Było ciepło i parno. Od południa, zza gór ciągnęły gęstniejące z każdą chwilą pierzaste obłoki. – Pewno będzie deszcz – pomyślał młodziwiec i rozejrzał się w poszukiwaniu Geessenara. Spostrzegł go o kilkadziesiąt kroków dalej, tuż na skraju lasu. Wraz z innymi mężczyznami uwijał się przy stawianiu szałasów. Musiał również widzieć nadciągający

deszcz, bo spieszył się i ponaglał ludzi.

Przewidywania Paula sprawdziły się szybko. Nim minęła godzina, niebo zasnuły ciężkie chmury. Stojące prawie nieruchomo powietrze drgnęło. Porywisty szkwał przygiął korony drzew. Z góry lunęły strugi ciepłego deszczu. Po niebie przetoczył się pierwszy majowy grzmot. Burza, chociaż gwałtowna, nie trwała długo. Chmury odpłynęły na północ, powiał lekki ożywczy wiatr. W gałęziach drzew zatańczyły złote promienie słońca.

Neecarnis, który nie krył się przed deszczem i w czasie burzy najspokojniej siedział na odwróconym do góry dnem kanu, pod którym ukrył strzelbę i róg z prochem, teraz wyciągnął je ostrożnie i otrząpał z piasku. Widząc wysuwającego się z szałas Paula podszedł do niego i pokazując uciekające chmury stwierdził z przekonaniem:

– Deszcz dobry i ciepły. Niech Shemágonish żałuje, że i jego nie zmoczył. Czułby się teraz jak po kąpieli.

Paul uśmiechnął się:

– Shemágonish nie żałuje. Przyjemność wolał pozostawić swemu bratu. Co Neejee zamierza teraz robić?

– Jest wcześnie. Do wieczora daleko. Neecarnis spróbuje poszukać niedźwiedzia. Ma apetyt na szynkę i łapy. A może Shemágonish też się wybierze? Inni myśliwi poszli jeszcze przed burzą.

– Dobra myśl. Możemy iść. Shemágonish dawno nie polował na niedźwiedzia i zapomniał, jak smakuje jego mięso.

Szli szybko w stronę niezbyt oddalonego wierzchołka najbliższego wzniesienia. Dotarłszy do szczytu Neecarnis zatrzymał się i obrócił do swego towarzysza.

– Gdzie szukamy niedźwiedzia?

– Najlepiej tam, gdzie słońce i ciepło. Niedźwiedź lubi się wygrzewać.

Szli wolno, ostrożnie, południowym stokiem. O jakieś czterysta kroków dalej Indianin przystanął i zamienił się w słuch. Gdzieś z prawej strony dobiegał niewyraźny szmer.

Sprawdzili broń i poczęli wspinać się cicho po dość stromym w tym miejscu zboczu. Odgłos stawał się coraz wyraźniejszy i już wkrótce mogli usłyszeć charakterystyczny pomruk misia. Wychynawszy na skraj niewielkiej polany, spojrzeli na siebie znacząco. Niedźwiedź znajdował się nie dalej niż dwadzieścia kroków i nie zwracał na otoczenie najmniejszej uwagi. Stał nad dużym, w połowie zniszczonym już kopcem igliwia i co chwila rozgarniał go prawą łapą, a następnie w rozgarnięte miejsce zapuszczał swój długi język. Nie mieli żadnych wątpliwości, na czym skupiona była cała jego uwaga.

Neecarnis podniósł broń do ramienia i chwilę mierzył. Odległość była niewielka. Niedźwiedź stał zwrócony lewym bokiem. Nie miał żadnych szans. Po strzale sapnął tylko nieco głośniejszy i zarył nosem w mrowisko.

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, gdy uginając się pod ciężarem mięsa wrócili do obozu. Tam Neecarnis natychmiast rozpałił ognisko i zabrał się do przyrządzania pieczeni. Wkrótce pojawili się Geessenar i Uhsuwaum. Ich relacje były zgodne. Zwiadowcy wysłani zaraz po rozłożeniu obozu przedostali się na drugą stronę łańcucha wzgórz i zbadali teren w promieniu kilkunastu mil. Nie natrafili jednak ani na ślad tych, których wysłał Niedźwiedzi Pazur, ani na żadne inne ślady mogące wskazywać, że gdziekolwiek w pobliżu czają się wrogowie. Paul zaprosił obydwu Indian do ogniska. Przysiedli się chętnie. Inni myśliwi nie mieli tyle szczęścia, ale przynieśli kilka jeleni, poćwiartowanego łosia i dwa karibu. Dobrego mięsa było więc pod dostatkiem. Także perspektywa kilkudniowego odpoczynku wprowadziła dobry nastrój. Ucztowali więc do późnej nocy. Mimo to jeszcze przed świtem kilku zwiadowców ruszyło z obozu, by zająć posterunki obserwacyjne na wzgórzach. Okolice jednak świeciła pustką i przez pierwsze dwa dni nie wydarzyło się nic ciekawego. Trzeciego dnia tuż po świcie zjawił się Shikag. Był zmęczony i głodny, ale na jego twarzy malowało się zadowolenie.

Zaledwie przełknął kilka kawałków mięsa podsuniętych mu przez Neecarnisa, zaczął mówić:

– Wrogowie znad Słonej Wody znajdują się o parę dni drogi na południe. Czekają już prawie pół Księżyca. Rozesłali zwiadowców i wiedzą, że Shemágonish nie przekroczył jeszcze wzgórz. Jest ich dwa razy po dziesięciu i jeszcze pięciu i wszyscy są uzbrojeni w grzmiące kije. Razem z nimi jest dwadzieścia razy po dziesięciu wojowników Kenishtenog. Indianie posiadają tylko noże, łuki i tomahawki. Ich wodzem jest Kananaskis, o którym Shemágonish słyszał od Niedźwiedziego Pazura. Wodzem kupców jest Anglik. Nosi imię Marsden, lecz biali nazywają go czasami Bob. Wśród białych dwudziestu to Anglicy. Pozostałych pięciu jest Francuzami, którzy niedawno przypłynęli do faktorii Anglików zza Wielkiej Wschodniej Wody. Chociaż mówią tym samym językiem, co Shemágonish, nie są jego braćmi. Są przyjaciółmi kupca, który nazywa się Radisson. Tutaj przybyli, by zabrać futra Shemágonisha i jego skalp.

– Czy Shikag wie, w jakim miejscu zamierzają urządzić zasadzkę? Czy mówili już o tym?

– Nie. Miejsca jeszcze dokładnie nie ustalili. Szukają odpowiedniego w pobliżu swej kryjówki.

Paul uśmiechnął się z uznaniem.

– Shemágonish widzi, że jego brat nie stracił czasu. Niech teraz poczeka chwilę, aż nadejdą Geessenar i Uhsuwaum. Wtedy opowie po kolei wszystko, a Shemágonish będzie wiedział, jak ma postąpić.

Gdy przybyli obydwaj wojownicy, Shikag podjął ponownie przerwana opowieść. Mówił barwnie i żywo. Starał się nie pominąć żadnego istotnego szczegółu. Słowa swoje wspomagał gestami rąk i mimiką. Szczegółowo opisywał ścieżkę wiodącą do obecnej kryjówki białych oraz rejon ich przypuszczalnej zasadzki. Dla większej jasności poszczególne odcinki drogi i punkty orientacyjne rysował na ziemi. Na rozliczne pytania Uhsuwauma i Geessenara odpowiadał jasno i dokładnie. Gdy skończył, wszyscy mieli pełen obraz sytuacji.

– Co postanowi Shemágonish? – spytał Uhsuwaum. – Wrogów jest bardzo wielu. Wprawdzie ani Węże, ani Lisy nie obawiają się walki, ale nie chcieliby niepotrzebnie przelewać krwi Kenishtenog, którzy są ich braćmi. Czy Shemágonish ma jakiś dobry pomysł, który pozwoliłby mu pojmać lub przepędzić Kenishtenog nie zabijając ich? Ani Warbishcar Nocey, ani Seseganaga nie chcieliby ich śmierci. Ale Shemágonish jest tu wodzem. Niech zdecyduje.

Paul z uwagą słuchał rozumnych słów Uhsuwauma. Oczywiście mogło dojść do walki. Trudno było przewidzieć, co mogło wydarzyć się w ciągu najbliższych dni, ale nawet gdyby walka okazała się nieunikniona, musiał ograniczyć rozlew krwi. Jeśli nie rozpocznie z Kenishtenog walki, to kto wie? Może już w następnym roku właśnie jemu, a nie do Moose Factory dostarczą futra?

– Niech Geessenar i Uhsuwaum nie niepokoją się – powiedział poważnie. – Shemágonish wie, że Kenishtenog, którym biali nadali nazwę Cree, są braćmi wszystkich Odzibuejów. Nie chciałby, by bracia walczyli przeciwko braciom i stali się wrogami, tak jak stało się to w pobliżu wiosek bladych twarzy na wschodzie. Nie może przyrzec ani Geessenarowi, ani Uhsuwaumowi, że nie popłynie ani kropla krwi. Może okazać się to niemożliwe. Muszą więc być przygotowani również na walkę. Ale ze swej strony Shemágonish uczyni wszystko, by zapobiec niepotrzebnej śmierci. Niech jego bracia zaufają mu. Ma jednak do nich prośbę.

– Niech ją Shemágonish wyjawi – powiedział Uhsuwaum.

– Shemágonish chciałby, by jego bracia wytropili i schwytali jak najszybciej jednego z wywiadowców, których na pewno wysłał Kananaskis. Nie mogą uczynić mu żadnej krzywdy. Niech przyprowadzą go do Shemágonisha.

Na drugi dzień od wczesnych godzin porannych rozpoczęła się przeprawa przez wzgórza. Wprawdzie nie były zbyt wysokie, ale przenoszenie futer i łodzi trwało prawie do wieczora, a

mężczyźni byli solidnie zmęczeni. Mogli co prawda ominąć wzniesienie, ale musieliby wtedy stracić sporo czasu. Przeprowadzając się w tym właśnie miejscu zaoszczędzili przynajmniej kilka dni.

U podnóża południowego stoku wił się kręty płytki strumień o piaszczystym dnie. Nie można było nim płynąć, ale można było brodząc przeciągnąć kanu do innego, znacznie szerszego i głębszego strumienia, który – jak zapewniał Uhsuwaum – prowadził do oddalonej najwyżej o pół dnia drogi rzeki biegnącej na południe.

Paul, który przez wzgórza przeszedł z samego rana, siedział teraz z Shikagiem i Geessenarem gawędząc o dalszej drodze. Z tego, co poprzedniego dnia mówił syn Seseganagi, wynikało, że zwiadowcy Kananaskisa powinni znajdować się gdzieś w pobliżu. Toteż jeszcze wieczorem Geessenar wysłał na tę stronę wzniesień prawie trzydziestu mężczyzn, których zadaniem było zastawienie pułapki.

Paul, Geessenar i Shikag stanowili przynętę. Zachowywali się swobodnie, rozmawiali głośno, nie ukrywali dalszego szlaku. Rozłożyli się pod wysokim klonem o dobre sto kroków od głównego obozu. Kilka kroków dalej rosła spora kępa świerków opierająca się o wyższy las.

Jeśli zwiadowca chciał zobaczyć i posłuchać, miał do tego wyjątkową sposobność. Jakoż nie zawiedli się. Po upływie niecałych dwu godzin, od czasu, gdy usadowili się pod drzewem, w kępie coś gwałtownie zaszeleściło, rozległ się odgłos szamotaniny i wkrótce Uhsuwaum i Neecarnis wynurzyli się z zarośli prowadząc niefortunnego wywiadowcę.

Schwytany był młodym wojownikiem. Mógł liczyć najwyżej dwadzieścia kilka lat. W czasie szamotaniny nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń. Zaledwie kilka niewielkich zadrapań na rękach i piersi. Mimo niedobrej sytuacji, w jakiej się znalazł, nie okazywał najmniejszego lęku. Na swych napastników nie patrzył. Wzrok pełen niekłamanej ciekawości utkwiał w białym. Nie odzywał się jednak. Widocznie czekał, aż przemówią jego wrogowie, którym tak nieopatrznie dał się podejść.

Paul przyglądał mu się jakiś czas, zanim spytał:

– Jakie imię nosi nieostrożny wywiadowca Kananaskisa? Jeniec spojrzał na pytającego ze zdumieniem. W jego głowie nie mogło się pomieścić, że biały wie o wodzu. Zdołał tylko wyjąkać:

– Ale skąd wie... – zamilkł, bojąc się zdradzić, jakimś nieostrożnym słowem. Paul uśmiechnął się.

– Wojownik nie powinien ukrywać swego imienia. Inni mogliby pomyśleć, że się go wstydzi. Shemágonish pytał, jakie imię nosi jego brat. Niech odpowie.

Dziki spojrzał przenikliwie w twarz pytającego i odparł:

– Czemu biały chce poznać imię swego jeńca?

– Chce z nim porozmawiać. Oczywiście, jeśli Kenishteno jest wojownikiem, bo jeśli jest jeszcze chłopcem i nie ma imienia, biały każe go wychłostać różgami i płaczącego odeśle do matki, by mógł się wyzalić.

Nie wiadomo, czy drwina, z jaką mówił, czy groźba zawarta w jego słowach, poskutkowały, bo jeniec wyprostował się dumnie i odpowiedział:

– Kenishteno nie musi ukrywać swego imienia. Jego bracia nazywają go Aundak.

– Niech Kruk usiądzie-powiedział Paul. – Jeśli obieca, że w czasie rozmowy nie będzie próbował uciec, Shemágonish każe zdjąć mu więzy. Po rozmowie Aundak sam zdecyduje, co uczyni.

– Shemágonish chce uwolnić Kruka?-zdumiał się jeniec.

– Nie. Shemágonish nie chce na razie uwalniać Kruka. Chce mu tylko pozwolić, by rozmawiał nie mając więzów na rękach i nogach. Jeśli Aundak nie będzie próbował uciec, biały każe je zdjąć.

Wywiadowca wahał się przez chwilę, widać jednak doszedł do przekonania, że lepiej

rozmawiać mając wolne ręce i nogi, bo skinał głowę.

– Dobrze. W czasie rozmowy Kruk nie ucieknie.

Paul wyjął nóż i dwoma ruchami przeciął rzemienie, po czym zwrócił się do swych przyjaciół.

– Niech moi bracia zostawią teraz Shemágonisha i dopilnują, by w pobliżu nie zakradł się inny wywiadowca. Shemágonish nie chce, by podsłuchano jego rozmowę z Aundakiem. – Zaledwie jednak pozostał sam z jeńcem, spojrzał na niego i powiedział: – Niech Kruk posłucha uważnie. Później powie, co myśli. Nie wie pewno, jak to się stało, że został schwytany?

– Nie, tego nie wie. Ukrył się dobrze.

Paul uśmiechnął się i schował nóż.

– Kruk zaraz dowie się. Shemágonish od dawna wie, że biali znad Słonej Wody chcą zrabować jego futra. Obawiając się, że sami nie pokonają Shemágonisha, namówili wojowników Kenishtenog, by im pomogli. Wódz Kenishtenog, który nosi imię Kananaskis zabrał dwadzieścia razy po dziesięciu mężczyzn i przyłączył się do białych kupców. Obiecali mu wiele podarków i dużo wody ognistej i powiedzieli, że walka będzie łatwa. Kananaskis wraz z białymi zatrzymał się o cztery dni drogi stąd w kierunku południowym już pół Księżyca temu i rozesłał zwiadowców. Wódz nie wie, że Shemágonish ma również dwadzieścia razy po dziesięciu wojowników i że wojownicy ci uzbrojeni są w grzmiące kije. Gdyby Shemágonish wydał polecenie walki, od kuł jego mężczyzn zginęłoby bardzo wielu wojowników Kenishtenog. W ich wigwamach kobiety musiałyby posmarować twarze czarnym popiołem. Shemágonish nie chce tego. Wie, że Kenishtenog i Odzibueje są braćmi i nie powinni walczyć przeciw sobie. Walki nie obawia się, ale nie chce, by połała się krew jego czerwonoskórych braci. Dlatego właśnie polecił schwycić wywiadowcę Kananaskisa. Jeszcze nocą zastawił pułapkę, w którą wpadł Kruk. Shemágonish nie uważa go za wroga i nie zabierze mu ani życia, ani skalpu. Po skończeniu rozmowy Kruk będzie mógł odejść do swych braci. I nikt go nie zatrzyma. Zanim jednak odejdzie, powie, czy spełni życzenie białego?

– Jakie życzenie ma Shemágonish?

– Chce, by Kruk zgodził się zaprowadzić go do Kananaskisa. Biały pragnie porozmawiać z wodzem.

– O czym chce rozmawiać?

– O tym, o czym mówił Krukowi. Nie chce, by zginęło wielu Kenishtenog, których uważa za swych braci. Czy Kruk zaprowadzi Shemágonisha do wodza, tak by nie dowiedzieli się o tym biali, którzy są teraz z Kananaskisem?

Zwiadowca długo milczał rozważając słowa oraz prośbę tego, którego uważał za wroga jeszcze pół godziny temu. Wreszcie uniósł głowę i powiedział:

– Kruk zaprowadzi białego do wodza. Wie, że Shemágonish mówi prawdę. Kruk nie chce również, by ginęli jego bracia, ale nie wie, co postanowi wódz i niczego w jego imieniu Shemágonishowi nie może obiecać.

Paul odetchnął. Wstał z ziemi i powiedział:

– Niech mój młody brat pójdzie ze mną. Zobaczy wojowników Shemágonisha i ich broń. Będzie mógł powiedzieć wodzowi, co sam widział. Biały nie będzie ukrywał niczego. Chce, by Kananaskis wiedział, co go czeka, jeśli nie przychyli ucha na słowa rozsądku i przyjaźni.

W pół godziny później Kruk siedział spokojnie przy ognisku i jakby nic się nie stało, pochłaniał duże kęsy ledwo przypieczonego mięsa. Nie czuł się skrępowany obecnością tylu mężczyzn, których uważał za swych wrogów i przeciwko którym wkroczył na ścieżkę wojenną. Widział, że mieli dużo dobrej broni. Znacznie więcej niż biali, do których przyłączył się Kananaskis. Rozumiał, że gdyby doszło do walki, Kenishtenog ani kupcy znad Słonej Wody nie mieli najmniejszych szans.

Przelknął ostatni kęs i rozejrzał się wokół. Biały wódz rozmawiał właśnie z kilkoma swoimi ludźmi. Słuchali go z szacunkiem. Musiał być bardzo silny i mimo braku siwych włosów mądry. Ci, co go słuchali, byli starsi. Kruk podniósł się i poprawił tkwiący za pasem nóż.

Shemágonish pożegnał krótko swych mężczyzn i podszedł do ogniska.

– Czy Kruk nasycił już głód? – spytał.

– Tak. Kenishteno może teraz nie jeść przez całą drogę prowadzącą do obozu jego braci.

– Czy Kruk ma w pobliżu kanu czy pójdą pieszo?

– Kanu czeka na końcu drugiego strumienia – odparł – popłyną szybko.

W godzinę potem płynęli z prądem niewielkiej rzeki. Prowadził zwiadowca Kananaskisa. Drogę znał dobrze, bo mimo zapadającego zmroku nie zaproponował, by zatrzymali się na nocleg. Po wschodzie księżyca Kruk skierował kanu w jakieś odgałęzienie, a po dwu godzinach w głęboki leniwie płynący potok. Jeszcze przed wschodem słońca przecięli w poprzek spore jezioro i wypłynęli na nieco większą rzekę.

Biały uśmiechnął się w myśli. Pamiętał dobrze ten odcinek. Właśnie za zakrętem, do którego teraz się zbliżali, zabił ogromnego łosia.

Ale zakręt wkrótce został w tyle. Z przodu, wraz z powiewem wiatru, dobiegł narastający szum. Kruk, który nasłuchiwał od pewnego czasu, teraz zanurzył wiosło po prawej stronie usiłując skierować kanu do brzegu. Biały jednak powiedział spokojnie:

– Niech Aundak wiosłuje tak, jak dotąd. Woda wysoka. Kanu łatwo przejdzie przez bystrze. Indianin klęczący z przodu czołna obrócił głowę.

– Czy Shemágonish jest tego pewien? Jeśli rozbiją kanu, będą musieli pójść pieszo.

– Woda wysoka – powtórzył Paul. – Dno kanu nie dotknie żadnego kamienia. Niech Kruk uważa tylko na białą skałę z lewej strony i trzyma dziób z dala od niej. Tam jest wir. Może wciągnąć.

Indianin mocniej ujął wiosło. W kilkanaście chwil potem znaleźli się pośrodku białej kipieli. Woda szorowała tu z głośnym szumem między niewysokimi skałami. Prąd wzmacniał się. Pośrodku nurtu ukazał się wysoki spieniony grzebień. O kilkanaście kroków w przedzie zamajaczył biały wysoki nawis. Obydwaj wiosłarze zanurzyli głębiej wiosła. Kanu prześlizgnęło się skrajem wiru, przemknęło cudem obok ostrego kamienia i za chwilę poszło dziobem w dół.

Uskok nie był wysoki. Przelecieli nad nim niemal nie dotykając wody. Kipiel pozostała za nimi. Indianin odwrócił głowę i po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko.

– Shemágonish jest znakomitym wiosłarzem. Gdyby Kruk nie widział, jak skacze przez wodospady, nigdy by w to nie uwierzył.

Paul uśmiechnął się również.

– Kruk nie powinien się dziwić. Shemágonish zna bystrza i wodospad. I nigdy nie przenosił kanu obok niego. Nie lubi się niepotrzebnie trudzić. I woda wyręcza go w pracy.

Płynęli dalej nie rozmawiając. Jedynie od czasu do czasu Indianin odwracał głowę i patrzył z ciekawością na białego. Shemágonish, mimo iż schwytał Kruka, nie pogardzał nim. Uwolnił natychmiast jego ręce i nogi i traktował z szacunkiem. Nie wypytywał go o nic, gdyż musiał wiedzieć, że zwiadowca umrze raczej, niż wyjawিi cokolwiek wrogowi. Nie obawiał się zawierzyć słowu jeńca i nawet strzelbę położył tak, że gdyby Kruk chciał, mógł dosięgnąć jej w każdej chwili.

Ostry zakręt przerwał rozmyślenia Kruka. Musiał teraz dobrze uważać, by nie przeoczyć prawie zakrytego ujścia strumienia, który wiódł do obozu jego braci.

Przepłynęli jeszcze kilkaset kroków, gdy Indianin w gąszczu nadbrzeżnego listowia dostrzegł niewielki strumyk. Bez namysłu skierował kanu w jego wylot. Płynęli teraz pod nisko zwisającymi gałęziami gęstych krzewów. W pewnej chwili z przodu zamajaczył nieco jaśniejszy pas wolnej przestrzeni. Kruk wprowadził kanu pod listowie i wyskoczył na brzeg.

Bez słowa powiódł białego wąską, ledwo widoczną ścieżką w głąb lasu.

Po kilku minutach doszli do niewielkiej polany. Na środku rosła wysoka czarna brzoza. Przewodnik wskazał drzewo i powiedział cicho:

– Tu biały poczeka. Kruk pójdzie do wodza. Wróci, nim słońce ułoży się na spoczynek. Tu wojownicy nie przychodzą. Shemágonisha nikt nie wypatrzy. Niech czeka.

Biały skinął głową i usiadł pod brzozą. Przewodnik zniknął na ścieżce. Jeszcze przez pewien czas słychać było szelest jego oddalających się kroków. W końcu zapanowała cisza.

Czas upływał powoli. Słońce wzniesione wysoko nad wierzchołkami drzew sunęło leniwie do swego złocistego wigwamu zbudowanego po zachodniej stronie nieba. Przesączać się przez liście brzozy muskało łagodnie twarz siedzącego mężczyzny. Nie ruszał się. Nie chciał płoszyć małego ciemnego zwierzątka, które ośmielone panującym wokół bezruchem i ciszą sunęło ostrożnie w stronę najbliższej sosny, w której gałęziach uganiały się dwie rude wiewiórki. Widocznie nie dostrzegły jeszcze grożącego im niebezpieczeństwa, bo swawolnie śmigały w koronie drzewa, strącając na ziemię suche, zeszlóroczne szyszki.

Paul nie wykonał najmniejszego ruchu. Obserwował kunę, która przemknąwszy pod liściem paproci przywarła teraz do grubego pnia sosny. Z odległości kilkunastu kroków widać było wyraźnie jej silne błyszczące paciorkowate oczka wpatrzone w uganiające się wysoko rude zwierzątka. Musiała być głodna, bo nie odrywając od nich wzroku sunęła szybko po grubym pniu. Dostrzegły ją, gdy była zaledwie o kilka stóp od szczytu drzewa.

Nastąpiła cała seria błyskawicznych skoków. Jedna z wiewiórek przemknęła po pniu prawie obok pyska prześladowcy i niczym czerwona strzała wijąc się wokół pnia znalazła się na ziemi. Ale kuna była nie mniej szybka i w chwilę później jej ostre pazury dosięgły rudego futerka. Rozległ się krótki pisk. Trzymając w pysku swą zdobycz kuna zniknęła w gęstwinie.

Siedzący popatrzył na niebo. Słońce zaczęło się zniżać nad wierzchołkami drzew. Gdzieś od wschodu poniósł się głos orła. Paul pogonił wzrokiem w tamtym kierunku i uśmiechnął się w duchu. Niebo było czyste. Daleko niosącego się głosu nie wydał ptak, to nadchodzili ludzie.

Widocznie wódz obawiał się podstępu i nie przybywał sam. Biały nie ruszał się jednak. Przymknął tylko powieki i wyostrzył słuch. Czekał. Wiedział, że tamci zbliżają się ze wszystkich stron. Było ich przynajmniej ze dwudziestu. Posuwali się ostrożnie, ale pewnie. Otwarł oczy. Tak”. Dostrzegli go już i zbliżali się, nie szukając osłony za drzewami.

Wkrótce otoczyli go milczącym kręgiem. W rękach trzymali napięte łuki. Byli rośli i barczyści. Pomalowane wojennymi barwami twarze tchnęły dzikim, pierwotnym okrucieństwem. Stanęli o kilka kroków. Do przodu wystąpił wojownik z trzema orlimi piórami we włosach i wbił w siedzącego groźne spojrzenie. Nagle w oczach jego błysnęło jakieś dziwne światło. W twarzy pojawił się wyraz osłupienia. Na piersi białego, zawieszony na cienkim rzemieniu spoczywał płaski, zielony kamień – znak Midewiwin.

## ROZDZIAŁ XII

### Zasadzka

Nie mogę niestety przyznać panu racji, Canard – stwierdził niedbale Marsden. – Był pan przecież świadkiem tego, jak ostrzegałem pana Radissona, że przedsięwzięcie, do którego namawia Barbeta, jest nie tylko niebezpieczne, ale i niepotrzebne i może wzbudzić podejrzenia Bressona. Radisson, jak pan pamięta, nie zważał na przestrogi. Twierdził, o ile sobie dobrze przypominam, że Barbet znakomicie nadaje się do roli zakonnego braciszka, że bez trudu obejrzy faktorię Bressona, zbada siły, jakimi rozporządza ten chłopak i zdąży wrócić przed spłynięciem lodów. To przecież pan Radisson wynalazł Barbetowi tych dzikich Wasses w charakterze przewodników. Odradzałem to. Są tu świadkowie-wskazał na siedzących wokół ogniska mężczyzn. – Jakim prawem więc obwinia mnie pan o zaginięcie swego przyjaciela?

Francuz zmarszczył gniewnie brwi. Nie zamierzał ustępować zbyt łatwo.

– Pan też chyba pamięta, Marsden, że Pierre radził wysłać nie samego Barbeta, a przynajmniej czterech, pięciu innych mężczyzn i całą sprawę załatwić jeszcze zimą.

Anglik uśmiechnął się lekceważąco.

– Tak. Pan Pierre Esprit Radisson, o ile dobrze wiem, miał już różne pomysły, które nie wyszły mu na dobre. Owszem radził, by w środku zimy posłać do faktorii Bressona cały oddział ludzi i przejąć faktorię z towarami. Tylko nie potrafił odpowiedzieć na parę prostych pytań. Nie wiedział, jak silną załogę ma Bresson. Nie wiedział, z jakimi plemionami handluje, no i nie mógł dać żadnej gwarancji, że po rozprawieniu się z tym pańskim ziomkiem, jego indiańscy sojusznicy, z którymi utrzymuje dobre od wielu lat stosunki, zechcą potem handlować z nami. Wie pan przecież, jak niewiele przyszło ich tej zimy do nas. Nie mogłem się zgodzić na taką awanturę. Stracilibyśmy pewno sporo ludzi i nie zdobylibyśmy jednego bobrowego ogona. A kto wie, czy nie skończyłoby się to jeszcze gorzej. Zresztą pan Radisson przyznał mi w końcu rację. A ja nie miałem powodu, by zatrzymywać jego prywatnego szpiega.

– To nie był prywatny szpieg, Marsden. Pan Radisson jest członkiem Zarządu Kompanii i to, co czyni, czyni dla jej dobra.

Marsden wzruszył pogardliwie ramionami. Ten Francuz zaczynał go denerwować. Trzeba go było uspokoić przynajmniej na jakiś czas. W przeciwnym wypadku mógł się stać nazbyt uciążliwy. Zresztą sam wyraźnie dopraszał się o nauczkę.

– Mówi pan, Canard, że Radisson działa dla dobra Kompanii? Popatrzmy więc, jak wygląda ta działalność – tu na chwilę zawiesił głos, po czym ciągnął dalej. – Wiosną ubiegłego roku uparł się, by do Trois Rivières i Quebecu wysłać kilkunastu indiańskich szpiegów – jak twierdzi – swych przyjaciół i obiecał im zapłacić z góry. Nie znałem wtedy dobrze pana Pierre Radissona. Zapłaciłem z magazynu Kompanii. – Anglik nie zająknął się nawet przy tym kłamstwie, ale tamten przecież nie wiedział. – Tak, zapłaciłem z góry, ale żaden z wysłanych wtedy szpiegów nie pojawił się więcej. Zabrali strzelby, a jakże, zabrali proch, kule i całą masę innych rzeczy i szukaj wiatru w polu. Wszystko to poszło nie z kieszeni pańskiego ziomka. Z funduszków Kompanii i ją naraziło na straty, panie Canard.



A co mówił Radisson wysyłając Barbeta? Twierdził, że misje jezuickie rozciągnięte wokół Wielkich Jezior prowadzą na szeroką skalę handel futrzany, że braciszkwowie zakonnicy cały ten dziki kraj przemierzają we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu nowych rejonów skupu i że można ich spotkać niemal w każdym plemieniu. Mówił w związku z tym, że pojawienie się Barbeta w roli zakonnego braciszki nie wzbudzi żadnych podejrzeń Bressona. Otóż pan Radisson mylił się i tym razem. Bo skoro to, co mówił o jezuitach, jest prawdą, to przecież stanowią oni konkurencję dla każdego indywidualnego kupca, szczególnie jeśli ten usadowił się w tak dobrym rejonie jak Bresson. My do Bressona jako do Francuza nie mamy nic, tak jak do pana, Canard. Nie lubimy go jako kupca. Bo on jako kupiec jest naszym przeciwnikiem. Bresson myśli na pewno podobnie jak my, Nie mógł więc patrzeć życzliwie na to, że jakiś jezuita odkrył jego futrzane królestwo. Pan Radisson nie pomyślał widać o tym, no i z Barbetem wyszło tak, jak z tymi indiańskimi zwiadowcami. Poinformuję o tym zarząd Kompanii. Niech wiedzą, jakiego mają współnika i na ile mogą na nim polegać.

Francuz zacisnął zęby. Angielski dowódca Moose Factory pozwalał sobie jednak zbyt wiele i wyraźnie zmierzał do oczernienia nieobecnego Radissona, toteż odparł twardo:

– Może pan o Radissonie myśleć, co się panu podoba, Marsden. Nie przed panem będzie tłumaczył się ze swego postępowania. Tutaj obecnie ja go zastępuję, a jeszcze do tej pory nie raczył mi pan powiedzieć, co pan zamierza uczynić z Bressonem i futrami. Jak mówią zwiadowcy, wiezie duży ładunek.

– Zaraz panu odpowiem, Canard. Myślałem, że nie będę tego musiał mówić, ale skoro pan nalega. Otóż, może zechce pan przyjąć do wiadomości, że Hudson Bay Company jest kompanią angielską, nie francuską. Na jej czele stoi książę Rupert. Kompanię tworzą udziałowcy z odpowiednim wkładem kapitałowym, a pan Radisson należy do tych, którzy posiadają najmniejszy udział. A więc na własną rękę nie ma prawa decydować o niczym i nie może samowolnie wydawać nikomu poleceń. Książę Rupert na dowódcę tej placówki wyznaczył mnie. Pana zaś i pańskich kolegów przysłano tu tylko jako moich pracowników – podkreślił to słowo – a nie nadzorców. A więc niech pan przyjmie do wiadomości, że pański obowiązek to słuchać moich poleceń i wykonywać je. W przeciwnym wypadku może się pan narazić na kłopoty. Futra, które zamierzam zdobyć, należą do Kompanii i zarząd podzieli je stosownie do udziału każdego z członków. A to, co zamierzam zrobić z Radissonem, to nie pański zasrany interes. To, co powiedziałem, niech pan powtórzy swoim kolegom. Są tu po to, by wykonywać moje polecenia, a nie mądrzyć się i uprawiać jakąś francuską politykę. Taką mogliby się zajmować, gdyby byli w Quebecu, nie tu – dokończył i odwrócił się do trójki Anglików przysłuchujących się w milczeniu całej rozmowie.

Francuz przełknął kilkakrotnie ślinę, lecz widząc, że angielski dowódca wyprawy zakończył rozmowę i nie zwraca na niego uwagi, podniósł się i powlókł do oddalonego o kilkadziesiąt kroków ogniska, przy którym skupiła się czwórka jego rodaków. Tu, jak wreszcie zrozumiał, Anglicy czuli się panami i widać było, że Marsden nie zamierza z nikim dzielić się władzą.

Po jego odejściu Sam uśmiechnął się złośliwie:

– Mam wrażenie, że temu zarozumiałemu żabojadowi odechce się wreszcie wtrącać do nie swoich spraw. Dziwiłem się trochę. Bob, że tak długo to znosisz.

– Musiałem. Proszono mnie z Londynu, bym unikał niepotrzebnych zadrażnień z przyjaciółmi pana Radissona. Liczą się tam z nim na dworze i pewno będzie to jeszcze jakiś czas trwało. Dzisiaj Canard przeholował, więc dostał, co mu się należało, a jeśli będzie trzeba... Cóż, najwyżej rozstaniemy się – dokończył dwuznacznie. Widział, że go zrozumieli.

– No dobrze – odezwał się ponownie Sam – a co właściwie zamierzasz zrobić z Bressonem?

– Hm... Widzicie, sprawa jest nieco skomplikowana.

Oczywiście najłatwiej byłoby pozbawić go skalpu i zabrać futra. Ale to połowiczne i wcale

nie najlepsze rozwiązanie.

– Czemu, Bob?

– Tak. To rozwiązanie na krótką metę. Pewno, że zgarnęlibyśmy cały ładunek futer praktycznie bez żadnych kosztów. Ale wygląda to tak tylko z pozoru. W rzeczywistości koszty mogłyby okazać się bardzo duże.

– Nie bardzo cię rozumiemy?

Marsden patrzył na nich z leciutkim uśmieszkiem.

– Pomyślcie! Imię Shemágonish, jak go nazywają, wyrobił sobie wśród tutejszych plemion dobrą reputację. Dzicy Przyzwyczaili się do niego i jego towarów. Podobnie zresztą dzieje się z innymi francuskimi gońcami leśnymi. Do niego ciągną z najdalszych okolic. Gdyby go zabrakło, handel w tym rejonie stanąłby na długie lata. Nim dzicy przekonają się do nas, nim my dopasujemy się do nich, minie sporo czasu. Bresson powinien tu pozostać nadal i... handlować, ale handlować dla” nas. Nad tym myślę cały czas.

– Więc nie chcesz go wykończyć?

– Nie! Wprost przeciwnie. Sam. Chcę go kupić, tak jak nasi kupili Radissona. I jeśli się na to zgodzi, zapłacę mu bardzo dobrą cenę. Jeśli zajdzie potrzeba, uczynię go królem w tej jego faktorii.

– Ależ, Bob, na litość boską! Co ty opowiadasz? Chcesz płacić za futra, po które wystarczy wyciągnąć rękę? Rozumiem, że chcesz go przekupić. To jest dobra myśl. Rozumiem, że chcesz pozostawić go w faktorii, ale przecież za to możesz zapłacić tym, że zostawisz mu skalp na głowie, to chyba wystarczy?

Marsden pokręcił głową.

– Nie rozumiesz tego. Sam. Mnie nie chodzi o to, by zmuszać go do czegoś. Chcę go przekonać, że zarobi więcej handlując z nami. Nie chcę, by się bał. Ten, kto się boi, zawsze w końcu zdradzi. Chcę, by przystał do nas dobrowolnie. Zapewnię mu natychmiast udziały z poręczeniem zabezpieczenia ich w Londynie. Powierzę mu kierownictwo jego faktorii na wiele lat i dopilnuję, by nikt tego nie zmienił. I dam mu ludzi tylu, ilu tylko będzie chciał. Naszych ludzi, rozumiesz? Za parę lat dzicy poznają ich, zaprzyjaźnią się. Będą uważali za swoich. Dopiero wtedy pan Bresson może zniknąć. Faktorię poprowadzą nasi. No, a jeśli Bresson zniknie i nie pojawi się w Londynie, jego kapitał zasili skarbiec Kompanii. To lepsze wyjście, niż zabicie teraz.

Ale oczywiście jest jeszcze coś. Oszczędzenie samego Bressona nie rozwiązuje niczego. Dzicy, jak wiecie, wszystkie krzywdy pamiętają długo i są mściwi. Bresson nie jest sam. Futra jego wiezie przynajmniej setka, a może i więcej ludzi. Odżibueje nie mają tchórzów, tak jak Huroni. Nie obawiają się śmierci. Jeśli ich zaatakujemy, to mimo że my mamy strzelby, a oni prawdopodobnie tylko łuki i te swoje tomahawki, dojdzie do walki. Zginie wielu ludzi Kananaskisa i wielu, a może nawet wszyscy z tamtej strony. Skutków tego nie da się szybko odwrócić ani zatrzeć w pamięci. Dlatego trzeba zrobić wszystko, żeby nie doszło do walki i do chęci zemsty.

Tak... Wreszcie zrozumieli. Potwierdzało się nie wiadomo który raz z rzędu, że Bob Marsden myślał znacznie dalej niż inni, chociaż rzadko dzielił się swoimi myślami. John i Tom, którzy nie wtrącali się dotychczas do rozmowy, patrzyli teraz na niego wyczekująco, a John spytał niepewnie:

– Jak, u diabła, zamierzasz zdobyć futra, nie oddając ani jednego strzału? Przecież tamci to nie dzieci, a po to by przekonać Bressona, musisz go najpierw mieć.

– W tym właśnie cały problem. Jak przycisnąć Bressona, a właściwie jak zmusić go do rozmowy, zanim padnie chociażby jeden strzał?

– Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wreszcie Sam, najbardziej zaprzyjaźniony z Bobem, wzruszył ramionami.

– Jest tylko jeden sposób. Trzeba go po prostu złapać w sidła lub, jak wolicie, w zasadzkę,

ale taką, w której nie będzie miał żadnych szans obrony.

Marsden pokiwał głową.

– To jasne. Sam. Masz rację. Nie ma innego sposobu. Rozmawiałem zresztą o tym z wodzem. Jego zwiadowcy już od paru dni penetrują teren w promieniu dobrych pięćdziesięciu mil. Myślę, że powinni znaleźć jakieś odpowiednie miejsce.

– Mówiłeś mu, że nie chcesz walki? – zdziwił się Sam.

– Nie, tego jeszcze nie mówiłem. Zdaży się dowiedzieć, gdy przyjdzie na to czas. Na razie kazałem mu szukać miejsca, gdzie można urządzić zasadzkę, taką, z której nie mogłaby wyjść ani jedna żywa noga.

– No, a jeśli zwierzyna nie wpadnie do pułapki lub Bresson nie zgodzi się na twoje warunki?

– Wtedy trudno. Sam będzie sobie winien. Ale wolałbym uniknąć takiej ostateczności.

Rozmowa urwała się. Marsden przekuł patykiem dużego indyka i zawiesił go zręcznie nad ogniem. Nie rozmawiał z nikim więcej do wieczora.

Nocą nakryty dwoma ciepłymi wełnianymi kocami myślał usilnie. Mimo pewności, jaką udawał przed tamtymi, nie był wcale przekonany, że sprawa potoczy się tak gładko. Tamten nie był młodzieniaszkiem. Lata, jakie spędził u Irokezów, nie przytępiły zapewne cech białego człowieka, a wyrobiły przezorność i chytrość. Już samo to, że z Trois Rivières udało mu się niepostrzeżenie zabrać transport towarów, dawało wiele do myślenia. Nie zabierał z sobą białych. Musiał dobrze znać dzikich i dawać sobie z nimi radę. Nie mógł być kimś przeciętnym.

Z samego rana do ogniska białego dowódcy przyszedł Kananaskis i powiedział bez żadnych wstępów:

– Zwiadowcy znaleźli dobre miejsce na zasadzkę. Jeśli wódz bladych twarzy chce je obejrzeć, trzeba przenieść cały obóz.

– Czy miejsce jest daleko stąd?

– Trzeba iść dzień i pół – odparł wódz. Marsden skinął głową i zarządził zwinięcie obozu. Prowadził młody jeszcze zwiadowca o niemożliwym do wymówienia dla białych imieniu, którego głowę i pół twarzy zasłaniało nakrycie wykonane przemyślnie z gałązek modrzewia.

Wódz posługując się skąpym zasobem słów francuskich, które zresztą kaleczył niemiłosiernie, wyjaśnił, że w języku białych imię tego wojownika brzmi Ten Co Nie Boi Się Grzmotu.

Szli przez rzadki, dosyć wysoki las. Przewodnik znał dobrze drogę. Zawahał się tylko raz, gdy dotarli do jakiegoś sporego bagna, przez które nie można się było przedostać. Skręcił wtedy w lewo. Sporym łukiem ominął przeszkodę i znów prowadził bez odpoczynku do wieczora. Następnego dnia wprowadziwszy oddział w niewielką, ocienioną gęstym sosnowym borem kotlinkę zatrzymał się i kilka minut rozmawiał z wodzem.

Wysłuchawszy go, wódz wykonał rękoma kilka gestów, po których jego ludzie złożyli na ziemi niesione dotąd kanu i zabrali się za urządzanie nowego obozu.

– Czy tutaj właśnie jest miejsce zasadzki? – spytał nieco zdziwiony Marsden.

Kananaskis pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie tutaj. Tutaj biali i ich bracia muszą się zatrzymać, żeby nie zostawiać śladów. Miejsce, które wy brał Ten Co Nie Boi Się Grzmotu, jest trochę dalej. O ćwierć dnia drogi stąd. Biały wódz pójdzie tam z Kananaskisem i zwiadowcą i obejrzy je. A potem zastanowi się, jak schwytać Shemágonisha i jego futra.

Marsden wysunął się do przodu i powiedział zdecydowanie:

– Chodźmy!

Indianin jednak wykonał przeczący ruch ręką.

– Tak nie można. Biały wódz ma na nogach niedobre mokasyny. Każdy pozna, że to nie indiańskie. Trzeba je zmienić. Gdy nadejdzie Shemágonish i na ścieżce, którą będzie

przechodził, zobaczy ślad mokasynów, jakie noszą Indianie, nie nie pomyśli. Gdyby przypadkowo odkrył nawet kawałek śladu, jaki zostawiają mokasyny białych ludzi, musiałby coś podejrzewać. Lepiej zmienić obuwie.

Biały musiał mu przyznać rację. Niby drobiazg, ale przecież tutaj taki drobiazg mógł spowodować nieobliczalne następstwa. Bez wahania zdjął buty o grubej, twardej podeszwie i nałożył na stopy lekkie mokasyny przyniesione przez jednego z Indian.

W niecałe pół godziny później podążali za przewodnikiem. Teren wznosił się. Spod skąpej roślinności coraz częściej wyzierały ostre odłamki skał. Trzeba było bardzo uważać, by w jakiejś skalnej szczelinie nie skrócić lub nie złamać nogi. W końcu postrzępione bezładne rumowisko zlało się w wysoki, jednolity masyw skalny. Z trudem wydostali się na jego grzbiecie. W dole waliła rzeka. Łoskot wody przedzierającej się przez niezbyt szeroki parów był tak wielki, że z trudem słyszeli własne głosy.

Mówił Ten Co Nie Boi Się Grzmotu:

– To – wyciągniętą ręką pokazał w dół – jedyna droga Shemágonisha do jeziora Alemipigon. Nie ma innej. Rzeka płynie parowem na długości prawie całego dnia drogi. Wszędzie skały, kamienie, wodospady. Kanu nie przejdą. Trzeba je przenieść na plecach nad samym brzegiem. Tam wąsko. Najwyżej dwa, trzy kroki. Gdy ludzie wejdą do parowu, wystarczy zamknąć go z jednej i z drugiej strony. Nikt nie wyjdzie. Z góry można zabić wszystkich.

Marsden obrócił się ku niemu i spytał:

– A jeśli Shemágonish nie pójdzie ścieżką, która prowadzi dołem?

– Nie. Shemágonish nie może tak postąpić – zaprzeczył dziki stanowczo. – Po drugiej stronie woda zalewa skały i po ich grzbiecie nie przejdzie nawet wiewiórka. Po tej, gdyby chciał przejść górę, musiałby stracić przynajmniej pięć lub sześć dni. Dołem przejdzie w niecały dzień. Pójdzie dołem.

Marsden oparł dłoń na ramieniu przewodnika i powiedział z zadowoleniem:

– Ten Co Nie Boi Się Grzmotu odkrył dobre miejsce. Biały wódz nie zapomni o tym, gdy będzie rozdawał podarki. Indianin wydawał się zadowolony.

– A czy Ten Co Nie Boi Się Grzmotu będzie mógł wziąć taki grzmiący kij, jaki ma jego biały brat? Kupiec skinął głową.

– Czerwonoskóry brat otrzyma taką strzelbę, wielki róg z prochem, kule i wiele innych pięknych podarków.

Wracali tą samą drogą, którą przyszli. Marsden był zadowolony. Jeżeli prawdą było to, że droga transportu Paula Breśsona wiodła właśnie tą rzeką, wąwóz stanowił prawdziwie diabelską pułapkę. Bez względu na to, jakimi siłami rozporządzałby przeciwnik, nie miał najmniejszych szans wydostania się z niej.

Myśli Anglika wybiegły w przyszłość. Nie miał żadnych wątpliwości, że wyeliminowanie Shemágonisha, obojętnie, czy to przez pozyskanie go, czy unicestwienie, otwierało przed Moose Factory wielką szansę na przyszłość. Poza tym jednym francuskim leśnym gońcem, na całym zachodnim terytorium nie działał jeszcze żaden inny kupiec. Usadowienie się tu i założenie dużej faktorii, zaopatrzonej w potrzebne Indianom towary i obsadzenie jej odpowiednią liczbą dobrze dobranych ludzi stanowiłoby nie tylko wielomilowy krok w skierowaniu złotego strumienia futer na rynek angielski, ale co równie, a może jeszcze bardziej ważne, w odcięciu francuskiej penetracji i eksploatacji północno-zachodnich rejonów kraju.

Niewidoczny korzeń wyrósł pod stopami idącego i omal nie spowodował jego upadku. Uśmiechnął się do siebie i postanowił bardziej zwracać uwagę na ziemię. Marzenia o wielkim imperium futrzanym w rękach Kompanii były niewątpliwie bardzo piękne, ale niestety obecnie ważniejsze było to, by przypadkowo nie skrócić sobie karku.

Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi, gdy dostrzegł zdążającego od strony obozu

jednego z ludzi Kananaskisa. Indianin zbliżył się szybko do wodza i zaczął mówić coś w swym niezrozumiałym języku.

Marsdenowi wydawało się, że w jego dziwnej, niezrozumiałej mowie raz i drugi padło słowo „Shemágonish”. Nie był jednak tego pewien. Z zainteresowaniem obserwował żywą gestykulację i mimikę tamtego. Dostrzegł wyraz zadowolenia na twarzy wodza i dotknął jego ramienia.

– O czym mówi brat Kananaskisa? -spytał. – Czy przynosi może jakieś ważne wieści? Wódz obrócił się ku niemu i skinął głową.

– Tak, wieści ważne i dobre. Wróciło kilku zwiadowców, których Kananaskis wysłał przed kilkoma dniami. Widzieli wrogów. Trzeba wrócić szybko do obozu. Tam biały brat dowie się wszystkiego. – Bez jednego słowa więcej wysunął się do przodu i długimi krokami podążył w stronę obozu.

W pół godziny później dostrzegli kilkanaście ognisk i liczne, poruszające się wokół nich postacie. Wódz skierował się ku środkowi obozu i minawszy kilkunastu wojowników zatrzymał się przy jednym z ognisk, dokoła którego siedziało paru mężczyzn. Tu obrócił się do Anglika i powiedział z uśmiechem:

– Niech biały spocznie.

W tym momencie Marsden uświadomił sobie, że przechodząc przez obóz nigdzie nie dostrzegł ani jednego ze swych ludzi. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem dokoła i owładnął nim niepokój. Spojrzał na siedzący w milczeniu krąg mężczyzn. I raczej wyczuł, niż usłyszał, że gromadzą się również za jego plecami. Dostrzegł, jak od sąsiednich ognisk podnoszą się wojownicy i otaczają go. Ich tłum rósł, gęstniał, zacieśniał się coraz bardziej.

– Niech biały usiądzie – powtórzył wódz. – Nie wypada, by stał, gdy siedzą jego bracia. Zwłaszcza że nie chcieliby, by zmęczył się, zanim skończą z nim rozmowę. I niech odłoży swoją broń. Nie będzie mu już potrzebna.

Anglik poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Gdzie podziali się jego ludzie? Spojrzał na wodza i odparł starając się zachować spokój:

– Dowódca białych może usiąść, skoro prosi go o to Kananaskis, ale nie widzi potrzeby odkładania broni. W tym grzmiącym kiju, który trzyma w ręku, mieszkają duchy. Jeśliby dotknął go ktoś inny, duchy mogłyby się rozgniewać i zrobić krzywdę Kananaskisowi i jego ludziom. – Ledwo zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy stojący obok Indianin jednym szarpnięciem wyrwał mu broń z ręki.

Wódz Kenishtenog uśmiechnął się ponownie i powiedział:

– Białe kłamie. Jego strzelba nie jest zaczarowana i nie mieszkają w niej duchy. To zwykły grzmiący kij. Biali nie znają czarów. Są tylko podstępni i mają podwójny język. Wódz chciałby zadać bladej twarzy kilka pytań. Tylko niech biały mówi prawdę. Inaczej straci skalp.

Marsden zacisnął zęby. Nareszcie zrozumiał niecodzienne zachowanie dzikich. Pod pozorem pokazania miejsca zasadzki wywabili go z obozu. W czasie nieobecności rozbili lub może wymordowali nie spodziewających się niczego białych, a teraz postanowili dobrać się do niego. Przestrzegano go przed chytrością Indian, Nie wierzył. Teraz zrozumiał, że Kananaskis oszukał go. Wywiódł w daleką głąsę, a gdy stwierdził, że nie dosięgnie go zemsta białych, postanowił zamordować. A może nie? Wszak chciał o coś pytać. Może pragnął jedynie nastraszyć i wymusić okup? Ścisnął pięści i oblókł twarz w maskę obojętności. Gdy odezwał się, głos jego brzmiał spokojnie:

– Czego chce Kananaskis? Nie zachowuje się jak przyjaciel. Co jego wojownicy uczynili z pozostałymi tu białymi braćmi?

– Kananaskis chce zadać tylko kilka pytań, a potem powie białemu, czemu je zadał. Czy biały będzie odpowiadał?

– Niech wódz pyta.

– Biały namówił Kenishtenog, by wyruszyli z nim przeciwko Shemágonishowi i tym, którzy wiozą jego futra. Czy tak?

– Tak.

– Biały mówił, że ci którzy towarzyszą Shemágonishowi, to wrogowie Kenishtenog i Kananaskisa. Czy to prawda?

– Prawda.

– A na czym biały opiera to twierdzenie? Czy zna ich?

– Tak. Wie, że to Czipewa, którzy nienawidzą Kenishtenog i pogardzają nimi.

Wódz tłumaczył te odpowiedzi swoim ludziom. Po ostatniej rozległ się groźny szmer i kilka rąk sięgnęło po noże. Kananaskis z pogardą spojrzał na Marsdena i powiedział zimno:

– Ty nie jesteś przyjacielem Indian. Nie znasz ich i nic o nich nie wiesz. Jesteś głupi i zły. Jesteś również ślepy. Prawda, że Kenishtenog dali ci się początkowo oszukać. Uwierzyli, że chcesz walczyć z wrogami braci Kananaskisa. I uwierzyli również, że tymi wrogami mogą być Czipewa. Ale teraz zrozumieli swój błąd. Siedząca tu wokół ciebie rada starszych rozmawiała z tym, którego chciałeś zabić. Z Shemágonishem. Przyszedł tu sam i spytał, od kiedy Kenishtenog są wrogami Lisów i Węży i kiedy walczyli z nimi ostatni raz? Rada starszych nie mogła odpowiedzieć na te pytania. Wtedy Shemágonish przypomniał wszystkim, że Kenishtenog mówią tym samym językiem co Czipewa, że wierzą w tego samego Wielkiego Ducha, Kezhá-muhnedoo, i że są braćmi. Pytał, czy bracia mogą walczyć przeciwko braciom, Pytał, czy biali z Moose Factory walczą przeciwko białym z York Factory? Kenishtenog zrozumieli, że Shemágonish mówi sprawiedliwie, że nie chce, by czerwonoskórzy bracia zabijali się, by naruszali prawa ustanowione przez Wielkiego Ducha i swych ojców. Zrozumieli, że Shemágonish jest przyjacielem Indian, a ty ich wrogiem. Dlatego związali twych ludzi i odebrali im broń. Ciebie nie wiążą na razie, bo bez swojego grzmiącego kija jesteś jak wąż pozbawiony truciizny. Możesz już tylko syczeć. Nie możesz kąsać. Shemágonish postanowi, co uczynić z tobą i twoimi ludźmi. Kananaskis skończył. Ze swoimi wojownikami odejdzie od tego ogniska. Zostanie z tobą Shemágonish. Możesz z nim porozmawiać, zanim zabierze ci skalp. – Z tymi słowami wykonał kilka gestów rękoma. Wojownicy skupieni wokół białego poczęli się rozpraszać.

Przy ognisku pozostał jedynie wywiadowca, który jeszcze niedawno pokazywał białemu miejsce, w którym miała być przygotowana zasadzka na transport Bressona. Ten Co Nie Boi Się Grzmotu siedział nieruchomo. Przyglądał się Marsdenowi spokojnie, z ciekawością, ale bez zbytniej natarczywości. Pod wpływem tego wzroku Anglik uniósł głowę i w jego spojrzeniu zamigotał wyraz zdumienia. Ten Co Nie Boi Się Grzmotu rzucił w ogień gałązki modrzewia osłaniające do tej pory jego głowę. Na Anglika patrzyła para szaroniebieskich, uważnych oczu.

– No i cóż, panie Marsden? Jak pan widzi, zabawa skończona. Nie spodziewał się pan zapewne takiego rozwiązania? – wypowiedane słowa padały w całkiem poprawnej angielszczyźnie.

Anglik wbił wzrok w twarz mówiącego.

– Kim jesteś u diabła?

– Paul Bresson! Sądziłem, że zdążył się pan domyślić.

– Ty jesteś Paul Bresson – Shemágonish? Ale skąd się tu wziąłeś? Przecież twój transport jest jeszcze o co najmniej kilka dni stąd. I skąd u kata wiedziałeś, że ja...

Paul roześmiał się serdecznie.

– To nie było takie trudne. Wiedziałem od dawna. Pan w tym kraju żyje jeszcze bardzo krótko, panie Marsden. I bardzo szybko, i niepotrzebnie zabija pan ludzi. A tutaj trupy na ogół mówią więcej niż żywi. I mówią prawdę.

– Co pan mówi Bresson? O jakich trupach pan opowiada?

– Niech pan nie będzie śmieszny. Bob. Tak zdaje się mówią na pana. Jeszcze jesienią

wynajął pan kilku młodych myśliwych Warbishcar Noceya. Do rodzinnej wioski na zimę nie wrócił żaden. Ale dla mnie szczególnie ważne było, że nie wrócił, a właściwie zniknął bez śladu Netáhgunáhquud. Wiedziałem, z jakimi zadaniami wysłał go pan do Trois Rivières. Tam nie spotkało go nieszczęście. Domyśliłem się, dlaczego pan go zabił. Domyśliłem się i reszty. Postanowiłem więc przekonać Kananaskisa, że nie powinien ginąć nie tylko dla takiego głupca jak pan, ale także za wielokrotnego bezmyślnego mordercę Indian. Zgodził się ze mną. To mądry Indianin. Jego wojownicy, gdy pan zachwycał się miejscem zasadzki, obezwładnili pańskich ludzi bez jednego wystrzału. Nie uszkodzili ich nawet specjalnie.

Anglik z nienawiścią, ale i podziwem patrzył w twarz tamtego. Jakże musiał być ślepy, że nie zauważył gładko wygolonej brody, że nie dostrzegł jaśniejszej skóry i tych niebieskich, kpiących oczu. Zmełł w ustach brzydkie przekleństwo, lecz odparł usiłując zachować spokój:

– Udało ci się, Bresson. I masz rację. Gdybym trochę lepiej znał dzikich, pewno nie popełniłbym błędu, a moi chłopcy ciebie i twoich indiańskich przyjaciół dziesięć razy już naszpikowaliby ołowiem.

– Mylisz się, Marsden. Gdybym nie chciał uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi, ani jeden z twoich ludzi i może ani jeden z ludzi Kananaskisa nie przeżyłby dzisiejszego dnia.

– Pokonałeś mnie, Bresson, tylko podstępem. Gdyby ci się nie udało, moje dwadzieścia pięć strzelb załatwiłoby całą sprawę w pół godziny.

– Znów jesteś w błędzie. Miałeś rzeczywiście tylko dwadzieścia pięć strzelb. Moi ludzie mają ich sto. Po jednej salwie nie miałby już kto u ciebie strzelać. A więc dla ciebie lepiej, że nie doszło do walki.

Anglik ze zrozumieniem pokiwał głową. Nie miał powodu nie wierzyć. Tamten udowodnił swoją wyższość i pewnie od początku trzymał karty w ręku. Nie było się o co sprzeczać. Dobrze, że chociaż nie wybił mu ludzi. Tu przez moment zawahał się. Nie miało to co prawda większego znaczenia, ale chciał wiedzieć dla własnej ciekawości.

– Słuchaj, Bresson. To oczywiście nie jest zbyt ważne, ale ciekaw jestem, czy zimą spotkałeś jakiegoś białego. Towarzyszyło mu kilku Wasses?

– Mówisz, Marsden, o fałszywym jezuitcie? Tak, był u mnie i odszedł... Odszedł do krainy przodków. Zresztą paru Wasses również.

Anglik pokiwał głową.

– Rozumiem. Czy sam znalazłeś teraz miejsce tej rzekomej zasadzki? Paul uśmiechnął się.

– Nie. To zwiadowcy Kananaskisa. Nie znałem nawet tego parowu. Szlak wiedzie o kilkanaście mil dalej na zachód. Tu nikt się nie zapuszcza. Rzekę tę Indianie nazywają Rzeką Śmierci.

– Co zamierzasz z nami zrobić?

– Nic, Marsden. Zostawię was tutaj. Nie mogę ciągnąć z sobą dwudziestu pięciu mężczyzn do Trois Rivières. Miałbym z wami za dużo kłopotów. Nie mogę ryzykować. Mógłbym, a właściwie to nawet powinienem cię zabić. Ciebie i twoich ludzi. Też przecież przyszli zabijać. Ale chociaż przywykłem do widoku trupów, nie zabijam jak ty niepotrzebnie. Zostawię więc, jak już powiedziałem, ciebie i twoich ludzi tutaj. Możesz spróbować porozmawiać z Kananaskisem. Jeśli dasz mu duży okup, może zgodzi się odprowadzić cię do faktorii. Ale nie próbuj go oszukać. Na nic ci się to nie przyda. Ich jest dwustu i mają całą waszą broń. Was jest tylko dwudziestu pięciu. Oni znają puszcę. Ale, jeśli uda ci się wrócić do Moose Factory, trzymaj się z dala od tych terenów. Dopóki ja tu będę, każdy obcy, który pojawi się w promieniu dwustu mil, powędruje do Krainy Wiecznych Łowów. Nie wiem, czy mnie dobrze zrozumiałeś?

– Zrozumiałem cię, Bresson. Jeśli wrócę do Moose Factory, przemyślę sobie jeszcze raz wszystko, ale wątpię, czy uda mi się tam dotrzeć.

Paul wstał. Oczy jego patrzyły na Anglika spokojnie, obojętnie, bez cienia najmniejszej sympatii. Gdy odezwał się, głos jego brzmiał zimno:

– Jesteś Marsden zwykłym mordercą i bandę swoją przyprowadziłeś tu, by mordowała. Czy ci się uda wyjść z tego cało, czy nie, to już twoja sprawa. Żegnaj, a jeśli ci się uda, zajmij się handlem. W handlu można stracić tylko towary lub futra. W rozboju najczęściej skalp.

Na stawiającego opór Anglika rzuciło się kilku wojowników i związało go grubymi, mocnymi rzemieniami, a następnie zaniósło w głąb parowu, gdzie leżała powiązana reszta białych.

Bresson mówił prawdę. Poza kilkoma siniakami i drobnymi zadrapaniami nikomu nic się nie stało. Tyle tylko że wszyscy byli powiązani i pozbawieni broni.

Marsden rozejrzał się wokół. O trzy kroki od niego leżał Sam. Miał potężnego guza na czole, ale patrzył przytomnie.

– Jak to się stało. Sam?

– Diabelnie prosto. Ledwo odeszliście z pół mili, gdy ich czarownik przyszedł i powiedział, że wrócił jeden ze zwiadowców. Indianie chcą, byśmy posłuchali tego, co ma do powiedzenia. Widać było, że wokół jakiegoś obdartusa zbiera się tłum. Poszliśmy wszyscy. Wpuścili nas do środka, a jakże, a potem skoczyło co najmniej pięciu na jednego. Nikt nie zdążył sięgnąć po nóż. Potem nas związali i wrzucili tu. Oczywiście cała broń przepadła. Noże zabrali również. Co im strzeliło do łba. Bob?

– No cóż. Zwierzyna, na którą polowaliśmy, okazała się myśliwym i to całkiem niezłym.

– Co ty opowiadasz? Bresson?

– Uhm – Marsden kiwnął głową.

– Ale przecież on jest o parę dni drogi stąd? To przecież niemożliwe?

– Możliwe, Sam. Rozmawiałem z nim. To on zaprowadził mnie do miejsca, gdzie mieliśmy urządzić zasadzkę.

– Czyś ty oszalał. Bob? Przecież poszedłeś tam z Kananaskisem i tym zwiadowcą, no... Tym Co Nie Boi Się Grzmotu?

– Byłem ślepy. Sam. Wszyscy byliśmy ślepi. Ten Co Nie Boi Się Grzmotu to właśnie Paul Bresson. Po prostu zakpił z nas. Jak się okazuje, nie mamy jeszcze pojęcia o szatańskich podstępach tych brudnych dzikusów ani białych, którzy żyją wśród nich.

– Mówisz, że z nim rozmawiałeś. Czy powiedział coś, co nas dotyczy? Co zamierzają z nami zrobić?

– Bresson nas nie zabije. Mówi, że nie lubi zabijać bez potrzeby, ale też nie kiwnie palcem, by nas uratować. Uważa, że jesteśmy mordercami. I sądzę, że z jego punktu widzenia tak to właśnie wygląda.

– Nie próbowałeś go przekonać? To, o czym mówiłeś nam-przed dwoma dniami, brzmiało rozsądnie.

– Tak, ale to było przed dwoma dniami, wtedy kiedy wydawało mi się, że to ja panuję nad sytuacją. Dzisiaj okazało się, że nie ja, a ktoś inny. Bresson w dodatku zna nasze zamiary. Wie o Czarnej Chmurze. Wie także o innych. Barbeta, tego, jak go nazywa. Jezuitę sprzątnął. Sprzątnął też kilku Wasses. Nie ma żadnych złudzeń co do naszych intencji. Nie było sensu go przekonywać.

– No, a co dzicy? Jakie szanse mamy u nich?

– Też nie najlepsze. Sam. Kananaskis powiedział, że jesteśmy wrogami Indian, że ich szczujemy na siebie, że braciom każemy walczyć z braćmi i że jesteśmy złe blade twarze. Usłyszałem od niego, jak się zapewne domyślasz, wiele nie najprzyjemniejszych komplementów. Musiałem przełknąć. Będzie dobrze, jeśli się skończy na okupie.

– Sądzisz, że... – Sam nie dokończył myśli.

– Nie miej złudzeń. Oni nam już nie uwierzą. Jeśli przyjmą okup, wyniesiemy głowy. W przeciwnym przypadku zostaną tu tylko nasze kości.

– Cholera...

Obydwaj mężczyźni przerwali rozmowę. Od obozowiska Indian zbliżały się dwie postacie.



Marsden poznał ich z daleka. Bresson zmył z twarzy farbę, która czyniła ją ciemniejszą niż w rzeczywistości. Spiał z tyłu długie czarne włosy, na goły wymalowany poprzednio tors nałożył miękką myśliwską bluzę przepasaną ozdobnym pasem. Sylwetka jego dopiero teraz wyglądała smukło i młodzieńczo. Był wysoki. Regularne, surowe rysy twarzy, mimo iż znamionowały powagę wieku dojrzałego, nie skrywały młodzieńczego jeszcze wyrazu. Osmalona dymem obozowych ognisk, przybrązowiona ostrymi promieniami słońca, deszczem i wiatrem twarz nie była twarzą Indian. Nosila na sobie piętno białego człowieka. Odróżniała się od groźnej, poznaczonej bliznami twarzy wodza Kenishtenog. Przyszli razem. Czy przyszli, by ogłosić wyrok, czy chcieli porozmawiać?

Zatrzymali się obok związanego Anglika i wódz zatopił swe ostre, przenikliwe spojrzenie w jego oczach. Stał długo, bez poruszenia, w końcu zwrócił się do swego towarzysza i powiedział kilka słów.

Francuz skinął głową. Wódz raz jeszcze popatrzył na leżącego i powiedział:

– Jasnobrody jest złą bladą twarzą. Wojownicy Kenishtenog są o tym przekonani. Rozważyli jego zamiary i czyny i uznali je za nieuczciwe. Wiedzą, że wszystkie blade twarze przybywające do kraju Kenishtenog są złe, chciwe i przybyły tu, by oszukiwać Indian, zabrać ich ziemię i łowieckie tereny. Udają tylko, że są handlarzami. W rzeczywistości są jeszcze gorsi niż Wasses, a nawet gorsi od Kuhyachenenewug<sup>70</sup>, którzy żyją daleko na zachodzie i noszą czarne mokasyny. Wojownicy Kenishtenog radzili nad tym, co uczynić z białymi. Uznali jednak, że białym, chociaż mieli złe zamiary, nie udało się wyrządzić krzywdy żadnemu z obecnych tu Indian. Nie poniosą więc najwyższej kary za swe zamiary i postęпки, ale zostaną ukarani za to, że chcieli skłonić Kenishtenog do walki przeciwko Wężom i Lisom i że sami również chcieli zabijać. Dzisiaj blade twarze i Jasnobrody są jeńcami Kananaskisa i jego braci. Mogą wykupić swą wolność. Niech Jasnobrody odpowie, czy się zgadza?

Marsden patrzył z nienawiścią w twarz Indianina. Zdawał sobie sprawę, że położenie, w jakim znajdują się Anglicy, jest straszne. Burzył się wewnątrz na samą myśl o tym, że jeden nieokrzesany, prymitywny, nie umiejący nawet czytać, półnagi dzikus może stawiać warunki jemu, któremu sam książę Rupert powierzył misję opanowania tego kraju. Pierś dumnego Anglika zalała gorycz upokorzenia. Zapłacić okup... A jakąż miał gwarancję, że po zapłaceniu dzicy zwrócą wolność jemu i jego ludziom? Tylko czy istniało inne wyjście? To, co proponował Kananaskis, nie było na pewno najlepszym rozwiązaniem, ale dawało jedno – odsuwało na pewien czas niebezpieczeństwo śmierci. I to na czas nie najkrótszy. A w ciągu takiego czasu wiele mogło się zdarzyć.

Dwudziestu czterech zdrowych i silnych mężczyzn, a przy tym mężczyzn gotowych na wszystko, mogło wymyślić wiele i wiele zdziałać. A więc dobrze. Przrzec może wszystko, a co z tego dotrzyma i za jaką cenę, pokaże czas.

Z zamyślenia wyrwał go głos Kananaskisa:

– Czy biały zdecydował się już?

– Tak. Jakiego okupu żąda wódz?

– Czy biały zapamięta, czy woli zapisać na swoim mówiącym papierze?

– Woli zapisać.

– Dobrze. Wódz zaraz każe przynieść mówiący papier i czarną wodę, którą Jasnobrody stawia na tym papierze swoje znaki.

W kilka minut później przyniesiono żądane przedmioty. Anglik, któremu zdjęto więzy, rozłożył papier i zwrócił pytające spojrzenie na wodza.

– Co biały ma napisać?

– Niech Jasnobrody napisze do tego, który teraz jest wodzem w faktorii nad Słoną Wodą. I niech mu poleci, by oddawcom papieru wydał pięćdziesiąt grzmiących kijów i dziesięć razy

<sup>70</sup> Czytaj: Ka-jaczen-nin-uag – Indianie Czarnostopi. Znani jako Black Foot. Nazwa nadana przez białych z uwagi na czarne mokasyny, jakie nosili członkowie tego plemienia. Nazwa własna tego plemienia: Siksikauwa.

po dziesięć baryłek czarnego proszku, a także po dwa duże płyty ołowiu na każdy grzmiący kij. Ten, kto obecnie jest wodzem nad Słoną Wodą, ma wydać ponadto formy do odlewania kuł, dziesięć razy po dziesięć noży i tyle samo ostrzy na toporki, a także trzy worki grotów do strzał i oszczepów. Kiedy Kananaskis otrzyma te wszystkie przedmioty, Jasnobrody i jego ludzie będą wolni.

– Wódz i tak musi zwolnić dwu Anglików, by zanieśli mówiący papier. Jeśli pojedą tylko wojownicy Kananaskisa, nikt ich nie posłucha.

– Niech biały napisze tak, by ich posłuchano i wydano te przedmioty. Jeśli nie wrócą w oznaczonym czasie, wojownicy Jasnobrodego zginą – powiedział stanowczo wódz. A Marsden zrozumiał, że nie ma się co upierać.

Zaostrzył kilka piór i jedno z nich umoczył w atramencie. Wódz i towarzyszący mu Shemágonish usiedli pod pobliskim drzewem i wdali się w przyciszoną rozmowę. Nie przeszkadzali piszącemu. Gdy skończył, wręczył wodzowi list ze słowami:

– Niech mężczyźni, którzy popłyną z tym mówiącym papierem, doręczą go dowódcy, który nosi imię William Bingley – słowa te powtórzył kilkakrotnie. – Otrzymają od niego wszystko, czego wódz żąda. Biały wierzy, że Kananaskis dotrzyma słowa.

Wódz wziął papier, oglądał go przez chwilę, po czym wręczył swemu towarzyszowi i spytał:

– Czy Shemágonish może powiedzieć w mowie Kenishtenog, co mówi ten papier?

Paul wziął do ręki list i przebiegł go uważnie wzrokiem, następnie zwrócił się do Anglika ledwo ukrywającego niepokój i powiedział zimno:

– Panie Marsden. Kananaskis prosił mnie przed chwilą, bym mu przetłumaczył treść tego listu. Jeśli uczynię to, pan i pańscy ludzie zginiecie w ciągu paru minut. Czy mam przeczytać list wodzowi, czy napisze pan inny?

– Napiszę drugi.

– Dobrze. Powiem wodzowi, że pan się pomylił i nie uwzględnił jego wszystkich żądań – po czym tę ostatnią część zdania przetłumaczył wodzowi.

W pół godziny później przeczytawszy nowy list wręczył go Indianinowi i powiedział serdecznie:

– Kananaskis otrzyma wszystko, czego żądał, ale białych niech dobrze pilnuje. Danego słowa musi dotrzymać, jeśli i oni dotrzymają. Ale gdy ich uwolni, nie powinien im wierzyć.

Indianin uśmiechnął się pogardliwie.

– Shemágonish może być spokojny. Wódz będzie uważał i uprzedzi swych ludzi. Wdzięczni są, że ich biały brat nie dopuścił do rozlewu krwi. Będą zawsze myśleli o nim z szacunkiem, zwłaszcza że wiedzą, iż cieszy się także zaufaniem i przyjaźnią wielkiego szamana. Przyjaźni tej i zielonego kamienia wielki szaman nie ofiarowałby wrogowi Indian.

## ROZDZIAŁ XIII

### Dwa noże niosą śmierć

Po dokonaniu nad synem Tłustej Wrony zemsty, która nasyciła jego serce Chásekah-Nébowin był spokojny. Nie pozwolono mu co prawda złożyć podarków przed wigwamem Seseganagi, a Darnis nie wyszła pożegnać go, gdy ogłosił, że udaje się do świętych kamieniołomów, ale i tak jego ambicja i duma zostały zaspokojone, a ostry nóż sprawił, że znenawidzony rywal raz na zawsze zniknął sprzed oczu dziewczyny. Inni, jak wiedział, nie odważą się zawracać jej w głowie i będą musieli poczekać, aż wróci ci, którzy udali się po czerwony kamień. Nikt wprawdzie nie wiedział, że jeden nie wróci nigdy, ale nawet gdyby dowiedzieli się i tak muszą poczekać na drugiego.

I Seseganaga też będzie musiał poczekać, nawet gdyby chciał wybrać dla córki innego młodzieńca. Musi, bo będzie obawiał się gniewu duchów, które mogłyby się obrazić, gdyby dowiedziały się, że postąpił wbrew ich woli i zlekceważył to, że Chásekah-Nébowin podąża na południe ścieżką Ducha.

A ten zdązał na południe rzeczywiście, ale jego ścieżka nie była ścieżką Ducha. Nie musiał udawać się w daleką drogę do kamieniołomu. Pięknie rzeźbioną główkę fajki pokoju, o czym nikt nie wiedział, miał od dawna, prawie od czasu, gdy opuścił rodzinną wioskę. Główki tej nie wyrzeźbił sam. Ukradł-ją, ale o tym również nikt nie wiedział.

Głupi Wahgooshug uwierzyli, że udaje się do dalekiej krainy Mandanów i Dakotów. Byli naiwni i nie mieli tyle chytrłości, co jego właściwi bracia. Uwierzyli w to, co im powiedział. Cieszył się z tego. Poznał ich i wiedział, że będzie mógł oszukać ich, kiedykolwiek zechce. Byli ślepi i naiwni i nie potrafili odróżnić fałszu od prawdy.

Nawet nie podejrzewali, że to właśnie on uprzedził Siuksów o zamierzonym napadzie Wahgooshug jesienią zeszłego roku. I że właśnie dzięki temu ponieśli tak wielką klęskę. Siuksowie też byli głupi. Zamiast zebrać większą liczbę wojowników i pójść za pokonanymi do ich wioski, zadowolili się kilkunastoma skalpami. Wahgooshug byli wtedy słabi. Gdyby Siuksowie poszli za nimi, mogli zabrać wiele dalszych skalpów. A on zabrałby Darnis już wtedy do swego ogniska.

Dziewczyna nie ośmieliłaby mu się przeciwstawić. Nie patrzyła na niego wprawdzie chętnie, a nawet unikała ścieżki, po której przechodził, ale nauczyły ją szacunku dla siebie. Już dawno przygotował gruby rzemień. Gdyby ją dostał w swoje ręce, biłby ją najwyżej przez kilka dni, aż stałaby się posłuszna, a później tylko wtedy, gdyby okazywała krnąbrność. Uśmiechnął się do swych myśli. Tak, nie musiałby jej bić zbyt często. Była jeszcze młoda i nauczyłaby się wszystkiego bardzo szybko.

Teraz musiał zostawić ją jeszcze w wiosce, ale nie na długo. Najwyżej na kilka Księżyców. W wiosce była bezpieczniejsza, a gdy on wykona swoje zadanie, przyjdzie i zabierze ją za podarki lub jeśli to nie będzie możliwe – podstępem. Obmyśli wszystko dobrze. I nikt go wtedy nie schwyta, a może nawet nie domyśli się, kto uprowadził dziewczynę. Tak, ale to wszystko później. Teraz musiał się spieszyć. Najpierw do swej rodzinnej, dawno nie widzianej wioski. A potem ponownie do białych, których w te odległe strony przyprowadził z Trois Rivières. Czekali na jego znak.

Spieszył się więc. Drogi wprowadzić nie znał, ale znał kierunek. W ciągu dnia, gdy świeciło słońce, kierował się jego wskazaniem, gdy padał deszcz, sprawdzał korę drzew. Wiedział, że grubsza jest od strony północnej. Niekiedy spoglądał na gałęzie. Były potężniejsze i bardziej rozłożyste od strony południowej – od słońca, a on właśnie płynął na południe. Nocami patrzył na gwiazdy. Były bardziej niezawodne niż słońce. Pozostawały zawsze w tym samym miejscu i łatwo je było zapamiętać.

Odpoczywał niewiele, rzadko też polował. Zadowalał się prawie wyłącznie rybami, od których roily się strumienie. By nie tracić czasu na łowienie wędką, najczęściej używał cienkiego, ostrego oszczepu lub łuku i długiej strzały, do której końca przymocowywał rzemień. Rybę, trafioną nawet na głębokości kilku stóp, za jego pomocą łatwo wciągał do kanu. Strzała miała tę zaletę, że nawet jeżeli chybił, nie tracił jej. Rzemień trzymał dobrze i nie trzeba było szukać jej pod liśćmi czy w podwodnych oczeretach, gdzie najczęściej czaił się szczupak. Pstrągi wołały wykroty, skarpy, zaciszne miejsca osłonięte dużymi kamieniami. Jeżeli woda była płytsza, mógł je łowić gołymi rękoma.

Zjadał ryby przeważnie na surowo. Palenie ognia i pieczenie na gorących kamieniach lub nad płomieniami zabierało bowiem zbyt dużo czasu.

Mijana okolica nie interesowała go, chociaż zmieniała się z dnia na dzień. Nieprzebrany dotąd, odwieczny, szpilkowy bór coraz częściej ustępował miejsca lasom mieszanym, w których królował szerokolistny klon, buk i topola. Częściej spotykał sięgające wierzchołkami nieba strzeliste białe brzozy. Pojawił się kasztan.

Prawie miesiąc czasu zajęła mu droga przez wielkie jezioro Tracy, wody Huronu i Erie. Po obejściu wielkiego wodospadu wlewającego swe wody do jeziora Oswego popłynął wzdłuż jego południowych wybrzeży, a następnie niezbyt szerokim strumieniem skierował się ponownie na południe.

W dwa dni od opuszczenia wód jeziora dotarł do położonej na skraju rozległej polany wioski otoczonej wysokim ostrokołem.

Wyciągnąwszy z wody kanu przysiadł na jego dziobie i długo wpatrywał się w leżącą przed nim wioskę. Kiedy opuszczał ją wiele Zim temu, wyglądała tak samo. Przez otwartą bramę ostrokołu widać było rzędy długich prostokątnych wigwamów o beczkowatych dachach. Nad każdym wigwamem wznosiło się kilka, czasem kilkanaście smug jasnoniebieskiego dymu. Wiedział, że to kobiety gotują na ogniu poranną strawę.

W każdym wigwamie znajdowało się kilka niezależnych pomieszczeń. Każda rodzina zajmowała jedno takie pomieszczenie i miała prawo palić w nim własny ogień.

Przez chwilę zastanawiał się, czy żyje jeszcze jego matka. Miała wiele Ziem, gdy opuszczał wioskę, i mogła nie doczekać powrotu syna. Nie było to jednak ważne. Od kiedy stał się wojownikiem, rzadko myślał o matce. Nie potrzebował jej. Gdyby był na miejscu, musiałby ją karmić do śmierci. Skoro go nie było, obowiązek ten spadał na innych.

Jeszcze raz rzucił wzrokiem na wioskę, ujął strzelbę, a duży, dobrze zawiązany worek zarzucił na ramię.

Gdy przechodził przez bramę, kilka psów rzuciło się na niego z głośnym ujadaniem, ale odpędził je dwoma silnymi kopnięciami. Kilku mężczyzn kręcących się między wigwamami popatrzyło na niego z zaciekawieniem, kilka głów wysunęło się z otworów wejściowych, jakichś dwóch malców stanęło przed nim z otwartymi ze zdziwienia ustami. Nie zważał jednak na to, szedł wolno, spokojnie aż do środka wioski.

Tam, na niewielkim placu, w miejscu, gdzie rośla wysoka, pamiętajaca czasy praojców biała sosna, złożył na ziemi worek, a na nim swoją broń. Następnie usiadł i oparł się plecami o pień drzewa. Czekał. Wiedział, że przyjdzie mu czekać długo. Takie były zwyczaje. Zauważono go na pewno, gdy był jeszcze daleko od wioski, ale ponieważ nie ukrywał się, pozostawiono w spokoju.

Gdy zatrzymał się na wprost otwartej bramy i potem, kiedy szedł przez wioskę, przyglądali

mu się na pewno wszyscy, ale przyglądali niepostrzeżenie. Przybywał jawnie, nie miał więc wrogich zamiarów. Był zdżony. Jego ścieżka musiała prowadzić z daleka. Powinien więc odpocząć, a skoro usiadł w cieniu sosny – wielkiego, świętego drzewa pokoju, jego zamiary wobec mieszkańców wioski musiały być przyjazne.

Przymknął powieki i popadł w zadumę. Wyrwał go z niej szelest kroków. Do miejsca, gdzie odpoczywał, zbliżała się powłócząc nogami stara Oquesses<sup>71</sup> z kociołkiem parującej zupy. Pamiętał ją. Żył bardzo długo. Widać to było po jej pomarszczonej, wysuszonej niczym ubiegłoroczny liść dębu twarzy i prawie białych włosach. Postawiła kociołek obok przybysza i bez słowa oddaliła się do jednego z wigwamów, nad którego otworem wejściowym zawieszono głowę niedźwiedzia. Nad drzwiami drugiego wisiały rogi jelenia, a nad następnym skorupa błotnego żółwia. Były to totemy rodów zajmujących te trzy „długie domy”. Wskazywały, że najstarszymi przodkami rodzin tam mieszkających były właśnie te zwierzęta.

Chásekah-Nébowin należał do rodu Żółwia – Anowara. W plemieniu Seneka był to jeden z najstarszych rodów. A spośród tych, którzy mieli prawo do ozdabiania wampumu znakiem Anowara, wywodzili się najbardziej szanowani i poważani przywódcy Ligi Irokeskiej – mężczyźni, których imię brzmiało Samotna Sosna lub, jak mówili niektórzy, Drzewo Sosna.

Odwrócił wzrok od wigwamów, wyjął zza pasa dużą drewnianą łyżkę i przysunął do siebie kociołek. Jadł nie spiesząc się.

Minęło wiele czasu. Stara Oquesses dawno zabrała opróżniony kociołek. Słońce przeszło przez pierwszą połowę nieba. Kobiety udały się poza obręb ostrokołu, by wyrwać chwasty z poletek obsadzonych dynią i fasolą i obsianych kukurydzą i ryżem, gdy z wigwamu stojącego w środkowej części wioski wyszedł niemłody już, ale pełen jeszcze sił Luggoney<sup>72</sup> – sachem<sup>73</sup> w czasach pokoju. Zbliżył się do drzewa, pod którym wypoczywał Chásekah-Nébowin, i usiadł na wprost niego. Przez dłuższy czas wpatrywał się w obcego, po czym przemówił:

– Jesteś synem Yackta satoakha Yowwetty<sup>74</sup>. Gdy z polecenia wioski opuszczałeś ją wiele Zim temu, nie miałeś imienia. Rada kobiet odebrała ci je. Kazała iść precz i nie wracać tu do czasu, aż zdobędziesz nowe imię, a u twego pasa zawiśnie chociaż jeden skalp wroga Seneków. Skalpy u twego pasa wiszą. Jakie nosisz imię?

– Wrogowie nazwali mnie Chásekah-Nébowin, co w naszej mowie oznacza Nagła Śmierć. Nasi biali wrogowie nazywają mnie La Soudaine Mort, co ma takie samo znaczenie. Pokonałem pięciu wrogów, z których żaden nie dotknął mnie nawet swą bronią. Żyłem między naszymi wrogami Odżibuejami w wiosce Lisów. Ponieważ nie wiedzieli, kim jestem, mogłem oszukać ich i namówić do walki przeciwko innym naszym wrogom, którzy żyją na południowym zachodzie i nazywają się Siuksowie. Wrogów tych uprzedziłem, że Lisy zamierzają na nich napaść. I dzięki temu Lisy stracili wielu swych najdzielniejszych wojowników. Karę, jaką wymierzyła mi rada kobiet, poniosłem. Wypełniłem warunki, od których kobiety uzależniły nadanie mi prawa powrotu do wioski. Jestem tu i poczekam, aż kobiety podejmą nowe postanowienie.

– Nie spełniłeś jednak jeszcze jednego warunku.

– Wiem, ale ty, Luggoney, który jesteś wodzem, wiesz, że mogę wypełnić go tu tylko w obecności wszystkich dorosłych mieszkańców wioski. Jestem gotów.

Wódz przez parę chwil rozważał usłyszane słowa, po czym wstał i powiedział:

<sup>71</sup> Czytaj: 0-ke-ses – pardwa, kuropatwa.

<sup>72</sup> Czytaj: La-gou-ney – ojciec.

<sup>73</sup> Czytaj: sachem – wódz wioski lub plemienia Irokezów. w czasie pokoju. Także przedstawiciel plemienia w radzie Ligi Pokoju. Jeśli nie był sachmem, lecz tylko członkiem rady Ligi nosił tytuł „Drzewo Sosna” lub „Samotna Sosna”.

<sup>74</sup> Czytaj: Jakta-satoaka-Jouety – Dziki Wiatr.

– Pozostań tu. Rada kobiet rozpatrzy twoją sprawę. Dowiesz się, co postanowi.

Chásekah-Nébowin oparł się ponownie o pień i zastygł w milczącej zadumie. Miejsce swoje opuścił tego dnia tylko raz, by ugasić w strumieniu pragnienie. Ludzie z wioski, chociaż wiedzieli już, kim jest, nie zwracali na niego uwagi, przynajmniej pozornie. Mijali obojętnie, jak gdyby nie istniał. Widział to, ale nie reagował. Zdawał sobie sprawę, że dopóki kobiety nie postanowią inaczej, stosunek innych do niego się nie zmieni. Panował czas pokoju i chociaż wioska posiadała swego sachema i wielu mądrych, doświadczonych mężczyzn, nie oni sprawowali władzę. W okresie pokoju rządziły kobiety. I działo się tak nie tylko w wioskach Seneków. Podobnie było u Cayugów, w długich wigwamach Oneida i Onondaga, wreszcie u najdalej na wschodzie osiedlonych Mohawków. Wszędzie władza należała do kobiet. Do kobiet należało miejsce przy ognisku i pomieszczenie w wigwamie, dzieci, które miały prawo do ich totemów, a nawet niewolnicy i jeńcy.

Zmieniało się to w czasie wojny, gdy wybrano wojennego wodza. Wtedy musieli słuchać go wszyscy i to nie tylko na wojennej ścieżce, ale także w wiosce. W czasie wojny każde jego słowo było prawem. Kiedy kończyła się wojna, tracił całą władzę i znów stawał się zwykłym mężczyzną.

Chásekah-Nébowin nie pochwalał tego, że władzę sprawowały kobiety. U innych narodów było zupełnie inaczej. Walka i łowy należały, jak wszędzie, do mężczyzn, ale do nich też należała cała władza. Ze swoimi kobietami mogli czynić, co im się podobało. W plemionach, które znał, pracowały tylko kobiety i nawet jeśli tej pracy miały bardzo dużo, żaden z mężczyzn im nie pomagał. Jeśli któremuś nie podobała się żona, mógł ją bić, mógł wypędzić lub po prostu odesłać do rodziców. I było to o wiele sprawiedliwsze.

Przed oczyma zamajaczyła mu na moment twarz Darnis. Tak. Będzie ją bił na pewno... Zjawisko zniknęło. Na dworze zapadał mrok. Oczekując na postanowienie kobiet ułożył się na gołej ziemi i wkrótce zasnął.

Pod wysoką sosną spędził trzy dni i trzy noce. Czwartego dnia z samego rana zjawił się ponownie Luggoney i jak poprzednio zajął miejsce na wprost Chásekah-Nébowina, po czym bez wstępu oświadczył:

– Rada kobiet uznała, że wypełniłeś dwa pierwsze warunki. Jeśli jednak na powrót pragniesz stać się bratem Seneków, jak wiesz, musisz poddać się jeszcze jednej próbie.

– Mów, Luggoney. Warunek znam. Z kim będę walczył i kiedy? Wódz popatrzył na niego przenikliwie i spytał:

– Nie obawiasz się walki?

– Nie! Te skalpy świadczą o tym, że jestem wojownikiem.

– A czy walczyłeś już z dwoma przeciwnikami jednocześnie?

Chásekah-Nébowin sprężył się wewnętrznie, odparł jednak z pozornym spokojem:

– Nie walczyłem jeszcze, ale i od takiej walki nie uchylę się. Kim oni są? Czy znam ich?

– Poznasz, gdy nadejdzie pora.

– A kiedy to nastąpi?

– Dziś po południu. Bądź więc gotów.

Chásekah-Nébowin skinął głową i przymknął powieki. A więc będzie musiał stoczyć walkę z dwoma przeciwnikami. Walczył już tak kiedyś, ale wtedy walczono do pierwszego zranienia. Jak będzie tym razem? Czy kobiety dadzą obu stronom równe szansę? Nie. Przecież już ustaliły, że walkę Stoczy z dwoma mężczyznami. Nie dały mu więc równych szans. Chociaż kto wie? Zdawał sobie sprawę, że bez tej walki nie osiągnie celu, dla którego przybył do wioski. Musiał walczyć i musiał zwyciężyć.

Zaledwie słońce przechyliło się na zachodnią stronę nieba, gdy z wigwamów poczęli wychodzić tłumnie mieszkańcy wioski. Samych dorosłych mężczyzn, jak obliczał, musiało się tu znajdować ponad pięciuset. Przyszły i kobiety.

Gdy plac wokół sosny wypełnił się, z najbliższego stojącego wigwamu wyszedł wódz w

otoczeniu starszych mężczyzn i podszedł do oczekującego pod drzewem.

– Powstań ty, który zostałeś wypędzony z naszej wioski wiele Zim temu, a który teraz wróciłeś i domagasz się, by przyjęto cię ponownie do ludu Seneków. Rada kobiet, a następnie cztery to obecne Samotne Sosny raz jeszcze rozważyły twój dawny czyn i potwierdziły, że kara, jaką wymierzono ci wtedy, była słuszna i sprawiedliwa. Przyjąłeś ją bez protestu, wypełniłeś warunki, jakie na ciebie nałożono, i wróciłeś do wioski z nowym imieniem i jak twierdzisz, ze skalpami własnoręcznie pokonanych wrogów. Rada chce ci wierzyć. Pragnie przekonać się jednak, czy rzeczywiście jesteś tak dzielny, jak wynika to z twoich słów. Ale pragnie również upewnić się, czy wtedy, kiedy zabiłeś Agohoonsaya<sup>75</sup>, był to tylko przypadek. Walki tej nikt nie widział, dlatego opowieść twoja wzbudziła wiele wątpliwości. Dzisiaj, kiedy wojownikami stali się synowie zabitego wówczas przez ciebie, w walce z nimi wykazesz swoją zręczność i odwagę.

Jeśli obecnie twarzą w twarz pokonasz dwu przeciwników, Senekowie uwierzą, że już wtedy byłeś na tyle dzielny, by drugiego wojownika nie zabijać podstępnie. Ogánra<sup>76</sup> i Carnolelow<sup>77</sup>, synowie Agohoonsaya, czekali na twój powrót by pomścić śmierć ojca. Czy jesteś gotów zmierzyć się z nimi? – Do przodu wysunęli się dwaj wysocy, barczyści wojownicy.

Chásekah-Nébowin przyglądał im się długo i uważnie. Podobni byli do swego ojca i zapewne nie mniej dzielni i zręczni niż on w latach swej młodości. Wyglądali na bardzo silnych. Przemknął spojrzeniem po ich twarzach, rękach, do połowy obnażonych ciałach. Nie mieli nigdzie blizn. Nie walczyli więc zbyt często i zapewne nie mieli wielkiego doświadczenia w walce. Powinien sobie z nimi poradzić. Odwrócił od nich wzrok, skierował go na wodza i powiedział tak, by słyszeli go wszyscy:

– Chásekah-Nébowin został kiedyś osądzony w tej wiosce za to, że broniąc życia Agohoonsaya zabił go przez przypadek. Rada kobiet wydała wtedy surowy wyrok i skazała go na opuszczenie wioski. Jej dzisiejsze postanowienie jest również surowe. Nakazuje ono, by jeden mężczyzna walczył jednocześnie z dwoma. Ale Chásekah-Nébowin szanował zawsze prawa przodków i zwyczaje wioski. Nie będzie im się sprzeciwiał. Stanie do walki z Carnolelowem i Ogánrą wierząc, że wielki duch wojny, Aireskoi, stać będzie po stronie sprawiedliwego. Niech wódz powie, jaką bronią mają posługiwać się walczący.

– Agohoonsay – powiedział Luggoney – zginął od noża. Walczący dzisiaj będą posługiwali się tą samą bronią. Każdy z nich będzie miał w ręku jedynie nóż.

Chásekah-Nébowin podniósł do góry rękę na znak, że pragnie powiedzieć coś jeszcze, a gdy wódz skinął głową, zwrócił się do czterech stojących obok wodza mężczyzn:

– Wszystkie pięć narodów, które w czasach naszych praojców utworzyły Wielki Pokój i ustanowiły dla niego słuszne i sprawiedliwe prawa, zgodziły się, by na straży tych praw i sprawiedliwości stanęli najbardziej prawi i szlachetni, ci którzy swoimi zaletami i znajomością praw przewyższają innych. I wszystkie te narody, do których należy i naród Seneków, wybranym przez siebie strażnikom prawa nadały to samo imię – imię Samotnej Sosny. Chásekah-Nébowin zwraca się teraz do was wybranych przez lud Seneka i pyta, czy według praw ustanowionych przez Degonawidah<sup>78</sup> i Hiawatha<sup>79</sup> sprawiedliwe jest, by w walce, jaka odbędzie się tu u stóp drzewa pokoju, przeciwko dwom nożom walczył jeden

<sup>75</sup> Czytaj: A-gou-un-sej – Czarny.

<sup>76</sup> Czytaj: Ou-gen-rej – dosłownie: „proch strzelniczy”, w odniesieniu do wojownika – wybuchowy, gwałtowny.

<sup>77</sup> Czytaj: Kernou-lelou – Łoś.

<sup>78</sup> Czytaj: De-go-na-wi-da – mityczny prorok, myśliciel żyjący wśród plemion irokeskich prawdopodobnie w XV/XVI w. Według legend zrodzony z dziewicy zesłanej na ziemię przez Wielkiego Ducha. Głosił pokój między plemionami, dlatego uważany przez Irokezów za współtwórcę związku Wielki Pokój (zwanego przez białych Ligą Irokezów).

<sup>79</sup> Czytaj: Ha-ia-wa-ta – wódz Mohawków, według przekazów indiańskich uczeń Degonawidah. Prawdopodobnie rzeczywisty założyciel Ligi Irokezów.

nóż?

Przez tłum przeleciał szmer. Głowy czterech sędziwych mężczyzn pochyliły się ku sobie, a następnie najstarszy z Samotnych Sosen szepnął coś wodzowi.

Luggoney uciszył tłum i powiedział głośno:

– Samotne Sosny orzekły, że sprawiedliwe jest, by przeciwko dwom nożom walczył nie jeden, a również dwa noże. Jeśli Chásekah-Nébowin chce, może walczyć dwoma nożami. Natomiast Ogánra i Carnolelow mogą mieć tylko po jednym nożu. Synu Yáckta satoákha Yowwetty, czy jesteś gotów stanąć do walki?

– Tak – padła krótka odpowiedź.

– Synowie Agohoonsaya – spytał ponownie wódz. – Czy jesteście gotowi stanąć do walki przeciwko Chásekah-Nébowinowi uzbrojonemu w dwa noże?

Odpowiedziało mu podwójne „Tak!”.

– Weźcie więc swą broń i stańcie naprzeciw siebie. Na dany znak odwróćcie się do siebie tyłem i odejdziecie na piętnaście długich kroków. Potem każdy z was obróci się twarzą do przeciwnika i może walczyć. Jeśli komuś wypadnie broń na ziemię, nie wolno mu jej podnieść. Może walczyć jednak nadal gołymi rękoma. Walka trwa do pierwszej krwi. Ten, na którego ciele pojawi się pierwsza kropla, opuści sam pole walki.

Wokół zapanowała cisza. Ogánra i Carnolelow dobyli swą broń i podeszli do wodza. Chásekah-Nébowin zdjął legginy i zsunął ze stóp mokasyny. Walkę zamierzał zakończyć szybko, ale wiedział, że nawet przypadkowe pęknięcie rzemienia u mokasynów mogło spowodować fatalne skutki. Wolał więc pozbyć się obuwia. Znał dobrze sposoby walki Seneków. Zawsze dążyli do zwarcia z przeciwnikiem i wykorzystując fizyczną siłę i zręczność próbowali w dogodnej chwili ugodzić go ostrzem noża. W walce takiej, toczonej zwykle jeden przeciw jednemu, obydwaj przeciwnicy mieli równe szansę i walka taka mogła trwać długo. Wystarczyło chwycić uzbrojoną dłoń walczącego i nie pozwolić mu na zadanie ciosu. Ale tutaj warunki były inne. Gdyby dopuścił do takiej walki, mógłby liczyć najwyżej na obronę lub pokonanie jednego przeciwnika. A tamtych było przecież dwu.

Ogánra i Carnolelow musieli mieć pełną świadomość tego i pewność zwycięstwa, bo stali spokojnie obok Luggoneya oczekując, aż ich przeciwnik przygotowuje się do walki.

Zrzuciwszy odzież wyciągnął z pochwy swój myśliwski długi nóż i sprawdził starannie zamocowanie jego rękojeści. Następnie rozwiązał worek i wydobył nóż zabrany Dużemu Mokasynowi. Obydwa miały tę samą zaletę. Ich żelazne ostrza były długie i ciężkie. Zważył je w rękach i trzymając zupełnie luźno, w połowie długości, nie tak jak trzyma się w czasie walki, podszedł również do wodza.

Broń swoją specjalnie trzymał w ten sposób, by uspić czujność przeciwników. Nie powinni domyślać się, w jaki sposób zamierza walczyć i jak ich zaatakuje.

Zgromadzony tłum zastygł w oczekiwaniu. Wódz ustawił przeciwników po czym popatrzawszy na nich uważnie powiedział uroczystym głosem:

– Niech moi bracia odwróć się do siebie plecami – a gdy wykonali jego polecenie, rzucił: – Teraz niech każdy idzie prosto przed siebie, oddali się z tego miejsca o piętnaście kroków i tam zatrzyma. – Kiedy w kilkanaście chwil potem i to polecenie zostało wykonane, polecił przeciwnikom obrócić się do siebie twarzami, chwilę jeszcze odczekał i powiedział głośno: – Walczcie!

Ogánra i Carnolelow patrzyli nienawistnie na tego, który, jak wiedzieli, podstępnie pozbawił życia ich ojca i któremu poprzysięgli zemstę. Wiedzieli, że go pokonają i wiedzieli, jak go pokonają. Ustalili to sobie już wcześniej. Nie wiedzieli jedynie, że będzie walczył dwoma nożami. Ale nie przeszkadzało im to. Nie miał oczu z tyłu głowy i nie mógł bronić swych pleców. Gdy jeden z nich znajdzie się właśnie z tyłu, ich wróg zginie nie wiedząc kiedy. Śmierć ojca zostanie pomszczona, a duch zabójcy będzie służył jego duchowi. Ścisnęli mocniej broń i ruszyli do przodu. Ich młode, silne ciała przygięły się ku ziemi, spięły mocne



ścięgną, wzrok przywarł do postaci przeciwnika.

A on na słowa wodza nawet nie drgnął. Stał spokojnie na lekko rozstawionych nogach i patrzył na zbliżających się przeciwników. Nawet broni nie ujął mocniej. Jedynie obie ręce uniósł nieco do góry.

Widzieli, że noży nie trzyma tak, jak oni ostrzem do dołu. Dwie jego świecące klingi skierowane były w górę. Zamierzał więc pewnie uderzyć z dołu do góry i rozpruć im brzuchy. Ale już teraz trzymał broń za wysoko, prawie na wysokości swej twarzy. Jeśli dalej będzie tak trzymać, nie zdąży opuścić ręki, by zadać cios.

Musiał być głupi, jeśli wierzył w zwycięstwo. Przyspieszyli kroku. Żeby tylko nie opuścił broni, nim zbliżą się na odległość dogodną do zadania ciosu. Jeszcze byli o dwadzieścia, piętnaście, dziesięć kroków. Nie, nie opuszczał broni. Wznosił ją coraz wyżej i nie ruszał się ze swego miejsca. Miał odsłoniętą pierś i brzuch. Ręce trzymał wysoko, odchylał je coraz bardziej do tyłu i śmiał się dziko niczym obłąkany. A może nim był...?

Myśli tej nie dokończył żaden z nich.

Wzniesione i odchylone do tyłu ręce wroga sprężyły się niczym cięciwa, łuku, śmignęły do przodu, rozwarły dłonie. Dwie błyszczące klingi przecięły powietrze, wbijając się głęboko w piersi pędzących przeciwników.

Zachwiał się Ogánra. Zdumionym, gasnącym spojrzeniem usiłował raz jeszcze dojrzeć wroga. Nie czuł, że nóż wysuwa się z jego bezwładnych palców, wiotczącą mięśnie, a ciało chyli ku ziemi. Carnolelow uczynił jeszcze tylko krok, gdy ściana ciemności wyrosła przed jego oczyma i przesłoniła wzrok. Upadł tuż obok brata.

Przez tłum widzów przetoczył się głuchy jęk grozy.

Zwycięzca podszedł trzy kroki, nachylił nad leżącymi, wyjął obydwa noże z piersi swych wrogów, otarł je starannie o kępkę trawy i położył obok strzelby.

Z grona widzów wysunął się czarownik, pochylił nad leżącymi, po czym bez słowa wyprostował się i oddalił w kierunku potoku. Chásekah-Nébowin podszedł do wodza i spytał:

– Czy Luggoney widział walkę?

– Tak!

– Czy była to walka uczciwa i sprawiedliwa?

– Tak!

– Czy Chásekah-Nébowin wypełnił już wszystkie warunki, które pozwalają mu stać się ponownie członkiem plemienia Seneków?

– Tak. Jest na powrót Seneką i może powrócić do swego dawnego imienia.

– Do dawnego imienia nie powróci. Woli obecne. Teraz pójdzie do wigwamu przeznaczonego dla gości i odpocznie. Bracia jego odprawiają pewnie w tym czasie uroczystości pogrzebowe. Gdy nastanie świt, niech Luggoney, rada kobiet, starsi wojownicy i Samotne Sosny przyjdą do tego wigwamu. Chásekah-Nébowin ma dla wioski ważne wieści.

Wódz skinął głową. Chásekah-Nébowin na oczach wszystkich udowodnił, że jest wielkim i bardzo groźnym wojownikiem i nie ma litości dla żadnego przeciwnika.

– Dobrze! Niech nasz brat wypocznie, a rankiem wysłuchamy go.

Idąc przez wieś zwycięzca widział, jak wokół ciał dwu zabitych gromadzi się kilkanaście starszych kobiet. Z niechęcią myślał, że prawie do północy będą zawodziły i przeszkadzały mu w odpoczynku. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Takie były zwyczaje.

Gościnny wigwam stał prawie pośrodku wsi. Znalazł się więc w nim szybko. Mimo iż pozornie nie zwracał na to uwagi widział, jak mężczyźni patrzą na niego z szacunkiem, a wiele kobiet, szczególnie młodych, z podziwem lub nawet ze strachem. Nie dziwił się. Chociaż walczył z dwoma przeciwnikami, broń ich nie dotknęła go nawet. Nie okazał tego, ale był dumny właśnie z takiego przebiegu walki. Zadowolony z siebie odchylił zasłonę wejściową wigwamu i rzucił się na grubą wiązkę skór.

Z samego rana wigwam wypełnił się szczelnie. Przyszły matki rodów Annowara, Okwari,

Oskenton, Agontena, Ohkwaho, Tsianito, Thekahon, Dyaonhronhko, Tawistawis, Withkumoorhool oraz Maqua. Na długiej drewnianej ławie zajmowały miejsca według wieku i szacunku, jakim cieszyły się w wiosce. Po nich nadeszli ci, którzy nosili imiona Samotnej Sosny. Przyszedł Luggoney – sachem wioski i czarownik w swym obrzędowym stroju z umocowanymi na głowie dwoma krowimi rogami. Tłumnie napływali mężczyźni, którzy przeszli niejedną już wojenną ścieżkę. Byli zaciekawieni. Każdy pragnął usłyszeć, co ma do powiedzenia tak nieoczekiwanie przybyły syn dawno zmarłego Yackta satoákha Yowwetty.

Każdy zajmował należne mu miejsce. Najstarsi i najbardziej szanowani z przodu; młodszy, nie mający zbyt wielu zasług – nieco bliżej wejścia.

Gdy na koniec opadła zakrywająca je zasłona, znak, że zjawili się wszyscy, ze swego miejsca powstał Luggoney. Przywitał kobiety oraz innych obecnych i wskazując na Chásekah-Nébowina powiedział:

– Obecny tu syn dawno zmarłego naszego dzielnego brata wyjawiał mi wczoraj po walce, że do wioski przynosi ważne wieści. Ważne dla nas. Niech więc mówi, a jego siostry i bracia wysłuchają go i rozważą jego słowa.

Wstał Chásekah-Nébowin, powiódł wzrokiem po zebranych. Dłużej patrzył na kobiety, lecz w ich gronie nie dostrzegł swej matki. Milczał chwilę dobierając słowa. Wreszcie uniósł nieco głowę, wzrok skierował na wypełniający wigwam tłum i zaczął spokojnie:

– Jak wszyscy wiedzą, Chásekah-Nébowin musiał odejść z wioski wiele Zim temu. Nie skarżył się jednak. Odszedł bez gniewu i nienawiści do nikogo. Zna prawa praojców i poddał się im bez sprzeciwu. Ale odchodząc zostawił tu swoje myśli. Postanowił, że kiedyś wróci. Nie mógł jednak wrócić z pustymi rękoma. Przrzekł sobie, że wróci wtedy, gdy swoim siostrą i braciom będzie mógł sprawić radość. Wie, że wczoraj musiał zadać im ból. Ale ból ten wynagrodzi im, gdy posłuchają go do końca. – Tu na chwilę przerwał, dając czas, by dobrze zrozumieli jego słowa, po czym mówił dalej. – Chásekah-Nébowin od czasu, gdy opuścił swych braci, wiele wędrował. Jego mokasyny przemierzyły dawne łowieckie tereny ludu Panther i ziemie Huronów oraz wszystkie ziemie krainy Czipewa i Cree, aż po krańce długiego jeziora, które leży daleko na zachodzie, za lasami, nad wielką, bezdrzewną krainą zamieszkałą przez naród o czarnych stopach.

Poznał białych, którzy są wrogami wszystkich pięciu narodów i widział ich wielkie wioski, z których jedna nazywa się Trois Rivières, a druga, jeszcze większa – Quebec. Poznał mowę białych i mowę wszystkich Czipewejów. Żył długo wśród nich, ale nigdy nie dowiedzieli się, że pochodzi z dzielnego narodu Seneków.

Ubiegłej Zimy przez pewien czas przebywał w Trois Rivières i widział, jak biali tam mieszkający wysyłają na zachód wielkie transporty towarów. Jeden taki transport podążył aż za Wielkie Jezioro Indianie, które biali nazwali jeziorem Tracy. Wodzem tego transportu jest biały noszący imię Shemágonish. Biały ten wszystkie swoje towary podarował myśliwym Wahgooshug i Kenábigoog. W zamian mężczyźni tych dwu ludów po nadejściu wiosny dostarczyli mu wiele pięknych futer, a futra te zajmują sto długich kanu. Chásekah-Nébowin zna szlak, którym płynie ten wielki transport. Kiedy to widział, pomyślał sobie, że za tyle futer kupcy z Albany i Plymouth zapłaciliby Senekom bardzo dużo. Postanowił więc przyplnąć szybko do wioski i powiedzieć o tym swoim braciom. I pragnie powiedzieć im jeszcze coś. Na transport ten zamierzają napaść inne blade twarze. Nie jest ich wiele. Tylko dwudziestu jeden mężczyzn. Mają grzmiące kije i inną broń, ale nie mają wielkiego doświadczenia. Chásekah-Nébowin jest ich przewodnikiem i zwiadowcą i może ich łatwo oszukać. Gdyby jego bracia podjęli wyprawę, to z łatwością pokonaliby najpierw tych białych i zabraliby ich grzmiące kije, za pomocą których z łatwością pokonaliby Shemágonisha i jego wioślarzy. Nagła Śmierć skończył. Jeśli jego bracia pragną go o coś spytać, gotów jest powiedzieć im wszystko, co ich interesuje.

Po tym wystąpieniu w wigwamie zawrzało. Wizja zdobycia wielkiego transportu futer, tak

wysoko opłacanych przez Anglików ze wschodnich miast, rozpałała wyobraźnię, a myśl zdjęcia skalpów z francuskich i czipeweskich głów rozgrzała krew szczególnie młodszych wojowników.

Ożywiły się nawet kobiety. Wieści, jakie przynosił Chásekah-Nébowin, były oszałamiające. Tylko dwudziestu jeden białych nie znających puszczy, od których można było łatwo zdobyć wiele dobrej broni... Biali, których pozbawienie skalpów nie nastroczało najmniejszych trudności. A stu kanu wyładowanych futrami nie widziano tu bardzo dawno.

Napad mógł nastąpić daleko od francuskich osiedli i wojskowych posterunków. Nie trzeba było uprzedzać o nim wodzów Ligi ani uzyskiwać jej zgody na zamierzoną akcję. Nie była ona skierowana przeciwko żadnemu osiedlu białych ani przeciwko ich fortom. Nie naruszała więc chwiejnego pokoju z białym wrogiem. A co najważniejsze, nie trzeba było dzielić się z nikim łupami. W razie dobrego przygotowania akcji z transportu nie powinna ujść żywa noga.

Wprawdzie kobiety domagały się jeńców, ale nie nalegały zbyt na to, by jeńcami byli również biali. Wystarczali im Czipewejowie.

Padały pytania, odpowiedzi. Chásekah-Nébowina pytano o dziesiątki, setki szczegółów. W wielu wątpliwych sprawach żądano wyjaśnień, szczegółowego opisu trasy, przejść lądowych, wodnych przeszkód, szybkości, z jaką może posuwać się cały transport, odległości między znanymi niektórym wojownikom punktami trasy, przypuszczalnych miejsc postojów.

Burzliwa, bezładna zrazu rozmowa uspokajała się stopniowo. Skoro wszyscy zgadzali się, że należy wykorzystać szansę, o jakiej mówił Chásekah-Nébowin, kobiety zdecydowały, że winna się odbyć tradycyjna narada w wigwamie narad dla opracowania planu wyprawy i wyboru wodza. W naradzie tej poza czterema Samotnymi Sosnami miał wziąć udział jedynie Luggoney, Chásekah-Nébowin i po jednym mężczyźnie z każdego rodu.

Kobiety odeszły do swych zajęć, młodzi mężczyźni zajęli się przygotowaniami do wyprawy, starsi udali się do wigwamu narad, gdzie Luggoney ze świętego zawiniątka wydobyl czarną fajkę wojny. Palili ją wszyscy w milczeniu prosząc ducha wojny o mądrość i rozagę dla radzących oraz chytryść, dzielność i zręczność w walce, dla tych wszystkich, którzy mieli wziąć udział w wyprawie.

Wodzem za radą czterech Samotnych Sosen wybrano doświadczonego wojownika Sattayentacka<sup>80</sup> z rodu Ohkwaho. Nowo wybrany wódz wojenny cieszył się wśród mężczyzn dużym autorytetem. W ciągu wielu Zim swego życia wiódł już niejedną zwycięską wycieczkę przeciwko Huronom, Erie, Susquehanna, Potowatomim, a nawet przeciwko Menominom, Kickapoo i Miami. Wspólnie z Mohawkami i Cayuga zapuszczał się daleko na wschód przeciwko Mohikanom, Sokoki i Abenakom, których łowieckie tereny rozciągały się na południe od Quebecu. Sława jego wojennych czynów rozprzestrzeniła się daleko. Należał do grona tych wodzów, którzy w walce nie znali litości. Jeńców brał niewielu i tylko dorosłych i silnych mężczyzn. Kobiety, dzieci i starców wycinał na miejscu lub palił żywcem nie pozostawiając świadka napadu.

Ale nie tylko dlatego jemu właśnie powierzono dowództwo wyprawy. Wybrano go, ponieważ wśród powierzonych jego pieczy wojowników zawsze potrafił utrzymać ład, dyscyplinę i porządek. Pod jego rozkazami szli do walki z pieśnią i uśmiechem szczęścia na ustach.

Chásekah-Nébowin był również szczęśliwy. Przecież właśnie wieści przyniesione przez niego sprawiły, że wioska podjęła ważną decyzję urządzenia napadu i to napadu, do którego przywiązywano tak ogromną wagę.

Siedząc teraz w wigwamie narad raz jeszcze ze szczegółami musiał opowiedzieć wszystko o wrogach, ich zwyczajach, uzbrojeniu, sposobach walki i o wielu innych rzeczach, które dla niego nie były zbyt ważne, ale o których pragnął wiedzieć wódz i inni doświadczeni

---

<sup>80</sup> Czytaj: Satajentak – radzący, mądry.

wojownicy. Ambicję jego zaspokajała świadomość, że słuchają go z uwagą. Parokrotnie, gdy powiedział coś, co dla słuchających miało większe znaczenie, dostrzegał w ich twarzach wyraz uznania, pochwały czy aprobaty.

Sycił się swoim sukcesem. Traktowano go jak swojego, jak kogoś ważnego. Cieszyło go to zaufanie. Dzięki niemu nie musiał ujawniać swego głównego celu, jakim kierował się, pragnąc namówić wioskę do zagarnięcia futer Shemágonisha. Teraz, gdy o wrogach powiedział wszystko, nie musiał więcej zabierać głosu. Mógł słuchać tego, co mówią inni.

Mówili prosto i spokojnie. Każdy dzielił się swym doświadczeniem i wiedzą, wyrażał wątpliwości, stawiał sobie i innym pytania, rysował w oszczędnych słowach plany, przestrzegał przed niespodziankami, przed wieloma nieprzewidzianymi trudnościami i niebezpieczeństwem najmniejszej pomyłki. Wypowiadali się wszyscy. Niektórzy zabierali głos kilkakrotnie. Wreszcie, gdy myśli swoje ujawnił ostatni, głos zabrał Sattayentack.

Mówił jasno i prosto. Nie przeciwstawiał się nikomu z zabierających głos przed nim. Musiał widocznie rozważyć wszystko, bo przed oczyma słuchających kreślił dokładny, wyrazisty plan wyprawy i pokonania nieprzyjaciół. Gdy skończył, nie podniósł się nawet jeden głos wątpliwości czy sprzeciwu. Wszyscy musieli przyznać, że Sattayentack był dobrym wodzem i nie na darmo cieszył się wielką sławą. Zresztą już od pewnego czasu mówiono, że gdy umrze któryś z Samotnych Sosen, właśnie Sattayentack zajmie jego miejsce w radzie Ligi Irokezów.

Teraz, gdy został wybrany pierwszym wodzem wojennym, na zakończenie narady zaproponował, by drugim wodzem wojennym został Luggoney. Nie miał on brać udziału w wyprawie, ale z uwagi na to, że z Sattayentackiem wyruszało wielu mężczyzn, wioska wymagała większej ochrony przed mogącym nadejść niebezpieczeństwem. Nie potrafiły tego zapewnić kobiety. Na miejscu musiał pozostać wódz potrafiący bronić wszystkich na wypadek napaści. A Luggoney był również dobrym wodzem i w podobnych wypadkach zawsze wiedział, co należy czynić.

Zaledwie narada skończyła się, gdy między wigwamami poczęli przebiegać posłańcy. To najstarsi, sędziwi ojcowie rodów zwoływali swych krewnych, noszących ten sam totem na spotkania. Wkrótce wszędzie widać było liczne, zebrane wokół swych rodowych znaków grupy mężczyzn. Pospieszenie ustalano, kto ma wziąć udział w wyprawie, a kto pozostać na miejscu.

Znano tu zalety i wady każdego, toteż wkrótce podział został dokonany. Ci, którzy mieli towarzyszyć Sattayentackowi, grupowali się na środkowym placu. Reszta wracała do wigwamów.

Nowo mianowany wódz wyznaczył bezzwłocznie kilkunastoosobową grupę swych najbliższych pomocników i wydał im potrzebne polecenia. Pozostałym kazał poczynić niezbędne przygotowania do drogi. Zatrzymał tylko Chásekah-Nébowina. Zwracając się do niego powiedział poważnie:

– Brat Sattayentacka ma do wykonania najpoważniejsze zadanie. Od tego, jak je wypełni, będzie zależało życie i los wielu Seneków. Nagła Śmierć wie, co ma czynić. Jeszcze dzisiaj wyruszy w drogę. Ma czas do wieczora, by się do niej dobrze przygotować. Sattayentack życzy swemu bratu powodzenia. Sam z wszystkimi wojownikami wyruszy jutro. Wierzy, że Chásekah-Nébowin nie popełni błędu. I dopóki nie dojdzie do walki, niech kieruje się ostrożnością i przezornością, a nie odwagą.

## ROZDZIAŁ XIV

### Czarne chmury nad misją

Girard znów się pieniał. Wielomiesięczny pobyt w tym samym miejscu doprowadzał go do szału, toteż gwałtowne wybuchy niepohamowanego gniewu zdarzały mu się coraz częściej. Zresztą nie jemu jednemu. Pozostali tracili również cierpliwość i właściwie byle powód wystarczał, by atmosfera w grocie zagęszczała się niebezpiecznie.

Gdyby nie zimna krew Bergsona, jego spokój i żelazne pięści, których używał z zadziwiającą wprawą i bez większych skrupułów, sprawy mogłyby wyglądać znacznie gorzej. Czując teraz w powietrzu znacznie groźniejszą od poprzednich awanturę, której skutki musiałyby odbić się prawdopodobnie na wszystkich, ważył przez chwilę coś w myśli, w końcu obrócił się leniwie ku przywódcy i powiedział z pozornym spokojem:

– Schowaj ten nóż, Philippe. Użyłeś go już dwukrotnie. I trzeba było zakopać Sabatiera i Richeta. Pozostało nas tylko dwunastu. To i tak za mało na Bressona. W końcu może się okazać, że pozostanie nas tak mało, że pierwsza lepsza banda dzikich wydusi nas jak szczury. Rozmawiałem z chłopakami. Jeśli sam nie chcesz doigrać się czegoś, nie sięgaj więcej przeciwko nim po broń. A swoje nerwy ukryj głęboko i zachowaj na lepszą okazję.

Zacięte twarze mężczyzn, ręce zdecydowanie oparte na kolbach pistoletów jednoznacznie mówiły, że dotychczasowi kompani byli gotowi czynnie poprzeć słowa Bergsona.

Tak, w tym momencie nie dawali mu szansy. Wsunął za pas broń i roześmiał się nieszczerze.

– Widzę, Charles, że pozbawiłeś mnie dowództwa.

Bergson ziewnął potężnie.

– Nie, Philippe. Nikt nie ma zamiaru pozbawiać cię dowództwa. Nie chcemy jedynie, byś przez nerwy, którym coraz częściej dajesz się ponosić, pozbawiał nas korzyści z tej wyprawy. Poza tym, jak wiesz, popełniłeś parę drobnych błędów, z których nie wiadomo jeszcze, co wyniknie.

– Nie zgadzam się z tobą, Charles. Nie popełniłem żadnych błędów.

– Popełniłeś, popełniłeś. Zresztą mówiąc ściślej, wcale nie tak bardzo drobnych.

– No... – sięgnął ponownie po nóż, lecz widząc, że tamci patrzą na niego czujnie, cofnął rękę. – O jakie błędy chodzi, Charles?

– Właśnie o bardzo proste, Philippe. Wszyscy, łącznie z Sabatierem, namawialiśmy cię, by Bressona w jego norze zaatakować zimą. Ty się jednak uparłeś. Twierdziłeś, że tamten ma kupę pomocników i siedzi w warownej twierdzy, której nie sposób zdobyć. I co się okazało, gdy wiosną wrócił tu La Soudaine Mort? Ano wyszło na jaw, że imię pan Bresson w tej twojej wymaginowanej twierdzy prawie przez całą zimę przesiedział z dwoma indiańskimi pomocnikami, z których w dodatku jeden był chory. Przegapiłeś najlepszą okazję. Dzisiaj tamten wraca, ale nie sam. Ma stosy futer, ale pilnują ich, jak już wiesz, że dwie setki dzikich. Jak wyobrażasz sobie, że w dwunastu rozprawimy się z dwiema setkami? A jeżeli nawet, to jak taką kupę futer przetransportujemy do Trois Rivières lub Quebecu? Nie masz wiele pojęcia o tym kraju. Może dobry byłeś na francuskie gościńce, ale tu trzeba czegoś więcej niż umiejętności napadania na samotnych podróżnych, czy przemyskający leśną

drogą dylizans bez ochrony. Jak zamierzasz zdobyć teraz te futra? Bresson będzie tu niedługo.

Girard podrapał skołtunioną grzywę włosów.

– Niby masz rację, Bergson, ale sami też nie byliście pewni, ilu ludzi Bresson mógł zatrzymać przy sobie zimą.

Gdybyśmy to wiedzieli, byłoby już po sprawie. Stało się i nie ma co narzekać. Sam przecież byłeś na zwiadach, i Passy, i Rolland. i co? Howyzask naopowiadali wam bajeczek, że Shemágonisha strzeże kupa mężczyzn. Nie poszedłeś i nie sprawdziłeś. Wróciłeś tu i dopiero potem zacząłeś mieć wątpliwości. Tylko że było już za późno. Myśl nad tym, jak go teraz dostać. I inni też niech myślą. A Sabatiera i Richeta nie musisz mi wypominać. Wszyscy widzieli i ty też, że to oni najpierw chwycili za noże. Dostali to, co im się należało. I kwita. Zgadza się, że potrzeba nam pomocników, ale tych zobowiązał się dostarczyć Nagła Śmierć. Chyba mu wierzysz?

– Kiedy rozmawiałeś z nim?

– Zaraz po powrocie. Będzie z dziesięć dni. Napięcie w grocie zelżało. Ręce puściły broń. Postacie mężczyzn nachyliły się ku rozmawiającym. Zapowiedź pozyskania sprzymierzeńców wywarła odpowiednie wrażenie.

– O jakich pomocnikach mówił? – spytał Bergson. – Skąd zamierza ich wziąć?

Girard poczuł się pewniej.

– Nie bądź taki ciekawy, Charles. Niech ci wystarczy, że będą. I to w odpowiedniej liczbie i we właściwym czasie. Może nawet więcej niż nam potrzeba.

Bergson powstrzymał odruch zniecierpliwienia. Girard zaczął więc starać się o pomocników nie wtajemniczając w to reszty kompanii. Nawet jego. I to o większą liczbę pomocników. Ciekawe, czym zamierzał zapłacić, bo jeżeli futrami Bressona, to dla całej reszty interes mógł okazać się nieopłacalny. Zmarszczył gniewnie brwi.

– Słuchaj, Philippe. Może jednak powiesz, kim są ci wspólnicy i jak chcesz im zapłacić za pomoc?

Girard zmełł w ustach brzydkie przekleństwo. Poniewczasie zrozumiał, że znów powiedział parę słów za dużo. Tamci ponownie patrzyli czujnie i wyczekująco. Ale trudno. Skoro już się wygadał, musiał powiedzieć im więcej. Ma się rozumieć, na szczęście nie musiał mówić wszystkiego.

– Niepotrzebnie denerwujesz się, Charles. Pomocnicy są dobrzy i pewni. To Missisauga z wyspy Manitoulin. Futra nie interesują ich. Obiecałem zapłacić tymi strzelbami, które dał nam wuj, no i rumem, którego nie udało się wam wyžłopać. Futra będą do podziału, tak jak ustaliliśmy.

– Mówisz, Girard, że Missisauga? Przecież to Odzibueje? Sądzisz, że zgodzą się walczyć przeciwko Odzibuejom Bressona? Wierzysz w to, że Indianie handlujący od lat z misjami Sault Ste Marie i St. Ignace zaatakują białego kupca? Coś mi się nie chce w to wierzyć. Czy La Soudaine Mort rozmawiał z nimi?

– Rozmawiał. Właśnie dlatego nie było go tak długo. To sprytny dzikus. Kiedy dowiedział się, ilu Wahgooshug i Kenábigoog<sup>81</sup> płynie z Bressonem, pomyślał od razu, że sami nie damy rady. Poszedł więc do Missisauga. Oni mają z Wężami podobno jakieś zadawnione sprawy i dali się namówić. Będą nas czekali niedaleko ujścia Rzeki Francuskiej do jeziora Nipissing.

– Ależ to szmat drogi stąd. I znów będziemy musieli przemykać się pod okiem jezuitów. Słuchaj, Girard. Jeśli transport Bressona przejdzie koło Ste Marie, to nawet jeśli go później zlikwidujemy, sprawa się wyda. Braciszkwowie z misji doniosą do Quebecu, że widzieli nas jesienią. Zatrzymywaliśmy się u nich i wiedzą, że mieliśmy mało towarów. Teraz będą widzieli ogromny transport Bressona. Nie będą widzieli nas. Jeżeli Bresson i jego futra

---

<sup>81</sup> Czytaj: Ke-na-bi-gug -Węż.

znikną, a w to miejsce my pojawimy się z dużym ładunkiem, domyśla się wszyscy. To murowany strybek. Zwłaszcza że ktoś przecież z tego transportu uratuje się. Nie wyrznieś dwustu ludzi.

– A może nie będziemy musieli się przemykać, Charles? Może pojedziemy do nich otwarcie, tak jak w tę stronę? Znają nas przecież.

– No i co to da?

– Nie domyślasz się? Ilu ich tam jest w misji? Pięciu? Sześciu? Może po naszym odejściu nie będą mieli kogo wysłać do Quebecu? – Patrzył trochę kpiąco na pozostałych. Widział w ich twarzach zaskoczenie i niepewność. – Zamurowało was? Co się tak gapicie?

– Myślisz, Girard, poważnie o wyróżnieniu tych paru misjonarzy? – spytał z wyraźną niepewnością w głosie Bergson.

Nim jednak padła odpowiedź, derka zakrywająca wejście do pieczary odchyliła się i w przejściu stanął La Soudaine Mort. Spodziewali się go dopiero następnego dnia, toteż na jakiś czas zapadła cisza.

Indianin uważnym spojrzeniem zlustrował otoczenie i nie ukrywając, że słyszał przynajmniej ostatnią część rozmowy, powiedział obojętnie:

– Jeśli biali bracia chcą, by czarno odziani mężowie z misji nie mówili o niczym, to nim zamkną ich oczy i uszy na zawsze, muszą wpierw zabrać skalpy siedmiu białym, którzy płyną tam z futrami.

– Siedmiu białych z futrami? – zdumiał się z kolei Girard. – Przecież Shemágonish nie miał z sobą żadnych białych?

– To nie Shemágonish. On jeszcze daleko. Wszedł dopiero na rzekę, która płynie do tego jeziora przez góry nazywane La Grand Côte de la Roche. To trudne przejście. Będzie musiał przetransportować kanu przez góry i obejść skały, z których spada rzeka Nipigon. Będzie tu za kilka dni. Ci biali, o których mówi Nagła Śmierć, nie są ludźmi Shemágonisha. Mają cztery kanu. Dwa duże z futrami, a dwa bez futer. I jest ich tylko siedmiu. La Soudaine Mort podsłuchiwał ich. Płyną do misji. Jeśli tam dotrą, będą mogli się bronić i moi biali bracia nic im nie zrobią. Jeśli teraz zabiją tych siedmiu, poradzą sobie też z czarno ubranymi mężami w misji. Wtedy nikt się nie dowie.

Girard spojrzał w beznamiętną twarz dzikiego i spytał:

– Gdzie jest tych siedmiu białych i ilu mają Indian?

– Indian nie ma. Tylko biali. W tym jeden w czarnej, długiej sukni. Są nad zachodnim potokiem. O ćwierć dnia drogi stąd. Można dojść łatwo. Biali bracia poczekają, aż wrogowie usną, a potem wezmą skalpy, broń i futra. Wszystko pójdzie szybko i łatwo. Nikt nie zdoła uciec.

Girard powiódł wzrokiem po swych kompanach. Wiedział, że gotowi byli rozprawić się z Bressonem i jego dzikimi wioślarzami. Jednak mimo wielu wspólnie spędzonych miesięcy nie był do końca pewien, czy zgodzą się na to, co proponował teraz ich indiański przewodnik.

Patrzyli na Bergsona. Jego w rzeczywistości uważali za prawdziwego przywódcę wyprawy. Przekonali się nie raz, że jest znacznie mądrzejszy od Girarda i daleko lepiej wie, co czynić na szlaku. Bergson rozumiał to również. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ta siódemka dotrze do misji, zdobycie jej tak, by nie pozostał świadek, będzie sprawą bardzo trudną i kto wie, czy nie zniweczy planów zdobycia transportu Bressona. Nie było wyjścia. Bez słowa sięgnął po opartą o skałę strzelbę, za pas zatknął dwa pistolety i nóż i popatrzył kpiąco na pozostałych:

– Cóż to? Kasztany z ognia chcecie wybierać cudzymi rękoma? – Uzbroili się w mgnieniu oka.

Tymczasem parę godzin wcześniej w otoczonej lasem kotlinie leżącej na skraju wcinającego się w jezioro wąskiego cypla, wokół niewielkiego ogniska odpoczywało kilku

białych. Ich zniszczone ubiory i obuwie, dawno nie strzyżony zarost i widoczne zaniedbanie w całym wyglądzie kazały się domyślać, że mają za sobą bardzo długą drogę. Wrażenie to potęgowało jeszcze znużenie malujące się na twarzach oraz ociężałość w ruchach.

Wyraźne oznaki zmęczenia, a może nawet choroby widocznej w głębokich cieniach pod oczyma wykazywał odziany w czarny mnisi habit niski, szczupły, w trudnym do określenia wieku zakonnik. Mimo pełni dnia spoczywał oparty o pień sosny i zdawał się drzemać. Nie zwracał uwagi na toczącą się obok rozmowę. Musiał czuć się nie najlepiej. Nie okazywał jednakże swej słabości. I gdy w pewnej chwili jeden z odpoczywających przy ognisku oderwawszy sporą porcję dobrze przyrumienionego indyka zbliżył się do drzewa, zakonnik uniósł powieki i uśmiechnął się łagodnie:

– Widzę, Louis, że uparłeś się, by dbać o mój żołądek. Pewno gdyby nie ty, umarłbym dawno z głodu. Ale czy to przypadkiem nie piątek, mój synu? Wiesz, że reguła zakonna tego dnia nie pozwala spożywać pokarmów mięsnych.

Wysoki, barczysty, silnie zbudowany mężczyzna, do którego były skierowane te słowa, roześmiał się głośno i szczerze.

– Możesz być zupełnie spokojny, ojcze. Pan Daniel Du Lhut, który jako były królewski oficer jest nie tylko świetnym geografem, ale równie dobrym matematykiem i astronomem, a co ważniejsze zna się na kalendarzu, zapewnił mnie, że dzisiaj jest środa. Jeżeli się pomylił, co jak wiesz, zdarza mu się częściej niż innym, ewentualny grzech niezachowywania przepisanych postów obciąży jego duszę, nie twoją. A mięso tego delikatnego ptaka zawiera na pewno mniej tłuszczu niż mięso węgorzy, które musiałeś spożywać w ubiegły piątek. Możesz więc jeść bez wyrzutów sumienia.

Zakonnik wyciągnął rękę i wziął podanego ptaka z uśmiechem. Język tego niepoprawnego osadnika leśnego, jak w myślach nazywał pana Joliet, wprawiał go podczas całej długiej podróży w dobry nastrój i pozwalał znosić wiele przeciwności i dolegliwości, których nie szczędził im los.

– Więc mówisz, synu, że w ubiegły piątek jadłem te tłuste węgorze? Wtedy twierdziłeś, że to był czwartek?

– Ależ, ojcze! Tak mi się teraz tylko powiedziało. Kto byłby w stanie spamiętać wszystkie dni minionych tygodni? Nawet pan Du Lhut, który jako szlachcic i oficer ma najwyższe poczucie honoru i uczciwości...

– Nie powołuj się, panie Joliet – przerwał wesoło czarnobrody olbrzym – na moje szlacheckie i oficerskie poczucie honoru. Ojciec Marquette może naprawdę panu uwierzyć, a wtedy wszystkie grzechy, jakie popełni, spadną nie na moją, a na pańską dawno zbłąkaną duszę. Zgadza się natomiast z panem, że dzisiaj jest środa, a poprzedniego tygodnia w tym samym dniu co dzisiaj był czwartek. I nasz czcigodny ojciec, czy mu się to podoba, czy nie, musi jeść świeże mięso przez siedem dni tygodnia. Poza tym w ósmym, czyli w piątek, winien zachowywać ścisły post. Pańska rzecz, Louis, to pamiętać kiedy ten piątek wypadnie.

Roześmieli się wszyscy trzej.

– To swoista sofistyka, panie Du Lhut – powiedział duchowny. – Wykorzystywanie nieświadomości sługi bożego co do dat kalendarza jest również grzechem.

– Większym grzechem, ojcze, jest działanie na szkodę własnego zdrowia lub życia. To grzech bliski samobójstwa. Gdyby pan Joliet pozwolił ojcu umrzeć z niedożywienia i wyczerpania, pańskie owieczki pozostałyby bez pasterza. A ile tych dzikich duszyczek poszłoby wtedy do piekła? Niech więc ojciec nie narzeka i na jakiś czas zapomni o datach. Tu, na północy nie ma malarii. Klimat jest zdrowszy. Szybko ojciec wróci do sił. A kalendarz w misji Ste Marie na pewno jest dobry. Będzie mógł ojciec z niego korzystać dwa razy dziennie.

– Kiedy tam będziemy, synu?

– Jeśli nic nam nie przeszkodzi, to może za tydzień.



– Mówisz, jeśli nic nam nie przeszkodzi...?

– Tak! Zresztą zaraz się przekonamy – odparł Du Lhut i skierował wzrok w stronę nasady cypla oddalonej o około sta kroków. Jednocześnie sięgnął spokojnie po opartą o pień drzewa starą, wysłużoną strzelbę. W chwilę potem prócz ojca Marquette wszyscy mężczyźni trzymali broń w rękę.

Z głębi boru, od strony wartko płynącego potoku wynurzył się Indianin. Wprawdzie w rękę trzymał łuk i kilka strzał, żadna z nich jednak nie spoczywała na cięciwie. Zbliżał się spokojnie, pewnie, nie okazując żadnych wrogich zamiarów. Na kilkanaście kroków przed grupą pozostających w pogotowiu mężczyzn zarzucił łuk na ramię i prawą, otwartą dłoń wznosił do góry.

Du Lhut oparł ponownie broń o drzewo i uniósł również swoją dłoń. Gestem tym wyrażał, iż biali nie traktują przybysza jak wroga. Na ten znak przybysz postąpił jeszcze kilka kroków i wskazując spoczywającego nadal pod drzewem zakonnika spytał łamaną francuszczyzną:

– Ty jesteś ojciec Hennepin?<sup>82</sup>

– Nie, synu. Nie jestem ojcem Hennepin. Jestem ojcem Marquette. Czego pragniesz od ojca Hennepin?

– Neecarnis chce z nim mówić bardzo szybko. Jeśli ty mm nie jesteś, musi pójść do niego.

– Jeśli Neecarnis ma dla ojca Hennepin wiadomość, jego biali bracia mogą ją przekazać. Wracają z dalekiej podróży i płyną do ojca Hennepin. Będą u niego za siedem dni.

Indiański chłopak patrzył na stojących przed nim białych. W pewnej chwili coś jak błysk poznania przemknęło po jego twarzy. Wskazał ręką na mężczyznę stojącego blisko zakonnika i spytał:

– Jakie imię nosi ten biały?

– To LouisJoliet, przyjaciel czerwonoskórych braci-odparł zakonnik.

– Neecarnis poznaje go. Widział go wiele Księżyców temu w Trois Rivières. Wie, że to sprawiedliwa biała twarz. Czy ona też płynie do ojca Hennepin?

– Tak, wszyscy do niego płyniemy.

Indianin sięgnął do woreczka zawieszzonego na piersi i wyjął z niego kilkakrotnie złożony papier, po czym zwracając się do ojca Marquette powiedział:

– Neecarnis nie musi płynąć ze swymi braćmi. Wie, że są rzetelni. Przekazuje im ten mówiący papier i prosi, by się z nim szybko zapoznali. – Z tymi słowy podał papier zakonnikowi.

Ojciec Marquette rozłożył pergamin i szybko przebiegł wzrokiem treść pisma. Gdy ponownie spojrzał na otaczających go mężczyzn, twarz jego była poważna.

– Coś niedobrego? – spytał Du Lhut.

– Przeczytaj synu wszystkim – zakonnik podał papier pytającemu.

Du Lhut wziął wytłuszczony i pognieciony list i zaczął czytać:

„Do Wielebnego Ojca Hennepin

Misja Sault Ste Marie

Informuję Wielebnego Ojca, że niedaleko ujścia rzeki Nippigon do jeziora Tracy ukrywa się dwudziestoosobowa banda białych, na której czele stoi Philippe Girard rozbójnik ze starego kraju. Zamiarem jego jest dokonanie napadu na mój ładunek futer, ale ponieważ jestem uprzedzony, nie obawiam się tego. Obawiam się, że banda może podjąć napady na innych kupców lub nawet na misję. Bandzie pomaga Indianin Châsekah-Nébowin, zwany inaczej. Nagłą Śmiercią.

Girard jest siostrzeńcem komendanta fortu w Trois Rivières. Mam nadzieję, że Wielebny Ojciec uprzedzi innych kupców, zwłaszcza że banda może połączyć się z jakąś liczniejszą wrogą grupą dzikich. Oddawca tego listu to Neecarnis – mój przyjaciel.

Szczerze oddany

---

<sup>82</sup> Ksiądz jezuita, badacz terenów położonych na południowy zachód od Jeziora Górnego.

Czytający złożył starannie papier i spojrzał na stojącego nieruchomo młodzieńca.

– Czy Neecarnis wie, gdzie ukrywa się banda?

– Tak. O ćwierć dnia drogi stąd – odparł Indianin.

– Czy widział ją może?

– Nie, ale wysledził jej zwiadowcę, który oddalił się stąd niedawno.

– Stąd?

– Tak! Neecarnis obserwował go prawie od rana i wie, że Nagła Śmierć długo słuchał słów, które mówiono przy tym ognisku. Potem zatarł ślady, opuścił to miejsce i pobiegł do złych, bladych twarzy – do groty, w której przebywają. Słuchający patrzyli na niego z niedowierzaniem. Du Lhut, który jednak z całej siódemki miał chyba największe doświadczenie, podszedł szybko do młodzieńca i uściśnął mu serdecznie rękę mówiąc:

– Nasz czerwonoskóry brat mimo swego młodego wieku jest bardzo chytrym i mądrym wojownikiem. Neecarnis może być dumny z przyjaźni i zaufania, jakie okazał mu Shemágonish wysyłając z tak ważnymi wiadomościami. Czy Shemágonish potrzebuje może jakiejś pomocy? Biali, którzy znajdują się tu, z radością staną u jego boku.

Indianin pokręcił głową:

– Nie. Shemágonish wielki i chytry wódz. Nie potrzebuje pomocy, a jego czerwonoskórzy bracia, którzy mu towarzyszą, nie obawiają się Girarda. Shemágonish pragnie jedynie, by jego mówiący papier otrzymał szybko ojciec Hennepin. A Neecarnis radzi, by jego bracia opuścili to miejsce. Błada twarz, którą nazywają Girardem, ma dwa razy po dziesięciu mężczyzn i tyle samo strzelb. Walka byłaby nierówna.

Du Lhut pokiwał ze zrozumieniem głową:

– Neecarnis ma rację. Wprawdzie jego bracia zamierzali opuścić to miejsce dopiero jutro, ale pójdą za jego radą i opuszczą je jeszcze dziś wieczorem. Będą mieli nad wrogiem całą noc przewagi. I zdążą uprzedzić ojca Hennepin. A co uczyni Neecarnis?

– Zobaczysz, co zrobią ci, którzy zamierzają napaść na Shemágonisha a potem wróci do niego i powie mu o tym, co zobaczył lub usłyszał.

– Kiedy Shemágonish może być w misji?

– Neecarnis myśli, że za pół Księżyca.

Biały raz jeszcze uściśnął mu rękę.

– Niech Neecarnis powie Shemágonishowi, że Du Lhut, Joliet i inni będą tam na niego czekali. Są jego przyjaciółmi.

W parę godzin później, gdy cienie wieczoru gęstą czernią wcisnęły się między drzewa i rozłożyste krzewy, od strony puszczy poruszyły się nieznacznie trawy, zachybotały muśnięte nieostrożnym dotykiem delikatne gałązki sassafras, z krótkim piskiem pomknęła do nory leśna mysz. Między drzewami zamajaczyły ledwo widoczne, przygięte ku ziemi cienie. Sunęły wolno, ostrożnie w stronę dogasającego ogniska, niczym duchy. Pod miękkimi mokasynami nie trzasnęła najmniejsza nawet gałązka, nie drgnął potrącony stopą kamyk.

O kilkanaście kroków od ogniska wtopiły się w otaczający las i zastygły w oczekiwaniu. Do przodu, niczym wąż, prześlizgnął się półnagi cień. Okrążył dopalające się główne i dotykając miękkiej w tym miejscu ziemi posunął się na sam skraj półwyspu. Zamajaczył tam raz i drugi, wrócił szybko i zbliżywszy się do skulonej za drzewem postaci szepnął:

– Biali odpłynęli. Na brzegu zostały tylko ślady ich kanu.

Przyczajony do tej pory mężczyzna wyprostował się i rzucił krótko:

– Dorzućcie drzewa do ogniska. Zwierzyna wyniosła się. Gdy wykonano to polecenie, słowa zwiadowcy potwierdziły się aż nadto wyraźnie. Ślady stóp prowadziły wprost do wody,

gdzie widoczne były odcisnięte podłużne wgłębienia pozostawione przez stojące na brzegu łodzie. Girard nie ścisząc głosu spytał stojącego obok:

– Jak myślisz, Chásekah-Nébowin, kiedy odeszli stąd biali?

– O zmroku. Ślady jeszcze bardzo wyraźne.

– Czy Nagła Śmierć domyśla się, dlaczego mogli odejść?

– Nie. Tego Chásekah-Nébowin nie wie. Ale myśli, że w ciągu dnia gorąco, ciężko wiosłować. Woleli popłynąć nocą.

Zbliżył się Bergson. Nadeszli pozostali.

– Słuchaj, Charles – spytał Girard – a może oni coś przewąchali?

– Daj spokój, Philippe. Gdyby zauważyli Nagłą Śmierć, gdy ich obserwował, spróbowaliby go schwytać, a gdyby im się to nie udało zwinęliby obóz zaraz i czmychnęli już dawno. Jeśliby coś podejrzewali, nie siedzieliby tu do wieczora. Dostaniemy ich w misji i tam poczekamy na Bressona. Wracajmy. Trzeba się przespać, a jutro w drogę. Może ich zresztą doścignemy lub wyprzedzimy przed misją.

Banda, nie troszcząc się o ognisko, szybko zniknęła w głębi lasu. Kilkanaście minut później z wysokiego, rozłożystego klonu zsunęły się dwie postacie i podążyły chyłkiem do ukrytych w nadbrzeżnej gęstwinie łodzi, w których oczekiwała pozostała grupka podróżnych.

Joliet wskoczył do pierwszej i roześmiał się bezgłośnie

– I Bresson, i Neecarnis mieli rację. Widać dobrze znają kompanię pana Girarda.

– A więc przyszli ci nieszczęśnicy – ojciec Marquette pobożnie wzniosł ręce ku niebu.

– Przyszli, ojcie, przyszli, ale gdy chyłkiem przemykali od drzewa do drzewa, nie wyglądali na tak wielkich nieszczęśników. Raczej na całkiem spore stadko zgłodniałych wilków. Dopiero gdy przekonali się, że nas już nie ma, wydawało mi się, że czują zawód. No, ale ruszajmy. Jak widać, pan Du Lhut spieszy się i to nie bez racji.

– Nie bez racji? – zakonnik wydawał się jeszcze bardziej zdziwiony.

– Ano nie. Pan Girard i spółka też spieszą do misji. Pewno z pobożności – parsknął ponownie. Mężczyźni bez dalszej zwłoki wzięli się do wiosł. Kanu, popychane łagodnym zachodnim wiatrem szybko zniknęły w mroku.

Tymczasem Girard ze swoją kompanią wracał do groty w nie najlepszym usposobieniu. Gdy dotarli tam o północy, rzucił się na posłanie i usnął prawie natychmiast. Następnego dnia ruszyli dopiero koło południa.

Trzymali się blisko brzegu, toteż dopiero jedenastego dnia dostrzegli na południowym wschodzie ciemną linię odległego łądu.

O kilka mil od wejścia w węższą część zatoki banda przeczekwała do zapadnięcia zmroku. Nagła Śmierć oraz inni nalegali, by kanał łączący jeziora Tracy i Huron obejść nocą, a następnie zaatakować misję od strony wschodniej. W razie kłopotów można było zawsze wycofać się na wschód i zniknąć w gęstym łańcuchu zalesionych wysp ciągnących się wzdłuż północnego brzegu jeziora Huron.

Pojawienie się bandy o kilkanaście mil od misji nie przeszło jednak w sposób nie zauważony. Bowiem już w dniu, w którym siedmioosobowy oddziałek wiozący ojca Marquette dotarł do celu, Joliet i Du Lhut wysłali natychmiast kilku Wyandotów<sup>83</sup> na nadbrzeżne punkty obserwacyjne.

Gdy więc zwiadowcy donieśli, że trzy duże kanu skryły się w zatoczce o pół dnia drogi od zabudowań misji, Du Lhut zatarł z zadowoleniem ręce. Podobnie jak Joliet nie wykazywał żadnego zaniepokojenia. Budynki misji były solidne, otoczone ostrokołem o wysokości około dwudziestu stóp. Jedyne przejście z zewnątrz prowadziło przez niezbyt szeroką bramę opuszczaną od góry za pomocą grubych, konopnych lin. Niespodziewane wtargnięcie przez ostrokoł było niemożliwe, a sforsowanie bramy zbitej z grubych drewnianych bali wprost

---

<sup>83</sup> Wyandot lub Wendat, nazwa jaką przyjęły resztki plemienia Huronów po rozgromieniu ich przez Ligę Irokezów. Według innych źródeł – pierwotna nazwa Huronów.

nieprawdopodobne.

Obróńców było co prawda niewielu, bo nie licząc sześciu braci zakonnych zaledwie kilku białych mężczyzn, ale Du Lhut nie przejmował się tym. Trzech pobliskich osadników, którzy na wieść o możliwym napadzie natychmiast wraz z rodzinami przeniosło się do misji, nie wykazywało również najmniejszego zaniepokojenia. Dochodziło do tego kilku na stałe zatrudnionych w misji Wyandotów, którzy co prawda po strasliwej rzezi dokonanej na nich w tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym roku nie wykazywali się zbyt walecznością, ale też nie można ich było uważać za tchórzów. Szczupła załoga nie musiała więc obawiać się zagrożenia ze strony nawet znacznie silniejszej bandy niż ta, którą dysponował Girard.

Z chwilą dotarcia wieści o pojawieniu się bandy ojciec Hennepin usiłował wprawdzie uderzyć w dzwon trwogi, którego głos znali wszyscy Indianie żyjący w promieniu kilkunastu mil od misji, ale Du Lhut i znajdujący się właśnie w pobliżu Joliet powstrzymali go przed tym stanowczo.

– Nie możesz czynić tego, ojcie. Wrogowie nie mogą domyślać się, że ich zamiary zostały odkryte – mówił.

– Twoim owieczkom żyjącym w puszczy nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Nie posiadają futer, na które poluje banda, nie będą więc atakowani. Gdy Girard będzie się czuł bezpiecznie, łatwiej da się zaskoczyć.

– Ale przecież jego banda już wylądowała. Najdalej za kilka godzin uderzy na misję.

Du Lhut roześmiał się niefrasobliwie:

– Nie masz racji, ojcie. Dzisiaj nas nie zaatakują, a może nawet jeszcze nie jutro. Znajdują się po tej stronie przesmyku, z której w każdej chwili może nadciągnąć Bresson. Nie będą chcieli dostać się w pułapkę, bez możliwości odwrotu.

– Co więc twoim zdaniem uczynią, panie Du Lhut? – spytał zakonnik.

– Przeprowadzą się najpierw nad jezioro Huron. Poszukają odpowiedniej kryjówki i dopiero wtedy spróbują się tu dostać jakimś podstępem. Ale, à propos, ojcie. Na wieżycy nad misją widziałem zdaje się jakąś armatkę. Nie wiesz, czy nadaje się do użytku?

– Tak. Brat Giacomo w wieczór narodzenia pańskiego daje z niej zawsze ognia na wiwat, ale nie mamy do niej kul.

– A prochu, ojcie, i ołowiu macie trochę?

– Tak, synu. Tego jest w piwnicach sporo. Tylko że ołów leży tam w płytach. Nie wiem, czy ci się na coś przyda? Były żołnierz uśmiechnął się dyskretnie:

– Nie kłopotz się, ojcie. Poproś brata Giacomo, a ty, panie Joliet, zbierz mężczyzn, przynieście tu ołów i porąbce go siekierami na małe kawałki. Nie muszą być równe. Jeśli brat Giacomo znajdzie gdzieś grubsze gwoździe, to też trzeba je poprzecinać. Może się przydadzą.

– Co zamierzasz uczynić, synu? – spytał przerażony zakonnik.

– Z tych kilkunastu strzelb, jakie posiadamy, ojcie, może wylecieć niewiele kulek, a z tej twojej armatki jednorazowo bardzo dużo – przynajmniej kilkadziesiąt. Kto wie, czy nie będzie potrzebna...?

W godzinach popołudniowych okiem znawcy oglądał wspomnianą armatkę. Na strych wdrapał się Joliet. Przydźwigał dwa ciężkie wory pociętego ołowiu i gwoździ. Odetchnął parę razy głębiej i spojrzał przenikliwie na swego przyjaciela.

– Słuchaj, Danielu. Przecież nie na tych dwudziestu opryszków Girarda szykujesz tę kolubrynę?

– Oczywiście, że nie na nich, Louis. Z nimi nie będziemy mieć większych kłopotów.

– No więc na kogo?

– Hm... Gdybym to wiedział. Pamiętasz, co pisał Bresson do naszego przeora?

– Tak, ale nie rozumiem... Przecież donosił tylko o bandzie Girarda i ostrzegał, że z jej strony może zagrażać jakieś niebezpieczeństwo misji lub przepływającym tu kupcom.

- Pewnie jest tak, jak mówisz, Louis, ale w tym liście jest jeszcze coś.
- Nie rozumiem. Nic więcej nie pamiętam
- Było! Bresson podejrzewa, że Girard może związać się z jakąś liczniejszą bandą dzikich.
- Ale to tylko podejrzenie. Danielu. Nie twierdzi, że jest tego pewien.
- Tak, masz rację. Nie twierdzi tego. Ale ja go znam. To chłopak wychowany wśród dzikich i to najgorszych dzikich – wśród Mohawków. Niebezpieczeństwo zwietrzy na sto mil. A w tym wypadku to znacznie bliżej. Imć Girard zwącha się wkrótce z jakimiś dzikusami albo może zrobił to już. I tu Bresson nie myli się.
- Nie rozumiem cię nadal. Danielu. Przecież on nie twierdzi tego stanowczo. Podejrzewa tylko. Może się mylić. Nie sądzisz?
- Ależ skąd. Nie sądzę. Jestem pewien, że się nie myli.
- Skąd u diabła możesz to wiedzieć?
- Posłuchaj. Czy pamiętasz, jaki transport futer Bresson przyprowadził do Trois Rivières w ubiegłym roku?
- Pewnie. Sam widziałem. Ze sześćdziesiąt kanu.
- Ilu ludzi prowadziło łodzie?
- Nnoo... Przeszło dwa razy tyle.
- A ilu ludzi ma Girard?
- Dwudziestu – odparł Joliet kojarząc nagle tę oczywistą prawdę. – To jasne. Dwudziestu ludzi nie jest w stanie przeprowadzić więcej jak dwadzieścia małych kanu. Tamte były duże. Girard, jeśliby udało mu się przechwycić obecny transport Bressona, musiałby mieć co najmniej stu kilkudziesięciu ludzi, a po to by go zdobyć – znacznie więcej, bo przecież Bresson w tak daleką drogę nie zabierał bab, lecz wojowników. Jesteś genialny. Danielu. To jasne, że gości możemy mieć znacznie więcej, niż myślałem.
- No widzisz. Nie przesądzam sprawy, bo Girard może planować napad gdzieś dalej. Na szlaku północnym jest sporo dogodnych do tego miejsc, ale możliwe, że pomocników wykorzysta już tu, a wtedy armatka się przyda.
- Pod wieczór ściągnęło do misji dwu zwiadowców. Obydwaj donosili zgodnie, że dziewiętnastu białych i jeden Indianin nie założyli obozu i nie rozładowali kanu, lecz przyczaili się na brzegu.
- Wieczorem Du Lhut i Joliet wyprawili się na zwiad. Gdy wrócili koło północy, sprawa wyjaśniła się ostatecznie. Banda pod osłoną ciemności obeszła bystrza i przedostała się na jezioro Huron.
- Tej nocy mieszkańcy misji mogli spać spokojnie. Było niepodobieństwem, by banda zdołała wrócić w tak krótkim czasie w okolice misji.
- Du Lhut, który dowództwo nad parooosobową załogą objął za milczącą zgodą wszystkich, nie omieszkał zaraz po powrocie, jeszcze w środku nocy, wysłać indiańskich zwiadowców, by śledzili dalsze poczynania Girarda. Ponieważ jednak nikomu nie chciało się spać i wszyscy czuwali, cała szczupła załoga zebrała się w niewielkim refektarzu przy ciepłym kominku.
- Ojciec Marguette, wzmocniony parodniowym odpoczynkiem i kuracją miejscowych braciszków zakonnych, siedząc wygodnie na stosie futer, opowiadał przeżycia minionej wielomiesięcznej wyprawy, jaką wraz z panem Joliot odbył wokół jeziora Tracy. Jego żywa wyobraźnia i doskonała pamięć malowała przepiękne obrazy kraju leżącego na południe i zachód od Wielkich Jezior. Wyruszyli z północnej części jeziora Michigan-z misji St. Ignace jeszcze ubiegłego roku w celu stwierdzenia, czy rzeczywiście gdzieś w pobliżu znajduje się owa wielka rzeka zwana przez wszystkich Indian Ojcem Wód, prowadząca ponoć ku odległemu oceanowi.
- Przedzierając się przez dzikie, rozległe bagna i gęste, mroczne puszcze wędrowali początkowo na południe, a później na zachód, lecz dotarwszy do krainy pociętej setkami strumieni i jezior, zawrócili ponownie na wschód, wydostając się cudem na rozległe wody

jeziora Tracy. Tam spotkali pana Du Lhuta, który wraz ze swymi towarzyszami wracał z odległego, leżącego na skraju zachodniej prerii kraju Siuksów i Mandanów, wśród których, jak twierdził, żyli Indianie o niebieskich oczach.

Ojciec Marquette mówił, że interesuje go przede wszystkim owa legendarna wielka rzeka i wspólnie z panem Jolietem postanowili przygotować nową wyprawę w celu jej odszukania i zbadania, dokąd prowadzi.

Ten filigranowy jezuita z młodzieńczym ogniem w oczach tłumaczył słuchającym, jak wielkie znaczenie dla francuskiej Kanady miałyby, gdyby okazało się, że rzeka ta jest właśnie owym od dawna poszukiwanym szlakiem, wiodącym ku zachodniemu oceanowi, drogą wodną, której na próżno poszukiwał przeszło sto trzydzieści lat temu Jacques Cartier, a później w swych licznych wyprawach Samuel de Champlain<sup>84</sup> -założyciel i twórca Nowej Francji.

– Niestety – stwierdził na zakończenie – wyprawa taka wymaga wielu starannych przygotowań i podjęcie jej w tym roku będzie niemożliwe. Ale już w przyszłym lub za dwa lata, kto wie?

– A co teraz będziesz czynił, drogi bracie? – spytał ojciec Hennepin. Zapytany uśmiechnął się.

– Twoi braciszkanie złagodzili znacznie moje dolegliwości. Myślę, że za parę dni, kiedy wyjaśni się sprawa z tym spodziewanym napadem, będę mógł wrócić spokojnie do misji St. Ignace, gdzie jest moje miejsce.

– Słyszeliśmy, bracie, że tamtejsi ojcowie rozwijają bardzo pożyteczną i szeroką działalność duszpasterską. Nie tylko zresztą wśród Indian.

– Masz rację, bracie Hennepin. Pracy mamy dużo. Od wielu lat po ustaniu ataków irokeskich, dzięki pomocy Najwyższego, zaczęło się tam ponownie odradzać życie. Na ziemi objętej duszpasterską pracą misji żyje kilka plemion, liczących, jak myślimy, kilka tysięcy dusz. W sąsiedztwie osiedliło się prawie dwustu białych osadników. Kraj jest wielki, wszędzie otwarty, toteż osadnicy zajmują się raczej handlem niż uprawą roli, ale pomoc i pociechę duchową nieść trzeba. Najgorzej, że jak wydaje się, nie wszyscy mają królewskie patenty handlowe i nie wszystkie futra z naszego rejonu trafiają do Quebecu czy Trois Rivières. Niektóre, a może nawet znaczna część, płynie na południe jeziora Huron, a potem szlakiem przez Erie i częściowo Catarqui do kupców z północnych kolonii angielskich. Trudno z tym walczyć jedynie przy pomocy słowa bożego, A nawet najcięższa pokuta nie zawsze zapobiega złu, tym bardziej że obowiązuje wszystkich święta tajemnica spowiedzi.

Taak... Ojciec Hennepin słyszał już niejedno o francuskiej, szybko rozrastającej się kolonii wokół misji St. Ignace, a wiedział, jak różni ludzie właśnie tam podejmowali się zyskowego handlu futrami. Niewiele mógł poradzić swemu zakonnemu bratu. Poprosił jeszcze tylko pana Du Lhuta o skontrolowanie straży i z modlitewnikiem w ręku udał się do swej niewielkiej, skromnej izdebki.

Zrobiło się późno. Prócz straży wszyscy pozostali udali się na spoczynek.

Wcześniej rano ściągnęli wysłani poprzedniego dnia zwiadowcy. Według ich relacji siedemnastu białych, którzy ukryli się nocą na jednej z wysepek, tuż u wylotu przesmyku wodnego, wcześniej rano przepравиło się na ląd i teraz zmierza w kierunku misji. Są od niej zaledwie o pół dnia drogi. Posuwają się powoli. Dwu natomiast jeszcze nocą wróciło na

---

<sup>84</sup> Samuel de Champlain (ok. 1570-1635), syn marynarza z Brouage. W 1599 r. zaciągnął się do floty hiszpańskiej i odbył podróż do Indii Zachodnich. Opublikowany z tej podróży raport przyniósł mu sławę i od Henryka IV tytuł królewskiego geografę. W l. 1603-1607 odbył trzy wyprawy do Ameryki Pn. i w 1608 założył miasto Quebec na miejscu irokeskiej wsi. W 1609 r. na czele Huronów, Algonkinów i kilku Francuzów zniszczył wieś Irokezów, co dało początek trwającej półtora wieku wrogości Ligi Irokezów do Nowej Francji i przyczyniło się do jej upadku. Od początku pobytu w Quebecu podjął pracę nad stworzeniem silnej kolonii francuskiej, pozyskiwał sojuszników spośród plemion algonkińskich i Huronów, rozwinął handel futrzany.

jezioro Tracy i teraz płynie do misji od strony zachodniej. Powinni tu być za jakieś trzy godziny. Zniknął natomiast towarzyszący białym Indianin. Nie wiadomo gdzie się podział.

Wysłuchawszy tych wieści Du Lhut zatarł z zadowoleniem ręce i zwrócił się do Joliet:

– No więc, mój drogi Louis, mamy okazję zabawić się dzisiejszego, jak sądzę, wieczoru. Co myślisz o tym wszystkim?

Joliet wzruszył ramionami.

– To chyba proste. Girard wysłał dwu szpiegów, by dowiedzieć się, ilu zdolnych do walki mężczyzn jest w misji. Jeśli przekona się, że niezbyt wielu, nocą urządzi napadzik, a może nawet jeszcze wieczorem.

– Też tak myślę, tylko ciekaw jestem, czy tych dwu ma spełnić jedynie rolę szpiegów, czy też wyznaczono im na przykład zadanie wpuszczenia bandy do środka. Ale to w tej chwili nie jest ważne. Chodź! Pójdziemy do wielbego przeora – to mądry człowiek – i porozmawiamy.

Wkrótce potem niewielki dziedziniec wewnątrz ostrokołu otaczającego zabudowania misyjne świecił pustką. Jedynie od czasu do czasu przemierzył go wolno, pobożnie jakiś skupiony nad swym modlitewnikiem braciszek zakonny.

Brama jak zwykle była opuszczona. Przy wąskiej, mocnej furcie drzemał w palących promieniach słońca brat odźwierny. Szeroka, luźno przewiązana sutanna i wielki kaptur nasunięty na głowę okrywały jego postać i zasłaniały twarz. Spod kaptura widoczna była jedynie długa, czarna, sięgająca piersi broda. Drzemka braciszka musiała być dosyć głęboka, skoro nie zareagował ani na przybicie do skleconej z grubych desek przystani niewielkiego kanu, arii prawdopodobnie nie usłyszał głosów dwu zdążających ku bramie mężczyzn, którzy tym kanu przybyli. Zbudził go dopiero dość głośny chrobot kołatki przy furcie.

Podniósł się ociężale, rękawem przetarł powieki, odsunął okratowane okienko i popatrzył na nieoczekiwanych gości. Gdy odezwał się, w jego głosie słychać było wyraźnie ślady przerwanej dopiero co drzemki.

– A któż to puka do furty świętego przybytku?

Zza bramy rozległ się głos:

– Otwórz, zacny sługo boży. Dwu chrześcijańskich podróżnych, poddanych najmiłościwszego pana, pragnie pod osłoną tego świętego przybytku rozprostować swe strudzone członki i złożyć zacnemu przeorowi wyrazy szacunku.

Furtian zdjął masywną zasuwę i odsuwając się z wąskiego przejścia powiedział cicho:

– Wejdźcie, bracia. Każda chrześcijańska dusza jest tu zawsze witana z radością.

Obydwaj podróżni schylając głowy przeszli przez furtkę. Przepuściwszy ich zakonnik zamknął ją i założył starannie zasuwę. Widząc to starszy z przybyłych uśmiechnął się i spytał dobrodusznie:

– Widzę, ojcze, że nawet to pięknie świejące dzisiaj słońce nie pozwala ci zapominać o ostrożności. Te strony są chyba bezpieczne?

– To nie ostrożność, synu. Słudzy świętej wiary nie muszą się niczego obawiać, ale reguła zakonna nakazuje zamykać furtę, by nie przedostały się do wnętrza duchy nieczystych mocy. Pójdźcie ze mną, bracia! Zaprowadzę was do ojca Hennepin. – Powiedziawszy to, pochylił na piersi głowę i podreptał ociężałym krokiem w stronę budynku misyjnego. Postępujący za nim wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a młodszy uśmiechnął się lekceważąco.

Niezbyt rozległy dziedziniec przeszli w pół minuty, po czym prowadzący ich zakonnik otworzył ciężkie, dębowe drzwi i poprowadził długim korytarzem. Szedł wolno, nie odwracając głowy. Jego przygarbiona z lekka postać wskazywała, że musiał być już dosyć stary. Gdy weszli do dużej, widnej izby, zakonnik odezwał się ponownie:

– Poczekajcie, bracia. Pójdę uprzedzić wielbego przeora o waszym przybyciu. Zaledwie zniknął za drzwiami, gdy starszy szepnął:

– Trzymaj, Passy, język za zębami. Ja będę gadał.

– Dobra, Rolland, gadaj, ale myślę, że we dwóch poradziłibyśmy sobie z zacnymi braciszkami. Nie wiem, po co ta cała heca?

– Stul pysk i nie wtrącaj się!

W chwilę potem otwały się cicho drzwi i przygarbiony jeszcze bardziej furtian powiedział swym cichym, trzęsącym się głosem:

– Ojciec Hennepin oczekuje was, zacni bracia, ale ponieważ znajduje się w izbie modlitwy, gdzie zawieszony jest święty wizerunek odkupiciela, prosi, byście wszelką broń zostawili tutaj.

Passy poruszył się niepewnie, lecz Rolland widząc, że zakonnik nie patrzy na nich, syknął:

– Odlóż, głupcze – i sam demonstracyjnie złożył strzelbę, pistolety i nóż na szerokiej ławie stojącej pod ścianą. Passy z niechęcią uczynił to samo.

Furtian otworzył drzwi i gestem wskazał, by weszli do następnej izby.

Pod przeciwległą ścianą, za długim, dębowym stołem, na którym stał czarny, drewniany krucyfiks i leżała oprawiona w skórę, gruba księga, siedział ojciec Hennepin. Na widok wchodzących podniósł się i uczynił znak krzyża.

– Witajcie, mili bracia. Skąd Bóg prowadzi?

– Witaj, wielbny ojcie – odparł Rolland – przybywamy z dalekich, zachodnich terenów, gdzie kupowaliśmy futra od dzikich. Chcielibyśmy w misji odpocząć kilka dni.

– Siadajcie, bracia. Będziecie tu mogli odpocząć i nabrać sił do dalszej podróży. Czy jest was wielu?

– Nie, ojcie. Przybywamy tylko we dwóch. Nasi towarzysze i indiańscy wioślarze, którzy wiozą futra, będą tu dopiero za kilka dni. Nas wysłano przodem, byśmy uprzedzili cię, ojcie, o nadejściu transportu i sprawdzili, czy w misji lub gdzieś w pobliżu nie przebywają dzicy, którzy zgodziliby się za opłatą zastąpić naszych wioślarzy i powieźć futra do Quebecu lub chociaż do Montrealu.

– A czy nie mogą uczynić tego dotychczasowi?

– Jest z tym kłopot. To Indianie Czarnostopi, którzy obawiają się tutejszych Czipewejów. Od dawna są wrogami. Zgodzili się dowieźć nas tylko do misji. Stąd chcą wracać.

– Powiadasz, synu, że to Czarnostopi? Słyszeliśmy tu o nich niejednokrotnie, chociaż nigdy jako o wioślarzach. Podobno należą do najbardziej dzikich i wrogich białym Indian. Jak udało się wam ująć z życiem z ich kraju i w dodatku jeszcze kupić futra? Czy dużo ich zgromadziliście?

– Dużo, ojcie. Prawie czterdzieści kanu. Dlatego właśnie będziemy potrzebowali pomocników. A co do Czarnostopych, to nie są gorsi od innych. Jeśli się z nimi postępuje łagodnie i sprawiedliwie, są tacy, jak tutejsi Wyandoci. Mamy nadzieję, że jest ich trochę w misji i za opłatą zgodzą się popłynąć z nami?

– Niestety, synu. W misji jest ich zawsze trochę jesienią, gdy zaopatrują się w rzeczy potrzebne do zimowych polowań, i w okresie zbioru zboża i warzyw. Wiosną dostarczają nam futra. Teraz w okolicy jest zaledwie kilka rodzin. Trudno wam będzie zdobyć wioślarzy.

– A biali? Płynąc tu natrafiłszy na ślady obozowiska kilku białych. Może oni są w misji i może zgodziliby się przyłączyć do nas, ma się rozumieć za opłatą. Jeśli nie uda się tutaj zatrudnić kogoś, trzeba będzie powiązać łodzie i ciągnąć.

– Gdybyście przybyli kilka dni wcześniej, może udałoby się wam, synu, namówić tych białych. Byli tu, ale odpłynęli. Misja jest teraz pusta. Zaledwie kilku braci. Obawiam się, że ci nie pomożemy. Czy zostanieie na noc, czy chcecie się rozejrzeć po okolicy i porozmawiać z osiadłymi tu Indianami? Cztery rodziny rozbiły wigwamy o parę mil na zachód nad brzegiem jeziora.

– Zostaniemy chyba, ojcie. Wybierzemy się do nich jutro. Nasi towarzysze nadciągną za parę dni. Zdążymy.

– A kim są, synu, wasi towarzysze? W ubiegłym roku przepływała tu, o ile pamiętam,



tylko jedna większa grupa francuskich kupców. Chyba późną jesienią. Zatrzymywała się tutaj. Kto jest dowódcą, bo nie pamiętam dobrze? Czy to właśnie ta kupiecka wyprawa?

Rolland pod jasnym, szczerym wzrokiem przeora poczuł się niepewnie.

– Chyba tak, ojcie. Była rzeczywiście późna jesień, a my mieliśmy szmat drogi przed sobą. Spieszyliśmy się, dlatego nasz postój tu był krótki.

– Właśnie – zakonnik pokiwał głową. – A kto jest waszym dowódcą i jaki kupiec was wysłał? Znam wszystkich.

Przez głowę opryszka przemknęło dziesiątki myśli. Nie spodziewał się tego pytania. Popatrzył w dobrotliwą twarz przeora. Tak, to przecież nie miało żadnego znaczenia. Za kilka godzin zakonnicy z misji nie będą mogli wykorzystać już najmniejszej wiadomości. Może więc bez obaw o następstwa powiedzieć temu naiwnemu ojczulkowi więcej, niż zamierzał. Umarli przecież milczą. Uśmiechnął się i odparł z całą otwartością:

– Nie znasz go, ojcie. Dopiero latem ubiegłego roku przybył z Francji. Nazywa się Philippe Girard i jest siostrzeńcem komendanta fortu w Trois Rivières.

– A ty kim właściwie jesteś, mój synu, i kim jest twój milczący młody towarzysz? Nie przedstawiliście się jeszcze.

– Ja nazywam się Rolland, ojcie, a to jest pan Passy! Przeor przyglądał się długo swym gościom. Jego twarz przybrała surowy wyraz. Łagodny do tej pory wzrok stwardniał. Mimo to, gdy odezwał się, głos brzmiał nadal łagodnie:

– A więc Philippe Girard, francuski rozbójnik, na którego głowę czeka królewski kat. Rozbójnik, który uciekł za ocean, by tu nadal wieść zbójckie życie. Ale nie sam. Zwerbował bandę morderców, bandę, która wczoraj pod osłoną ciemności przedostała się na jezioro Huron i której dwu szpiegów przyszło dzisiaj sprawdzić, czy łatwo będzie zdobyć misję i wymordować zakonnych braci. Nie wiem, synu, czy i ty swe ręce skalałeś już krwią niewinnych, ale jeśli do tego jeszcze nie doszło, dziękuj Bogu, że nazaczył ci tylko piętnem Judasza. Zbrodni, nawet gdybyś chciał, już nie popełnisz. – W tym momencie otworzyły się drzwi z prawej i lewej strony i stanęło w nich kilku mężczyzn z bronią wymierzoną w dwu bandytów.

Pochylony do tej pory pobożnie brat furtian wysunął ręce z szerokich rękawów habitu, odrzucił kaptur i roześmiał się rubasznie:

– Cóż to, mości Rolland? Nie poznałeś starego przyjaciela Joliet, który tyle razy proponował ci uczciwe życie?

Obydwu ogłupiałych i kompletnie zaskoczonych bandytów związano błyskawicznie. Ojciec Hennepin spuściwszy głowę wyszedł wolno z izby. Miejsce jego zajął Du Lhut. Obok, zrzućwszy krępujący swobodę ruchów habit, stanął Joliet. Pozostali mężczyźni opuścili izbę.

Du Lhut patrzył przez chwilę na związanych bandytów, po czym powiedział spokojnie:

– Nie udało się wam. Daję wam wybór, albo szubienica zaraz, albo sąd w Quebecu. Jeśli odpowiecie na moje pytania, zajmie się wami sąd. Jeśli nie odpowiecie, stryczek teraz.

– Nic nie zrobiliśmy – wykrztusił Rolland. – Nie może nas pan powiesić, panie Du Lhut.

– Mogę, chłopcze, ponieważ z panem Jolietem, ojcem Marquette i czterema innymi uczciwymi ludźmi możemy stwierdzić, że urządziliście na nas zbójcki napad w pobliżu ujścia rzeki Nippigon. Podsluchaliśmy was wtedy i dokładnie sobie obejrzel. Mamy więc prawo wydać i wykonać wyrok. Decyduj się więc, czy będziesz mówił, czy nie, bo nie mam czasu.

Niedoszły bandyta odwrócił głowę. Wiedział, że jeśli nie odpowie, dzień ten będzie ostatnim dniem jego życia.

– Dobrze. Niech pan pyta.

Du Lhut uśmiechnął się i spytał:

– Jakie zadanie wyznaczył ci tutaj Girard?

– Miałem ustalić, ilu mężczyzn jest w misji.

- Jak to miałeś przekazać bandzie?
- Girard ustalił, że jeśli będzie tylko kilku, to mam się stąd nie ruszać, tylko nocą otworzyć furtkę. Gdybym zastał więcej mężczyzn, miałem w ciągu dnia wyjść pod jakimkolwiek pozorem i powiadomić go, że z napadu należy zrezygnować.
- Dobrze, A skąd wiedziałeś, o jakiej porze otworzyć furtkę?
- Przed samym świtem miałem czekać na znak. Znakiem, że ludzie Girarda są gotowi, miał być trzykrotny głos nura wodnego. Właśnie wtedy powinienem otworzyć furtkę.
- Bardzo dobrze. Ilu ludzi liczy banda?
- Dziewiętnastu białych i jeden Indianin.
- A gdzie jest ten Indianin?
- Nie wiem. Opuścił nas wczoraj wieczorem, a Girard nie mówił, dokąd odszedł. Wie o tym tylko Bergson. On jest, zastępcą Girarda.
- Jakich i ilu dzikich poza tym jednym zwerbował wasz herszt?
- To podobno Missisauga z Manitoulin, ale nikt ich jeszcze nie widział. Girard mówił, że będą na nas czekać koło ujścia rzeki wpadającej do jeziora Nipissing.
- A więc tam zamierzaliście napaść na transport Bressona?
- Tak! – Rolland nie dziwił się, że Du Lhut wie wszystko.
- Nie jesteś, Rolland, może taki zły i głupi, jak myślałem. Czy wiesz jeszcze coś, co może mi się przydać przy obronie misji?
- Nie, panie Du Lhut. Powiedziałem wszystko.
- Dobra. Powędrujesz teraz z Passy'm do lochu, ale nie próbujcie uciekać. Nie warto. Nie znalazł się jeszcze taki, który oszukałby Du Lhuta.

## ROZDZIAŁ XV

### Wróg przychodzi o świcie

Mimo zapewnień Rollanda i Passy'ego złożonych ponownie w obecności ojca Hennepin i potwierdzonych przysięga na krzyż, że napadu zamierzała dokonać licząca w tej chwili tylko siedemnastu mężczyzn banda Girarda, Du Lhut nie zaniedbał ostrożności, której dawno już nauczyło go doświadczenie. I była to ostrożność więcej niż uzasadniona. Obszerna opowieść Rollanda o poczynaniach i wielomiesięcznym zachowaniu Chásekah-Nébowina, jego długich, tajemniczych wycieczkach i ostatnim zniknięciu w przeddzień przygotowywanego napadu na misję, dawała wiele do myślenia.

Zagadką pozostawała również sprawa Indian Missisauga. Missisauga od dawna należeli do zaprzyjaźnionych z misją oraz białymi kupcami Indian i utrzymywali z nimi handlowe stosunki. Wojen z sąsiadami nie prowadzili, a od paru lat, gdy zostały powstrzymane irokeskie napady, zachowywali się spokojnie.

Kupcy powracający z zachodu zatrudniali ich często w charakterze wioślarzy. Ojciec Hennepin zapewniał, że nie słyszał o ich zatargach czy nieporozumieniach z plemionami Odżibuejów, do których sami należeli.

Tak więc opowieść dwu ujętych opryszków, że to właśnie Missisauga, którzy zresztą sami siebie nazywali „Ludźmi z szerokiego ujścia rzeki”, zamierzają przyłączyć się do bandy Girarda i dokonać napadu na transport Bressona, prowadzony przez ich krewniaków, wydawała się wielce wątpliwa.

Drugą poważną wątpliwość budziło zachowanie Nagłej Śmierci. Du Lhut, który znał wielu Indian, nie żywił żadnych złudzeń, że ten dziki mimo pozorów, jakie stwarzał, był na wojennej ścieżce. Już jego tajemnicze pojawienie się w Trois Rivières, poprowadzenie bandy za Bressonem, zachęcanie do nieudanego na szczęście napadu przy ujściu rzeki Nippigon, wskazywały na to wyraźnie. Chásekah-Nébowin był wojownikiem. Indiański wojownik zaś nigdy nie przepuszczał okazji do zdobycia skalpów i łupów. Musiał wiedzieć, że w czasie napadu na misję czeka go i jedno i drugie.

Dlaczego więc rezygnował? Dlaczego wyrzekał się swego udziału w łupach? Wy tłumaczenie dla tego nieprawdopodobnego faktu mogło być tylko jedno. Nagła Śmierć nie rezygnował z niczego i zapewne nie miał zamiaru opuszczania pola przyszłej walki.

Jego niespodziewane wczorajsze zniknięcie mogło oznaczać tylko jedno. Za wiedzą Girarda udał się najpewniej po obiecywanych pomocników i nie mogli być nimi Missisauga ani wojownicy innego z pobliskich algonkińskich plemion. Musieli to być wrogowie Algonkinów, a dokładniej wrogowie Odżibuejów, bo ci właśnie towarzyszyli Bressonowi.

– Nad czym tak myślisz, panie Du Lhut? – spytał ojciec Hennepin, widząc zadumę powlekającą twarz swego gościa.

Du Lhut zmarszczył lekko brwi.

– Nad niczym szczególnym, ojczu. Zastanawiam się jedynie, czy w misji znajduje się trochę zapasowych strzelb?

– Ależ oczywiście, synu. Wprawdzie nie są używane, bo w zwierzynę zaopatrują nas nasi indiańscy przyjaciele, ale brat Giacomo, który z powołania zdaje się być bardziej żołnierzem

niż zakonnikami, dba o nie, a braciszków nauczył nawet nieźle strzelać. Od biedy każdy z nich na pięćdziesiąt kroków trafiłby w jelenia.

– To bardzo dobrze, ojczec. Każ przynieść tu całą broń i poproszę wszystkich mężczyzn,

Gdy w parę minut później izba wypełniła się i zgromadzono broń, Du Lhut popatrzył na przeora z uznaniem. Broni mieli pod dostatkiem, a w warunkach gdy jedną strzelbę ładowało się przeciętnie przeszło pół minuty, zwiększona ich liczba podwajała, a może potrajała siły obrońców. Na oczach zgromadzonych sprawdził osobiście każdą sztukę. Skończywszy z tym, popatrzył uważnie na obecnych i powiedział:

– Poprosiłem tu was, jak się domyślacie, w związku ze spodziewanym napadem bandy Girarda. Nastąpi dzisiejszej nocy przed świtem. Jeżeli wszystko, o czym powiedzieli nam schwytani tu dwaj członkowie bandy, potwierdzi się, to misji ani nikomu z obecnych nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo. Ale może okazać się, że banda nie przyjdzie tu sama. Możemy mieć znacznie więcej gości i to gości bardzo niebezpiecznych. Musimy być na to przygotowani. I każdy musi wiedzieć, co ma robić w czasie walki, żeby potem nie było niepotrzebnego zamieszania. Czy rozumiecie mnie?

– Rozumiemy, panie Du Lhut – odparł brat Giacomo.

– A czy nasi czerwonoskórzy bracia, którzy są tu z nami, rozumieją również?

Do przodu wysunął się krępy Indianin i powiedział:

– Mężczyźni Wyandotów są wojownikami. Nie lękają się wrogów. Biały wódz może na nich polegać. Niech rozkazuje. Du Lhut uśmiechnął się i skinął głową.

– Biały wódz rozumie swych braci i ufa im. Wie, że go nie zawiodą. A teraz niech słuchają wszyscy. Każdy musi wykonać dokładnie to, co powiem....

Dawno pogasły światła w oknach zabudowań misyjnych, przebrzmiało dalekie pohukiwanie nocnego puszczyka, jasna tarcza księżyca zatoczyła na gwiaździstym niebie szeroki łuk i zapadła w zachodnie wody jeziora, gdy gdzieś od wschodu rozległ się trzykrotny głos czarnego nura.

Du Lhut nasłuchujący czujnie już od dłuższego czasu, przywarł bliżej otworu strzelniczego mieszczącego się w wąskiej furtce i pilnie wpatrzył w ciemność.

Wraz z Joliotem i innymi obrońcami zajęli tu miejsca tuż po zmroku, gdy nie mogli ich już wypatrzyć bystre oczy jakiegoś zwiadowcy, najpewniej wysłanego przez wrogów. Od chwili zajęcia stanowisk między obrońcami nie padło jedno słowo. Czekali spokojnie. Z zewnątrz nikt nie mógł dostrzec ich za grubą palisadą. Oni zaś mogli obserwować przedpole przyszłej walki.

Wprawdzie trwająca jeszcze czerń nocy nie pozwalała widzieć, co działo się dalej, ale uwagi czuwających, gdy zabrzmiał złowieszczy głos wodnego ptaka, nie uszedł wyraźny ruch na skraju sosnowego boru, oddalonego od solidnej palisady nie dalej niż sto kroków.

Du Lhut powstrzymał oddech, i wsłuchiwał się uważnie w dochodzące odgłosy. Był zupełnie spokojny. Nie po raz pierwszy przychodziło mu czekać w zasadzce na wroga, a głos ptaka obwieszczał właśnie jego nadejście. Dobrych parę minut wpatrywał się w ciemność, lecz niewiele mógł dostrzec, chociaż... O tam, na łagodnym stoku, ciemność jakby bardziej zgęstniała. Coś poruszyło się niewyraźnie, i tam... trochę bardziej w lewo... i jeszcze dalej. Coraz więcej postaci wynurzało się z ciemności. I wszystkie szły w kierunku bramy. Pochylone nieco, niewyraźne, falujące jak łan dzikiej kukurydzy. Było ich całe dziesiątki, a może setki.

Girard nie przychodził więc sam. Prowadził indiańskich pomocników. Całą horde, ściśniętą i sunącą szybko ku bramie.

Byli żołnierze w jednej chwili zrozumieli straszliwe niebezpieczeństwo, ale i największą szansę. Tamci jeszcze nie spodziewali się niczego. Szli gęsto. Jeden obok drugiego. Od bramy dzieliło ich co najmniej trzydzieści, czterdzieści kroków. Znakomita odległość dla

każdej strzelby. Tu musiała trafić każda kula i nie wolno było zwlekać.

Wzdłuż szeregu obrońców przemknął cichy szept. Znieruchomiały długie lufy. Powietrzem targnęła ogłuszająca salwa, której w chwilę później odpowiedział krzyk rannych i konających. Skłębily się i zwały na ziemię pierwsze szeregi, gdy w osłupiałe, miotające się kłębowisko poszła druga salwa. To obrońcy, każdy zaopatrzonego w kilka strzelb stojących pod ręką i gotowych do użytku, nie przepuścili okazji. W chwilę potem snop ognia zionął z misyjnej wieżyczki, rozległ się potworny huk. Na gromadę napastników z przeraźliwym świstem lunął deszcz żelaza i ołowiu posłany wprawną i pewną ręką ojca Giacomo. Zza bramy posypał się ponownie grad kul, a wkrótce uciekającą bezładnie bandę goniły już tylko pojedyncze strzały. Tuż pod lasem uciekających raz jeszcze dosięgły siekance wyrzucone z armatniej paszczy. Obrońcy pośpiesznie nabijali opróżnione strzelby. Niebo na wschodzie jaśniało z każdą chwilą. Przez wysokie korony drzew szybko przesączało się światło poranka.

Joliet, który kończył właśnie nabijanie kolejnej strzelby, przechylił nieco głowę w stronę otworu strzelniczego i gwizdnął przez zęby:

– No, Danielu, myślę, że po tej łaźni naszym leśnym przyjaciółom odechce się napadać na spokojną misję?

– Wręcz przeciwnie, drogi przyjacielu! Ponieśli duże straty. Leży tam chyba z piętnastu zabitych, a z sobą unieśli co najmniej drugie tyle rannych. Nie odejdą bez próby zemsty. No i nie zostawią zwłok.

– Cóż, będziemy musieli przywitać ich jeszcze raz podobnie. Wtedy może jednak zrezygnują?

– Nie łudź się, Louis. Straty ponieśli, bo nie spodziewali się zasadzki. Drugi raz nie dadzą się zaskoczyć w podobny sposób. No t nie przyjdą jawnie pod muszkiety. Założę się, że w tej chwili nie oplakują zabitych, lecz radzą, jak zabrać nam bez dalszych strat skalpy.

– Nie chce mi się wierzyć, Danielu. Po takiej klęsce uciekałbym, gdzie pieprz rośnie.

Du Lhut pokiwał smętnie głową i postawił obok ostatnią z nabijanych strzelb.

– Może ty uciekałbyś, ale nie Seneka. To obok Mohawków najbardziej okrutni i mściwi Irokezi. Nie zostawią nas, chociażby miała ich zginać połowa.

– Skąd wiesz, że to Seneka i w ogóle Irokezi?

– Popatrz na ich tarcze wojenne. Wszędzie znaki klanów, a takie malowidła na ciałach noszą tylko Seneka. Będzie dobrze, jeśli przeżyjemy ten dzień.

Joliet zbliżył twarz do szczeliny, przez którą mógł obserwować poległych, i patrzył dłuższy czas. W końcu powiedział:

– Chyba masz rację. To Irokezi. I było ich tu przynajmniej ze dwie setki.

– Właśnie. Dwie lub trzy setki Irokezów i kilku białych w misji. Wyobrażasz to sobie?

– Nnnoo... Nie bardzo. Ale w takim razie, co możemy zrobić?

– Na razie nic. Poczekamy, chociaż zdaje się, że nie za długo. Popatrz!

Na skraju lasu działo się coś niezwykłego. Oto zza osłony drzew wytoczyły się ogromne pęki chrustu i poczęły pięć się po łagodnym stoku w stronę bramy.

– Co u diabła – Joliet odruchowo ściszył głos. – Co to takiego?

– Widzisz przecież. Pęki chrustu. Za każdym tarcza, a za nią Seneka. Takiej osłony nie przebijie żadna kula. Chłopcy, nie strzelać! – krzyknął widząc, że kilku obrońców podnosi strzelby. – To na nic. Szkoda prochu.

– No, ale przecież wyjdą zza tego chrustu – powiedział zawzięcie Joliet.

– Wcale nie! Dojdą tak do samego ostrokołu i wtedy nie będziemy już dla nich groźni. Nie dosięgniemy żadnego.

– Ale oni nas również nie dosięgną.

– Oni nie mają takiego zamiaru. Chytry plan, Louis. Bardzo chytry.

– Jaki znów plan? Co ty mówisz?

– Zobaczysz, gdy rzucą to pod bramę i podpalą. Zabieraj broń i ludzi. Tu już nic po nas.

Jedyna szansa, zresztą nie najgorsza, to misja. Nadzieja w tym, że z nią nie poradzą sobie tak łatwo.

Wkrótce garstka obrońców przemyciła chyłkiem do masywnego budynku. Du Lhut polecił obsadzić okna, sam zaś z Jolietem wdrapał się po drabinie na płaski dach. Zaledwie jednak postąpił parę kroków, gdy tuż koło ucha posłyszał gwizd kuli, a zaraz potem huk wystrzału. Przycupnął za kominem i począł rozglądać się bacznie dokoła. Druga kula przecięła mu rękaw bluzy. Tym razem na szczęście dostrzegł błysk ognia. Strzelec i to nie najgorszy siedział na grubym konarze sosny na skraju boru. Dobrze sto trzydzieści kroków.

– Siegniesz go stąd, Louis? – spytał wskazując ręką. Joliet przesunął się szybko na drugą stronę komina i podparł starannie lufę strzelby. W chwilę po naciśnięciu spustu siedzący na drzewie zachybotał się gwałtownie i runął w dół z co najmniej czterdziestostopowej wysokości. W stronę szczęśliwego strzelca z sąsiednich drzew posypał się grad kul.

Du Lhut przemknął szybko do wieżyczki, gdzie ojciec Giacomo wypatrywał celu i wskazał korony drzew skrywających napastników ostrzeliwujących dach.

– Możesz ich, ojcie, stamtąd przepłoszyć?

Zakonnik kiwnął tylko głową i grad siekańców wstrząsnął gałęziami. Dwa następne wystrzały oczyściły drzewa.

– No i jak, synu?

– Wspaniale, ojcie. Nie będą nam teraz przeszkadzać. Zresztą popatrz pod bramę. Stosik chrustu jest już dosyć spory. Gdy brama spłonie, ruszą do ataku. Pilnuj ich. Ta armatka warta jest teraz bardzo wiele strzelb. – Z tymi słowy zbiegł szybko na dół i upewniwszy się, że przy każdym z wychodzących na bramę okien z bronią gotową do strzału czuwają obrońcy, ponownie wydostał się na dach. Zaledwie zajął swe poprzednie stanowisko, gdy spod bramy poczęły wydobywać się języki ognia. Płomienie sięgały coraz wyżej. Drewno wysuszone na słońcu zapłonęło niczym pochodnia. Nie ulegało wątpliwości, że brama zwali się łada moment.

Joliet zza komina przesunął się na skraj dachu i oparł o jego krawędź lufę strzelby. Dzicy jednak nie pokazywał i się jeszcze. Tych kilkudziesięciu, którzy przynieśli i podpalili chrust, kryło się za palisadą. Pozostali czaili się zapewne na skraju lasu. Z obydwu stron umilkły strzały.

W pewnym momencie rozległ się suchy trzask, brama zachwiała się i wznecając snop iskier runęła do środka. W tej samej niemal chwili, nie zważając na płonące jeszcze szczapy, kilkanaście półnagich postaci, przeskakując gorące głownie, pomknęło w stronę budynku misji. Z okien posypał się ku nim grad kul. Kilku napastników padło, lecz już w następnych sekundach przez bramę poczęły przemycić nowe postacie. Coraz więcej i więcej. Od strony lasu z potwornym wyciem ruszyła pędem cała gromada półnagich wojowników. Na czele ze strzelbami w rękach biegło kilku białych.

Du Lhut wziął na cel pierwszego z nich i gdy już zamierzał nacisnąć spust, kątem oka dostrzegł, jak z lewej strony, z głębi niskiego, jodłowego zagajnika wysuwa się błyskawicznie nowy oddział liczący chyba ze dwie setki dzikich. W mgnieniu oka oddział utworzył długą linię. Błysnęły w słońcu lufy muszkietów i na pędzącą ku bramie gromadę napastników lunął deszcz pocisków. Nim atakujący zdążyli oprzytomnieć, pierwszy szereg oddziału pochylił się jak na wojskowej paradzie. Błysnął nad nim nowy rząd luf i zagrzmiała powtórna salwa. Ryknęła z dachu armatka. Kilkudziesięciu napastników leżało na ziemi. Pozostali podnieśli rannych i osłaniając się ogniem pomknęli w stronę lasu. Runęła za nimi lawina tych, którzy zjawili się z tak niespodziewaną odsieczą. Z misji wypadli wszyscy obrońcy i na czele z Jolietem i Du Lhutem popędzili również w stronę lasu.

Ojciec Hennepln padł na kolana i zalał się łzami. Energiczni braciszkwowie gasili szybko rozszerzający się na palisadę ogień. Brat Giacomo objął lufę swej armatki, ucałował ją ze czcią, a następnie naznaczył znakiem krzyża.

Bitewna wrzawa oddalała się szybko na wschód, by po jakimś czasie ucichnąć w głębi boru. Tam, gdzie jeszcze do niedawna waliła na misję pijana żądzą łupu i mordy dzika horda, zaległo śmiertelne milczenie.

Zakonni braciszkanie, na czele z ojcem Hennepinem, wyszli przed palisadę. Przeor niósł kubel święconej wody i kropidło. Żony osadników wraz z księdzem Marquette'm oglądały leżących między palisadą a lasem szukając rannych. Nie było ich jednak. Zostali zabrani przez uciekających współbraci.

Na niewielkim stoku, w pobliżu bramy, na dziedzińcu misji pozostały tylko trupy. Wśród zabitych znajdowało się pięciu białych z bandy Girarda. Tych rozpoznali Rolland i Passy. Nie było wiadomo, co się stało z Girardem i Bergsonem. Nie było też nigdzie zwłok Chásekah-Nébowina.

Ojcowie zachodzili w głowę, kim byli wybawcy, którzy tak niespodziewanie, niemal w ostatniej chwili ocalili misję od pewnej zagłady. Nikomu jednak nie przychodziło do głowy żadne wyjaśnienie. Wszyscy byli zgodni co do jednego. Obrońcami byli Indianie, ale jacy Indianie? Ojciec Hennepin twierdził stanowczo, że nie było to żadne z okolicznych plemion. Nikt nie posiadał tu tyle broni palnej. Patrząc, jak braciszkanie kopią na zboczu wielki dół, w którym zamierzali złożyć zwłoki poległych, przeor dzielił się z ojcem Marquette'm swymi myślami:

– Nie, drogi bracie. To nietutejsi. Widziałem, gdy stanęli pod tym laskiem, że jednocześnie podnieśli broń. Jak żołnierze na mustrze. To oddział dobrze wyszkolonych wojowników. I nie wydali nawet jednego wojennego okrzyku. Nie pochodzą z tych stron. Gdyby nie to, że uderzyli na Seneków, powiedziałbym, że to jedno z plemion irokeskich. A może oni nie bronili wcale misji – powiedział z nagłym przestachem. – Może urządzili tylko zasadzkę na wrogów i wrócą tu, by dokończyć tego, co zaczęli Seneka?

Ojciec Marquette roześmiał się serdecznie.

– Ależ, bracie. Nie grzesz taką myślą. Gdyby mieli takie zamiary, jak mówisz, pozwoliliby Senekom na dokończenie ataku. Pozwoliliby, by zginęło ich jeszcze trochę w czasie walki i zaatakowaliby już znacznie osłabionych. Nas zgarnęliby przy okazji. Nie, bracie. To nie wrogowie i nie o zasadzkę na tych barbarzyńców im chodziło. Zjawili się tu, by obronić misję. I wydaje mi się, że widziałem wśród nich również białych, a przynajmniej jednego. Zresztą, gdyby to byli wrogowie, Du Lhut i inni nie popędziliby jak szaleni. To byli przyjaciele, bracie Hennepin. I wrócą tu. Możesz być spokojny.

Jakoż słowa jego sprawdziły się w niecałe dwie godziny później, gdy z lasu poczęli się wyłaniać zrazu pojedynczy wojownicy, a później duża grupa. Na jej czele podążali Du Lhut, Joliet i... Bresson.

Znano go tu w misji od kilku lat, toteż poznawszy młodzieńca, przeor ścisnął go serdecznie. Na rozmowę jednak chwilowo nie było czasu. Paul natychmiast po powrocie z pościgu wysłał ponad stu mężczyzn po ukryte o kilka mil od misji swoje kanu, których pilnowało zaledwie kilkunastu ludzi. Sam zaś przy pomocy wszystkich pozostałych wyciął odpowiednio długie i proste drzewa i przystąpił natychmiast do naprawy nadwątlonej palisady i spalonej bramy.

Na szczęście gwoździ i żelaznych klamer w misji było pod dostatkiem, a skoro okazało się jeszcze, że jeden z osadników – pan Chaserieau okazał się wcale niezłym cieślą, praca postępowała szybko i nim słońce przechyliło się nad wierzchołki drzew, w ostrokołe otaczającym misję ponownie można było zamknąć bramę.

Nie czyniono jednak tego tym razem. Dwustu wyposażonych w dobrą broń Wahgooshug i Kenábigoog, którzy rozłożyli obóz nad wodą oraz na stoku wzgórza, stanowiło tak wielką siłę, że nie było obawy o jakikolwiek napad. Napięcie i niepokój, w jakim od kilku dni żyła misja, zniknęły bez śladu.

Wieczorem w obszernej izbie na zaproszenie ojca Hennepina zgromadzili się wszyscy biali

i zaraz na początku zasypali Paula gradem pytań o jego cudowne pojawienie się w chwili najbardziej dla misji niebezpiecznej. Młody kupiec śmiał się jedynie.

– Nie było w tym nic nadzwyczajnego – stwierdził. – O tym że banda Girarda postanowiła zagarnąć mój transport, dowiedziałem się jeszcze zimą. Zwiadowcy Lisów i Węży wysłedzili kryjówkę bandy już dawno. Dlatego właśnie przez Neecarnisa wysłałem tu wiadomość. W pobliżu byliśmy już wczoraj, lecz Girard i Senekowie siedzieli w lesie. W gąszczu strzelba nie jest przydatna. Poczekaliśmy, aż wszyscy wyjdą z lasu. Wtedy można ich było zaatakować skutecznie.

Du Lhut, który od dłuższego czasu słuchał uważnie mówiącego, spytał:

– Ale skąd pan wiedział wszystko tak dokładnie? O ruchach bandy, jej zamiarach, a nawet o Senekach?

– Och, to nie było takie trudne. Dobrze pan wie, że stu łodzi z załogą nie pokona dwudziestoosobowa banda. Taki pomysł to czyste szaleństwo. Wiedziałem więc, że Girard musi poszukać pomocników. Nie mógł ich znaleźć ani na północy, ani na zachodzie, ani na wschodzie. Nipissing, Ottawa, Potowatomi, Odżibuejowie i Czipewejowie są z sobą spokrewnieni. Mogą się kłócić czasami tak jak z Kenishtenog. Mogą nawet czynić przeciwko sobie sporadyczne paraosobowe wypadki, kończące się na ogół wzięciem jeńców, czasem porwaniem jakiejś dziewczyny, ale to codzienne, zwykłe sprawy. Na większą wyprawę przeciwko swym współbraciom nie daliby się namówić.

Na południu, w pobliżu Michiganu i Huronu żyje garść Wyandotów, trochę Tionontati, no i Panther. Dawno zatracili ducha walki i też trzeba było ich wykluczyć. Saukowie i Foxy mogliby wchodzić w rachubę, ale jak wiem, od dłuższego czasu są na wojennej ścieżce przeciwko Siuksom, to znaczy jednocześnie przeciwko Sante, Yankton i Yanktonai. W grę mogli więc wchodzić jedynie sprzymierzeńcy z południowego wschodu, a więc Irokezi. Najbardziej prawdopodobni byli Cayuga lub Seneka. Okazało się właśnie, że ci ostatni. Myślę, że gdy ich namawiano, przypomniał im się rok tysiąc sześćset czterdziesty dziewiąty. Sądziłem, że pójdzie równie łatwo jak wtedy. Nie udało się.

– Nauczka wystarczy im chyba na długo – wtrącił Joliet.

Paul uśmiechnął się.

– Nie jestem pewien. Nigdy nie wracali do swej wioski pokonani. Myślę, że spróbują wziąć odwet.

– Jezus, Maria! – wykrzyknął ojciec Hennepin. – Czyżbyś synu przewidywał nowy napad na misję?

– Nie! Tu już nie przyjdą w najbliższym czasie. Ale przede mną droga jeszcze daleka. Ściągną posiłki i pewno gdzieś ich spotkam. – W izbie zapadła cisza. Przerwał ją Du Lhut.

– Pewnie ma pan rację, Paul. Ale niepokoi mnie w związku z tym dalsza trasa transportu.

– Niepotrzebnie, panie Du Lhut – Paul uśmiechnął się leciutko. – Ponieważ idziemy północnym szlakiem, to aż do końca Huronu nie mamy się czego obawiać. Na tym odcinku atak jest niemożliwy. Równie mało prawdopodobny między Huronem a jeziorem Nipissing. Jedynie przejście między Nipissing a Ottawą staje się niebezpieczne. Jest tam cała masa portażu. Można urządzić przynajmniej z piętnaście zasadzek, ale myślę, że jakoś sobie poradzimy.

– Nie myślał pan, Bresson, o szlaku południowym? – spytał Joliet.

– Nie. Jest dłuższy, a przy przejściu przez Cataragui styka się niemal z terenami Ligi. Tam byliby u siebie w domu. No, a poza tym urządzenie zasadzki przy wielkich wodospadach jest pewne. Nawet przy przewadze z naszej strony w strzelbach, mogliby zablokować nam przejście na dłuższy czas. Mogłoby dojść do walki wręcz, a tam postaraliby się o liczną przewagę. Moglibyśmy stracić i sporo ludzi, i sporą część ładunku. To nie jest dobra droga, gdy się wiezie futra.

Pozostali musieli przyznać mu rację.



- Jedyna pociecha – powiedział Du Lhut – że Girard stracił znów pięciu ludzi.
- Sześciu – poprawił Paul. – Shikag sprzątnął jeszcze jednego, gdy znajdowali się już na jeziorze. Widziałem, że oberwał nieźle. Nawet jeśli nie śmiertelnie, nie będą mieli już z niego pożytku. Zostało ich już tylko jedenastu.
- No, a ten ich przewodnik – Chásekah-Nébowin? To przecież chyba on namówił Seneków? Przecież on wie, że pańscy wioślarze to Lisy i Węże. Jak to się dzieje, że na swych własnych braci nasyła Irokezów? Czy nie myślał pan o tym?
- Paul zamyślił się. Wiele poprzednio zastanawiał się nad tym i doszedł do pewnych, chociaż niezbyt jeszcze jasnych, wniosków. Wolał jednak nie dzielić się nimi, toteż odparł powściągliwie:
- To nie jest tak zupełnie ściśle. Nagła Śmierć nie jest właściwie Wahgoosh. Do plemienia Seseganagi przyłączył się przed paroma laty. Widocznie nie uważa Wahgooshug za swych braci. Może czuje do nich jakąś urazę? Trudno powiedzieć.

Po prawie dziesięciodniowym odpoczynku w misji transport ruszył na wschód północnym skrajem Huronu. Minawszy kanał północny biegnący wzdłuż wyspy Manitoulin, Paul skierował się ku ujściu Rzeki Francuskiej łączącej -wschodnią zatokę jeziora Huron z jeziorem Nipissing. Rzeką, a właściwie długi, szeroki kanał, o malowniczej nierównomiernej linii brzegowej ciągnął się wzdłuż falistych, łagodnych, gęsto zalesionych wzgórz, na dystansie, który przebyli w ciągu pięciu dni.

Przy wejściu na jezioro Nipissing minęli kilkanaście niewielkich, gęsto zalesionych wysepek. Na wodach jeziora było ich zresztą sporo. Omijali je z dala zawsze w gęstym, zwartym szyku.

Wreszcie wieczorem któregoś dnia kanu zaryły dziobami w wąski piasek plaży w miejscu, skąd kupcy zwykle rozpoczynali najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny na całej trasie odcinek drogi wiodący ku Ottawie.

Ledwie mężczyźni dotknęli stopą piaszczystego gruntu, gdy kilkusobowe oddziały tropicieli szerokim wachlarzem poszły w las. Ściśnięte na skrawku nadbrzeżnej przestrzeni obozowisko otoczył pierścień straży, a wokół samego obozu zbudowano prawie czterostopowej wysokości barykadę z kamieni, pni drzewnych i grubych gałęzi. W obrębie barykady rozniecono kilka niewielkich ognisk.

Mimo iż zwiadowcy, którzy wrócili po kilku godzinach nie przynieśli żadnych niepokojących wieści, nocą straż wokół obozu pełniło ponad pięćdziesięciu wartowników.

Du Lhut i Joliet śmiali się po trosze z ich zdaniem zbyt wielkiej ostrożności i przezorności młodego dowódcy, spoważniali jednak rankiem, kiedy okazało się, że mimo gęstego pierścienia czujnych straży zniknęli Rolland i Passy, i że obydwu niedoszłym bandytom udzielił pomocy ktoś z zewnątrz. W pobliżu miejsca, gdzie leżeli związani, znaleziono zatarte ślady, a ich zbadanie pozwoliło ustalić, że zostawiło je dwu ludzi, którzy przeczołgawszy się między strażami przecięli więzy jeńców i uprowadzili ich prawie trzysta kroków poza obozowisko, gdzie oczekiwały kanu.

Paul nie ganił strażników, chociaż na wieść o ucieczce jeńców wyraźnie spochmurniał. Du Lhut i Joliet dali jednak wyraz swemu oburzeniu mówiąc Geessenarowi, że na straży postawił stare, głuche i ślepe baby, a nie wojowników. Indianin zachował pozorny spokój. Wobec dwu starszych, doświadczonych podróżników nie ośmielił się wystąpić z obroną winnych. Nagane jednak musiał wziąć do serca, bo w jakiś czas potem zauważyli, jak zebrał kilkunastu swych mężczyzn – prawdopodobnie owych niefortunnych wartowników i rozmawiał z nimi dłuższy czas. Miał przy tym wyraźnie gniewną minę i żywo gestykulował, pragnąc widocznie swym słowom dodać większej wagi.

Paul zwinawszy obóz podszedł ku dwójce białych i pomijając milczeniem nocną ucieczkę powiedział:

– Wkraczamy na niebezpieczny odcinek drogi. Płynie tylko połowa wioślarzy. Druga idzie po obu stronach rzeki i ubezpiecza transport. Wolicie, panowie, popłynąć czy przejść się?

– Przejdziemy się – odparł Joliet,

– Prawą czy lewą stroną?

– Lewą – odparł Du Lhut. – Znam tam każdy kąt. Jaki odcinek na dzisiaj?

– Tylko do pierwszego portażu. Nocny obóz przy źródelku. Grupę po lewej stronie prowadzi Żelazny Grot. Od rzeki proszę nie odchodzić dalej jak na dwieście, trzysta jardów. To na wypadek gdyby przyszło zebrać się szybko lub przyjść komuś z pomocą. Sygnał żądający pomocy to trzykrotny krzyk orła.

Du Lhut kiwnął głową i skinął na Jolieta.

– Chodź. Przeprowadzamy się. Zwiadowcy już ruszają.

Paul skinął na Geessenara, który stał o kilka kroków.

– Czy Geessenar pragnie powiedzieć coś swemu bratu?

– Tak. Zwiadowcy schwytali w pobliżu obozu jakiegoś obcego. To pewnie Ottawa, ale nie chce nic mówić. Mową rąk powiedział tylko, że przybył do Shemágonisha i tylko z nim będzie rozmawiał.

– Niech Geessenar przyprowadzi go tu.

W chwilę później dwu rosnących wojowników przywiodło okrytego tylko przepaską biodrową mężczyznę ze związanymi rękoma. Paul zauważył, że dzikiego pozbawiono noża i łuku. Oba te przedmioty trzymał jeden z wojowników prowadzących jeńca.

– Niech moi bracia zostawią broń porwanego i oddalą się. Gdy wojownicy spełnili to polecenie, jeniec odezwał się cicho:

– Wypełniam polecenia Wielkiego Ojca Midewiwin. Jego znak znajdziesz w woreczku wiszącym u mojego pasa.

Paul podszedł do jeńcy z tyłu i rozwiązał jego ręce.

– Shemágonish wierzy swemu bratu, ale chciałby zobaczyć znak.

Czerwonoskóry zanurzył w woreczku rękę i wydobył mały kawałek kory z rysunkiem orła i węża.

– Czy Shemágonish wierzy teraz?

– Tak. Niech jego brat weźmie swoją broń. Jakie imię nosi wysłannik Midewiwin i jakie wieści przynosi swemu bratu?

– Guhguhnoúhwuga<sup>85</sup> należy do narodu Ottawów. Gdy otrzymał polecenie-Wielkiego Szamana i okazał je wodzowi, ten nakazał wszystkim mężczyznom, by ruszyli na zwiady wzdłuż szlaku, którym podąża Shemágonish. Wódz Ottawów przesłał taki sam znak i polecenie do wodzów Potawatomic, Nipissing, a także wyprawił swego specjalnego posła z pasem wampumu do wodza Algonkinów. Było to kilka Księżyców temu. Dziś nocą Guhguhnoúhwuga otrzymał wszystkie wieści, które mogą przydać się Shemágonishowi.

Niech jego biały brat słucha uważnie. – Tu ściszył głos i mówił bez przerwy przeszło pół godziny.

Z kolei Paul wyjaśniał swoje plany i zamierzenia na najbliższe dni. Rysował dokładnie miejsca najbliższych postojów. Dłużej zatrzymał się przy najdłuższym i najbardziej niebezpiecznym portażu.

Posłaniec Wielkiego Szamana słuchał z uwagą. Parokrotnie skinął potakująco głową. Po wyjaśnieniach białego wywiązała się krótka rozmowa. Ustalono ostatnie szczegóły. W końcu Paul spytał:

– Ile długich strzelb posiadają wszyscy wojownicy Ottawów?

– Siedem razy po dziesięć i jeszcze sześć.

– Dobrze. To wystarczy!

---

<sup>85</sup> Czytaj: Ga-ga-nou-ta-ua-ga – Długie Ucho.

Posłaniec wstał. Paul skinął na czekającego nie opodal jednego ze zwiadowców i wskazując na wysłannika powiedział:

– To przyjaciel. Niech brat Shemágonisha przeprowadzi go szybko przez linię straży i doprowadzi do Czarnej Wody. Stamtąd może wrócić wprost do obozu koło źródła. – Gdy dwaj Indianie zniknęli w głębi lasu, obrócił się ku Geessenarowi. Ruszyli bez słowa.

Podążając szybko brzegiem, w godzinę później ujrzeli kanu posuwające się pod prąd.

Wieczorem jak poprzedniego dnia obóz otoczono ziemną barykadą, a na straży stanęło znów pięćdziesięciu wartowników. Miejsce postoju otaczali trzema coraz szerszymi pierścieniami. Tym razem każdy z pełniących straż otrzymał bardzo dokładne polecenia, jak ma się zachowywać w określonej sytuacji. Paul nie zamierzał niczego pozostawiać przypadkowi. Osobiście obchodził straże i sprawdzał jeszcze przed zmrokiem ich rozstawienie.

Mimo że w ciągu dnia transport nie przebył więcej niż dziesięć mil i nikt nie był specjalnie zmęczony, młody dowódca zdecydował, że trasa na ten właśnie dzień jest w zupełności wystarczająca. Na nieco uszczypliwą uwagę Joliet, że jeśli będą się posuwać w takim tempie, to do Trois Rivières dotrą prawdopodobnie na Boże Narodzenie, odparł z uśmiechem:

– Powinien się pan cieszyć, Louis. Gwiazdka z najbliższymi to na pewno ogromna radość. Gorzej by było, gdyby pan w ogóle nie dotarł na miejsce.

– Och, nie ma obawy. Jeśli niebezpieczeństwo, o którym tyle się mówi, istnieje w rzeczywistości, to chyba jedynie ze strony złego ducha. W lesie nie ma najmniejszego śladu ludzi.

– To tylko pozory, Louis. Sam przekonał się pan wczorajszej nocy. Mimo potrójnego rzędu straży, ktoś wyszedł z tego pustego lasu, uwolnił Rollanda i Passy’ego i zniknął. To pozorny spokój. Tu nad rzeką jesteśmy prawdopodobnie bezpieczni, ale trochę dalej nie byłbym wcale tak bardzo pewien. Trzeba się pilnować.

– A więc sądzi pan, Paul, że Seneka nie zrezygnują? – spytał Du Lhut. W tym momencie podszedł Uhsuwaum i zamienił z Paulem kilka słów. Ten podniósł się i przeprosił obydwu rozmówców.

– Muszę opuścić panów na jakiś czas – powiedział. – Uhsuwaum mówi, że od zachodu podąża za nami grupa dzikich. Trzeba będzie to sprawdzić.

Du Lhut i Joliet sięgnęli po strzelby.

– W takim razie idziemy z panem.

Paul pokiwał przecząco głową.

– Nie trzeba. Podobno tylko parę osób. Myślę, że to nasi zwiadowcy wysłani jeszcze z misji. Wezmę kilku ludzi i sprawdzę. Poczekaście tu. – Z tymi słowy zniknął w lesie.

Stopniowo zapadała ciemność. Nad rzeką w obrębie barykady zapłonęło kilkanaście ognisk. Wioślarze zawiesili nad nimi kociołki przygotowując skromny posiłek.

Zapach gotowanej potrawy rozchodził się coraz silniej, gdy z mroku wyłonił się Shemágonish. Prowadził z sobą przeszło dwudziestu mężczyzn i cztery kanu. Zewsząd rozległy się okrzyki radości. Wśród przybyłych z łatwością rozpoznano wysłanych z misji zwiadowców. Wydawali się nieco znużeni, ale zadowoleni. Witali się serdecznie ze swymi przyjaciółmi wywołując niemały zamęt. Ściskali ręce wioślarzy, śmieli się, poklepywali wzajemnie po plecach. Powstał taki gwar i zamieszanie, że nikt nie usłyszał ani nie zauważył, kiedy na przeciwległym, pozostającym zresztą w głębokim cieniu brzegu, rozchyliły się zarośla i dwie postaci zsunęły bez szmeru do wody, znikając pod jej powierzchnią. Gdyby nie ciemność nocy, można by zobaczyć, jak dwaj tajemniczy pływacy przecinają ukośnie nurt rzeki i kryją się pod osłoną gęstego sitowia o kilka zaledwie kroków od ogniska, przy którym ożywioną rozmowę prowadzili właśnie Du Lhut i Joliet.

Obydwaj podróżnicy ze zrozumiałym zainteresowaniem obserwowali powrót zwiadowców i teraz niecierpliwie oczekiwali na nowiny. Bresson nie kazał im zresztą czekać zbyt długo. W

parę zaledwie minut po powrocie nadszedł w towarzystwie jednego z przyprowadzonych z sobą ludzi, a widząc zaciekawienie malujące się na twarzach swych dwu białych przyjaciół powiedział:

– Najlepiej będzie, jeśli Keche Káhshuhgans<sup>86</sup> sam opowie wszystko o ucieczce Seneków.  
– Z tymi słowy poprosił, by przybyły z nim zwiadowca usiadł przy ognisku i opowiedział wszystko, co wie o wrogach.

Wielka Pantera nie dał się namawiać i od razu rozpoczął relację:

– Kiedy wrogowie zostali zaatakowani przy misji przez Shemágonisha, zabrali rannych i uciekali na wschód. Nie uciekali jednak w popłochu, lecz jak widzieli to moi bracia, wielu z nich walczyło osłaniając odwrót tych, którzy pomagali rannym. W odległości, jaką biali nazywają trzy mile, wsiedli do swych kanu i odpłynęli na południe. Keche Káhshuhgans i jego ludzie, którzy zdobyli kilka kanu przeciwników, zgodnie z poleceniem Shemágonisha popłynęli za wrogami.

Zwiadowcy nie mogli za bardzo zbliżyć się do ściganych, gdyż było ich niewielu, a wrogowie, mimo że pobici, liczyli jeszcze prawie piętnaście razy po dziesięciu wojowników. Seneka i biali uciekali szybko, toteż po pięciu dniach znaleźli się w pobliżu tego brzegu Wielkiej Wody, nad którym kiedyś byli Huroni. Cały czas uciekali na południe w kierunku swoich wiosek. Wtedy Wielka Pantera i jego ludzie zrozumieli, że wrogowie postanowili uciec do swej wioski i tam oplakiwać poległych. Przestali ich więc śledzić i wrócili szybko do misji, a tam dowiedziawszy się, jakim szlakiem płynie Shemágonish, podążyli za nim.

– Czy Wielka Pantera jest pewien, że Seneka wrócili do swej wioski? – spytał Du Lhut.

Zwiadowca milczał chwilę, wreszcie odpowiedział:

– Mieli rannych. Gdyby nie zamierzali wracać do wioski, nie płynęliby bez przerwy na południe. Nie oddaliliby się wtedy zbyt daleko od misji, ani od szlaku Shemágonisha. Oni musieli wrócić do swoich, by oplakiwać poległych braci.

– Czy płynąc tutaj północnym szlakiem Wielkiego Jeziora nasz brat nie dostrzegł jakichś innych wrogów? – spytał Joliet.

– Wielka Pantera i jego ludzie widzieli o sześć dni drogi stąd wielu Missisauga, którzy wraz z kobietami i dziećmi łowili ryby przy brzegu wyspy.

Paul podziękował zwiadowcy, który odszedł do jednego z dalszych ognisk, sam zaś sięgnął po cynowy talerz i nałożył sobie sporą porcję zupy. Obydwaj biali poszli za jego przykładem. Następnie Du Lhut wyciągnął fajkę i nabił ją starannie tytoniem, którego woreczek otrzymał jeszcze od ojca Hennepin.

– No i co, Paul? Okazuje się, że te wszystkie opowieści o męstwie, dzielności, no i mściwości Seneków nie są warte nawet funta kłaków. Po dwóch dobrze wymierzonych salwach i stracie paru wojowników umykają tak, że nie dogoniłby ich sam diabeł. Niepotrzebna była cała ta dzisiejsza ostrożność. Gdyby nie ona, moglibyśmy zrobić odcinek drogi dwa razy dłuższy.

Młodzieniec pokiwał smętnie głową.

– Chyba ma pan rację, Danielu. Widocznie Senekowie zmienili się od czasu, gdy widziałem ich ostatni raz. Ale to dobrze, że odeszli. Przynajmniej dalszą drogę będziemy mieli spokojną.

– A więc koniec z bojowym szykiem na jutro – roześmiał się Joliet.

– Po tym, co opowiedział tu Wielka Pantera, myślę, że możemy posuwać się nieco szybciej. Gdybyśmy wstali wcześniej, jutro na wieczór można by dopłynąć do jeziora, a pojutrze przenieść kanu i ładunek nad Żabi Potok.

– Chce pan iść tą skalistą ścieżką, Paul? – spytał Du Lhut. – Przecież to idealne miejsce na zasadzki. Jeśliby nas tam zamknęli, nie wyjdzie żywa noga.

---

<sup>86</sup> Czytaj: Kicze Ka-sza-gans – Wielka Pantera. (Nazwę tę odnoszono zarówno do pumy, jak i jaguara.)

– Tak, ma pan rację, panie Du Lhut. Gdyby Senekowie nie odeszli, nie wybrałbym tej drogi nigdy, ale skoro ich tu nie ma, przejdziemy bezpiecznie. Zamiast wlec się trzy dni dołem, cały odcinek przejdziemy w ciągu jednego dnia.

– A więc pojutrze chce pan naprawdę pójść tą górną ścieżką? Przecież to szaleństwo?

– Ja wierzę, panie Du Lhut, Wielkiej Panterze. Skoro Senekowie uciekli, możemy iść właśnie tamtędy. Nic nam nie grozi. Oszczędzimy dwa dni tej paskudnej drogi. A teraz radzę się położyć i przespać. Jutro czeka nas nie lada wysiłek.

Du Lhut i Joliet popatrzyli na siebie niepewnie. Obydwaj znali górną, wąską ścieżkę, o której mówił Bresson, toteż nie byli zachwyceni jego decyzją. Ścieżka co prawda była krótsza i wygodniejsza od dolnego przejścia, ale była też znacznie bardziej niebezpieczna. Kupcy i Indianie nazywali ją Ścieżką Śmierci, a leżącą poniżej skalnego, urwistego stoku podmokłą dolinę – Trzęsawiskiem Szkieletów. Widocznie jednak młody kupiec czuł się zupełnie bezpiecznie, skoro wybierał właśnie taką drogę.

Odsunęli się nieco od ognia, owinęli w ciepłe skóry i wkrótce sen zmorzył ich powieki.

Stopniowo obóz ogarniała coraz większa cisza i spokój. Milkły rozmowy, przygasaly ogniska. Niewielki skrawek ziemi między skrajem boru a rzeką spowiła ciemność i cisza. Nie wszyscy jednak poddali się nastrojowi pełnego bezpieczeństwa wywołanego opowieścią zwiadowców o odejściu wroga. Nie wszyscy też wierzyli w bezpieczeństwo obozu chronionego ziemną barykadą i potrójnym rzędem straży.

Nic więc dziwnego, że aż kilku z rzekomo śpiących mimo mroku nocy dostrzegło, jak w pobliżu ogniska białych poruszyło się rzeczne sitowie, wychyły na moment ponad nim cienie głów. Dostrzeżono, jak cienie te dały się unieść prądowi wody, a następnie zniknęły poza obrębem obozu. W kilka minut później gdzieś z dali dobiegł drżący, nieco przytłumiony głos maunka. Ten tajemniczy ptak, jak twierdzono, niósł z sobą zawsze żałobną wieść.

Paul długo nie mógł zasnąć. Poranną rozmowę z Guhguhnótuhwuga analizował po raz nie wiadomo który. Ściśle obliczał siły, ich uzbrojenie i rozmieszczenie. Musiał uwzględnić wiele różnych czynników, w tym także sporo niewiadomych i nie łudził się, że sprawa będzie prosta. Już samo ukształtowanie terenu nie pozwalało żywić co do tego większych wątpliwości. A ponadto fakt, że właśnie Sattayentackowi powierzono dowództwo, całe przedsięwzięcie czynił bardzo niebezpiecznym. Ten dumny Seneka miał dar przewidywania. Nie przewidział tylko jednej rzeczy tam, pod misją, że transport dotrze o parę dni wcześniej. Kosztowało go to drogo. Teraz takiej pomyłki już nie popełni. A więc trzeba mu stworzyć okazję do popełnienia innej. Zaczęto już ją zresztą tworzyć. Byle wydała oczekiwane owoce. Jeśli nie, każda walka musiałaby w tej sytuacji przynieść wielkie straty. I wielu ludzi zabrałby Wielki Duch. Nie wolno dopuścić do tego.

Paul nasłuchiwał przez dłuższy czas śpiących spokojnie swych białych przyjaciół, odsunął się od nich ostrożnie i zniknął w ciemnych czeluściach boru. Wiedział, że czekano na niego...

## ROZDZIAŁ XVI

### Gdy myśliwy staje się zwierzyną

W dwa dni później cały obóz podniósł się na nogi na krótko przed wschodem słońca. Po skromnym posiłku Paul zebrał pięćdziesięcioosobową grupę Wahgooshug pod dowództwem Żelaznego Grota i udzielił im ostatnich wskazówek:

– Shemágonish wie – mówił głośno, powoli, tak by go dobrze rozumieli – że jego bracia są dzielni i mądrzy i nie dadzą się przechytrzyć ani odstraszyć żadnemu wrogowi. Ich najgorsi nieprzyjaciele – Irokezi ponieśli wielką klęskę w pobliżu misji i teraz opłakują zmarłych w swej wiosce. Nie ma więc ich tu i nie staną na drodze Lisów. Ale mimo to Wahgooshug nie powinni tracić nic ze swej zwykłej czujności i ostrożności. Mają do wykonania trudne i ważne zadanie. Muszą przejść całą ścieżkę, zbadać, czy gdzieś nie leżą przeszkody i nim słońce minie połowę nieba, winni być po drugiej stronie szlaku. Znają go, więc wiedzą, że na końcu ścieżka schodzi z gór i wkracza do parowu. Parów jest długi. Żelazny Grot i jego wojownicy nie pójdą nim, lecz pozostaną przy końcu ścieżki. Żelazny Grot wyśle jednak do parowu na odległość trzech lotów strzały zwiadowców, by upewnić się, czy w pobliżu nie ma wrogów. Jeśli stwierdzi, że ich nie ma, będzie czekał u końca ścieżki na cały transport. Za Żelaznym Grotem, którego wojownicy mają pięćdziesiąt strzelb, pójdą wioślarze niosący kanu z futrami. Ponieważ kanu jest sto, wioślarze nie zabiorą ich od razu. Najpierw przeniosą połowę, a potem wrócą i zabiorą pozostałą część. Przenoszenie ładunku zajmie im czas do wieczora.

Z tej strony ścieżki pozostanie Shemágonish wraz z Geessenarem i również pięćdziesięcioma uzbrojonymi w strzelby wojownikami Węży. Z tej więc strony tym, którzy znajdą się na ścieżce, również nic nie będzie zagrażać. Shemágonish pozostanie tu do czasu, aż słońce przejdzie trzy czwarte swej codziennej drogi. Wtedy wraz z Geessenarem pójdą z tymi, którzy będą przenosili drugą część ładunku. To, co czyni? Shemágonish, jest tylko zwykłą ostrożnością, gdyż wie, że wrogów nie ma nigdzie w pobliżu. Ale dobry wódz zawsze jest chytry i ostrożny – dodał chełpliwie. – Niech Żelazny Grot już idzie i niech rusza za nim pierwsza część transportu.

Mrok zaczął stopniowo ustępować, gdy zza pobliskich drzew oderwały się dwa cienie i nie zauważone przez nikogo zniknęły bezszelestnie w czeluściach boru.

Joliet, słuchający ze zdziwieniem i wyraźnym zaniepokojeniem wydanych przed chwilą rozkazów, podszedł do młodego białego dowódcy i spytał gniewnie:

– Dlaczego, do stu tysięcy... nie polecił pan Żelaznemu Grotowi, by po tamtej stronie obsadził nie wylot ścieżki, a wylot parowu? Obsadzanie wylotu ścieżki nic nie daje. Jeśli ktokolwiek zajmie parów, nie przepuści i tak ani jednego człowieka. A jeśli po naszym odejściu stąd jacyś dzicy zablokują ścieżkę, siedzimy w pułapce jak amen w pacierzu.

– Nie ma pan racji, panie Joliet. Żelazny Grot nie może zająć parowu, bo ma za mało ludzi. Tylko pięćdziesięciu. Parów, jak pan wie, jest zarośnięty. Strzelby nie na wiele przydałyby się przy jego obronie. Dopiero gdy u wylotu ścieżki znajdzie się cały oddział, będzie nas przeszło dwustu, a w tym przeszło sto strzelb. Wtedy, gdy stanie nam ktokolwiek na drodze, poradzimy sobie z nim.

– Nie jestem, panie Bresson, przekonany.

– Nic na to nie poradzę. Jeśli miał pan jakieś wątpliwości wcześniej, nie trzeba było dołączać do tego transportu, lecz poczekać na inny. Tutaj ja wydaję polecenia. Teraz więc skoro zostało nas tylko pięćdziesięciu, proszę zająć odpowiednie miejsce i pilnować lasu. I niech pan zapamięta, panie Joliet. Nawet gdyby zauważył pan coś podejrzanego, strzelać wolno tylko na mój wyraźny rozkaz. – Z tymi słowy odwrócił się i bez dalszej dyskusji wyciągnął na ziemi z postrzępionym skalnym blokiem. Za podobnymi zasłonami leżeli już wszyscy Węże.

Du Lhut ze zdziwieniem wysłuchiwał poleceń młodego dowódcy. Podobnie jak jego dotychczasowy towarzysz nie był przekonany o słuszności podjętych przez Bresson, środków bezpieczeństwa. Już samo rozbieżne wyposażenie w broń palną oddziału na dwie części wydawało się dosyć ryzykowne.

Od czasu powrotu zwiadowców, którzy śledzili umykających Seneków, Bresson stał się jakby inny. Zniknęła gdzieś jego powściągliwość, opanowanie, oszczędność w słowach i jakby zmniejszyła się ostrożność. Więcej mówił, dzielił się głośno swymi planami, lekceważąco wyrażał o Irokezach. Ot, chociażby przemówienie, jakie dzisiaj rankiem wygłosił do ludzi Żelaznego Grota, było zupełnie niepotrzebne. Wśród panujących jeszcze mroków nocy rozprawiać głośno o szczegółach przeprawy na najbardziej niebezpiecznym odcinku trasy? Głos jego w tym momencie musiał być słyszany przynajmniej na kilkadziesiąt kroków. Gdyby nawet przypadkowi wrogowie znajdowali się gdzieś w pobliżu, to to jedno przemówienie oddawało bezpowrotnie losy całego transportu w ich ręce.

Du Lhut zachnął się i postanowił, że po dotarciu do Ottawy, bez względu na skutki, powie chłopakowi, co o tym myśli. Tak... Gdy dotrą do Ottawy i jeśli dotrą w ogóle...

Godziny wlokły się beznadziejnie. Ciszy boru nie mącił jednak żaden podejrzaný głos. Du Lhut rozejrzał się wokół.

W atmosferze wyczuwał coś dziwnego. Żaden odgłos nie docierał nie tylko z głębi lasu. Również ci, którzy pilnowali wejścia na ścieżkę, milczeli, tak jakby czaili się w zasadzce. Widząc ich tak nieporuszonych i czujnych, podróżnik uświadomił sobie, że nie słyszy nawet głosu ptaków. W polu widzenia nie pojawił się wszędobyłski o tej porze roku indyk, nie pisnęła kuropatwa.

Spojrzał na Bressona i Geessenara. Mimo że od kilku godzin leżeli nieporuszenie, żaden nie wyrzekł nawet słowa. A więc dowódca nie był tak bardzo spokojny, jakby się mogło wydawać, a panująca wokół kompletna cisza nie mogła ujść jego uwagi.

Koło drugiej na ścieżce ukazali się przewoźnicy wracający po drugą część ładunku. Dopiero wtedy zbrojny oddział podniósł się ze swych stanowisk.

Paul przez parę minut rozmawiał z jednym z wioślarzy, upewniwszy się jednak, że Żelazny Grot zajął wyznaczone stanowisko, powiedział głośno:

– Dobrze. Niech brat Shemágonisha powie Żelaznemu Grotowi, by po tamtej stronie ścieżki zrobił niedużą barykadę i założył obóz. Tylko niech nie wchodzi w głąb parowu. Shemágonish nadciągnie tam przed samym wieczorem. Noc spędzą na końcu ścieżki, a rankiem wszyscy razem przejdą parów.

Joliet słysząc te słowa chciał się poderwać, by wygarnąć niedoświadczonemu dowódcy, co o nim myśli, ale Du Lhut powstrzymał go i szepnął:

– Nie wtrącaj się, Louis, do poleceń dowódcy. On nie jest tak głupi, jak myślisz. Wie, co czyni. Popatrz zresztą. Jego Indianie to nie dzieci, a mimo to nie protestują. Pilnują lasu i pewnie czynią to nie bez powodu. Róbmy to samo.

Ostatnia para czerwonoskórych zabrała jedyne już czółno z futrami i zniknęła za zakrętem ścieżki, gdy Bresson położył się znów za skałą i lufę strzelby obrócił w stronę gęstego boru. Joliet przeczołgał się do niego i rzucił szeptem:

– Czemu, u diabła, nie idziemy razem z nimi?

Zapytany uśmiechnął się i odparł również szeptem:

– Z ładunkiem idą wolno. Na ścieżce gorąco. Lepiej tu poczekać w cieniu. Dogonimy ich później. Mamy czas. A na razie niech pan, Louis, zajmie swoje poprzednie miejsce i postępuje tak, jak inni. I niech pan uważa, by niepotrzebnie nie wystawiać na widok nieprzyjaciela jakiegś znaczniejszej części swego ciała. Dzicy strzelają nie mniej celnie niż biali.

Doświadczonego podróżnika o mało nie zatkało z wrażenia.

– Mówi pan: dzicy? Jacy?

– Proszę zająć stanowisko. Ale nie wolno strzelać bez mojego rozkazu. Zrozumiano?

Joliet wycofał się szybko. Du Lhut na jego pytające spojrzenie wzruszył tylko ramionami.

– Jemu się chyba całkiem pomieszało w głowie?

Du Lhut roześmiał się bezgłośnie, ale nie odpowiedział, bo właśnie w tym momencie jakiś podejrzaný szelest dochodzący z prawej strony, przykuł jego uwagę. Nasłuchiwał dłuższą chwilę. Szelest jednak się nie powtórzył.

– Widocznie jakaś jaszczurka lub wąż – pomyślał i znieruchomiał na powrót. Zza niezbyt odległego kamienia wychyliła się jakaś straszna, upiornie wymalowana twarz, wyglądająca niczym maska kościotrupa. Maską chwilę uporczywie wpatrywała się w twarz białego, w końcu dziki poczołgał się w jego stronę. Widział, że został zauważony, a mimo to nie zatrzymał się, nie sięgnął po nóż ani nie wydał najmniejszego okrzyku.

– Co za historia – pomyślał Du Lhut, podziwiając jednocześnie szybkie i zręczne ruchy tamtego. Dziki tymczasem dzielącą ich odległość przepelznął bez szmeru i spytał szeptem:

– Gdzie Shemágonish?

– Tam, za skałą.

Gibkie ciało przesunęło się bezszelestnie między luźno rozrzuconymi kamieniami i zniknęło za załomem.

– Coś nieprawdopodobnego – szepnął Joliet, który widział całą scenę. – Przecież to Seneka, Danielu?

– Nie wiem, Louis. Maską na twarzy służy na ogół do jej ukrycia. Może więc nie Seneka?

– A kto w takim razie?

– Mówiłem, że nie wiem. Może ktoś, do kogo właśnie nie wolno ci strzelać. Zdaje mi się jednak, że nim dzisiejszy dzień dobiegnie końca, zobaczymy jeszcze sporo różnych rzeczy, a może się i czegoś dowiemy. Na razie czujmy, bo jeśli ktoś wymalowany jak wojownik Seneków przekrada się do Shemágonisha, to znaczy że Seneka nie mogą być również daleko. Trzeba uważać.

W denerwującej ciszy i oczekiwaniu znów minęło sporo czasu, gdy nagle gdzieś z daleka, od wschodu, rozległ się przytłumiony krzyk orła. Dobiegał stamtąd, gdzie krętą linią w skalnych załomach ciągnęła się ścieżka.

W kilka minut później Bresson podniósł się zza skały i machnął ręką. Na ten znak wstawali również inni wojownicy. Podeszli także Joliet i Du Lhut.

– Co dalej, panie Bresson? – spytał z przekąsem ten pierwszy. – Czy tylko krótki oddech dla rozprostowania kości, czy może coś nowego?

– Jak dla kogo, drogi panie Joliet. Widzi pan, że słońce nie pali już tak, jak trzy godziny temu. Spokojny spacer będzie teraz przyjemnością. Możemy iść.

Du Lhut, bacznie rozglądający się wokół i nie dostrzegający nigdzie Seneki, który niecałe dwie godziny temu wpelznął właśnie za skałę, obok której zatrzymali się teraz, zamierzał zadać już intrygujące go pytanie, gdy nagle obok Bressona dostrzegł dziwnie znajomą twarz, z której widać dopiero niedawno starto ślady farby. Ależ tak. Był to przecież ten sam Indianin, który u ujścia rzeki Nippigon ostrzegł ich przed bandą i przekazał list do ojca Hennepina. A więc to on był tym Seneką. Tak, sprawa wydawała się coraz bardziej jasna. Zwiadowcy, którzy wrócili trzy dni temu z wieściami, że Seneką uciekli, to była jedna część



prawdy, a Neecarnis wracający ze zwiadów i to zapewne bardzo niebezpiecznych – druga. Która była bliższa rzeczywistości i która lepsza? Z twarzy Bressona nie można było nic wyczytać. Wydał tylko kilka krótkich poleceń i wszedł na szlak, którym parę godzin wcześniej odchodziły stąd kanu i futra.

Z uwagi na to, że ścieżka była wąska i biegła skrajem kitkudziesięciostopowej przepaści, mężczyźni musieli iść pojedynczo. Nie potrzebowali się spieszyć. Ten niebezpieczny odcinek drogi wynosił nie więcej niż cztery mile. Bresson, opisując go wczoraj jeszcze raz dokładnie przy wieczornym ognisku, nie krył wcale, że gdyby jakikolwiek wróg w odpowiednim czasie zamknął wlot i wylot ścieżki, co spotkało już niejednen transport, to ci, którzy znaleźliby się na ścieżce, nie mieli szans ratunku. Ani bowiem wejście po urwistych skałach, ani zejście po gładkich nieomal ścianach do dołu nie było możliwe. Mimo to wybrał właśnie ten szlak i szedł teraz zupełnie spokojnie na czele, pogwizdując z cicha jakąś dziką, nieznaną melodię.

Gdy przeszli spory odcinek, stwierdzili, że ścieżka rozszerza się. Miała teraz sześć, siedem kroków szerokości i mogły iść obok siebie wygodnie trzy osoby. Wiła się jednak bezustannie i z jednego zakrętu wchodziła w drugi. W niektórych miejscach zwężała się, w innych rozszerzała. Niekiedy nieznacznie pięła w górę, to znów łagodnie opadała w dół.

Słońce, które dawno powędrowało na zachód, teraz skryło się za załomem skał, pozwalając oddziałowi posuwać się w całkowitym cieniu. Szli już ze dwie godziny, gdy nagle Joliet i Du Lhut stanęli jak wryci. Widok, jaki ujrzeli, musiał wyrzucić na nich odpowiednie wrażenie.

Nim jednak opowiemy o tym, musimy chociażby pokrótce cofnąć się do wydarzeń nieco wcześniejszych.

Oto nieoczekiwany atak Shemágonisha na oddział Seneków pod misją, a właściwie dwie oddane z bliska salwy w bok nacierającego oddziału wprowadziły tak wielki popłoch i panikę wśród ludzi Sattayentacka, że ów nie zdołał nawet pomyśleć o rozsądnej obronie. Po raz pierwszy w ciągu swego wojowniczego życia ten doświadczony wódz, którego imię wzdłuż całej francuskiej granicy budziło grozę, musiał uchodzić haniebnie z pola walki nie osiągnąwszy nawet w części zamierzonego celu. Jedynie dzięki swemu wieloletniemu doświadczeniu w walce, niejednokrotnie ze znacznie silniejszym przeciwnikiem, zdołał teraz przy pomocy kilkunastu dzielniejszych wojowników opanować panikę, osłonić odwrót i doprowadzić mocno poszarpany oddział do niezbyt oddalonych kanu. Kilka na nieszczęście musiał zostawić i z nich właśnie skorzystali wywiadowcy wroga. Nie mógł temu przeszkodzić i nawet nie zamierzał, a to z dwu powodów. Raz, że Shemágonish miał prawie dwa razy tylu mężczyzn, co on, i w każdej chwili tych prawie dwadzieścia razy po dziesięciu wojowników mogło ruszyć w pogoń za Senekami, a po drugie wojownicy białego kupca mieli grzmiące kije, co z góry przesądzało wynik jakiegokolwiek walki na wodzie. Był jeszcze trzeci powód. Otóż wśród Seneków co drugi wojownik odniósł pod misją jakieś obrażenia i teraz w kanu znajdowało się prawie dwudziestu ciężko rannych mężczyzn, których cudem uniesiono z pola walki. Tych rannych Sattayentack musiał bardzo szybko przekazać w ręce czarownika i kobiet. Nie zastanawiał się więc, lecz parł szybko w stronę ziemi swych braci. Z tyłu na horyzoncie widział cztery ścigające go kanu, lecz nie przejmował się tym. Wiosłowało tam tylko kilkunastu zwiadowców. Byli za słabi na to, by go zaatakować.

Pierwszych parę godzin uciekał – to prawda – ale później nie uciekał już. Spieszył się tylko. Pierwszy powód tego pośpiechu był oczywisty – troska o rannych. Ale dla wodza wyprawy, którą wysłano po futra, istniał cały czas drugi powód, powód, który był właśnie celem tej wyprawy. Cel ten nie został osiągnięty.

Zawiedli biali. Mieli otworzyć furtkę w misji. Już wtedy, gdy nie została otwarta, zaczął podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Nie chciał atakować, ale wojownicy nie zamierzali ustępować. Tłumaczyli, że gdy opanują misję, Shemágonish, który nadciągnie za parę dni, wpadnie w ich ręce wraz z całym transportem. Mimo niechęci do walki ustąpił wtedy i

poniósł klęskę. Stracił prawie jedną trzecią wojowników. Nie mógł tego nie pomścić. A Shemágonish miał przed sobą jeszcze bardzo długą drogę.

Wódz popatrzył na sunące w oddali cztery kanu. To byli wrogowie. – Może zechcą go ścigać dalej – pomyślał, widząc zbliżający się brzeg. Ale nie. Nie ośmielili się. Gdy jego oddział przybił do brzegu, oni zawrócili i odpłynęli. Byli nadal pewni, że ucieka do swojej wioski.

Na naradzie, jaką zwołał, wypowiedzieli się wszyscy. I swoje wystąpienia kończyli podobnie: „Śmierć Shemágonishowi”. Nikt nie chciał wracać bez zwycięstwa. Girard opowiedział się również za walką. I pokazał, co ma w swych kanu. Ich zawartość ucieszyła wojowników. W kanu były strzelby, proch, kule i rum. Biali rozdzielili to między wojowników. Strzelb było sporo. Cztery razy po dziesięć. Tyle wystarczało, by pokonać zniechęconych wrogów i wziąć na nich krwawy odwet.

Do wioski Seneków pomknęli posłańcy z żałobną wieścią, ale jednocześnie z żądaniem posiłków. Odesłano też rannych. Na szlak, jakim miał popłynąć transport Shemágonisha, posłano zwiadowców. Wioska nie zawiodła. Uznała plany Sattayentacka za słuszne. Nie winiła go, ale żądała futer i wielu jeńców. Luggoney wołał tym razem nie ryzykować. Prócz Seneków przysłał również stu pięćdziesięciu wojowników Cayuga.

W trzy tygodnie od chwili klęski pod misją Sattayentack miał pod swymi rozkazami prawie trzystu pięćdziesięciu wojowników, z których sześćdziesięciu posiadało grzmiące kije.

Z taką siłą mógł atakować nawet duże wioski i francuskie forty. Ale nie myślał o tym. Nim jego bliższy wróg zdołał przebyć północny szlak Wielkich Jezior i wpłynąć na wody rozległej Zatoki, na jego tropie znalazły się długie cienie śmierci.

Zwiadowcy Sattayentacka domyślali się, gdzie Shemágonish rozbija swój pierwszy obóz i już nad ranem przynieśli Sattayentackowi pomysły wieści.

– Dowódca transportu – mówili – działał ostrożnie. Szerokim pasem po obydwu stronach rzeki ubezpieczał płynące wodą kanu. Wieczorami otaczał obóz trzykrotnym pierścieniem straży, ale straże były nieostrożne. Sam Shemágonish miał mocny głos i mówił dużo. Zwiadowcy podsłuchiwali go na każdym postoju. Mogli go nawet zabić, ale byli tam i inni biali, w których musiałoby to wzbudzić podejrzenia. Byliby wtedy ostrożniejsi i trudno byłoby ich wciągnąć w zasadzkę. Shemágonish więc na razie jeszcze żył i był pewien, że Seneka siedzą w swej wiosce i opłakują zmarłych. Mimo pozornej ostrożności zachowywał jednak się butnie i pewnie – relacjonowali – ale nie miał wielkiego doświadczenia. Swym białym przyjaciółom opisywał dokładnie ścieżkę, jaką zamierzał przebyć następnego dnia, mówił o środkach ostrożności, jakie podjął i wielu innych rzeczach.

Sattayentack znał tę ścieżkę i wiedział, jak ją nazywano.

Gdy w dniu, w którym Shemágonish wkraczał na ścieżkę, zwiadowcy Seneków tuż po świcie przekazali swemu wodzowi wieści o poleceniach białego kupca, na twarzy Sattayentacka zakwitł rumieniec radości. Aireskoi – duch wojny był dzisiaj razem z Senekami i wojownikami Cayuga. Teraz zależało wszystko od pośpiechu. Mimo iż zwiadowcy mówili wcześniej, jaką trasą ma iść transport, Sattayentack do końca nie był pewien. Shemágonish mógł w ostatniej chwili podjąć inną decyzję. Teraz jednak już nie mógł. Wódz Seneków nie musiał czekać dłużej. Wiedział, że bitwa rozstrzygnie się tam w wąwozie po drugiej stronie ścieżki.

Tu przejście było wąskie. Zostawił więc tylko pięćdziesięciu wojowników, w tym dwudziestu ze strzelbami. Resztę, w tym wszystkich białych, powiodł lasem na drugą stronę ścieżki, tam gdzie znajdował się wylot parowu. Wraz ze swym oddziałem stanął na miejscu w chwili, gdy słońce osiągnąwszy najwyższy punkt poczęło przechylać się na zachodnią stronę nieba. Wojownicy byli zmęczeni długim, wyczerpującym biegiem i musieli odpocząć. Pozwolił na to, zwłaszcza że właśnie w tym czasie na skraju ścieżki w odległości około mili od miejsca, w którym się zatrzymali winni znajdować się już ludzie Shemágonisha. Nie mogli

spoznać, że zamknięto im dalszą drogę. Sattayentack ukrył więc oddział na skraju parowu i postawiwszy tylko kilku strażników, leżał w cieniu drzewa.

Słońce przesunęło się za następne wierzchołki sosen, gdy do miejsca, w którym spoczywał, podeszli dwaj biali-dowódca i jego pomocnik. Widocznie odpoczęli już. Podciągnął nogi i oparł się wygodnie o pień.

– Na co czeka nasz brat? – spytał Girard.

Sattayentack rozumiał mowę tych białych. Chcąc walczyć przeciwko nim, musiał ją poznać dobrze. Przez wszystkie Zimy, gdy wstępował na wojenną ścieżkę, byli jego wrogami. Byli również wrogami jego braci i ich ojców, ale Chásekah-Nébowin przekonał go, że do czasu pokonania Shemágonisha nie wolno im okazywać pogardy i nienawiści, że trzeba wykorzystać ich w walce, a dopiero po zwycięstwie zabić i pozbawić skalpów. Wódz widział, że byli dzielni. W walce zachowywali się jak mężczyźni. Zgodził się więc z Nagłą Śmiercią, że na razie należy ich oszczędzić. Strzelali celnie i mogli się przydać w walce.

W czasie pierwszej rozmowy, gdy zażądali dla siebie wszystkich futer, przystał na to dla niepoznaki. Powiedział wtedy, że skoro oni chcą otrzymać wszystkie futra, on żąda całej broni i wszystkich skalpów, jakie zostaną zdobyte, oraz prawa do wszystkich jeńców, i oni zgodzili się również.

Jak wszystkie blade twarze byli ślepi i głupi. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że wobec Seneków stanowili nie liczącą się garstkę, która również odda swe skalpy. Ale na razie musiał ich traktować tak, jakby byli przyjaciółmi. Teraz przywdział na twarz maskę życzliwości i wskazał im miejsce obok siebie, po czym odparł półgłosem:

– Jeszcze bardzo jasno. Wrogowie mogli wysłać do parowu tropicieli. Sattayentack nie chce, by dostrzegli jego wojowników, dlatego czeka.

– Czy parów jest długi? – spytał Girard.

– Blade twarze nazywają taką odległość jedną milą.

– Ale skąd Sattayentack wie, że Shemágonish nie wejdzie do parowu zaraz po przebyciu ścieżki i nie będzie próbował przenieść swych kanu do rzeki w ciągu dnia? Walka między drzewami jest niedobra. Może w niej zginąć wielu wojowników.

Wódz uśmiechnął się z wyższością i pokręcił przecząco głową:

– Bracia Sattayentacka mylą się. Wódz nie może ruszyć swych wojowników teraz. Po drugiej stronie ścieżki siedzi jeszcze dobrze ukryty Shemágonish i pilnuje przeprawy z tamtej strony. W razie gdyby tu doszło do walki, wszystkie kanu z futrami i wszyscy wojownicy Shemágonisha mogliby się wycofać nie ponosząc prawie żadnych strat. Po tamtej stronie nie można zdobyć pozycji Shemágonisha. Wódz musi poczekać, aż zwiadowcy i wojownicy Shemágonisha przejdą ścieżkę i powiedzą mu, że nie ma tu wrogów. Wtedy Shemágonish opuści swoje miejsce, które obecnie chroni go przed atakiem i przejdzie tutaj. W tym czasie wojownicy Cayuga, których pozostawił tam Sattayentack, wejdą z tamtej strony na ścieżkę i zablokują ją. Shemágonish nie wiedząc o tym przejdzie na tę stronę i zatrzyma się u wylotu ścieżki, na skraju parowu. Będzie już wieczór. Wtedy dopiero wojownicy Sattayentacka przejdą przez parów i zbliżą się do wrogów. Zaatakują ich o świcie. Shemágonish albo będzie walczył i usiłował przejść przez parów i wtedy zginie, albo będzie próbował wycofać się na zablokowaną już z tamtej strony ścieżkę. Wtedy zamknięty na ścieżce z dwu stron zginie bez możliwości obrony.

Tak, wódz z pewnością nie pomylił się i jeśli jego wyliczenia były słuszne, Bresson znalazł się w pułapce bez wyjścia. Teraz trzeba tylko trochę poczekać. Girard skinął więc ze zrozumieniem głową i powiedział:

– Sattayentack jest mądry i chytry i potrafi czekać. Biali powiedzą teraz o jego decyzji swym braciom, by się nie niecierpliwi.

Indianin skinął głową i ponownie popadł w zadumę. Patrzył na swych wojowników. Odpoczywali w spokoju i ciszy. Nie okazywali śladu niepokoju. Było ich wielu i zdawali

sobie sprawę ze swej siły. Czekali.

Gdy cień drzew wydłużył się, a słońce skryło za wierzchołkami niewysokich wzniesień, poczęły podnosić się spod drzew. Czynili to w milczeniu, bez pośpiechu. Niebo było jeszcze dosyć jasne. Jednak tu w dole na dnie parowu poczęły zamazywać się kontury i kształty przedmiotów. Nad ziemią rozpościerał się mrok.

Wódz podniósł się również. Zamienił kilka cichych słów z paroma wojownikami i oddział ruszył ku wylotowi ścieżki. Szedł całą szerokością parowu. Na przedzie ci, którzy mieli w rękach grzmiące kije. Za nimi w odległości kilku kroków pozostali, niosący łuki, tomahawki, ciężkie bojowe maczugi i noże. I chociaż było ich trzystu, pod żadną stopą nie trzasnęła gałązka, nie drgnął potrącony niebacznie liść.

W połowie drogi wyczuli wyraźną woń dymu. Transport Shemágonisha rozłożył się więc już obozem. Parów począł się zwężać. Przed skradającymi się zamajaczyła jasna, bezdrzewna przestrzeń. Oddział stanął. Wódz skinął na dwu najbliższych wojowników i wskazał odcinającą się ciemniejszą plamą kępy zarośli po drugiej stronie pustej przestrzeni. Wojownicy odłożyli strzelby, przesunęli się ku ścianom parowu i po chwili zniknęli w mroku. Gdy wrócili po godzinie, starszy z nich szepnął:

– W zaroślach nie ma zwiadowców. Dalej o sto kroków parów skręca w prawo. Za zakrętem nie ma już drzew. O dwa i pół strzelenia z łuku widać wiele ognisk.

Mimo mroku widać było, jak na twarz wodza wypelza drapieżny uśmiech. Krótki ruch ręką i milczący szereg wysunął się na otwartą przestrzeń. W kilka minut później między kępami modrzewia zastygły ciemne, przytulone pod osłoną niskich drzew postacie.

Wódz zabrawszy trzech wojowników wysunął się aż do zakrętu. Tak, zwiadowcy mówili prawdę. Nie dalej niż o trzysta kroków płonęło kilkanaście niedużych ognisk. A więc Żelazny Grot wypełnił ściśle polecenie swego wodza. Rozłożył obóz tuż po zejściu ze ścieżki u wlotu do parowu. A w obozie musiał już być Shemágonish. Ogniska płonęły jednak zbyt daleko, by widzieć lub słyszeć ludzi, ale zapewne byli tam. I nie przeczuwali, że to ich ostatnia noc.

Sattayentack długo jeszcze patrzył na ogniska. Nie podsycane gasły stopniowo, aż w końcu obóz wrogów ogarnęła ciemność.

Zostawiwszy na straży trzech wojowników wrócił do swych ludzi. Chciał przespać się trochę przed bitwą. Nie mógł jednak zasnąć. Nie dawały mu spać rozlegające się co jakiś czas dalekie pohukiwania puszczyków. Leżąc z oczyma wpatrzonymi w wyiskrzone niebo rozmyślał. Był pewien, że strażnicy wrogów również słyszą te głosy – głosy według irokeskich legend niosące zapowiedź nieszczęścia. Nie zmrugał oczu. Przed świtem podniósł wojowników i poprowadził w głąb parowu.

Strażnicy byli na swych miejscach. Informowali, że w obozie wroga panuje nadal cisza.

Krótki ruch ręką i zwarta masa ruszyła ku niezbyt odległemu obozowi Shemágonisha. Było jeszcze ciemno, chociaż blask dnia mógł nadejść lada chwila. Wódz wysunął się do przodu i machnął przynaglając ręką. Pochylone postacie ruszyły pędem. Po dnie parowu przeszedł głuchy odgłos biegnących. Byli już tylko o sto kroków, o pięćdziesiąt, o trzydzieści od obozowiska wroga. Z setek gardzieli wydarł się dziki bojowy ryk. Uniosły lufy strzelb, poderwały tomahawki i maczugi. W miejsce, gdzie poprzedniego wieczoru płonęły ogniska, runęła gromada pijanych żądzą krwi i mordu napastników. I nagle”. krzyk zamarł na ustach, opadła wzniesiona broń, wojownicy zatrzymali się w pół skoku. Wokół spopielałych ognisk nie było ani jednego wroga. Widoczna w pobliżu ścieżka świeciła również pustką. Niepokojące przeczucie ścisnęło piersi wodza.

By czytelnik mógł lepiej zrozumieć zdumienie i zaskoczenie Seneków i ich wodza, musimy wrócić ponownie do poprzedniego dnia, kiedy podobne zdumienie ogarnęło znajdujących się na ścieżce kilku białych idących obok Bressona na widok, jaki ukazał się przed ich oczyma.

Oto za niewielkim nawisem skalnym kilku wioślarzy, którzy parę godzin wcześniej zabrali drugą część ładunku, by przenieść ją do parowu na koniec ścieżki, stojąc nad skrajem pionowej niemal ściany spuszczało ostrożnie za pomocą długich, grubych rzemieni ostatnie kanu. Joliet otworzył ze zdumienia usta, jakby pragnąc coś powiedzieć, gdy Paul wznosił ostrzegawczo palec do góry, a następnie bez słowa pokazał przywiązaną do wielkiego głazu, biegnącą w dół sznurową drabinę.

Doświadczony podróżnik, który przemierzył już niejedną ścieżkę i ratował swoją głowę oraz innych w różny sposób, patrząc teraz na młodego dowódcę zrozumiał nagle, że nim podróż dobiegnie końca, będzie się musiał jeszcze sporo nauczyć. Bez słowa przerzucił strzelbę przez plecy i z mieszanymi uczuciami spojrzął w przepaść. Co najmniej siedemdziesiąt stóp do zejścia. Drabinka była wprawdzie mocna, ale ze względu na swą długość wychylała się na boki, przyprawiając schodzącego o zawrót głowy. Mimo to pół godziny później cały oddział znalazł się u stóp skały.

Na czoło wysunął się znów Bresson i zagłębił w mroczny, świerkowy las. Oddział prowadził w milczeniu, ale szybko. W godzinę od opuszczenia ścieżki przeskoczył jakiś wąski strumień i wydał krótki świst.

Zza nadbrzeżnych olszyn wysunęły się dwie postacie. Nastąpiła krótka, bezgłośna wymiana znaków i dwaj nowi przewodnicy poprowadzili dalej przybyłych. Zresztą niezbyt daleko. W głębokiej kotlinie, przez którą przepływał strumień, długim rzędem stały wszystkie kanu z futrami, a na skraju łąki odpoczywali wioślarze oraz przeszło połowa oddziału, który jeszcze rankiem wyruszył z obozu, by rzekomo zabezpieczyć wylot ścieżki. Wraz z nimi znajdowało się kilku obcych Indian, którzy powstali na widok nadchodzących.

Bresson zamienił kilka słów z jednym z nich, po czym przywołał Geessenara. W trójkę szeptali parę minut. Kiedy rozmowa dobiegła końca, podszedł do Joliota i powiedział:

– Idziemy!

Obok kanu pozostało zaledwie kilku Indian i to właśnie tych obcych. Reszta tylko z bronią w ręku podążyła za dowódcą. Szli na wschód. Po przejściu około trzech mil przewodnik skręcił ku północy. Tuż przed zmrokiem cały oddział dotarł na skraj śródleśnego jeziora i zatrzymał się. Przewodnik przyłożył dłonie do ust i wydał odgłos przypominający do złudzenia krzyk dzikiej gęsi. W pobliżu rozległ się podobny głos, a spomiędzy drzew wysunęło się trzech indiańskich wojowników. Jeden z nich miał we włosach orle pióra. Zbliżył się bez wahania i wyciągnął rękę w powitalnym geście.

– Mesahnig<sup>87</sup> wita serdecznie Shemágonisha i jego przyjaciół. Cieszy się, że przybyli w oznaczonym czasie.

– Shemágonish stara się zawsze dotrzymać słowa – odparł Paul. – Jakie wieści przynosi wódz Ottawów?

– Wrogowie rozłożyli się na skraju parowu. Wojownicy Ottawów i Potawatomich znajdują się o kilka strzelań z łuku za nimi. Czekają, aż Seneka i Cayuga wejdą do parowu. Wtedy go zamkną. Missisauga są po drugiej stronie ścieżki, tam gdzie ludzie Sattayentacka czekali na odejście Shemágonisha.

– Jak wielu wojowników przysłali Missisauga?

– Dwadzieścia pięć razy po dziesięciu.

– Shemágonish dziękuje swemu bratu za te wieści. Sam przyprowadził tu stu dziewięćdziesięciu wojowników. Kilkunastu nadejdzie trochę później, gdy rozniecą ogniska w miejscu, gdzie ścieżka uchodzi do parowu.

Wódz skinął głową i powiedział cicho:

– Kończy się dzień. Niech bracia Mesahniga pójdą do jego obozu.

Wkrótce wszyscy znaleźli się w rzadkim, sosnowym lesie. Wokół roило się od półnagich

---

<sup>87</sup> Czytaj: Me-sa-nig – Czarna Wiewiórka.

wojowników.

Du Lhut rozejrzawszy się wokół szepnął do Jolioty:

– Ależ, nie licząc naszych, jest ich tu chyba ze czterystu. Jak ci się podoba, Louis, nasz przyjaciel Shemágonish?

– Niech go kule biją! Ale po co ściągnął tu tylu wojowników i to aż z kilku plemion?

– Zaraz się pewnie dowiemy. Właśnie idzie do nas.

Jakoż w chwilę później Paul przysiadł na pniu zwalonego drzewa. Miał twarz pogodną i spokojną. Ścisząc głos spytał:

– Jak się panu podoba to międzyplemienne spotkanie, panie Joliet?

– Wygląda imponująco, ale czemu aż tak liczne? I kto to jest ten Sattayentack? Jeszcze wczoraj wieczorem, a nawet dzisiaj rano twierdził pan, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa?

– Tak. Twierdziłem tak nie od wczoraj. Już od paru dni. Jak pan sobie przypomina, Louis, mówiłem o tym zawsze wieczorem i to tak głośno – tu uśmiechnął się – by słyszeli zwiadowcy wroga, których nasze stráže zawsze przepuszczały w pobliże naszego ogniska. Dzisiaj rano też. Dzięki temu nie jesteśmy przed wrogiem, jak zapewne myśli, a za nim. Role się zmieniły. Zwierzyna stała się myśliwym. Pyta pan o Sattayentacka? To najlepszy, a zarazem najbardziej niebezpieczny wódz Seneków. Zresztą ten sam, który napadł na misję. Teraz przyprowadził trzystu pięćdziesięciu wojowników. Nas było tylko dwustu. To trochę za mało na niego. Obecnie wystarczy, chociaż pewnie nie obejdzie się bez ofiar również po naszej stronie.

– A więc wiedział pan od początku?

– Sattayentack nigdy jeszcze nie poniechał odwetu i nie wrócił do wioski bez skalpów. Wiedziałem więc, że zapoluje na nas. Po zmroku ruszymy i może uda nam się zamknąć go w tej pułapce, którą sam zastawił, a którą ja wymyśliłem. Teraz zostawiam panów. Porozmawiam jeszcze chwilę z wodzem, a potem poczekamy już tylko na sygnał zwiadowców.

Pierwszy głos puszczyka zabrzmiał od strony parowu tuż po zmroku. W sosnowym borze podniosły się z ziemi setki postaci i niczym duchy ruszyły ku wlotowi parowu. Wraz z rozlegającym się co jakiś czas głosem nocnego ptaka posuwały się coraz głębiej i głębiej. Po północy zatrzymały się przed długim pasem oświetlonej światłem księżyca płaskiej, bezdrzewnej przestrzeni. Czeakały na kolejny znak. Od wroga dzieliło je nie więcej niż jeden, może półtora lotu strzały.

Paul popatrzył na niebo. Poczynano różowieć na wschodzie. Jeszcze kwadrans, dziesięć, pięć minut... Mesahnig dotknął rękawa jego bluzy i szepnął:

– Sattayentack poszedł w kierunku ścieżki. W chwilę potem wstał i machnął ręką. W kilkadziesiąt sekund przemknęli przez pas odkrytej przestrzeni i zapadli -w zaroślach na wprost lejkowatego wylotu wiodącego ku ścieżce. Spokój trwał zaledwie parę minut gdy nagle od strony ścieżki rozległ się potężny, bojowy krzyk wroga, po którym zaległa długa, przejmująca cisza.

– Kogo atakują Seneka? – spytał Du Lhut.

– Pewno wygasłe jeszcze wczoraj ogniska – odparł szeptem Paul. – Ale wkrótce wrócą do nas. Sattayentack nie wejdzie na ścieżkę.

Minęło jednak dobre półgodziny, zanim u wylotu parowu pojawił się pierwszy wojownik. Szedł ostrożnie, bacznie rozglądając się dokoła. Gładkie, wznoszące się po obydwu stronach skalne ściany nie dawały żadnej możliwości osłony. Nie patrzył zresztą na nie. Wzrok utkwiał w coraz bliższych zaroślach. W końcu na jakieś dwadzieścia kroków przed nimi przystanął niezdeterminowany. Kula ze strzelby Mesahniga trafiła go prosto w czoło.

– Czemu brat Shemágonisha uczynił to? Wódz uśmiechnął się zadowolony z udanego strzału i odparł nabijając ponownie strzelbę?

– Shemágonish przecież wie, że ten Senekałtak musiałby umrzeć za chwilę. Na początku walki nikt nie bierze jeńców. A Sattayentack i tak musi przyjść. Jedynie trochę wcześniej upewnił się, że właśnie tu wrogowie czekają na jego skalp. Nie muszą ukrywać dłużej swej obecności.

Zza zakrętu huknęło kilka strzałów. W gałęziach rozległ się świst kuł. Leżący obok wojownicy nawet nie drgnęli. Z takiej odległości wróg nie mógł im zaszkodzić.

W jasnym świetle dnia Hauł rozejrzał się bacznie po otaczających go skałach i skinął na Geessenara. Gdy Indianin przyczołgał się, wskazał mu widniejącą po prawej stronie niezbyt wysoką, poszarpaną krawędź.

– Czy brat Shemágonisha mógłby wspiać się na ten kamień? Stamtąd można przejść grzbietem aż do samej ścieżki i ostrzeliwać wrogów.

Geessenar przyjrzał się skale i skinął głową:

– Dobra myśl!

– Niech w takim razie mój brat weźmie ze trzydziestu wojowników ze strzelbami i niech wypłoszą wrogów zza zakrętu.

W parę minut później po zaczepionym o wierzchołek skały rzemieniu wspiał się pierwszy wojownik, a w ciągu kwadransa pozostali, znikając za osłaniającą ich krawędzią. Wkrótce z góry rozległy się pojedyncze strzały. Na ich skutek nie trzeba było czekać zbyt długo.

Zza zakrętu z głośnym krzykiem wypadła cała gromada wojowników. Pędzili w stronę zarośli. Znajdowali się nie dalej niż o sto kroków, gdy Paul uniósł rękę. Wzdłuż skraju zarośli przeleciał długi język ognia, a lawina pocisków uderzyła w piersi atakujących. Dziesiątki postaci padło tworząc bezładne kłębowisko, reszta cofnęła się w popłochu za zakręt. W następnej chwili z góry poczęły padać ponownie pojedyncze strzały.

Nagle, z drugiej strony, z tyłu na ścieżce rozległa się gęsta kanonada. To Missisauga wykorzystali dogodny moment i rozbiwszy znajdujących się po drugiej stronie ścieżki wojowników Cayuga dotarli już do wylotu parowu.

Mesahnig poderwał się zza krzaka i krzyknął ostro. Jego wojownicy runęli do przodu.

Sattayentack usłyszawszy pierwszy strzał, który pozbawił życia zwiadowcę, zrozumiał, że jego wrogowie jakimś niezwykłym sposobem ominęli zastawioną na nich pułapkę i zamiast z przodu, znaleźli się na tyłach jego oddziału. Wiedział jednak, że nie byli zbyt liczni. Było ich najwyżej dwustu i tylko co drugi posiadał grzmiący kij. Mogli oddać tylko jedną salwę, a więc ci z jego wojowników, którzy nie padną od kul, będą liczniejsi od przeciwnika. Właśnie dlatego rzucił swych ludzi do ataku, ale kule wrogów powaliły wielu. Następną salwa, ta od strony ścieżki, pokazała, że i ta droga jest zamknięta. Nie mógł więc czekać. Jedyna szansa i nadzieja to przełamać opór tych, którzy zagroździ parów. Krzyknął na wojowników i ruszył zza zakrętu całą jeszcze posiadaną siłą. Ale na wprost nich biegło nie dwustu, nie trzystu wrogów. O wiele, wiele więcej.

Chmara napastników była jeszcze o kilkadziesiąt kroków, gdy donośny głos osadził ich na miejscu. W pierwszych szeregach wrogów podniosły się długie czarne lufy. Z ich głębi ponownie zionął ogień. W piersi dumnego, nieustraszonego wodza coś pękło, ugięły się kolana. Przed oczyma wykwitły czerwone gwiazdy. W chwilę potem przetoczyła się przez niego nawała wojowników. Nie czuł już jednak tego. Nie słyszał odgłosów walki, która nie trwała zresztą długo, Seneka i Cayuga ujrawszy, z jak wielką przewagą mają do czynienia i straciwszy na początku bitwy przeszło jedną trzecią swych wojowników, złożyli broń. Leżeli teraz powiązani na skraju parowu – w miejscu swej klęski.

Zwycięzcy nie byli okrutni ani mściwi. Pozwolili opatrzyć wszystkich rannych i zaopiekować się nimi. Okazali wspaniałomyślność i uwolnili z więzów tych, którzy znali się na ranach, pozwalając im zająć się swymi braćmi, w tym i ciężko rannym wodzem. Zabrali tylko całą broń i podzielili ją między swych wojowników.

Teraz wodzowie siedzieli wraz z Shemágonishem pod dużym drzewem i rozmawiali.

Rozmawiali spokojnie i pogodnie. Zwycięstwo było wielkie. Po raz pierwszy od wielu Zim ich najwięksi i najbardziej groźni przeciwnicy ponieśli straszliwą klęskę. Klęskę, która na długi czas nie pozwoli im zagrozić nikomu.

Mesahnig, patrząc na usiane ciałami poległych pobojuwisko, powiedział z zadowoleniem:

– Teraz Irokezi nie zagrażą już ani Ottawom, ani Potawatomim, ani Missisaugom. Stracili wielu swych braci, ale stracili też serce do walki. Przez długi czas nie przekroczą granicy Wielkich Jezior ani Cataragui. Nie zagrażą również braciom Shemágonisha, a on sam bezpiecznie doprowadzi transport do swej wioski, którą nazywa Trois Rivières. Czy zabierze z sobą te blade twarze, które przyłączyły się do Seneków, a teraz leżą związane, czy wymierzy im karę na miejscu?

Paul zastanawiał się jakiś czas. Nie był pewien, co uczynić z Girardem i tymi pięcioma, którym udało się uratować życie. Wiedział jedynie, że nie powinien zostawiać ich na miejscu. Czerwonoskórzy zwycięzcy nie chcieliby zabierać ich do swoich wiosek. Zresztą po co? Nie puściliby też zapewne wolno. Odparł więc powściągliwie:

– Zabierze ich. Później ze swoimi białymi przyjaciółmi zastanowi się, co z nimi uczynić. A co bracia Shemágonisha zamierzają uczynić z pojmanymi Irokezami?

– Zwrócą im wolność – odparł Minnewanka, wódz Potawatomich.

– Cayuga i Seneka zapłacą okup. Będą wtedy mogli odejść do swych wiosek.

– A jeśli nie zechcą zapłacić?

– Zapłacą – stwierdził z przekonaniem wódz. – Ich kobiety nie pozwolą, by przeszło dwustu młodych mężczyzn straciło skalpy.

– Kiedy bracia Shemágonisha zechcą uwolnić jeńców?

– Wtedy, kiedy nadejdzie okup. Do tego czasu będą ich dobrze pilnować.

Paul pokiwał głową. Rozwiązanie takie nie było najgorsze, toteż powiedział z uśmiechem:

– Shemágonish widzi, że jego bracia wkrótce staną się bardzo bogaci. Kiedy przyjdzie okup, każdy z nich będzie mógł sobie kupić jeszcze kilka żon.

Wodzowie roześmieli się. I oni również wiedzieli, że okup będzie duży. Przez pewien czas trwało milczenie. W końcu najmłodszy z wodzów, Tahaetkun, stojący na czele Missisauga spytał:

– Kiedy Shemágonish zamierza wyruszyć w dalszą drogę?

– Jeszcze dzisiaj. Jego ludzie przenoszą właśnie kanu do rzeki: Gdy skończą tę pracę, Shemágonish pożegna swych braci. Wiedzą, że jest im wdzięczny za pomoc, jakiej udzielili mu. Cieszy się, że żaden z nich nie poniósł śmierci, chociaż wielu jest rannych. Shemágonish opowie Wielkiemu Szamanowi o chytrości, dzielności i mądrości swych braci, a wracając tędy jesienią przywiezie im podarki.

Wodzowie pochyłili głowy. Słowa, które wypowiadał – w tej chwili młody białoskóry wódz, napełniły ich serca radością i wdzięcznością. Każdy z nich przeżył wiele Zim. Żaden nie widział jednak jeszcze Wielkiego Szamana ani nie rozmawiał z nim. Nie wiedzieli nawet, kim jest. Wiedzieli jednak, że posiada ogromna moc i władzę, że wie o wszystkim, co dzieje się w każdym plemieniu i w każdej nieomal rodzinie i chociaż sam nieznany i niewidoczny wywiera wpływ na życie swych współbraci. Wiedzieli również, że żaden z nich nie mógłby zostać wodzem, gdyby Wielki Szaman przestał darzyć go swym zaufaniem. Shemágonish znał go i obiecywał, że opowie mu o tym, jak wodzowie wykonali polecenia, które otrzymali przez specjalnych posłańców. Gdy opowie o ich rozwadze, o tym, jak wprowadzili w zasadzkę i pokonali najbardziej strasznego z dotychczasowych wrogów, wielki wódz Midewiwin nie odmówi im nadal swej opieki i poparcia. A może sam Shemágonish był właśnie Wielkim Szamanem...? Może się tylko do tego nie przyznawał...? Pochylili jeszcze niżej głowy.

W parę godzin później wzdłuż szeroko rozlanej rzeki płonęło kilkanaście dużych ognisk. Przymocowane do brzegu kanu wypełnione belami futer kołysały się łagodnie na wodzie.



Mimo początkowo innego zamiaru Paul postanowił dać swym ludziom przynajmniej jeden dzień odpoczynku. Było to tym bardziej konieczne, że wyczerpały się prawie Zupełnie zapasy żywności, a Mesahnig obiecał, że przed wieczorem dostarczy ze swego letniego obozu trochę mięsa. Ottawowie zgodnie z zapowiedzią wodza jeszcze przed zachodem słońca przynieśli obiecaną żywność. Z kociołków zawieszonych nad ogniem po raz pierwszy od kilku dni rozchodził się przyjemny zapach zupy mięsnej.

Du Lhut czyszczący swą zapiaszczoną w czasie walki strzelbę, widząc nadchodzącego właśnie Bressona, mrugnął do niego wesoło.

– Czarodziej z pana, Paul. Po tych nadpsutych już nieźle rybach, którymi raczył nas pan przez ostatnie parę dni, wreszcie coś konkretnego.

– To nie moja zasługa. Ottawa byli tak uprzejmi.

– Mówi pan: uprzejmi. Nie jestem pewien, czy to najwłaściwsze słowo.

– Dlaczego?

– Ach, dlaczego? To chyba jasne. Czy nadstawianie za kogoś karku to uprzejmość?

– Myślałem tylko o mięsie. Nadstawianie karku to zupełnie inna sprawa. Zresztą nadstawialiśmy go wspólnie.

– Właśnie. Już od wczorajszego popołudnia czekamy z Jolietem, kiedy wreszcie zdecyduje się pan odsłonić przyłbicę?

– Jaką znów przyłbicę? Nie rozumiem – odparł Paul siadając przy ognisku.

Du Lhut roześmiał się.

– Oczywiście nie musi pan ujawniać wszystkich tajemnic, ale o Sattayentacku wiedział pan na pewno. Skąd? Zdołał pan ściągnąć przeszło pięć setek dzikich. Kiedy? I jak to się stało, że dali się namówić? Przecież im pan nie zapłacił? Skąd pan wiedział, że właśnie w tym miejscu Seneka i Cayuga zastawią pułapkę? Wreszcie...

Zasypywany tymi pytaniami roześmiał się głośno.

– Wszystko to jest proste. Mówiłem już o tym częściowo. Chętnie opowiem resztę, ale uprzedzam, że cała historia jest dosyć długa.

– Niech pan mówi. Chyba tym razem nie ma tu obcych uszu?

– Pewno nie, ale nawet gdyby były, nie usłyszałyby nic dla nich ważnego. – Zamyślił się na chwilę, po czym opowiedział znane już czytelnikowi fakty, jakie miały miejsce od czasu jego ucieczki z Trois Rivières.

Du Lhut i Joliet słuchali opowiadającego ze zdumieniem.

– Ale jak w takim razie udało się uciec Rollandowi i Passy’emu? – nie wytrzymał Joliet.

– Nie udało im się. Uwolnili ich moi ludzie na moje polecenie. Nie chciałem, by w razie spotkania z bandą stało się coś tym dwom. Wierzę, że zrozumieli swój błąd i nie wkroczą więcej na złą ścieżkę. Zapewniali mnie o tym ojcowie Hennepin i Marquette.

– A więc jeszcze i to. Każdego dnia otrzymywał pan wiadomości, wysyłał posłańców, wiedział, kiedy podsłuchują nas Senekowie? To wprost nieprawdopodobne!

Przy ogniskach milkły rozmowy. Ludzie znużeni całonocnym czuwaniem, poranną walką i trwającym cały dzień przenoszeniem łodzi poczynali odczuwać senność i zmęczenie. Obóz ogarniała coraz większa cisza. Paul również czuł, jak coraz bardziej ciąży mu powieki. Wszak ostatnie cztery noce prawie nie zmrużył oczu. Przeciągnął się i ziewnął potężnie.

– Śpijcie, panowie. Pora na spoczynek – powiedział. – Ja zajrzę jeszcze tylko do jeńców i porozmawiam z wartownikami.

Z tymi słowy oddalił się w stronę, gdzie pod strażą dwu wojowników leżała piątka białych. Nie rozmawiał z nimi. Sprawdził tylko więzy. Zamienił parę słów z pilnującymi i obszedł warty. Dzisiaj nie musiały być liczne. Jedyne groźny wróg został pokonany. Obozowi nie groziło niebezpieczeństwo.

Wrócił spokojnie do ogniska, gdzie przed kilkunastoma minutami pozostawił swych przyjaciół. Spali już. Ułożył się obok i wkrótce również zapadł w spokojny, pierwszy od

wielu nocy głęboki sen.

Nie spała jedynie piątka pojmanych bandytów. I nie można się było temu dziwić. Los ich był straszny. Girard nie łudził się, co czeka ich wszystkich, gdy transport dotrze do Trois Rivières, a Bresson i biali kupcy oraz Indianie złożą zeznania przed władzami. Skończy się wszystko. Z tą różnicą, że zamiast łamania kołem we Francji, tu czeka go zwykły konopny sznur i mocna gałąź. Zaciśnął zęby i z nienawiścią spojrzął tam, gdzie dogasało ognisko Bressona. Tamten był ; lepszy i lepiej znał dzikich.

Przypadkowy rzut oka na strażnika przykuł uwagę bandyty i spowodował, że krew w jego żyłach poczęła krążyć nieco żywiej. Mimo widocznych wysiłków, by zachować czujność, wartownik coraz wyraźniej poddawał się przemożnej potrzebie snu. Oparty nagimi plecami o pień grubej sosny coraz częściej pochylał głowę na piersi. Girard powiódł wzrokiem po swych kompanach. Nie spali. Ponownie utkwiał wzrok w dzikim. Ten spał już, ale był jeszcze drugi, z tyłu. Bez odwrócenia głowy nie mógł go jednak zobaczyć. Bo jeżeli... Z tyłu rozległ się nieznaczny szelest. Tamten pewnie nie spał. Mijały minuty. Wokół panowała cisza. Nagle za drzemającym z przodu strażnikiem uniosła się jakaś niewyraźna postać. Wzniosło się ramię uzbrojone w nóż i opadło do dołu. Śpiący, nie wydawszy jęku, osunął się na murawę.

Zza drzewa wysunął się cień, podpełznął bezszelestnie ku powstrzymującemu oddech bandycie i szybkim ruchem przeciął więzy na jego rękach i nogach, po czym nachylił się nad leżącym i szepnął:

– Nie ruszaj się, aż uwolnię pozostałych. Potem szybko do kanu. Jest w dole rzeki o dwieście kroków stąd. W kanu są strzelby. – Nie czekając na odpowiedź przesunął się ku Bergsonowi. W minutę cała piątka była wolna.

Sunęli bez szmeru tuż nad brzegiem. Jeszcze tylko kilka minut, gdy za pobliskim drzewem poruszyło się coś.

– Stój! – rozległ się groźny głos.

Runęli do przodu. Huknął strzał. Zabrzmiął rozdzierający krzyk. Od najbliższego ogniska padło kilka strzałów. Z ziemi podrywały się coraz liczniejsze postacie.

Bergson się zachwiał. Obok pędzącego Girarda zwałił się ktoś na ziemię. Z tyłu padł jeszcze jeden strzał i ktoś głucho jęknął. Bandyta nie obejrzał się nawet. Jeszcze tylko kilka skoków. Przy brzegu kołysała się łódka. Dosięgnął! jej jednym skokiem i chwycił wiosło. W kanu było już dwu mężczyzn.

Silnymi ruchami wiosel pchnęli łódź do przodu. Jeszcze kilka kul piasnęło w pobliżu o wodę. Łódka ślizgała się początkowo przy brzegu, potem siedzący z tyłu skierował ją na środek rzeki, a w godzinę później ku przeciwległemu brzegowi.

Dopiero teraz Girard mógł przyjrzeć się jego twarzy.

– Nagła Śmierć – szepnął zdumiony.

Indianin pochylił się do przodu i odparł półgłosem:

– Białe nie oszukał Chásekah-Nébowina ani jego braci. Dziki więc postanowił mu pomóc i uwolnił go. Niech teraz obydwaj biali uciekają szybko. Chásekah-Nébowin wróci na ścieżkę wojny. -Z tymi słowy sięgnął po strzelbę, zabrał duży róg z prochem i worek kul. W chwilę później zniknął w gęstwinie puszczy.

Girard przesunął się bliżej środka kanu i przyjrzał ostatniemu już uczestnikowi wyprawy. Był to Jean Cagot, dawny traper, później wielokrotny uczestnik kupieckich wypraw. Bez słowa zanurzyli wiosła i pomknęli w dół rzeki. Lekkie kanu i silny prąd wody niosły ich szybko na południowy wschód.

## ROZDZIAŁ XVII

### Zwycięstwo czy klęska

Pewnego lipcowego dnia już od wczesnych godzin rannych na nadbrzeżnym, drewnianym pomoście gromadził się tłum. Poprzedniego wieczoru przybył tu z Montrealu posłaniec przywożąc oszałamiające wieści. Poprzez niebezpieczne bystrza potężnej rzeki, o parę mil od dawnej osady Ville Marie, przeszedł ogromny transport futer. Ponad sto długich kanu.

Nie zatrzymał się w osadzie. Minął ją i szedł niczym, strzała w kierunku Trois Rivières. Komendant montrealskiego garnizonu ostrzegał porucznika Gobineau, że transport prowadzi kilku białych i ponad dwie setki Indian. Toteż wieść, która lotem błyskawicy obiegła osadę, tego właśnie ranka wywabiła z domów chyba wszystkich mieszkańców.

Z okolicznych wsi zbiegła się prawie połowa osadników. Mężczyźni dowiedziawszy się o niebywałym wydarzeniu, zostawiali pracę w polu, drwale porzucali topory, wiejskie dziewczęta pośpiesznie nakładały na głowy białe czepki i biegły w stronę fortu, by nic nie stracić ze zbliżającego się wielkiego widowiska. Transport, który prowadziło kilkuset Indian, podniecał ciekawość i rozpałał wyobraźnię. Parę setek dzikich, a na czele zaledwie kilku białych. Musiało to wyglądać naprawdę imponująco.

Ale mieszkańcy fortu nie dali się wyprzedzić wieśniakom. Garbarze, cieśle, szkutnicy, rymarze, kowale, stolarze, gospodynie, służące i żebracy cisnęli się na samym pomoście.

Wokół biegały rozkrzyczane, podekscytowane dzieciaki.

W długich, ciemnych tużurkach wyszli kupcy i stanęli w odrębnej grupie. Wiedzieli, że to nie ich transport. Może ze St. Ignace lub Sault Ste Marie? Ale wtedy musieliby być w nim zakonnicy. A może futra zakupił Philippe Girard, który, jak widzieli, wyruszał w ubiegłym roku z dużym ładunkiem towarów...?

Może ktoś nieznany? Jakiś leśny goniec, który podobnie jak niegdyś Radisson, trafił na nowe futrzane królestwo?

Domysły i przypuszczenia mnożyły się. Tłum gęstniał z każdą chwilą. Przydreptał również ksiądz Delaroche. Mimo swego podeszłego wieku zawsze starał się być tam, gdzie były jego owieczki. Na koniec pojawił się sam komendant fortu i kilkunastu żołnierzy. Ci ostatni przyszli również z ciekawości.

Porucznik był pochmurny. Twarz miał zaciętą. Widać, podobnie jak od przeszło dwu tygodni, również w tym dniu nie dopisywał mu humor. Miał zresztą poważne ku temu powody. Prawdopodobnie on jeden w tym całym tłumie wiedział, co to za transport. Wiedział, kto go prowadzi. A najgorsze było to, że nie prowadził sam. Jemu jednemu prawdopodobnie udałoby się jakoś ukreślić kark, ale pozostałym? Było ich sześciu, nie licząc Indian. Ale i ci ostatni znali przecież sporą część prawdy. I prawda ta, chociaż obciążała jedynie Girarda i jego bandę, kładła się głębokim cieniem na nazwisku komendanta fortu. Nawet sekretarz gubernatora nie czynił mu w tym względzie większych złudzeń. Tamci na pewno udowodnią udział Girarda w dwóch napadach rabunkowych, w tym na misję i powtórny w pobliżu jeziora Nipissing. Ale udowodnią jeszcze coś. Mianowicie; że tych obydwu napadów siostrzeniec porucznika dokonał wspólnie z Irokezami – najzaciętszymi wrogami Nowej Francji. I gubernator musiałby wydać wyrok skazujący. Był przecież

królewskim urzędnikiem i nie mógł pobłażać nawet siostrzeńcowi komendanta fortu w Trois Rivières. Sekretarz gubernatora, Chamfort, mógł obiecać tylko to, co od niego zależało bezpośrednio, a mianowicie, że poszukiwania Girarda nie będą prowadzone zbyt energicznie. Radził też, by ten jak najszybciej zniknął sprzed ludzkich oczu. Poszedł tak daleko, że obiecał, iż w ciągu najbliższych dwu, trzech miesięcy nie będą zbyt dokładnie kontrolowane statki odpływające z Quebecu do Starego Kraju. Ale na to Philippe się nie zgadzał.

Mimo całkowitego fiaska wyprawy, w której o mało nie postradał życia, wyprawy z powodu której groził mu teraz stryczek, nie stracił pewności siebie ani dawnej zarozumiałości. Poznał ogrom kraju i na własne oczy widział jego nieprzebrane futrzane bogactwa. Podczas zimowych miesięcy nasłuchiwał się wiele o gońcach leśnych, a widząc bezmiar puszczy, wyobraził sobie łatwo, że tam, daleko, o tysiąc mil bardziej na zachód nie sięgała władza żadnego królewskiego urzędnika, a w zasięgu ręki wszędzie leżała fortuna. I powiedział twardo, że Kanady nie opuści.

Za radą wuja wraz z Cagotem wynaleźli o kilkanaście mil od Trois Rivières jakąś kryjówkę i na razie przytaili się w niej. Girard wprawdzie nie mówił tego wyraźnie, ale z jego niekiedy luźno rzucanych uwag łatwo można było się domyślić, że przed odejściem w zachodnie puszcze-zechce załatwić jeszcze swoje porachunki z Bressonem, który stał się powodem wszystkich niepowodzeń. I nie pomogły nalegania wuja, by uciekał jak najszybciej. Wolał pozostać.

Porucznik stojąc teraz na nabrzeżu myślał o tym wszystkim, a gorycz porażki i wstydu zalewała mu piersi. Tak... Przegrał. Pewno zwolnią go nawet ze służby, ale przegrał nie tylko on i siostrzeniec. Przegrał także Bresson, chociaż nie wiedział jeszcze o tym. Dowie się, gdy nadejdzie czas. I to już wkrótce. I dowie się także Fleury. Błysk mściwości pojawił się w oczach uczciwego niegdyś wojaka.

Na razie nie mógł nic przedsięwziąć. Było za dużo ludzi, no i dzicy. Ale gdy odpłyną, a musieli to uczynić, gdyż nie zamierzał im pozwolić na pozostanie pud fortem, zmieni się sytuacja. Wtedy pokaże, kto jest silniejszy. I pewność tego, co musiało nieuchronnie nastąpić, wyraźnie poprawiła mu humor. Rozpogodził twarz i spojrzał w górę rzeki. Nic jeszcze nie mąciło powierzchni wody. Była lekko zmarszczona bryzą ciągnącą ze wschodu.

Kanu pojawiły się w pół godziny później. Szły równo jak po sznurku. Ich długi wąż rozciągał się na przeszło pół mili. Początkowo ciągnęły środkiem nurtu, w miarę jednak zbliżania się do fortu ich prosta linia wygięła się lekko. Pierwsze czołno skierowało się ku przystani. Reszta poszła jego torem.

Tłum przy nabrzeżu zafalował i zastygł w oczekiwaniu. A kanu szły równo, rytmicznie, pewnie. Były coraz bliżej i bliżej. Patrzący jeszcze przez chwilę trwali w bezruchu i ciszy, gdy nagle ktoś krzyknął:

– Joliet! – Jego barczysta, masywna sylwetka była tu dobrze znana wszystkim. W następnej jednak chwili posypały się inne okrzyki. – Du Lhut, Braconnier! – Na dziobie pierwszego kanu podniosła się wysoka, smukła postać. Tłum na chwilę zamarł, i nagle pomostem wstrząsnął jeden wielki krzyk: – Bresson!!!

Kiedy w chwilę później okazało się, że cały ten wielki transport należy właśnie do niego, mężczyźni nie wytrzymali. Porwali go na ręce, wynieśli triumfalnie z łodzi, ściskali, klepali po ramionach, gratulowali wielkiego sukcesu.

Porucznik też gratulował, a jakże. Nie chciał, by ktokolwiek domyślał się, co czuje i co przygotowuje. Okazał się uczynny i polecił otworzyć bramę od strony pomostu. Skracало to drogę do magazynów znajdujących się w obrębie palisady i znacznie ułatwiało pracę wioślarzy przenoszących bele futer.

Paul wyswobodził się wreszcie z objęć witających i podeszedł do grupy kupców, pośród których znajdował się również pan Fleury. Zrównoważony, powściągliwy zwykle kupiec objął młodzieńca i przycisnął serdecznie do piersi.

– Witaj, Paul – powiedział drżącym ze wzruszenia głosem. – Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu. Długo nie wracałeś. Zaczynałem się już trochę niepokoić. Czy coś cię może zatrzymało po drodze?

– Ja również cieszę się, panie Fleury. A opóźnienie to zwykłe sprawy. Łodzi i ludzi dużo, więc nie można było zbyt pośpieszać. Płynęliśmy więc wolniej. Zresztą nie było najgorzej. Od Ste Marie przyłączyli panowie Joiiet i Du Lhut oraz paru innych. Razem było rażniej. A co tu na miejscu?

– Nic szczególnego, synu. Wrócili już ci, którzy w ubiegłym roku wyruszyli przed tobą. Nie wrócił jedynie pan Girard. Ale on podobno popłynął daleko za Wielkie Jeziora, gdzieś na zachód i, jak mówi porucznik Gobineau, być może wróci dopiero w przyszłym roku. Zresztą to nic pewnego. Może ściągnie jeszcze przed zimą. Ale widzę, że twoi ludzie zaczynają rozładunek. Pójdę otworzyć magazyn. Idziesz?

– Nie, panie Fleury. Zostanę na brzegu. Dopilnuję pracy. Przyjdę wieczorem. Ale przedtem prosba.

– Mów, Paul!

– Nie, nic wielkiego. Potrzebujemy trochę mięsa!

Kupiec roześmiał się.

– Ależ oczywiście. Starzę się. Karmiliście się rybami? Zaraz pošlę Henryka. Pardieu, jak wiem, ma ze dwadzieścia dużych beczek mięsa niedawno zasolonych. Wystarczy?

– Wystarczy dziesięć. Przyjdzie po nie Neeearnis z ludźmi.

– Dobrze. Zatem czekam z kolacją. Ludzi zatrzymasz czy odsyłasz?

– Nie mogą tu pozostać. Przepisy zabraniają. Odeślę ich kawałek w górę rzeki. Tak jak poprzednim razem.

W miarę rozładunku na nabrzeżu zmniejszała się liczba gapiów. Odszedł również porucznik. Nie miał co tu robić. Zresztą i tak musiał czekać. Przechodząc przez otwartą bramę nie mógł widzieć dwu mężczyzn obserwujących go z nie ukrywaną ironią.

– Jak myślisz. Danielu, czy on wie? – spytał jeden z nich.

– Myślę, że tak, Louis. Girard uciekł dawno i na pewno spieszył się. Musiał tu dotrzeć jakieś dwa tygodnie temu. Gobineau musi znać prawdę.

– Ale skąd masz pewność, że uciekł właśnie tu?

– Nie mam, oczywiście. Ale jeżeli nie tu, to gdzie? Wśród Odżibuejów jest spalony. Gdyby dostał się w ich ręce, szybko pozbawiliby go skalpu. Wątpię, czy zechce przystać do Irokezów. Wie, że tam rządzą kobiety, a to nie dla niego. Pewnie więc wrócił tutaj i będzie chciał skłecić nową bandę. Rozboje to jego fach. Nie zmieni go, myślę, do śmierci. Zresztą trudno przewidzieć. Może zechce na przykład zapolować na Shemágonisha? Chodź! Pożegnamy się.

Wkrótce cztery kanu odbiły od przystani. W dwie godziny potem indiańscy wioślarze zabrawszy pełne beczki solonego mięsa, herbatę, cukier, parę worków fasoli i kukurydzy odpływali również, lecz nie w dół, a w górę rzeki. Według przepisów gubernatora, nie mogli nocą przebywać w obrębie fortu. Było im to zresztą na rękę. Sąsiedztwo fortu wypłoszyło zwierzynę na wiele mil wokół. A oni po prawie dwuipółmiesięcznej podróży potrzebowali dużo świeżego mięsa. To zaś mogli zdobyć tylko z dala od osiedli ludzkich, w puszczy. Ale była także inna przyczyna, dla której lepiej było na pewien czas zejść z oczu białych. Mówił im o niej Shemágonish. A jemu przywykli wierzyć.

Gdy kanu odpływały, na pomoście było już niewielu. gapiów. Paul pozostał jeszcze, by pożegnać swych przyjaciół. Wsparty o barierkę pomostu długo patrzył za rytmicznie pochyłającymi się sylwetkami wioślarzy. Myśl pobiegła wstecz, do wspólnie przeżytych miesięcy, długiej podróży, wieczorów spędzonych przy blasku obozowych ognisk, wspólnych trosk i niepokojów, bezgranicznego oddania i zaufania, jakim go obdarzali. I chociaż cenili życie ani razu nie zawahali się. Nie zawiedli nigdy. Z żalem patrzył na znikające w dali

czarne punkciki. Chociaż rozstawali się, jak sądził, na krótko, odczuwał to tak, jakby tracił ich na zawsze. Punkciki na horyzoncie zniknęły. Poczuł pustkę i przygniatający piersi smutek. Z opuszczoną głową poszedł w kierunku swej chatki.

Tam zrzucił stare, zniszczone ubranie i przez dobrą godzinę całe ciało szorował mydłem i twardą szczotką. Musiał zmyć ze skóry wielomiesięczny osad długiej podróży. Wytarłszy się grubym ręcznikiem założył uszyte w czasie drogi bluzę i miękkie spodnie wykonane z cienkiej, dobrze wyprawionej skóry jelenia. Poczuł się rażniej. Teraz mógł już iść do pana Fleury'ego. Uśmiechnął się na myśl, że stara Lucille nie lubi, gdy ktoś spóźnia się na posiłek.

Zapiął pas. Do ozdobnej pochwy wykonanej przez Darnis wsunął nóż, sięgnął po strzelbę i omal nie parsknął śmiechem. Zachowywał się tak, jakby jeszcze był na szlaku. Odstawił strzelbę w kąt izby i z niejakim żalem odpiął pas z nożem. Wiedział, że tego wieczoru nie będą mu potrzebne. Na ścieżce prowadzącej do domku rozległ się odgłos kroków, a w chwilę później otworzyły się drzwi do sieni. Stał w nich sierżant Terrestre. Wydawał się zmieszany. Stał w progu, nie będąc widać pewien, czy może wejść.

– Wchodź, Raul – powiedział gospodarz, który lubił tego odważnego i szczerego żołnierza.  
– Nie stercz w progu. Cieszę się, że wpadłeś.

Przybyły przekroczył próg i zamknął drzwi.

– Cieszę się również, Paul, że cię widzę. Gdy zniknąłeś przed rokiem, różnie mówili. Nie spodziewałem się ujrzeć cię więcej. I nie wiem, czy dobrze zrobiłeś wracając tu.

– Dlaczego? Czemu miałbym nie wracać?

– No, bo... Bo, widzisz – tu zaciął się.

– Gadaj wreszcie, Raul. Wiem przecież, że Gobineau nie pała do mnie miłością.

– Właśnie. Nie pała. A ja nie przyszedłem, by się z tobą przywitać. Widzisz... jestem tu urzędowo. – Zamilkł wyraźnie zakłopotany. Widocznie misja, jaką go obarczono, nie należała do najprzyjemniejszych.

Gospodarz roześmiał się szczerze.

– A więc to tak? Nie przejmuj się. Wiem przecież, że masz przełożonych i jako żołnierz musisz wypełniać rozkazy. Mów, o co chodzi?

Terrestre nie proszony usiadł ciężko na zydłu i westchnął.

– Przyszedłem z zaproszeniem od komendanta, a właściwie z rozkazem, byś się u niego natychmiast stawił. Nie posłałem z tym nikogo, Paul. Przyszedłem, żeby ci to powiedzieć sam. Nie podoba mi się ten rozkaz i nie radzę ci wypełniać go.

– No, ale przecież ty musisz go wypełnić, Raul? Gdybyś nie postawił mnie przed obliczem porucznika, miałbyś kłopoty. Muszę więc iść z tobą.

– Wcale nie musisz. Właśnie dlatego jestem tu sam. Nikt cię nie zauważy. Jest już dość ciemno, a ja powiem komendantowi, że nie zastałem cię. Nic mi nie robi. Nie było cię w domu i... to wszystko. – Szczera twarz młodego żołnierza wyrażała zdecydowanie. – Wiem, że nic złego nie zrobiłeś, więc będę miał czyste sumienie. A tu szykuje się przeciw tobie coś niedobrego. Gobineau knuje coś. Nie może przeboleć twojej ubiegłorocznej ucieczki z towarami. Dopóki sprawa nie wyjaśni się, powinienes zniknąć i poczekać.

– Nie, Raul. Nie masz racji. Posłuchaj! Mówię to tylko tobie. Nie powtarzaj nikomu. Towary były moje, więc ich nie ukradłem, a gubernatorska licencja była sprzeczna z licencją króla. Gobineau nie może mi nic zrobić. A to, że jest zły... No, cóż. Ma powody. Pewnie niedługo je poznasz. Chodźmy. Idę z tobą.

– Zastanów się, Paul. On nie wzywa cię na rozmowę. Podejrzewam, że zechce cię zatrzymać, a żołnierze będą musieli wykonać jego rozkaz.

– Trudno. Jeśli tak się stanie, jak mówisz, powiadom tylko pana Fleury'ego. Koniecznie jeszcze dziś. W dziesięć minut potem stanęli w izbie, która stanowiła kancelarię dowódcy. On sam siedział za ciężkim stołem. Ujrawszy przybyłych, podniósł się i przez parę chwil patrzył w spokojną twarz Bressona. Wreszcie obrócił się ku swemu podwładnemu i powiedział:

– Dziękuję, Terrestre. Możecie odejść i ani słowa nikomu, że wezwaliśmy tu pana Paula Bressona.

Podoficer odmeldował się służbowo. Gdy drzwi zamknęły się za nim, porucznik usiadł i skierował nienawistny wzrok na młodzieńca.

– No więc spotkaliśmy się, Bresson. I teraz ty jesteś w znacznie gorszej sytuacji.

– Nie rozumiem cię, Gobineau. O jakiej sytuacji mówisz?

– O gorszej dla ciebie. Gorszej niż w zeszłym roku. Wtedy byłeś tylko podejrzany. Dzisiaj jesteś już przestępcą i to ciężkim przestępcą.

Paul uśmiechnął się.

– Nie przesadzasz, Gobineau? O jakież to ciężkie zbrodnie oskarżasz mnie?

– To nie ja cię oskarżam, Paul. Oskarża cię gubernator i staniesz przed gubernatorskim sądem. Na razie jesteś tylko aresztowany. I nie próbuj swoich indiańskich sztuczek. Nie udadzą się. – Z tymi słowy klasnął w ręce. Do izby weszło czterech uzbrojonych żołnierzy. – Zabrać go – rzucił porucznik – i osadzić w lochu. W razie próby ucieczki lub oporu strzelać. To rozkaz gubernatora – dodał twardo. – Wszelkie rozmowy z więźniem zabronione.

Paul przez chwilę patrzył zimno w szyderczo wykrzywioną twarz porucznika, po czym spojrzał na żołnierzy. Musieli niedawno przybyć do fortu. Nie znał ich. A rozmowa z komendantem, jak rozumiał, nie miała sensu. Odwrócił się i bez słowa opuścił izbę. Nie miał zamiaru uciekać. Nie dawało to nic, a jedna przypadkowa kula i mogło być po wszystkim. Schodził więc spokojnie po skrzypiących schodach. Wprowadzono go do wilgotnej, dusznej piwnicy. Zgrzytnęły ciężkie, dębowe drzwi. Po drugiej stronie ze szczękiem przesunęła się zasława.

Tymczasem porucznik pozostał na górze sam. Wyciągnął z szafy sporą butelkę i nalał do szklanki pokąsną porcję trunku. Wychylił go jednym haustem. Tak... Z tą sprawą poszło dosyć gładko. Chamfort miał głowę na karku. Twierdził, że Bresson, mając wszystkie karty w ręku, nie będzie obawiał się niczego, i że właśnie to może go zgubić. Oczywiście pozostawali inni, ale najważniejszy był Bresson. On jeden znał osobiście Girarda i co ważniejsze znał go jeszcze z Trois Rivières. Jego więc zeznanie przesądziłoby sprawę. Natomiast Du Lhut i Joliet oraz inni widzieli go z bliska tylko po bitwie w parowie. Ponieważ jednak nie znali go wcześniej, nie mogli przysięgać na krzyż, że to właśnie był on.

Porucznik wychylił drugą szklankę i poczuł się pewniej. Tak, Bresson siedział w lochu i na razie było to najważniejsze. Ważne też było, że Chamfort przysłał mu tych kilku nowych żołnierzy z Quebecu. Byli tu zupełnie obcy. Nikt ich nie znał i oni nie znali nikogo. Nowemu, nawet czasowemu przełożonemu woleli się pewnie nie narażać. Ich więc rękoma w razie potrzeby mógł załatwić to, co zamierzał i to całkiem bezpiecznie. Właśnie w czasie... tak, ucieczki Bressona. Co prawda nie wiedział jeszcze, jak należy ją przygotować, bo były pewne trudności, ale sądził, że w czasie najbliższych kilku dni znajdzie rozwiązanie. A może Chamfort będzie miał jakiś pomysł? Wiedział przecież, kiedy ma nadejść transport. I obiecał, że przyprowadzi tu specjalnie łodzie i żołnierzy z Quebecu, by go osobiście odebrać, ma się rozumieć – jak to podkreślił z naciskiem – w imieniu gubernatora. I właśnie wtedy może być dobra okazja.

Myśli porucznika pobiegły tym torem. Nim ocknął się z zadumy, zrobiło się bardzo późno. Butelka świeciła pustką. Na nieco uginających się nogach powędrował do przyległej izby i rzucił się na wąską prycę.

Obudziło go bezceremonialne potrząsanie za ramię.

– Wstań wreszcie, u diabła! O której zaczynasz służbę? – Chamfort stał nad nim ze wściekłą miną.

Oprzytomniał szybko i poprawił wymięty mundur.

– Nie spodziewałem się, że dzisiaj właśnie...

– Ty nigdy nie spodziewasz się niczego. Połowę czasu przesypiasz, a drugą, jak widzę,

przepijasz. – Wymownym gestem wskazał na opróżnioną butelkę. – Obmyj gębę i do roboty.

- Do jakiej roboty? – porucznik jeszcze nie doszedł do siebie.
- Do jakiej? Chyba jasne. Słyszałem, że Bressona już masz. Czas więc na futra. Przyprowadziłem ludzi i łodzie. No, ruszaj się prędzej – mówił niecierpliwie.
- Ale poczekaj. Futra są w magazynie Fleury’ego.
- No to co? Weźmiesz żołnierzy i zabierzecie je.
- Tak, tylko że bez nakazu na piśmie to niemożliwe. Fleury poskarży się. Będą kłopoty.
- Niech cię nie boli o to głowa. Zresztą nakaz przywiozłem. Masz, przeczytaj sobie.

Chamfort myśli o wszystkim.

Porucznik przyglądał włosy i zaspanym jeszcze wzrokiem przebiegł papier.

- To nie jest podpis gubernatora.
- Oczywiście, że nie. On takich rzeczy nie podpisuje. Gubernator wydaje tylko polecenia.

W jego imieniu ja to załatwiam.

- I chcecie zabrać Fleury’emu wszystkie futra? – porucznik widać nie był przekonany, czy zgadza się to z licencją, jaką posiada kupiec.
- No, chyba wyraźnie jest napisane, że wszystkie i że z polecenia jego ekscelencji.

W tym momencie wsunął się do izby sierżant i zameldował:

- Panie komendancie, kupiec Fleury do pana.
- A czego on...?
- Nie denerwuj się – przerwał Chamfort. – To się nawet dobrze składa. Niech go pan wprowadzi, Terrestre, do kancelarii. Zaraz tam przyjdziemy. – Po wyjściu sierżanta powiedział niedbale: – Dobrze, że przyszedł. Lepiej rozmawiać tu, niż kłócić się u niego w domu czy magazynie. Gdyby się awanturował, to możesz go zamknąć na parę godzin. To ułatwiłoby nam nawet pracę. Teraz weź się w garść i idziemy.

W parę minut potem znaleźli się w izbie, gdzie oczekiwał kupiec. Na widok Chamforta, którego spotykał już uprzednio i wiedział, że jest sekretarzem gubernatora, zatrzymał się w pół kroku. – Jeżeli sekretarz zjawił się tu w Trois Rivières, to może uwolnienie Paula uda się załatwić bez większych kłopotów – pomyślał i zwrócił się wprost do gościa z Quebecu:

- Jestem Fleury, tutejszy kupiec. Przyszedłem do komendanta garnizonu, obecnego tu porucznika Gobineau, który wczoraj aresztował mojego współnika, ale skoro jest tu pan, panie Chamfort, jako przedstawiciel najwyższej władzy Nowej Francji, zwracam się do pana i żądam natychmiastowego uwolnienia Paula Bressona, który nie popełnił żadnego przestępstwa, a został tu podstępnie zwabiony i zamknięty w lochu.

Chamfort usiadł na krześle i założył nogę na nogę, po czym spojrzał wyniośle na kupca.

- Dziwne rzeczy opowiada pan, Fleury. Pierwszy raz słyszę, by porucznik Gobineau dopuścił się kiedykolwiek niewłaściwego czynu. Właśnie przed pańskim przybyciem opowiedział mi dokładnie historię tego, jak go pan nazywa, współnika. To nie pan Gobineau, ale pański podopieczny dopuścił się bezprawia.
- To nieprawda! – zaprotestował gwałtownie kupiec.
- Ależ prawda. Najzupełniejsza prawda.
- Proszę to udowodnić, panie sekretarzu. – Z przyjemnością, panie Fleury. Proszę mi odpowiedzieć na kilka pytań.
- Słucham.
- Czy w ubiegłym roku mniej więcej o tej porze pan Bresson występował do jego ekscelencji o licencję na handel futrami?
- Nie, panie Chamfort. Mój współnik nie występował o nową licencję, lecz o przepisanie na niego licencji, którą odziedziczył po ojcu.
- Nie będę się z panem sprzeczał o słowa – zgodził się Chamfort. – Czy więc ta licencja po ojcu została przepisana na syna?
- Nie, ale...



– Chwileczkę, panie Fleury. Skoro nie została przepisana, to pan Bresson nie miał prawa podejmowania handlu, prawda?

– Miał, bo otrzymał nową.

– No, to jednak nie jest tak źle, jak myślałem. Nawet coś sobie przypominam. A więc otrzymał nową?

– Tak.

– Czy zawierała ona jakieś warunki, które winien spełnić?

– Tak, ale...

Tu znów Chamfort przerwał.

– Jakie to były warunki, panie Fleury? Proszę je wymienić.

– Jego ekscelencja zażądał dla siebie – odparł kupiec – połowy futer i zabrania przez mojego wspólnika dwu żołnierzy na cały sezon.

– Czy pański wspólnik podporządkował się tym warunkom? Bez ich spełnienia licencja nie była ważna.

Kupiec spojrział twardo w oczy pytającego. Nie miał wątpliwości, do czego tamten zmierza. Pohamował jednak wzburzenie i odparł spokojnie:

– Nie wypełnił, panie sekretarzu, bo ta nowa licencja była bezprawna.

– Osąd tego, czy licencja była zgodna z królewskimi prawami, czy nie, nie należy do pana, panie Fleury – odparł Chamfort. – Należy do króla. Faktem jest, że Paul Bresson nie spełnił warunków, które nałożył na niego mianowany przez króla najwyższy urzędnik Nowej Francji. Pański wspólnik popełnił jeszcze dwa inne przestępstwa. Opuścił w ubiegłym roku Trois Rivières wbrew zakazowi komendanta fortu, za co czeka go również kara, ale ponadto, jak nam wiadomo, z obecnej wyprawy przywiózł tylko połowę futer. Drugą połowę ukrył gdzieś. I to drugie ciężkie przestępstwo.

Porucznik Gobineau słysząc ten ostatni zarzut omal nie zamienił się w słup soli. Wiedział przecież, że Bresson przywiózł wszystko. Tak, to był argument. Nawet Fleury był nim zdruzgotany.

– To przecież potworne kłamstwo – wykrztusił kupiec ze ściśniętego nagle gardła.

– Nie sędzę, panie Fleury. Mamy wiarygodne informacje. A więc, jak pan widzi, wykroczenia pańskiego wspólnika są poważne. Komendant fortu miał obowiązek aresztować go. Ale ma jeszcze jeden obowiązek wobec pana. Z uwagi na warunki wystawionej przez gubernatora licencji, połowa futer należy do jego ekscelencji. Ta połowa, którą Paul Bresson dostarczył tutaj. Druga, ta ukryta, stanowi pańską własność. Gubernator nie rości do niej pretensji. Powinien pan odszukać ją jak najszybciej.

Kupiec, chociaż na usta jego cisnęły się tysiące słów, zdusił raz jeszcze oburzenie. Nie było co dyskutować z tą bandą łotrów. I nie wolno było dać ponieść się nerwom. Chamfort i Gobineau gotowi byli i jego osadzić w lochu, a to nie pomogłoby uwolnieniu Paula i uratowaniu futer. Spytał więc zimno:

– Mam więc rozumieć, że przybył pan tu, panie Chamfort, by zabrać wszystkie futra z transportu Bressona?

– Tylko tę połowę, panie Fleury, która dotarła do pańskiego magazynu – odparł sekretarz drwiąco.

– Te łodzie z wojskiem przyjechały więc po futra?

– Zgadł pan! I rozumiem, że nie będzie pan stawiał oporu w zabraniu własności gubernatora?

– Ma pan za sobą siłę, Chamfort. Nic na nią nie poradzę. Czy mój wspólnik ma być sądzony tu czy w Quebecu?

– Zabierzemy go ze sobą i tam, nim stanie przed sądem, zostanie przeprowadzone szczegółowe dochodzenie. O jego wynikach i terminie rozprawy zostanie pan powiadomiony. A teraz proszę iść z nami do magazynu i wydać futra.

I znów, podobnie jak poprzedniego dnia, tłum gapiów patrzył z ciekawością na ogromne, lśniąco bele wędrujące tym razem z magazynu Fleury'ego do wielkich, przeszło czterdziestostopowych kanu, które przywiódł Chamfort. Na koniec przyprowadzono Bressona. Szedł ze związanymi z tyłu rękami. Na tłum patrzył obojętnie. Żywszy nieco blask zaświecił w jego oczach na widok swych kilku czerwonoskórych przyjaciół stojących przy samym pomoście. Zgasł jednak szybko. Wsiadł bez oporu do pierwszej łodzi. Podszedł Fleury i powiedział ze współczuciem:

– Przykro mi, Paul. Ale bądź spokojny. Ruszam zaraz do Quebecu i zobaczymy, co na ten rozbój powie ksiądz Laval i wielki intendent. Nie opuszczę cię.

Chamfort słysząc te słowa, zagryzł wargi. Przez myśl przemknęło mu, że jednak byłoby lepiej, gdyby Fleury posiedział przynajmniej ze dwie doby. No, ale stało się. Najważniejsze, by futra dotarły do miejsca swego przeznaczenia. O resztę zatroszczą się inni. Wiedział też, co należy uczynić z Bressonem, by pozbyć się kłopotów z jego strony. Długie łodzie odbiły od pomostu.

Chamfort wołał nie wprowadzać do Quebecu transportu podczas dnia. Ludzie byli ciekawi i żądni sensacji. Był przekonany, że po ujrzeniu takiego ładunku futer, różnego rodzaju domysły i pogłoski krążyłyby przez długi czas. Dotarłyby zapewne do jego eminencji wikariusza generalnego, którego zainteresowanie tym wszystkim, co robi gubernator, w ostatnich dniach wzrosło wyraźnie i jak oceniał Chamfort, zaczynało graniczyć niemal z nieprzyzwoitą ingerencją w wewnętrzne sprawy Chateau St. Louis. Gdyby teraz ksiądz Laval dowiedział się o futrach, gubernator zapewne nie byłby zachwycony. Wprawdzie sprawozdania ze swej działalności nie musiał na miejscu składać przed nikim, gdyż odpowiadał tylko przed królem, ale kto wie, co w swych listach mógł wypisywać ten jezuita – jak Chamfort nazywał go po cichu.

Oceniając tak właśnie sytuację, o kilka mil od Quebecu kazał rzucić kotwice przy brzegu i przeczekać do zmroku. Żołnierze, tkwiący bezczynnie przy wiosłach, nie byli zachwyceni takim obrotem sprawy, ale na to nie mógł już nic poradzić. Na więźnia nie zwracał uwagi. Czynione kilkakrotnie w czasie podróży próby nawiązania z nim rozmowy nie przyniosły żadnego skutku. Bresson zachowywał się spokojnie, ale na sekretarza patrzył z wyraźnym lekceważeniem. Nie odezwał się do niego ani razu. Owszem, żołnierzy traktował uprzejmie i niekiedy nawet uciął sobie z nimi pogawędkę. Nie mówił jednak nic istotnego. Nic o bandzie Girarda ani jej napadach. Ot, zwykłe opowieści o dalekim, zachodnim kraju i jego mieszkańcach, o różnych sposobach handlowania z Indianami, polowaniach, zastawianiu na zwierzynę pułapek, o zwyczajach i wierzeniach dzikich. O sobie nie mówił nic. Rzeczy ważne, o których wiedział, chciał pewnie zachować do dnia rozprawy.

Chamfort uśmiechnął się w myśli. Biedak. Nie wiedział, że nie będzie sądu, że najdalej za kilka, może kilkanaście dni losy jego rozstrzygną się ostatecznie w sposób, jakiego nie mógł podejrzewać. Co prawda Gobineau przysięgał, że Girard nie pisał przed nikim nawet słowa o stosunkach wuja z gubernatorskim pałacem, ale w takich sprawach Chamfort wołał być podwójnie ostrożny. Wiedział przecież, że siostrzeniec porucznika miał długi język i że przez jakiś czas był w rękach Bressona. Shemágonish miał w swym ręku i innych z jego szajki. Mógł wiedzieć dużo, a może wszystko. I o nim – o Chamforcie i o gubernatorze. Nie mógł więc stawać przed sądem. Wtedy na pewno dowiedzieliby się inni, a ksiądz Laval i Talon nie darzyli gubernatora sympatią.

Popatrzył na słońce. Wyraźnie chyliło się na zachód. Można więc ruszać. Nim dotrą do przystani – zwykle o tej porze puste – będzie już zupełnie ciemno.

Łodzie ruszyły ponownie. Rzeka wprawdzie o tej porze roku nie niosła zbyt wiele wody, ale prąd był i tak wystarczająco silny. Toteż konwój posuwał się szybko. Nim minęły dwie godziny, byli u celu. Jakież było zdumienie i wściekłość Chamforta, gdy ujrzał oczekujący go ponad tysiącosobowy tłum.

Wieść o wielkim transporcie futer skonfiskowanym w Trois Rivières wyprzedziła go jednak. Tłoczący się przy pomoście patrzyli nie tylko na zawartość łodzi, lecz również na więźnia i widocznie musieli wiedzieć, kim jest, bo rozległo się kilka okrzyków wymieniających nazwisko Bressona.

Oczywiście w tej sytuacji nie było mowy o zachowaniu sprawy w tajemnicy. Więźnia polecił odprowadzić do ciemnicy, futra zaś przenieść do magazynów arsenału. Porucznikowi Barraultowi kazał dopilnować rozładunku, sam zaś udał się wprost do rezydencji gubernatora.

Jego ekscelencja czekał i był w dobrym humorze. Siedział przy otwartym oknie i z małego srebrnego kieliszka drobnymi łykami sączył znakomity likier.

– Chodź, Louis, i weź sobie kieliszek tego wspaniałego nektaru. Oczekuję cię już od paru godzin. Czy może coś cię zatrzymało po drodze?

– Ależ nie, ekscelencjo. Zatrzymałem się sam na kilka godzin specjalnie, by nie wpływać tu z futrami za dnia. Myślałem, że nocą uniknę gapiów. Ale niestety. I tak witało mnie pół Quebecu. Ktoś musiał donieść wcześniej.

– A jakże – gospodarz napełnił dwa kieliszki i jeden podsunął sekretarzowi. – Przedwczoraj zjawili się w mieście pan Du Lhut i pan Joliet i opowiadali niestworzone historie o tym cudownym ładunku futer, jakie przywiózł Bresson. Dzisiaj ktoś rozpuścił pogłoskę, że konfiskujemy te futra. Nie masz się więc co dziwić. Ludzie przyszli, by przekonać się, czy to prawda. Ale mów. Jaki to w rzeczywistości ładunek?

– Nie było jeszcze takiego, ekscelencjo. Dwa razy większy niż ten, który Bresson przywiózł w ubiegłym roku. Ale co z tym Du Lhutem i Jolietem. Jeśli zaczną opowiadać zbyt dużo... – W tym momencie gospodarz przerwał mu.

– To już nie ma znaczenia, Louis. Wprawdzie obydwu panów kazałem natychmiast wtrącić do lochu z całą ich kompanią, ale to nieważne.

– Ekscelencja kazał wtrącić do lochu Du Lhuta i Jolieta?

– Tak. Pan Du Lhut przywiózł tu dwie łodzie futer. A nie ma przecież licencji. Ponieważ przybyli razem, kazałem ich razem zamknąć. Oczywiście te dwie łodzie futer skonfiskowałem.

Ale przecież Joliet pracuje dla jezuitów? Nie potrzebuje zezwolenia.

– Baa... Skąd ja to mogę wiedzieć? Ksiądz Laval nie informował nas przecież o tym. Pomyłka wyjaśni się pewnie w ciągu najbliższych kilku dni i pan Joliet wyjdzie z lochu, ale nas już tu nie będzie.

– Jak to? – Chamfort z wrażenia omal nie spadł z fotela. – A gdzie my będziemy? Gubernator wydał tłuste wargi i odparł niewinnie:

– Na „Saint Antoine”, drogi Louis. Na „Saint Antoine” i ma się rozumieć, razem z futrami. Jutro załadunek. Pojutrze odpływamy.

– Ale przecież wasza ekscelencja nie może opuścić Nowej Francji bez zgody króla?

– Broń mnie Boże, bym dopuścił się tak haniebnego czynu. To byłaby dezercja. Nie miałbym, po co wracać do naszej kochanej, starej ojczyzny. Dzięki jednak wyrokom opatrności opuszczamy tę piękną krainę za zgodą miłościwie nam panującego monarchy.

– Za zgodą króla?

– Tak, Louis. Zgodę tę przywiózł mi właśnie kapitan Charkot, który zjawiał się w czasie twojej nieobecności. Odpłyniemy więc, jak powiedziałem, pojutrze. Jak ci się to podoba?

Chamfort otarł pot z czoła.

– Jestem zachwycony. To naprawdę, ekscelencjo, cudowny zbieg okoliczności. Liczyłem, że jeśli Charkot przybędzie w umówionym terminie, to uda nam się bez większych trudności wyekspediować chociaż futra. Nie marzyłem nawet o tym, że i nam samym uda się stąd wyrwać tak szybko. Zresztą prawdę mówiąc, najwyższy czas.

– Dlaczego tak myślisz?

– Sprawa Bressona i Girarda. Gdyby w całości zdążyła wyjść na jaw, to kto wie, czy tych

futer nie należałoby zwrócić.

– Poczekaj, Louis. Dlaczego sądzisz, że sprawa Bressona mogłaby coś tu zmienić?

– Nie jestem pewien do końca, ekscelencjo, czy zeszłoroczna licencja, którą wydaliśmy temu młodemu człowiekowi, odpowiada normom prawa królewskiego.

– Sądzisz, że było tam coś nie w porządku?

– Nie wiem właśnie. To znaczy, mam pewne wątpliwości. Trzeba byłoby poradzić się kogoś biegłego w przepisach, ale jak wasza ekscelencja wie, nie było wtedy na to czasu. Działaliśmy przecież w najlepszej wierze. Obecna konfiskata futer to tylko prosta konsekwencja tamtej decyzji.

– A może jednak nie należało ich konfiskować, jeśli nie jesteś pewien, Louis?

– Ależ ekscelencjo! Taki wielki transport? Zostawić go temu handlarzowi Fleury'emu, który ma już pewnie pełne wory złota i temu Mohawkowi? Przecież nadal nie wiemy, czy to syn starego Bressona?

– No tak. Może masz i rację. Skoro nie jesteśmy pewni, lepiej niech pozostaną u nas. Wykorzystamy je z większym pożytkiem niż ten ukryty hugenota.

– Kogo wasza ekscelencja wyznaczy na swego następcę? – spytał Chamfort rad, że gospodarz podziela jego zdanie co do futer.

– Myślałem o panu de Beaumont. To zdyscyplinowany oficer. Nie myśli za dużo. Do czasu przybycia właściwego następcy powinien sobie poradzić. Nie sądzisz?

– Sądzę, że to dobry wybór. Jeśli dostanie taki rozkaz, to choćby ksiądz Laval groził mu wieczną klątwą, nie wypuści ani Joliota, ani pozostałych. Będzie czekał na nowego gubernatora. A czy może jego królewska mość coś pisze w tej sprawie?

– Oczywiście, Louis. Moim następcą jego królewska mość wyznaczył hrabiego Frontenaca. To podobno dobry żołnierz i zdolny administrator.

– A czy wasza ekscelencja wie, kiedy ma przybyć pan Frontenac?

– Tego król nie pisze. Jest to zresztą obojętne. Wprawdzie mówi coś o przekazaniu urzędu, ale sądzę, że równie dobrze może tego dokonać upoważniony przez nas de Beaumont. A co jeszcze w Trois Rivières? Jak kochany Gobineau? Co z jego siostrzeńcem? I co pan Fleury? Jak zachowywał się, gdy zabierałeś futra? Pewno bardzo protestował?

– Gobineau jest nieswój. Zdaje się, że z tym jego siostrzeńcem nie wszystko jest tak, jak nam opowiadał. Ale to jego sprawa. Wspominał, że zawiódł się na chłopaku. Nie chciałem jednak być niedyskretny i nie wypytywałem. Fleury naturalnie protestował. Mówił coś o bezprawiu, ale tych stu czterdziestu żołnierzy musiało wyrzucić na nim odpowiednie wrażenie. Futra w każdym razie oddał bez oporu. Wprawdzie przy odjeździe groził, że doniesie księdzu Lavalowi, ale to i wszystko. Niestety musiałem przywieźć Bressona.

– Przywiozłeś Bressona? Po co?

– Nie wiedziałem, że będziemy mogli pojutrze odpłynąć. Na miejscu nie mogłem go zostawić. Miał w pobliżu dwie setki swoich zabijaków. Gdybym go nie zabrał, już po drodze moglibyśmy mieć kłopoty z obroną transportu, a poza tym to jedyny człowiek, który właściwie mógłby się skarżyć na waszą ekscelencję.

– Słuchaj, Louis. Czy mi się tylko wydaje, czy Joliet wspominał o jakichś napadach irokezów na misję? Łączył z tym nazwisko Bressona i siostrzeńca Gobineau. Nie wiesz nic bliższego w tej sprawie? Niepokoi mnie to.

– Było tam coś, ekscelencjo. Ale Gobineau sam nie wie. Nic mi nie mógł powiedzieć. Przebąkiwał tylko, że Bresson zwąchał się z Senekami czy Cayuga i że doszło do jakiejś walki. Ale nic pewnego. Pan Philippe Girard podobno ma tu wrócić dopiero w przyszłym roku. Na miejscu jest Bresson. Nie chciałbym, by w czasie nieobecności tamtego odwrócił kota ogonem. Wtedy i my moglibyśmy się znaleźć w niezręcznej sytuacji. A wiadomo, że jego dzicy potwierdziliby to, co on mówi. Wolałem go zabrać tutaj. Zresztą nie możemy go i tu zostawić. Jeśliby Girardowi przytrafiło się jakieś nieszczęście i nie wrócił, a Bresson

zechciał oskarżyć porucznika Gobineau o zabranie futer, sprawa mogłaby dotrzeć do Francji i ekscelencja również mógłby mieć z tego powodu kłopoty. Bressona trzeba będzie stąd zabrać. W ten sposób ukręci się łeb całej sprawie i to raz na zawsze.

– Nie rozumiem cię nadal, Louis. Co wspólnego z Irokezami i napadem na misję może mieć Bresson? Przecież wtedy nie wracaliby do Trois Rivières? To dla niego gardłowa sprawa.

– Naprawdę nie wiem. Mnie też wydaje się to dziwne, chociaż możliwe. W każdym razie dopóki nie ma Girarda, a jest Bresson, może narobić sporo biedy, a gdyby zaczął kręcić razem z panem Fleury’em, to kto wie, co mogłoby z tego wyniknąć. Najlepiej będzie, jeśli go stąd zabierzemy.

– Zabrać Bressona? Dokąd?

– Na statek.

– Chcesz go wieźć do Francji? – zdumienie gubernatora graniczyło niemal z osłupieniem. – I co tam z nim uczynisz? Oddasz pod sąd? Skoro nie jesteśmy pewni prawomocności tej licencji, to przecież nie możemy oddać go królewskiemu prokuratorowi. Może się wymigać od kary, zwłaszcza że poprze go Laval i wtedy dopiero narobią nam biedy.

– Nie, ekscelencjo. Nie do Francji. Można porozmawiać z panem Charkotem. Może popłynąć gdzieś kawałek na południe i wysadzić Bressona na najbliższej wyspie przybrzeżnej, których w tamtym rejonie jest podobno bardzo dużo. Bresson zna się dobrze z Anglikami, więc się pewnie z nimi dogada, tak jak Radisson. No, a wtedy w obronie zdrajcy nawet ksiądz Laval nie wystąpi nigdzie. W ten sposób i w sprawie futer zamknie się usta wszystkim, w tym panu Fleury’emu.

Gubernator odsapnął głośno.

– Nalej, Louis, jeszcze po kieliszku. I wiesz. To bardzo dobry pomysł i dobre wyjście dla Bressona, chociaż szkoda -dodał z westchnieniem. -Taki obiecujący młodzieniec i taki niewdzięczny los gotuje mu opatrzność. Dobrze, że go tu przywiozłeś. Tylko, czy jesteś pewien, że rzeczywiście taki los go czeka?

– No, a jakżby inny? Kapitan statku na morzu podejmuje każdą decyzję samodzielnie i nikomu nie wolno się jej sprzeciwiać. Skoro na przykład z jakichś powodów zdecyduje się wysadzić Bressona u wybrzeży kolonii angielskich, to nie musi przed nikim z tego się tłumaczyć.

Obydwaj rozmówcy gawędzili jeszcze długo w noc, ustalając szczegóły jutrzejszego załadunku. Gubernator bowiem, prócz futer, zamierzał zabrać z Chateau St. Louis sporo cennych pamiątek, które zgromadził w czasie pełnienia swego urzędu.

Nazajutrz od wczesnych godzin porannych na pałacowym dziedzińcu dało się zauważyć niezwykle ruch i krzątaninę. Żołnierze wynosili z pałacu ciężkie skrzynie i kufry, wielkie wiklinowe kosze, w których poumieszczano co cenniejsze przedmioty stanowiące do tej pory ozdobę pałacu, a będące własnością gubernatora. Ich pakowania i odpowiedniego zabezpieczenia doglądał osobiście Chamfort, a służba pałacowa i żołnierze pod jego nadzorem pracowali sprawnie. Do skrzyń i wielkich podróżnych kufrów wędrowały więc świeczniki i kandelabry, piękne zegary, bogato rzeźbione pokryte złotem stołowe serwisy z porcelany, złote i srebrne kubki, puchary i cięte w czystym kryształ kielichy do wina, których używano jedynie w czasie paradnych balów i oficjalnych przyjęć. Z ciężkich szaf gubernatorskiej garderoby wyjmowano wykwintne stroje gospodarza, sporządzone przez najlepszych paryskich krawców z najczystszej brokatu, jedwabiu i adamaszku. Jak powszechnie było bowiem wiadomo, jego ekscelencja lubił się ubierać bez zarzutu, a w tym, co posiadał, mógłby swobodnie pokazać się na królewskich pokojach w Wersalu.

Chamfort dopilnował również, by nie zapomniano zdjąć ze ścian i starannie zabezpieczyć przed wilgocią morską kilkunastu płócien znanych mistrzów, które gubernator cenil sobie szczególnie, a które to płótna, jak sądził, będą dobrze harmonizowały z pokaźną kolekcją,

jaka zdobiła komnaty pałacu jego podparyskiej rezydencji.

Gubernator zbierał ją zresztą skrzętnie od wielu lat i mimo szczególnego upodobania do wykwintnych strojów, znaczną część swych dochodów, pochodzących głównie z futrzanego handlu lub mówiąc może ściślej: futrzanych operacji lokował ze znanstwem i właściwą sobie przezornością w dobrach doczesnych. W jego szkatule nie zabrakło więc i ciężkiego kruszcu, cenionego najwyżej na ówczesnych magnackich dworach Europy, kruszcu, który jego ekscelencja starannie gromadził drogą wymiany z francuskimi flibustierami i bukanierami utrzymującymi dosyć żywą łączność między Francuskimi Indiami Zachodnimi, leżącymi na wschodnim zapleczu hiszpańskich posiadłości w Meksyku i Peru, a Nową Francją. A ponieważ dostawców nie pytał nigdy o sposoby prowadzenia przez nich handlu w tamtych odległych rejonach, obecnie w jego skrzyniach pobrzękiwały zarówno złote hiszpańskie pesety, angielskie funty, jak i francuskie, ciężkie ludwiki, luidory, a także sztaby złota i srebra. Zgromadził również całkiem pokaźną kolekcję pięknych pereł z rejonu Maracaibo.

W ogóle z dużą życzliwością odnosił się do kapitanów statków handlujących właśnie w rejonie Indii Zachodnich i w razie potrzeby udzielał im wszelkiej pomocy w naprawie uszkodzonych często nie tylko przez morskie burze statków.

Chamfort miał więc pełne ręce roboty. Dobytku, jaki zabierał z sobą jego ekscelencja, było sporo. Znacznie więcej niż sądził początkowo. Oczywiście w pałacu ksiąg inwentarzowych nie prowadzono. Nie mógł więc zastanawiać się, czy każdy drobiazg zabierany do Francji stanowił własność korony, czy też jego ekscelencji, ale nie miał tu większych skrupułów. Następcą zapewne takich ksiąg nie posiadał również, nie mógł więc sprawdzić, czyjego poprzednik wziął o jeden obraz, zegar czy lustro za dużo, czy też nie.

Na wszelki wypadek sekretarz wołał zadbać o dobro jego ekscelencji z nadmierną pieczołowitością, tym bardziej że gubernator był jego teściem, a nadobna małżonka sekretarza jedyną spadkobierczynią gubernatorskiej fortuny – ma się rozumieć – po jego śmierci. Ale o tym, jakie więzy pokrewieństwa łączyły gubernatora Nowej Francji z sekretarzem, nikt nie wiedział, a Chamfort był na tyle rozumny, by o tym nikomu nie opowiadać. O wspólne dobro starał się dbać w sposób należyty, tym bardziej że jego teść, mimo iż był człowiekiem jeszcze stosunkowo młodym, nie czuł się ostatnio najlepiej. Coraz częściej narzekał na żołądek i wątrobę i nie było wykluczone, że niedługo może osierocić swą jedynaczkę. Zięć właściwie nie miał co do tego większych wątpliwości.

Dzisiaj, doglądając pakowania gubernatorskiego dobra, uświadomił sobie, że ta pewność o rychłym przeniesieniu się teścia do drugiego świata jakby się pogłębiła. Podróż morską, jaką mieli przed sobą, była długa i uciążliwa, a przy nie najlepszym zdrowiu gubernatora mogła okazać się nawet niebezpieczna. Na przykład parę kropel niewłaściwego lekarstwa do wina, które jego ekscelencja tak uwielbiał i którego mimo dolegliwości nie odmawiał sobie nigdy. Medyka na statku przecież nie było. Tak... Taki przypadek mógł się zdarzyć. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Zresztą powinien się-także zdarzyć Bressonowi. Wsadzanie kogoś na ląd u wybrzeży angielskich kolonii w rzeczywistości przecież nie mogło wchodzić w rachubę. Na takie ryzyko nie poszedłby i Charkot. Pozostawały więc tylko krople. A o nich nie musiał nikt wiedzieć.

Przywołał porucznika Barraulta i polecił mu przygotować łódź.

W pół godziny potem w eskorcie czterech żołnierzy i sierżanta płynął w kierunku „Saint Antoine”.

Szyper musiał poznać nadpływających już z daleka, bo pospiesznie kazał spuścić drabinę, jednocześnie zwrócił się do bosmana:

– Słuchaj, Jacques. Zapowiedz chłopcom, że o gościach, jakich mamy, ani pary z gęby. Zrozumiano? Gdyby gubernator dowiedział się już dzisiaj, mógłby to być nasz ostatni rejs. Więc milczeć. Nic nie widzieliście ani o niczym nie wiecie.

– Rozkaz, kapitanie!

– No, to jazda!

Łódź przybiła do burty. Chamfort ze zwinnością, o którą nie posądziłby go nikt, wdrapał się na pokład.

– Witam, Charkot. Jest pan niezawodny jak słoneczny zegar na katedrze Notre Dame w Paryżu. Jak podróż?

– Dziękuję, panie Chamfort. Przez całą drogę mieliśmy sprzyjający wiatr, toteż „Saint Antoine” szedł jak na królewskiej paradzie. Przyszliśmy prawie dwanaście dni wcześniej, niż przewidywałem. Ale proszę wybaczyć, że nie zapraszam do kabiny. Malują. I jest bałagan.

– I tak nie mam czasu. Urwanie głowy – wyjaśnił Chamfort. – Rozumiem, że ładownie ma pan opróżnione?

– Oczywiście, panie Chamfort. Lśnią jak lustra w Chateau St. Louis, chociaż miałem z tym trochę kłopotu.

– Kłopotu? Nie rozumiem?

– Nie z czyszczeniem, oczywiście. Ale zgodnie z pozostawionymi przez pana wskazówkami, nie mogłem do tej pory niczego przyjąć pod pokład. Musiałem odmówić wszystkim, nawet stałym dostawcom. Są zaniepokojeni, a ksiądz Laval przysłał aż swego osobistego sekretarza. Ma się rozumieć, wyjaśniłem, że to zwykła zwłoka podyktowana koniecznością oporządzenia statku po podróży. Nie powoływałem się na pańskie polecenia.

– I bardzo dobrze, Charkot. Właśnie w tej sprawie zjawiłem się tutaj. Tym razem nie weźmie pan żadnego obcego ładunku. Będzie pan miał jedynie ładunek gubernatora.

– Jedynie ładunek gubernatora? Ależ „Saint Antoine” ma całkiem pokaźne ładownie. Zmieściłoby się zapewne więcej niż to, co chce przesłać jego ekscelencja.

– Tym razem ładownie w całości zostaną wykorzystane przez pana gubernatora, a on będzie pańskim osobistym gościem podczas podróży. Myślę, że znajdzie pan również jakiś przyzwoity kąt dla mnie? – Chamfort uśmiechnął się.

– A do licha – wyjąkał z dobrze udanym zdziwieniem szyper. – Jego ekscelencja opuszcza Nową Francję?

– Tak, za królewskim zezwoleniem. Zabiera rzecz jasna trochę osobistych rzeczy i największy, jaki przewoził pan do tej pory, ładunek futer. Nie traci pan więc na rejsie. A sądzę, że wdzięczność jego ekscelencji wynagrodzi panu te kłopoty, jakie będzie pan miał odmawiając innym.

– Ależ oczywiście, panie Chamfort. Dobrze, że uprzedził mnie pan o zaszczycie, jaki spotka starego Charkota. Muszę w takim razie uzupełnić zapasy prowiantu i słodkiej wody. To, co dają zwykle załódze, mogłoby nie przypaść do gustu takim gościom. Kiedy chce pan ładować i na kiedy jego ekscelencja planuje odpłynięcie?

– Ładujemy dziś. Jeśli nie starczy dnia, to również w nocy. Odpływamy jutro!

– Ale czemu taki pośpiech? Nie wiem, czy zdążę ze wszystkim?

– Niestety musi pan, Charkot. Listy królewskie, które przywiózł pan jego ekscelencji, nakazują mu najwyższy pośpiech. – Tu zniżył nieco głos. – Zdaje się, że jego królewska mość pragnie powierzyć jego ekscelencji pilnie jakąś misję o szczególnej wadze. Gubernator nie może więc zwlekać.

Charkot pokiwał ze zrozumieniem głową i pochylił się z szacunkiem. Znał dobrze treść królewskiego listu, a skoro gubernator właśnie po jego otrzymaniu powziął decyzję tak pilnego opuszczenia Nowej Francji, to nie wyglądało to na nic innego, jak na zwykłą ucieczkę przed spotkaniem z następcą. Nie dał jednak nic poznać po sobie i gdy uniósł głowę, jedynie głęboki szacunek widniał w jego twarzy.

– Rozumiem, panie Chamfort. Za godzinę będziemy gotowi do załadunku.

Przewożenie na statek futer, wielkich skrzyń i kufrów, dużych, wiklinowych koszy i ciężkich worków z grubego płótna trwało prawie do północy. Ostatnia z łodzi przywiozła więźnia. Przekazując go w ręce kapitana, Chamfort powiedział surowo:

– To niebezpieczny przestępca. Będzie sądzony w kraju. Umieść go pan, Charkot, gdzieś w dobrze zamkniętej ciemnicy na spodzie statku i pilnuj jak własnej ręki. Gdyby udało mu się stąd uciec, nie ręczę za pańską głowę. Rozmawiać z nim nie wolno nikomu. Z karmieniem nie musi się pan wysilać. Jest wytrzymały, więc nawet po kilkudniowym poście nie zdechnie. I cały czas niech będzie związany.

Kapitan popatrzył beznamiętnie na wychudzoną twarz Bressona i krzyknął:

– Bosmanie! Wrzucić to ścierwo do lochu ze szczurami, zamknąć dobrze drzwi i klucz przynieść do mnie! – Dwu rosłych majtków porwało skrepowanego więźnia i powlokło na spód statku. Gdy w parę minut potem bosman wychynął spod pokładu z ogromnym kluczem w rękę, Chamfort odetchnął.

– Daj mi ten klucz, Charkot. Lepiej niech będzie u mnie. Tutaj mógłby się gdzieś zawieruszyć.

Kapitan skinął posłusznie głową. Bosman wręczył klucz sekretarzowi jego ekscelencji.

– Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś, panie Chamfort? – spytał szyper.

– Nie, dziękuję. Na statek, wraz z jego ekscelencją przeniesiemy się jutro, koło południa. Mam nadzieję, że gubernatorowi w pańskiej kajucie będzie wygodnie. Teraz opuszczam pana, kapitanie. Jestem zmęczony. Jadę na ląd wyspać się przyzwoicie.

Charkot uśmiechnął się ze zrozumieniem. Wiedział, że była to prawdopodobnie ostatnia spokojna noc gubernatorskiego sekretarza, ale tą wiedzą nie musiał się już z nim dzielić.

Gdy łódź z Chamfortem zniknęła w ciemności, rzucił ostro:

– Jacques!

Bosman wyrósł jak spod ziemi.

– Na pańskie rozkazy, kapitanie!

– Skąd ośle wyciągnąłeś ten klucz?

– Ze starej skrzynki z narzędziami. Do niczego nie jest potrzebny.

– A Bresson?

– Kąpie się według rozkazu pana kapitana. Pomagają mu Andre i Robert.

– Indyk i pasztet gotowy?

– Tak jest i cztery nakrycia w pańskiej kabinie.

– Dobrze, Jacques. Mam z ciebie pociechę. Jak Bresson wykąpie się, daj mu coś przyzwoitego na grzbiet. Nie wypada, by do kolacji siadał w tych łachmanach. I przyprowadź go do mojej kajuty. O mało nie zamorzyli go na śmierć. Warty postaw jak zwykle i nikogo nie wpuszczaj na statek.

– Wedle rozkazu.



## ROZDZIAŁ XVIII

### Ktoś ma poważne kłopoty

Zegar katedralny wybijał właśnie godzinę ósmą rano, gdy otwarły się szerokie drzwi sali audiencyjnej gubernatorskiego pałacu i ukazał się w nich gospodarz. Czekali już wszyscy. Urzędnicy po lewej, kilkunastu oficerów w przepisowych mundurach po prawej stronie.

Twarz gubernatora powlekał przybrany na tę okazję wyraz smutku i melancholii, co przy niskiej, mocno zaokrąglonej figurze zawieszzonej na cienkich, krzywych nóżkach, obciążniętych białymi, jedwabnymi pończochami, przyozdobionymi pod kolanem różową kokardą, czyniło zeń pocieszną figurę aktora wchodzącego na scenę w chwili, gdy ostatni widz znużony nieciekawą farsą opuszcza właśnie salę świecącego już pustkami teatru.

Jego ekscelencja nie wydawał się jednak sobie ani odrobinę śmieszny. Wprost przeciwnie, żywił głębokie przekonanie o dostojęństwie i godności, jakie musiały promieniować z jego we wzorzyste aksamity i jedwabie odzianej postaci i uduchowionego, wystudiowanego przed lustrem oblicza.

Przybrawszy dumną postawę, w napuszonych słowach, pełnych sztucznej wzniosłości, a jednocześnie zakłamanego żalu zegnał swych oficerów i oficjalistów.

– Nadszedł czas rozstania – mówił. – Z woli najjaśniejszego pana winienem, jak najspieszniej udać się do Francji, by tam całą swą wiedzę i bogate doświadczenie oraz bijące dla kraju gorącą miłością serce oddać w całości świętej sprawie naszej wspólnej ojczyzny. Wiem, że jako żołnierze czujecie to samo co ja i rozumiecie mnie tak, jak ja was rozumiem. Służyć ojczyźnie to święta powinność, którą, jak wierzę, będziecie z honorem wypełniać do końca. Ponieważ sprawy państwowe nie pozwalają mi czekać przybycia następcy – pana de Frontenaca<sup>88</sup> – opuszczam was dzisiaj. Całą wojskową władzę do czasu przybycia nowego gubernatora przekazuję, biorąc tu wszystkich obecnych na świadków, panu kapitanowi de Beaumontowi. Od tej chwili wszyscy oficerowie i żołnierze zobowiązani są wypełniać ściśle jego rozkazy. Dziękuję urzędnikom za pomoc, jakiej udzielali mi w wypełnianiu trudnych obowiązków mojego urzędu. Dziękuję wszystkim za wierną służbę i pracę. Żegnam panów. Kapitana de Beaumonta proszę jeszcze do siebie na górę.

Oficerowie, którzy z niesmakiem słuchali napuszonej mowy starego hipokryty, jak nazywali go między sobą, z ulgą opuszczali salę.

Urzędnicy, już poprzedniego dnia zaskoczeni rozchodzącymi się pogłoskami, z uczuciem niepewności wracali do biurowych zajęć. Niejeden z nich zdawał sobie sprawę, że odjazd gubernatora mógł spowodować rozliczne, nie najprzyjemniejsze konsekwencje. Wszak wiele

---

<sup>88</sup> Hrabia Louis de Frontenac (ok. 1622-1698) – francuski gubernator Kanady w l. 1672-1682, 1689-1698. Energiczny administrator, zliberalizował przestarzałe przepisy. Zalegalizował działalność gońców leśnych, pozyskując w nich sojuszników Nowej Francji. Zbudował wiele fortów osłaniających główne szlaki handlowe. Zwiększył osadnictwo, organizował ekspedycje badawcze w głąb kraju. Z jego polecenia Joliet i Marquette oraz La Salle i Du Lhut badali zachodnie i południowe rejony wzdłuż Missisipi. Nawiązał jak Champlain więzy z plemionami algonkińskimi, często przebywał w indiańskich obozach. W czasie konfliktów z Ligą Irokezów i Anglikami główną siłą jego oddziałów stanowili gońcy leśni i wojownicy plemion algonkińskich. Dążąc do wzmocnienia władzy państwowej złamał monopol jezuitów w handlu futrzanym i doprowadził do znacznego zmniejszenia ich wielkich majątków ziemskich.

poleceń, jakie wykonywali do tej pory, szczególnie poleceń związanych z najprzeróżniejszymi wydatkami jego ekscelencji, otrzymywali ustnie za pośrednictwem pana Chamforta. I dopóki gubernator był na miejscu, nie miało to większego znaczenia. Obecnie opuszczał ich nagle, zostawiając bez właściwych, podpisanych przez siebie dokumentów, które były podstawą do rozliczania przez Wersal.

Szczególnie zaniepokojony był skarbnik, pan Adroit, który usłyszawszy niespodziewaną wiadomość, pobiegł szybko do Chamforta. Ten jednak tylko parsknął gniewnie stwierdzając, iż skarbnik winien wszelkie dokumenty w sprawach pieniężnych przedkładać jego ekscelencji we właściwym czasie, a nie w dniu wyjazdu. Zagroził nawet, że jeśli będzie się niepotrzebnie naprzykrzał, to po prostu powędruje na parę dni do lochu. Skarbnik wycofał się przezornie, ale niepokój nadal kołatał w jego piersi. Sam, nie mając pod ręką ksiąg, nie zdawał sobie do końca sprawy, jakie nie rozliczone sumy mogły wchodzić w rachubę. Zdenerwowanie nie pozwalało mu jednak sprawdzić niczego w tej chwili. Nie miał też żadnego dostępu do gubernatorskiego skarbca, by sprawdzić pozostającą tam ilość pieniędzy i wydanych kwitów pieniężnych.

Jego ekscelencja powiódł tymczasem kapitana de Beaumonta do swego apartamentu, wskazał fotel za biurkiem i powiedział z uśmiechem:

– Mam nadzieję, de Beaumont, że kiedyś zajmie pan ten fotel na stałe. Niech się więc zacznie pan przyzwyczajać od dziś. Po powrocie do kraju szepnę królowi o panu. A jeśli będzie trzeba, to i przypomnę w stosownym czasie. Proszę się tu czuć, jak w swej dotychczasowej kwaterze i nie opuszczać tego apartamentu przez najbliższych kilka godzin. My z panem Chamfortem musimy niestety złożyć panu Talonowi i wikariuszowi generalnemu pożegnalne wizyty. Wrócimy koło południa. Pod pańską opieką, kapitanie, zostaje ten kufer zawierający... ważne, tajne papiery państwowe, które muszą zabrać do kraju. Pod żadnym pozorem nie wolno do niego zbliżać się nikomu – dodał surowo. – Rozumie pan? Nikomu!

– Tak jest, panie gubernatorze, nikomu. Może pan być spokojny-dopilnuję. A jeśli król kiedyś będzie łaskaw..., pan gubernator też nie będzie tego żałował.

– Rozumiem cię, stary przyjacielu. Zostań i czuwaj. W razie potrzeby adiutant wypełni wszystkie twoje polecenia. Wystarczy tylko zadzwonić. – W chwilę później z godnością kroczył do oczekującego powozu.

Oczywiście wielki intendent Nowej Francji, pan Talon, o wizycie gubernatora i Chamforta został uprzedzony jeszcze poprzedniego dnia, ale okazało się niespodziewanie, że obydwaj przybyli muszą poczekać, jako że intendent prowadził właśnie ważną rozmowę w sprawie wybudowania w Trois Rivières huty żelaza. Konferencja przeciągała się, toteż jego ekscelencja oraz Chamfort spóźnili się znacznie na wizytę u wikariusza generalnego.

Surowy, przestrzegający zawsze punktualności zwierzchnik katolickiego kościoła Nowej Francji, ksiądz Laval, nie zamierzał puścić bezkarnie takiego zlekceważenia zasad dobrego wychowania, jak prawie dwugodzinne spóźnienie, bo nie podając nawet powodu, oznajmił przez ojca Franciszka, że jeśli pan gubernator życzy sobie zostać przyjęty, winien poczekać, aż wikariusz znajdzie wolną chwilę. I znalazł ją wreszcie po upływie dwu godzin. Przyjął zresztą jedynie gubernatora, każąc panu Chamfortowi poczekać w przedpokojach. Może zresztą nie chciał, by sekretarz słyszał słowa nie przeznaczone dla jego uszu.

W każdym razie, kiedy po kwadransie rozmowy jego ekscelencja raczej wypadł, niż wyszedł z apartamentów przyszłego biskupa Quebecu, twarz jego była tak czerwona, że o mało nie tryskała z niej krew.

Chamfort nie pytał o nic. Domyślał się zresztą. Z godnością podprowadził gubernatora do jego powozu i starannie zamknął drzwiczki. Gubernator czując, że zadusi go wściekłość i upokorzenie, musiał rozpiąć koronkowy żabot. Dopiero po paru chwilach wysapał z trudem:

– A to kanalia. O mało nie padłem trupem. Powiedz, Louis, stangretowi, by jechał powoli.

No, ale już po wszystkim. Teraz do Château St. Louis po kufer, a potem na statek i noga moja nigdy więcej nie stanie w tym parszywym kraju.

Sekretarz wykonał polecenie i gdy powóz zwolnił, spytał przyciszonym głosem:

– Ale czym ksiądz Laval tak zdenerwował waszą ekscelencję?

– Pytasz, Louis, czym? Ten zasuszony klecha ośmielił się pytać, czy wszystkie rachunki pozostawiłem w porządku i czy do ksiąg został wpisany, wyobrażasz sobie, ten transport futer zabrany przez ciebie rzekomo bezprawnie Fleury'emu. Rozumiesz? Bezprawnie...! A może, Louis – powiedział z nagłym niepokojem – powinieneś zabrać tylko połowę, tak jak było w licencji?

– Ależ, ekscelencjo. Naturalnie, że zabrałem tylko połowę. Wszak drugą Bresson ukrył. Potwierdzili to Indianie, z którymi mi rozmawiałem osobiście – odparł sekretarz stanowczo.

– Pamiętasz ich, Louis? Wiesz może, z jakiego byli plemienia?

– Tak, oczywiście, to... dwaj Montagnais. Jeden nosił przydomek, zdaje się. Dziurawy Mokasyn, a drugi – Krzywy Ząb.

– Dobrze, że to pamiętasz. Jak tylko wrócimy do pałacu, napiszesz krótkie oświadczenie, które zostawimy w aktach.

– Ale po co? Szkoda czasu, ekscelencjo. Wystarczy, że powie pan o tym de Beaumontowi. On ma czas i może sporządzić stosowną notatkę.

– Racja. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Tak załatwimy. A te rachunki? Czy jest tam coś nie w porządku? Czy czegoś może nie podpisałem?

– Skądże. Wszystko jest tak, jak trzeba. Sam sprawdzałem jeszcze przed podróżą do Trois Rivières. Wasza ekscelencja nie ma potrzeby martwić się o to. A jeśli jest coś, czego mogłem nie zauważyć, to przecież odpowiedzialność za prawidłowość zapisu w księgach ponosi skarbnik, pan Adroit.

Gubernator raz jeszcze wytarł twarz i spocone ręce.

– Jasne. Zdejmujesz mi ciężar z serca. Nie dlatego, bym miał sobie coś do wyrzucenia, ale widzisz, nie chciałbym, by Ktoś mówił, że zaniedbałem swoje obowiązki. Już raz, jak wiesz, były podobne kłopoty z Radissonem. Teraz trzeba byłoby tłumaczyć się z powodu futer Bressona. No, a gdyby jeszcze okazało się, że coś pokrecono w wydatkach, ci tam na dworze mogliby nękać mnie niepotrzebnie. A ja chcę sobie trochę pożyć w spokoju. Tego, co mam, wystarczy i dla ciebie, a po mojej śmierci jeszcze dla twoich dzieci. Jedźmy, Louis, po Rufer. Wart jest nie mniej niż futra Bressona.

– Pańskie futra – poprawił Chamfort.

– Tak. Masz rację. Moje futra. A więc do pałacu, na statek i w drogę. Przed zachodem słońca Quebec pozostanie już tylko mgłą w naszej pamięci. A swoją drogą ciekaw jestem, co Charkot przygotował na obiad?

Chamfort wychylił się przez drzwiczki powozu i krzyknął:

– Żywo, do pałacu!

Przed wejściem do gabinetu adiutant wyprężył się słuźbiście, lecz zaledwie zdołał wyjąkać:

– Panie gubernatorze...

Gdy Chamfort przerwał mu w pół zdania:

– Nie przeszkadzajcie, poruczniku.

Oficer zamilkł. Otworzył z ukłonem drzwi i zamknął je cicho za wchodzącymi.

Wewnątrz, przy szeroko otwartym oknie, stało trzech mężczyzn prowadzących ożywioną rozmowę.

Pierwszy z nich, wysoki, szczupły, o przystojnej, energicznej twarzy o ostrych rysach i przenikliwym spojrzeniu jasnoniebieskich oczu, był mężem w kwiecie wieku. Mimo tu i ówdzie srebrzących się nitek w jasnych włosach nie mógł liczyć więcej niż około pięćdziesięciu lat. Odziany był w długi, sięgający kolan jasny kaftan i takie same spodnie. Na

nogach miał długie buty z cholewami z jasno wyprawionej świńskiej skóry.

Przeciwnieństwo jego stanowił drugi z mężczyzn. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia kilka lat. Równie wysoki, szczupły, przybrany w ciemny, wyszczuplający jeszcze figurę strój, posiadał naturalny wdzięk i urok młodości. I młodość ta promieniowała przede wszystkim z żywej, inteligentnej twarzy, pokrytej ciemnym zarostem i okolonej gęstwą wijących się, opadających na ramiona, czarnych włosów. Spod ostro zarysowanych ciemnych brwi spoglądały bystro piwne, głęboko osadzone oczy. Ruchy młodzieńca cechował naturalny wdzięk.

Trzecim z mężczyzn był kapitan de Beaumont.

Na widok przebywających we wnętrzu gubernator poczuł jak ponownie ogarnia go niepohamowana wściekłość - ślad niedawnej jeszcze rozmowy z księdzem Lavalem. Toteż ignorując zupełnie obecność niezapowiedzianych gości zwrócił się ostro do swego oficera:

– Kapitanie de Beaumont. Polecilem panu nie wpuszczać tu nikogo obcego. Proszę kazać opuścić panom natychmiast tę komnatę.

De Beaumont sprężył się wewnętrznie, jednakże widząc nieco kpiące spojrzenie starszego z obecnych gości, przewyciężył ogarniające go zdenerwowanie i zachowując ton pełen godności powiedział:

– Ekscelencjo, pozwoli pan... – tu przerwał, gdyż w oczach gubernatora pojawiły się niebezpieczne błyski, a na twarz wypłynął krwisty rumieniec – nieomylny znak zbliżającego się ataku wściekłości, którego tyle razy był świadkiem.

– Na nic nie będę pozwalał, de Beaumont! – gubernator zapiszczał. – Każ tym panom wyjść! Natych... – urwał w pół słowa, gdyż starszy z dwu mężczyzn powiedział stanowczo:

– Proszę się uspokoić, gubernatorze, i nie czynić z siebie widowiska. Zaraz panu wszystko wyjaśnię. Panie de Beaumont, jest pan wolny.

Oficer chyłkiem wymknął się przez drzwi, jego zaś niespodziewany obrońca strzepnął niedbale z rękawa jakiś niewidzialny pyłek i dodał:

– Wolalem, by gubernator nie zapominał się przy swoim oficerze. De Beaumont wpuścił nas tutaj, bo miał taki obowiązek. Nie uchybił więc w niczym oficerskiej powinności. Pozwoli pan, że się przedstawimy: hrabia Louis de Frontenac – pański następca, a to mój osobisty sekretarz, baron François de Gravenchon. Zjawiliśmy się tu w czasie pańskiej nieobecności. W czasie, gdy pan składał już wizyty pożegnalne, gubernatorze. Pański oficer wypełnił więc tylko we właściwy sposób obowiązki gospodarza domu, gospodarza, któremu przecież przekazał pan już całą władzę.

Gubernator milczał, ogłuszony niespodziewaną wieścią. Zdołał wyjąkać tylko:

– Hrabia de Frontenac...

– Tak. Czy to pana dziwi? Król uprzedził pana o moim przybyciu. Jak wiem, wiadomość dotarła tu. Wiem, że się pan podobno bardzo spieszy. Nie będę więc pana długo zatrzymywał. Jedynie tyle, ile potrzeba, by wasza ekscelencja zdażył mi przekazać obowiązki swego urzędu i udzielił kilku wyjaśnień w sprawach co do których, jako człowiek nowy, mogę mieć różne wątpliwości.

– Wątpliwości...?

– Tak. To chyba naturalne. Kraj znam jedynie z pańskich sprawozdań i relacji pańskich poprzedników. O wielu sprawach nie wiem. Zresztą jego królewska mość liczy na to, że zechce mi pan udzielić niezbędnej pomocy w czasie pierwszego okresu urzędowania. Ale może zechciałby pan najpierw przedstawić nam swego młodego towarzysza. Nie mamy bowiem przyjemności znać go jeszcze osobiście.

Gubernator przełknął ślinę. Rzeczywiście zachowywał się karygodnie, ale tamci zaskoczyli go tak, że stracił wszelkie poczucie rozsądku. Opanował wzburzone nerwy i dziwne drżenie łydek.

– Ależ oczywiście, hrabio. Proszę o wybaczenie”. Panowie pozwolą. Pan Louis Chamfort

– mój osobisty sekretarz *i* prawa ręka. – Panowie wymienili ceremonialne ukłony.

– Proszę, panie hrabio, może zechcecie panowie zająć miejsca. Louis, to jest – poprawił się pan Chamfort zarządzi, by podano coś orzeźwiającego.

– O, proszę się nie trudzić. Nie jesteśmy spragnieni. François – Frontenac zwrócił się do swego sekretarza – zabierz pana Chamforta i rozejrzyj się przy jego pomocy w tym, co może nas interesować. Ja tymczasem zajmę trochę czasu panu gubernatorowi.

Gdy obaj młodzi ludzie wyszli, z chwilą zadumy popatrzył na dotychczasowego gospodarza Château St. Louis i spytał:

– Jak to się stało, gubernatorze, że już dzisiaj zamierzał pan opuścić Quebec? Gospodarz ponownie poczuł się nieswojo.

– Właściwie”. Niezupełnie. Ponieważ pańskiego przybycia, hrabio, spodziewaliśmy się lada dzień, postanowiłem jedynie usunąć się z pałacu nieco wcześniej, by nie krępować pana. Chcieliśmy poczekać już na statku.

– Rozumiem – Frontenac oświadczenie gospodarza zdawał się przyjmować za dobrą monetę. – To uprzejmie z pańskiej strony. Nie będę pana rzeczywiście zatrzymywał długo. Pozwoli pan tylko na kilka pytań, gubernatorze. Z góry proszę o wybaczenie. Ponieważ jestem żołnierzem, interesują mnie przede wszystkim sprawy wojskowe.

– Proszę pytać, panie hrabio.

– A więc czy może mi pan powiedzieć, ilu oficerów i żołnierzy znajduje się tu na miejscu w garnizonie?

– Nnoo... Nie powiem panu dokładnie, ale około trzystu.

– A w tym oficerów?

– Dwunastu.

– To całkiem pokaźna siła. A jak liczny jest garnizon w Trois Rivières i Montrealu.

– Nnie wiem. To znaczy, po kilkudziesięciu ludzi każdy.

– A kto wie dokładnie? – spytał Frontenac ze zdziwieniem.

– Może pan Chamfort lub któryś z tutejszych oficerów.

– Rozumiem”. Czy na terenie Nowej Francji, prócz tych, które pan wymienił, istnieją jeszcze jakieś inne posterunki wojskowe?

– Chyba nie. Nie słyszałem w każdym razie o takich.

Frontenac po raz drugi uniósł ze zdziwieniem brwi, nie skomentował jednak odpowiedzi, z której wynikało, że dotychczasowy dowódca wojskowy nie wie nawet, czy w tym rozległym kraju ma gdzieś jakieś obronne punkty. Dla upewnienia się jednak spytał:

– W jaki sposób ekscelencja chroni handlowe szlaki komunikacyjne?

– Panie hrabio, urząd wojskowego gubernatora to nie instytucja obronna dla kupców. Jeśli ktoś chce handlować, to musi sam się bronić. Wojsko nie jest od takich spraw.

– Ale gubernator w imieniu króla wydaje przecież licencje i pobiera spory podatek, najczęściej właśnie w postaci futer. Podatek ten odprowadza do królewskiej szkatuły. Powinno mu więc zależeć, by podatek nie był przechwytywany przez wrogów. Kupcy, jestem o tym przekonany, winni znajdować się pod taką samą ochroną, jak wszyscy inni, którzy działają na rzecz korony i pomnażają jej bogactwa. Nie sądzi pan?

– Nie zastanawiałem się nad tym. Król powierzył mi obowiązek obrony Nowej Francji i wypełniłem go. Obowiązek ten przekazuję teraz panu, panie Frontenac.

– Przyjmę go oczywiście chętnie. Ale niestety muszę wiedzieć, co przyjmuję. Pozwoli pan w związku z tym na jeszcze kilka pytań.

– Niech pan je stawia, hrabio. Chętnie odpowiem.

– A więc tak. O ile wiem, od czasów pana Samuela de Champlaina Nowa Francja ma trochę wrogów od południa. Przede wszystkim Anglicy z Albany, Bostonu i Płymouth i ich przyjaciele Irokezi, którzy po odejściu Champlaina zniszczyli wszystkich naszych hurońskich i innych sojuszników. Od paru lat, a ściślej od przybycia regimentu Carignan-Salières, który

przetrzepał Mohawków, panuje tu w sensie wojskowym względny spokój. Słyszałam jednak, że nasi południowi sąsiedzi – właśnie Irokezi – niepokoją nadal przyjaźnie wobec Francji nastawione plemiona północne i zachodnie, no i naszych kupców, i że zaledwie część futer Nowej Francji trafia do Quebecu. Większość właśnie przy pomocy Irokezów przechwytyują Anglicy. Co pan gubernator może o tym powiedzieć?

– Sądzę, panie hrabio, że nasłuchiwał się pan bajek. Anglicy siedzą cicho, a ci pańscy Irokezi niewarci są nawet uwagi. Prawda, od czasu do czasu te dzikusy urządzają jakiś napad na innych dzikusów i zdejmą parę skalpów, ale to i wszystko. A bajki opowiadają ludzie nie znający sytuacji.

– Ciekawy pogląd, panie gubernatorze. Intendent Nowej Francji – pan Talon twierdzi na przykład, że ci pańscy nieszkodliwi Irokezi pozbawiają królewski skarbiec więcej niż połowy dochodów stąd płynących. Twierdzi także, że mimo pozornego spokoju, jaki zachowują wobec osadników francuskich, posiadają nie mniej niż osiemset do tysiąca sztuk broni palnej i gdyby zechcieli, to już dziś z łatwością mogliby opanować Montreal, czy Trois Rivières, a także zagrozić samemu Quebecowi. Nie twierdzą, że mogliby go zdobyć. Wielki intendent nie jest w swych poglądach odosobniony. Podziela je również wikariusz generalny, którego misje długim łańcuchem rozciągają się na zachodnie rejony kraju. Ksiądz Laval ma więc informacje wprost, że się tak wyrażę, z pogranicza, a jezuici, jak wasza ekscelencja wie, są w swych informacjach niesłychanie dokładni. Oni sytuację oceniają jeszcze bardziej poważnie. Nie bardzo więc rozumiem tę różnicę zdań, jaka dzieli trzech najlepiej zorientowanych zwierzchników Nowej Francji.

Gubernator ponownie przełknął ślinę. Wytworny dżentelmen, który przybył tu z Francji, czytywał tam widocznie nie tylko gubernatorskie sprawozdania. I posiadał jakąś wiedzę o kraju, do którego go teraz przysłano. Po chwilowym namyśle odparł jednak, wyraźnie bagatelizując sprawę:

– Niech pan nie wierzy, hrabio, wszystkiemu, co pisze wielbny ojciec Laval i pan intendent. Im zależy wyłącznie na dochodach. Dlatego we wszystkim upatrują ich zagrożenia. My, tu na gubernatorskim urzędzie, takiego zagrożenia nie widzimy.

– Widocznie nie czytuje pan, gubernatorze, przed podpisaniem nawet własnych raportów. Ale nie o to chodzi w tej chwili. Chciałbym tylko przypomnieć, że zagrożenie dochodów to nie mniej poważna sprawa niż bezpośrednie zagrożenie wojskowe. Król, przysyłając tu pana kilka lat temu, nałożył na pana dwa główne obowiązki: strzec bezpieczeństwa kolonii i pomnażać koronne dochody. I jeśli chodzi o ten pierwszy obowiązek, być może pan go wypełnił. W każdym razie dzisiaj jeszcze byt Nowej Francji nie jest zagrożony, jak mi nie mam, bezpośrednio. Natomiast jeśli chodzi o obowiązek drugi, to jego królewska mość ma tu pewne wątpliwości. Otóż od dłuższego czasu już obserwuję, że liczba futer wysyłanych stąd przez misje zakonne do Francji jest wielokrotnie większa niż ta, którą wysyła urząd gubernatora. Zresztą z pańskich właśnie raportów wyczytałem, że kupcy cywilni są ciągle napadani i obrabowywani przez dzikich. Nie chronił ich pan tu dostatecznie, mimo posiadanych środków i sił wojskowych. Nie chronił pan więc skarbcza koronnego, z którego opłacani są pańscy żołnierze. Nie zabezpieczał pan interesów Francji, a tym samym jej bezpieczeństwa.

Gubernator spurpurowiał.

– Nie przed panem będę opowiadał się ze swej działalności. Sprawozdanie i skargę złożę przed królem.

Gość ściągnął brwi, lecz odparł pogodnie, prawie żartobliwie:

– Ależ oczywiście, ekscelencjo. Skargę będzie pan mógł złożyć najjaśniejszemu panu tyle, ile pan zechce. Natomiast sprawozdanie z działalności, zgodnie z królewskim poleceniem, złożę panu mnie. Wyjaśni w nim pan również powody, dla których powierzona mu placówkę chciał pan opuścić wbrew królewskiemu poleceniu jeszcze przed moim przybyciem.

W tym momencie otwały się drzwi i weszli Chamfort i de Gravenchon.

– Cóż tam ciekawego, François? Czy pan Chamfort udzielił ci niezbędnych wyjaśnień i przekazał dokumenty?

– Nie, panie hrabio. Pan Chamfort nie posiada wielu ważnych dokumentów, które winny znajdować się w kancelarii. Musiałem w związku z tym przynajmniej wstępnie porozmawiać z kilkoma osobami.

– I czego się dowiedziałeś?

– Na razie niewiele. Jedynie kilku szczegółów, ale myślę, że istotnych. Otóż zgodnie z naszymi raportami zabranymi z Paryża tutejszy arsenał powinien posiadać około tysiąca trzystu muszkietów. Natomiast według oficera odpowiedzialnego za stan wyposażenia w magazynie znajduje się zaledwie około pięciuset sztuk broni. Nie ma niestety ani jednego muszkietu z tych nowych, które zostały tu przysłane latem ubiegłego roku. Było ich trzysta. Są znaczne niedobory prochu i ołowiu. Pan Chamfort, na którego polecenie wydawano broń z magazynu, nie potrafi wyjaśnić tej różnicy. Sprawa druga to księga licencji na handel futrzany. Powinna zgadzać się z księgami prowadzonymi przez Kompanię Indii Zachodnich i raportami pana Chesnaye’a wysyłanymi do Paryża. Między dokumentami kancelarii gubernatora a dokumentami Kompanii istnieją jednak znaczne rozbieżności. Według raportów Kompanii, zgodnych zresztą z danymi pana Colberta w Paryżu, w ciągu ostatnich pięciu lat w trzech kolejnych edyktach jego królewska mość upoważnił władze kolonii do sprzedaży łącznie pięćdziesięciu pięciu nowych licencji kupieckich. Tymczasem z danych przedstawionych przez pana Adroit’a, skarbnika urzędu gubernatorskiego wynika, że sam ten urząd wystawił około stu licencji. I co ważniejsze, nie uwidoczniło żadnych wpływów pochodzących ze sprzedaży tych licencji. Nie wpłynęły też z tego tytułu żadne opłaty do królewskiego skarbcza. Pan Chamfort nie potrafił mi wyjaśnić tej sprawy. Według zapisów tutejszego skarbnika urząd gubernatorski przyjął poza Kompanią w ciągu ostatnich trzech lat przeszło sto tysięcy futer bobrowych. Do królewskiego skarbcza przekazano zaledwie siedemnaście tysięcy. Tutaj też pan Chamfort nie potrafił wyjaśnić różnicy. I jeszcze jedno. Pan Adroit twierdzi, że w skarbcu powinna znajdować się znaczna suma pieniędzy, głównie na żołd nie wypłacany od kilku miesięcy. Tymczasem skarbiec jest pusty. Oprócz tego jest jeszcze ta drobna sprawa zarekwirowania futer należących do pana Fleury’ego, na co nie ma żadnych zapisów w kancelarii. Ale ponieważ wszyscy zainteresowani są, jak pan hrabia wie, na miejscu, nie będzie kłopotu z jej wyjaśnieniem.

– Rozumiem. Czy nie przeoczyłeś czegoś ważnego?

– Chyba nie, chociaż to tylko pobieżny przegląd wybranych spraw. W ciągu kilku dni przedłożę panu hrabiemu pełne sprawozdanie.

– Jesteś nieoceniony, François. Pan Colbert to nadzwyczaj mądry człowiek. Wiedział, kogo wysłał ze mną tutaj. Zdaje się, że zobowiązał mnie tym do absolutnej wdzięczności.

De Gravenchon uśmiechnął się.

– Och, pan minister był zawsze dla mnie łaskaw.

– Hm... więc myślisz, że uda ci się ustalić potrzebne rzeczy w ciągu kilku dni?

– Tak, panie hrabio. Z całą pewnością.

Frontenac zwrócił się do gospodarza:

– Widzi pan, ekscelencjo, że pański wyjazd z Quebecu do czasu wyjaśnienia tych kilku, mam nadzieję drobnych, spraw jest niemożliwy. Pan i pan Chamfort będziecie musieli pozostać na miejscu przynajmniej jeszcze kilka dni. Myślę, że nie sprawi to panom większej różnicy? Ale a propos, kapitan de Beaumont wspominał, że wróci pan do pałacu po ten oto kufer zawierający podobno tajne dokumenty państwowe. Oczywiście rzeczy o takim znaczeniu – mówił drwiąco – nie mogą pozostawać bez właściwego zabezpieczenia. Toteż na czas dopóki pan nie wyjedzie, muszą pozostać pod należytą ochroną.

François, poproś, by kapitan de Beaumont przyprowadził tu czterech żołnierzy – a kiedy

wezwani zjawili się, wskazał na kufer i powiedział: – Niech pan każe, kapitanie, tę skrzynię zanieść do skarbcza i skarbiec zamknąć. Klucz proszę przekazać panu baronowi de Gravenchonowi. Na straży skarbcza postawić wartę. Proszę też dopilnować, by obecny tu poprzedni gubernator, który przekazał mi władzę, oraz pan Chamfort nie opuszczali pałacu bez mego zezwolenia. Noc spędzę na statku „Saint Antoine” i w razie potrzeby proszę mnie tam szukać.

Chodźmy, François. Pora na obiad. Kapitan Charkot, który okazywał nam tyle serdecznej gościnności w czasie podróży, mógłby poczuć się urażony naszym spóźnieniem. Odbierz tylko klucz do skarbcza od pana de Beaumonta. Ja tymczasem poczekam na zewnątrz.

Ale jeszcze jedno, panie gubernatorze, otóż wikariusz generalny oraz wielki intendent wiedzą o mojej tu obecności od chwili przybycia statku do Quebecu. Złożyłem już zresztą tym panom stosowne wizyty. Do zobaczenia panom.

W niecałe dwa tygodnie później w tym samym gabinecie znajdowało się liczne grono. Za biurkiem oparty wygodnie o rzeźbioną poręcz krzesła siedział hrabia Frontenac. Zwracał się właśnie do Fleury’ego:

– Mówi pan, że królewska licencja wystawiona na nieżyjącego już Louisa Bressona i tytułem spadku przechodząca na jego jedyne go syna, Paula, została bezprawnie zmieniona przez obecnego tu dotychczasowego gubernatora i że w tej nowej licencji zmieniono warunki?

– Tak, panie hrabio? Zmieniono niesprawiedliwie – odparł kupiec.

– Czy ma pan może tę starą licencję, panie Fleury?

– Nie, wasza ekscelencjo. Nie mam jej. Pański poprzednik, wystawiając nową, zatrzymał starą.

– Czy jest ci coś wiadomo na ten temat, François? – Frontenac zwrócił się do swego sekretarza.

– Tak, panie gubernatorze. W aktach znalazłem oryginalną licencję królewską. Nakładała ona na pana Bressona obowiązek składania w urzędzie gubernatorskim rocznych opłat w wysokości piętnastu procent zysku od wartości zakupionych w danym roku futer. Pan Louis Bresson wywiązywał się z tego obowiązku należycie. Potwierdzają to zapisy w księgach pana Adroita. Nowa licencja zmienia bezpodstawnie poprzednią i nakłada na Paula Bressona obowiązek uiszczania nie piętnastu procent zysku, a pięćdziesięciu procent wartości futer. Jej wydanie obraża więc prawa ustanowione przez jego królewską mość i w związku z tym jest nieważna.

– Panie Fleury – pytał nadal nowy gubernator. – Co uczynił pan Bresson, dowiedziawszy się o warunkach nowej licencji? Niech pan opowie obecnym tu wszystko, co pan wie w tej sprawie.

Kupiec wahał się tylko chwilę, po czym nie ukrywając niczego opisał scenę rzekomego włamania do swego magazynu oraz pozornej kradzieży towarów. Nie pominął w opowieści swego osobistego udziału w całej sprawie. Gdy mówił, w jaki sposób musiał zatrzymać owego wieczoru porucznika Gobineau i jego siostrzeńca, wśród zebranych na sali rozległy się przyciszone śmiechy.

– A więc upił pan podstępnie komendanta fortu, panie Fleury?

Kupiec lekko poczerwieniał.

– Wybacz pan, ekscelencjo. Nie upijałem komendanta placówki wojskowej, upiłem człowieka, który przestał być żołnierzem i stał się wobec mnie nadużywającym swej władzy zwykłym szantażystą. Co miałem uczynić w takiej sytuacji? Może dopuścić do tego, by siostrzeniec pana Gobineau zaprzepaścił wyniki wielu lat uczciwej pracy mojej i mego współnika? Nie budził mego zaufania. Towary wolałem powierzyć panu Bressonowi. Zresztą to mój współnik, mogliśmy dysponować własnym dobrem według własnego uznania.



Paul Bresson zabierał więc za obopólną zgodą naszą wspólną własność. Nie popełnił wobec prawa żadnego uchybienia.

– Tak, rozumiem – Frontenac z przyjemnością patrzył w uczciwą twarz kupca i coś na kształt uśmiechu pojawiło się w jego twarzy. – Jak wiem, pański wspólnik wrócił z bardzo dużym ładunkiem futer, prawda?

– Tak!

– No, to jest pan bogaty – mówił, żartobliwie – a pański wspólnik przygotowuje się zapewne do nowej wyprawy?

– Nie, panie gubernatorze. W dniu swego powrotu Paul Bresson został aresztowany przez porucznika Gobineau, a następnego dnia obecny tu pan Chamfort skonfiskował cały ładunek futer i zabrał do Quebecu. Zabrał również jako więźnia mojego wspólnika. Futra, jak wiem, umieścił na „Saint Antoine”, który stoi jeszcze na rzece. Nie wiem natomiast, co się dzieje z panem Bressonem.

Frontenac siłą stłumił cisnący mu się na usta uśmiech i przybrawszy wyraz powagi spytał:

– A więc pan Chamfort zarekwirował wszystkie futra? Ciekawe! François – zwrócił się do swego sekretarza. – Czy sprawę tę zdołałeś już zbadać, tak jak cię prosiłem?

– Tak, ekscelencjo. Pan Fleury mówi prawdę. Chamfort powołując się na licencję i polecenia pańskiego poprzednika dokonał konfiskaty wszystkich futer. Zapomniał oczywiście odnotować to w księgach. Kapitanowi Charkotowi powiedział, że to osobista własność gubernatora. Zresztą pan Charkot złożył w tej sprawie stosowne oświadczenie na piśmie. Pan Paul Bresson przebywa, jak ekscelencja wie-tu zawiesił nieco głos i przyćmił wesołe iskierki w oczach – na „Saint Antoine”. Miałem przyjemność poznać go osobiście już kilka dni temu i porozmawiać z nim parokrotnie.

– Świetnie, François – Frontenac bawił się wyraźnie zdumionymi minami słuchaczy. – A czy rozmawiałeś z moim poprzednikiem lub panem Chamfortem i wyjaśniłeś sprawę tej konfiskaty i aresztowania Bressona?

– Niestety, panie gubernatorze. Obaj panowie twierdzą, że cały ładunek futer zakupili prywatnie u różnych kupców. Jednak inne osoby z Trois Rivières oraz połowa mieszkańców Quebecu potwierdzają słowa pana Fleury’ego. To jego ładunek. Zresztą do akt sprawy dołączyłem osobiste oświadczenia oficerów i żołnierzy, którzy te futra na rozkaz pana Chamforta zabierali z magazynu pana Fleury’ego. Dołączyłem także listy ojców Hennepina i Marquette, które przekazał nam ksiądz Laval, a także oświadczenia panów Joliet i Du Lhuta, którzy w drodze z misji Sault Ste Marie towarzyszyli panu Bressonowi do Trois Rivières i wiedzą dokładnie, jaki wioził ładunek. Nie ulega więc wątpliwości, że to jego futra.

– To dobrze. Mam nadzieję, François, że panu Charkotowi nakazałeś, by tego „cennego więźnia” traktował z należyтым szacunkiem? – przy słowach tych uśmiechnął się już zupełnie wyraźnie.

– Oczywiście, ekscelencjo, zwłaszcza że ten młody człowiek naprawdę zasługuje na szacunek nie tylko z uwagi na to, że zna się na handlu futrami. Ale o tym drugim aspekcie sprawy powinni opowiedzieć panowie Du Lhut i Joliet.

Gubernator spojrzał zachęcająco na uwolnionych kilka dni temu z lochu podróżników. Nie dali się prosić. Obydwaj szczegółowo opisali swą znajomość z Bressonem, jego ostrzeżenie, pomoc, jakiej udzielił misji, oraz rozgromienie bandy Girarda, Seneków i Cayuga.

– Ależ to wspaniały żołnierz! – zawołał z entuzjazmem Frontenac. – Nie mówiłeś mi o tym, François.

– Ale mówiłem, że to nie tylko kupiec. Zresztą sprawę napadu Irokezów pozwoliłem sobie, jak się ekscelencja domyśla, zbadać nieco dokładniej. Jak wynika z listów ojców jezuitów, o czym już wspominałem uprzednio, z wyjaśnień panów Du Lhuta i Joliet, a także pewnych szczegółów sprawy Girarda, braków broni w arsenale, odniosłem wrażenie, że istnieje tu wzajemny związek rzucający szersze światło na zwyczaje panujące do tej pory w

gubernatorskim pałacu. Jeżeli pan hrabia pozwoliłby, podzieliłbym się chętnie swoimi w tej sprawie spostrzeżeniami.

– Mów, François. To bardzo interesujące.

– Otóż, jak wspominałem, zdziwił mnie i zaniepokoił brak znacznej ilości broni w arsenale. Rozmawiałem z wieloma osobami. Wszystkie potwierdzały, że broń wydawano na polecenie Chamforta. Przy czym wydawano ją głównie Indianom przywożącym futra, ale także niektórym pojedynczym kupcom, noszącym tu nazwę „gońców leśnych”. Nie mają oni uprawnień do prowadzenia handlu, ale pojawiają się od czasu do czasu po towary. Najlepszym dla dzikich towarem jest broń palna i rum. Za to można dostać bardzo wiele futer. Otóż właśnie im za futra pan Chamfort wydawał królewską broń. Ale nie tylko im. Spore partie pobierał od czasu do czasu komendant fortu w Trois Rivières. W ubiegłym roku również. I wtedy właśnie otrzymał muszkiety z ostatniego transportu. Zainteresowałem się tym bliżej i pozwoliłem sobie sprawdzić stan wyposażenia jego garnizonu. Niestety, z tej ostatniej-partii nie znalazłem ani jednej sztuki. Gdzieś więc musiały wywędrować dalej, ale już od pana Gobineau. Czas pobrania muszkietów stąd zbiegł się z czasem wyruszenia wyprawy Girarda. Nie chciałem bezpodstawnie posądzać porucznika, więc sprawdziłem, od którego z kupców imię Girard pobierał towary i jakie. Niestety, okazało się, że od nikogo, a jak zeznali naoczni świadkowie, miał aż kilka ciężko załadowanych łodzi. Pytałem porucznika Gobineau, sierżanta Terrestre i kilku innych żołnierzy. Porucznik wreszcie przyznał się, że muszkiety otrzymał od pana Chamforta w celu wymiany ich przez siostrzeńca na futra. Przekazał więc tę broń Girardowi. Nie wie jednak, skąd ten posiadał inne towary. Na szczęście zgłosiło się dwu uczestników wyprawy Girarda, niejaki Rolland i Passy. Obydwaj złożyli oświadczenia, że za wiedzą porucznika Gobineau prócz otrzymanej broni, koców i rumu, cały ładunek Girarda stanowiły worki wypełnione kamieniami, piaskiem i drewnem, które zatopiono już kilka mil za Trois Rivières. Rolland i Passy wyjaśnili też, że celem wyprawy Girarda było zdobycie siłą futer od Paula Bressona i że cała banda, którą poprowadził siostrzeniec porucznika, miała pozbawić Bressona nie tylko futer, ale i głowy. Treść tych oświadczeń potwierdzają listy ojców Hennepina i Marquette.

Według zeznań naocznych świadków, w tym i Paula Bressona, nie ulega wątpliwości, że Girard z własnej woli sprzymierzył się z najgorszymi wrogami Nowej Francji – Irokezami i właśnie im przekazał broń, która wyszła tu, z tego arsenału. Nie ulega też wątpliwości, że o jego zamiarach napadu na Bressona wiedział porucznik Gobineau. Nie udało się jednak ustalić, czy wiedział również, że jego siostrzeniec sprzymierzy się z Irokezami i zorganizują napad na misję. Oczywiście, nie ma na to żadnych dowodów i pewnie ich nie będzie, ale wiele wskazuje na to, przynajmniej pan Chamfort, jeśli nie wiedział nawet dokładnie, to mógł się domyślać, w jaki sposób siostrzenica komendanta fortu z Trois Rivières zamierza handlować, tym bardziej że jeszcze przed wydaniem licencji Girardowi w dział o jego zbójckiej działalności we Francji.

– Nie jest dla nas jasna sprawa tych dwu nieszczęśników Rollanda i Passy’ego, o których wspominał pan, panie Gravenchon – spytał wielki intendent, przysłuchujący się składanym od kilku godzin wyjaśnieniom różnych osób biorących udział w tym spotkaniu. – Czy mógłbyś pan powiedzieć coś o tym bliżej? Wiemy tylko, że zostali schwytani w misji, a następnie uciekli Bressonowi w czasie podróży.

– Oczywiście, panie intendentie. Otóż ojcowie zakonni z misji Sault Ste Marie już po kilku rozmowach z tymi dwoma młodymi jeszcze ludźmi przekonali się, że to ludzie sprowadzeni jedynie przez przypadek na złą drogę i uwikłani przez zbieg okoliczności w przestępczą intrygę. Ponieważ tak Rolland, jak i Passy okazali skrucę i zrozumieli zło, jakie zamierzali wyrządzić i misji, i panu Bressonowi, ojciec Hennepin prosił pana Bressona, by dał im szansę rozpoczęcia uczciwego życia. Paul Bresson dał im taką szansę pozwalając na ucieczkę, ale pod warunkiem, że natychmiast po powrocie do Quebecu zgłoszą się do księdza

Lavala i przedstawia mu uczciwie wszystko. Zgłosili się, panie intendencie. Sądzę, że to z gruntu uczciwi ludzie, a żadnej zbrodni jeszcze nie popełnili. Zostali osadzeni w lochu i czekają na rozprawę. Przyjmą zapewne każdą karę, która pozwoli im jeszcze wrócić do uczciwego życia i wierzą, w co i ja wierzę, że kara ta nie będzie zbyt surowa.

Wielki intendent pokiwał ze zrozumieniem głową. Kto wie czy ojciec Hennepin, Bresson i de Gravenchon nie mieli w tej sprawie racji?

– Panie de Gravenchon – spytał Frontenac. – Czy na to wszystko, o czym mówił pan dzisiaj, ma pan dostateczne dowody?

– Tak, wasza ekscelencjo, a także na to, że pański poprzednik usiłował stąd uciec i zabrać z sobą, nie mówiąc już o futrach, bardzo wiele wartościowych przedmiotów stanowiących wyposażenie pałacu, a ponadto sporą sumę pieniędzy i złota pochodzących najprawdopodobniej z zabronionej prawem działalności. Przedmioty te oraz złoto i gotówkę zabezpieczyłem, jako stanowiące własność korony.

– Dziękuję ci, François. Już od początku naszego pobytu w Nowej Francji spotkało cię tyle pracy. Ale jak widzę, pracy pożytecznej i koniecznej. Ponieważ wiemy już właściwie wszystko, nie będziemy dłużej zatrzymywali dotychczasowego gubernatora i pana Chamforta. Tak jak sobie tego życzyli, odpłyną jeszcze dzisiaj do Francji na statku „Paradise”, który jest gotów do drogi. Oczywiście odpłyną tam pod dobrą opieką kapitana Picota. We Francji staną przed królewskim prokuratorem i wytłumaczą się ze swego postępowania w Nowej Francji. My nie mamy prawa ich sądzić.

W sprawie porucznika Gobineau sąd wojskowy odbędzie się jutro. Jutro także, z udziałem wielkiego intendenta – pana Talona i wikariusza generalnego – księdza Lavala rozpatrzymy sprawę Rollanda i Passy’ego i zdecydujemy, czy staną przed sądem. Sprawę Girarda odłożymy do czasu, aż zostanie ujęty. Zarządzisz, by go ścigano na obszarze całej Nowej Francji. To wszystko. Dziękuję panom, a szczególnie panu intendentowi za jego cierpliwość i uwagę, jaką zechciał poświęcić tej całej przykłej sprawie.

Więźniów należących do króla, proszę odprowadzić, kapitanie de Beaumont, na „Paradise”. Przekaze pan kapitanowi list, który zaraz napiszę, oraz sprawozdanie panamę Gravenchona. Pana Fleury’ego poproszę, by zechciał pozostać jeszcze jakieś pół godziny.

W trzy kwadranse później jego ekscelencja ukończył list, zwinął go w rulon i przyłożył pieczęć. Wstał zza biurka i uśmiechnął się do oczekującego kupca:

– Wprawdzie nie uprzedzałem pana Charkota, ale sądzę, że nie weźmie mi za złe, jeśli zamiast we dwójkę na dzisiejszym uroczystym obiedzie pojawimy się u niego we trzech. Pan rzuci okiem na swój ładunek futer, no i spotka pan swego współnika, z którym ja miałem już przyjemność przegawędzić na statku niejedną godzinę. Co pan o tym sądzi, panie Fleury?

– Ależ ekscelencjo. Nie wiem, jak...

– Ale ja wiem. Zresztą przy obiedzie porozmawiamy. Zgoda?

Kupiec skinął głową.

– No, to możemy iść. François pewno już czeka.

W pół godziny później kupiec nie skrywając swego wzruszenia ścisnął serdecznie Paula, czemu z wyraźną przyjemnością przyglądali się panowie Frontenac i Gravenchon.

Kapitan Charkot nie zdziwił się widokiem pana Fleury’ego ani, jak się okazało, jego obecnością na obiedzie.

W kabinie kapitańskiej czekał przykryty śnieżnobiałym obrusem stół z pięcioma nakryciami. Wytrawny wilk morski musiał znać się na dobrej kuchni, a może miał po prostu dobrego kucharza, bo podawane przez dwu kuchcików potrawy mogły zadowolić nawet najbardziej wybredny gust.

Prócz ostryg, skropionych cytryną, krewetek podanych z rusztu oraz kilku wspaniałych homarów, do których podano delikatne białe wina, na stole pojawiły się wkrótce płyty różowego, wędzonego łososia i, nieco jaśniejsze miękkiego, nie ustępującego mu w smaku

jesiotra, piękne nakrapiane czerwienią pstrągi, przepiórki podlane pikantnym sosem i pardwy, combry zajęcze i polędwica jelenia kunsztownie przyrumieniona na rożnie. Mocne, czerwone wino podane do tych dwu ostatnich potraw wyraźnie ożywiło pogodny zresztą od początku spotkania nastrój

Rozmowy, żarty i śmiechy umilkły na krótko, gdy okrętowy kucharz na ogromnym porcelanowym półmisku wniósł z namaszczeniem pięć bobrowych ogonów pieczonych we własnym sosie.

Frontenac, widząc pierwszy raz w życiu tę nieco dziwnie wyglądającą potrawę, spojrzał niepewnie na gospodarza.

Charkot uśmiechnął się zachęcająco.

– To królewska potrawa, wasza ekscelencjo. Gdyby pan jej nie spróbował, nie wybaczyłby pan sobie tego do końca życia.

– Ale cóż to jest, panie Charkot? Mimo swego kształtu wygląda na rybę.

– Niech ekscelencja spróbuje i oceni.

– No cóż. Mam nadzieję, że jeśli się tym struję, to nie sam Panowie pójdziecie przeciw moim śladom – z niepewną w dalszym ciągu miną nałożył sobie tak zachwalany przez gospodarza smakołyk. Jednak już przy pierwszym kąsie wyraz jego twarzy zmienił się nie do poznania. – Na Boga ależ to delicje! Co za cudowne zwierzę czy też ryba posiada tak wyborny smak? Zdradź tajemnicę, panie Charkot, a wydam nakaz, by przysmak ten podawano jedynie w Wersalu oraz w Chateau St. Louis. Biesiadnicy łącznie z gospodarzem roześmiali się wesoło.

– To rzeczywiście przysmak – powiedział Fleury -z tym że, jak twierdzi Paul, najlepszy wtedy, gdy pieczony jest w dymie obozowego ogniska z dodatkiem specjalnych indiańskich ziół. To ogon bobra, parne hrabio, prawdziwego króla kanadyjskich zwierząt. W tych okolicach już dosyć rzadki, ale na zachodzie i północy żyje go jeszcze nieprzeliczona ilość. To właśnie bogactwo Nowej Francji. Bogactwo, o którego zdobycie walczą wszyscy, poczynawszy od Anglików, a skończywszy na Irokezach. Oczywiście walczą o futra.

– A więc panu Bressonowi zawdzięczamy możliwość skosztowania tak znakomitej potrawy? Paul zaprzeczył z uśmiechem.

– Nie mnie, panie gubernatorze. To moi indiańscy przyjaciele dowiedziawszy się, że wodzem Nowej Francji został sprawiedliwy, wielki wojownik, postanowili sprawić mu przyjemność i dziś z rana przywieźli w podarunku kilka żywych bobrów.

– Mówi pan o tych przyjaciółach, Paul, którzy przyprowadzili pański transport?

– Tak, właśnie o nich. To Węże i Lisy. Należą do największego w Kanadzie plemienia Odżibuej.

– Czy są rzeczywiście tak liczni, jak się o nich opowiada?

– Prócz Cree, chyba najliczniejsi. Jest ich może ze dwadzieścia lub nawet ze trzydzieści tysięcy. I zajmują ogromny obszar kraju. Są jednak bardzo rozproszeni. Najczęściej żyją w grupach od dwustu do pięciuset osób.

– Skąd w takim razie wiadomo, że wszyscy oni to Odżibueje?

Może różne plemiona?

– Nie, panie gubernatorze. To ci sami. Wprawdzie każda z takich grup żyje oddzielnie, ale wszystkie mówią tym samym językiem, mają takie same prawa i zwyczaje i wierzą w te same duchy. No i są do siebie podobni, a poza tym mają jednego wspólnego najwyższego czarownika, który posiada, jak się wydaje, bardzo dużą władzę nad wszystkimi.

Czwórka mężczyzn spojrzała na mówiącego z niekłamanym zaciekawieniem, a pan Fleury nie mniej zaintrygowany od innych spytał.

– Mówisz, Paul, że mają jednego czarownika o dużej władzy? Nigdy jeszcze o tym nie wspominałeś? Mówiłeś, że każda grupa ma własnego.

– To prawda, ale tej wiosny poznałem tego największego. To on kazał Potawatimom,

Ottawom i Missisauga, by mi pomogli. Przy przeprawie przez ścieżkę i w czasie walki w wąwozie wodzowie tych trzech plemion dali mi prócz zwiadowców przeszło pięciuset wojowników. Bez tej pomocy miałbym poważne kłopoty.

De Gravenchon podskoczył na krześle.

– Ależ to wspaniale, Paul. Szaman, który jest władcą wszystkich Odżibuejów. Musi pan o nim opowiedzieć. To coś niespotykanego. Jak go pan poznał? Jak się zaprzyjaźniliście? Jaki on jest? Niech pan mówi.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na z lekka zmieszanym młodzieńcu.

Paul zastanowił się chwilę. Wiedział, że nie może zawieść zaufania, jakim obdarzył go Niedźwiedzi Pazur i ujawnić jego tajemnicy, ale rozumiał też, że kiedy przyznał się, iż poznał człowieka, który tak bardzo mu pomógł, nie może swych słuchaczy zbyć kilkoma słowami. Po chwili wahania zaczął więc swą opowieść:

– Nie jest to, panie Gravenchon, żadna tajemnica. Kupcy, handlujący z Odżibuejami, znają ją od dawna. Wszyscy wiedzą, że każda grupa Indian ma swego czarownika, który nie tylko rozmawia z duchami, ale przede wszystkim zajmuje się leczeniem swych współbraci. W odróżnieniu jednak od innych Indian Odżibueje, prócz swych znanych wszystkim czarowników mają całą organizację różnych lekarzy – taki związek, do którego należą mężczyźni i kobiety. W związku tym wszyscy uczą się sztuki leczenia. Poznają właściwości ziół, sposoby ich przyrządzania, dawki, jakie należy stosować przy różnych chorobach. Uczą się także różnych tajemnych obrzędów. Cała organizacja jest tajna. Znają się tylko ci, którzy do niej należą. Związek nosi nazwę Midewiwin, ale popularnie nazywa się Mede i Obejmuje wszystkie grupy Odżibuejów i Czipewejów, a także południowe grupy plemienia Kenishtenog, czyli Cree, chociaż ci ostatni nazywają się również Muskogean lub Swampy, ale nie wiem, skąd pochodzą te różne nazwy.

Midewiwin, lub Mede, posiada kilka stopni wtajemniczenia. Na najwyższym są ci, którzy zaczynają się uczyć na lekarzy. Na najwyższym jest tylko czterech czarowników o bardzo dużej wiedzy. Na samym szczycie Mede stoi Wielki Szaman. I wszyscy, którzy mają niższe stopnie, są mu posłuszni. Stąd Wielki Szaman wie wszystko, co dzieje się w każdej grupie i przez podległych sobie członków związku może wywierać bardzo duży wpływ na każdą taką odrębną grupę i jej życie. Ma również wielką władzę. Bez jego zgody, a więc bez poparcia członków stowarzyszenia, do którego należą przecież najmądrzejsi i cieszący się największym szacunkiem wśród swoich, nie może być wybrany żaden wódz.

Tak się złożyło, że tej właśnie wiosny spotkałem Wielkiego – Szamana, nie wiedząc wcale, że to właśnie on. Pomogłem jego braciom, a potem pomogłem i jemu. On mi się odwdzieczył zapewniając pomoc w wysłedzeniu bandy Girarda i dwukrotnym pokonaniu Seneków i wojowników Cayuga. To mądry i szlachetny Indianin.

Słuchającemu tej opowieści Gravenchonowi błyszczały oczy.

– Paul, musi pan mnie z nim poznać. Pozyskanie takiego sojusznika to dla jego ekscelencji wielka sprawa, to wielka korzyść dla Nowej Francji.

– Nie wiem, panie Gravenchon, czy to będzie możliwe. Wielki Szaman żyje daleko stąd. Na zachód od jeziora Tracy. To prawie roczna wyprawa. Ale możecie panowie poznać jego współbraci – Lisów i Węży. Są niezbyt daleko od Trois Rivières. Czekają tam na mnie. Byliby szczęśliwi, gdyby na własne oczy mogli ujrzeć samego wielkiego wodza Nowej Francji. Mieliby o czym opowiadać swym braciom. To dla nich wielka sprawa. Nigdy jeszcze podobno od czasów pana Champlaina francuski gubernator nie rozmawiał z Indianami. Do Trois Rivières niedaleko. Dla „SaintAntoine” to najwyżej trzy, cztery dni drogi. Przy dobrym wietrze nawet mniej.

Frontenac spod zmrużonych powiek spojrzał kpiąco na swego sekretarza.

– Co o tym myślisz, François? Zdaje się, że pan Bresson proponuje nam interesujący sposób poznania tego kraju?

– Chyba najlepszy, wasza ekscelencjo. Moglibyśmy załatwić dwie sprawy. Obsadzić właściwie tamtejszy garnizon. No, bo miejsce komendanta fortu jest już praktycznie wolne. A poza tym poznać prawdziwych mieszkańców tego kraju. Zdaje się, że tylko w Chateau St. Louis mieszkańcy chadzają w brokatach, jedwabiach i paryskich czółenkach. Nie dowiemy się od nich wiele. Zobaczyć i dowiedzieć się będziemy mogli tam. Champlain ze swych podróży po kraju dostarczył o nim więcej wiedzy niż następnych kilku gubernatorów razem wziętych. Myślę, ekscelencjo, że warto właśnie z niego wziąć przykład.

– A pan, jak na to patrzy, Fleury? – gubernator był wyraźnie ubawiony zapalem swego sekretarza.

– Sądzę, wasza ekscelencjo, że to bardzo dobry pomysł. Gubernator pokiwał głową.

– Zdaje się, że przekonaliście mnie panowie i jeśli pan Charkot nie widziałby zbyt wielkich trudności, to „Saint Antoine”, jak się wydaje, byłby nie najgorszym środkiem podróży. Jest tylko drobny kłopot. Jeśli Paul zamierza rzeczywiście pokazać nam te dwie setki swoich prywatnych wojowników, nie wypada, by gubernator pojawiał się wśród nich z pustymi rękoma. Poradźcie, panowie, jako znający Indian, czym można im sprawić przyjemność?

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie. Frontenac patrzył na swych współbiesiadników z coraz większym zdziwieniem.

– Co u licha? Nie wiecie panowie, co należy zabrać dla dzikich?

De Gravenchon popatrzył na lekko zmieszane twarze i powiedział z uśmiechem:

– Wasza ekscelencjo. Panowie nie mogą odpowiedzieć na to pytanie. W Nowej Francji, jak się zorientowałem, istnieją pewne zakazy.

– Jakże znowu zakazy?

– Indianom nie wolno ani dawać, ani sprzedawać rumu. A właśnie parę baryłek byłoby, jak sądzę, najlepszym dla nich prezentem. Prawda, panie Bresson?

– Tak, panie sekretarzu.

– No więc w czym problem, François?

– Tu nikt rumu oficjalnie nie posiada, wasza ekscelencjo.

– A nieoficjalnie? Na ten raz uchylam zakaz. Czy istnieje możliwość kupienia gdzieś tych kilku baryłek?

Paul wymienił z Charkotem porozumiewawcze spojrzenie i powiedział spokojnie:

– Jeśli wasza ekscelencja uchyla ten zakaz, to we właściwym czasie rum znajdzie się. – Chwilę jeszcze trwało krępujące milczenie, aż nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Niech was kule biją! – zakrzyknął Frontenac. – A swoją drogą, Paul, niech pan powie, jaki związek ma rum z handlem? Bo mówiono mi na ten temat różne rzeczy. Ale żądam uczciwej odpowiedzi.

Młodzieniec spojrział poważnie na pytającego i powiedział z przekonaniem:

– Rum dla Indian nie jest rzeczą dobrą, szczególnie wtedy, gdy jest go za dużo i gdy staje się jedynym artykułem wymiany na futra, ale bez rumu nie ma i nie będzie futer, wasza ekscelencjo. Bez zniesienia tego zakazu, którego zresztą nikt nie przestrzega, nie będzie handlu, a Indianie będą wymieniać swe futra u Anglików...

## ROZDZIAŁ XIX

### Zemsta Seneki

Chásekah-Nébowin, jak przystało na doświadczonego wojownika, był ostrożny i chytry, dołączył więc do tego oddziału Seneków, który miał zamknąć ścieżkę po wkroczeniu na nią Shemágonisha. Shemágonish jednak zwlekał. Mimo że cały transport wyruszył już dawno, on i jego wojownicy w dalszym ciągu pilnowali przejścia. Początkowo Chásekah-Nébowin nie rozumiał tego. Potem zaczął się domyślać prawdy. Biały wiedział zapewne o pułapce, w jaką chciał go wciągnąć Sattayentack. A jeżeli wiedział, to nie bez powodu w tę pułapkę wchodził sam. Musiał znać z niej wyjście. I musiał wiedzieć, jak wciągnąć w nią swych wrogów. Pokonał ich raz w czasie ataku na misję. Zamierzał to uczynić po raz drugi. Był bardzo niebezpieczny i pojawiał się tam, gdzie go nie oczekiwano.

Zrozumiałwszy to Nagła Śmierć powziął szczęśliwą dla siebie myśl. Zamiast pilnować owego popołudnia zalegającego pod osłoną drzew i głązów oddziału Shemágonisha, postanowił cofnąć się, by sprawdzić, czy z tej strony Senekom nie zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Przekonał się o tym wkrótce. Z tyłu niczym stado wilków otaczało ich wielu wojowników Missisauga uzbrojonych w grzmiące kije. To właśnie oni mieli ostatecznie zamknąć z tej strony ścieżkę i zamierzających wkroczyć na nią Seneków.

Nie próbował prześlizgnąć się przez krąg wrogów. Wiedział, że to niemożliwe. Wycofał się do swoich i myślał długo. Nie widział żadnych szans na to, by ostrzec Sattayentacka, gdyż wrogowie czaili się wszędzie. Nie mógł też uratować Seneków, wśród których sam się znajdował. Jedyne, co mu pozostało, to pozwolić, by jego oddział i podążający za nim z tyłu Missisauga weszli na ścieżkę. Tak, jego oddział, ale nie on. On musiał pozostać przed ścieżką.

Znalazł dobrą kryjówkę w dużej kępie dzikiej róży i chociaż jej ostre kolce dotkliwie raniły jego ciało, uznał ją za dobre schronienie. Wrogowie nie mieli powodu podejrzewać, że od całego oddziału Seneków odłączył się jeden wojownik i pozostał właśnie tu. Zresztą na pewno obawiali się kolców róży.

I nie, pomylił się. Widział odejście wojowników Shemagonisba. Widział, jak na wąską, skalną półkę wkraczają jego bracia, a w jakiś czas za nimi Missisauga. Przechodzili jak duchy, często o dwa, trzy kroki zaledwie od krzaka, pod którym się przyczaił.

Począł, aż zapadnie ciemność, i pod jej osłoną przemknął nad rzekę, gdzie odszukał ukryte, obciążone kamieniami i zatopione blisko brzegu kanu. Ze spróchniałego pnia starej wierzby wyciągnął nieprzemakalny, ciężki worek i wiosła i popłynął na zachód. Dopiero rankiem przy świetle dnia powyjmował tkwiące głęboko w skórze kolce róży, a następnie starannie zmył pokrywające jego ciało wojenne barwy Seneków. Wiedział, że nie będą mu nigdy więcej potrzebne. Nie miał po co wracać do ich wioski. Seneka już go nie obchodzili. Wprawdzie myślał, że przy ich pomocy zdoła wyrzucić zemstę na Shemágonishu, ale ten był chytry i niebezpieczny jak węż. Zemsty na nim Chásekah-Nébowin postanowił dokonać trochę później. Nie musiał się jednak spieszyć. Miał do wykonania inne zadanie i musiał je wykonać, zanim wróci do swej wioski mężczyźni Seseganagi, ci, których miał z sobą teraz Shemágonish. Ale ponieważ w wiosce nie mogli pojawić się wcześniej niż późną jesienią,

miał czas na wszystko.

Najbliższe dwa dni wykorzystał na uwolnienie Girarda i tych białych, którzy dostali się do niewoli Shemágonisha. Nie oszukali go, nie chciał więc pozostawić ich własnemu losowi. Mogli mu się jeszcze kiedyś przydać. Potem powędrował własnym szlakiem na zachód.

Po upływie wielu dni dotarł w pobliże letniego obozu Wahgooshug. Żył pośród nich poprzednio tak długo, że poznał dokładnie ich codzienne zajęcia i zwyczaje. Znał ścieżki, jakimi mężczyźni chodzili zwykle na łowy, i miejsca gdzie kobiety i dziewczęta łowiły ryby i zbierały jagody. Nie obawiał się więc, że mu się nie powiedzie.

Darnis porwał bez żadnych trudności tuż przed wieczorem, gdy wracała właśnie z połowu ryb. Próbowала się bronić, ale był od niej znacznie silniejszy i szybko zaniósł ją do swego kanu. Tam, związana, zbił krótkim rzemiennym batem, spoczywającym do owego momentu bezużytecznie w worku. Ale nie bił zbyt silnie. Nie chciał jej skrzywdzić. Chciał jedynie, by zrozumiała, że jest jego własnością i że może z nią zrobić to, co tylko zechce.

Bił ją potem codziennie przez wiele, wiele dni podróży. Na noc wiązał silnie. Rankiem uwalniał ręce, by mogła wiosłować.

Wprawdzie kanu było lekkie i szybko ślizgało się po wodzie, ale teraz on mógł częściej odpoczywać. Ona była młoda i silna. Powinna szybko nauczyć się pracować dla niego.

Nie rozmawiał z nią od chwili porwania. Czekał, aż odezwie się pierwsza, aż sama poprosi, by pozwolił jej rozpaść jego wieczorne ognisko. Dziewczyna jednak była krnąbrna. Kiedy zwykle przed zachodem słońca z woreczka wiszącego u pasa wyjmował krzesiwo i podsuwał w jej kierunku, z uporem spuszczała powieki lub odwracała głowę.

Rozumiał. Brał wtedy rzemień i bił ją, bił po rękach, nogach, po odkrytych plecach i patrzył na twarz. Ale twarz dziewczyny, mimo bólu, jaki musiały jej sprawiać uderzenia ostrym rzemieniem, chociaż niekiedy kurczyła się, pozostawała ciągle odpychająca i nieprzejednana. Z wielkich, czarnych oczu nie stoczyła się najmniejsza łza. Tchnęły z nich pogarda i nienawiść.

Nie przejmował się jednak tym. Darnis nie znała go jeszcze, nie wiedziała, jak wielkim był wojownikiem. Nie wiedziała nic o jego dzielności i chytrłości. Nie widziała skalpów u jego pasa i nigdy nie była świadkiem walki, jaką stoczył. Mógł więc poczekać, aż to wszystko zobaczy. A wtedy przyczołga się do jego stóp i, z radością zechce rozpaść ognisko.

Na razie rozpałał sam i pożywał się w milczeniu. Jej rzucał tylko kości, czasem jakieś twarde resztki. Chwytała je, związanymi rękoma i ogryzała wszystko dokładnie. Młodymi, ostrymi zębami rozgryzała każdą najmniejszą chrząstkę, zdejmowała każdy kawałek żyłki, a jeśli była to kość ze szpikiem, rozłupywała ją pierwszym z brzegu kamieniem. Szpik wysysała.

Gdy była bardzo głodna, a zdarzało się to coraz częściej, ogryzała korę z młodych pędów wikliny. Żuła kłaczka traw. Nie przeszkadzał jej w tym. Nie chciał, by zupełnie straciła siły. Musiała przecież wiosłować, a nie miał zamiaru jej karmić.

Pościgu nie obawiał się. Nawet jeśli szukano dziewczyny, dawno zgubiono jej ślad. Płynęli ciągle na wschód, a potem wzdłuż Ottawy bardziej na południe.

Siedząc teraz wygodnie w tylnej części kanu, z leniwym spokojem myślał o minionych wydarzeniach i przebytej od tamtego czasu drodze. Nie miał wyrzutów sumienia. Nie trapiły go złe sny. Po swej ścieżce zemsty i wojny kroczył według własnej woli, a jego opiekuńczy duch strzegł go dotąd niezawodnie i pewnie kierował jego stopami. Nie zawiódł go nigdy, a teraz prowadził wytkniętą ścieżką pewnie do ostatniego celu. A celem tym była zemsta, zwycięstwo nad najbardziej znenawidzonym wrogiem, wrogiem, który był przyczyną tego, że Chásekah-Nébowin musiał przed taty opuścić swą wioskę, że musiał wtedy przeżyć największą dla wojownika hańbę – wypędzenie przez współbraci, które skazało go na długie lata życia wśród wrogów. Wrogom odpłacił również. Zabił rywala i porwał najpiękniejszą dziewczynę, która już wkrótce dzielić będzie jego ognisko. Ale nim to nastąpi, zemsta Seneki



dosięgnię tego najgorszego wroga, na którego Darnis patrzyła kilkakrotnie, patrzyła wzrokiem nie takim, jak na innych mężczyzn. Gdy wróg ten straci skalp, na jego zwycięzcę będzie patrzeć wzrokiem takim, jak każda squaw patrzy na swego mężczyznę.

Uśmiechnął się do własnych myśli i spojrzał na wiosłującą dziewczynę. Ciekaw był, o czym myśli? Leniła się tylko początkowo, zaprzatając sobie zapewne głowę różnymi głupstwami, ale gdy raz i drugi ostry rzemień przywołał ją do rzeczywistości, pracowała pilniej.

Odwrócił od niej wzrok i przez chwilę patrzył na rzemień. Nie, dziś smagnął ją nim już parę razy. Do tej pory na barkach dziewczyny widniały czerwone pręgi. Przy żadnym z tych uderzeń nawet nie drgnęła. Przywykła pewnie i przestała reagować na ból. A to było niedobre. Musiał w biciu zrobić jakąś dłuższą przerwę. Sięgnął po wiosło i kanu pomknęło nieco szybciej.

Dziewczyna odczuła ulgę. Zniknęło napięcie, jakie od dłuższego już czasu ścisnęło jej wszystkie mięśnie. Prześladowca tym razem widać zrezygnował z użycia bata. Nie obawiała się co prawda samych uderzeń, gdyż poza krótkotrwałym bólem nie czyniły jej większej krzywdy. Obawiała się jedynie każdorazowo tych chwil, które poprzedzały zwykłe użycie bata. Wyczuwała je instynktem. Uświadamiała sobie ich nadejście, gdy siedzący z tyłu odkładał wiosło, i kureczyła wtedy w sobie, mocno zaciskając zęby. Za nic nie chciała dać poznać, że się boi. Wieczorami, mimo że bił ją mocniej, nie przeżywała tego tak bardzo. Widziała, kiedy sięgał po rzemień. Patrzyła na swego prześladowcę. Nie mógł jej wtedy zaskoczyć. Nie bała się więc. Nienawiść płonąca w sercu kołała ból, pozwalała znosić szarpający wnętrzości głód, pokonywać coraz bardziej uciążliwe zmęczenie i pogłębiającą się z każdym dniem słabość z głodu.

Oczywiście wiedziała, dlaczego ją porwał. Każdy ważący się na to wojownik, jeśli porywał dziewczynę, to jedynie po to, by posadzić ją przy swym ognisku. Dokonywał takiego czynu, gdy był pewien, że dziewczyna mu sprzyja. Chásekah-Nébowin nie mógł jednak liczyć na jej przychyłność. Wiedział, że nie chciała przyjąć jego prezentów, jakie zamierzał złożyć przed wigwamem Seseganagi.

Początkowo, gdy uprowadził ją z wioski, łudziła się, że doścignie ich pogoń współbraci, łudziła się też, że porywacz będzie obchodził się z nią dobrze, by pozyskać jej sympatię, by przeprosić za karygodny, zuchwały czyn. Ale gdy już tego samego wieczoru zbił ją tym swoim okropnym rzemieniem, a potem spętał, jak drapieżne zwierzę, opadły z niej złudzenia. Późniejsze, codzienne tortury, jakie musiała znosić, przekonały ją szybko, że ten, którego jeszcze do niedawna wszyscy traktowali jak brata, różnił się od nich. Bił znacznie słabszą przecież od niego, związaną, bezbronną dziewczynę. Bił z zadowoleniem, jakie za każdym razem widziała w jego twarzy i oczach. I widziała, że właśnie samo bicie sprawia mu przyjemność. Siłą i głodem pragnął zmusić ją do uległości i posłuszeństwa. Nie był taki, jak inni. Był okrutny.

Kiedy minęło wiele dni i nie nadeszła pomoc, poczęła tracić nadzieję. Prześladowca uwoził ją gdzieś w odległe strony. I chociaż nie mówił dokąd, wiedziała, że na wschód. O ucieczce nie mogła nawet marzyć. Wprawdzie w ciągu dnia, gdy musiała wiosłować, rozwiązywał jej ręce, ale nogi związane miała nawet wtedy, gdy znajdowali się w kanu. Wieczorami więzy zaciskał aż do bólu. Zupełnie niepotrzebnie. I tak nie mogła się od nich uwolnić. Gdy czasami chociaż na chwilę musiała oddalić się od niego, mogła się tylko czołgać.

W miarę oddalania się od rodzinnej wioski w sercu dziewczyny rosło zwątpienie, ale jednocześnie głucha, coraz straszniejsza nienawiść. Chociaż dzisiaj była jeszcze tylko jeńcem, nędzną branką, wiedziała, że kiedyś nadejdzie taka chwila, gdy prześladowca zdejmie z niej więzy, kiedy będzie musiał uwolnić ją. Wtedy zobaczy, na co stać słabą dziewczynę. Odpłaci mu. A może jeśli ona umrze wcześniej, odpłaci mu ktoś inny, ktoś, kto nie bał się ani

niedźwiedzia, ani stada głodnych wilków. Jak strasznie chciałyby doczekać takiej chwili.

W piersi poczęło coś narastać niepokojąco, bolesny skurcz ścisnął gardło, pod powiekami zapiekły łzy. A może jednak przyjdzie ratunek? Ostre smagnięcie biczem przywołało ją do przytomności. Chásekah-Nébowin jeszcze przez chwilę patrzył na kolejny różowiejący ślad na plecach dziewczyny i wolno skierował kanu do brzegu.

Od Trois Rivières byli nie dalej niż o dzień drogi. Nie mógł zbliżyć się bardziej. Zresztą właśnie niezbyt daleko od miejsca, w którym znajdował się obecnie, była dobra kryjówka, z której korzystał podczas ostatniego tu swojego pobytu. Mógł w niej zupełnie bezpiecznie umieścić dziewczynę do czasu, aż dokona swej zemsty. Potem zginie po nich wszelki ślad w niezbadanych głębinach wielkiej puszczy.

Zręcznie wprowadził kanu pod splątane gałęzie zwisające nad wodą i stanął na wystającym z dna rzeki kamieniu. Ostrożnie rozgarnął gąszcz listowia i odsłonił niewielki otwór widniejący w nadbrzeżnej skale. Popatrzył na Darnis i uświadomiwszy sobie, że ze związanymi nogami dziewczyna na nie wydobędzie się na brzeg, wziął ją na ręce i wyniósł z łódki. Stanął ponownie na kamieniu i związaną dziewczynę przeniósł przez otwór, który, jak się okazało, stanowił wejście do dosyć obszernej, widnej nadrzecznej pieczary.

Złożywszy brankę w najdalszym kącie schronienia, wrócił na zewnątrz i przeniósł worek i broń. Kanu ukrył tak, że ani od strony rzeki, ani z ładu nie mogłoby go dostrzec najbardziej nawet bystre oko. Następnie wrócił do pieczary, wyciągnął z worka kawał szmaty, owinał usta swej branki, związał z tyłu ręce i sprawdził rzemienie na nogach. Teraz był pewien, że nie tylko nie ucieknie, ale także nie będzie mogła krzyczeć, w razie gdyby ktoś obcy pojawił się w pobliżu. Sam zabrał łuk i kilka strzał, a następnie zniknął na zewnątrz.

Było jeszcze wcześniej, a on od paru dni nie miał świeżego mięsa. Z ubiegłorocznego pobytu pamiętał, że niezbyt daleko rozciągał się szeroki pas wrzosowisk i oczeretów, skrajem którego biegł gęsty modrzewiowy las będący siedliskiem jelenia i łosia. Wprawdzie w razie spotkania któregośkolwiek z tych zwierząt znacznie pewniejsza byłaby strzelba, ale Chásekah-Nébowin był ostrożny i mądry. Wiedział, że świst strzały dotrze najwyżej do uszu zwierzęcia, natomiast głos strzelby niósł daleko i mogło go słyszeć bardzo wielu. Nie, strzelba stanowczo nie wchodziła w rachubę. Musiał wystarczyć łuk.

Do wieczora miał jeszcze sporo czasu. Nie musiał się spieszyć. Wybrał odpowiednią strzałę, nałożył ją na cięciwę i popatrzył uważnie na korony drzew. Wiatr ciągnął ze wschodu i myśliwy zdecydowanie podążył w tym kierunku. Polowanie z wiatrem nigdy nie dawało żadnych wyników. Zwierzęta miały czułe uszy i dobry węch. Najślabszą woń człowieka wyczuwały na odległość wielu lotów strzały, a najłżejszy niesiony wiatrem szmer, na kilkaset kroków. I nie czekały. Uchodziły spieszenie, zaszywając się w największym gąszczu. Jedyną możliwość podczas dnia dawało szukanie zwierzyny pod wiatr.

Nagła Śmierć oddalił się nieco od rzeki, przeciął parę skupisk klonowych i topolowych drzew i wyszedł na skraju modrzewi. Po lewej stronie miał wrzosowisko i oczerety; po prawej, biegnący falistą linią gęsty pas tamracku<sup>89</sup>. Między kępami wrzosowisk w niewielkich wgłębieniach połyskiwały małe lusterka wody – miejsca, do których nad wieczorem musiały wychodzić zwierzęta, aby ugasić pragnienie.

Rozglądając się uważnie i czujnie nasłuchując przemknął ostrożnie wzdłuż modrzewi i skrył za najbliższym załomem lasu. Nie musiał iść dalej. W odległości trzydziestu paru kroków połyskiwały dwa większe wodne bajorka. Od ściany gęstego lasu dzieliło je zaledwie kilkanaście stóp. Jeśli w pobliżu był jelen lub łania, powinny przyjść właśnie tu. Myśliwy zerwał kilka liści mocno pachnącej szałwi, dla zabicia zapachu natarł nimi skórę i przysiadł na podkurczonych nogach za rozłożystą kępą oczaru.

Łuk ze strzałami położył przed sobą. W razie potrzeby wystarczyło sięgnąć ręką. Na

---

<sup>89</sup> Modrzew kanadyjski.

wrzosowisku i między oczeretami panował na razie spokój. Jedyne gdzieś daleko zawzięcie kuł dzieciół, usiłując widocznie dobrać się do korników. Parokrotnie gdzieś w pobliżu odezwały się indyki. Co jakiś czas z dalszych bajorek odzywało się głośniejsze kwakanie kaczek.

Minęło sporo czasu, gdy spod niezbyt odległego krzewu poderwał się królik i pomknął na wrzosowisko. Wkrótce potem niezbyt daleko pisnęła wiewiórka. Z odległej o dobre dwieście kroków sosny poderwała się ciężko wrona. Coś zbliżało się z lewej strony.

Zachowując największą ostrożność myśliwy pochylił się nisko i przyłożył ucho do ziemi. Trwał w bezruchu wstrzymując oddech. Nie mógł usłyszeć najsłabszego nawet szmeru. Wyprostował przygięte plecy, jedynie łuk przysunął jeszcze bliżej. Czekał... Coś, co przstraszyło zwierzęta i wronę, nie pokazywało się. Tkwiło gdzieś nieporuszenie w zaroślach. – Pewno łos – pomyślał i odruchowo spojrzał na słońce. Przechyliło się mocno ku zachodowi. Nadchodziła pora, w której zwierzyna winna wyjść na żer i do wodopoju. I zaledwie myśl ta przemknęła mu przez głowę, gdy, gdzieś nie opodał słabo trzasnęła gałązka, a zaraz potem druga.

Znów wstrzymał oddech, ale tym razem nie poruszył się. Zwierz był zbyt blisko i to duży zwierz. Właśnie z lewej strony. Musiał być ostrożny. Nie spieszył się. Szmer, jaki wywoływał przeciskając się zapewne między gęsto rosnącymi modrzewiami, był łżejszy niż powiew wiosennego wiatru. Myśliwy łowił go bardziej swym instynktem niż słuchem, ale wiedział, że zwierz zbliża się. Trwał więc w bezruchu.

Nieznacznie drgnęły gałązki drzewka odległego nie więcej niż o dwadzieścia parę kroków. Z gęstwy wysunął się koniec pyska, a za chwilę cały zwieńczony pięknymi, rozłożystymi rogami łeb. Zwierz stał na wprost kałuży i pewnie czuł jej wilgotny, orzeźwiający zapach. Nie spieszył się jednak. Tkwił ukryty między gałęziami jakby nie dowierzał panującej wokół ciszy.

Chásekah-Nébowin nie ruszał się również. Patrzył na wielki łeb jelenia i jego potężne rogi. Wiedział już, że zdobycz mu nie umknie. Jeleń miał do wody zaledwie kilka kroków, a po upalnym dniu musiał czuć potężne pragnienie i musiał je zaspokoić, a więc musiał również wynurzyć się zza gęstej zasłony. Stał odwrócony do myśliwego prawym bokiem, ale z tej odległości długa, ciężka strzała musiała dosięgnąć serca. W końcu postąpił do przodu jeden krok, drugi, trzeci i w rozwarte chrapy wciągnął zapach wody. Chwilę później stał nad brzegiem sadzawki i opuścił nisko łeb.

Myśliwy ostrożnym ruchem sięgnął po łuk, nałożył strzałę, napiął broń i nieznacznie wychylił się ze swej kryjówki. Wolno podnosił broń pewien swej zdobyczy, gdy nagle znieruchomiał.. Gdzieś w pobliżu rozległ się suchy trzask. Jeleń poderwał łeb, wspiął przednie nogi i w tym momencie huknął strzał.

Nim zwierz zdążył zwalić się na ziemię, ukryty dotąd myśliwy również leżał na brzuchu kryjąc głowę za gęstą zasłoną krzewu. Broni jednak nie wypuścił z ręki. Kimkolwiek był strzelający, lada chwila musiał pokazać się i podejść do swej zdobyczy, a wtedy...?

Zza odległej o kilkadziesiąt kroków kępy wysunęły się dwie męskie sylwetki. Myśliwi trzymali broń i niewątpliwie należeli do białej rasy. Świadczył o tym ich ubiór, kolor włosów i brodate twarze. W miarę jak zbliżali się do ubitego jelenia, patrzył na nich z coraz większym zdziwieniem. Napięte mięśnie rozluźniły się. Zastygła w bezruchu postać straciła swą poprzednią czujność. Przez twarz przemknął wyraz zadowolenia. Chásekah-Nébowin podniósł się z ziemi i wysunął zza zakrywającego go dotąd krzewu, a następnie zawołał niezbyt głośno...

Biali stojący tuż nad zwierzem znieruchomieli na chwilę, lecz już w następnym momencie dwie strzelby podniosły się złowieszczco, ale równie szybko opadły.

– To Chásekah-Nébowin – powiedział ze zdziwieniem wyższy. – Opuścił nas wtedy tak nagle. Skąd wziął się tu teraz?

Indianin roześmiał się bezgłośnie:

– Chásekah-Nébowin był daleko, ale teraz wrócił tu ścieżką wrogów, którzy znajdują się w otoczonej ostrokołem wiosce bladych twarzy. Cieszy się, że spotkał przyjaciół, chociaż ci ubiegli jego strzałę i zdobyli jelenia.

Girard roześmiał się.

– Nasz brat nie potrzebuje się martwić. Jeleń jest duży. Mięsa wystarczy dla trzech.

– A więc bracia Nagłej Śmierci też są sami?

– Tak, podobnie jak Chásekah-Nébowin przybyli tu ścieżką wrogów, a właściwie to ścieżką jednego wroga. I zapolują na niego tak, jak na jelenia.

Indianin na chwilę przysłonił oczy powiekami. A więc i tamci poszli tropem Shemágonisha. Nie obawiali się go. Zemstę trzeba byłoby podzielić, ale we trzech znacznie łatwiej było jej dokonać. Spojrzał na Girarda i spytał:

– Gdzie ukrywają się biali bracia? Czy mają pewne i dobre schronienie? Niedawny dowódca bandy pokręcił przecząco głową:

– Ukryli się w niedalekim parowie, ale kryjówka nie jest najlepsza. Cały czas muszą czuwać, by ktoś ich nie zaskoczył.

Czerwonoskóry pokiwał głową. Podjął już decyzję.

– Czy pozostawili tam jakieś przedmioty?

– Nie. Wszystko trzymają w kanu, którym przypłynęli teraz.

– To dobrze. Niech zwiążą nogi jelenia, a ich czerwonoskóry brat postara się tymczasem o dobrą żerdź. Zniosą potem zwierzę do bezpiecznej kryjówki i tam je oprawia. Tu niebezpiecznie. Strzał słychać daleko. – Z tymi słowami oddalił się i w kilka minut potem przyniósł mocny, gruby drąg, który przesunął między przednimi i tylnymi nogami jelenia. Do rzeki nie było daleko. Wkrótce kanu popychane silnymi ruchami wiosła popłynęło szybko pod prąd. Tuż przed zachodem słońca Nagła Śmierć wprowadził je pod gęste zarośla i pokazując spletaną ścianę liści powiedział z uśmiechem:

– Pewne i dobre schronienie.

Patrzyli zdziwieni, zanim nie odsłonił wejścia do groty i nie zniknął w jej wnętrzu. Z trudem przenieśli jelenia przez niezbyt szeroki otwór.

Skuloną w kącie postać pierwszy zauważył Cagot. Podeszedł bliżej i mimo gęstniejącego mroku dojrzał potargane i pozlepiane włosy okrywające dziewczynę, jej zniszczone i brudną spódnicę, związane ręce i nogi i brudną szmatę zakrywającą połowę twarzy.

– Kogóż tu trzyma nasz brat? – spytał.

Dziki zbliżył się i odparł spokojnie:

– To kobieta Chásekah-Nébowina. Biały nie powinien na nią zwracać uwagi. Była nieposłuszna, więc Nagła Śmierć ukarał ją. Ona nie zna mowy bladych twarzy, więc biały brat nie będzie z nią rozmawiał.

Cagot cofnął się. Wiedział, że dzicy są piekielnie zazdrośni o swe kobiety, a w razie powzięcia jakiegokolwiek podejrzenia, że inny mężczyzna interesuje się nimi, za życie potencjalnego rywala nikt by nie dał funta kłaków. Powiedział więc obojętnie:

– Brat Chásekah-Nébowina nie myślał, że spotka tu jeszcze kogoś, więc zainteresował się obcym, ale z powodu zmroku nie zauważył nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta. Skoro Nagła Śmierć mówi, że to jego kobieta, obaj biali nie spojrzą na nią. Szanują własność swego przyjaciela i pamiętają, że z narażeniem własnego życia uratował ich życie. – Z tymi słowami wycofał się w pobliże wejścia. Girard zrozumiał również. I on słyszał coś nieośmieszającego o tym, jak Indianie traktują swoje kobiety oraz natrętów usiłujących naruszyć spokój rodzinnego ogniska. Podeszedł więc przezornie do jelenia, wyciągnął nóż i zaczął oprawiać martwe zwierzę. Cagot przykucnął obok.

Chásekah-Nébowin chwilę patrzył na Darnis. Słowa bladej twarzy brzmiały przekonująco, ale lepiej było białych nie kusić. Wyciągnął z worka długą sukienkę z miękkiej skóry,

podszedł do dziewczyny, zdjął z jej ust szmatę i rozwiązał rzemienie. Przemówił po raz pierwszy od czasu porwania:

– Indianin dobry. Nie skrzywdził cię. Biali źli. Włóż to na siebie i milcz. Nie próbuj uciekać, bo wtedy Nagła Śmierć sprzeda cię białym. Nikt nie będzie patrzył jak się przebierasz. – Odwrócił się od dziewczyny i począł rozpalać ognisko.

Darnis opuszczała głowę na piersi i siła powstrzymywała łzy cisnące się do oczu. Po raz pierwszy była wolna, po raz pierwszy od chwili porwania. Szybko sięgnęła po sukienkę i nałożyła ją. Nie myślała o ucieczce. Na to była zbyt słaba. Wiedziała, że na nogach, które były skrupowane dłużej niż cały Księżyc, nie uszłaby nawet kilkunastu kroków. Poza tym była słaba z głodu, a o kilka kroków leżał cały jelen. Chásekah-Nébowin po powrocie z polowania nie bił jej jeszcze.

Może zapomni o tym, a może będzie wstydził się bić przy obcych i może da jej kość, na której będzie chociaż trochę mięsa.

Gdy tamci wyjmowali wątrobę jelenia, poczuła gwałtowne skurcze żołądka. Ślina sama napływała do ust. Dziewczyna zacisnęła szczęki. Żeby kość miała chociaż dużo szpiku. Ale jeśli zapomną i nie dadzą...? Wtedy ukradnie. Za kradzież kości Chásekah-Nébowin nie będzie mógł jej zabić. Nie zabijano za to nikogo, nawet psa. A on powiedział białym, że to jego squaw. Mógł ją najwyżej bić rzemieniem. A może biali nie pozwolą? Podobno swoich kobiet nie bili. Nie знаła tych dwóch. Jej porywacz powiedział, że nie rozumie mowy białych. Nie znała wielu słów, to prawda, ale znała trochę i rozumiała zawsze, gdy biali kupcy, którzy odwiedzali wioskę, rozmawiali między sobą. Teraz patrzyła na migocące w świetle ogniska postacie obydwu obcych. Nie różnili się specjalnie od tych, których widywała do tej pory. Wyglądali na silnych i dzielnych. I na pewno nie obawiali się Chásekah-Nébowina.

Serce zakołatało nieśmiałą nadzieją. Znali pewnie Shemágonisha i może nawet byli jego przyjaciółmi. Powie im, że nie jest jeszcze squaw<sup>90</sup>, że właśnie Shemágonish złoży podarki przed wigwamem jej ojca. Odbiorą ją wtedy Nagłej Śmierci i oddadzą ojcu albo powiedzą o wszystkim Shemágonishowi. Powie im to, gdy tylko ogryzie dużą kość i przestanie boleć ją żołądek. Gdyby chciała powiedzieć wcześniej, Chásekah-Nébowin nie dałby jej nawet najmniejszego kawałeczka. A więc poczeka, poczeka jeszcze trochę. I wytrzyma głód. Tamci pewnie będą jedli długo, ale to nic. Musi wytrzymać. Musi poczekać na swoją kolej.

Trawiona wewnętrzną gorączką widziała, jak kończą oprawiając jelenia i jego mięso kroją na duże płyty. Chásekah-Nébowin układał je na rozpalonych w żarze ogniska kamieniach. Biali nie wyjmowali kości. Zdawali się nie zwracać na nie najmniejszej uwagi. Zajęci byli tylko mięsem. Serce dziewczyny przeszył cień trwogi. A więc zapomnieli o niej... Żołądek skurczył się. Poczuła mdłości. W głowie słyszała narastający szum. Zakrztusiła się kilkakrotnie, ale skurcz ustąpił, była tylko słaba, przeraźliwie słaba. W nozdrza wtargnęła woń pieczenia, powodując nowy przypływ mdłości. Opanowała je z trudem i jeszcze mocniej ścisnęła szczęki. Przed oczyma tańczyły czarne, czerwone, żółte płatki, ale najwięcej czarnych. Zamazywały się postacie mężczyzn przy ognisku. Raz ich było trzech, raz czterech i chwiały się na wszystkie strony. Wraz z nimi chwiało się ognisko i grot. Dziewczyna czuła, że sama też się chwieje, że kołysze się coraz bardziej jak w kanu na wzburzonym jeziorze. A może była w kanu? Nie... Przebywała nadal w grocie.

Widziała znów wyraźnie ognisko i twarze tamtych trzech. I wiedziała, że mówią, chociaż słowa głużył pulsujący w głowie szum.

Oparła się mocniej o zimną, wilgotną skałę. Skałę pokrywały krople wody. Dotknęła ich dłońmi i mokre palce położyła na skroniach. Chłód orzeźwił ją nieco. Z kamieni poczęła zbierać zimne kropelki i chłodzić nimi szyję, kark, całą twarz.

Teraz głosy mężczyzn docierały wyraźniej. Słyszała prawie każde słowo. I nagle omal nie-

---

<sup>90</sup> Czytaj: S-quou – kobieta lub żona, nie dziewczyna.

krzyknęła. Mówił największy i właśnie on wypowiedział to słowo – słowo „Shemágonish”.

Chciała się poderwać, powiedzieć coś, ale nie miała siły. To nic, powie im, gdy tylko minie słabość... Znali Shemágonisha, więc pomogą jej. Mocniej przywarła do skały, by nie upaść i siłą woli przewyciężyła ponowny szum w głowie.

Znów mówił ten największy:

– Shemágonish wrócił do Trois Rivières, ale nie sam. Przywiózł nowego wodza wszystkich żołnierzy francuskich w Kanadzie. Wódz ten odwiedził dwa dni temu wioślarzy Wahgooshug i Kenábigoog, którzy przywieźli tu transport Shemágonisha. Wraz z wielkim wodzem z Quebecu obóz Lisów i Węży odwiedziło też wielu żołnierzy. Była wielka uczta, a po uczcie wszyscy mężczyźni tańczyli. Tańczył także biały wódz, który nosi imię Frontenac. Tańce zakończyły się dopiero rano. Biali bracia Chásekah-Nébowina nie wiedzą, kiedy Shemágonish chce ponownie wyruszyć na zachód, ale myślą, że wkrótce. Gdyby z towarami chciał popłynąć później, nie zatrzymałby wioślarzy. Ubiegłego lata wyruszył właśnie o tej porze.

– Czy biali bracia nie mogli podsłuchać Wahgooshug i dowiedzieć się o ich zamiarach? – spytał Chásekah-Nébowin.

– Nie mogli – odparł Girard. – Lisy używają tylko swojej mowy, której biali nie rozumieją jeszcze. Gdyby Nagła Śmierć był tu na miejscu, dowiedziałby się pewnie wszystkiego.

– Czy biali bracia dowiedzieli się jeszcze może czegoś ciekawego?

– Ustalili tylko, że Shemágonish każdego dnia od czasu przybycia wielkiego białego wodza sam lub z drugim białym odwiedza obóz Lisów i Węży, ale czyni to w różnych porach dnia. Znają też ścieżkę, którą Shemágonish chodzi do obozu i którą powraca do swego kanu. Na tej ścieżce można go zaskoczyć i zabić. Do tej pory nie można było tego uczynić, bo zawsze było z nim kilku żołnierzy lub Indian, ale teraz, kiedy porozsyłano żołnierzy na zwiady, Shemágonishowi pewnie będzie towarzyszyć tylko jeden biały.

Czerwonoskóry ważył coś w myśli, w końcu spytał:

– Jak daleko jest od miejsca, gdzie Shemágonish zwykle zostawia kanu, do obozu Wahgooshug?

– Niedaleko. Biali nazywają taką odległość połową mili – odparł Girard.

– A jak daleko jest stąd do obozu Wahgooshug?

– Około ośmiu mil!

Chásekah-Nébowin namyślał się dłuższą chwilę, w końcu powiedział:

– Nagła Śmierć już dawno temu przyrzekł sobie, że pozbawi skalpu Shemágonisha. Ale ponieważ jest chytry i mądry, nie spieszył się. Pozwolił żyć temu śmierdzącemu skunksowi, który był zawsze bardzo ostrożny. Teraz, pod opieką tych parszywych Lisów, czuje się bezpiecznie i przestał zachowywać ostrożność. Nóż Chásekah-Nébowina pożre go na ścieżce, którą przebywa codziennie. Nic nie uchroni jego skalpu przed zemstą wojownika. Nagła Śmierć spieszył tu właśnie po to, by dokonać zemsty. Jeśli jego bracia pomogą mu trochę, jutro duch Shemágonisha powędruje długą, kamienistą ścieżką swych praojców, lecz bez skalpu nie wejdzie do ich krainy. – Tu dziki po raz pierwszy chyba stracił panowanie nad sobą, śmiał się długo i mściwie.

– Praojcowie bez skalpu nie wpuszczą go – powtórzył z zawziętością.

– Jak możemy pomóc swemu czerwonoskóremu bratu? – spytał Girard.

Dziki przełykając ostatni kęs mięsa popatrzył w kąt groty. Bielą tam twarz Darnis. Musiała być głodna. Prawie przez cały czas, gdy przebywała z nim, nie dawał jej prawie wcale jeść. Musiała stracić wiele sił. Gdyby straciła wszystkie, byłoby to niedobrze. Jeśli jutrzejszy napad uda się, będą musieli uciekać szybko pod prąd wielkiej rzeki. Dziewczyna będzie musiała wiosłować. Powinna się więc najeść dobrze teraz i jeszcze drugi raz rankiem. Była zdrowa, więc na pewno do jutra odzyska siły. Nie odpowiadając więc na zwrócone do niego pytanie podniósł się, odkroił spory kawał surowej wątroby i rzucił dziewczynie.

Powinno to jej wystarczyć. Dopiero teraz wrócił na swe miejsce i odparł:

– Nagła Śmierć przyrzekł sobie kiedyś, że zabije Shemágonisha jednym uderzeniem noża w plecy. Nie potrzebuje więc wielkiej pomocy. Jeśli Shemágonish przybędzie jutro jak zwykle do obozu Wahgooshug i będzie z tym drugim białym, bracia Chásekah-Nébowina nie będą musieli strzelać. Wyjdą tylko z bronią na ścieżkę wroga i zagrodzą mu drogę grożąc grzmiącymi kijami. Mogą z nim rozmawiać, byle nie za głośno. Tymczasem Nagła Śmierć stanie niepostrzeżenie z tyłu za nim i uderzy swym nożem. Jeśli będzie trzeba, sam zabije również drugiego białego. Potem oddalą się szybko.

Darnis otwartymi z przerażenia szeroko oczyma patrzyła na rozmawiających. I chociaż nie rozumiała wszystkich słów, pojmowała treść tej straszliwej rozmowy. A więc Nagła Śmierć wiozł ją tu, by dokonać zemsty, by swój pas i legginy przyozdobić włosami skalpu Shemágonisha. Obydwaj biali chcieli zemścić się również i gotowi byli pomóc Nagłej Śmierci w dokonaniu zemsty.

Oprzytomniała zupełnie i chociaż czuła jeszcze wielki zamęt w głowie i słabość w całym ciele, rozumiała, że nie może tracić czasu. Lada chwila Chásekah-Nébowin mógł związać ją ponownie. Czynił tak zawsze i uczyni pewnie i teraz. Wtedy ucieczka stanie się niemożliwa.

Wątroba leżąca u jej stóp mogła poczekać, ale dziewczyna nie mogła czekać z czym innym. Już wtedy, gdy porywacz wrzucił ją do tej groty widziała dookoła pełno rzecznych, dużych muszli, naniesionych zapewne wysoką wiosenną wodą. Właśnie te muszle mogły stanowić ratunek, a przynajmniej dać cię nadziei na ratunek dla niej, ale przede wszystkim dla Shemágonisha.

Znajdowała się w cieniu, więc ci przy ognisku nie mogli widzieć, co robi. Drżącymi rękoma zaczęła przeszukiwać wokół ziemię. Wiele muszli było już zmurszałych i słabych. Te odsuwała z gorączkową niecierpliwością. W końcu znalazła. Płaska, ostra, twarda skorupa przecięła jej skórę na dłoni. Ta była dobra. Dziewczyna zastanawiała się chwilę. W końcu zagrzebała muszlę w piasku pod samą skałą, za plecami. Chásekah-Nébowin na noc wiązał jej zawsze ręce z tyłu. Tym razem też tak powinien postąpić. Wtedy muszlę mogła odgrzebać w jednej chwili. Nie była to broń i nie jako broń miała służyć, ale ostra krawędź skorupy rzeczno-ślimaka powinna wystarczyć do przecięcia krępującego rzemienia. Prześladowca nie zwrócił uwagi na muszle.

Ukrywszy swą zdobycz, drżącymi rękoma sięgnęła po wątrobę i oderwała zębami kawał mięsa... Jadła powoli, patrząc ciągle na zmniejszającą się szybko przydzieloną jej porcję. Nie zjadła jednak wszystkiego. Mimo że głód nadal szarpał jej wnętrzności, odłożyła na bok przynajmniej połowę. Wiedziała, gdyż przypominał o tym nieraz Czarny Pies, że nie wolno najadać się do syta, gdy ktoś jest bardzo wygłodzony, a jego żołądek skurczył się mocno. Groził, że ten, kto nie posłucha, zawsze zachoruje. Pamiętała teraz o tym. Czarownik mówił, że gdy uczucie głodu minie, można znów zjeść trochę. Resztę wątroby położyła więc obok na kamieniu. Nawet gdyby Nagła Śmierć zabrał tę resztę, wiedziała, że zjedzona porcja przywróci jej trochę sił. Ale Chásekah-Nébowin nie zabrał. Może myślał, że dziewczyna nie była tak bardzo głodna, a może zrozumiał, że była mądra i nie chciała się za bardzo objadać.

Związał ją, tak jak myślała, z rękoma do tyłu. Związał mocno, tak jak zawsze i wrócił do przerwanej rozmowy. Dziewczyna ułożyła się na boku, ale nadal słuchała. Dowiedziała się, że obóz jej braci znajduje się w dole rzeki, po tej stronie, po której znajdowała się również grotta, że Shemágonish przy pływa z drugiej strony i kanu zostawia zwykle w małej zatoczce, potem idzie przez gęsty las aż do parowu, gdzie nad źródłem obozują Węże i Lisy. Z rozmowy i opisu drogi dowiedziała się, jak można tam trafić. Wiedziała jednak, że do tego miejsca było bardzo daleko. Jej siły były niewielkie, a nogi mogły nie zdołać w porę pokonać takiej odległości, zwłaszcza że, jak wiedziała, z rana będą bardzo ścierpnięte. Nie czuła ich już teraz nawet po niezbyt długim okresie skrępowania. Jedynie głód mijał. A więc czarownik miał rację. Odwróciła się na drugi bok i ułożyła tak, że kawałek mięsa miała tuż obok twarzy.

W takiej pozycji potrafiła ogryzać nawet kości.

To nic, że pobrudzi sobie twarz. Ponownie zanurzyła zęby w soczystej wątrobie. Szarpała ją drobnymi kęsami. Ustał ból w żołądku i minęły zawroty głowy.

Mężczyźni umówili się, że wyruszą przed świtem, toteż przełknawszy ostatni kęs podkurczyła pod siebie nogi i spróbowała zasnąć chociaż na chwilę.

Spała bardzo krótko. Zaledwie bowiem ciężkie powieki opadły na zmęczone oczy, posłyszała ruch. Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy trójka wrogów opuszczała jaskinię. Na leżącym obok kamieniu Chásekah-Nébowin położył nowy kawał wątroby. Dziewczynę wyprowadził z grotty tylko na parę chwil, po czym ponownie związał i posadził pod ścianą. Odchodząc powiedział groźnie:

– Jeśli spróbujesz krzyczeć. Nagła Śmierć ukarze cię tak, jak powiedział. Nie zawiąże ci ust, byś mogła jeść. Czekaj na jego powrót. -Z tymi słowy zniknął w wyjściowym otworze. Dziewczyna pozostała sama w ciemnej pieczarze.

Tymczasem w oddalonym o kilkanaście mil w dole rzeki Trois Rivières w niewielkiej chatce przytulonej niemal do nadbrzeżnej palisady gospodarz zapalił łojową świeczkę i podłożył kilka suchych żywicznych szczap na dogasające palenisko.

– Wstawaj, François. Za godzinę zacznie świtać. Czas ruszać w drogę.

Spoczywający na sąsiednim posłaniu ziewnął przeciągle, rozprostował ramiona i postawił bose stopy na podłodze.

– Powiedz, Paul, jak u licha ty to robisz, że zawsze budzisz się o oznaczonej porze i skąd wiesz, która godzina?

Gospodarz uśmiechnął się. Sekretarza jego ekscelencji polubił od pierwszego spotkania, a wielodniowy wspólny pobyt na statku do tego stopnia zbliżył obu młodzieńców, że wkrótce mówili sobie po imieniu, a po przybyciu do Trois Rivières, François de Gravenchon chętnie przyjął zaproszenie spędzenia kilku dni w prostym, ale gościnnym domku młodego kupca.

– Nie wiem, François. Nigdy nad tym nie myślałem. Nie wiem, która godzina, ale wiem, że to już czas.

– No, ale jak wiesz, kiedy się obudzić? Ja zawsze muszę słuchać zegara.

– Też nie wiem. Mówię sobie po prostu wieczorem, że mam wstać o pewnej porze i budzę się wtedy, kiedy trzeba.

– Nawet jeśli jesteś bardzo zmęczony czy niewyspany?

– Uhm. Ale siadaj. Nim ruszymy, trzeba trochę zjeść. Herbata już gorąca.

Kilkaście minut później zajmowali miejsca w długim kanu obok zachodniej bramy fortu. Przy wiosłach siedziało ośmiu żołnierzy. Lekka łódź szybko pomknęła pod prąd. Wioślarze na tym odcinku dobrze znali rzekę, toteż cały czas trzymali się nieco bliżej lewego brzegu, gdzie prąd był znacznie słabszy.

W niecałą godzinę później, zgodnie z przewidywaniami Paula ukazało się słońce.

– Masz jednak w głowie zegarek – uśmiechnął się François. – A czy wiesz również, jak daleko jesteśmy od Trois Rivières?

– Około sześciu mil. Płyniemy szybko. Zresztą znam tę okolicę. Za dwie godziny będziemy na miejscu.

De Gravenchon westchnął.

– Nie można cię niczym zaskoczyć, Paul. Czy wiesz także lub domyślasz się, gdzie jest teraz Girard Tub Cagot?

– Nie. Nie zastanawiałem się nad tym.

– A co ty byś uczynił na jego miejscu?

– Przyczaiłbym się gdzieś w pobliżu, zebrał garść ludzi i pewnie wróciłbym na zbójcką ścieżkę. On już nie ma odwrotu.

– Masz rację. Gubernator wyznaczył za jego głowę nagrodę. Jeśli jest mądry, weźmie nogi



za pas i spróbuje przedostać się do Anglików lub na stałe dołączyć do jakiejś bandy dzikich, ale jeśli nie, to prędzej czy później dostanie go w swe ręce porucznik Chevreuil.

– Tak, to dobry oficer, François. To właśnie on, po przybyciu regimentu Carignana, przetrzepał tak Mohawków, że najpierw musieli poprosić o zawieszenie broni, a potem o pokój. Jeśli raz wpadnie na ślad Girarda, nie zgubi go. Ma węch indiańskiego zwiadowcy.

– A ty co, Paul? Kiedy zamierzasz ruszyć?

– Za jakiś tydzień, może dziesięć dni. Szlak jest długi. Muszę zdążyć przed zimą.

– Popłyniesz jak zwykle Ottawą?

– Tak, tamtędy bliżej, bezpieczniej. Znacznie gorzej mają ci, którzy płyną przez Cataraqui i Erie w południowo-zachodnie rejony kraju.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał Gravenchon.

– Szlak na bardzo długim odcinku wiedzie wzdłuż terenów irokeskich. Trzeba pilnować się bez przerwy. Poza tym na drodze są dwa bardzo niebezpieczne przejścia.

– Czemu niebezpieczne?

– Najczęściej tam właśnie Seneka lub Cayuga urządzają napady. To bliższe leży u wyjścia z Cataraqui na jezioro Oswego. Na wschodnim krańcu jeziora jest mnóstwo wysp i dziesiątki nieznanych przejść wodnych. Nie zdarza się, żeby na jakiś transport nie czekała tam zasadzka. W ogóle przydałoby się postawić w tym miejscu jakiś fort z dobrą załogą. I towary, i futra byłyby bezpieczniejsze.

– Mówisz to serio, Paul?

– Najzupełniej! Zresztą chodzi nie tylko o napady. Z tymi kupcy jakoś radzą sobie. Chodzi również o przemysł futer. Spora ich ilość właśnie tamtędy trafia do Irokezów i dalej do Anglików. Wielu naszych, tak jak ja ubiegłej zimy, handluje bez licencji. Woli więc futra sprzedawać w Bostonie czy Plymouth, zamiast narażać się na konfiskatę w Quebecu czy Trois Rivières.

– I sądzisz, że taki fort zahamowałby i napady, i przemysł?

– Myślę, że z napadami uporałby się. A co do przemysłu... Na pewno nie skończyłby z nim, ale przynajmniej poważnie przyhamował.

Gravenchon chwilę myślał. Tak, mapa mówiła to samo. Fort w takim miejscu to nie był głupi pomysł. Postanowił opowiedzieć o nim przy najbliższej okazji swemu przełożonemu.

– No, a to drugie miejsce niebezpieczne, o którym wspominałeś?

– Leży trochę dalej na zachód. Dokładnie na rzece łączącej jezioro Oswego i Erie. Są tam dwa wielkie wodospady, przez które nie przejdzie żadne kanu, nawet najmocniejsze. Wokół nich trzeba na dosyć długim odcinku przenosić ładunek. Idzie się wąską ścieżką, skrajem urwiska opadającego ku rzece. W razie napadu nie ma się jak bronić. Tam również zwykle czatują Indianie. I jeśli transport jest bardzo silny i obsadzi całą drogę, to może iść. Inaczej wpada zawsze w ręce wroga.

– I co, uważasz, że tam też należałoby postawić fort?

– Nie wiem – odparł Paul. – Ja odepchnąłbym Irokezów bardziej na południe, a wzdłuż południowych brzegów Erie i Oswego postawił kilka fortów i założył parę większych osad. Osadnicy zawsze płoszą zwierzynę. Indianie z braku jej musieliby odsunąć się jeszcze bardziej na południe. Wtedy szlak stałby się bezpieczny.

– To nie tak łatwo, Paul. Osadnicy bardzo wolno napływają do Nowej Francji. Wprawdzie pan minister Colbert i król, a tutaj pan Talon, podejmują od kilku lat sporo wysiłków, by ściągnąć jak najwięcej kolonistów, ale to nie takie łatwe i cała sprawa idzie bardzo wolno i opornie. Zwłaszcza że są też pewne ograniczenia.

– Ograniczenia? – zdziwił się Paul. – Tu ziemi dużo. Starczyłoby dla wszystkich Francuzów.

– Tak, ale nie wszystkim wolno się tu osiedlać. Jak zapewne wiesz, w starym kraju, szczególnie w portowych miastach, ale i w Paryżu żyje wielu odstępców od naszej

prawdziwej wiary. Nazywają ich kalwinami lub hugenotami. Oni przyjechaliby tu chętnie, zwłaszcza że wielu z nich to kupcy, posiadający sporo pieniędzy, ale sprzeciwia się temu kościół i nie zezwala król. Tu mogą przyjeżdżać i żyć tylko katolicy. A katolicy mają ziemię i we Francji. Niechętnie ją opuszczają. Kanada to jeszcze dziki, nieznan kraj. Nie wszyscy mają odwagę tu przyjeżdżać. Może kiedyś. Ale na to potrzeba lat i sporo pieniędzy. – Zamilkł, przyglądając się mijanym krajobrazom rzeczywiście dzikiej, pierwotnej puszczy.

Paul słuchał go z uwagą i zaciekawieniem, w końcu powiedział:

– No, ale ty nie obawiałeś się. Nie obawiał się również pan Frontenac. Nawet na noc pozostał z moimi Indianami?

François uśmiechnął się.

– Pan Frontenac to żołnierz. On nie boi się nigdy. Nie obawiał się przyjechać i tutaj. Myśli o przyszłości. Dlatego właśnie wczoraj został z twymi przyjaciółmi. Chce ich poznać, bo przyszłość Nowej Francji zależeć będzie od tego, ilu dla niej zdoła pozyskać sojuszników”. A nasi tu sojusznicy, sojusznicy mający znaczenie i siłę, to na razie tylko Indianie. Nas jest jeszcze zbyt mało. W razie zagrożenia od południowego wschodu sama Nowa Francja, jak mówi pan Fleury, nie obroni się. Musimy więc uczynić wszystko, by Indianie stali się naszymi przyjaciółmi. Ty, Paul, masz już wśród nich wielu przyjaciół. Gubernator jeszcze nie. Musi ich dopiero pozyskać. A to też praca na lata. Nie można tracić czasu i nie można jej odkładać na później. Dlatego pan Frontenac, jak widzisz, nie traci go.

Rozmowa urwała się. Kanu popychane równo i rytmicznie; szybko pięło się w górę rzeki. Słońce stało już dosyć wysoko, gdy wpłynęli do niewielkiej zatoczki.

Obaj młodzieńcy wyskoczyli na brzeg, a Paul zwrócił się do sierżanta Terrestre, który prowadził łódź:

– Wracaj, Raul, do domu. Powiedz panu Fleury’emu, że o zachodzie słońca wrócimy z jego ekscelencją. Odwiozą nas moi wioślarze.

Sierżant kiwnął głową i wzniosł rękę w pożegnalnym geście. Kanu wykręciło sprawnie, wydostało się na rzekę i poszło szybko z jej biegiem. Młodzieńcy stali jeszcze kilka minut nad brzegiem, patrząc na oddalającą się śmigłą łódź. Wkrótce zresztą za najbliższym załomem rzeki zniknęła im z oczu. Bez słowa zagłębili się w las. Od obozu dzieliło ich nie więcej niż kilkaset kroków. Szli obok siebie w milczeniu omijając gęste kępy niezbyt wysokich nadbrzeżnych zarośli. O kilkadziesiąt kroków z przodu zarośla urywały się przechodząc w wysokopienny, szpilkowy las, ciągnący się prosto do niewidocznego stąd obozowiska Indian.

W pewnej chwili Gravenchon zawadziwszy stopą o mało widoczny korzeń potknął się i utrzymując z trudem równowagę oparł o jakiś gruby pień.

Gdy uniósł głowę, zmartwiał z przerażenia. O parę zaledwie kroków stało dwu drabów. Pierwszy trzymał w obydwu rękach pistolety. Drugi, nieco niższy, strzelbę.

– Nie ruszaj się, Bresson – mówił zimno ten z pistoletami – i twój kumpel też niech stoi spokojnie. Nie spodziewałeś się mnie tutaj, co? Myślałeś, że zaszyję się ze strachu w jakiejś norze? Ale przeliczyłeś się. Nie chciałeś spółki z Girardem, wejdiesz teraz w spółkę z diabłem, a twoja indiańska dusza, jeśli ją w ogóle masz, za chwilę będzie się smażyć w piekle, ty śmierzający, głupi kundlu. Jeśli chcesz coś powiedzieć przed śmiercią, to gadaj, byle szybko, bo dzisiaj twój Kezhá-muhnedoo nie uratuje parszywego skalpu, jaki nosisz na swym łbie. Chcesz coś powiedzieć? – Wylot lufy pistoletu chwiał się niebezpiecznie na wysokości piersi Paula.

Paul patrzył zimno, spokojnie w ziejące nienawiścią oczy tamtego. Widział drżenie jego drapieżnych rąk, ściskających broń. Sytuacja była paskudna, ale na szczęście tamci pozwolili mu podejść zbyt blisko. Mógł ich dosięgnąć jednym skokiem. Nie byli więc tak niebezpieczni, jakby się mogło wydawać. Niebezpieczny był ten z tyłu, zbliżający się podstępnie jak wilk. Szmer jego skradających się kroków, mimo gadaniny tego z przodu,

narastał coraz wyraźniej. A skoro tamci chcieli ukryć jego obecność, widać właśnie on miał zadać śmiertelny cios. Girard nie mógł być na tyle głupi, by strzelać w pobliżu dwu setek Indian. Jeszcze chwila... Nagle gdzieś niezbyt daleko powietrze przeszył przeraźliwy kobiecy krzyk:

– Shemágonish!!!

Paul. przysiadł błyskawicznie. Kątem oka dostrzegł, jak uzbrojona w długi nóż brunatna, odgięta do tyłu ręka ze straszliwą siłą rzuciła błyszczące ostrze. Rozległ się krótki świst i ciężkie uderzenie.

Jednym błyskawicznym rzutem ciała zwałił z nóg nowego napastnika. Przed jego oczyma zamigotała ręka uzbrojona w srebrną klingę. – Dwa Noże – przemknęło mu przez myśl. Krótkim, szybkim chwytem przytrzymał ramię napastnika, a za chwilę stalowe palce zacisnęły się na nadgarstkach dzikiego. Nogi oplótły ciało przeciwnika. Druga ręka sięgnęła gardła. W pobliżu huknęło kilka strzałów. Mocniej zacisnął palce na uzbrojonej ręce, odgiął ją do góry. Ze straszliwym napięciem, cał za całem przekręcał tak, aż ostrze noża znalazło się nad piersią przeciwnika. Pchnął krótko i podniósł się wolno. Przed oczyma przez chwilę jeszcze latały mu ciemne płatki. Tamten był bardzo silny.

Spojrzał w miejsce, gdzie poprzednio stali ci dwaj, którzy zastąpili mu drogę. Leżeli tam bez ruchu. W piersi Girarda, aż po rękę, tkwił ciężki nóż. Nóż, od którego miał umrzeć ktoś inny. Girard znalazł się dokładnie na linii rzutu i zginął z ręki swego czerwonoskórego współnika. Obok leżał Cagot. Nie żył również. Tam, gdzie znajdowało się jego serce, ziała głęboka czerwona rana. Zginął od kuli. Druga trafiła go w brzuch. Z ramienia de Gravenchona sączyła się krew. Obok stali Żelazny Grot, Shikag, Neecarnis i kilku innych Wahgooshug, a wśród nich dziewczyna, dziewczyna w podartej sukience, z podrapaną, oblepioną błotem, wymizerowaną twarzą i posiniaczonymi rękoma.

Podszedł do niej wolno i nie wiedząc zda się, co czyni, począł jej delikatnie wycierać twarz. Z ogromnych, wzniesionych ku niemu oczu płynęły łzy.

Leżący o kilka kroków Chśsekah-Nebowin czuł ciężar żelaza tkwiącego w jego piersi. Był jednak przytomny i widział. Widział, jak jego wróg i pogromca podchodzi do dziewczyny i gładzi jej twarz i widział łzy płynące z czarnych oczu. Patrzył na te łzy i resztą gasnącej świadomości rozumiał, że były to łzy radości.

Z ogromnym wysiłkiem oparł ręce na rękęjści tkwiącego w piersiach noża. Zacisnął na nim palce i pchnął głębiej.

## ROZDZIAŁ XX

### Shemágonish znaczy „wojownik”

Wszyscy byli już po kolacji. Lucille zabrała talerze i półmiski i przyniosła gorącą herbatę. Gospodarz wydobyl z kredensu kolejną karafkę i napełnił srebrne kieliszki. Staral się jednak nie uronić ani jednego słowa z opowieści sekretarza jego ekscelencji, który doszedł właśnie do momentu, kiedy dwaj młodzieńcy ujrzeni napastników.

– Stanęli przed nami tak nagle, że nieomal straciłem głowę. Obydwaj byli uzbrojeni i trzymali nas pod lufami. Kiedy Girard powiedział, że z Paulem rozprawi się natychmiast, prawdę mówiąc straciłem nadzieję i nie widziałem nic więcej, poza nimi dwoma i ich bronią. Nie widziałem żadnych szans. Dopiero gdy z tyłu zabrzmiał ten przerażający głos dziewczyny, zobaczyłem trzeciego. Był to Chásekah-Nébowin. Trzymał nad głową dwa długie noże i jednym z nich właśnie rzucał. Nie mam pojęcia, jak Paul wyczuł ten moment ani skąd wiedział, gdzie stoi napastnik. Przypadł do ziemi dosłownie w tym momencie, kiedy dziki rzucił nożem. Uniknął ciosu dosłownie o włos. Za chwilę tarzali się już po ziemi. Nóż, który miał trafić jego, trafił Girarda. Skoczyłem na tego, który miał strzelbę, ale zdążył posłać mi kulę. Prawie w tej samej chwili strzelili Shikag i Żelazny Grot. Strzelali w biegu, a mimo to obie kule dosięgły celu. Jednak gdyby nie Paul, jestem pewien, że Chásekah-Nébowin załatwiłby nas obydwu.

Paul pokręcił przecząco głową.

– Nie masz racji, François. To nie moja zasługa. Obydwu nas uratowała Darnis.

– Mówisz, Paul, o tej dziewczynie? – Frontenac ze zdziwieniem utkwil wzrok w twarzy młodzieńca. Takie samo zdziwienie odmalowało się na twarzach Fleury’ego i Charkota, a Lucille o mało nie wypuściła z rąk imbryka.

– Tak, panie gubernatorze. To wszystko, co mówił pan de Gravenchon, jest prawdą, ale życie zawdzięczamy właśnie tej dziewczynie... O tym, że za mną jest jeszcze jeden napastnik, wiedziałem od początku. Nie zachowywał zbytnej ciszy i słyszałem szelest jego kroków. Domyśliłem się, że Girard ma zająć tylko naszą uwagę. Zrozumiałem też, że nie może chodzić o łuk, bo wtedy ten, który znajdował się z tyłu, nie musiałby podchodzić tak blisko. A więc nóż lub tomahawk. Wiedziałem, że jest jeszcze o cztery, pięć kroków. Chciałem, by się zbliżył przynajmniej jeszcze o jakieś dwa kroki. Wtedy dopiero mógłbym go dosięgnąć bez trudu. Niestety, nie wiedziałem, że będzie rzucał nożem. Uświadomił mi to krzyk Darnis. I właśnie to pozwoliło mi uchylić się w porę. Zrozumiałem, że chodzi nie o cios, a o rzut. Domyśliłem się, o czyj rzut chodzi. Reszta wyglądała tak, jak powiedział François.

– Mówisz, Paul, że wiedziałeś, kto atakuje cię z tyłu? – zdziwienie gubernatora graniczyło z niewiarą.

– Może to nie było tak zupełnie pewne, ale domyślałem się. Znałem kiedyś jednego tylko czerwonoskórego, który zawsze zabijał rzucając nożem w plecy. Zresztą dawno temu wykonał podobnie fatalny rzut jak dzisiaj. Zabił wtedy również nie tego, kogo chciał.

Fleury otarł pokrytą kropelkami potu twarz.

– Przecież parę dni temu mówiłeś, że nie widziałeś chyba nigdy Nagłej Śmierci, a w każdym razie nie przypominasz sobie jego wyglądu?

– Do dzisiaj tak myślałem. Ale dzisiaj poznałem go. Przez wiele lat ukrywał się przede mną i nie pokazywał swej twarzy. Obawiał się, że mogę go rozpoznać. Udało mu się to długo. Ale znaliśmy się od dawna i dzisiaj wiem, że od dawna żył tylko dla zemsty. Dzisiaj wiem też, że nie przypadkiem właśnie on poprowadził za mną bandę Girarda. I nie przypadkiem namówił Seneków do tych dwu napadów. Nie chodziło mu o łupy. Chodziło o mój skalp.

– O Święty Józefie! – jęknęła wtulona w kąt izby Lucille.

– Mówisz, że to wszystko to tylko chęć zemsty? Ale jakiej zemsty? Za co? – sekretarz gubernatora oparł na stole obandażowaną rękę.

– To już dawne dzieje, François. Sięgają czasów mojej niewoli, a właściwie to ucieczki od Mohawków. Kiedy uciekaliśmy wspólnie z Neecarnisem zaskoczył nas Agohoonsay. Był wtedy wodzem Seneków. Znał mnie. Wiedział, że jestem jeńcem. Tym samym, którego wraz z Mohawkami porwał z misji podczas pamiętnego napadu na Huronów w tysiąc sześćset czterdziestym dziewiątym. Gdy spotkał nas uciekających, nie był sam. Był z nim wtedy Chásekah-Nébowin, ale nosił inne imię. Nazywano go Dwa Noże. Agohoonsay rzucił się na nas, a Dwa Noże chciał pewnie pomóc swemu wodzowi i zaatakował mnie tak jak dzisiaj. I tak jak dzisiaj nie miał szczęścia. Trafił nie mnie w plecy, a wodza. Od jego noża zginął jeden z najbardziej poważanych wtedy Seneków. Jego przypadkowy zabójca, którego nad zwłokami Agohoonsaya ujrzeni inni wojownicy Seneków, tłumaczył pewnie, że to przypadek, ale nie przekonał wszystkich. Wypędzili go z wioski. Nie słyszałem o nim od tamtej pory. Wiedziałem tylko, że Dwa Noże znał się z Chamfortem, który wcześniej niż ja był w niewoli Mohawków. Gdy ja miałem kilkanaście lat, on odszedł z wioski. Nie uciekł, lecz odszedł jako wolny człowiek. Do francuskich osiedli nad Richelieu odprowadzał go właśnie Dwa Noże. Przypuszczam, że to właśnie Chamfort posłał go na moją ścieżkę w ubiegłym roku.

Kiedy tej zimy dowiedziałem się, że przewodnikiem bandy Girarda jest myśliwy, który zaledwie kilka lat temu przystał do plemienia Seseganagi, nie kojarzyłem go z nikim. Nie podejrzewałem, że to właśnie Dwa Noże. Poznałem go dopiero dziś. Nie będzie już nikomu szkodził.

Frontenac słuchał z uwagą. W ustach opowiadającego było to proste. Ale czy w rzeczywistości? Przecież François, którego nie mógł posądzać o brak odwagi, sam stwierdził przed paroma minutami, że gdy ujrzał napastników, stracił wszelką nadzieję. Nie widział żadnych szans ocalenia. A ten drugi? Shemágonish? Shemágonish widział błąd wrogów, którzy pozwolili mu zbliżyć się na niebezpieczną... dla nich odległość. Niebezpieczną dla nich, nie dla niego. Trzy mierzące strzelby nie przeraziły go, nie przeraził również trzeci napastnik, który miał zaatakować podstępnie. Odkrył i tego wroga i z beznadziejnej sytuacji wyszedł bez jednego skaleczenia. Był inny niż François. Inny niż żołnierze tu w garnizonie i ci w Quebecu. Był inny, bo przeszedł inną szkołę życia i inną szkołę walki. Pewnie podobni do niego byli i inni gońcy leśni pozostający przecież poza prawem. Pozostający poza prawem, ale czy gorsi od niego? Czy może tylko tak jak on nie chcący poddać się rygorystycznemu, niesłusznemu prawu. Gdyby mógł ich wszystkich przeciągnąć na swoją stronę. O ileż wtedy wzmocniłoby się zbrojne ramię Nowej Francji. Zadanie pewno było trudne, ale nie niemożliwe. Jeden Bresson wystarczał za kilku żołnierzy. Kilkuset takich Bressonów mogłoby wystarczyć za kilkutysięczną regularną armię wojska. O ileż Nowa Francja byłaby bezpieczniejsza? Warto było spróbować. Z malującą się w oczach powagą wzniosł kielich:

– Twoje zdrowie, Paul. Jesteś bohaterem tego dnia i, jak wiem, bohaterem również innych dni. Za twoje powodzenie. – Gdy w milczeniu spełnili toast, odstawił kielich i powiedział: – Dzisiaj i w ciągu tych kilku dni pobytu w Trois Rivières mogłem poznać część tego kraju i garść jego prawdziwych mieszkańców. Dziękuję, panie Fleury, za to zaproszenie. Dziękuję, Paul, za to, że pozwoliłeś mi zobaczyć na własne oczy prawdziwego, młodego Francuza, który tu pracuje dla dobra naszej wielkiej ojczyzny. Bo Nowa Francja jest właśnie częścią tej

Ojczyzny, częścią, w której każdy powinien znaleźć swoje właściwe miejsce. Nowa Francja jest pięknym krajem, chociaż jeszcze nie całe jej piękno odkryto. Jest krajem bogatym, hojnie obdarowanym przez naturę. Jestem dumny, że właśnie mnie najjaśniejszy pan powierzył obowiązek pracy nad pomnażaniem jej bogactw dla dobra korony. Będę starał się obowiązek ten wypełnić jak najlepiej, strzegąc dobra tego kraju i bezpieczeństwa jego mieszkańców. Wiem, że mi pomożecie. Pomożecie najlepiej rozwijając handel tak daleko, jak to tylko będzie możliwe. Im więcej futer stąd popłynie do naszej zamorskiej ojczyzny, tym więcej ludzi, towarów i broni będzie przychodziło tutaj. Wtedy będziemy i bogatsi i silniejsi, i łatwiej nam będzie ustrzec się przed wrogiem.

Kupcy tacy jak pan, panie Fleury, jak Paul, Du Lhut, Joliet i inni muszą wyjść z handlem poza przetarte już szlaki. Sprawując urząd gubernatorski będę się starał szlaki te jakoś zabezpieczyć, by Paul – tu uśmiechnął się – nie musiał za każdym razem strzec transportu przy pomocy armii wojowników, Kiedy znów ruszasz, chłopcze?

– Za parę dni, panie gubernatorze.

– A powrót, jak rozumiem, znów gdzieś w lipcu przyszłego roku?

Młodzieniec spojrzał niepewnie na pana Fleury'ego, lecz widząc jego zachęcające spojrzenie odparł pewnie:

– Nie, wasza ekscelencjo. W przyszłym roku nie wrócę. Ustaliliśmy z panem Fleury'm, że zostanę tam przez kilka sezonów. Jedną faktorią to za mało, jak na tak rozległy kraj, zwłaszcza że znad Zatoki Hudsona będą naciskali Anglicy. Trzeba będzie zbudować nowe faktorie. I trzeba je będzie obsadzić ludźmi. To praca na parę lat.

– No, a jak z futrami? Przecież nie mogą leżeć tam tak długo. Jak z towarami? Nie zabierzesz przecież zapasów na taki szmat czasu?

– Oczywiście, że nie. Towary będą dowozili inni. Będą też odbierać futra. Handel pójdzie sprawniej.

– To bardzo dobry pomysł, ale w takim razie, kiedy cię tu zobaczymy.

– Pewno za parę lat.

Z kąta rozległo się przytłumione pochlipywanie Lucille. Stara gospodyni, chociaż często burczała, lubiła chłopaka, jak nazywała go w myślach, i po trosze traktowała jak własnego syna. Gdy teraz usłyszała, że nie będzie go widzieć tak długo, coś zapiekło ją mocno pod powiekami.

W izbie uczyniło się jakoś dziwnie. Jakby mniej swojsko i przytulnie. I poprzednie ożywienie zniknęło, mimo że gospodarz coraz częściej napełniał opróżniane w milczeniu kielichy.

Dokładnie w dziesięć dni później Paul pożegnał serdecznie porucznika Chevreuila i sierżanta Terrestre, uściskał pana Fleury'ego i rozejrzał się za starą, dobrą Lucille.

Stała obok pierwszego kanu z jakimś sporym zawiniątkiem w ręku. Pomachał przyjaźnie żegnającym go mieszkańcom Trois Rivières i skierował się w stronę Lucille. Stała z zaciśniętymi mocno ustami i patrzyła uporczywie na Darnis siedzącą w środkowej części kanu.

Usłyszawszy za sobą kroki obróciła się wolno i spytała:

– To właśnie ta dziewczyna uratowała ci życie?

– Tak, Lucille, to ona.

– Pewno bardzo ją kochasz? Bardziej niż starą Lucille.

– Ciebie też kocham, ale inaczej.

– Masz. Zabierz to dla niej. Dziewczynie przyda się, a o starej Lucille pomyśl też czasem – wepchnęła mu zawiniątko w ręce i podreptała szybko tam, gdzie stali inni.

Paul patrzył za nią chwilę. Odwrócił się i napotkał pytające spojrzenie Darnis. Złożył na jej kolanach otrzymane zawiniątko i usiadł na dziobie kanu.

Długi wąż wyladowanych łodzi drgnął i ruszył pod prąd – na zachód.

Na nabrzeżu zakołysał się pożegnalny las rąk. Kanu nabierały szybkości. Przed oczyma młodzieńca ciepłym, spokojnym blaskiem świeciły oczy indiańskiej dziewczyny.

## Posłowie

Nowy gubernator Kanady Louis de Frontenac jest człowiekiem mądrym. Rozumie, że swej zamorskiej ojczyźnie odda największe usługi poprzez zapewnienie bezpieczeństwa kolonii oraz jej szybszy rozwój. Znosi więc, a w wielu przypadkach znacznie łagodzi szereg nieżyciowych przepisów. Ogranicza wpływy i znaczenie jezuitów w handlu futrzanym. Przeciwdziała nadmiernemu powiększaniu przez nich i tak już ogromnych majątków ziemskich. Stara się wpływać na liberalizację różnych zakazów handlowych. Gońcom leśnym, którym uprzednio skonfiskowano towary lub futra, zwraca ich własność i zezwala na bardziej swobodny handel. Pozyskuje w ten sposób dla Nowej Francji liczną rzeszę oddanych sojuszników.

Podobnie jak Samuel de Champlain, wiedząc, że Nowa Francja jest zbyt słaba wobec ludnych i szybko rozwijających się północno-zachodnich kolonii angielskich, stara się umacniać przyjazne stosunki z plemionami Indian algonkińskich.

Jest to tym bardziej ważne, że ponownie szybko wzrasta w siłę największy wróg Nowej Francji na południu – potężna Liga Irokezów. Frontenac nawiązuje osobiste kontakty z wodzami i starszyzną indiańską plemion sojusznicznych, bywa częstym gościem w indiańskich wigwamach i przy obozowych ogniskach.

On sam oraz jego następcy dla zapewnienia bezpieczeństwa szlaków handlowych wzdłuż Doliny Św. Wawrzyńca i wokół Wielkich Jezior wznoszą obronne forty. U ujścia wód jeziora Ontario do Cataragui powstaje w roku 1673 Fort Frontenac, a w roku 1679 Fort Niagara dla zabezpieczenia przeprawy przez Wielkie Wodospady. W roku 1678 Francuzi budują fort na południowym krańcu jeziora Nipigon, a wkrótce u ujścia Ombabiki Fort La Tourette. W 1685 r. powstaje Fort de Français u zbiegu rzek Kenogami i Albany.

Dzięki zabezpieczeniu szlaków handlowych francuscy kupcy coraz częściej zaczynają pojawiać się na północ od Jeziora Górnego. Docierają do jeziora Crees (obecnie Rainy Lake), a także do jeziora Assiniboines (obecnie Winnipeg).

Istnienie fortów Frontenac i Niagara wpływa na bezpieczeństwo żeglugi na jeziorze Ontario, gdzie La Salle buduje najpierw cztery barki do przewozu towarów i futer, a następnie w roku 1679 pierwszy statek żaglowy „Griffin”, co oznacza nastanie początku nowej ery w żegludze po Wielkich Jeziorach.

Gońcy leśni i kupcy futrzani zaczynają docierać do Chequamegon, do Green Bay na jeziorze Michigan, pojawiają się w kraju Siuksów, u plemion Miami w Dolinie Ohio, u Sauków i Foksów zajmujących rejony na południe od zachodniego krańca Jeziora Górnego.

Gubernator Frontenac popiera badanie rejonów położonych na południe i zachód od Wielkich Jezior. Z jego inicjatywy w roku 1673 Joliet i jezuita ojciec Marquette, płynąc indiańskim szlakiem z misji St. Ignace poprzez Green Bay, rzeki Fox i Wisconsin docierają do Ojca Wód, jak ówczesznie Indianie nazywają Missisipi i spływając nią na południe osiągają ujście Arkansasu. W roku 1682 La Salle, drogą przez południowy kraniec jeziora Michigan, rzekę Illinois dalej wzdłuż Missisipi bada ogromną połąć kraju i dociera do Zatoki Meksykańskiej. Ojciec Hennepin bada kraj w górnym biegu Missisipi. Daniel Du Lhut przemierza Jezioro Górne i z jego zachodniej części, poprzez Rainy River i Rainy Lake, Lake



of the Woods, przedostaje się na południowy kraniec jeziora Winnipeg, rzekę Assiniboine i Rzekę Czerwoną, a stamtąd na skraj wielkiej zachodniej prerii do kraju Mandanów i Dakotów.

– Francuscy kupcy futrzani ograniczeni od północy rozwijającą się szybko Hudson Bay Company, od południa zaś działaniami angielskich kupców z Plymouth, Bostonu i Albany oraz w dalszym ciągu istniejącą blokadą potężnej Ligi Irokezów, w poszukiwaniu nowych rejonów skupu futer, dążą coraz dalej na zachód, na południe wzdłuż Missisipi, Wisconsinu i Ohio oraz na północ z biegiem Saskatchewan, Rzeki Czerwonego Jelenia i Athabaski.

Na zachodnim brzegu Jeziora Górnego, w Kaministiquia, w miejscu gdzie rozpoczyna się długi, kręty szlak wiodący w kierunku Winnipegu i Wielkiej Prerii, Du Lhut wznosi placówkę handlową (późniejszy Fort William).

W 1686 r. pod dowództwem Pierre’a d’Iberville’a francuscy kupcy futrzani zdobywają angielskie forty Albany, Moose i Rupert usytuowane w południowej części Zatoki Hudsona.

W trzynaście lat później, daleko na południu, Pierre d’Iberville, u ujścia Missisipi, w miejscu do którego dotarł La Salle, założy francuską kolonię Luizjanę.

Ogromne zasługi w dziele poznawania i zdobywania zachodniego, a jak mówiono wówczas. Górnego Kraju, ponoszą Pierre Gaultier de la Vérendrye i jego trzej synowie: Jean Baptiste, Pierre i François oraz ich cioteczny brat – La Jemeraye. W latach 1731-1750 działając z ramienia montrealskich kupców rozwijają handel futrzany wokół Fortu William, wznosząc kupieckie faktorie i forty nad Rainy River, Lake of the Woods oraz jeziorem Winnipeg. W niewielkiej odległości od ujścia rzeki Assiniboine do Rzeki Czerwonej, na skraju prerii budują silną faktorię-Fort La Reine. Stamtąd, przecinając rzekę Missouri, podążają do kraju Siuksów i Mandanów.

Wobec ogromnego zapotrzebowania w Europie na futra francuscy kupcy rozlewają się z biegiem lat po całym Górnym Kraju Zachodnim, docierając coraz dalej na północ; na południu opanowują królestwo futrzane wzdłuż rzek Wisconsin, Illinois, Wabash, Miami i Ohio.

Następcy gubernatora Frontenaca i kolonialne władze francuskie sprzyjające tym poczynaniom wkraczają do ogromnej doliny Ohio i dla ochrony swych kupieckich szlaków oraz wielkiego futrzanego królestwa wznoszą silny, dobrze uzbrojony Fort Duquestne (dzisiejszy Pittsburgh). Nowa Francja proklamuje objęcie doliny Ohio oraz całego kraju na wschód od Missisipi we władanie francuskiej korony.

Francuskie postępy w rozwoju handlu futrzanego oraz działalność francuskich kupców nie może podobać się Anglikom. Wspomagają więc Irokezów – swych głównych sojuszników, których potęgą odradza się bardzo szybko. Irokezi pozbawieni przez pewien czas zysków z handlu futrzanego, atakują teraz gwałtownie francuskie szlaki handlowe, francuskich kupców, a nawet osiedla Nowej Francji. Angielscy osadnicy z kolonii północnych najeżdżają Akadnię (dzisiejsza Mowa Szkocja i Nowy Brunszwik), niszczą francuskie osady i wypędzają osadników. Francuzi w odwet napadają na graniczne osiedla Nowej Anglii. W roku 1690 Anglicy znacznymi siłami uderzają na Montreal i Quebec, lecz atak ten kończy się niepowodzeniem. W tym samym jednak roku pada silna francuska twierdza w Akadii – Port Royal. Francuzi z kolei zajmują liczne angielskie kantory handlowe nad Zatoką Hudsona. Zbrojne starcia między Nową Francją a Nową Anglią, przy użyciu po obydwu stronach głównie sił indiańskich, przerywane krótkotrwałymi okresami względnego spokoju, trwają prawie przez całą pierwszą połowę XVIII w.

Powodów wzajemnej wrogości jest wiele. Jeden z najważniejszych to rywalizacja obydwu narodów i państw na kontynencie europejskim, w wyniku której wybuchają kolejne wojny – w roku 1702 o sukcesję na tronie hiszpańskim i w roku 1744 o sukcesję na tronie austriackim. Wrogość ta nie tylko w Europie, ale i w Ameryce ma swe źródła również w motywach religijnych. Osadnicy Nowej Francji to ludność katolicka. Kolonie angielskie skupiają

wyłącznie ludność protestancką. Interesy kupców francuskich w sposób naturalny sprzeczne są z interesami kupców angielskich. Ale do tych sprzeczności dochodzi jeszcze jedna równie bardzo ważna. Oto osadnicy angielscy ściśnięci w wąskim nadatlantyckim pasie i odczuwający coraz bardziej głód ziemi zaczynają przesuwać się bardziej na zachód, przekraczają Appalachee i przenikają do żyznej i urodzajnej doliny Ohio. Proklamowanie w tej sytuacji przez Nową Francję całego rozległego obszaru doliny jako strefy francuskiej stanowi dla Anglików sygnał alarmowy i właściwie bezpośrednią przyczynę już nie granicznych utarczek, a otwartej wojny. Jej wynik rozstrzygnie się, gdy oddziałom wojskowym nadatlantyckich kolonii Anglia przyśle na pomoc potężną flotę wojenną i pułki regularnych wojsk lądowych.

Pod uderzeniem angielskich sił pada najpierw największa francuska twierdza w Kanadzie – Louisbourg na Cape Breton, liczne francuskie forty i osiedla w Dolinie Św. Wawrzyńca i wreszcie 12 września 1759 r. twierdza i miasto Quebec. Resztki wojsk francuskich, które schroniły się w Montrealu, skapitulują wiosną 1760 r. Oficjalnie jednak wojna zakończy się dopiero pokojem paryskim w roku 1763, pokojem w wyniku którego Nowa Francja straci na rzecz Anglii wszystkie swe posiadłości w Ameryce Północnej.

Cały północnoamerykański kontynent z Kanadą na północy i Luizjaną na południu postanowieniami traktatu paryskiego zostanie przyznany Anglii. Jednakże jej zwierzchnictwo nad nim nie będzie trwało zbyt długo. Oto już w roku 1776 trzynastce kolonii angielskich położonych na południe od Doliny Św. Wawrzyńca utworzy niezależne od Anglii państwo – Stany Zjednoczone. Do amerykańskiej rewolucji nie przyłączy się jedynie Kanada. Pozostanie ściśle związana z koroną brytyjską jako jej kolonia.

Po przegranej w roku 1760 wojnie z Quebecu, Montrealu i Trois Rivières odejdą francuskie władze cywilne i wojskowe. Większość francuskich kupców wyjedzie do swej zamorskiej ojczyzny. Część jednak pozostanie. Ci, wraz z kupcami angielskimi, którzy napłyną do Kanady, rozprzestrzenia się daleko na zachód i północ oraz na wielką prerię, tworząc docierającą do najdalszych zakątków kraju rodzinę Nor’Westers – ludzi Północno-Zachodniego Szlaku, którzy w roku 1784 utworzą w Montrealu wielką kompanię handlową North West Company. Kompanię, która o kanadyjskie królestwo futrzane podejmie bezkompromisową, twardą walkę z Hudson Bay Company oraz kompaniami i kupcami amerykańskimi. Niektóre przejawy tej rywalizacji i metody walki znajdzie czytelnik w książce „Fort nad Athabaską”.

Walka o zawładnięcie futrzanym bogactwem w pierwszym dwudziestoleciu XIX w. przekształciła się w otwartą bezlitosną wojnę między Hudson Bay Company i North West Company, w wojnę, której apogeum nastąpi nad Rzeką Czerwoną Północną i przejdzie do historii pod nazwą Seven Oaks Massacre. Kres tej wojnie położy dopiero w roku 1821 decyzja rządu brytyjskiego o połączeniu obydwu kompanii w jedną organizację handlową przy zachowaniu nazwy Hudson Bay Company. Kompania ta przetrwa do naszych czasów jako jedna z największych organizacji handlowych, Kanady.

Y.O.

## BIBLIOGRAFIA

1. J. L. Baker, *Odkrycia i wyprawy geograficzne*. Warszawa 1959.
2. A. Brehm, *Życie zwierząt. Ssaki*, Warszawa 1963.
3. J. M. S. Careless, *Canada – Story of Challenge*, Mac Millan Company of Canada 1959.
4. D. Duncan, *Here's to Canada*, Harper and Brothers Publishers 1941.
5. D. Jenness, *Indians of Canada*, National Museum of Canada, Bulletin Nr 65 – 1932.
6. L. Kubiłowicz, *Słownik geografii Ameryki*, Warszawa 1975.
7. J. Long, *Voyages and Travels of an Indian Interpreter and. Trader*, J. Long, London 1791. Fascimile edition reprinted by Coles Publishing Company, Toronto 1971.
8. F. Symington, *The Canadian Indian*, McClelland and Stewart 1969.
9. E. F. Wilson, *The Ojebweg Language*, Bowsell and Hutchison, Toronto.
10. H. Zins, *Historia Kanady*, Ossolineum 1975.
11. J. M. Blum, B. Catton, E. S. Morgan, A. M. Schlesinger Jr., K. Stamp, C. V. Woodward, *The National Experience. A History of the United States*, Harcourt Brace and World Inc. 1963.
12. E. E. Rich, *The Fur Trade and the Northwest to 1857*, McClelland and Stewart 1967.
13. H. A. Innis, *The Fur Trade in Canada*, H. Milford, Oxford Univ. Press 1930.